

Fiona McIntosh

Zemsta

Revenge

Trójca Księga II

Tłumaczyła

Iwona Michałowska





*Monice i Fredowi Richardsom,
moim rodzicom i bliskim przyjaciołom*

SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI	4
PODZIĘKOWANIA.....	6
PROLOG.....	7
1. NOWY POCZĄTEK	9
2. PRZYBYWA POSŁANIEC.....	18
3. PRZEBACZENIE.....	24
4. LOT.....	36
5. STARZY PRZYJACIELE I WROGOWIE.....	46
6. ROZDZIELENIE DUSZ.....	56
7. SEKRET ALYSSY	62
8. FIOLETOWY CAŁUN.....	72
9. SEKRET UJAWNIONY	74
10. SPOTKANIE W BURDELU	83
11. NA POKŁADZIE „OSY”	96
12. OMDLENIA.....	111
13. MISJA YARGO.....	120
14. ŁASKAWOŚĆ ORLACA.....	135
15. ADONGO MORUK.....	140
16. RADA ZAŻALEŃ.....	155
17. KRÓLEWSKI ŻART	169
18. POCAŁUNEK SREBRNEJ DZIEWICY.....	181
19. ROZEJM.....	200
20. GOTH OBMYŚLA PLAN	207
21. SPOTKANIE O ŚWICIE	211
22. FERALNY PUCHAR	218
23. ROZPACZLIWA UCIECZKA.....	242
24. ZACHWIANA RÓWNOWAGA	248
25. TAJEMNICA DUNTARYN	258
26. RYTUAŁ.....	271

27. UWOLNIONA FURIA	283
28. PODRÓŻ LAURYN	292
29. POWRÓT DO SERCA LASU	307
30. UPADEK DZIESIĄTEGO PALADYNA.....	321
31. WEZWANIE	333
32. OPĘTANIE.....	342
33. NIEOCZEKIWANI GOŚCIE.....	347
34. CZAS ODKRYĆ KARTY	364
35. OBJAWIENIE	373

PODZIĘKOWANIA

Pojawienie się Księgi II oznacza, że muszę podziękować jeszcze większej liczbie osób! Pip Klimentou nadal codziennie budzi wszystkich domowników telefonami i jestem jej za to wdzięczna. Nasz przyjaciel Paul Meehan stworzył wspaniałą stronę internetową - koniecznie ją odwiedźcie. Sonya Caddy i nieoceniona Anne Maddox z poświęceniem czytają brudnopisy. Mnóstwo innych osób - zbyt wiele, by je tu wymienić, choć mam nadzieję, że wiedzą, jak bardzo cenię ich niegasnący entuzjazm - udzieliło mi fantastycznego wsparcia. Są to w szczególności: mój wspaniały brat Graham Richards, mój „drugi brat” Kim Bleeker oraz Lynne Schinella, która chyba naprawdę wierzy w moją magię i znaczenie magicznego pyłu!

Mój wydawca, Nicola O’Shea, jest nie tylko osobą, z którą świetnie się pracuje, lecz także kimś wybitnie utalentowanym w swoim rzemiośle - to dla mnie szczęście, że trafiłam na nią. Dziękuję wszystkim w wydawnictwie Harper Collins, zwłaszcza Lindzie Funnell i Stephanie Smith, za ich wsparcie. Jestem zachwycona faktem, że Robin Hobb i Sara Douglass mają swój udział w powstaniu tej trylogii i będę im dogonnie wdzięczna za wspaniałomyślne uwagi i wyrazy poparcia.

Na koniec pozwolę sobie wspomnieć o wspaniałej i niekiedy ekscentrycznej trójcy, z którą dzielę swoje życie. Raz jeszcze pragnę wyrazić swoją miłość i wdzięczność dla Willa i Jacka, którzy wciąż odrywają mnie od Tallinoru i przywołują do rzeczywistości życia rodzinnego, a w szczególności - jak zawsze - dla Iana.

PROLOG

Themesius zastygł w niemym krzyku, aż ścięgnięta szyi naprężyły mu się niczym powrozy. Teraz, gdy Figgis po tylu latach niezłomnego oporu zaczął słabnąć, a szczeliny w jego mentalnej zbroi z każdą chwilą stawały się większe, siła ataku skupiła się na jego towarzyszu.

Pierwotne grono dziesięciu paladynów przez wieki walczyło wspólnie umysłem i magią, stopniowo jednak czas i niesłabnąca moc więźnia pokonywały ich. Pracował nad nimi bez wytchnienia, niekiedy nad wszystkimi naraz, zazwyczaj jednak pojedynczo.

Najpierw poddał się Kyt Cyrus, który od tamtej pory już zawsze miał być znany jako Pierwszy. Drugim był Clout z Rork'yeł, Trzecim - Solyana, magiczne zwierzę, które uległo wkrótce po nim. Długo trwało, nim poddał się kolejny paladyn, lecz w końcu uczyniła to Ezyjka Juno. Po niej Adongo Moruk. Szóstym był Saxon Kloek, Siódmym minstrel Sallementro, a na samym końcu skapitulowała kapłanka Arabella.

Tylko Figgis Jaskiniowiec i Themesius Olbrzym trwali wciąż na posterunku, choć ten pierwszy czuł, że jego czas też się kończy. Jakimś sposobem ta dwójka nadal opierała się nieubłaganym szeptom boga, zalewającego ich umysły falami olbrzymiej mocy, która rodziła w nich wątpliwości.

Themesius z wrzaskiem odparł kolejny atak potwora.

Orlac roześmiał się.

- Co za charakter, Themesiusie. Muszę bardziej nad tobą popracować. - Potem zwrócił się do Figgisa. - Odpocznij trochę, mój mały przyjacielu, bo wkrótce nasze umysły znów się zetną, a wtedy, obawiam się, nastąpi twój koniec.

Nanak, strażnik paladynatu, w pełnym goryczy milczeniu spoglądał na odpoczywających wojowników. Ich zbolale twarze stopniowo wygładzały się. Strażnik wiedział, ile ich kosztuje ta odwieczna bitwa. Zbliżał się koniec. Figgis ulegnie, choć uczyni to z podniesionym czołem. Jedyłą pociechą dla Nanaka była rosnąca wiara w zapewnienia Merkhuda, że ci odważni rycerze powrócą, by kontynuować walkę. Według medyka ich dusze schroniły się w Sercu Lasu i dochodziły do siebie pośród żywych, szykując się do kolejnej bitwy. Themesius, opoka paladynów, miał się poddać ostatni, biorąc na siebie ciężar ponizenia w obliczu triumfu Orłaca. Co do tego Nanak nie miał wątpliwości. Oby tylko

Olbrzym zdołał wytrzymać dostatecznie długo, by zapewnić im czas, którego tak bardzo potrzebowali.

Wytrwajcie, moi dzielni rycerze - szepnął łagodnie wprost do ich umysłów. - Trójca nadchodzi. Wy dzierzycie jej pochodnię. Utrzymajcie ją, dopóki nie będziemy gotowi.

Obaj byli jednak zbyt pogrążeni w rozpacz, by odpowiedzieć. Rozumiał to. Sam nie mógł się doczekać momentu wyzwolenia - momentu, w którym Patronka zdejmie z jego barków to potworne brzemie.

Ciszę przerwał dziki chichot Orlaca. Przeszywające spojrzenie tych osobliwych fioletowych oczu przewiercało prastarą, zaczarowaną duszę strażnika. Nanak zadrżał i opuścił powieki, by nie widzieć boga. Czekał na kolejny atak. Wiedział, że musi zaufać Lys. Ona pomoże im przez to przejść i doprowadzi do upadku Orlaca.

Chwilami - choć były to bardzo krótkie chwile - współczuł prześladowcy. Książę bogów, ukochany syn Hostii, okradziony z należnych mu honorów i zmuszony do życia wśród śmiertelników. Tragiczna postać. Tak czy inaczej, Nanak go nienawdził. Żył po to, by doczekać chwili, w której Orlac zostanie ukarany w imieniu cierpiących dusz paladynów.

Lys obiecała wyzwolenie. Musiał być jej posłuszny. Była Patronką.

Wyczuł, że Themesius i Figgis sztywnieją, a bariery w ich głowach uaktywniają się w mgnieniu oka. Orlac znów był na nogach, odmłodzony i dziko roztańczony. Walka na śmierć i życie ponownie się rozpoczęła. Bóg był w swoim żywiole.

Ale nie był sam.

W milczeniu obserwował go inny bóg, Dorgryl. Usunięty z Hostii i rzucony w Pustkowie, by po wsze czasy kontemplować swój grzech, od wieków niewidzialny dla żadnej ze stron przyglądał się tej bitwie i cieszył każdym zwycięstwem Orlaca.

Tego dnia zacierałby ręce, gdyby tylko je miał. Czuł, że zbliża się wyzwolenie Orlaca - wyzwolenie, które potężny bóg Dorgryl zamierzał zmienić w swój osobisty triumf.

1.

NOWY POCZĄTEK

- Strzykawka do namaszczenia! - ryknęła położna. - Musimy uratować duszę tego upartego bachora, nim pozwolimy obojgu zdechnąć!

Alyssa Qyn cofnęła się z niedowierzaniem, gdy któraś z pomocnic pospieszyła ku władczej szefowej z dziwnie wyglądającym urządzeniem. Wzrok dziewczyny pobiegł ku siedzącej bezwładnie na stołku kobiecie o poszarzałej twarzy. Pot ściekał jej z pozlepianych w strąki włosów, a z oczu biła udręka i niewysłowiony smutek. Rodząca była zbyt wyczerpana, by pojąć bezduszny wyrok, który na nią wydano. Położne prosiły o strzykawkę do namaszczeń jedynie wtedy, gdy sądziły, że dziecko umrze. Uważały, że w ten sposób oczyszczają przed śmiercią jego duszę.

W sercu Alyssy obudził się nagle dawny żal. Rany wciąż się jątrzyły i powracały, by ją dręczyć.

Jayn Elkin była porządną kobietą. Żona jednego z dworzan, uprzejma dla wszystkich, o łagodnym głosie i miłym uśmiechu, którym obdarzała wszystkich na swojej drodze, nie zasługiwała na taką śmierć - teraz, gdy dziecko było gotowe do narodzin, a ona sama nie miała sił, by je wydać na świat.

Położna chwyciła urządzenie i wbiła jeden z jego końców w ciało znieruchomiałej matki. Wciskając kołek po drugiej stronie, wypuściła na główkę dziecka strumień wody.

Tyle że to nie główka, chciała krzyknąć Alyssa. Nawet jej niewprawne oko zdołało to zauważyć. Położna wyklepała niedbale kilka słów błogosławieństwa, po czym wyjęła strzykawkę, opuściła spódnicę kobiety i wyprostowała się.

- Umyj ją - rzekła do Alyssy. - Idzie do swoich bogów.

Po czym, najwyraźniej uważając zadanie za zakończone, wyniosłe opuściła pokój w towarzystwie przerażonej pomocnicy.

Była to okrutna, lecz bynajmniej nie niecodzienna scena.

Alyssa przypomniała sobie swój poród. Wspomnienie to było już nieco zatarte. Nie pamiętała konkretnego momentu, w którym dziecko przyszło na świat. Być może z bólu straciła przytomność. Nigdy jednak nie zdołała zrozumieć, jak to możliwe, by nieprzytomna

kobieta mogła urodzić.

Tak czy owak, kapłanka Arabella zdołała odebrać dziecko, które zaledwie po chwili zmarło w ramionach Tora. Ich syn wydał pierwsze i ostatnie tchnienie, nie zaznawszy matczynego ukojenia, i został pochowany w płytkim grobie w Sercu Lasu bez uroczystości pogrzebowych. Okrutny los.

Choć to wspomnienie było dla Alyssy wstrząsające, jeszcze bardziej dręczyła ją myśl o ojcu dziecka. Piękna twarz Torkyna Gynta roztrzaskana katowskimi kamieniami, zalana krwią. Jego cudowne chabrowe oczy, kiedyś błyszczące, teraz matowe i ślepe. Zmasakrowane zwłoki zwisające z krzyża. Wiele osób zebrało się, by dotknąć jego stóp, składając ostatni hołd człowiekowi ukochanemu przez całe Tal.

Gdy Alyssa rozumiała, że Tor nie żyje, z rozmysłem zwróciła wzrok ku jego mordercy, królowi Lorysowi, przysięgając, że od tej pory zawsze będzie spoglądać na tę smutną, udręczoną twarz z nienawiścią. I trwała w swoim postanowieniu, nienawidząc króla równie mocno, jak kochała królową. Wiedziała, że wystarczyłby jeden rozkaz monarchy, by egzekucja została odwołana. Nigdy nie rozumiała, dlaczego Lorys tego nie zrobił. Tor był przecież nie tylko lekarzem pary królewskiej, ale i jej bliskim przyjacielem.

Tamta zima, przed czterema laty, była strasznym okresem w życiu Alyssy. Z wyjątkiem Saxona wszyscy, których znała i kochała, odeszli - nawet sokół Cloot, wierny stróż Tora. Dokąd odleciał po śmierci przyjaciela? I co się stało z królewskim medykiem Merkhudem? Widziała go przez chwilę na schodach, gdy po egzekucji eskortowano ją z powrotem do aresztu. Starzec zachowywał się tak dziwnie, że nie uszło to nawet uwagi strażników. Alyssa wiedziała, że Merkhud zabrał ciało Tora na miejsce wiecznego spoczynku, nikt jednak nigdy jej nie powiedział, gdzie się ono znajduje. Tyle razy żałowała, że nie zapytała o to starego doktora. Teraz nie było już kogo pytać. W swoich ostatnich, wypowiedzianych dziwnym tonem słowach medyk kazał jej odnaleźć Sallementra. Powiedział, że to przyjaciel. Skąd starzec mógł to wiedzieć?

Kilka tygodni później Sallementro istotnie wkroczył w jej życie, twierdził jednak, że nigdy nie zetknął się z Merkhudem. Co ciekawsze, starzec nie tylko przekazał dziewczynie tę dziwną wiadomość, lecz także posłał jej na odchodnym całusa. Co to miało znaczyć? Nigdy nie darzyli się sympatią. Alyssa gardziła medykiem, a on o tym wiedział. Przede wszystkim zawsze obwiniała go o to, że odebrał jej Tora. Co ten stary dureń sobie wyobrażał, publicznie demonstrując przywiązanie do niej?

Usłyszała jęk za plecami i wróciła do rzeczywistości. Służąca Jayn Elkin dygotała w kącie.

- Elsa?

- Czy ona umrze? - zapytała dziewczyna drżącym głosem.

Alyssa była tego niemal pewna, ale odparła z mocą:

- Nie, jeśli zdołamy jej pomóc. Ulżyj jej, a potem biegnij i przyprowadź tu Sallementra. Najszybciej, jak potrafisz.

Gdy Elsa chłodziła czoło kobiety namoczoną płótnem, Alyssa wyszorowała ręce. Zauważyła, że położne nigdy tego nie robią. Ona sama nauczyła się tego od Sorrel. „Czyste ręce nie przenoszą chorób” - mawiała starsza pani.

Alyssa odsunęła od siebie myśl o Sorrel. Nie miała od niej wieści, odkąd jej syn umarł w Sercu Lasu. Przeżyły razem wiele trudnych chwil i dziewczyna nie mogła przeboleć faktu, że jej przyjaciółka odeszła wraz z pozostałymi. Może ona także nie żyła?

Jayn Elkin otworzyła gwałtownie oczy, a jej ciało przeszył paroksyzm bólu. Krzyknęła słabym głosem. Trzasnęły drzwi: to Elsa wybiegła, by poszukać Sallementra. Alyssa wzięła głęboki oddech i ponownie uniosła spódnice kobiety. Była przerażona tym, co chce zrobić. Zamierzała mianowicie sprawdzić to, co kiedyś powiedziała jej Sorrel - że jeśli dziecko utknęło, trzeba je po prostu łagodnie obrócić.

Spociała się ze zdenerwowania. Szepcząc do Jayn uspokajające słowa, zakasała rękawy, nasmarowała ręce i rozpoczęła badanie.

Wkrótce do pomieszczenia wpadła Elsa, wołając, że Sallementro nadchodzi.

- Nie wpuszczaj go! - zawołała Alyssa, przestraszona, że minstrel wejdzie za dziewczyną. Podeszła do drzwi. - Sallementro - powiedziała - proszę, zagraj dla lady Elkin pod oknem. Twoja muzyka na pewno jej pomoże. Kocha ją niemal tak samo jak ja.

- Zaśpiewam *Damo mojego serca* - odparł minstrel. - Dla was obu.

Alyssa dotknęła jego ramienia w dziękczynnym geście i szybko zamknęła drzwi.

- Co z nią? - zapytała Elsa, podchodząc na palcach.

- Przed chwilą miała skurcz. Jeszcze nic straconego - powiedziała z podnieceniem Alyssa.

Bez trudu udało jej się obrócić dziecko. Była przekonana, że teraz znajduje się we właściwej pozycji. Być może rzeczywiście mogła sobie pozwolić na odrobinę nadziei.

Słyszała, że niektóre położne wyciągają brutalnie niemowlęta na świat nóżkami do przodu. Widziała dowody tych praktyk w postaci zdeformowanych kończyn wielu dzieci w mieście. „Cóż - pomyślała - lepiej narodzić się ze zwyrodniałymi członkami, niż zostać uśmierconym”. Członkinie gildii położnych nie przyznawały się, rzecz jasna, do takich praktyk, pogłoski głośno jednak, że jeśli dziecko nie mogło się narodzić, a matka była kimś

więcej niż żoną zwykłego dworzanina, zabijano niemowlę, by ocalić kobietę. Alyssa słyszała potworne opowieści o akuszerkach usiłujących przeprowadzać operacje chirurgiczne w celu wydobycia martwego dziecka albo, co gorsza, zabijających je w łonie matki i wyciągających po kawałku. Na szczęście Jayn Elkin nie była na tyle ważna, by trzeba było o nią się tak zatroszczyć.

Przez otwarte okno dobiegał słodki głos Sallementra. Chłopak wybrał ulubioną balladę Alyssy. Napisał tę pieśń dla niej, gdy po raz pierwszy ujrzał ją na tamtym balkonie, czekającą na śmierć ukochanego.

Żadna z osób obecnych przy egzekucji z wyjątkiem Saxona i Cloota nie wiedziała, że Alyssa i Tor byli małżeństwem, a dziewczyna nie miała zamiaru informować o tym swoich wrogów. Zresztą, jakie to miało znaczenie? Tor był martwy. Jej syn także nie żył. Mogła jedynie zabić się albo zaakceptować to nowe życie wśród służby pałacowej. Problem polegał na tym, że kiedy zadawała sobie pytanie, po co stara się przeżyć torturę każdego mijającego dnia, nie znajdowała odpowiedzi.

Saxon i Sallementro twierdzili uparcie, że nigdy nie tracą nadziei. Alyssa była zdumiona wieścią, że młody minstrel jest jednym z paladynów, ale ból po śmierci Tora przyćmił tę rewelację. Bez niego Trójca nie mogła chyba istnieć? Choć żadne z nich nie wiedziało, jaką formę przybierze ta zagadkowa formacja, zdawało się oczywiste, że Tor jest jej najważniejszą postacią.

Gdyby chociaż zachowała swoje księgi, *Pisma Nanaka*. Nie miała okazji przeczytać drugiego tomu, ale była przekonana, że ich lektura dostarczyłaby jej najistotniejszych danych na temat historii Orlaca. Lys opowiadała Torowi, że mściwy bóg powróci do Tallinoru, by dokończyć rozpoczęte dzieło.

Teraz, gdy tu siedziała, słuchając śpiewu Sallementra i spoglądając na skrzywioną z bólu twarz Jayn Elkin, opowieść o Orlacu wydawała jej się tylko legendą. Kiedy jednak czytała słowa Nanaka, krew ścinała jej się w żyłach i nie miała wątpliwości, że to wszystko jest prawdą. Teraz utraciła księgi - podobnie jak Tora, Sorrel i przyjaciół z lasu.

Z ich życia zniknęła także Lys. Nigdy zresztą nie nawiedziła Alyssy, co było dość dziwne, ukazywała się bowiem wszystkim innym osobom mającym coś wspólnego z tą osobliwą misją.

Dziewczyna potrząsnęła głową, by odpędzić myśli, które od dawna nie dawały jej spokoju. Koniec z poszukiwaniem Trójcy. Jaki sens miałyby to bez Tora?

Jayn odczuwała coraz silniejsze i częstsze skurcze. Zaczynał się poród.

- Przyrowadź położną, Elso - poleciła służącej. - Pewnie opycha się w kuchni.

Powiedz, że nie wiemy, co robić, bo twoja pani właśnie zaczęła rodzić.

Na szczęście położna szybko się odnalazła. Wpadła do pokoju i odepchnęła Alysę, jakby musiała to zobaczyć na własne oczy, by uwierzyć. Dziewczyna była przekonana, że kobieta nie kieruje się współczuciem, lecz zwykłą ciekawością - a może wyrachowaniem?

- Jest gotowa przeć, proszę pani, ale nie ma zbyt dużo siły - powiedziała ostrożnie.

Położna wykrzywiła usta w ponurym uśmiechu.

- Myślałam, że już stygnie w swojej komnacie. Cóż, za odebranie żywego lepiej mi zapłacać. Do roboty.

Gdy Jayn Elkin wydała na świat skomlące niemowlę, w głowie Alyssy pojawił się obraz wielkiego inkwizytora Gotha, kopiącego ściółkę, pod którą spoczywało ciało jej zmarłego synka.

Z rozmyślań wyrwało ją szarpnięcie za ramię. To zapłakana Elsa wskazywała jej maleńkie zawiniątko, które trafiło właśnie w ramiona Jayn.

- Syn - powiedziała służąca. - Trzeba zawiadomić mojego pana. Będzie dziś najszcześniejszym mężczyzną w pałacu. - Po czym, obróciwszy się tak, by nikt inny nie mógł ich usłyszeć, dodała: - Dzięki tobie.

- Biegnij i spełnij swoją powinność - poleciła jej Alyssa, nie chcąc, by ktokolwiek dowiedział się o jej interwencji.

*

Kiedy Alyssa Qyn obracała uwięzione w łonie matki dziecko, para królewska szykowała się do porannej przejażdżki.

Gdy stajenny sprawdził strzemiona, Nyria wyprostowała się, wdychając rześkie jesienne powietrze. Uwielbiała tę porę roku. Wyobraziła sobie, jak galopuje przez zamarzną darń ku rozległym wrzosowiskom w pobliżu Tal, wołając do Lorysa, że nigdy nie dogoni jej na Freycinie. Zawsze z krzykiem rzucał się w pościg, ale królowa wiedziała, że i tak w końcu da jej wygrać. I kochała go za to.

Nagle w myśli Nyrii wdarł się przenikliwy krzyk. Spojrzawszy w stronę bramy pałacu, zobaczyła gwardzistę szarpiącego się z jakimś wychudzonym chłopcem.

- Co się stało? - zapytała stojącego obok żołnierza.

Ten skłonił się.

- Wasza wysokość, w nocy przybito to dziecko do bramy pałacowej. Znaleźliśmy je dopiero przed godziną, podczas zmiany warty.

- Musi być przemarznięty do szpiku kości - rzekła królowa, spoglądając na chłopca i jego rosłego towarzysza.

- Daliśmy mu ciepłe piwo i trochę owsianki. Marszałek Herek polecił go oddać.

- Komu? - nie ustępowała.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Powiedział Orgo - wskazał na oddalającego się żołnierza - by zabrał chłopaka do miasta i rozpytywał.

Nyria wyjęła prawą nogę ze strzemienia. Żołnierzy Kompanii Królewskiej zawsze zdumiewał fakt, że ich królowa jeździ na koniu jak mężczyzna.

- Ależ to idiotyczne! Proszę natychmiast go zatrzymać! - rozkazała.

Król Lorys przerwał rozmowę z dwójką towarzyszących mu jeźdźców i ze zdumieniem spojrzał na zsiadającą Nyrię.

- Co jest? - zapytał, podjeżdżając do żony, która stała zagniewana, postukując szpicrutą o udo.

Nyria pokręciła głową.

- Przykro mi, Lorysie. Jedź beze mnie.

- Ale co się stało?

Szybko wytłumaczyła, w czym rzecz. Król westchnął.

- Dlaczego wciąż musisz się opiekować jakimiś przybłędami? Zrozum, że nie odpowiadasz za los wszystkich dzieciaków w Tal. Co z nim zrobisz?

- Nie wiem, Lorysie, ale przecież nie można ciągnąć dzieciaka po całym mieście, szukając kogoś, kto go rozpozna! To mogłoby trwać wiele dni.

Król spojrzał w jej jasne oczy, wiedząc, że tym razem nie uda mu się wygrać. Gdy chodziło o dzieci, Nyria miała gołębie serce. Nie mając własnych, obdarzała miłością wszystkie, z którymi się zetknęła. Lorys łagodnie ściągnął lejce i skierował swego czarnego rumaka ku bramie wyjazdowej z dziedzińca.

- Może zatem pojeżdżę nieco dłużej.

- Dziękuję, Lorysie.

W celu podkreślenia tych słów uścisnęła jego odzianą w rękawiczkę dłoń. Tymczasem Orgo i chłopiec wrócili.

Król odjechał. Orgo skłonił się sztywno. Nie był przyzwyczajony do tak bliskich kontaktów z królową. Trzepnął chłopaka w głowę, nakazując mu, by także się uklonił. Nyria uśmiechała się uprzejmie, choć w istocie miała ochotę powiedzieć żołnierzowi, co myśli o jego szorstkich manierach. Z ulgą spostrzegła, że zbliża się do nich marszałek Herek. Lubiała go. Nie miał uroku i temperamentu swego poprzednika, ale naprawdę trudno byłoby znaleźć kogoś, kto dorównałby Kytowi Cyrusowi. Jego tajemnicze zniknięcie wciąż jeszcze nie

dawało jej spokoju.

- Czy mogę w czymś pomóc, pani? - zapytał, kłaniając się Herek.

- Tak, marszałku, dziękuję. Podobno to dziecko zostało w nocy przywiązane do wrót pałacu. Chciałabym się dowiedzieć czegoś więcej na ten temat.

Nim Herek lub Orgo zdążyli się odezwać, wysoka królowa schyliła głowę do poziomu mokrej od łez twarzy chłopca.

- Nie bój się - powiedziała, uwalniając jego łokieć z uścisku żołnierza. - Dziękuję, Orgo - rzekła tonem sugerującym, że gwardzista powinien się oddalić. Ten spojrzał niepewnie na marszałka, który kiwnął głową, pozwalając mu odejść.

Królowa nie odrywała wzroku od twarzy malca. Kogoś jej przypominał, ale nie potrafiła sobie uzmysłwić kogo.

- Mam na imię Nyria. A ty?

- Gyl. Niedługo skończę dwanaście lat - odparł, ku jej zdumieniu kłaniając się uprzejmie. - Naprawdę jest pani jakąś królową?

- Jestem prawdziwą królową - rzekła, unosząc brwi i wywołując chichot chłopca. - Czyżbym była pierwszą, z którą będziesz jadł śniadanie?

- Jadłem już dzisiaj, wasza wysokość - odparł.

- A ja nie. Zechcesz mi potowarzyszyć? - Nyria wzięła go za rękę i wyprostowała się.
- Poradzimy sobie - rzekła do żołnierza.

- Milady, może powinienem...

Zamilkł pod wpływem jej spojrzenia.

- Dziękuję, Herek. - A więc i on nie miał tu już nic do roboty.

- Dziękuję, Herek - powtórzył Gyl z bezczelnym uśmiechem, który nie umknął uwagi żadnego z rozmówców.

*

Alyssa wciąż nie mogła dojść do siebie po porannych przeżyciach. Syn Jayn Elkin, choć wyglądał cherlawo, zaczął już ssać pierś, a to dobrze wróżyło i dziecku, i matce. Gdy wyszła na główny dziedziniec, zawołał ją jeden z giermków. Przystanęła, a on podbiegł do niej.

- Jej wysokość chce z tobą rozmawiać, Alysso.

- Teraz?

Kiwnął głową.

- Mam cię przyprowadzić.

Ruszyli ku komnatom królowej, mieszczącym się w północnym skrzydle zamku.

Alyssa mogła tylko mieć nadzieję, że nie natknie się na Lorysa.

- Król też tam jest? - zapytała lekkim tonem.

- Nie - odparł giermek. - Nie wrócił jeszcze z porannej przejażdżki.

Alyssę zaprowadzono do przedpokoju i kazano jej czekać. Wkrótce potem dwórka poprosiła ją do środka, po czym zostawiła samą w prywatnym salonie królowej. Po chwili z sąsiedniej komnaty wyszła Nyria.

- Alyso, dziękuję, że przyszedłeś. Usiądźmy, proszę. Zaraz nam przyniosą herbatę z cytryną.

- Proszę o wybaczenie, wasza wysokość. Przyszłam prosto od lady Elkin - powiedziała spłoszona dziewczyna. Królowa, jak zawsze, wyglądała elegancko. Wysoka i smukła, siedziała wyprostowana, a proste, lecz wyrafinowane odzienie świetnie podkreślało jej figurę. W porównaniu z nią Alyssa czuła się jak czupiradło. Wytarła ręce w spódnicę, bardziej z zażenowania niż z rzeczywistej potrzeby.

- Słyszałam, że urodziła zdrowego chłopczyka.

Alyssa kiwnęła głową, ciesząc się na widok dwórki, która pojawiła się w salonie z herbatą. Rozmówczynie zamilkły, gdy stawiała tackę na stole. Alyssa miała nadzieję, że dzięki tej przerwie królowa zapomni o porannych narodzinach i zmieni temat rozmowy.

- Dziękuję, Aileen - rzekła monarchini. - Herbatki, Alyso?

Dziewczyna ponownie skinęła głową.

Nyria podała jej piękną porcelanową filiżankę.

- Słyszałam też - powiedziała, podejmując wątek dokładnie w miejscu, w którym przed chwilą przerwała - że zrobiłaś dziś coś niezwykłego, co prawdopodobnie uratowało matkę i dziecko.

„Niech cię diabli, Elso” - pomyślała Alyssa i zaczerwieniła się.

- Och, nie sądzę, żebym...

- Tylko bez fałszywej skromności, dziecko. Zbyt długo żyję i zbyt wiele widziałam okrucieństwa. Wszyscy jesteśmy ci wdzięczni za to, że uratowałaś dziś dwa istnienia. A teraz do rzeczy! - Klasnęła w dłonie, jakby chciała zapowiedzieć, że za chwilę opowie świetny żart.

- Przez te wszystkie lata śledziłam twoje postępy i doszłam do wniosku, że czas wykorzystać twoje zdolności.

- Tak? - Alyssa nie bardzo wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć, więc tylko łyknęła herbatę i czekała.

- Tak. Na gwałt potrzebuję nowej sekretarki. Chciałabym, żebyś podjęła się tego zadania i pracowała ze mną.

Alyssa odstawiła filiżankę. Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Nyria wyciągnęła wypielęgnowaną dłoń.

- I jeszcze jedno. Tę pracę będziesz wykonywać tylko przez pół dnia. Chciałabym bowiem, abyś drugą połowę dnia poświęciła na zorganizowanie w pałacu niewielkiej szkoły. Zależy mi, by wszystkie dzieci, które tu mieszkają, opanowały podstawy czytania i pisania. A ty świetnie się nadajesz do poprowadzenia mojej szkoły, więc nie próbuj protestować.

Alyssa przełknęła ślinę. O tym nie myślała nawet w najśmielszych marzeniach.

- To będzie dla mnie zaszczyt, wasza wysokość.

Z zadowoleniem odnotowała, że głos jej nie drży.

Nyria zadzwoniła małym dzwoneczkiem, leżącym obok tacki. Wyglądała na zachwyconą własnym pomysłem.

- Przedstawiam ci pierwszego ucznia - powiedziała, wstając, by przywitać chłopca, którego właśnie wprowadzano do komnaty. - Poznaj Gyla. Gyl, to ta pani, o której ci opowiadałam.

Alyssa nie była zbyt wysoka, więc jej wzrok znalazł się dokładnie na wysokości szarych oczu chłopca. Jego twarz wydawała się dziwnie znajoma, dziewczyna nie wiedziała jednak, kogo jej przypomina. Gyl uprzejmym gestem wyciągnął dłoń. Ujmując ją, Alyssa spojrzała na rozpromienioną królową, a potem znów na dziecko.

- Podobno zaczynamy razem szkołę, Gyl. Pomożesz mi?

- Czemu nie - odparł.

2.

PRZYBYWA POSŁANIEC

Mężczyzna siedział na prostym krześle, które sam dla siebie wykonał, z ręką spoczywającą swobodnie na opróżnionym do połowy kubku, stojącym na chybottliwym stoliku, który także był jego dziełem.

- Mam pewien sekret - powiedział cicho, przyglądając się unoszącej się przed nim zjawie.

- Powierz mi go - szepnęła. Jej głos brzmiał jak westchnienie niesione przez wiatr.

- To straszny sekret, Yargo. - Mężczyzna zamilkł, wpatrując się intensywnie w zjawę swoimi niewiarygodnie niebieskimi oczyma. - Ale muszę się nim z tobą podzielić.

Opuścił wzrok na gliniane klepisko. Półprzezroczysta, lekko zielonkawa istota krążyła w milczeniu. Wiedziała, kiedy milczeć w towarzystwie mężczyzny. Mijały sekundy. Szaty zjawy wydymały się na wietrze. Wciąż były w ruchu, zlewając się z długimi, jedwabistymi włosami, aż trudno było powiedzieć, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie.

W ciągu niemal czterech lat zjawa nie zdołała się dowiedzieć niczego o przeszłości mężczyzny ani o tym, co go tu przywiodło. Niewątpliwie był wykształcony, a jego maniere sugerowały, że pobierał nauki we dworze, co do swojego dawnego życia był jednak bardziej zamknięty niż zakurzone księgi w jego domku.

Intrygował Yargo od chwili, w której, otrzymawszy zadanie strzeżenia go, łagodnym lotem wkroczyła w jego życie. Stała się jednak kimś więcej niż zwykłym obserwatorem, co stanowiło wyraźne naruszenie zasad ustanowionych przez Patronkę, Lys, która poleciła jej trzymać się blisko tego dziwnego gościa. Yargo, młoda i lubiana członkini Hostii, błagała Lys o jakieś zadanie dla siebie, kiedy jej mąż, bóg, srodze posprzeczał się z królem i popadł w niełaskę. Yargo rozpaczliwie pragnęła naprawić szkody wyrządzone przez męża. Dlatego Lys wymyśliła dla niej specjalną misję: miała strzec tego cennego człowieka.

Yargo zakochała się w nim, gdy tylko po raz pierwszy podniósł na nią swe jasne, smutne oczy. Rzecz jasna, nic z tego nie mogło wyniknąć: w jego świecie była jedynie duchem, niezdolnym do odczuwania fizycznej rozkoszy. Ale fascynacja, którą go obdarzyła, była równie fizyczna jak duchowa.

Był osobiście wysoki - miała wrażenie, że zbyt wysoki, jak na przedstawiciela swego świata - i niezmiernie szeroki w barach. Nabral tężyzny, narzucając sobie codziennie fizyczną pracę: twierdził, że to go uspokaja i przygotowuje do równie wymagającej pracy umysłowej, której także codziennie się oddawał.

Yargo dowiedziała się od Lys, że jego dawny mistrz Merkhud, Obdarzony, wykorzystał ogromną moc tego człowieka, by uwolnić jego duszę z ciała i zdeponować w swojej własnej kruchej powłoce, jednocześnie przerzucając własną duszę do ciała młodzieńca, by zamiast niego zostać ukrzyżowanym i ukamienowanym. Wziął na siebie karę przeznaczoną dla młodego człowieka, by uchronić go od śmierci.

Poza tym Yargo nie wiedziała prawie nic. Powiedziano jej, że dusza mężczyzny odbyła w ciele Merkhuda niewygodną podróż pomiędzy Tal a Sercem Lasu, gdzie kapłanka Arabella zajęła się przeniesieniem ducha do zmasakrowanej powłoki cielesnej. Gdy nastąpiło połączenie, bóg lasu, Darmud Corril, przywołał siły Hostii, by pomogły mu z powrotem wlać w mężczyznę życie. Po cudownym uzdrowieniu znów stał się człowiekiem.

Sama procedura trwała dwa lata. W tym czasie Yargo obserwowała jego rozbite emocje, powracające do zdrowia wolniej niż ciało. Nie miała pojęcia, dlaczego cierpiał, ale instynktownie rozumiała, że ma przed sobą człowieka, który wszystko stracił. Nie miał po co żyć - a jednak żył, zamknięty w kokonie milczenia, bo taka była jego wola.

Towarzyszyła mu podczas długich spacerów, płynąc zwinnie w powietrzu, zwykle niewidoczna, podczas gdy jego piękny sokół leciał wysoko w górze. Dzień, w którym mężczyzna po raz pierwszy odezwał się do niej, był najpiękniejszym, jaki pamiętała. Jego głos, choć ochrypliwy po długim milczeniu, brzmiał jednak łagodnie i Yargo szybko zanurzyła się w jego cichym monologu.

Uwielbiała zachęcać go do uśmiechu, a w tych rzadkich chwilach, kiedy odchyłał głowę i wybuchał zaraźliwym śmiechem, była wniebowzięta. Był po prostu najpiękniejszym mężczyzną, jakiego spotkała w życiu, i każdy cal jej niematerialnego ciała tęsknił za jego dotykiem.

Wiedziała, że oddałaby duszę, by tylko móc pogłaskać te długie, proste włosy, które nosił zwykle elegancko związane, albo poczuć szorstki dotyk krótko przyciętej ciemnej brody. Za tymi uczuciami kryła się jednak o wiele silniejsza ciekawość dotycząca jego mrocznej, głęboko skrywanej przeszłości. Ta odurzająca tajemniczość, w połączeniu z żywionym od dawna przeczuciem, że jego życie mogło się tak potoczyć z powodu kobiety, wciąż rozpaliała wyobraźnię Yargo.

Gdy o tym rozmyślała, znów usłyszała jego łagodny głos.

- Chcę, żebyś była moim posłańcem, droga Yargo.

Po tych słowach pociągnął kolejny łyk słodkiego wina jagodowego, które chłodził w pobliskim strumieniu.

- Słucham cię, Tor.

Jej marzycielski ton brzmiał uspokajająco i nie zdradził oczekiwania na wyjawienie sekretu, który tak bardzo chciała poznać przez te wszystkie lata.

- Musisz wysłuchać mojej opowieści, a potem znaleźć dla mnie pewne osoby. Może ci to zabrać dużo czasu. Masz się za nimi rozglądać, a gdy wyczujesz ich obecność, sprowadzić ich do Tallinoru. Musisz ich ostrzec.

Przepłynęła przez pokój.

- Przed czym?

- Zaraz do tego dojdę - rzekł Tor, przeczesując palcami włosy.

Zauważyła, że mężczyzna sprawia wrażenie zmęczonego. Pewnie za dużo czytał. A może był zdenerwowany? Trudno jej to było ocenić. Z właściwą sobie oszczędnością ruchów skierował się ku oknu, a ona popłynęła za nim. Patrząc na jego sylwetkę na tle chylącego się ku zachodowi słońca - gdy milczał, zbierając myśli - Yargo podziwiała piękno ciała, które trafiło do lasu nieżywe i w oplakany stan.

Lys wezwała ją, gdy Torkynowi Gyntowi przywrócono życie. Yargo dokładnie pamiętała słowa, które wypowiedziała Patronka, wyznaczając mu ją na towarzyszkę.

- Jego ciało potrzebuje dużo czasu, by wyzdrowieć. Ale jeszcze więcej czasu potrzebuje jego dusza. Będzie żądał, by zostawić go samego, ale ja chcę, abyś została jego przyjaciółką. Ten mężczyzna jest najcenniejszą ze wszystkich rzeczy, jakie mamy pod opieką. Tylko on może pokonać Orlaca. Nie spiesz się. Wraz z sokołem zachęcaj go do rozmów, śmiechu, wspomnień. Działając wspólnie, uleczycie jego umysł.

Zabrało jej to cztery lata.

Początkowo Tor ją ignorował. Wiedziała, że mężczyzna rozmawia przez łącze mentalne z sokołem Clotem. Nie potrzebował innych towarzyszy, ona jednak była cierpliwa. Darmud Corril i Serce Lasu doskonale naprawili zmasakrowane ciało. Kapłanka Arabella, paladyn, którego łączyły z Torem więzy drugiego stopnia, doglądała go przez wiele tygodni w trakcie magicznej kuracji Serca Lasu.

Gdy wreszcie się zbudził, Serce i jego stworzenia szalały z radości. Kiedy tylko nabrał dość sił, by chodzić, opuścił leśny azyl i ruszył przed siebie. Podążająca za nim Yargo wiedziała, że prowadzi go las, ale Torowi najwyraźniej było wszystko jedno. Po prostu szedł, a Clot krążył w pobliżu. Potem, pewnego dnia, na skraju niewielkiego zagajnika, nad

niewielkim strumieniem, mężczyzna wybrał miejsce i mozolnie wybudował skromną siedzibę. Sam polował i zbierał pożywienie, a nawet produkował wino. Przez te cztery lata nie spotkali ani jednej osoby z wyjątkiem składającej im wizyty Arabelli.

Yargo czuła, że Tor nosi w sercu ogromny smutek. Wielokrotnie pragnęła wydobyć z niego wyznanie, dzięki któremu mogłaby mu jakoś pomóc. Może ta chwila właśnie nadeszła. Stojąc przy oknie, wpatrzony w zachodzące za drzewa słońce, Tor zaczął mówić. Jego łagodny głos tym razem drżał.

- Wspomnienia są dla mnie bolesne.

Milczała.

Potrząsając głową, Tor wziął się w garść. Podszedł z powrotem do krzesła i usadowił się, wyciągając przed siebie długie nogi i krzyżując je. Dolawszy wina do kubka, rozpoczął opowieść. Po raz pierwszy pozwalał sobie na wspomnianie całego łańcucha zdarzeń, które doprowadziły do jego śmierci, a jedynym powodem, dla którego zdecydował się opowiedzieć o przeszłości, było przeczucie potężnej zmiany, nadciągające od strony Serca Lasu.

Kolejny paladyn poległ.

Tor wiedział, że wspomnienia będą bolesne. Wiedział też, że nic nie uśmierza bólu lepiej niż alkohol. Dlatego, nim rozpoczął opowieść, był już - po raz drugi w życiu - nieźle wstawiony. Mówił przez kilka godzin. Chwilami szło mu topornie, kiedy indziej słowa płynęły tak szybko, że aż wpadały na siebie. Yargo milczała, słuchając z niedowierzaniem.

Jego ciche wyznania dzwoniły jej w uszach, a przed oczami rozgrywała się scena egzekucji. Tor powiedział, że na samym końcu nie czuł już nic. Znalazł się w ciele Merkhuda i jego oczami oglądał agonię własnego ciała, wiedząc, że duch starca umiera wraz z nim.

- Po tych wszystkich oszustwach i knowaniach oddał za mnie życie - rzekł ze smutkiem.

Miała ochotę płakać, gdy przyznał, że wtedy po raz ostatni zdradził swoją ukochaną, Alysę. Po raz pierwszy uczynił to w chwili, gdy zgodził się wyjechać do Tal i zostać uczniem królewskiego medyka. Po raz drugi okazał nielojalność, pozostawiając żonę w lesie, i zawiódł jej zaufanie, mówiąc, że ich syn zmarł. Nie powiedział też ani słowa o drugim dziecku.

- Ale ta zdrada była najgorsza, Yargo. Ona patrzyła, jak umieram. Widziała moją głowę, rozłupaną niczym dojrzały owoc przez pierwszy kamień kata, gdy zawisłem na krzyżu. Słała mi swoją miłość i rozpaczała nade mną. A później, kuśtykając w ciele Merkhuda, znalazłem się blisko niej i miałem okazję dać jej znak... jakkolwiek... ale nie zrobiłem tego. Po prostu pozwoliłem sobie na kolejną zdradę.

- Nie możesz się obwiniać. - Brzmiało to jak pustosłowie, ale Yargo obawiała się, że lata wysiłków zmierzających do uleczenia Tora mogą pójść na marne, jeśli mężczyzna zacznie się nad sobą użalać. Zmieniła więc temat. - Może powinieneś mi powiedzieć, co mogę dla ciebie zrobić?

Nie wahał się.

- Musisz ich odnaleźć. Sorrel, a wraz z nią mojego syna i córkę. Przyrowadź ich do mnie, Yargo.

- Skąd wiesz, że nadszedł właściwy moment? - zapytała.

- Dziś rano zaszła zmiana w układzie sił rządzących światem. Nie czułaś tego?

- Słyszałam skrzypienie lasu - odparła.

- A ja słyszałem, jak las jęczy z rozpacz. To oznacza, że zginął kolejny paladyn. Czuję, jak Orlac triumfuje. Jestem ciekaw, czy moje dzieci też to poczuły. Wszyscy jesteśmy sprzężeni z Sercem Lasu, więc może i one zareagowały na to, gdziekolwiek są.

Yargo nie rozumiała jego słów, ale wiedziała, o co ją prosi. Przeplęnęła przez pokój i okrążyła Tora.

- Więc muszę odejść?

- Tak. Odszukaj ich. Lys potrafi przechodzić przez portale. Przepuści cię. Szukaj. Znajdź moje dzieci. Szukaj też Kamieni Ordoltu: będą cię wzywać. Dałem te trzy kulki Sorrel, nim uciekła z dziećmi. - Wzruszył ramionami. - Nadal nie wiem, do czego służą, ale dał mi je ojciec, mówiąc, że są ważne.

- A jeśli znajdę tych ludzi, co mam im powiedzieć?

- Kiedy ich znajdziesz - zaakcentował pierwsze słowo, dając do zrozumienia, że Yargo nie ma prawa go zawieść - powiedz Sorrel, że ona i dzieci muszą wrócić do Tallinoru. A teraz idź.

- Może powinnam się najpierw skonsultować z Lys?

- Już to zrobiłem. Zgodziła się, abym powierzył ci tę misję.

Yargo bez słowa krążyła w migotliwym blasku. Tor wiedział, że jest zdenerwowana, ale potrzebował jej natychmiastowej pomocy. Czas działał przeciwko nim.

- Zatem do widzenia - powiedziała w końcu ze smutkiem.

- Jestem twoim dłużnikiem, Yargo - rzekł, po czym przyglądał się, jak jego towarzyszka staje się coraz bledsza, by wreszcie zniknąć.

*

Tor machinalnie stukał palcami po książkach, rozmyślając o ich treści. Pakując powóz, który miał zawieźć zwłoki do Serca Lasu, Merkhud zadbał o to, by znalazły się tam

jego najcenniejsze księgi. Powróciwszy do życia i zamieszkawszy w tej pustelni, Tor łapczywie pochłonął ich zawartość.

Wszystkich z wyjątkiem dwóch.

Merkhud nie wiedział o istnieniu tych tomów. Alyssa znalazła je w skrytce pod starymi katakumbami w Caremboche i zabrała ze sobą do lasu, uciekając przed wielkim inkwizytorem Gothem.

Kiedy królewscy żołnierze i triumfujący Goth schwytali Tora i Alysę, cenne księgi uratował osiołek Kythay, oddalając się spokojnie i unosząc na plecach kosz, w którym się znajdowały.

Tor nie miał pojęcia, w jaki sposób księgi trafiły do niego, ale znalazł je obok siebie, gdy zbudził się po cudownej terapii Serca Lasu. O ile tomy Merkhuda poświęcone były tkaniu osobliwych czarów, co bardzo fascynowało i niekiedy inspirowało Tora, księgi Alyssy - *Pisma Nanaka* - wzbudzały w nim znacznie większy niepokój. Nie otworzył ich od czasu zmartwychwstania. Za bardzo przypominały mu o Alyssie i wzmagaly poczucie winy wywołane świadomością, że ona uważa go za zmarłego. Tor pragnął na zawsze wymazać z pamięci Trójkę. Powrócił niepokój związany z Lys: mężczyzna wiedział, że Patronka prowadzi ich wszystkich ku czemuś, i choć korzystał z jej pomocy i wskazówek, nienawidził manipulacji. Nie miał też wątpliwości, że księgi stanowią część skomplikowanej intrygi.

Przeczytaj te przekłete księgi - powiedział Clout, siedzący na pobliskiej gałęzi. Wrócił właśnie z polowania i teraz czyścił ostry dziób z wnętrzości jakiegoś biednego zwierzęcia. Tor zmarszczył brwi.

Dotknął przechodzącej przez czoło cienkiej, białej blizny - pamiątki kamienowania, na myśl o którym nieustannie ogarniał go smutek. Po wszystkim, przez co przeszli, Tor nie miał innego wyjścia, jak tylko dalej iść tą drogą. Otworzył pierwszą księgę. Poczul ulotny zapach lawendy i fiołków, który utrzymał się w powietrzu jedynie przez chwilę, wystarczającą, by przywołać wspomnienie Alyssy. To ona ostatnia dotykała tych kartek. Tor rozpaczliwie pragnął zatrzymać w nozdrzach aromat, ten jednak szybko się ulotnił.

Przez dobrą godzinę wpatrywał się w pierwszą stronę, nie widząc nic z wyjątkiem jej twarzy. Potem zaczął czytać.

3.

PRZEBACZENIE

To były najszcześniejsze dni w życiu Alyssy od czasu początków jej wspólnego życia z Torem w Sercu Lasu. W końcu znalazła w życiu nowy cel. Praca u boku królowej była wymagająca i czasochłonna, ale Alyssa czuła się w polityce jak ryba w wodzie. Poza tym kochała królową. Mimo różnicy wieku łączyło je poczucie humoru i lekceważenie protokołu, choć Nyria zawsze starannie unikała nadużywania swojej pozycji. Umiała się bawić i wymieniała z sekretarką przednie żarty na tematy osobiste, a kiedy nie jadła kolacji z królem, przeważnie czyniła to późnym wieczorem w towarzystwie Alyssy.

Nowa asystentka okazała się pracowita, inteligentna i spostrzegawcza, a do tego potrafiła świetnie parodiować służalczych dworzan z otoczenia królowej. Podczas wieczornych posiłków Nyria wiele się o niej dowiedziała. Były tylko dwa tematy, na które nigdy nie rozmawiały: Torkyn Gynt i król Lorys, choć tę ostatnią kwestię królowa zamierzała poruszyć.

Na temat Tora Alyssa milczała jak zaklęta, ale Nyria zauważyła, że dziewczyna z błyskiem w oku i osobliwą, zarezerwowaną wyłącznie dla tych chwil fascynacją słucha opowieści z czasów nauki Tora w pałacu. Smutne było to, że ta cudowna kobieta straciła tak dużo z życia swojego ukochanego i musiała poznawać jego przeszłość z ust innych ludzi.

Wrogość Alyssy wobec króla była oczywista, choć Nyria nigdy nie mogłaby jej oskarżyć o krytykowanie go wprost. Martwiła ją jednak chłodna pogarda dziewczyny. Szczerze mówiąc, królowa była już zmęczona napięciem, jakie dało się odczuć, gdy tylko dwoje jej ulubionych ludzi znajdowało się w tej samej sali, nie mówiąc o mniejszym pomieszczeniu. Lorys udawał, że tego nie dostrzega, ona jednak wiedziała, że i dla niego jest to trudne.

Praca Alyssy w małej szkółce uzasadniała wiarę, jaką w dziewczynie pokładała Nyria. Dzieci z pałacu uwielbiały ją i domagały się uczęszczania na popołudniowe zajęcia, by tylko sprawić jej przyjemność. Królowa z radością przysłuchiwała się, jak śpiewają lub czytają na głos, czasami miała nawet okazję podziwiać ich rysunki i wypracowania. Były to zwykle bardzo proste prace, lecz mimo wszystko radowały ją.

Największym sukcesem Alyssy była jednak praca z małym Gylem. Pogodna osobowość i inteligencja chłopca, wcześniej ukryte wskutek wstrząsu spowodowanego utratą matki w tak wczesnym wieku, teraz objawiły się w pełni. Nyria nie miała wątpliwości: chłopak był urodzonym przywódcą. Umiał już pisać i czytać, więc praca Alyssy polegała raczej na poszerzaniu jego wiedzy. Spędzali razem długie wieczory, czytając wiersze lub wymyślając opowieści.

Życie w pałacu i znajomość z Alyssą miały na Gyla zbawienny wpływ. Nyria uświadomiła sobie, że w dziewczynie ponownie budzi się porzucona nadzieja na macierzyństwo. Od początku z łatwością wczuła się w rolę starszej siostry, ostatnio jednak królowa dostrzegła w niej bardziej matczyne zachowania wobec chłopca, który liczył już sobie czternaście lat.

Bez wątpienia oboje byli zranieni i zagubieni, a dostarczali sobie wzajemnie pociechy. Tak, królowa cieszyła się ze swoich osiągnięć i gdyby tylko zdołała pogodzić Alyssę z Lorysem, byłaby naprawdę szczęśliwa. W głębi duszy zadawała sobie pytanie, czy król podziwia w dziewczynie coś więcej niż tylko umiejętności sekretarki. Młoda Alyssa była w kwiecie życia. Miała dwadzieścia cztery lata i bez dwóch zdań była najcudowniejszym stworzeniem, jakie stąpało po korytarzach pałacu. Gdziekolwiek szła, ludzie oglądali się za nią, a giermków i chłopców opiekujących się ryszunkiem bez trudu owijała sobie wokół palca, gdy potrzebowała jakiejś drobnej przysługi. Uroczę było jednak to, że nie miała w sobie ani krzty próżności. Jeśli wiedziała, że jej widok cieszy oczy, skrzętnie ukrywała tę wiedzę. Drobna i smukła, z włosami koloru miodu i jasnozielonymi oczyma, Alyssa bez wątpienia wzbudzała pożądanie w każdym krewkim mężczyźnie... nie wyłączając męża Nyrii?

Królowa odsunęła od siebie tę myśl. Lorys nigdy nie dawał jej powodów do zwątpienia w swoją wierność i po tylu latach małżeństwa miłość fizyczna nadal sprawiała im przyjemność. Nie, nie wolno jej w niego wątpić, szczególnie teraz, gdy planowała namówić męża, by zatrudnił Alyssę jako swoją prywatną asystentkę. Nyria nie miała wprawdzie ochoty wyrzekać się towarzystwa dziewczyny i jej niedoścignionych zdolności urzędniczych, ale stary, wierny sekretarz króla zmarł nagle i wydawało się, że nikt inny w Tal nie zdoła szybko i kompetentnie zapełnić luki po nim.

*

Alyssa nie zdołała ukryć szoku.

- Mam zostać prywatną sekretarką króla?

Nyria wzięła głęboki oddech.

- Tak.

- Czyżby wasza wysokość nie była ze mnie zadowolona?

- Daj spokój, Alysso. Wiesz, jak wysoko cenię twoją pomoc. Ale król bardziej cię potrzebuje. - Nyria wyciągnęła rękę poprzez stół i dotknęła dłoni dziewczyny. - Pomagając mi, pomożesz mi dużo bardziej, niż sobie wyobrażasz.

Zaniepokojenie na twarzy dziewczyny przeszło w wyraz urazy - a może buntu? Alyssa przygryzła wargę.

- Chciałabym, abyś nadal prowadziła szkołę - kontynuowała pośpiesznie Nyria - choć może powinnaś się zastanowić na przyjęciem i wyszkoleniem drugiej nauczycielki.

- Na moje miejsce?

- Nie - odparła spokojnie królowa. - Do pomocy.

Zaległa niezręczna cisza, którą Alyssa wypełniała nerwowym skubaniem chleba.

- Czy wasza wysokość rozmawiała już o tym z królem? - zapytała w końcu.

- Tak. Przyznał, że twoje usługi byłyby dla niego nieocenione. Zobaczysz, Alysso, będziesz się w tym czuć jak ryba w wodzie. Wiem, że uwielbiasz tę namiastkę polityki, która jest obecna w moim życiu. Pracując z nim, znajdziesz się w centrum tego wszystkiego. I król będzie się ciebie słuchał, przychodził do ciebie po radę...

Alyssa wiedziała, że królowa mówi szczerze, i czuła się rozdarta. Skłamałaby, gdyby powiedziała, że nie czuje się podekscytowana perspektywą uczestniczenia w czymś tak doniosłym jak zarządzanie królestwem. Z drugiej strony, myśl o pracy u boku drugiego najbardziej pogardzanego przez siebie człowieka - po wielkim inkwizytorze Gocie - wywoływała u niej mdłości.

Goth przynajmniej leżał już w grobie. Ileż to razy, w tamtych pierwszych dniach, myślała o zabiciu króla? Zbyt wiele. Saxon wyczuł jej wściekłość i ostrzegł ją. To nic nie da, powiedział. Po co zostawać mordercą, jak on? To nie wskrzesi Tora. A tych, którzy dopuścili się takiej zbrodni, czeka koniec jeszcze straszliwszy niż ukrzyżowanie i ukamienowanie.

Alyssa wyobraziła go sobie, jak wisi głową w dół z rozprutym brzuchem i wylewającymi się na zakurzoną ziemię parującymi wnętrznościami, na które natychmiast rzucają się bezpańskie psy i kruki. Zadrżała.

- Skorzystaj z szansy, moja droga, i nie przegap jej. Wkrótce staniesz się kimś ważnym dla królestwa.

Królowa wstrzymała oddech. Rzuciła właśnie na stół swoją najsilniejszą kartę.

- Nyrio... - Alyssa nigdy przedtem nie zwracała się do królowej tak poufale - gdyby ktoś zabił twój mąż...

- Ależ on nie był twoim mężem, kochanie! - przerwała jej królowa.

Alyssa ugryzła się w język, powstrzymując oczywistą odpowiedź. Musiała zachować tajemnicę.

- Tak czy owak... Co byś zrobiła, gdyby ktoś zabił Lorysa?

- Życzyłabym sobie natychmiastowej śmierci tej osoby - odparła beznamiętnie Nyria.

- Potem jednak próbowałabym to przemyśleć. Rozpatrzyłabym sytuację. Gdyby chodziło o sprawy osobiste, osoba ta zasługiwałaby na śmierć. Ale Tor uczynił coś innego. Został oskarżony o zbrodnię przeciwko królestwu. Wiedział, co robi. O ile mi wiadomo, przed wyjazdem otrzymał szczegółowe instrukcje. Myślę, że wiesz, iż zawsze był łasy na kobiety. Zostawił po sobie łańcuch złamanych serc rozsianych po całej stolicy, więc bardzo ważne było, aby zrozumiał odwieczne reguły Caremboche i podporządkował się im. Podjęto odpowiednie środki.

Alyssa ze smutkiem pokiwała głową.

- Wasza wysokość... On uratował mi życie.

- Mnie również. I przyznaję, że nigdy tak naprawdę nie pogodziłam się z myślą, że w zamian odebraliśmy mu jego własne.

Alyssa była wstrząśnięta.

- Dlaczego zatem nie próbowałaś go powstrzymać, wasza wysokość? Jedno twoje słowo...

- Próbowałam, kochanie. Błagałam go. Wszystko na nic. Lorys wiernie podąża śladami swoich poprzedników. Jest dobrym królem i dobrym człowiekiem. Wierzę, że uważał, iż tak właśnie powinien postąpić, nawet jeśli do dziś nie może spokojnie spać po tym, jak kazał zabić człowieka, którego tak podziwiał. Stracił także najlepszego przyjaciela. Zaraz po egzekucji Tora Merkhud opuścił miasto, pozostawiając w życiu Lorysa wielką pustkę. To, co teraz powiem, jest przeznaczone tylko dla twoich uszu: sądzę, że gdyby mój mąż mógł cofnąć czas, być może postąpiłby inaczej.

Nyria spojrzała Alyssie głęboko w oczy. Ujęła jej dłoń i ścisnęła, by podkreślić swoje słowa.

- Chcę, żebyś mu przebaczyła... tak jak Tor przebaczył mu przed śmiercią.

Alyssę zalała fala wspomnień. Oczyma pamięci ujrziała ten potworny moment, w którym usłyszała cudowny głos Tora, rozgrzeszający króla. Rozplakała się.

- Nie wiem, jak mam mu przebaczyć - wyszeptała.

Królowa przytuliła dziewczynę i zaczęła uspokajać ją.

- Dowiesz się jak, kiedy spróbujesz dać mu szansę. Zobaczysz w nim dobrego

człowieka i świetnego króla. On potrafi współczuć, Alyssa. Zaufaj mi, po prostu daj mu szansę. Tylko o to cię proszę. Nie, dziecko, ja cię błagam. On cię potrzebuje. Znajdź w sobie siłę, by spróbować.

Alyssa pociągnęła nosem.

- Boję się uczuć, jakie wobec niego żywię, wasza wysokość.

- Daj spokój - prychnęła Nyria. - Wykorzystaj te uczucia. Lorys skorzysta na tym, że ktoś w sali tronowej będzie patrzył na rzeczy z kobiecej perspektywy. Nie twierdzę, że od samego początku zaczniesz się zachowywać inaczej. Po prostu chcę, żebyś spróbowała. Przyjmij tę pracę. Skorzystaj z okazji, działaj mądrze, a może kiedyś nadejdzie czas, w którym pozwolisz starej ranie się zablźnić.

Patrząc, jak Alyssa zмага się ze sobą, królowa postanowiła użyć ostatniego argumentu.

- Tor złamał najświętszą regułę i został ukarany zgodnie z prawem. On nie żyje, Alyssa, a twoja nienawiść do króla nie zdoła go wskrzesić. Spójrz więc na to z innej strony. Zrób coś, dzięki czemu Tor mógłby być z ciebie dumny. Stań się kimś, na kim monarcha będzie mógł polegać. Będiesz miała wszystko, czego kiedykolwiek pragnęłaś dla siebie i dla Gyla.

Obie uśmiechnęły się na wzmiankę o chłopcu.

- Jest wspaniały, prawda? - zapytała nieśmiało Alyssa.

- Niesamowity. Widziałam, jak ćwiczy z żołnierzami i, niech mnie diabli, jak uczy się balansować na ramionach Saxona i chodzić z zawiązanymi oczyma po linie zawieszanej nad ziemią.

Alyssa roześmiała się.

- Saxon mówi, że zrobi z niego najbardziej zrównoważonego szermierza w kraju.

Nyrii udzieliła się jej wesołość.

- Powinnaś mieć wobec niego plany. To najlepszy materiał na marszałka, jaki kiedykolwiek widziałam.

- Naprawdę?

- Na światłość, dziewczę! Czyżbyś była ślepa?

- Nie śmiałabym marzyć, że zajdzie tak wysoko. Oboje mamy wobec waszej wysokości dług wdzięczności za jej wspaniałomyślność.

- Czyżby? W takim razie odwdzięczcie mi się!

Alyssa spojrzała gwałtownie na królową, po czym uspokoiła się. Wiedziała dokładnie, co Nyria ma na myśli.

- Zrobisz to? - zapytała królowa, tym razem łagodnie.

Serce zadrżało jej na dźwięk jednego słowa, które usłyszała w odpowiedzi. Na nic więcej nie liczyła.

*

Przez kilka miesięcy Tor studiował księgi Nanaka. W Wielkim Lesie panował spokój. Nie wyczuwał żadnych zakłóceń sił życiowych świata. Choć w sercu Lasu znów zapanowała harmonia, Tor wciąż był niespokojny.

Lektura opowieści o Orlacu budziła w nim straszne wspomnienia. Zauważył to Clout i zaczął namawiać przyjaciela, by opowiedział mu wszystko, co wiedział o tej historii od Lys. W ciągu lat spędzonych wspólnie w lesie po egzekucji Tora nigdy o tym nie rozmawiali, sokół bowiem poświęcił się podsycaniu w swym towarzyszcu optymizmu i starannie unikał rozmów o Orlacu, Trójcy i ciężkich czasach, które mogły ich czekać. Sam Tor także wołał spokój i samotność leśnych ostępów i cieszył się, że nie musi roztrząsać kwestii Trójcy, a Clout był cierpliwy, w końcu pochodził z Rork'yeł i pomimo przemiany w sokoła jego duchowe dziedzictwo nie poszło w zapomnienie. Teraz jednak nadszedł czas na poważną rozmowę.

A zatem paladynów powołała Patronka Portali? - zaczął niewinnie.

Tak. Lys jest jedyną członkinią Hostii, która potrafi bezpiecznie podróżować między światami.

No i? - pytał dalej Clout.

W rzadkich chwilach, gdy światy się stykają, możliwe jest poruszanie się pomiędzy nimi dzięki zjawisku znanemu jako Polana. Tak, w ten właśnie sposób Orlac został wykradzony z Hostii.

Tor starannie ułożył księgi w koszu.

Powiedz mi, o czym myślisz - zażyczył sobie sokół, sfruwając na ziemię i wlepiając w siedzącego pod drzewem przyjaciela żółte jak koralik - oko.

Dobrze. Nasze podejrzenia co do tego, że Merkhud i Sorrel są ziemskimi rodzicami Orlaca, znajdują potwierdzenie w księgach Nanaka. Po masakrze, którą Orlac urządził w Złotym Kamieniu, dziś znanym jako Caremboche, został ujarzmiony dzięki magii użytej przez Hostię za pośrednictwem Merkhuda. Nanak, jeden z mistrzów, którzy przeżyli, został mianowany strażnikiem paladynów, wybranych spośród dziesięciu głównych ras żyjących w owym czasie w Pięciu Królestwach. Bogowie obdarzyli ich magicznymi zdolnościami, co czyniło z nich odpowiedni materiał do wzięcia udziału w tym przedsięwzięciu.

Clout mlasnął, co w ptasiej mowie oznaczało aprobatę.

Wiemy, że Hostia przetransportowała Orlaca w sekretne miejsce, niewymienione z nazwy i prawdopodobnie nieznaną się na tym świecie - kontynuował Tor. - Od tamtej pory cały czas tam przebywa, strzeżony przez złożoną i połączoną magiczną moc dziesięciu paladynów, których stopniowo, na przestrzeni wieków, pokonuje.

Jak myślisz, w jaki sposób te księgi wróciły do Tallinoru? - wyrzucił z siebie Clout, wyławiając pytanie z potoku myśli.

Tor był przyzwyczajony do takiego zachowania.

Tak, to pozostaje zagadką. Być może przyniosła je Lys, choć nie mam pojęcia, czy potrafi fizycznie przenikać do Tallinoru. Towarzysze, tacy jak Yargo, nie są bytami fizycznymi, nie mogą więc przenosić rzeczy pomiędzy światami. Nie wiem. - Wzruszył ramionami.

A więc tak wygląda ta stara historia. A teraz, jak wiemy, paladynowie wracają.

Tak - odparł Tor. - Na razie jesteś ty, Solyana, Arabella, Saxon, Cyrus i Sallementro. Nanak podaje imiona czterech innych osób, a może raczej istot: Juno, Themesius, Figgis i Adongo.

Clout w podskokach zbliżył się do Tora, który teraz niemal fizycznie słyszał jego przekazywane poprzez łącze myśli.

Wygląda na to, że Arabella i ja należymy do ciebie, a Saxon i, jak mniemam, ten muzykant Sallementro są bardziej związani z Alyssą. A Solyana i Cyrus? I ci, którzy dopiero mają się objawić?

Nie wiem. Lys istotnie powiedziała, że Cyrus jest paladynem i ma do odegrania ważną rolę, ale nie wtajemniczyła mnie jeszcze w szczegóły.

Dlaczego Arabella nie podróżuje z nami, skoro jesteśmy sprzężeni?

Też się nad tym zastanawiałem. Lys mówi, że każdy paladyn włada innym rodzajem magii i ma do spełnienia konkretne zadanie. Kiedy rozmawiałem o tym z Arabellą, nie była zdziwiona. Wierzy, że wykonała już swoje najważniejsze zadanie.

To znaczy?

Zaślubiła mnie z Alyssą, a potem nadzorowała powrót mojej duszy do ciała po egzekucji i powrót do zdrowia. Może jednak to nie wszystko... Nie mam pojęcia. Jeśli coś wie, zachowała to dla siebie.

Clout powiedział to, co Tor od dawna podejrzewał.

Czuję, że Arabella jest mocno związana z Sercem Lasu. Nie jestem pewien, czy czułaby się dobrze poza nim... Albo po prostu nie może go opuścić. - Tor kiwnął głową, a sokół wypowiedział kolejną myśl. - Wiesz, nigdy nie rozumiałem, dlaczego, skoro jesteśmy ze sobą

tak blisko związani, nie wyczuwamy ani nie rozpoznajemy się nawzajem?

Myślę, że z czasem nauczycie się to robić. Musi istnieć jakie połączenie... miejsce, wydarzenie... które pomoże wam się odnaleźć - rzekł Tor. - Kiedy zamieniłem się na ciała z Merkhudem, nasze umysły i doświadczenia spotkały się na chwilę. Przez ułamek sekundy widziałem jego myśli, a on pewnie widział moje.

Nigdy wcześniej o tym nie wspominałeś - wypomniał mu gniewnie Clout. - I co zobaczyłeś?

To było bardzo ulotne. Merkhud wiedział, że przed upadkiem bronią się już tylko Figgis i Themesius. Sądząc po płaczu, który ostatnio wstrząsnął Sercem Lasu, obawiam się, że pozostał już tylko jeden.

A kiedy upadnie ostatni paladyn?

Orlac będzie wolny. Lys mówi, że wtedy jego furia zniszczy Tallinor i pozostałe królestwa. On zrówna z ziemią Serce Lasu, Clout. Wyczuje jego magię i domyśli się, że to miejsce jest dla bogów szczególne. W ten sposób zemści się na świecie, który go ujarzmił, i na człowieku, który go kupił i wychowywał jak śmiertelnika. Być może jest to też jego szansa, by pokazać bogom, jak jest potężny, i dać do zrozumienia, że uczynione przez niego spustoszenie stanowi odwet za to, iż nie potrafi upilnować swego księcia.

Clout wskoczył Torowi na ramię.

Ale Merkhud nie żyje, Tor! Kogo będzie ścigać Orlac, by wylądować swój gniew?

Przez chwilę panowała cisza.

Mnie - rzekł w końcu słabym głosem Tor.

Ciebie? A to dlaczego?

Bo jestem związany z Merkhudem. Lys ostrzegła mnie, że bogu nie wystarczy wieść o śmierci medyka. Będzie chciał zniszczyć tych, których tamten kochał.

Czy możemy cię gdzieś ukryć? A może to ty powinieneś stać się myśliwym?

Po co, przyjacielu? Nie. Orlac nadejdzie. To pewne. Możemy jedynie się przygotować. Ja jestem ofiarą i muszę wciągnąć myśliwego w pułapkę. Lys nie bez powodu skojarzyła twój los z moim. Musimy wymyślić, jak wykorzystać naszą połączoną moc i wiedzę.

A czy nigdy nikomu nie przyszło do głowy, żeby po prostu zapytać? - Clout nie potrafił ukryć sarkazmu.

To nie najlepszy pomysł. Chce, żebyśmy sami do tego doszli. Jeśli będziemy zadawać właściwe pytania, otrzymamy właściwe odpowiedzi.

Dobrze - rzekł sokół, rozpościerając skrzydła i przelatując na środek polanki, by stanąć twarzą w twarz z przyjacielem. - Rozumiem, że czujesz się już wystarczająco dobrze, a

wysyłając Yargo po Sorrel i dzieci, uznałeś, że czas ruszać dalej. Jaki będzie pierwszy krok?

Cóż, Lys powiedziała mi kiedyś coś dziwnego, o czym dopiero niedawno sobie przypomniałem. Kazała mi szukać ludzi, którzy łatwo dadzą się skusić obietnicami władzy i zemsty. W swój osobliwy, niejasny sposób zasugerowała mi, że mam się skupić na tych, którzy najbardziej pragną zranić mnie i moich bliskich.

Byłbyś świetnym medykiem, Tor, bo naprawdę potrafisz znęcać się nad ludźmi. No i?

To przecież oczywiste, głupie ptaszysko! Goth! Xantia! Ta czarująca parka, która nie ma nic do stracenia, a dużo do zyskania!

Masz rację. Goth to drań, a Xantia jest jego pionkiem.

O nie, Cloot. Jest czymś więcej. Jest mistrzynią czarnej magii. Jeśli Orlac dotrze do nich i uwolni ją od archalitu, równie dobrze moglibyśmy sami spalić Tal, żeby im oszczędzić trudu.

Jaki masz zatem plan? - zapytał Cloot z nadzieją.

Musimy odszukać Gotha. Powinniśmy trzymać się blisko swoich wrogów.

Jak?

Myślę nad tym - odparł cicho Tor.

*

Nie, nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem, Tor. Zdawało mi się, że powiedziałeś „polecimy”.

Tor dobrze wiedział, że słuch Cloota jest niemal równie dobry jak jego własny.

Owszem, tak powiedziałem.

Mhm - mruknął sokół ze zwisającej nisko gałęzi i zaczął ostrzyć dziób, co robił zwykle, gdy czuł się nieswojo lub potrzebował czasu do namysłu. - A jakże my tego dokonamy? - zapytał ostrożnie, kładąc nacisk na słowo „my”.

Cóż, nie potrafię wyczarować skrzydeł, stary przyjacielu.

Rozumiem zatem, że lataniem mam się zająć ja?

Zgadza się. A ja ci potowarzyszę.

Aha. Zamierzasz jechać na mnie jak na rumaku?

Tor nie zareagował na sarkazm Cloota.

Wewnątrz mojego ciała - dokończył sokół. Tym razem nie było to pytanie.

Spojrzał na Tora z niedowierzaniem.

Chcesz znowu wykonać Przeniesienie?

Będzie tak samo jak wtedy, gdy znajdowałem się w ciele Merkhuda - odparł Tor bardzo cichym głosem.

Cloot przestał czyścić dziób. Zaskoczył go taki obrót spraw.

Tor, kiedy poruszałeś się w ciele Merkhuda, wiedziałeś, że jego duch umarł już w twoim ciele zwisającym z krzyża.

Tor odsunął się od drzewa, o które się opierał, i wstał.

Chodź tu, Cloot.

Sokół usiadł na jego wyciągniętej ręce. Tor pogłaskał majestatycznego ptaka i posłał przez łącze deklarację miłości i wierności. Począł, aż ciało i umysł ptaka rozluźnią się, po czym kontynuował.

Ale ty nie umrzesz. Dobrze to przemyślałem, a w księgach Nanaka przeczytałem, że wieki temu uważano, iż dwie istoty mogą przez krótki czas dzielić jedno ciało. Możliwe, że nigdy tego nie próbowano, ja jednak wierzę, że się uda.

Tor, najdroższy przyjacielu, nie o swoje życie się lękam. Jestem paladynem. Już raz za ciebie umarłem i z pewnością będę musiał ponownie stawić czoło śmierci, by cię ochronić. Jesteś wybrańcem. To wszystko - to dziwne życie i straszne doświadczenia - miało na celu ochronę twojego istnienia i wypełnienie przeznaczenia. Nie, Tor. Moje życie nie ma znaczenia. Boj się o ciebie. Jestem wstrząśnięty, że zamierzasz zaryzykować życie, realizując tak niebezpieczny pomysł.

Tor uniósł Cloota tak, by móc mu spojrzeć prosto w oczy. Ptak przekrzywił głowę i odwzajemnił spojrzenie.

Nie rób tego, Tor.

Zaufaj mi.

Poczekajmy przynajmniej na Lys. To ona naprowadziła cię na tę myśl. Może będzie miała jakąś propozycję - doradził życzliwie Cloot.

Nie. Alyssie może grozić niebezpieczeństwo ze strony Gotha. Tyle dowiedziałem się od Lys. Muszę wytropić inkwizytora. Będę się czuł bezpieczniejszy, wiedząc, gdzie jest wróg.

Cloot wskoczył z powrotem na ramię Tora.

To nie Goth jest naszym wrogiem. Nie wolno ci tracić z oczu prawdziwego zagrożenia, a jest nim Orlac.

Tor westchnął.

Cóż, zanim objawi się ten konkretny przeciwnik, muszę się zadowolić innym, o którym coś wiem. Cloot, nie mówię, że mam jakieś zamiary wobec Gotha. Chcę tylko wiedzieć, gdzie jest.

Dobrze. Udawajmy, że zgadzamy się na tę głupotę - nie głupotę: szaleństwo. Co zrobimy z twoim ciałem... z twoim stygnącym, umierającym ciałem?

To był wielki krok naprzód. Tor nie trwonił czasu.

Serce Lasu przechowa bezpiecznie moje ciało.

Szybko przeszedł do kreślenia swego planu. Nie chciał, żeby Cloot dłużej rozwodził się nad możliwością śmierci. Sam już wystarczająco wystraszył się na myśl o ponownym opuszczeniu ciała.

Przypuszczam, że kiedy Goth uciekł z pałacowego lochu, wtopił się w tłum, by obejrzeć moją egzekucję. Jest zbyt potworny, by odpuścić sobie taki widok. Potem wykorzystał zbiegowisko, by jak najbardziej oddalić się od miasta.

Zgadzam się - przytaknął Cloot.

Pomijając wściekłość króla, wiedział, że sama дума Hereka wystarczy, by Tarcza ruszyła za nim w pościg i dopadła go niezależnie od tego, ile potrzebowałyby na to czasu i wysiłku.

Mów dalej.

Zadałem więc sobie pytanie, dokąd bym się udał, gdybym chciał się znaleźć jak najdalej od pałacu.

Na północ, rzecz jasna - rzekł Cloot.

Owszem. A co więcej, szukałbym jakiegoś cichego zaścianka, do którego zwykle nie dociera inkwizycja. Goth jest zbyt rozpoznawalny, by ryzykować ukrywanie się w mieście czy miasteczku.

Cloot podążył tym tropem.

Albo dokądś, gdzie przestępcy mogą się swobodnie poruszać... dokądś, gdzie istnieje drugie życie, w którym dochowuje się tajemnic, a jawność nie jest mile widziana.

Tor zrozumiał sugestię.

Racja! Goth nie potrafiłby żyć w wiosce. Jest zbyt zachłanny.

Cloot milczał. Tor wiedział, że sokół jest pogrążony w myślach, ponieważ w takich momentach stawał zwykle na jednej łapce. Rozbawiony, mężczyzna uśmiechnął się po raz pierwszy od wielu tygodni.

No, przyjacielu - rzekł w końcu - północ to twoja kraina. Jak myślisz, gdzie się ukrywa - w Rork'yel?

Cloot opuścił łapkę na ziemię.

Rork'yel nie przyjmuje nikogo, kto nie pochodzi z mojego ludu. Bez miejscowego przewodnika Goth zgubiłby się wśród skał. Ale zgadzam się z tobą. Jest zbyt zachłanny, by móc żyć bez przywilejów, które oferują miasta. Nie mógłby jednak zaryzykować powrotu do Ildagarth ani w jego okolice. - Po czym zapytał nagle: - Ile mamy czasu?

Zanim umrze moja fizyczna powłoka? Dwa dni, może mniej - odparł Tor. - Darmud Coril mógłby nam to powiedzieć. Powinniśmy wezwać Solyanę i poprosić o audiencję.

Cloot wleciał na jedną z ulubionych gałęzi.

Nie spodoba mu się to.

Chce ochronić Serce Lasu, Cloot. Pomoże nam.

Skoro podjąłeś już decyzję... Myślę, że Goth udał się w stronę Caradoon.

Tor był zaintrygowany.

Nigdy nie słyszałem o tym miejscu.

Jego mieszkańcy nie lubią rozgłosu. To miejsce targów. O Kyrakavii, rzecz jasna, słyszałeś? - Tor kiwnął głową. - To główny port, przez który przechodzi cały oficjalny eksport z północnych królestw do Tallinoru. Caradoon to dobrze prosperujące miasteczko położone przy samej granicy Kyrakavii, w którym dokonuje się... nazwijmy to... nieoficjalnych transakcji.

To znaczy?

Przyprawy, zioła, złoto... nawet wino.

Brzmi raczej zwyczajnie.

Cloot kontynuował, jak gdyby nie dosłyszał słów Tora.

Dzieci, niewolnicy, zakazana stracca.

Tor nigdy nie widział strakki. Słyszał natomiast o melinach, w których palono liście lub popijano soki roślinne. Wstał. Cloot poznał po jego minie, że przyjaciel podjął decyzję.

Poszukajmy Solyany. Po drodze opowiesz mi więcej o tym Caradoon.

4.

LOT

Saxon wydał przenikliwy okrzyk wojenny i rzucił pomarańczę. Gyl obrócił się szybko. Chustka zasłaniała mu oczy, ale przez ostatnie miesiące uczył się polegać na pozostałych zmysłach. Oceniał pozycję, zadał pchnięcie mieczem i usłyszał plaśnięcie świadczące o tym, że ostrze przebiło owoc.

- Brawo! - zawołał Saxon. - Jeszcze raz!

Przesunął się mocno w prawo, nie dając chłopcu czasu do namysłu, wrzasnął ponownie i rzucił cytrynę.

Gyl nie był dość szybki i owoc uderzył go w pierś.

- Beznadzieja!

Gyl ze śmiechem zdarł chustkę z oczu.

- W bitwie nie będę miał zawiązanych oczu, Saxonie!

- Miejmy nadzieję, że nigdy nie będziesz musiał walczyć, chłopcze. Gdyby jednak stało się inaczej, chcę, żebyś potrafił ściąć człowieka po tym, jak usłyszysz świst jego szabli pędzącej ku twojej głowie.

- Wiem. Tak czy owak, prawie ją miałem - rzekł Gyl, podnosząc cytrynę i rzucając z powrotem.

Saxon splunął. Był to osobliwy zwyczaj Kloeków.

- „Prawie” nie wystarczy.

- Daj spokój, Saxonie. Pamiętam, jak mnie tak pouczałeś - wypomniała przyjacielowi Alyssa, która podeszła do nich po cichu.

Saxon wydał jęk dezaprobaty. Alyssa uśmiechnęła się do Gyla. Bardzo urósł, a dziecinne rysy nabierały męskiej ostrości. „Będzie z niego przystojny mężczyzna” - pomyślała. Zastanawiała się, jak to możliwe, by matka porzuciła tak piękne dziecko. Chłopiec był niezwykle podobny do kogoś, ale Alyssa nigdy nie zdołała dociec do kogo. Być może chodziło o jego specyficzny chód. Gyl chodził pewnie, kołysząc się zawadiacko, niemal arogancko - jakby wiedział, że jest wspaniałym młodzieńcem, może nawet urodzonym przywódcą.

Potrząsnęła głową, by odpędzić te rojenia. Tymczasem Saxon znów krzyknął na chłopca.

- Dość tego, Saxonie!

- Nie rozpieszczaj chłopaka, Alysson. Ucz się, jak władać mieczem.

- A niby dlaczego miałby kiedykolwiek stanąć na placu boju naprzeciw kogoś, kto ma zasłonięte oczy albo balansuje na linie? - Alyssa oparła dłonie na biodrach, spoglądając groźnie.

Gyl parsknął śmiechem.

- Trafiłaś w sedno, Alysson!

Saxon skrzywił się.

- Skoro tak, nic tu po mnie. Ucz się tkać rzeczy dla dzieci, Gyl, a inni niech się troszczą o losy królestwa.

Gyl rzadko się obrażał. Uwielbiał Saxona. Tym razem po prostu klepnął go dobroduszenie w plecy. Choć miał dopiero czternaście lat, niemal dorównywał wzrostem Kloekowi.

- Umieję już tkać, Saxonie. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, poświęcę wieczorem z żołnierzami.

- Zgoda. O ile twoja mama nie będzie chciała w tym czasie upleść ci warkocza.

Alyssa nie zamierzała odpowiedzieć. Wystarczyło spojrzenie spode łba. Musiała jednak przyznać, że na dźwięk słowa „mama” przeszedł ją lekki dreszcz. Nigdy dotąd nikt, nie wyłączając jej samej, nie nazwał jej matką Gyla.

Saxon uniósł dłoń w powietrze, jakby się poddawał.

- Już sobie idę - rzekł. - Alysson, kochanie - dodał słodszy tonem. Uwielbiała ten głos. - Spotkamy się wieczorem? Chciałbym z tobą porozmawiać.

Kiwnęła głową, zastanawiając się, skąd ta tajemniczość. Saxon wrócił niedawno z wyprawy poszukiwawczej z Herekiem i jego żołnierzami. Choć nie był pełnoprawnym członkiem Tarczy, zadawał się z nią i stał się jednym z najpopularniejszych gwardzistów. „Może chodzi o jakieś plotki, które mogłyby mnie zainteresować” - pomyślała Alyssa.

- Kolacja?

Saxon kiwnął głową.

- Trochę się spóźnię.

Po tych słowach ruszył ku wyjściu z dziedzińca.

- Przyszłaś po mnie? - zapytał Gyl, wrywając Alyssę z rozmyślań.

- Tak. W naszych komnatach jest kilka ksiąg, nad którymi pracuję. Mógłbyś mi

pomóc je przenieść do prywatnych komnat króla?

- Jasne. Teraz?

- Tak. - Musiała spojrzeć w górę, bo Gyl zdążył już ją przerosnąć. - Wiesz, że Saxon naprawdę tak na mnie wrzeszczał, gdy byłam młodsza.

Gyl położył rękę na dłoni Alyssy.

- Ale chyba nie uczył cię fechtunku?

- Nie. Uczył mnie latać. - Kobieta z uśmiechem przyglądała się zdumionej minie chłopca.

- Nigdy ci nie opowiadałam o pierwszych latach mojej znajomości z Saxonem, prawda?

Pokręcił głową.

- A ja nie miałem odwagi spytać. Zawsze miałem wrażenie, że łączy was jakaś wielka tajemnica.

Rozbawiła ją jego ostrożność.

- Cóż, przypomnij mi, żebym ci ją zdradziła. Ale teraz chodźmy, król czeka.

*

Noc była ciepła; w powietrzu unosił się słodki aromat wczesnoletnich kwiatów. Alyssa westchnęła. Czuła ogromną radość i spokój. W jej życiu nastąpił nieoczekiwany, wspaniały zwrot. Praca z dziećmi wzbogaciła ją, a opieka nad Gylem pozwoliła jej się zrealizować. Kobieta uświadomiła sobie, że od wielu miesięcy nie myśli o Torze, podczas gdy kiedyś zapomniała o nim tylko na minutę. Obecność wiernych towarzyszy, Saxona i Sallementra, dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Ale najslodszą ze wszystkich niespodzianek, do której ledwie miała odwagę się przed sobą przyznać, była codzienna praca z Lorysem. Minęły już trzy miesiące, odkąd ją rozpoczęła.

Król z sympatią powitał ją wśród swego personelu. Starła się zachować chłodny dystans, Lorys jednak był niezwykle pogodnym mężczyzną i jego dobry humor mimo woli udzielał się i jej. Broniła się przed tym, ale on przyciągał ją i sprawiał, że nieśmiało odwzajemniała uśmiech. Zawsze sądziła, że król jest arogancki i nijaki, a tymczasem można było powiedzieć o nim wszystko oprócz tego.

Okazał się zdumiewająco pokorny wobec własnych poddanych. Nowa sekretarka nie miała wątpliwości, że Lorys uwielbia swój lud i swoje królestwo, i chwilami ogarniał ją ogromny wstyd za to, co przez minione lata o nim myślała. Był też, mimo bijącej z niego siły, człowiekiem pokoju, choć Alyssa nie wątpiła, że stanąłby do walki, gdyby to było konieczne.

Traktował ją z największym szacunkiem. Często zapierało jej dech, gdy podczas

spotkań z doradcami - samymi mężczyznami - spoglądał w stronę kącika, w którym siedziała w milczeniu, sporządzając notatki, i pytał ją o zdanie. Budziło to konsternację notabli i początkowo Alyssa najchętniej milczała, teraz jednak, gdy ją zapytano, śmiało wyrażała swoje poglądy.

Nyria błagała ją, by przestała rozpamiętywać śmierć Tora i dała Lorysowi szansę. Wydawało się, że znacznie łatwiej to powiedzieć, niż zrobić, tymczasem mężczyzna, któremu kiedyś poprzysięgała śmierć, sam zatopił ostrze w jej sercu - tyle że było to ostrze dużo bardziej subtelne.

Prawdę uświadomiła sobie dopiero wtedy, gdy pod wpływem przypadkowego muśnięcia ręki Lorysa przeszedł ją dreszcz.

Dotąd tylko dotyk Tora wzbudzał w niej takie reakcje.

Lorys sięgnął po jakieś papiery i przypadkowo musnął ramię Alyssy. Jego opalona skóra była ciepła, a miękkie czarne włoski poślaskotały ją. Miała wrażenie, że nawet gdyby uderzył w nią piorun, nie zareagowałyby silniej. W rzeczywistości tylko się zarumieniła, przeprosiła i cofnęła rękę. Król ledwie dostrzegł zmieszanie dziewczyny, podczas gdy jej serce waliło jak młotem - podobnie jak teraz, gdy wspominała ten incydent.

Saxon sprawiał wrażenie, jakby czytał w jej myślach. Siedzieli wsparci o siebie plecami na małej górcze za pałacem.

- Jak tam Lorys, Alyssy?

Łyknęła wina, usiłując ukryć zmieszanie. Czyżby coś zauważył? Nie mogła dopuścić, by ktoś się o tym dowiedział. Król miał już żonę, w dodatku bardzo bliską sercu Alyssy.

Saxon nie dostrzegł jej niepokoju. „Dobrze, że siedzimy do siebie plecami” - pomyślała.

- Chcę powiedzieć, że wiem, jakie uczucia żywiłaś wobec niego przez te wszystkie lata, i jestem dumny, że tak wspomniałaś z nim współpracujesz. Z pewnością wymaga to wielkiej odwagi. Ale jak naprawdę wam się układa?

- Wiesz, Saxonie, bardzo się zmieniłam przez te lata. Gyl, szkoła, praca z królową i królem... Dojrzałam przez ten czas. Mam nowe obowiązki, którym oddaję się z wielką pasją. Znowu mam po co żyć. - Splotła ręce na piersiach i dodała: - Czeka mnie jeszcze mnóstwo wspaniałych rzeczy i chcę zapamiętać o przeszłości.

Saxon obrócił się twarzą do niej i przygarnął ją do piersi. Zawahał się na moment.

- Dobrze powiedziane, dzielna Alyssy - rzekł w końcu.

Przytuliła się swobodnie do szerokiej piersi mężczyzny, którego tak bardzo kochała. Był dla niej jak ojciec... Dawał jej to, czego nie dostała od własnego ojca.

- Jestem szczęśliwa, Saxonie. Naprawdę. Torkyn Gynt to już przeszłość. Teraz liczy się tylko przyszłość.

Saxon wydawał się nieco spięty.

- To dobrze, moja droga - rzekł. - Chcę, żebyś się czuła bezpieczna, bo muszę wyjechać na pewien czas. Mam też pewne wieści, których nie mogę przed tobą ukrywać ani chwili dłużej.

Jego głos nabrał nagle dziwnej barwy. Alyssa obróciła się gwałtownie. Saxon wpatrywał się w trawę.

- Spójrz na mnie!

Zrobił to i Alyssa ujrzała w jego oczach ból.

- Mów. Nic nie może być gorsze od tego, co już przeżyłam.

Saxon nie znał prostego sposobu na przekazanie tej wieści, więc wybrał jedno słowo, o którym wiedział, że podsumuje wszystko.

- Goth - wyszeptał.

- Co? - Alyssa przyciągnęła do siebie jego twarz, by móc wyczytać prawdę z oczu. Trzymała go tak mocno, że czuł, jak jej palce wyrrywają mu włosy z brody, ale nie skrzywił się. Zamiast tego westchnął.

- Goth nie żyje - powiedziała matowym głosem, nie wierząc we własne słowa po tym, co zobaczyła w zboląłych oczach przyjaciela.

- To nie takie pewne - odparł ostrożnie Saxon, odrywając jej ręce od twarzy i biorąc w swoje. Znow przygarnął ją do siebie.

Alyssa zadrżała. Przed chwilą była szczęśliwa, teraz owładnęło ją przerażenie.

Saxon mówił łagodnie, zbliżając usta do jej ucha.

- Właśnie się dowiedziałem, że Goth uciekł w noc poprzedzającą egzekucję Tora, ale sprawa została zatuszowana. Tarcza była pewna, że złapie go w ciągu kilku godzin. - Saxon przeczuł strumień pytań i przycisnął Alyssę mocniej, by je powstrzymać.

- Uciekł dzięki pomocy współpracownicy. Xantii.

Tym razem Alyssa wydała przenikliwy okrzyk, on jednak mówił dalej.

- Tarcza nie ustąpiła w wysiłkach zmierzających do jego schwytania i przez te wszystkie lata stale przeszukiwała wszystkie obszary królestwa, lecz bez skutku. Chcę im pomóc w poszukiwaniach. Dlatego właśnie muszę cię dziś pożegnać.

Alyssa wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Chcesz ruszyć jego tropem?

- Teraz, gdy wiem, że żyje, muszę to zrobić.

- Dokąd się udasz? I dlaczego musisz wyruszyć właśnie teraz?
- Nie ma czasu do stracenia, Alyssu. Ruszam na północ, do Caradoon.
- Sam? - Wyglądała na zdenerwowaną.
- W zasadzie nie. Herek również jedzie na północ. Tarcza jest w Kyrakavii.

Alyssa pokręciła głową.

- Dlaczego Caradoon? Szczerze mówiąc, chyba nawet nie słyszałam o tym miejscu - dodała.

- I dobrze. Zamieszkują je męty tallinorskiego społeczeństwa, niekoniecznie przestrzegające prawo tego kraju. Mam po prostu przecucie, Alyssu. Próbowałem odpowiedzieć sobie na pytanie, dokąd ja bym się udał, gdybym był znanym banitą pokroju Gotha, i przyszło mi do głowy, że Caradoon jest idealnym miejscem dla uciekiniera, zwłaszcza z tak rozpoznawalną twarzą. Tam ludzie nie wtrącają się w cudze sprawy. Nikt nie zdradzi niczyjej tajemnicy.

Chciał mówić dalej, ale przerwał z gniewem na widok biegnącego ku nim giermka, który resztką tchu wołał do Alyssy, by stawiała się w królewskich komnatach.

- O tej porze? - rzucił zirytowany Saxon.

Giermek zamilkł, spoglądając wielkimi oczyma to na niego, to na Alyssę. Wykonywał rozkaz i nie wiedział, co odpowiedzieć, gdy ktoś go podważał. Był jeszcze chłopcem.

Alyssa wstała, odgarniając włosy z zatroskanej twarzy.

- Zaraz przyjdę, Edwydzie. Idź przodem.

Chłopiec pobiegł, a ona obróciła się ku Saxonowi, który wstał i wkładał do jej koszyka pozostałości po kolacji. Ucałował ją szybko.

- Niedługo wrócę. Nie bój się, jesteś bezpieczna.

Pożegnał ją w murach pałacu.

- Każ Gyłowi ćwiczyć fechtunek! - zawołał, gdy już się oddalała. - A szczególnie Łabędzia. Jest w tym beznadziejny!

*

Tor i Cloot znajdowali się głęboko w Sercu Lasu, w otoczeniu Płomieni Firmamentu. Solyana i Arabella też tam były. Stały w cieniu, milcząc. Zostały wezwane, by trzymać straż przy ciele Tora. Na razie jednak wszyscy słuchali Darmuda Corila.

- Będę utrzymywał twoje ciało przy życiu, Torkynie Gyncie, ale zapamiętaj moje słowa: na wykonanie zadania masz dwa zachody słońca. Gdy po raz drugi schowa się za horyzontem, twój duch znajdzie się poza moim zasięgiem. Jeśli do tego czasu nie powrócisz do swego ciała, będziesz stracony.

Hipnotyczne dzwonki i oszłamiające barwy Płomieni zawsze fascynowały Tora, tym razem jednak całą uwagę skupił na słowach boga lasu. Doskonale rozumiał surowe ostrzeżenie, którego właśnie wysłuchał.

- Rozumiem, Darmudzie Corilu. Będę o tym pamiętał.

- Cloocie - zwrócił się bóg do sokoła - czy i ty sobie tego życzysz?

Cloot wskoczył Torowi na ramię. Mężczyzna dotknął go instynktownie.

Bóg odezwał się, nim ptak zdążył to zrobić. Nie potrzebował już odpowiedzi. Ten zdawkowy gest pomiędzy dwójką przyjaciół powiedział mu wszystko. Twarz Darmuda Corila rozciągnęła się w najszczęśliwym z możliwych uśmiechów, który zajaśniał także w jego łagodnych oczach.

- Dzielny Cloocie z grona paladynów, nasza siła będzie ci towarzyszyć. Przyda ci się. Serce Lasu wesprze cię w twojej podróży. Pozwól mu się prowadzić.

Nie pozostało już nic do powiedzenia. Tor połączył się z Płomieniami, pamiętając ich specyficzny wzór.

Chrońcie mnie, ukochane Płomienie - szepnął do nich.

Odpowiedziały mu synchronicznym, głośnym, długo wybrzmiewającym dzwoneczkiem.

Nasłuchuj naszego wołania, Tor - przemówiła po raz pierwszy Solyana. - *Wróć do nas.*

- Nie bądź lekkomyślny, Tor - ostrzegła na koniec Arabella.

Pokiwał głową z powagą, po czym położył się na gąbczastym runie lasu. Płomienie tańczyły wokół niego. Cloot wleciał na wiszącą ponad nimi gałąź. Wtedy Płomienie rozszczepiły się. Część pozostała przy Torze, druga zaś uniosła się, by otoczyć sokoła blaskiem ognistych języków.

Gotów? - zwrócił się Tor łagodnie do przyjaciela.

Najbardziej, jak się da - odparł ptak.

Płomienie Firmamentu jaśniały teraz i dźwięczały z jeszcze większą mocą, otaczając ich obu blaskiem tak jaskrawym, że Arabella i Solyana przestały dostrzegać kształty. Tor wezwał własne Barwy, pozwalając im czystej formie szaleć wewnątrz siebie. Gdy zmieszały się z barwami Płomieni, poczuł w sobie tak potężną moc, że nagle nabrał pewności, iż samo Przeniesienie będzie dziecinnie proste.

Wyobraził sobie gałąź, na której przysiadł Cloot, po czym zlepił całe swoje jestestwo w gęstą kulę i wyskoczył ze środka. Miał wrażenie, że robi to bez wysiłku. Przez chwilę unosił się w powietrzu, ale wiedział, że nie wolno mu się ociągać. W następnej sekundzie

otworzył oczy i zobaczył czarno-biały świat Cloota. Patrzenie oczami ptaka było dziwnym, lecz jakby znajomym doznaniem. Tor przypomniał sobie dyskomfort, który odczuwał kilka lat temu, znalazłszy się w ciele Merkhuda.

Witaj, Tor. - Z wnętrza głos Cloota wydawał się jeszcze głębszy i bardziej gładki.

Tor poczuł, jak sokół rozpościera skrzydła, i rozpostarł się wraz z nimi. Wspaniałe doznanie.

Czuję się zaszczycony, mogąc tu przebywać - odparł z autentyczną pokorą.

Czuj się jak w domu - odparł Cloot, gdy z wdziękiem unosili się i ulatywali w noc.

Tor ledwie zdążył zerknąć na swoje leżące w dole ciało. Jego sylwetkę nadal otaczały płonące jasno Płomienie. Solyana i Arabella rozpoczęły czuwanie, zasiadając po obu stronach ciała. Miały tam zostać do czasu powrotu Tora.

Wzniesli się wyżej. Spoglądający oczami Cloota Tor ze zdumieniem zauważył, że Serce Lasu wydaje się ich prowadzić.

Cloot czytał w jego myślach.

Musimy się trzymać tej odnogi.

A co będzie, gdy już opuścimy Serce?

Poprowadzi nas Wielki Las. Pokaże nam najkrótszą drogę do Caradoon.

„A gdy las się skończy?” - pomyślał Tor. Nie chciał jednak dopuścić do siebie żadnych pesymistycznych myśli.

Cloot, to niesamowite! - wrzasnął entuzjastycznie w głąb umysłu przyjaciela.

Sokół śmiał się razem z nim, zadowolony, że Tor czerpie przyjemność z czegoś, co on sam traktował jako rzecz zupełnie normalną. Jego bystre oczy dostrzegły w dole nagły ruch.

Czekaj. Widzę obiad.

Nim Tor zdążył zaprotestować, Cloot wzleciał wysoko w górę, obrócił się niemal w miejscu i dał tak gwałtownego nura w dół, że Tor zamknąłby oczy, gdyby to było możliwe. Przez chwilę odczuwał mdłości, te jednak szybko minęły w obliczu fascynacji i dreszczyku wywołanego polowaniem. Dostrzegł już ofiarę. Był nią młody zając.

Zwierzę opuściło osłonę drzew i skubało świeżą trawkę, oddalając się coraz bardziej od leśnego azylu. Tor posiadał wiedzę Cloota i wiedział, że tylko niedoświadczone stworzenie mogło tak postąpić. Żaden dorosły zając nie byłby tak odważny... „Ani tak głupi” - pomyślał smutno.

Cloot i tym razem zdawał się czytać w jego myślach.

Musimy jeść, Tor. Obiecuję, że załatwię to błyskawicznie.

Pędzili najszybciej, jak tylko Cloot potrafił. Sokół spadł z nieba niczym strzała,

idealnie namierzając ofiarę i nie dając jej szansy ucieczki. Gdy zajac uświadomił sobie, że popełnił straszliwy błąd, było już za późno. Zwierzę odwróciło się i ruszyło w stronę drzew, Clout jednak wykorzystał pęd spadania, by poszybować w wyciągniętymi szponami. Tor niemal czuł strach instynktownie kluczącego zajaczka. Uderzyli w niego z potworną siłą. Ostre szpony sokoła przedziurawiły futro i zatonęły głęboko, drąc ciało, podczas gdy ptak hamował powoli, by w końcu się zatrzymać, zaledwie o kilka cali od drzew. Tor przypomniał sobie ostrzeżenie Soliany: w Sercu Lasu nie wolno zabić ani jednego zwierzęcia. Clout musiał uważać.

Konający zajac walczył dzielnie, choć wiedział, że śmierć jest bliska. Clout dotrzymał słowa. Już po chwili było po wszystkim. Gdy ostry jak brzytwa dziób sokoła wbijał się w kark ofiary, Tor poczuł smak krwi. Ciepła i pożywna, wciąż krążyła po ciele wijącego się w drgawkach zajaca, pompowana przez zwalnające serce.

Świadomością Tora zawładnęła mieszanka fascynacji i przerażenia. Ta uczta miała w sobie coś pierwotnego. Coś, w czym - jak mu się zdawało - nie powinien brać udziału. Był intruzem w ciele Cloota. To nie była jego sprawa. Próbował uruchomić zasłonę. Nie udało się. Stanowili teraz jedność. Zrobił więc, co mógł, i wycofał się w głąb swojej duszy, najdalej, jak się dało. Mały i milczący, czekał, aż Clout posili się za nich obu.

Później sokół przysiadł na jednej z górnych gałęzi najwyższego drzewa, by oczyścić szpony i dziób z wnętrzości zajaca.

Nie spodobała ci się ta zabawa, Tor - rzekł. Nie było to pytanie.

A Ciebie to bawi?

Bardziej, niż potrafiłbym ci powiedzieć. Podczas polowania czuję się niezwycięzony, wszechmocny.

Latanie z tobą jest fascynujące. Jedzenie nie. Dziękuję, że zrobiłeś to szybko.

Clout zaczął ostrzyć dziób.

Zaraz odlecimy, muszę tylko wyczyścić się.

Nie spiesz się, stary przyjacielu. Moje ciało właśnie dogorywa.

Roześmiali się obaj. Czuli się niemal jak w dawnych czasach, zanim życie tak się skomplikowało.

Masz jakiś plan, Tor?

Nie, ale dalsze siedzenie w Sercu Lasu wydawało mi się bez sensu. Lektura tych ksiąg wyrwała mnie z otępienia. Goth jest niebezpieczny i wciąż wolny. Orlac się zbliża. Alyssa nadal jest w niebezpieczeństwie i daleko ode mnie. Nic się nie zmieniło.

I nadal nic nie wiemy o Trójcy.

Cóż, lecąc do Caradoon mamy przynajmniej wrażenie, że coś robimy.

Zgoda. Zatem do dzieła.

Clout bez wysiłku uniósł się z gałęzi i już po chwili jego silne skrzydła przesywały powietrze spokojnym lotem.

Odpuść - rzekł łagodnie. - Będziemy tak lecieć przez kilka godzin.

5.

STARZY PRZYJACIELE I WROGOWIE

Popołudniem dotarli do ruchliwego portu Caradoon, który znaleźli, lecąc wzdłuż wąskiej zatoki od strony głównej przystani w Kyrakavii.

To tu - oznajmił Cloot, lądując na drzewie na obrzeżach miasta.

Jesteś zmęczony?

Nie tak bardzo - podejrzenie szybko odpowiedział ptak. - Co proponujesz? - zapytał bardziej szorstko.

Tor milczał przez chwilę. Przez cały lot zastanawiał się nad tą jedną kwestią: co zrobią, gdy dotrą do Caradoon. Nadal nie miał konkretnego planu i wyczuwał zniecierpliwienie sokoła.

Opowiedz mi coś o tych domach strakki.

Jest ich kilka.

Jak możemy je znaleźć?

Hm, mógłbym po prostu latać w kółko i próbować je wypatrzeć. Moglibyśmy też sfrunąć na dół i zapytać kogoś. Szlachetny sokół wędrowny, który przy okazji potrafi mówić, nie powinien tu wzbudzić sensacji.

Dobrze już, dobrze. Daj mi pomyśleć - przerwał Clootowi Tor, widząc, że zmęczony ptak sili się na sarkazm. „Może znowu jest głodny” - pomyślał niechętnie.

W takim razie ja sobie posiedzę, Tor, a ty myśl. Nie spiesz się. W końcu to twoje ciało umiera.

Tor zignorował przytyk i obaj zamilkli. Mężczyzna wyczuwał niepokój Cloota i dobrze wiedział, że sokół nie martwił się o siebie. Przyjaciel od początku nie był zachwycony jego pomysłem, a teraz, gdy się okazało, że Tor nie ma żadnego konkretnego planu, zapewne martwił się jeszcze bardziej. Tor poczuł się nagle jak głupiec, który wpakował ich obu w tarapaty. Jak mogło mu się wydawać, że tak po prostu pojawią się w mieście i znajdą człowieka, którego szukają - pomijając to, że obaj znajdują się w ciele ptaka, podczas gdy ludzkie ciało Tora leży wiele mil na południe, stygnąc?

Czy zatem był to łut szczęścia? Przeznaczenie? Czy też może Lys manipulowała

biegiem wypadków? Tor nigdy nie miał się tego dowiedzieć. Tak czy inaczej, w pewnej chwili na głównej ulicy Caradoon dostrzegł znajomą sylwetkę. Nie było mowy o pomyłce. Nawet z tej wysokości, nie widząc twarzy, Tor nie miał wątpliwości, że kroczący w dole mężczyzna to Saxon Kloek.

No, no, no - mruknął Clout, który także go zauważył. - *A ten skąd się tu wziął?*

Sarkazm zniknął z głosu sokoła, zastąpiony przez zaciekawienie.

Widziałem w Kyrakavii kilku gwardzistów królewskich. Może jest z nimi. Saxon na pewno poznał to miejsce, gdy podróżował z Cyrkiem Zorros.

Jasne. - Tor myślał intensywnie. - *Lećmy za nim.*

Sokół westchnął.

No, to przynajmniej mamy już jakiś plan - powiedział i wzbił się w powietrze, starając się ukryć w koronach drzew, doszedł już bowiem do wniosku, że w tym mieście widok szlachetnego ptaka nie jest na porządku dziennym.

Saxon wszedł do jakiejś gospody, by wkrótce potem ją opuścić. Następnie podszedł do kilku stoisk na targowisku. Wyglądało na to, że próbuje się czegoś dowiedzieć.

Sprawia wrażenie ponurego - rzekł Tor.

Szuka.

Tego samego co my?

Być może. Ale dlaczego? I dlaczego teraz?

Załóżmy, że szukamy tego samego. Jak możemy mu pomóc?

Nim Clout zdążył odpowiedzieć, zobaczyli, jak jakiś człowiek udziela Kloekowi wskazówek. Saxon pokiwał głową i podziękował, po czym ruszył dalej - a oni za nim, dziękując w duchu za drzewa otaczające miasto. Na chwilę mężczyzna zniknął im z oczu, by następnie wyłonić się u wylotu bocznej uliczki, wiodącej na północny kraniec miasta.

Tam, Clout.

Widzę. Podlećmy tak blisko, jak się da.

Gdy lecieli nad bardzo cichą częścią miasta, po której kręciło się niewiele osób, Tor poczuł nagle dziwny zapach. Nim zdążył zadać oczywiste pytanie, Clout odpowiedział.

To stracca. Pachnie słodko, gdy jest świeżo palona, potem jednak nabiera kwaśnego aromatu. Tu, u góry, smród jest gorszy niż ten, który pamiętam.

W dole Saxon zapytał o drogę jakiegoś dzieciaka, a ten wskazał mu bielony wapnem budynek położony niedaleko drzewa, w koronie którego ukryli się Clout i Tor. Dom stał samotnie i właśnie z niego zdawał się wydobywać smród.

Wygląda więc na to, że Saxon idzie tym samym tropem, Clout.

To dziwne, ale chyba masz rację.

Ze swego punktu obserwacyjnego widzieli wszystkie strony budowli. Z tyłu ciągnęła się ścieżka wiodąca do wody. Kręciło się tam kilka osób. Służące sprzątały i prały, kuchcikowie obierali warzywa, ich rówieśnicy nosili towar. Panował tam wielki ruch. W pewnej chwili w tylnych drzwiach stanęła jakaś kobieta w jedwabnej chuście na głowie i zawołała coś do chłopca stojącego nad wodą. Ten obrócił się, przestraszony. Kobieta postąpiła naprzód. Chłopiec pobiegł ku niej. Gdy dotarł, zdzieliła go w ucho tak mocno, że było to słychać aż na drzewie. Przy okazji osunęła jej się chusta i na wietrze załopotała burza czarnych włosów. Clout i Tor natychmiast poznali Xantię.

Jednogłośnie wymówili jej imię i spojrzeli na Saxona, który zbliżał się właśnie do domu strakki.

Musimy go ostrzec, Clout.

Nie mogę otworzyć łącza.

Zaryzykuj. Pofruń na otwartą przestrzeń. Nie możemy mu pozwolić tam wejść. Skoro jest tam Xantia, to prawdopodobnie Goth również.

Clout nie wahał się dłużej. Saxon był zaledwie krok od drzwi, gdy tymczasem przez drugie wchodziła Xantia, wyladowawszy swój gniew. Sokół oderwał się od gałęzi i nabierał szybkości, pikując wprost na twarz Saxona. W ostatniej chwili skręcił gwałtownie, wczepiając się pazurami we włosy mężczyzny i skrzecząc.

- Co u diabła...! - Saxon obrócił się, jedną ręką zasłaniając twarz, podczas gdy druga ręka zawisła w powietrzu, nim zdążyła zabębnić w drzwi.

Clout zaskrzeczał ponownie, tym razem z ukrycia. Saxon starał się coś dostrzec między liśćmi. Nic nie zobaczył, ale przynajmniej udało im się odwrócić jego uwagę od domu strakki.

Dalej, Clout. Ona może w każdej chwili wyjść.

Nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić - odparł ptak.

Zatrzepocz skrzydłami!

Zrobił to. Saxon podszedł. Na widok sokoła na jego twarzy zagościł wyraz najwyższego zdumienia. Ucho mężczyzny krwawiło w miejscu, w którym zahaczyły go szpony ptaka, ale Kloek nie zwracał na to uwagi.

Pokręcił z niedowierzaniem głową.

- To ty? - zapytał łagodnie, niemal z czcią.

W odpowiedzi Clout zeskoczył z gałęzi i wylądował na wyciągniętej ręce Saxona. Potem podfrunął, by ukryć się wśród liści, tym razem głębiej. Musieli odciągnąć mężczyznę

od budynku. Tor zauważył, że Kloek podąża za nimi.

Gdy Clout ponownie wylądował na jego ramieniu, obaj zamarli na widok łez w oczach Saxona.

- Jesteś bezpieczny - powtarzał w kółko Kloek, głaszcząc sokoła po głowie. - Tęsknimy za tobą, stary przyjacielu.

Żałuję, że nie możemy z nim porozmawiać - rzekł Tor.

Nie ma łączą. - Clout czuł się bezradny. Pozwolił Saxonowi głaszczyć się po łebku, dopóki ten nie przestał i nie uniósł go na wysokość swoich oczu.

- Jesteś wspaniały, Clout.

Dziękuję - odparł Clout i przekrzywił lekko główkę, by Saxon wiedział, że został usłyszany.

Na ten widok Kloek uśmiechnął się przez łzy.

- Ale co ty tu robisz, ptaszysko? Co możesz mieć do roboty w domu strakki w obskurnym Caradoon?

Clout zaczął podskakiwać na ramieniu Kloeka.

- Rozumiem. Wygląda na to, że nie możemy się połączyć - rzekł Saxon. - Ale słyszysz mnie i potrafisz znaleźć sposób, by mi odpowiedzieć.

Clout zatrzepotał skrzydłami.

- Dlaczego tu jesteś? - zapytał Saxon.

Na światłość! - rzucił Clout do Tora. - *To będzie bolesne.*

- Przepraszam. Muszę to ująć inaczej - poprawił się Kloek.

Zmarszczył brwi, po czym zapytał: - Szukasz czegoś?

Clout zatrzepotał.

- Kogoś?

Zatrzepotał ponownie.

- Gotha?

Clout miał ochotę go ucałować. Zamiast tego zatrzepotał po raz kolejny.

Brawo, Saxonie - rzekł Tor. Kloek ponownie zmarszczył brwi.

- A zatem wiesz, że żyje. Pozwól, że podzielę się z tobą swoją wiedzą. - Saxon usiadł na trawie pod drzewami i rozpoczął swoją opowieść.

Tor czuł ogromne wyrzuty sumienia, wiedząc, że Kloek sądzi, iż rozmawia wyłącznie z Cloutem, ale czuł też wielką radość na widok Saxona.

Ten zaś w skupieniu przemawiał do sokoła.

- Od czasu do czasu towarzyszę Herekowi podczas różnych wypraw. Życie w pałacu

na dłuższą metę mnie nudzi i lubię się wyrwać na otwartą przestrzeń. Kierowaliśmy się w stronę Kyrakavii, choć nie było tego w planach, gdy opuszczaliśmy Tal. Zapytałem marszałka - ano tak, Herek jest teraz marszałkiem - a on powiedział mi o czymś, co od lat trzymano w ścisłej tajemnicy. Gotha nie spalono na stosie. Ta dziwka Xantia pomogła mu uciec w przeddzień egzekucji Tora. Herek przyznał się, że był tak zdruzgotany ucieczką więźnia, iż utrzymywał to w tajemnicy przed parą królewską i wyjawiał dopiero po wykonaniu wyroku.

- Potem zaś, jak mi powiedziano, Lorys postanowił nie informować społeczeństwa, nim Goth nie zostanie złapany. Podobnie jak Herek, sądził, że Tarcza bardzo szybko wytropi byłego inkwizytora i przywiedzie go przed sąd. Gdy to nie nastąpiło, ogłoszono, że Goth zmarł w więzieniu, połykając truciznę, którą nie wiadomo skąd wziął. Planowano po jego złapaniu dokonać nieoficjalnej egzekucji, by uniknąć dalszego rozgłosu. Całe miasto było tak zrozpaczone po śmierci Tora, że wszyscy uwierzyli w historyjkę o otruciu. Nikt nie przejmował się losem człowieka, który doprowadził do tej tragedii...

Saxon zamrugał i przerwał, jakby próbował pozbierać myśli.

- Dlaczego on musiał zginąć w ten sposób, Cloot? Czy to dlatego i ty nas opuściłeś? Przez wiele miesięcy Alyssa rozpaczała nie tylko po stracie Tora, lecz i po stracie ciebie. Byłeś wszystkim, co jej po nim zostało.

Tym razem fala emocji przetoczyła się przez duszę Tora. Cloot uspokoił go cicho. *Po prostu słuchaj.* Saxon mówił dalej.

- Tak czy owak, gdy wszystko się uspokoiło, Herek poprzysiągł, że zrobi wszystko, by dopaść Gotha. I nigdy nie przestał go szukać. Nawet teraz zboczył z drogi podczas rutynowej wyprawy do Martintown, by wpaść do Kyrakavii i trochę się rozejrzeć.

Opuściłem go wczesnym rankiem, by odwiedzić Caradon, które wydaje się dobrym miejscem dla kogoś pokroju Gotha.

Cloot trzepotał skrzydłami w podnieceniu. Tor widział, że Saxon wyteża umysł.

- On tu jest? - zapytał.

Cloot znów zatrzepotał radośnie, po czym wskoczył na wyższą gałąź i zaczął wpatrywać się w biały budynek. Saxon podążył za jego spojrzeniem i zacisnął szczęki.

- Czuwajmy zatem, póki nie zobaczę go na własne oczy.

Wszyscy trzej pozostali w ukryciu, przyglądając się budynkowi.

Gdy zapadł zmrok, Saxon przeciągnął się. Cloot również.

- Rozejrzę się - rzekł lakonicznie Kloek i ruszył bezszelestnie pomiędzy drzewami, by następnie przemknąć przez ulicę.

Co on chce zrobić?

Tor, czas działa przeciwko nam. Musimy wrócić bezpiecznie do lasu.

Tor zignorował tę uwagę i uciszył ptaka, by mogli dalej trzymać straż.

*

Goth rozparł się wygodnie na jedwabnych poduszkach. Miał na sobie obszerną jedwabną pelerynę, którą ostatnimi czasy chętnie nosił, bo ukrywała wymizerowaną sylwetkę, jaką zawdzięczał stracce. Na pierwszy rzut oka pokój wydawał się porządny, ale po bliższym wejrzeniu okazywał się zmęczony i zblazowany, jak jego klienci. Gdy jednak działała magia strakki, wszystko inne przestawało się liczyć i Goth mógł udawać, że znów jest wielkim inkwizytorem mieszkającym w pałacu, potężnym, bogatym, budzącym szacunek i grozę. Najbardziej podobało mu się to ostatnie.

Podczas długich, boleśnie jasnych dni spędzanych na dochodzeniu do siebie po zażytej poprzedniego wieczora stracce, rzeczywistość kąsała jak wąż. Prawda o jego życiu szybko i nieubłagane atakowała go, ilekroć wynurzał się z mgły zapomnienia. Czasami ból był tak silny, że przyprawiał Gotha o łzy. Wtedy przychodziła Xantia i uspokajała go.

Goth nigdy się nie dowiedział, dlaczego pozostała przy nim. Mówiła, że są bratnimi duszami, mają tych samych wrogów i te same pragnienia. Widział jednak, jak zaciska usta, gdy zapadał w swój codzienny błogostan. Nie podobało jej się to życie. Goth nie był nawet pewien, czy on sam się jej podoba. Ale uratowała go, bezczelnie rozkazując tym tchórzliwym strażnikom, by wpuścili ją do celi. Miała prosty i okrutny plan. Staruszka Heggie, przekupiona, zgodziła się pójść z Xantią do więzienia i pozostać tam zamiast Gotha. Ani Xantia, ani Goth nie dbali zbytnio o to, czy biedaczka zostanie ukarana za udział w oszustwie, chociaż, w gruncie rzeczy, co mogłoby ją spotkać ze strony żołnierzy? Tak, Goth kochał Xantię za jej okrucieństwo. Jej miłość do władzy i nienasycone pragnienie zemsty uzależniały niemal równie mocno jak stracca.

To ona wpadła na pomysł, by pozostali w Tal i obejrzeni ukrzyżowanie Gynta. Goth pamiętał, jak przebrani naśmiewali się z tych wszystkich jęczących i rozpaczających ludzi. To było nawet lepsze od ujarzmiania.

Widok Alyssy zrekompensował ryzyko. Dumna i buntownicza, wyglądała naprawdę królewsko. Gdyby nadal był mężczyzną w pełnym tego słowa znaczeniu, jej obraz wzbudziłby w nim pożądanie. Niech diabli wezmą Kloeka, który pozbawił go męskości. Ale Xantia wydawała się tym nie przejmować. Tak naprawdę, kiedy o tym myślał, Xantia w ogóle nie interesowała się nim jako mężczyzną. Ale podziwiała jego przebiegły umysł i wymyślane przez niego gierki.

Najlepsze było jednak patrzeć na rozłupaną głowę Gynta. Goth musiał przyznać, że

jego wróg zginął mężnie. Zagrał po mistrzowsku, przebacząc królowi, ale rozkosz patrzenia na jego śmierć była tak wielka, że na myśl o niej Goth musiał przygryźć wargi, by nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

W godzinie śmierci Gynta Xantii błyszczały oczy, a policzki zaróżowiły się mocno. A kiedy reszta tłumu w ciszy wpatrywała się z przerażeniem w bezwładne ciało Gynta i zdumiewającą ilość krwi tryskającej z olbrzymiej rany na głowie, Xantia obróciła się, by spojrzeć na Alysę. Na widok bólu dziewczyny z rozkoszą przygryzała wargę, aż ta zaczęła krwawić, i zaczęła chichotać cicho, gdy Alyssa wyciągnęła ręce ku Torowi, a potem zwróciła nienawistne spojrzenie w stronę króla.

Goth żałował, że nie mogli zostać, by jeszcze trochę popatrzeć na ten teatr. Chciałby zobaczyć, jak zdejmują ciało Gynta z krzyża. Może nawet go dotknąć, by się przekonać, że jest martwe. Xantia śmiała się i wyszydzała go. „Kto mógłby to przeżyć, durniu?” - mówiła.

Dureń. To słowo dudniło w oszołomionym umyśle Gotha. Nie lubił, gdy się z niego śmiano. Zresztą, nigdy wcześniej nikt nie nazwał go durniem. Ale Xantia się go nie bała. Mógłby ją za to znienawidzić. Znała go na wylot, znała wszystkie jego słabości. Kiedyś nawet przyprowadziła mu jedenastoletnią dziewczynkę, by się z nią zabawił. Mała jednak za bardzo wrzeszczała, a poza tym, co mógł z nią zrobić w swoim stanie? Gdyby tylko zdołał dopaść tego złotowłosego Kloeka... Nawet gdyby miał skute ręce i nogi, wiedział, że znalazłby sposób, by zębami rozszarpać mu gardło i tarzać się w jego krwi.

Znów zaczął fantazjować, czując jednak, że działanie strakki słabnie. Osłabło już tak bardzo, że na powierzchnię wypłynął najsilniejszy lęk Gotha: lęk przed tym, że ktoś go obserwuje, szpieguje, by potem pognać do króla i zażądać nagrody za ujawnienie miejsca jego pobytu.

Raz jeszcze zaciągnął się oparami z długiej szklanej rurki i ponownie zapadł w radosne odurzenie. Zbyt długo zażywał narkotyku, by czuć jego smak. W istocie nie czuł już nic. Mówiono, że człowiek uzależniony od strakki może wypić wrzącą wodę wprost z czajnika i nie poczuć tego. Goth nie był jeszcze gotów do sprawdzenia tej teorii, mimo iż miał wrażenie, że jego życie dobiegło końca.

Xantia jednak tak nie myślała. Ciągle gadała o jakimś bogu i żadnym odwetu piekle. Goth nic z tego nie rozumiał, ale pobażał jej. Musiał być z nią w dobrej komitywie, bo załatwiała stracę najwyższej jakości. Czasem miał wrażenie, że to ona kieruje tym biznesem. „Bądź cierpliwy - szeptała mu do ucha. - Mam dziś dla ciebie świetny towar”. A on był jej posłuszny.

Czego od niego chciała? Dlaczego pozostawiali w tym zapchlonym pirackim

miasteczku, zamiast wejść na pokład pierwszego lepszego statku płynącego na Wyspy Egzotyczne? Wytężywszy umysł, zdołał wyłowić z narkotycznej mgielki fakt, iż to Xantia wpadła na pomysł wykorzystania straccowej meliny jako kryjówki. „Możemy się tu schronić na miesiąc czy dwa” - powiedziała, a on dał się przekonać. Ile czasu minęło od tamtej pory? Nie pamiętał.

Goth wiedział, że ma halucynacje. Czymże innym mógłby być widok znieprawionego Kloeka po drugiej stronie okna? Inkwizytor zwinął się w kłębek i mocno zacisnął powieki. Gdybyż to była prawda. Gdyby tylko Saxon Kloek był tak blisko. Wreszcie mógłby się zemścić.

Zaciągnął się ponownie i stracił przytomność.

*

Saxon miał ochotę roztrzaskać szybę i zakończyć żywot tego żalostnego drania, ale Clout powstrzymał go przed pochopnym działaniem. Goth sprawiał wrażenie nieprzytomnego.

Obok łóżka z wypłowiałymi poduszkami bulgotał jakiś aparat, z którego wydobywała się wąska strużka pary, tworząc chmurę pod sufitem. Wielki inkwizytor był zaledwie cieniem dawnego, dumnego siebie. Jego wymizerowana twarz była niemal nie do poznania. Nie potrafił jednak ukryć oszpeconej skóry i nieustannego tik, dowodzącego, że jest tym, kogo szukają.

Saxon rozważył możliwości. W tej chwili Goth był niegroźny. Zamiast ryzykować, że popełni błąd, mógłby wrócić do Tal i powiadomić Hereka o swoim odkryciu, z pewnością zmierzającego już w stronę stolicy. Przy okazji zdoła uprzedzić Alysę. Musiał to zrobić, choć przerażała go myśl o potwierdzeniu przed nią, że Goth żyje. Potem mógłby wrócić z całą armią, schwytać tego wyrzutka i raz na zawsze rozprawić się z nim, nie wspominając o jego perfidnej towarzysze. Saxon kiwnął głową. To była mądra decyzja.

Usłyszał ostrzegawczy skrzek Clouta, ale było już za późno. Coś uderzyło go z taką siłą, że osunął się na ziemię obok okna.

*

Ocknął się oszołomiony i zdezorientowany. Z oddali dobiegał go znieprawiony głos, wykrzykujący coś. Xantia. Człowiek, który go trzymał, syknął:

- Nie ruszaj się, obcy, bo rozpruję ci gardło od tyłka aż po głowę.

Saxon miał szaloną ochotę roześmiać się z tego bezsensownego stwierdzenia, ale miał też dość rozumu, by zastosować się do polecenia. Widział jak przez mgłę, ale zdołał dostrzec, że zaciągnięto go pod boczną ścianę straccowego domu, gdzie panowały niemal

nieprzeniknione ciemności. Stojąca w oświetlonych drzwiach i krzycząca coś w ich kierunku Xantia wyglądała jak szalony upiór.

Domyślił się, że kobieta widzi jedynie sylwetki, i podziękował szczęśliwej gwiazdzie za ochronę. Xantia wzięła ich za pijanych klientów. Wygłosiła reprimendę, zagroziła, że jeśli za dwie minuty nadal tu będą, spotka ich coś obrzydliwego, i zatrzasnęła drzwi.

- Chyba nie chcesz mi narobić kłopotów, co, dryblasie?

Saxon splunął. Poczul smak krwi i potrząsnął głową. Napastnik wyjął krzemień, zapalił i przytrzymał przed sobą.

- Zapamiętajmy swoje twarze. Warto wiedzieć, kto mógłby chcieć mnie zabić.

Saxon zwrócił uwagę na siną bliznę, przecinającą twarz mężczyzny w miejscu, w którym niegdyś było oko, teraz zaś tylko poczerniały oczodół. Wzruszył ramionami. Przez chwilę rozważał możliwość walki z jednookim, ale pomyślał o ostrzu na gardle i uznał, że lepiej dać za wygraną, by móc go pokonać przy innej okazji.

- Gdzie mój sokół?

Jednooki po raz pierwszy usłyszał jego charakterystyczny głos.

- Kloek? A niech mnie, Złoty, daleko zawędrowałeś od domu!

Saxon nienawidził tego przydomka, ale nie odgryzł się.

- Gdzie mój sokół? - powtórzył.

- Nasz sokół - sprostował jednooki, wskazując krzaki, w których Saxon dostrzegł jego kompana, trzymającego Cloota w mocnym uścisku.

Saxon spojrział gwałtownie na jednookiego.

- Możecie zabrać wszystkie moje pieniądze...

- Już je zabraliśmy - odparł tamten, potrząsając sakiewką i szczerząc zęby.

W budynku zgasło światło. Panowała absolutna cisza.

- Jeśli nie oddacie ptaka, zabiję was - powiedział Saxon, tym razem spokojnie.

- Ja trzymam nóż, a mój przyjaciel przetrąci twojemu ptakowi kark, gdy tylko podniesiesz na mnie rękę, Kloeku. A teraz posłuchaj mojej rady i opuść Caradoon.

Saxon spróbował innej metody.

- Po co wam sokół?

- Tam, dokąd zmierzamy, drapieżne ptaki są rzadkością. A ten to wyjątkowy okaz. Na Wyspach Egzotycznych bez wątpienia dostanę za niego sporo złota. Jej wysokość kocha sokoły. Uwielbia patrzeć, jak się je zabija.

- Mówiłem poważnie, piracie.

- O zabiciu mnie?

Saxon pokiwał wolno głową wyczekując reakcji jednookiego. Ze zdumieniem spostrzegł, że tamten wybuchnął śmiechem.

- Umieram ze strachu, Kloeku. Do następnego spotkania!

Znów się roześmiał, mocno popchnął Saxona w kierunku miasta i pogroził mu palcem.

- Idź już, Złoty. Darowałem ci życie, bo widzę, że zabrałem ci coś, co dużo dla ciebie znaczy. Ale nie kuś losu. Nazywam się Janus Quist. Zapamiętaj to nazwisko.

Saxon nic nie usłyszał, ale zobaczył, że Quist spogląda na coś za jego plecami. Potem coś ciężkiego uderzyło Kloeka w głowę. Mężczyzna padł na ziemię jak kłoda.

- Zabierzcie go jak najdalej na południe i zostawcie tak blisko stolicy, jak tylko ośmielicie się podejść. Nie chcę go tu widzieć - rozkazał Quist.

6.

ROZDZIELENIE DUSZ

Cloot tak bardzo skoncentrował się na szukaniu pozycji, z której on i Tor mogliby widzieć Gotha pociągającego ze straccowej rurki, że nie usłyszał skradającego się człowieka. Gdy czyjeś palce ostrożnie wydobywały go z zarzuconej sieci, pozostali członkowie gangu zaciągali Saxona w mrok. Potem napastnik związał dziób ptaka delikatną linką. Cloot mógł się tylko pocieszać, że zdążył go nieźle skubnąć, ale była to słaba pociecha.

Nie szarp się, Cloot. To tylko cię osłabi. Poczekajmy i zobaczymy, czego chcę - poradził Tor, starając się być dzielny, a w rzeczywistości wspominając swoje leżące w odległym lesie ciało.

Gdy usłyszeli, co planuje Quist i jego kompani, pozbyli się złudzeń. Z przerażeniem słuchali rozkazów pirata dotyczących wywiezienia Saxona i bezradnie patrzyli, jak bandyci ciągną Kloeka wzdłuż ulicy.

Teraz Cloot potrafił już myśleć tylko o ich własnym niepewnym losie i o konieczności zapewnienia Torowi możliwości ucieczki.

Zapomnij o mnie, głupcze! - Rzucił gniewnie w jego kierunku. - *Musimy się skupić wyłącznie na tobie. Musimy cię stąd wydostać.*

Nie mogę... - zaczął Tor, ale Cloot przerwał mu gwałtownie. Tor czuł, jak przez kruchą siatkę kostek i piór sokoła przebiega dreszcz gniewu.

Nie możesz narażać się bardziej, niż to czyniłeś do tej pory. A teraz uruchom swój potężny umysł, Torze, i znajdź jakieś wyjście. Nie mamy już czasu. Quist za chwilę wrzuci mnie do worka, a wtedy stracę orientację i obudzę się razem z tobą na statku płynącym na Wyspy Egzotyczne. To będzie koniec. Umrzesz w moim ciele, a mnie pęknie serce z bólu i wstydu, że nie wypełniłem swego zadania jako Drugi Paladyn. Nie możesz mi tego zrobić. Zrobisz to, co ci każę... i to już!

Co według ciebie mam zrobić? - zapytał Tor, czując ukłucie prawdziwego strachu.

Coś, co wyrzuci ze mnie twoją duszę! Myśl. Wykorzystaj całą swoją wiedzę. Odpowiedź jest w tobie. Lys zawsze ci powtarzała, że nosisz odpowiedzi w sobie. Musisz tylko wiedzieć, jak zadawać właściwe pytania. Zrób to teraz. Ratuuj się.

Ratuj nas - dodał łagodnie, nim zamilkł.

Przez chwilę Tor czuł się zagubiony i bezradny. Gdy dorastał, czerpał poczucie bezpieczeństwa nie tylko z miłości i wsparcia rodziców, lecz także ze świadomości, iż posiada moc niepojętą dla kogokolwiek innego. Nigdy nie było rzeczy, której nie potrafiłby zrobić. Nawet gdy Merkhud zaproponował Przeniesienie, Tor wierzył, że jest w stanie tego dokonać. Ale teraz, wiele lat później, w jego myśli wkradło się zwątpienie. Mógł narażać własne życie, ale tym razem w grę wchodziło też życie Cloota. Życie najbliższego, ukochanego przyjaciela. Tor wiedział, że sokół poświęci się bez sekundy wahania, jeśli będzie wierzył, że w ten sposób zdoła go ocalić. To tylko zwiększyło determinację Tora. Nie straci Cloota. Nie pozwoli, żeby pokonali ich odurzony narkotykiem okrutnik, perfidna kobieta i jednooki pirat. Przypomniawszy sobie, jak wiele lat wcześniej, gdy byli jeszcze dziećmi, Alyssa pokazała mu, jak można czerpać siłę ze wstydu, determinację z rozpacz, gniew ze strachu. Teraz on miał się wykazać tą samą odwagą.

Wycofał się i przywołał Barwy. Cloot wydawał mu się teraz odległy. Barwy zajaśniały i Tor natychmiast poczuł więź ze swoim leżącym w lesie ciałem i strzegącymi go Solyaną i Arabellą. Nie potrzebował przewodnictwa gwiazdy, by je odnaleźć. Miał tylko kilka godzin, by zapobiec śmierci ciała, niechybnej stracie Cloota i kresowi Trójcy. Zawrzał w nim gniew, a Barwy rozjarzyły się w odpowiedzi na zew.

Zaufaj sobie.

Kto to powiedział? Słowa odbijały się echem w głowie Tora. Nie miał pojęcia, kto je wyrzekł, ale powtarzał: *Zaufaj sobie.*

Skoczył.

Leć bezpiecznie, mały. Nie zapomnij o mnie - zawołał przez łącze dzielny jak zawsze Cloot.

Kocham cię, Cloot - szepnął Tor.

Wiem.

Łącze zatrzasnęło się i Tor został sam. Nie czuł nic oprócz pędu. Otaczała go pustka. Gnał przez nicość. Co się stało z Barwami? Czy lśniły za jego plecami? A może on zmienił się w Barwy? Szybciej, szybciej. Żadnych dźwięków.

Jak długo już leciał, gdy to się stało?

Zimno uderzyło go jak policzek. Zwolnił, skonsternowany. Co to było? Miał złe przeczucie, a jednocześnie wiedział, że nie może pozwolić temu czemuś - cokolwiek to było - dotknąć głębi swego jestestwa.

Leć! - ponaglały go jakieś głosy. Zdawało mu się, że je rozpoznaje, ale wrażenie było

ulotne. Po chwili został już tylko strach.

Po nim zabrzmiał kolejny głos. Był lodowaty. To od niego było zimno.

Ach, więc to jest Tor - wycedził.

Kim jesteś? - Tor nie wiedział, czy głos drży mu ze strachu czy z zimna.

Ja to on.

Tora ogarnęła panika. Zatrzymał się. Umierał z każdą sekundą bezruchu, ale nie mógł nic zrobić.

Orlac?

Głos zaśmiał się. Nadal nie było w nim ciepła, ale pojawiło się autentyczne rozbawienie.

Nie jestem Orlakiem, choć interesuję się nim tak bardzo jak ty.

Gdzie on jest?

Nim zdążył odpowiedzieć, do jego głowy wdarł się kolejny głos, tym razem należący do Lys.

Wara od niego! - rzuciła groźnie.

Tamten znów się zaśmiał.

Przelatywał. Jestem samotny.

Dalej, leć - poleciła mu Lys. - *Czas działa przeciwko tobie.*

Tor ponownie nabralł szybkości i pędził przez pustkę, przerażony złowieszczym chłodem tamtego głosu, aż w końcu znów usłyszał te przyjazne. Śpiewały dla niego.

To były Płomienie. Naśladowały jego Barwy i popędziły ku niemu, tańcząc i błagając, by się spieszył, a on pędził wraz z nimi.

Nagle uderzył w swoje ciało z taką prędkością i siłą że dostało drgawek. Usłyszał krzyk Arabelli, ale nie mógł otworzyć oczu. Ledwie oddychał. Czy nadal pasował do tego ciała? Wszystko wydawało się nie takie, jakie być powinno. *Oddychaj!*

Przestraszyłeś nas - burknęła Solyana wprost do jego umysłu.

Próbował usiąść. Arabella pomogła mu, tuląc go w ramionach.

- Mówiłam ci, żebyś nie ryzykował, Tor.

W jej oczach zalśniły łzy. Szybko oddaliła się od niego i znikła w płamie, którą stał się świat, widziany oczami Tora.

Płomienie ucichły i tylko łagodnie połyskiwały białym światłem.

Był tam też Darmud Coril.

- Cieszę się, że do nas wróciłeś, Torkynie.

- Dziękuję, że je przysłałeś - wychrypiał z trudem.

- Same poleciały - odparł bóg. - Wyrwały się do ciebie, synu. Bardzo się o ciebie bały. Powiedziały mi, że muszą cię przyprowadzić do domu.

Tor pogłaskał jeden z Płomieni, a ten zadzwieczał z radości. Mężczyzna sięgał powoli do każdego z nich, używając Barw, które rozumiały chyba tylko Płomienie.

- Dziękuję, przyjaciele.

Solyana oddaliła się. Jej postawa zdradziła Torowi, że wilczyca odczuwa wielką ulgę.

Nie mógł się szybko poruszać. Nie oswoił się jeszcze z własnym ciałem, ale niezgrabnymi krokami dogonił Solyanę.

Przykro mi.

Wiem - rzekła smutno. - Wszyscy tyle przeszliśmy. Z przerażeniem myślę o tym, że mogliśmy cię stracić, nim wypełniłeś swoje zadanie.

Nienawidził, gdy wszyscy oni tak otwarcie mówili o jego przeznaczeniu - jakiegokolwiek ono było.

Straciłem Cloota.

Domyśliłam się.

Jak?

Nie ma go z tobą. Cloot jest twoim najbliższym paladynem. Wolałby umrzeć, niż cię opuścić.

Nie umarł.

Może i nie. Ale taki byłby jego wybór. - Solyana mówiła teraz z jeszcze większym smutkiem.

Tor spojrzał w twarz srebrnej wilczycy.

Nie mów tak, Solyano!

Śmierć nas wyzwala, Torze. Musisz to zrozumieć.

Nie rozumiem. Nic z tego nie rozumiem - powiedział, kuśtykając niezgrabnie.

Chodź, jak najwięcej możesz. Czucie wkrótce powróci. - Jej głos znów brzmiał rzeczowo.

Mam do przejścia kawał drogi - rzekł Tor.

Potowarzyszyć ci?

Do Caradoon?

Arabella, która właśnie wróciła, usłyszała jego ostatnie słowa.

- Wracasz tam? - zapytała wstrząśnięta.

- Tak. Wyruszam natychmiast.

- Nie możesz - zaoponowała kapłanka.

- Muszę odnaleźć Cloota.

- Powstrzymaj go, Solyano. Powiedz mu.

Tor zatrzymał się.

- O czym?

Sądzimy, że Dziesiąty traci siły - powiedziała cicho Solyana, spokojna jak zawsze.

*

Od jak dawna? - zapytał beznamiętnie Tor.

- Nie wiemy. - W głosie Arabelli brzmiała frustracja i strach. - Dlatego nie wolno ci opuszczać schronienia w Sercu Lasu.

Tor westchnął.

- Arabello, dlatego właśnie muszę je opuścić. Mógłbym mu tylko zaszkodzić. Nie zapominaj, że to ja mam być ofiarą.

Podszedł do niej, a ona pozwoliła, by zamknął ją na moment w silnym uścisku. Potem łagodnie pocałował ją w usta.

- Obiecuję ci, że nie będę więcej ryzykował, ale muszę odnaleźć sokoła. Jest mi przypisany, a ja jestem przypisany jemu.

Patrzył w jej ciemne, zamglone oczy tak długo, aż w końcu kiwnęła głową.

Serce Lasu i tym razem cię poprowadzi, Tor - zapewniła Solyana.

Tor pogłaskał jej gęste, zmierzwione futro i przez chwilę zachwycał się srebrzystymi końcówkami włosów, które zdawały się błyszczeć przy każdym ruchu wilczycy.

Solyano, czy mogę się przeczucić do Caradoon w taki sposób, w jaki Alyssa i ja opuściliśmy Caremboche?

Nie, Tor. Tak można jedynie wrócić do Serca Lasu. Podróż do Caradoon będziesz musiał odbyć w bardziej tradycyjny sposób, choć drzewa pomogą ci ją odbyć najszybciej, jak się da. - Jeżeli wilki potrafią się uśmiechać, Solyana właśnie to zrobiła, zdumiewając Tora. - *Milej podróży* - dodała. - *Wszystko, czego potrzebujesz, znajdziesz na skraju Wielkiego Lasu.*

*

Tor stał nad strumykiem, w którym po raz pierwszy kochał się z Alyssą. Przykląkł przy łagodnie przepływającej wodzie i napił się, próbując przywołać z pamięci tamtą księżycową noc. Przelykając, przez moment poczuł tamten smak i podziękował strumykowi za ten dar.

Raz jeszcze przypomniał sobie instrukcje wilczycy, po czym wyprostował się, zwiesił ręce po bokach ciała i zamknął oczy, by czekać na znak.

Nauczył się bezgranicznie ufać Sercu Lasu. Nigdy nie mogłoby go skrzywdzić.

Poczuł dotyk gałęzi owijających mu się wokół nóg i usłyszał szelest liści. Otworzył oczy i ogarnęło go podniecenie. Opanował się, nim gałęzie się splotły, po czym wziął głęboki oddech, czekając, aż pochylone drzewa wyrzucą go w powietrze. Znów podróżował. Czuł euforię lotu, tym razem we własnym ciele, i wrzeszczał z radości.

Kolejne drzewo złapało go zręcznie i wyrzuciło ponownie, nim zdążył wypuścić powietrze. Powtórzyło się to wielokrotnie. Za każdym razem drzewa tworzyły kołyskę, by zamortyzować upadek, i wyrzucały go dalej, do swoich towarzyszy. Tor bawił się doskonale. Mógłby przysiąc, że drzewa śmieją się razem z nim. Uświadomił sobie, że wysyła ku nim swoje Barwy w podzięce za pomoc, w dotarciu do Caradoon.

Następnego dnia był już na obrzeżach Wielkiego Lasu. Przez całą podróż drzewa traktowały go życzliwie, dodawały sił i wspierały, by wreszcie pozostawić za ledwie o pół dnia marszu od celu podróży. Solyana mówiła prawdę. Na skraju północnej odnogi lasu pozostawiono dla niego niewielką stertę starannie wybranych rzeczy. Było wśród nich czyste ubranie, dostatecznie nijakie, by w pirackim mieście mógł uchodzić za przypadkowego gościa. Skórzany chlebak, który Tor przewiesił sobie przez ramię, zawierał kilka osobliwości o niewiadomym na razie przeznaczeniu.

Wysłał sygnał w kierunku Cloota, ale nie otrzymał odpowiedzi. Nie mając powodu, by się ociągać, obrócił się ku Wielkiemu Lasowi, z szacunkiem pokłonił dziękczynnie drzewom, usłyszał ich łagodne szepty i wyruszył. Czuł, że czeka go długa podróż.

7.

SEKRET ALYSSY

Alyssa powinna się cieszyć wolnym przedpołudniem. Lekcje zostały odwołane z powodu lekkiej gorączki kilkorga dzieci, dzięki czemu miała wyjątkową okazję poświęcić ten czas na załatwienie własnych spraw. Król wybrał się z królową na przejażdżkę po wrzosowiskach i miał wrócić dopiero za kilka godzin. Alyssa próbowała zmusić się do opuszczenia jego biura, wyjścia na spacer, spotkania się z Gylem. Zamiast tego dotykała biurka Lorysa, a nawet jego fotela, i wciąż na nowo układała dokumenty, które były już idealnie ułożone. Po prostu nie miała siły stamtąd wyjść i w duchu ganiła się za to.

Podeszła do wysokich okien wychodzących na główny dziedziniec, wspominając swój ostatni samotny pobyt w królewskich komnatach. Było to wtedy, gdy Lorys i Nyria wybrali się na objazd królestwa. Nyria długo przekonywała męża, nim w końcu doszedł do wniosku, że warto ruszyć na taką wyprawę.

Kiedy Alyssa zaczęła podejrzewać, że król zwraca na nią szczególną uwagę, sprawiało jej to przyjemność. W końcu zaakceptowała fakt, że i ona jest nim oczarowana. Choć próbowała widzieć w Lorysie źródło swoich nieszczęść, w istocie stał się jaskrawym światłem, rozjaśniającym jej dni. Strasznie za nim tęskniła, gdy wyjeżdżał, ale nauczyła się nigdy nie okazywać swoich uczuć. Przekonana, że jest to wyłącznie jej problem, zachowywała go dla siebie. Teraz jednak, dostrzegając zainteresowanie króla, zaczęła odczuwać strach.

Ukradkowe spojrzenia i uśmiechy bez wątpienia były sygnałem z jego strony. Alyssa miała wrażenie, że Lorys usiłuje ją omotać. Przyciągał ją wzrokiem, choć nigdy nie tknął. I była pewna, że tego nie zrobi. Przecież tak bardzo kochał królową.

Alyssa zastanawiała się, czy nie powinna opuścić pałacu. To stawało się niebezpieczne. Nie miała zamiaru wywoływać skandalu. Jeśli jej obecność kuszyła króla do zrobienia czegoś, czego później mógłby żałować, powinna się usunąć.

Ale bała się nie tylko uczuć Lorysa. W równym stopniu obawiała się własnych uczuć wobec niego. Jakże tęskniła za jego dotykiem, nawet przypadkowym muśnięciem. Pragnęła być przy nim i wymyślała sposoby na przedłużenie czasu pracy lub wieczorne spotkanie w

jakiejś nieistotnej sprawie. Jakże kochała te rzadkie chwile, w których król prosił, by mu potowarzyszyła przy kieliszeczku. Mogła wtedy patrzeć mu prosto w oczy i mieć wrażenie, że są po prostu dwojgiem plotkujących przyjaciół.

Po każdej takiej chwili nienawidziła siebie, czując, że w jakiś sposób zawiodła zaufanie ukochanej królowej. Czy Nyria wiedziała o rodzącym się w niej uczuciu? Kobiety mają potężny instynkt, a jednak królowa nigdy nie komentowała tych sporadycznych spotkań ani nie dawała po sobie poznać, że może czuć urazę z powodu rosnącej zażyłości dwojga najdroższych sobie osób. W istocie - zapewniała siebie Alyssa - Nyria otwarcie zachęcała ich do bliskości, jakby chciała, by wytworzyła się między nimi więź.

Przytknęła twarz do chłodnego szkła. Jej odejście z pałacu na nic by się nie zdało. I para królewska, i Gyl tylko straciliby na jej ucieczce przed czymś, co z pewnością i tak było bezpodstawnym lękiem. Nie. Musiała zostać i nadal ciężko pracować dla dobra Tallinoru. Obiecała sobie, że w żaden sposób nie będzie zachęcać króla do zażyłości, niezależnie od tego, czy jego zaloty były rzeczywiste, czy tylko je sobie uroiła.

*

Kiedy Alyssa składała sobie obietnicę, Nyria jechała przez wrzosowiska na grzbiecie swego ulubieńca Freycina. Ani Lorys, ani Herek nie mieli nic przeciwko jej obecności, choć wiedziała, że podczas przejazdów zawsze omawiają ważne sprawy. Często towarzyszył im też Gyl, co bardzo odpowiadało królowi.

Tego ranka królowa obudziła się wcześniej, z wyraźnym wspomnieniem dziwnego snu. Pojawiła się w nim jakaś kobieta, która poleciła jej, by spędziła rano z Lorysem. Kierując się zarówno tym snem, jak i własnym pragnieniem bycia blisko męża, Nyria kazała osiodłać swego konia, by wyruszyć na przejażdżkę z mężem i marszałkiem. Teraz, na wrzosowiskach, cieszyła się z podjętej decyzji.

Jej myśli wciąż powracały do związku między Lorysem a jego młodą sekretarką. W przeszłości Nyria była Alyssie wdzięczna za uspokajający wpływ, jak ta wywierała na królu. „Masz na niego sposoby, Alyssie” - mówiła często. Była jednak w pełni świadoma urody i wdzięku młodej kobiety, nie umknęło jej też uwagi, że ostatnimi czasy to szczególne spojrzenie Lorysa, które dotąd było zarezerwowane tylko dla niej, kieruje się ku Alyssie.

Nie czuła wrogości wobec dziewczyny. Niczego nie była równie pewna jak tego, że Alyssa nie ma pojęcia o wrażeniu, jakie wywiera na mężczyznach z pałacu. Królowa, ze swej strony, miała pełną świadomość faktu, iż wśród personelu płci męskiej nie ma nikogo, kto byłby nieczuły na wdzięki tej młodej damy. Nawet staremu Korynowi krew uderzała do głowy na widok Alyssy!

Dziewczyna była uprzejma dla wszystkich i dobroduszna. Choć niewątpliwie uważano ją za najpiękniejszą kobietę w Tal, tylko najbardziej zawistne przedstawicielki tej płci potrafiły czuć do niej niechęć.

Nyria zauważyła, że królowi zaczęło zależeć na obecności Alyssy podczas wszelkich uroczystości. Kobieta istotnie roztaczała wobec siebie blask, gdziekolwiek się znajdowała. Nyria wierzyła, że Alyssa nawet w sukmanie wyglądałaby jak anioł. Drobną sylwetką i radosnym usposobieniem tak doskonale ze sobą współgrały, że nadąsane i upudrowane damy dworu nijak nie mogły się z nią równać. Jak gdyby tego było mało, od pierwszej chwili swojej współpracy z Alyssą Nyria dostrzegała w niej ogromną inteligencję i wrodzoną siłę. Czuła, że gdyby los postawił je po dwóch stronach barykady, Alyssa byłaby niezwykle groźną rywalką. Tak, królowa święcie wierzyła, że oddała mężowi wielką przysługę, nalegając, by zatrudnił dziewczynę jako sekretarkę, choć instynktownie czuła, że z czasem Lorys zakochuje się w swojej uroczej pomocnicy.

To oczywiście bolało. Ona i Lorys znali się od dzieciństwa. Nyria, córka zamożnego arystokraty, który dzielnie walczył u boku starego króla Morta, dorastała w pałacu i bawiła się wraz z Lorysem w pałacowych ogrodach, gdy ich ojcowie siedzieli w sali wojennej, planując strategię bitew. Uśmiechnęła się. Chwała światłości, że Lorys w okresie swego panowania nigdy nie musiał przewodniczyć zebraniom w tej sali. Mimo to czuła wdzięczność za ten czas, który spędzili razem jako dzieci. Dla nikogo nie było więc niespodzianką, że rodziny postanowiły ich wyswatać. Nyria uwielbiała Lorysa. Nigdy nie kochała innego mężczyzny. I po tych wszystkich latach jej miłość ani trochę nie osłabła. Był to związek jak z bajki. Tym bardziej ranił ją fakt, że teraz, blisko końca jej dni, inna kobieta mogłaby skraść królowi serce.

Nawet jeśli przychodziło jej to do głowy, wolałaby, aby poczekali, aż odejdzie. Wciągnęła w płuca świeże, pachnące lawendą powietrze. Wiedziała, że jej czas się kończy, i nie próbowała z tym walczyć. To dlatego tamta wyprawa była dla niej tak ważna. Chciała, by jeszcze raz przemierzyli kraj jako para królewska, spotkali się z poddanymi, rozmawiali i jedli razem z nimi, okazywali im swoją miłość.

Była zadowolona, że udało jej się zrealizować to marzenie. W ten sposób pożegnała się z Tallinorem i jego ludem, który tak kochała.

Lorysowi zdawało się, że mają przed sobą całe życie. Ale młody Torkyn Gynt ostrzegł ją podczas tego strasznego spotkania poprzedzającego jego egzekucję, że musi na siebie uważać. Nie powiedział tego wprost, ona jednak wiedziała, że serce odmawia jej posłuszeństwa. Tor dużo wcześniej zajrzał do jej wnętrza i dowiedział się, jak bardzo jest

chora. Wtedy zdołał ją uratować, ale teraz nie mógłby tego zrobić, bo sam leżał w zimnym grobie w nieznanym miejscu.

Ten wspaniały młody człowiek, teraz gnijący w ziemi... Jeśli Nyria czegokolwiek żałowała, to właśnie cienia, jakim na panowaniu Lorysa położyło się skazanie Tora. Chłopak nie powinien był umrzeć. Lorys nie przemyślał tego dostatecznie i nie posłuchał rad - nawet własnej żony. Być może już wtedy był pod wrażeniem uroku Alyssy i, oślepiiony pożądaniem, podjął pochopną decyzję. Prawdą było, że gdyby zechciał, mógłby oszczędzić kochanka dziewczyny.

Serce Nyrii bolało więc z kilku powodów.

Ból fizyczny stawał się coraz bardziej regularny i intensywny... Tak, nawet teraz czuła, że zbliża się skurcz. Obejrzała się, by spojrzeć na męża, dyskutującego zawzięcie z marszałkiem. Zaśmiała się. Tak bardzo go kochała, a zarazem chciała, by jego dynastia trwała dalej. Nie udało im się spłodzić potomka, choć się starali. Widocznie nie było im to pisane. Ten fakt stanowił jedyną skazę na trwającym już niemal trzydzieści lat szczęśliwym małżeństwie. „Może jednak Lorys zdążyłby jeszcze zrealizować swoje sekretne marzenie” - pomyślała.

Miała nadzieję, że jej małżonek wybierze Alyssę na następną królową. Była idealną kandydatką: młoda, piękna, błyskotliwa, silna i oczarowana królem - choć Nyria wiedziała, że Alyssa nie zaakceptowała jeszcze tego faktu. Dostrzegala to w gestach dziewczyny, w jej niezręcznym zachowaniu wobec Lorysa. Ale wszystko inne wskazywało na to. Nyria od dawna obserwowała ukradkiem męża i dziewczynę. Zdradzały ich oczy, którymi za sobą wodzili, mając nadzieję, że druga strona niczego nie zauważy. Nie wiedzieli, że zauważa to ona, milczący obserwator rodzącej się miłości. Któregoś dnia być może docenią ironię faktu, iż to właśnie ona nalegała, by zaczęli razem pracować, to ona błagała Alyssę, by dała królowi szansę, zamiast do końca życia go nienawidzić.

Lorys nadal był wobec niej życzliwy, kochający i troskliwy, ale jego pragnienia kierowały się już ku innej. Nyria zdołała to zaakceptować. W przeszłości cieszyła ją mocna, zdrowa fizyczna więź z Lorysem, ale w miarę nasilania się choroby kochali się coraz rzadziej - ostatnio tak rzadko, że wręcz nie pamiętała, kiedy robili to po raz ostatni. Zastanowiła się. Tyle czasu? To nie było w porządku. Lorys miał swoje potrzeby.

Podrywając Freycina do biegu, by dogonić towarzyszy, czuła narastający ból w piersi. Potrząsnęła głową z żalem, że tak zawodzi Lorysa, i postanowiła po raz ostatni pogalopować z nim przez wrzosowiska.

Saxon ocknął się z potwornym bólem głowy i wielkim guzem. Siedział w rowie i w oszołomieniu przyglądał się ludziom Hereka, którzy znaleźli go tam nieprzytomnego i ocucili. Gdy sobie przypomniał, co się stało, chciał natychmiast wyruszyć do Caradoon, ale żołnierze zasugerowali, że bliżej będzie do Tal.

Delikatnie dotknął obolałego miejsca na głowie i skrzywił się, próbując poskładać fakty. Quist musiał kazać swoim ludziom podzucić go jak najbliżej stolicy, żeby nie mógł tak szybko wrócić do miasta piratów. Żołnierze mieli rację: powinien najpierw udać się do Tal.

Pełen obaw o los Cloota, pędził do pałacu najszybciej, jak się dało. Zamierzał przestrzec Alyssę przed Gotham, a potem wrócić do Caradoon. Musiał załatwić porachunki z tym złodziejem Quistem, a potem odnaleźć Cloota. Nie zamierzał pozwolić, by Drugi Paladyn zakończył życie w worku leżącym pod pokładem zaszczurzonej pirackiej łajby. Tylko Saxon wiedział o tej zbrodni, i to on musiał ją pomścić.

Po powrocie do Tal natychmiast zameldował się u marszałka, który sam ledwie zdążył tam wrócić. Herek z pewną konsternacją przyjął decyzję Saxona o opuszczeniu Tarczy. Choć Kloek nigdy oficjalnie nie należał do kompanii, jej dowódca przywykł do towarzystwa tego pogodnego, pewnego siebie człowieka. W ciągu ostatnich lat Saxon świetnie wyszkolił wielu młodych ludzi, przekazując im sekrety równowagi i umiejętności kierowania się intuicją a nie tylko wzrokiem i brutalną siłą. Herek szczerze go polubił i wiedział, że będzie mu brakować jego dowcipu i towarzystwa. Nie zdołał się dowiedzieć, dlaczego Saxon podjął nagle taką decyzję, ale widział, że chodzi o coś poważnego. Nie był natomiast przygotowany na drugą wiadomość, którą miał usłyszeć od Kloeka.

- Widziałeś go?

Saxon miał ponurą minę.

- Niemal tak blisko, jak teraz widzę ciebie. Był tak nafaszerowany narkotykiem, że mógłbym go wynieść jak dziecko, ale dostałem pałką w łeb od złodzieja. Wiedział, kiedy się pojawić, co? - Kloek uśmiechnął się żałośnie. - On zdobył tylko trochę drobnych, a mnie nagroda przeszła koło nosa.

- A ta kobieta? Była z nim?

- Tak.

Saxon widział, że Herek z trudem panuje nad sobą.

- Słyszałem, że znaleźli cię moi ludzie.

- Zgadza się. Rzeźbiłem na hałdzie przy drodze. Piraci powieźli mnie na południe i zostawili tam. Pewnie chcieli mieć dość czasu na przygotowanie okrętu i wypłynięcie. - Saxon potarł bolące wciąż miejsce na głowie.

Marszałek zaczął chodzić w tę i z powrotem, zapominając o wcześniejszych troskach. Musiał ponownie wtrącić do lochu Gotha i tę całą Xantię, a potem osobiście eskortować byłego dowódcę inkwizycji na stos.

- Sądziysz, że nadal są w Caradoon?

Saxon prychnął.

- A ty byś był?

Herek zgromił go wzrokiem.

- Mimo to warto spróbować - kontynuował Saxon. - Możesz zacząć od straccowej meliny. Jeśli znajdziecie jakiś ślad, niech twoi ludzie tropią Gotha i zapędzą go w ślepy zaułek. Jeżeli rozpuścicie w Caradoon pogłoskę o hojnej nagrodzie, gwarantuję, że znajdziecie informatorów. W tym mieście żyją same męty, a sekret jest bezpieczny tylko do momentu, w którym ktoś zaoferuje odpowiednią cenę.

Herek pokiwał głową w zamyśleniu.

- A ty, Saxonie, dokąd się udajesz?

- Muszę się spotkać z jednym gościem w sprawie ptaka - odpowiedział zagadkowo Kloek. Potem po tallinorsku uściskał dłoń Hereka. - Do zobaczenia, marszałku.

Herek odwzajemnił uścisk.

- Wracaj szybko.

*

Po długich poszukiwaniach Saxon odnalazł wreszcie Alyssę w komnatach królewskich. Stary służący króla pozwolił mu poczekać w niewielkim pokoju, stanowiącym przedsiónek do apartamentu. Alyssa stanęła w drzwiach gabinetu.

- Saxon! Wróciłeś! - Nie dbając o konwenanse, osobista sekretarka króla podbiegła do rosłego Kloeka i rzuciła mu się na szyję. Służący uniósł brwi, ale z właściwą sobie dyskrecją odwrócił się i zajął własnymi sprawami.

- Nie na długo - odparł Saxon, przytulając ją mocno.

Zrobiła niezadowoloną minę, a on postawił ją na ziemi.

- Możemy gdzieś porozmawiać? - zapytał, zezując w stronę służącego.

- Nie przejmuj się nim. Chodź, usiądziemy przy oknie. A teraz opowiadaj o tym Caradoon.

Spojrzał w jej wielkie, zatroskane oczy i ujął ją za rękę.

- Widziałem go.

Alyssa przymknęła oczy. Trochę trwało, nim pojęła to, co przed chwilą usłyszała.

- Widziałeś Gotha?

Kiwnął głową.

- Jesteś pewien, że to był on? - zapytała słabym głosem.

- Jest zbyt charakterystyczny, by go z kimś pomylić.

- Czy ktoś może to potwierdzić? Ktoś jeszcze go widział?

- Spośród żołnierzy Tarczy tylko ja. Ale był jeszcze jeden...

Przeszkodził im służący, niosący tackę z dwiema szklankami napoju.

- Na pewno pani i jej gość chętnie się napiją, panno Alysso - rzekł i skłonił się.

- To bardzo miłe z twojej strony, Korynie - odparła z uśmiechem. - Dziękuję, jestem spragniona.

Mężczyzna odpowiedział lekkim ukłonem i oddalił się. Saxon zerknął do wnętrza szklanki.

- Piwo! Pijasz piwo?

- Tylko stary Koryn wie, jak je lubię. Codziennie około południa, gdy większość mieszkańców pałacu jest na obiedzie, wypijam szklaneczkę.

Nie zdołała powstrzymać szelmowskiego uśmiechu, który wykwitł jej na twarzy.

Saxon przyglądał jej się z zadowoleniem.

- Na zdrowie - powiedział.

Wzniesli toast i pociągnęli po sporym łyku.

- Mówiłeś, że ktoś jeszcze widział Gotha? - zapytała Alyssa, poważniejąc.

- Tak. - Saxon zauważył, że dziewczyna jest niezwykle blada. Czy ta wiadomość nie będzie dla niej zbyt wielkim szokiem? Ale zabrnął już za daleko, by się wycofać. - Obserwował go także Clout.

Saxon spodziewał się, że Alyssa silnie zareaguje na tę informację. Był zaskoczony ciszą, jaka zapadła.

- Clout? - wyszeptała wreszcie, jakby po raz pierwszy usłyszała to imię.

Kloek nie odpowiedział.

- Poznał cię?

- Podleciał do mnie, Alysso. Widzisz to zadrapanie na uchu?

- Kiwnęła głową. - Zrobił to, by mnie ostrzec. Siedział na moim ramieniu i razem obserwowaliśmy melinę straccową, w której leżał Goth, tracąc zmysły.

Patrzyła na niego, nie rozumiejąc.

Wzruszył ramionami na swój charakterystyczny kloecki sposób.

- Stracca to ziele. Ludzie je palą i uzależniają się. Oglupia jak żaden trunek.

Alyssa pokiwała głową.

- Opowiedz mi o Cloocie.

- Sądzę, że przyleciał tam, by odnaleźć Gotha. Znalazł go wcześniej niż ja. Być może on także doszedł do wniosku, że Caradoon jest odpowiednią kryjówką dla dwojga łachudrów.

Alyssa zaczęła cicho łkać.

- Jesteś pewien?

- Że to był Cloot? Żaden inny sokół nie byłby tak oswojony. Potrafił nawet trzepotać skrzydłami w odpowiedzi na moje pytania. Jasne, że to był on.

Alyssa otarła łzy rękawem i próbowała się uspokoić.

- To dobra wiadomość - rzekła w końcu. - A Goth? Nadal jest groźny?

Saxon wziął ją w ramiona i mocno przytulił. Widział, że dziewczyna potrzebuje jego siły i poczucia bezpieczeństwa.

- Masz tu ochronę w postaci Sallementra i mnie, nie mówiąc już o Tarczy i elitarnych jednostkach gwardii królewskiej. Nie musisz się niczego obawiać ze strony Gotha - powiedział uspokajająco. Czuł się jak zdrajca, nie wierzył bowiem w ani jedno swoje słowo. Odchrząknął. - Jutro wracam do Caradoon.

- Znowu? - Przerwała i łyknęła ze szklanki, po czym spytała: - Chcesz z nim skończyć raz na zawsze, prawda?

- Niestety, nie. Muszę odnaleźć Cloota. Został pojmany przez handlarzy i obawiam się, że jest już w drodze na Wyspy Egzotyczne.

- Dlaczego wróciłeś, nie zabiwszy Gotha?

Saxon poczuł wyrzuty sumienia z powodu swojej decyzji.

- Pobito mnie do nieprzytomności i wywieziono daleko od Caradoon. Gdy oprzytomniałem, okazało się, że jestem bliżej głównego obozu Tarczy niż miasta piratów. Pomyślałem, że dobrze będzie wrócić i powiedzieć ci o wszystkim.

- Goth nie jest już dla ciebie priorytetem, prawda? - zapytała, z góry znając odpowiedź.

Pokręcił głową.

- Nie, Alyso. Pozostawiam go Herekowi i jego ludziom. Muszę odnaleźć Cloota.

Przez resztę czasu rozmawiali o Gylu. Gdy nadszedł czas rozstania, Saxon uściskał mocno Alyssę, obiecując, że powróci z sokołem Tora.

Pożegnawszy się z nim, Alyssa wróciła do gabinetu królewskiego, jeszcze bardziej zamyślona niż przedtem.

*

- Ależ ja nie potrafię walczyć, Saxonie! Jestem muzykantem!

Saxon westchnął.

- Sallementro - rzekł z naciskiem - nie proszę cię, żebyś walczył. Proszę, żebyś jej strzegł. Jesteś jej drugim paladynem. Bogowie nie wybrali cię wyłącznie z powodu zdolności wokalnych, niezależnie od tego, jak są wielkie.

Obaj się uśmiechnęli. Rozmawiali o tym już wiele razy.

- Tak - rzekł cicho śpiewak. - Ciągłe to sobie powtarzam. Skoro jestem paladynem, wygląda na to, że sporo już przecierpiałem, nim się tu znalazłem.

Saxon przytaknął łagodnie.

- Tego możesz być pewien. To twoje przeznaczenie. Ty i ja jesteśmy przypisani Alyssie i musimy poświęcić dla niej życie. Żaden z nas nie wie, co dokładnie się wydarzy, Sallementro. Jedyne, co wiemy, to to, że musimy dołożyć wszelkich starań, by zapewnić bezpieczeństwo osobom, którymi się opiekujemy. A teraz muszę jechać, by odnaleźć Cloota. Obawiam się, że jest w niebezpieczeństwie.

- Będę jej strzegł.

Saxon dotknął ramienia Sallementra.

- Wiem. Przypilnuj też Gyla.

Przyjaciele uścisnęli się.

- Jak długo cię nie będzie?

Kloek wzruszył ramionami.

- Mam nadzieję, że wrócę szybko, ale Cloot został porwany i wywieziony ze stałego lądu, co prawdopodobnie oznacza, że będę musiał przepłynąć się przez morze, a kto wie, co mnie czeka po drugiej stronie. Słońce jest już wysoko, muszę ruszać. Dotarcie na północ zabierze mi wiele dni, a pogoda się psuje.

Sallementro już miał powiedzieć, że i on słyszał o kiepskich prognozach na najbliższe dni, gdy nagle w pałacu zaczęły bić dzwony. Tego złowróżbnego sygnału nie słyszano tu od czasu egzekucji Torkyna Gynta. Mężczyźni bez słowa ruszyli biegiem, dołączając do dziesiątków mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy wybiegali z pałacu i pędzili co sił w nogach ku głównemu dziedzińcowi.

Gyl zeskoczył ze schodów i wpadł prosto na Saxona, taranując wraz z nim trzy czy cztery inne osoby.

- Na światłość, chłopcze! - zagrzmiął Saxon.

Gyl zaczął wszystkich przepraszać, pomagając wstać kucharce. Saxon spojrział w górę i uświadomił sobie, że chłopak skoczył z wysokości półpiętra. A więc szkolenie nie poszło na marne.

Trzej towarzysze razem przedzierali się przez tłum - Saxon przodem, torując drogę szerokimi ramionami. Pomimo olbrzymiej liczby zgromadzonych osób na dziedzińcu panowała uderzająca cisza.

Na bruku, z podłożonym pod głowę zwiniętym płaszczem, leżała królowa Nyria. Nie poruszała się. Skórę miała jak wosk, a z za ucha płynęła jej strużka krwi, wsiąkając w jasny, aksamitny materiał. Król klęczał przy niej ze zboląłą twarzą.

Uniósł głowę i rozłożył ręce.

- Pomóżcie jej! - zawołał błagalnie.

Najwierniejszy sługa króla, Koryn, położył na jego ramionach kościste, pokryte znamionami dłonie i ścisnął lekko.

- Panie - szepnął wprost w ucho zrozpaczonego mężczyzny - ona poszła już do bogów.

Lorys wydał z siebie ryk rozpacz, po czym uniósł bezwładne ciało królowej i przycisnął do piersi. Teraz wszyscy zebrani zobaczyli, ile krwi wsiąkło już w płaszcz.

Królowa Tallinoru bez wątpienia nie żyła.

Nikt się nie poruszył. Wszyscy byli zbyt wstrząśnięci, by mówić. Potem rozległ się krzyk i jakaś kobieta zaczęła się przedzierać przez tłum. Saxon natychmiast rozpoznał głos Alyssy, a Gyl przesunął się w jej kierunku, gdy znalazła się z przodu i zamarła na widok strasznej sceny.

Łkając, przyklękła obok pary królewskiej, dość blisko, by usłyszeć, co król powtarza w kółko w zakrwawione ucho Nyrii.

- To kara za moje grzechy - szlochał.

8.

FIOLETOWY CAŁUN

Tal pogrążyło się w żałobie. Zgodnie z wielowiekową tradycją mieszkańcy stolicy przyozdobili miasto fioletem, jak zawsze, gdy ktoś z rodziny królewskiej odchodził ku światłości. Na znak szacunku sklepikarze wieszali nad drzwiami fioletowy materiał. W oknach większości domostw powiewały fioletowe proporczyki, a ludzie wpinali sobie w ubrania tasiemki tego koloru. Małe dziewczynki wplatały nawet we włosy świeże kwiaty. Miasto, a w dużej mierze także reszta kraju, na dwa miesiące okryły się fioletowym całunem.

W samym pałacu panowała grobowa cisza. Wykonywano jedynie niezbędne czynności, a kuchnia serwowała tradycyjne żałobne jadło, mdłe i liche. Mieszkańcy mieli je jeść do czasu skremowania ciała królowej.

Przez trzy dni i trzy noce zwłoki Nyrii leżały na zimnym kamiennym łożu w kaplicy, by poddani mogli złożyć jej hołd. Wieść o śmierci królowej rozeszła się lotem błyskawicy i ludzie tłumnie ściągali do Tal. Król nie skąpił pieniędzy na wyżywienie pielgrzymów, którzy przebyli taki kawał drogi, by po raz ostatni zobaczyć swoją panią.

Alyssa też tam przyszła, by się modlić, patrzeć i płakać wraz z rodakami. Początkowo próbowała przestrzegać rozkładu zajęć szkolnych, ale uczniowie nie mogli się skupić, więc drugiego ranka odpuściła sobie i odesłała ich do domów. Ponieważ Lorys zamknął się w swoich komnatach, nie przyjmując gości i z nikim nie rozmawiając, nie miała nic do roboty.

Gyl uciekł przed ponurą atmosferą, zgłaszając się na ochotnika do udziału w ćwiczeniach wojskowych, które Herek i część gwardii królewskiej odbywali na pobliskich wzgórzach.

Saxon na dobre wyniósł się z miasta. Pozostał przy Alyssie dłużej, niż zamierzał, ale w końcu ona sama wysłała go w drogę. Nie mógł jej pomóc, ona zaś wiedziała, że utrata Cloota boli go bardziej niż utrata królowej. Wyjechał wczoraj, a ona gorzko płakała, zastanawiając się, czy jeszcze go kiedyś zobaczy.

Tylko Sallementro pozostawał w pobliżu, ale był tak zajęty przygotowaniem muzyki na ceremonię pogrzebową jej wysokości, że Alyssa nie mogła na razie liczyć na jego towarzystwo. Siedziała więc sama w kącie kaplicy, pogrążona w żałobie, zastanawiając się,

co się teraz stanie z pałacem, kiedy utracił swój klejnot.

Widok pary młodych ludzi, rozpaczających po królowej, przypomniał jej o żalu, jaki odczuwała po stracie Tora. Nigdy nie myślała, że jeszcze kiedyś się zakocha ani że będzie pożałowała dotyku męskiego ciała. Lorys jednak rozbudził w niej te uczucia, a myśl o tym, że jeszcze kilka miesięcy temu pragnęła, żeby królowa nie istniała i żeby Lorys był przy niej, doprowadziła ją do łez.

Jej życzenie się spełniło. Królowa nie żyła.

Alyssa nienawidziła siebie.

Przyglądała się, jak do kaplicy napływa coraz więcej ludzi, wstrząśniętych i zrozpaczonych. Wielu z nich widziało królową za życia jedynie przez krótką chwilę podczas jej podróży po kraju. Jak zawsze promienna i elegancka, Nyria ujęła ich swoją radością z obcowania z nimi i zaskarbiła sobie ich miłość. A teraz leżały przed nimi jej zimne zwłoki.

To wierny Herek opowiedział Alyssie o tym, co się wydarzyło w dniu śmierci królowej. Jak zwykle wyruszył na poranną przejażdżkę z królem, a Nyria postanowiła im towarzyszyć. Galopując przez wrzosowiska, zemdląła i spadła z grzbietu chyżego Freycina, uderzając głową o kamień. Podobny wypadek wydarzył się, gdy Torkyn Gynt był młodszym medykiem w pałacu, wtedy jednak zdołał on ożywić serce królowej i uratować jej życie. Nikt nigdy nie miał się dowiedzieć, czy i tym razem zawiodło ją serce, czy też zmarła w wyniku uderzenia o kamień. Skonała, nim Herek i król zdążyli zsiąść z koni i podbiec do niej.

Herek wyjawiał Alyssie, że król przez co najmniej godzinę wykrzykiwał imię Nyrii. Marszałek nie ośmielił się zasugerować, by wrócili do pałacu, nim Lorys nie doszedł do siebie.

- Nagle przestał krzyczeć - mówił Herek. - Dosiadł rumaka, kazał podać sobie królową i pozwolił się wieść do pałacu, nie narzucając zwierzęciu tempa. Na szczęście napatoczył się stajenny, który wyprowadzał właśnie innego konia. Poleciałem mu pognać przodem z rozkazem, by zaczęto bić w dzwony.

Tylko tyle zdołała się dowiedzieć. Nie rozmawiała z królem od tamtego poranka, kiedy - jako jedna z ostatnich osób w pałacu - dowiedziała się o tragedii. Zajęła się przygotowaniem do publicznej kremacji. Tallinorska tradycja wymagała, by ciało zostało spalone w ciągu trzech dni od śmierci. Wierzono, że jeśli miną cztery noce, dusza nie zdoła odnaleźć światła i będzie skazana na wieczne błądzenie w ciemności.

Lorys nigdy nie naraziłby na to ukochanej żony. Ciało Nyrii miało zostać spalone trzeciego dnia.

9.

SEKRET UJAWNIONY

Alyssa widziała Lorysa na pogrzebie, choć nie zamieniła z nim ani słowa. Zauważyła, że król przez całą ceremonię zaciskał zęby, a potem szybko się oddalił.

Jakiś czas później przybył królewski giermek Edwyd z nieoczekiwaną wiadomością.

- Prosił, żebym przysłała? - zapytała, wiedząc, że zachowuje się głupio, bo chłopak wyraźnie to powiedział.

- Chce panią natychmiast widzieć, panno Alyso - powtórzył Edwyd.

- Tylko się ogarnę i zaraz tam będę - powiedziała, wstając.

Sallementro, śpiewający właśnie pieśń o tragicznej miłości, zerknął na nią. Pokręciła głową i posłała mu całusa. Później porozmawiają.

Zapukała delikatnie do głównych drzwi apartamentu króla i odetchnęła z ulgą, gdy otworzył je Koryn. Był strasznie stary - Gyl nazywał go nawet zgrzybiałym - ale Alyssa uwielbiała mądrość malującą się w jego ropiejących oczach. Po śmierci Merkhuda Koryn był jedynym przedstawicielem pokolenia, które służyło jeszcze staremu królowi Mortowi i pamiętało Lorysa jako dziecko.

Przywitał ją życzliwie i wskazał salon.

- Jestem przekonany, że król doceni pani przybycie o tak późnej porze, panno Alyso - rzekł wykwintnie i zaproponował jej kieliszek wina.

Alyssa nie miała ochoty pić. Jej żołądek nerwowo zareagował na nieoczekiwane wezwanie.

Koryn mimo wszystko podał jej puchar.

- Proszę, panno Alyso.

- Och, Korynie, próbuję się jakoś pogodzić z tym, co się stało. - Zdołała wykrzesać z siebie uśmiech, spoglądając na staruszkę. - Jak się czuje król?

Koryn westchnął cicho.

- Trochę to potrwa, ale zna go pani: nigdy nie przestaje myśleć i teraz, gdy oficjalna część już się zakończyła, wie, że musi dalej rządzić królestwem. Najpierw ta wyprawa, potem to... - Starzec wzruszył ramionami.

- Rozumiem - rzekła Alyssa, kurtuazyjnie sącząc wino. - Będziemy pracować?

- Nie sądzę. Myślę, że po prostu pragnie czyjegoś towarzystwa, panno Alysso. -
Ostatnie słowa Koryn wypowiedział szeptem, bo Lorys właśnie wszedł do komnaty.

Zdenerwowana Alyssa wstała. Lorys był świeżo po kąpieli. Na brodzie i włosach wciąż lśniły mu kropelki wody. Spod niedbale rozpiętej ciemnofioletowej koszuli wyzierała szeroka, muskularna pierś. Alyssa szybko odstawiła piękny szklany puchar, bojąc się, że zgniecie go w palcach.

Wszystkie uczucia, które - jak jej się zdawało - należały już do przeszłości, wróciły. Lorys był piękny. O tyle starszy od niej, a jednak nie mogła mu się oprzeć. Rozpacz czyniła go jedynie bardziej delikatnym i pociągającym. Alyssa miała ochotę uciec, ale zdobyła się na niepewny uśmiech, gdy Lorys zerknął na nią przelotnie, by następnie zwrócić się do służącego:

- Dziękuję ci za dzisiejszą pomoc, Korynie. Proszę, zrób sobie wolny wieczór. Nie będę cię już potrzebował.

Koryn skłonił się i wyszedł, odprowadzany do drzwi przez królewskiego psa Drake'a. Przyzwyczajony do takiego pożegnania starsuszek życzył nawet wielkiemu zwierzakowi dobrej nocy.

Alyssa miała mętlik w głowie. Co powinna powiedzieć? Jak się zachować?

- Dziękuję, że przyszedłaś, Alysso - rzekł król tak nagle, że aż podskoczyła.

- Wszystko w porządku? - zapytał, zauważywszy zmieszanie dziewczyny.

- Ja... To był długi dzień. Przepraszam. Wasza wysokość pewnie najlepiej o tym wie.

Miała ochotę ugryźć się w język. Co za głupota. On jednak najwyraźniej nie zwrócił uwagi na jej nietakt. Nalał sobie kieliszek wina i poprosił ją, by usiadła. W kominku płonął niewielki ogień, stwarzając przytulną atmosferę. Noce były już chłodne i Alyssa przez moment pomyślała o Saxonie, zastanawiając się, jak Kloek poradzi sobie na północy, gdy nadejdzie zima.

Lorys nigdy nie zwracał sobie głowy kurtuazyjnymi wstępami.

- Chcę porozmawiać o Gylu - rzekł.

Alyssa była tak zaskoczona tematem, że źle przełknęła wino i zakrztusiła się.

- Na światłość, kobieto, co się z tobą dzisiaj dzieje? Strasznie jesteś nerwowa. - Po tych słowach Lorys rzucił się jej na pomoc.

- W porządku, panie, nic mi nie jest... To dlatego, że rzadko pijam wino. Odzwyczaiłam się, gdy wasza wysokość był w podróży - wykrztusiła.

Była to kiepska próba zmylenia przeciwnika, ale powstrzymała Lorysa przed

uderzeniem jej w plecy albo, co gorsza, usadowieniem się obok niej.

- Alyso, toż to niemal mleko. Nazywa się morache. Powinnaś docenić jego łagodną słodycz. Ten wykwintny napój pochodzi z pierwszego tłoczenia maleńkich zielonych winogron rosnących na wzgórzach Arandonu. Wybrałem je specjalnie dla ciebie.

Wbrew swoim intencjom poczuła się wzruszona, a nawet nieco rozbawiona.

- Dziękuję, wasza wysokość. Bardzo mi smakuje... a raczej będzie smakować, gdy już przełknę je tak, jak trzeba.

- Mów mi po imieniu, Alyso. Nie jesteśmy teraz w pracy.

„To niebezpieczne” - pomyślała.

- Hm... Mówiłeś, że chcesz ze mną porozmawiać o Gylu, milordzie?

Lorys westchnął, akceptując jej oficjalny ton.

- Tak... tak, w istocie. Postanowiłem dać mu awans. Zostanie podmarszałkiem, drugim oficerem po Hereku. Musimy go przygotować do objęcia najwyższego stanowiska.

Alyssa zerwała się z miejsca.

- Ależ, panie, to po prostu śmieszne!

Gdy król rzucił jej znad kieliszka zmęczone spojrzenie, zreflektowała się.

- Och, wasza wysokość, przepraszam za swoją bezczelność, ale Gyl ma dopiero piętnaście lat. Jak możesz oczekiwać, że żołnierze będą go słuchać?

Lorys otworzył usta, by odpowiedzieć, ale Alyssa zaczęła chodzić po pokoju, nie przerywając tyrady.

- Wystawi się na pośmiewisko. Członkowie Tarczy potrafią być dla niego okrutni, panie. Chcą z niego zrobić mężczyznę. Widziałam, jak się nad nim znęcają, w dobrej wierze, rzecz jasna. Chłopak znosi to dzielnie i zawsze wraca po kolejne cięgi, mnie jednak nie daje to spokoju. Jest najmłodszy w garnizonie... To jeszcze dziecko...

Patrzyła na Lorysa błagalnie.

- Nie jest już dzieckiem, Alyso. Jest mężczyzną. Młodym, zgoda, ale jednak mężczyzną. Mnie zaczęto przygotowywać do objęcia władzy, gdy miałem dwanaście lat. Kiedy mnie koronowano, nie miałem nawet siedemnastu.

- Tak, i bez wątpienia miałeś dobrych nauczycieli, wasza wysokość. Ten chłopiec został porzucony w wieku dwunastu lat. Nauczył się żyć w pałacu, ale w odróżnieniu od ciebie nie został zrodzony do takiego życia.

Król łyknął wina i zapytał od niechcienia:

- A skąd możesz wiedzieć, do czego został zrodzony?

- Panie - rzekła skonsternowana Alyssa - twoja żona, królowa, znalazła go przykutego

do bramy pałacu. Został porzucony przez matkę. Czy wysoko urodzona kobieta postąpiłaby w ten sposób?

- Nie. Ale nic nie wiesz o jego pochodzeniu.

- A ty? - Alyssa była wściekła. Król czy nie król, nie zamierzała pozwolić mu skrzywdzić Gyla.

- W rzeczy samej. Zadałem sobie trud dowiedzenia się tego. Gdy spotkaliście się po raz pierwszy, zauważyłaś zapewne, że pobierał nauki. Potrafił czytać, pisać, liczyć. Jest inteligentny i ma dobre maniery. To nie cygańskie dziecko. Nigdy cię to nie zastanowiło?

W ciągu pierwszych lat znajomości z Gylem często nachodziły ją pytania związane z jego wczesnym dzieciństwem, ale wypierała je ze świadomości. Nie chciała nic wiedzieć. Gyl był jej synem. Należał tylko do niej.

- Nie przywiązuję do tego wagi, wasza wysokość - odparła krótko.

- W takim razie zapewniam cię, że Gyl pochodzi z bardzo dobrego domu. - Lorys widział, że Alyssa nie chce tego słuchać, ale był nieubłagany. - Ojca nie znał, ale matka, dobra kobieta, która, nawiasem mówiąc, przykuła go do bramy pałacu, bo wiedziała, że wkrótce umrze, zrobiła, co było w jej mocy, by mu zapewnić doskonałą edukację. Zależało jej na tym, gdyż ojciec chłopca był, jak słyszałem, szlachetnie urodzony.

Lorys zapędził się na niebezpieczny grunt. Przerwał i pociągnął spory łyk wina.

- Kto nim był, panie?

- Krążą pewne plotki.

- Skąd możemy wiedzieć, czy są prawdziwe?

- Bo potwierdzili je starsi członkowie pałacowego personelu.

- Tacy jak?

- Tacy jak Merkhud. Dlaczego mnie tak męczysz? - zapytał Lorys, sfrustrowany jej dociekliwością.

Alyssa zawrzała gniewem.

- Bo to ja jestem jego matką!

Teraz Lorys nie wytrzymał.

- Nie jesteś jego matką, Alysso! - wykrzyknął bez zastanowienia. - Tylko opiekunką! Ale ja jestem jego...

Zamilkł.

Alyssa opadła z sił. Wino rozbudziło w niej emocje, a złudzenie, w które zdążyła uwierzyć w ciągu ostatnich lat, pod wpływem słów Lorysa pękło teraz jak bańka mydlana. Gyl nie był jej synem, a ona nie była jego matką. Jej syn był martwy. Jego ciało gniło w

poszyciu leśnym.

Podobnie jak ciało jego ojca, Torkyna Gynta, najlepszego lekarza i największego czarodzieja w królestwie. Człowieka, który przyjął swoją śmierć z większą godnością niż przyjął ją ktokolwiek spośród kręcących się wokół pałacu dworzan. Nie powinien być zostać stracony. I nie zostałyby, gdyby nie człowiek, który stał teraz przed Alyssą i spoglądał na nią z takim współczuciem i żalem. To on zarządził barbarzyńską egzekucję jej męża.

Alyssa krzyknęła głośno, przerażona wspomnieniami. Dawne demony znów skoczyły jej do gardła, a ona rzuciła się na sprawcę swoich nieszczęść. Waliła pięściami i otwartą dłonią, czując każde lądujące na skórze Lorysa uderzenie i nienawidząc go za to, że nie próbuje jej powstrzymać. Zamiast tego stał i ze smutkiem przyjmował ciosy.

W końcu wyczerpana osunęła się na ziemię. Przez własny nierówny oddech słyszała, że i Lorys głęboko wciąga powietrze. Czy narobiła hałasu? Nie słyszała kroków w korytarzu ani walenia do drzwi. Tylko pies zareagował, okazując jej większe niż zwykle zainteresowanie i zlizując łzy z twarzy.

- Wynocha, Drake - ofuknął go Lorys.

Pies oddalił się, a Alyssa poczuła, jak silne ręce króla chwytają ją pod pachy i podnoszą. Stanęli twarzą w twarz. Jeden z policzków Lorysa krwawił z zadrapania, drugi był lekko napuchnięty. Rozdarta koszula ukazywała jeszcze więcej ciała, którego Alyssa tak pragnęła dotknąć. Zrobiło jej się słabo.

- Powinnaś boksować w którejś z drużyn Tarczy - powiedział Lorys.

Rozpłakała się. Co za potworna, beznadziejna sytuacja.

- Przypomnij mi, żebyś już więcej nie próbował cię rozśmieszyć swoim błyskotliwym dowcipem.

- Jesteś ranny, panie - powiedziała, spoglądając przez łzy na jego twarz.

- To tylko zadrapanie, w dodatku zasłużone. Przykro mi, Alysso. Naprawdę bardzo mi przykro. Nie miałem prawa rzucić ci tego w twarz. Jesteś dla Gyla wspaniałą matką, a on miał szczęście, że trafił na ciebie.

Stali zbyt blisko siebie. Lorys ujął jej dłoń i przytknął do swojej nagiej piersi. Alyssa czuła, jak wali jej serce - a może to jego serce tak biło? Nie wiedziała, ale chciała, żeby to trwało wiecznie. Chciała rzucić mu się w objęcia i płakać. Płakać nad Gylem, Torem, Saxonem i Clootem, nad tragiczną śmiercią Nyrii i nad swoją własną przeklętą miłością do króla.

- Przebaczysz mi? - zapytał łagodnie.

- Tylko jeśli pozwolisz mi obejrzeć tę ranę.

Kiwnął głową.

Alyssa niechętnie wysliznęła się z jego objęć i wytarła twarz chusteczką nawilżoną wodą z dzbana. Potem zawołała giermka, który spał za drzwiami i na szczęście nie usłyszał hałasu. Dobrze, że król nie pozwalał, by jego komnat strzegła straż, bo mieliby na głowie już trzech gwardzistów.

- Edwydzie, przynieś z moich pokoi kosz z ziołami. Gyl ci pokaże, gdzie go znaleźć. Tylko szybko, mały. Po powrocie możesz się udać na spoczynek.

Giermek oddalił się pospiesznie. Alyssa wróciła do króla i poprosiła go uprzejmie, by usiadł, po czym nalała mu kolejny puchar wina. Przez cały czas czuła na sobie jego wzrok, ale nie pozwoliła sobie na odwzajemnienie spojrzenia.

Była wdzięczna Edwynowi za szybki powrót z koszem. Zamknawszy za chłopcem drzwi, poprosiła Lorysa o odchylenie głowy, by mogła się przyjrzeć ranie. Musiała usiąść obok, chcąc ją przemyć mieszanką ziołową, którą samodzielnie wykonała zaledwie kilka dni wcześniej. Świeże zioła szczypały i Lorys krzywił się, ale Alyssa wiedziała, że zapobiegną zakażeniu. Była to kolejna lekcja, jaką pobrała od Sorrel: „Zabij zakażenie, nim ono cię zabije.

- Przepraszam, że znów sprawiam ci ból, panie.

Lorys westchnął.

- Patrzenie na ciebie, bycie tak blisko i niemożność powiedzenia ci o tym, czego pragnie moje serce, boli dużo, dużo bardziej.

Alyssa zamarła. Ich twarze dzieliło zaledwie kilka cali.

- Nie wolno ci tak mówić, milordzie - wyszeptwała.

Król wyprostował się i ujął jej dłonie w swoje.

- Muszę, Alysso. Inaczej oszaleję z bólu. Kocham cię. Kocham cię od dnia, w którym cię ujrzałem w sali tronowej, bladą i zrozpaczoną. Byłaś piękna i godna podczas egzekucji Gynta i choć nie mogę zaleczyć tej rany, mogę cię błagać o przebaczenie. Mogłem wstrzymać egzekucję, ale byłem już w tobie zbyt zakochany. Nie mogłem znieść faktu, że oddałaś mu swoje ciało. Skoro ja nie mogłem cię mieć, nie chciałem na to pozwolić nikomu innemu. Przez te wszystkie lata twoja bliskość doprowadzała mnie do szaleństwa. Czasem, gdy pracowaliśmy, ze wszystkich sił musiałem się powstrzymać od wyciągnięcia ręki i pogłaskania cię po włosach...

- Panie, proszę! - wykrzyknęła Alyssa. - Prochy królowej jeszcze nie ostygły.

- Milcz, Alysso. Ona wiedziała.

Podniósł ze stojącego obok stolika zwój pergaminu. Alyssa natychmiast rozpoznała

pismo Nyrii. Lorys rozwinął zwój.

- Napisała go kilka dni przed śmiercią, w dniu naszego powrotu z objazdu po królestwie. Dziękuję mi - Lorys zaśmiał się ponuro - za troskę i miłość okazaną jej podczas podróży.

- Nie będę ci czytał całości - kontynuował - ale Nyria przyznaje, że zauważyła, jak nieszczęśliwe były wówczas moje noce, i sugeruje, że czegoś mi brakowało. Brakowało mi, pisze, towarzystwa Alyssy Qyn. Mówi, że nie powinienem robić sobie z tego powodu wyrzutów. Błogosławi związek, który mógłby nas połączyć po jej śmierci, jakby wiedziała, że jesteśmy o krok od tego.

Przerwał. Ponowne czytanie dokumentu przychodziło mu z trudem, choć po śladach palców na pergaminie było widać, że robił to już wielokrotnie. Alyssa podała mu kieliszek. Dopił.

- Muszę dokończyć. Nyria ma nadzieję, że rozważę możliwość uczynienia cię królową. Wierzy, że ty i ja stanowimy idealną parę dla królestwa, które jest w tarapatkach. Nie wiem, co chce przez to powiedzieć, ale tamtego ranka, przed śmiercią, powiedziała mi, że śniła o kobiecie, która wyjawiała jej, że w nadchodzących latach Tallinor znajdzie się w poważnym niebezpieczeństwie i będzie potrzebował silnej ręki, by go przeprowadziła przez ten ciężki czas. Podobno powiedziała także, że jesteś kluczową postacią dla królestwa i że Gyl musi zostać marszałkiem.

- Na światłość, Lorysie! I ty w to wszystko wierzysz? - wykrzyknęła Alyssa ze ściśniętym żołądkiem, rozumiejąc, że oto Lys po raz kolejny wtrąciła się w ich życie.

- Wierzę, że ty i ja powinniśmy być razem. Wierzę, że Nyria okazała się szlachetna aż po grób, błogosławiąc nasz związek. Za tę wielkoduszność będę ją kochał bardziej niż kiedykolwiek. Wierzę, że Gyl z wielu powodów powinien być przygotowywany do roli marszałka i że nasza armia powinna się szykować na mniej pokojowe czasy. Już stary Merkhud mnie przed tym przestrzegał, ale ja nigdy nie przywiązywałem do tego wielkiej wagi. W czasie mojego panowania nie prowadziliśmy żadnej wojny. Współcześni Tallinorczycy znają jedynie pokój i dobrobyt. Ale Merkhud był dziwnym, wszechwiedzącym, starym człowiekiem, a ten sen Nyrii... ta przestroga... Cóż, nigdy nie lekceważyłem sugestii żony, więc i tę rozważę. A teraz powiedz mi, że i ty mnie kochasz, Alysso. Powiedz, że to nie złudzenie. - Słowa wypadały z ust Lorysa niczym lawina, a oczy błędziły po jej twarzy w poszukiwaniu odpowiedzi.

Alyssa milczała, usiłując pozbierać myśli. Ale była już zbyt zakochana.

- Broniałam się przed tym, panie. Chciałam cię nienawidzić. Ale nie udało się.

Uwielbiam cię, Lorysie. Pragnę cię z całego serca, choć czuję się, jakbym krzywdziła Nyrię.

Jego wzrok był dziwnie mętny.

- Zostań moją królową. Stój przy mnie i rządz.

Alyssa wzięła głęboki oddech. Zobaczyła twarz Tora i pożegnała się z nią, po czym wyrzekła upragnione przez króla słowa:

- Zostanę twoją królową, panie, i zawsze będę cię kochać.

Wyciągnął ręce i przyciągnął ją ku sobie. Ich pocałunek był długi i słodki. Zniknęło poczucie czasu i miejsca. Nie było pałacu, tylko ich dwa zespolone w jedność ciała. Miłość została przypieczętowana.

Po chwili Alyssa oparła głowę na jego piersi. Dotyk skóry na policzku sprawił, że miała wrażenie, jakby unosiła się w powietrzu. Chciała, by to uniesienie trwało wiecznie. Potem przypomniała sobie o archalicie. Wyprostowała się z przerażeniem.

- Co się stało? - zapytał Lorys, głaszcząc włosy, których przez tyle lat nie śmiał dotknąć.

- Nadal jestem Nietykalną. Nie wolno mi mieć kochanka, nie mówiąc już o mężu, nawet gdyby był królem. Zabijałeś ludzi za mniejsze przewinienia, milordzie.

- Nyria pomyślała o wszystkim, kochanie. Od lat męczyła mnie w sprawie statusu Nietykalnych. Musiałem przyznać, że od czasu rozwiązania inkwizycji Tallinorczycy są znacznie szczęśliwsi. Uświadomiłem sobie, że trzymaliśmy się kurczowo starożytnego prawa, które swego czasu służyło powszechnemu dobru, ale Goth i jego banda wykorzystali je do prześladowania, kogo im się żywnie podobało.

- Z Nietykalnymi sprawa wygląda podobnie. Hołdowaliśmy obawom, że każda Obdarzona może urodzić diabła, który zniszczy nas wszystkich. To archaiczny przesąd, oparty na legendzie, według której wiele wieków temu obdarzony mocą szaleniec niemal zrujnował cały kraj. Myślę jednak, że teraz jesteśmy już mądrzejsi i musimy patrzeć w przyszłość, zamiast obstawać przy dawnych mitach.

Alyssa z radością słuchała słów Lorysa, zmroziła ją jednak wzmianka o Orlacu, który, jak pisał Nanak, miał powrócić. To nie była legenda. On naprawdę pragnął zniszczyć Tallinor. Ale teraz nie chciała o tym myśleć.

- Jaki zatem masz plan wobec Akademii i Nietykalnych?

- Cóż, Akademia jest bardzo ważna. Musi kontynuować swoją pracę i pozostać przystanią dla młodych kobiet. Nie będą jednak uciekać do niej przed prześladowaniami, lecz wstępować dobrowolnie, ponieważ posiadają dar i mogą ofiarować królestwu coś szczególnego.

- A archalit?

- Nie będzie już potrzebny. Wiem, że te kobiety, które są już naznaczone, nigdy nie będą mogły go usunąć, ale od tej pory żadna Obdarzona nie zostanie w ten sposób napiętnowana. Te zaś, które noszą już znak, będą mogły wieść normalne życie. Jesteśmy waszymi dłużnikami.

- Och, Lorysie! - Alyssa objęła go. - Historia nigdy ci tego nie zapomni. Dajesz wolność tym, które tak długo były niewolnicami.

Cieszyła go jej pochwała.

- Co się tyczy statusu Nietykalnych, będzie im wolno wychodzić za mąż, ale nadal będziemy prowadzić rejestr ich dzieci. Trudno wypełnić stare obyczaje.

- Jestem z ciebie taka dumna. Usuwając te bariery, staniesz się władcą jeszcze silniejszego królestwa. Zaakceptuj Obdarzonych i zachęcaj ich do rozwijania talentów, a nie pożałujesz, Lorysie.

Znów się pocałowali, tym razem mocniej, i żadne nie chciało pierwsze oderwać warg.

Gdy to w końcu nastąpiło, Alyssa uświadomiła sobie, że jest wyczerpana. Ziewnęła.

- Muszę iść.

- Może jednak zostaniesz?

- Nie - odparła z uśmiechem. - Najpierw ślub.

- Zatem umówmy się na pocałunek przy śniadaniu.

- Czujesz się winny? - zapytała, wyslizgując się z jego objęć.

- Przez wiele lat winiłem się za miłość do ciebie, ale nigdy nie przestałem kochać Nyrii. Teraz, gdy pobłogosławiła nas w swoim liście i wyraziła pragnienie, abyśmy po jej śmierci byli razem, czuję jedynie ulgę i radość z tego, że ją znałem i że tak długo była moją żoną.

Alyssa wiedziała, że Lorys ma rację, ale wymogła na nim obietnicę zachowania ich miłości w tajemnicy do czasu zakończenia żałoby. Zgodził się.

- To oznacza, że nie możesz mnie trzymać za rękę ani patrzeć na mnie maślanym wzrokiem. Jeszcze przez kilka miesięcy musimy pracować razem jako król i sekretarka. - Pogroziła mu palcem.

- Obiecuję - powiedział z ręką na sercu, które teraz należało do niej.

- Zanim pójdę, musisz mi powiedzieć wszystko, co wiesz o Gylu. Błagam.

Lorys spojrzał jej głęboko w oczy i poczuł się bezpieczny. Przed przyszłą królową Tallinoru nie musiał mieć tajemnic.

- To mój syn. Dziedzic tronu.

10.

SPOTKANIE W BURDELU

Kiedy Tor przybył do Caradoon, nie został już tam ani Gotha, ani Xantii, ani Janusa Quista. Wynajął w zrujnowanej gospodzie brudny pokój, w którym nie było nic oprócz pryczy i siermiężnej pościeli, niezmienionej po poprzednim gościu. Mógł tam jednak zachować anonimowość. Wszedł do miasta okryty czarem, by uniknąć rozpoznania, ale dowiedziawszy się, że Goth uciekł, wrócił do zwykłej postaci. Nikt nie wiedział, dokąd udał się inkwizytor; a jeśli nawet ktoś wiedział, nie miał zamiaru dzielić się tą wiedzą z nieznajomym.

Trudno. Goth nie był już dla niego priorytetem. Ten wróg mógł poczekać. Tor miał nadzieję, że Saxon natychmiast wrócił do Tal, by zadbać o bezpieczeństwo Alyssy. O to zatem on już nie musiał się troszczyć. Teraz musiał odnaleźć Cloota. Musiał wytropić Janusa Quista i wiedział, że nie może sobie pozwolić na zadanie niewłaściwych pytań. Mieszkańcy Caradoon byli z natury podejrzliwi i nie ufali nikomu, a w szczególności ludziom z południa, nie mówiąc już o tych ze stolicy.

Tor doszedł do wniosku, że chociaż najlepszym i być może najszybszym sposobem zdobycia informacji są doki, jemu lepiej przysłuży się miejscowy burdel. Jeśli sypnie groszem, postawi kilka drinków i zawróci w głowie jakiejś dziewczynie, któż wie, czego może się dowiedzieć.

Quist z pewnością nie był przystojniakiem, ale miał swego rodzaju honor. Sam fakt, że pokazał twarz, świadczył o pewnym poczuciu sprawiedliwości. No i to, że darował Saxonowi życie... Tak, Quist niewątpliwie posiadał pewną charyzmę, i to silną. A tam, gdzie była siła, były i kobiety. Pirat z pewnością korzystał z usług dziewcząt po każdym powrocie z udanej wyprawy. Kierując się tą logiką, Tor skierował swe kroki do burdelu.

Przyglądając się wchodzącym i wychodzącym klientom, rozmyślał o tym, czym oprócz sokołów może handlować Quist. Pirat wspominał, że dostanie za Cloota mnóstwo pieniędzy. Tor przypomniał sobie, że jego przyjaciel mówił coś o handlu niewolnikami. Może tym właśnie zajmował się Quist. Wyglądało to na opłacalne zajęcie, a on, ze swoją arogancją, sprawiał wrażenie człowieka sukcesu. Tym bardziej Tor musiał uważać.

Zmierzając ku drzwiom burdelu, zastanawiał się, jak się zachować, by nie wzbudzić podejrzeń. Z pewnością musiał być pewien siebie. Każda oznaka słabości została by wykorzystana. Wiedział, że już sama jego postura robi wielkie wrażenie, ale tym razem to nie wystarczy. Przystojny mężczyzna wzbudza chwilowe zainteresowanie, on jednak potrzebował czegoś więcej. Zatrzymał się na chwilę w progu, myśląc o tym, i przypomniał sobie słowa Yargo: „Jesteś bardzo tajemniczy, Tor”.

To było to. Nic tak nie pobudza kobiecej wyobraźni jak mężczyzna owiany mgiełką tajemnicy. Kto mu to powiedział? Najbardziej tajemniczy człowiek, jakiego spotkał w życiu: marszałek Cyrus. Mężczyzna, za którym kobiety się uganiały, tak niewiele zarazem o nim wiedząc.

„Kobiety są ciekawskie. Im więcej ukrywasz, tym bardziej pragną odkryć twoje tajemnice. Nie wyjawiaj ich, a nie stracisz powodzenia”.

Tor uśmiechnął się, wspominając mądrość Cyrusa. Zamaszystym ruchem otworzył drzwi i wszedł do zdumiewająco dobrze utrzymanego wnętrza. W świetle faktu, że Caradoon uchodziło za miasto wyrzutków, ostatni bastion ludzkości, za którym leżało już tylko skaliste pustkowie, tamtejszy burdel wyglądał lepiej niż cała reszta. Trzech grajków zabawiało gości świetną muzyką mężczyźni gawędzili przy barze, piękne kobiety obnosiły swoje wdzięki.

Generalnie wyglądało na to, że interes kwitnie. Cała ta aura przywiodła Torowi na myśl lokal „U Panny Vylet”, będący najlepiej zarządzanym burdelem, w jakim kiedykolwiek powstała jego noga.

Początkowo powitano go raczej chłodno. Zamówił sorvino: mętnożółty trunek, drogi, lecz szybko działający i najlepiej rozgrzewający ciało w chłodny wieczór. Nie był jego szczególnym wielbicielem - w czasach pobytu w Tal rozmiłował się w winie, a zwłaszcza w jego łagodnych, południowych odmianach - wybrał go jednak z konkretnego powodu: sorvino było produkowane na północy, a ktoś, kto mógł sobie na nie pozwolić, musiał być zamożny.

Całą obsługę, włącznie z tą przy barze, stanowiły kobiety, co było dla Tora miłą odmianą. Po trzecim kieliszku trunku poczuł, że barmanka zaczyna na niego spoglądać bardziej łaskawie. Mrugnęła nawet, gdy wręczał jej monetę.

- Co taki przystojniak jak pan robi w tym mieście? - zapytała.
- Wpadłem tu przejazdem - odparł.
- Do Caradoon lepiej nie wpadać - ostrzegła go, nie przestając się uśmiechać.
- Podoba mi się tu. Czuję się - odwrócił wzrok, jakby szukał właściwego słowa - anonimowy.
- Tak? - Uniosła brwi z rozbawieniem. - W takim razie jest pan we właściwym

miejscu.

- Tak sędzę - powiedział, siadając na stolku i opierając się plecami o ścianę, by móc się rozejrzeć.

- Ma pan jakieś nazwisko? Nie lubimy tu obcych.

- Petersyn. - Podał pierwsze, jakie mu przyszło do głowy. Uniósł kieliszek. - Za anonimowość.

Uśmiechnęła się ze zrozumieniem i poszła obsłużyć kolejnego klienta.

Teraz, gdy już mógł swobodnie obserwować otoczenie, zauważył, że lokal jest zatłoczony. Musiały istnieć wymagania dotyczące ubioru, bo wszyscy mężczyźni wyglądali bardzo porządnie, jak na piratów, złodziei, rozbójników, morderców i niewolników. Ktokolwiek prowadził ten interes, musiał mieć silną rękę. Wszystkie dziewczyny, podobnie jak „U Panny Vylet”, nosiły piękne stroje.

Jakieś uroczę stworzenie stanęło obok Tora i pochyliło się, by postawić na barze kilka kufli. Ruch odsłonił na moment kształtne piersi, a Tor uśmiechnął się w duchu: stara, ale bardzo skuteczna sztuczka.

- Dzień dobry panu - odezwała się uprzejmie dziewczyna. - Przepraszam, że tak się przepycham.

- Nie ma za co. To było całkiem przyjemne.

- Czym mogę panu służyć?

- Poproszę o coś do jedzenia... cokolwiek pani poleca.

- Wszystko, co tu oferujemy, jest wyśmienite, panie...?

- Petersyn - dokończył Tor.

- Ryba, pieczone mięso, wyborna potrawka z zająca? - proponowała dziewczyna.

- Myślę, że najlepsza będzie ryba, panno...?

- Mam na imię Celya. Jeśli będzie pan miał ochotę na coś więcej, proszę pytać o mnie. Zapewniam, że jestem znacznie lepsza od ryby - rzuciła zalotnie, po czym znikła na zapleczu, gdzie prawdopodobnie znajdowała się kuchnia.

Tor wziął głęboki oddech. Dziewczyna była śliczna i błyskotliwa. Tymczasem wróciła barmanka, proponując dolewkę sorvina.

- Czy może mi pani powiedzieć, kto jest właścicielem tego lokalu?

- Madame Eryna - odparła tamta, rzucając okiem w stronę schodków prowadzących na półpiętro z widokiem na główną salę.

Tor podążył za jej spojrzeniem i ujrzał piękną charyzmatyczną kobietę w sukni koloru ciemnej morskiej zieleni, lustrującą wzrokiem swój przybytek. Nie umknęło jego uwagi jej

podobieństwo do panny Vylet, wyrażające się nie tyle w wyglądzie, ile w postawie.

Miała rude, silnie kontrastujące z zielonym atłasem sukni włosy, zdumiewające na tle bladej cery. Bez dwóch zdań była olśniewająca... i młoda. Nawet z tej odległości, pomimo obfitego makijażu, który pewnie miał ją postarzać, Tor był nią oczarowany.

Jakby wyczuwając na sobie jego wzrok, kobieta obróciła się nagle i spojrzała na niego. Potem przywołała gestem jedną z dziewcząt. Gdy ta podeszła, zamieniły po cichu kilka słów. Dziewczyna zerknęła na Tora i przytaknęła. Madame Eryna ponownie skierowała wzrok na niego i skłoniła się lekko. Tor uniósł kieliszek w geście pozdrowienia.

Wiedział, że musi z nią porozmawiać, ale jak?

Gdy podawano mu posiłek, pojawiła się dziewczyna ze schodów.

- Bardzo przepraszam, że panu przeszkadzam - zagadnęła łagodnie - ale madame Eryna chciałaby się z panem spotkać dziś wieczorem.

- To wspaniale. Będzie mi bardzo miło - odparł Tor, nie posiadając się z radości. - Wolałbym jednak najpierw się posilić.

- Ależ bardzo chętnie przyniesiemy panu świeżą porcję po rozmowie z madame.

- Widzisz... jak masz na imię? - zapytał, patrząc jej prosto w oczy.

- Aymee, proszę szanownego pana.

- Widzisz, Aymee, w tej chwili mam ochotę na jedzenie, a nie na pogawędkę. Jeśli madame Eryna chce się ze mną spotkać, z przyjemnością z nią porozmawiam, gdy już się najem. A teraz, jeśli pozwolisz... - Po tych słowach zabrał się do jedzenia.

W nadziei, że słowa Cyrusa okażą się prawdą, Tor starał się jeszcze bardziej zaintrygować madame, nawet jeśli przy okazji miał ją zirytować.

Speszona dziewczyna wymamrotała jakieś przeprosiny i oddaliła się. Torowi było jej żal i miał nadzieję, że właścicielka nie wyładuje na niej swojego gniewu. Postanowił, że jeśli otrzyma informacje, po które tu przyszedł, kupi Aymee na tę noc. W najgorszym wypadku dziewczyna prześpi się przynajmniej w wygodnym łóżku. Zerknął ku szczytowi schodów, ale pomnikowej postaci już tam nie było. Miał nadzieję, że nie przegapił swojej szansy.

Skończywszy rybę, która istotnie okazała się wyborna, zasiadł nad kuflem piwa i czekał na madame. Wieczór przeszedł tymczasem w noc. Kilka kobiet zdążyło mu zaoferować swoje wdzięki. Wszystkim uprzejmie odmawiał, stawiając im przy okazji drinka w nadziei, że wydobędzie jakiś strzęp informacji na temat Janusa Quista. Nic nie osiągnął, a w dodatku jedna z dziewcząt zaczęła coś podejrzewać i odeszła, nie dokończywszy napoju. Sprawy nie miały się dobrze i Tor zaczynał już przeklinać swój pech, kiedy ponownie zjawiała się Aymee.

- Madame Eryna pyta, czy jest pan teraz gotów wypić z nią kieliszeczek, panie Petersyn.

- Jestem gotów od paru godzin, Aymee. Dziękuję. Może spotkamy się później? - zaproponował.

Dziewczyna tylko się uśmiechnęła. Gestem nakazała mu, by szedł za nią. Zaprowadziła go do apartamentu, w którym ogień w kominku płonął wesoło w otoczeniu kosztownych, miękkich i przytulnych mebli. Na ścianach wisiały dwa piękne gobeliny, tak barwne i misternie wykonane, że musiały być dziełem najlepszych ildagardzkich mistrzów. To nie był pokój właścicielki małomiasteczkowego burdelu, lecz osoby o świetnym guście i wielkomijskich nawykach. Tor miał wielką ochotę dowiedzieć się o tej damie czegoś więcej. Rozsiadłszy się wygodnie w fotelu, swobodnie sięgnął po leżącą na stoliku obok elegancką karafkę i nalał sobie kieliszek wina.

Wkrótce pojawiła się madame. Weszła przez drugie drzwi, zaskakując go.

- Torkynie Gyncie, jak śmiesz kazać mi czekać?

Tor omal nie oblał sobie spodni winem, zrywając się na równe nogi i obracając wzrok ku znajomej postaci. Obfity makijaż i karmazynowe usta zniknęły, a atlasowa suknia ustąpiła miejsca miękkiej, połyskującej sukience. Włosy kobiety nie były już rude ani kręcone. Czarne i gęste, opadały jej prosto na ramiona.

- No, powiedz coś! - zachęciła go z rozbawieniem.

- Erynia!

Klasnęła w dłonie.

- Nie kto inny.

- Ale... twoje włosy... - wybąkał, czując się jak idiota.

- Peruka. Mam ich wiele. - Zaśmiała się serdecznie i przemierzyła pokój, by ująć dłonie Tora w swoje. - Nie pocałujesz starej przyjaciółki?

Tor gapił się na nią jak idiota. Choć o kilka lat starsza, niewątpliwie była to ta sama piękna, błyskotliwa dziewczyna, w której byłby się kiedyś zakochał, gdyby nie Alyssa.

Zawtórował jej śmiechem.

- A niech mnie światłość! Co ty robisz w tym mieście?

- Prowadzę burdel, Tor. Powinieneś być ze mnie dumny - odparła z lekkim rozczarowaniem w głosie i odsunęła się, by nalać sobie kieliszek wina.

- Nie, czekaj. - Chwyił ją za rękę. - Jesteś niesamowita, a mnie po prostu zachwył odebrał mowę.

Rozpromieniła się i zachichotała w znany Torowi sposób. Pochylił się i ucałował ją w

policzek. Popatrzyli na siebie. Pocałował ją znowu, tym razem w usta.

- Zawsze miałam nadzieję, że kiedyś znowu poczuję smak twoich ust, Tor.

Przytulił ją mocno.

- Chcę wiedzieć wszystko o twoim życiu - rzekł, ciągnąc ją na sofę. - Siadaj i opowiadaj.

- Opowiem ci, Tor, ale najpierw muszę się czegoś dowiedzieć. - Zawahała się.

- Pytaj - odparł, wciąż rozradowany faktem odnalezienia starej przyjaciółki.

- Dlaczego tu przybyłeś i rozpytujesz o Janusa Quista?

Uśmiech znikł z twarzy Tora. A zatem wiadomość już się rozniosła.

- Chcę się z nim spotkać.

- Skąd wiesz o jego istnieniu? - zapytała, sadowiąc się w przeciwległym fotelu.

To było podchwytliwe. Nie mógł wyjawić całej prawdy. Kto by uwierzył, że poprzednim razem odwiedził Caradoon w ciele sokoła?

- Od przyjaciela. Poznali się.

- Aha. A jak się nazywa twój przyjaciel?

- Saxon. Saxon Lis.

- Nie znam go, Tor.

- Jasne, że nie. To Kloek. Dlaczego interesujesz się Quistem?

- To stały gość. I miejscowy.

- Ufasz mu bardziej niż mnie?

Pociągnęła łyk wina.

- Tego nie powiedziałam. Ale znam Quista. Nie lubi obcych... a w szczególności takich, którzy wtykają nos w jego sprawy.

Tor spojrzał jej prosto w oczy i wyczuł, że kobieta bardzo ostrożnie dobiera słowa. Nie wiedział, co o tym myśleć.

- Dobrze, Erynio. Czy zrobi ci różnicę, jeśli powiem, że ukradł coś, co należy do mnie?

Parsknęła śmiechem.

- Ależ on się tym trudni, Tor! Jest piratem. Kradnie i handluje.

Tor zachował powagę.

- Może i tak. Tym razem jednak zabrał coś, co ma dla mnie szczególną wartość. Chcę to odzyskać.

- Skoro go nie spotkałeś, skąd możesz wiedzieć, że to on przywłaszczył sobie tę cenną rzecz? - zapytała, kręcąc kieliszkiem i nie patrząc na Tora.

- W tamtym czasie pieczę nad nią sprawował Saxon. Pirat dał mu pałką w łeb i zabrał moją własność.

Erynia nadal wyglądała pięknie, ale była też niezmiernie zakłopotana. Udała, że pociąga kolejny łyk.

- Czy mogłabym ci jakoś zrekompensować tę stratę?

Tor odstawił kieliszek.

- Tego się nie da zrekompensować - rzekł cicho.

- Ależ, Tor - powiedziała, pochylając się tak, że niemal się dotykali - cokolwiek to było, Janus na pewno już to sprzedał. Nigdy nie przetrzymuje skradzionych dóbr dłużej niż dzień.

- Właśnie dlatego pragnę się z nim jak najszybciej zobaczyć... Erynio, co cię łączy z tym człowiekiem? Skąd tyle o nim wiesz?

Zaległa niezręczna cisza. Erynia nie odwróciła jednak wzroku.

- Jest moim mężem.

Tor był zdumiony, ale nim zdążył cokolwiek powiedzieć, kobieta uniosła rękę, by go uciszyć.

- Pozwól, że ci opowiem o swoim życiu po opuszczeniu Hatten. Wtedy zrozumiesz.

Nalała mu kolejny kieliszek wybornego południowego wina i poprosiła, by usiadł i wysłuchał ją. Opowiadała, jak było jej smutno po jego wyjeździe, jak była wściekła, że odszedł bez słowa pożegnania.

- Erynio, przecież to ty powiedziałaś, że nie może być między nami miłości... Tylko przyjaźń, pamiętasz?

- Tak - odparła i wydało mu się, że słyszy w jej głosie tęsknotę.

Tak czy owak, po jego wyjeździe czuła się bardzo samotna. Nadal pracowała u panny Vylet, ale gdy ta niespodziewanie zmarła, wszystko zmieniło się na gorsze. Interes przejęła bogata para. On kiepsko prowadził restaurację, a ona beznadziejnie zarządzała burdelem. Dziewczęta jej nienawidziły, klienci zaś stopniowo znikali.

Tor ze smutkiem przyjął wiadomość o śmierci panny Vylet, dobrej i obdarzonej sporym talentem magicznym kobiety.

- A twoi bracia?

- Hm, tu właśnie zaczyna się ta historia. Petyr, jak się pewnie domyślasz, nie był szczęśliwy. Jako mężczyzna nie mógł się pogodzić z rolą, którą mu wyznaczyłam. W gruncie rzeczy nigdy nie myślałam o nim jako o mężczyźnie, raczej jako o młodszej siostrze. Był tego świadom i to tylko pogarszało sprawę.

Tor kiwnął głową. Erynia opowiedziała mu, jak pewnego dnia jakiś marynarz dotkliwie pobił Petyra, a potem uciekł na statek, zostawiając chłopaka z połamanymi kośćmi.

- ...i zmasakrowaną twarzą - dodała smutno Erynia. - Zabawił się z Petyrem, spuścił mu lanie i zostawił krwawiącego na ulicy. Nigdy nie zapomnę jego nazwiska: Nord Jesper. Kiedyś go znajdę i zabiję.

Nie mogąc się pogodzić z oszpeceniem, Petyr uciekł z Hatten.

- Od czasu śmierci naszej matki zawsze był nieszczęśliwy i niepewny siebie. To smutne, bo jako dziecko był pogodnym chłopcem. - Erynia wzruszyła ramionami i mówiła dalej. - Zaczęłam go szukać. Nienawidziłam życia w burdelu, ale kochałam swoich braci. Nie miałam nic oprócz nich. Postanowiłam więc, że odnajdę Petyra i osiedlimy się w nowym miejscu. Pomyślałam nawet, że mogłabym się udać do Tal i odszukać cię. Podobno cieszyłeś cię we dworze wielką popularnością.

Oboje uśmiechnęli się żałośnie.

- Dopiero po trzech miesiącach odnalazłam go w Caradoon. Spóźniłam się tylko o kilka godzin. Właśnie zmarł.

Erynii załamał się głos. Tor pociągnął ją ku sobie. Kobieta przylgnęła do niego, otarła łzy i dokończyła opowieść.

- Zabiła go stracca. Miał słaby charakter, a ta wiedźma Xantia wciąż go namawiała, żeby brał więcej.

- Xantia? Taka ładna, czarnowłosa?

- Ładna? Nie powiedziałałabym. Skąd ją znasz?

- Spotkaliśmy się w Ildagarth. Mam z nią rachunki do wyrównania.

- Nie ty jeden. - W głosie Erynii pobrzmiwała gorzka nuta.

- Dokończ opowieść - poprosił Tor. Do Xantii mogli wrócić później.

- Nie mogłam nic zrobić. Jego ciało zdążyło już zeszywnieć. Byłam załamana. Nie miałam pieniędzy ani domu, musiałam się opiekować młodszym bratem i pochować drugiego. Wróciłam więc do jedyne go zawodu, jaki znałam. W ten sposób poznałam Janusa. Był moim pierwszym klientem. Nie mogłam znieść dotyku tej jednookiej twarzy. Zauważył to i zamiast mnie zmuszać, przegadał ze mną tę godzinę za pieniądze. Nie wyobrażam sobie, żeby jakiś inny mężczyzna, nie licząc ciebie, płacił za coś takiego. - Uśmiechnęła się do siebie. - Następnego dnia znów przyszedł na godzinę i znów rozmawialiśmy. Wiesz, przychodził tak przez cztery noce z rzędu. Tyle że to ja gadałam, a on słuchał. Myślę, że początkowo było mu mnie żal, ale w którymś momencie się zakochał.

- A ty w nim? - zapytał Tor.

- Nie kocham go tak, jak kiedyś kochałam ciebie, Tor. - Zobaczyła zdumienie w jego oczach. - Tak, złamałam własne zasady. Z nim nigdy nie było tak jak z tobą. Ale pokochałam Janusa za jego łagodność, a teraz kocham go także za życzliwość wobec mnie i dobroć. Gdybyś go znał tak dobrze jak ja, zrozumiałbyś, jaki z niego uczciwy człowiek. Owszem, kradnie i jest w tym świetny, ale czy wiesz, że wydaje mnóstwo pieniędzy, aby pomagać biednym? Zajmuje się pewną rodziną, która straciła w pożarze wszystkie plony i inwentarz, a wkrótce także ojca sześciorga dzieci. Mieszkają niedaleko, po zachodniej stronie. Janus zapewnia im byt. Ale to tylko jeden przykład. Mogłabym ci podać całą listę osób, które żyją dzięki niemu. Dotyczy to również wszystkich mieszkańek tego domu.

Tor pogłaskał ją po włosach.

- A nie przeszkadza ci to, że handluje niewolnikami?

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Janus Quist jest jedynym z lądowych piratów, który nigdy nie zniżył się do handlu ludźmi. Jedynym, który ma jakieś skrupuły.

A zatem mylił się w swoich przypuszczeniach.

- Nie bardzo wiem, co powiedzieć.

Machnęła ręką.

- Och, nie miałam ci tego wszystkiego opowiadać. Ukradł ci coś, a ty chcesz to odzyskać. Rozumiem to, ale nie prowadziłabym tak dostatniego życia, Tor, gdyby nie jego życzliwość.

- Więc ten lokal należy do ciebie?

- Cały. Janus wykupił go od pierwotnego właściciela i podarował mi. - Zaśmiała się głośno. - Powinieneś zobaczyć twarze dziewcząt, gdy się dowiedziały, kim jest ich nowa burdelmama. Ale wiele się nauczyłam od panny Vylet, szczególnie o tym, jak dbać o ludzi, dzięki którym interes się kręci. Wszystkie moje dziewczęta dobrze się odżywiają, ładnie ubierają i prowadzą dostatnie życie. Wiele z nich ma rodziny, a ja pilnuję, by spędzały z nimi dość czasu. Dobrze im płacę, a one odwdzięczają się dobrą pracą. Naprawdę kocham to życie, Tor.

- A czy nadal...?

- Co?

- No, wiesz... czy nadal sama świadczysz usługi?

- Chcesz zapytać, czy uprawiam seks za pieniądze?

Tor oblał się rumieńcem i kiwnął głową.

- Czasami, jeśli naprawdę są przystojni. - Uśmiechnęła się. - Nieczęsto - dodała.

Tor odchrząknął.

- A Quist? Nie sprzeciwia się?

- Sprzeciwia? Skąd. Mówiłam ci już, że Janus jest niezwykłym człowiekiem. Ożenił się ze mną, żeby zapewnić mi pozycję w mieście. Jego nazwisko mnie chroni, bo ludzie go szanują i... tak, trochę się go boją. Kiedy jest w domu, co nie zdarza się zbyt często, żyjemy jak mąż i żona. Ale moje życie należy do mnie i Janus nie wtrąca się w moje sprawy. Pieniądze, które zarabiam, są tylko moje.

Tor pokręcił głową.

- A co u tego łobuza Locky'ego?

- Och, jest wspaniały, Tor. Ma trzynaście lat. To już prawie mężczyzna. Mieszka tutaj. Jak pewnie się domyślasz, dziewczyny go uwielbiają, a on bezlitośnie to wykorzystuje. Moje dochody pozwalają mi zapewnić mu edukację. Wynajęłam też nauczyciela, który uczy wszystkie dziewczęta pisać i czytać. Uważam, że to bardzo ważne. Nigdy nie zapomnę, jak pomógł mi w tym kapitan Margolin. - Westchnęła, wspominając dawne życie. - Tak czy owak, Locky jest szczęśliwy. Marzy o wstąpieniu do Tarczy, gdy osiągnie odpowiedni wiek, i czasami bywa za bardzo bystry, by mu to wyszło na dobre.

- Już jako ośmiolatek był taki!

Oboje parsknęli śmiechem.

- Co zatem zamierzasz zrobić, Tor? Mam na myśli Janusa.

Tym razem to on wzruszył ramionami.

- Znaleźć go. Pomożesz mi?

- Co tak ważnego mógł ci zabrać?

- Ptaka.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Sokoła - uściślił Tor. - Wiele razem przeszliśmy, nim Janus ukradł go mojemu przyjacielowi Saxonowi z zamiarem sprzedania na Wyspach Egzotycznych za duże pieniądze.

- Fakt. - Erynia pokiwała głową. - Sokoły są tam w cenie. Może zadowolilibyś się innym zwierzęciem, gdybym je dla ciebie, nazwijmy to, zdobyła?

- Nie. To musi być Cloot. Przykro mi, Erynio. To mój towarzysz. Obiecuję ci jedno: gdy odnajdę twój mąż, nic mu nie zrobię.

Erynia odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła niepohamowanym śmiechem.

- Jemu? Troszcz się o siebie, Tor. Janus to groźny przeciwnik. Ma siłę dziesięciu ludzi. Widziałam kiedyś, jak w pojedynkę i bez broni położył sześciu.

- Nie będziemy walczyć - odparł spokojnie Tor. - Nie chcę go skrzywdzić. Chcę tylko

odzyskać swoją własność.

- A jeśli już jej nie ma?

- Pomoże mi ją odnaleźć.

- Zaskakuje mnie twoja arogancja, Tor. Bardzo się zmieniłeś od czasu, gdy byłeś nieśmiałym prawiczkim.

Tor uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Miałem powody, by się zmienić. Ty natomiast wcale się nie zmieniłaś, Erynio.

Nadal jesteś szczerą do bólu i zabójczo piękna.

Komplement wyraźnie sprawił jej przyjemność.

- To co, pomożesz mi?

Spojrzała na niego z konsternacją.

- Jak?

- Powiedz mi, dokąd mógł popłynąć Janus, a potem pomóż dostać się na pokład najbliższego statku odpływającego w tamtym kierunku.

Erynia przez dłuższą chwilę popijała w zamyśleniu wino, wpatrzona w płomienie. Tor nie ponaglał jej. Wiedział, że kobieta próbuje odpowiedzieć sobie na pytanie, czy taka pomoc nie będzie z jej strony zdradą męża.

- Popłynął do Voronina na Wyspy Egzotyczne - rzekła wreszcie - a stamtąd miał się udać do Cypryżji.

- Kiedy wyruszył?

- Trzy dni temu.

- Ile czasu zabierze mi dostanie się tam?

- Szybkim statkiem, przy dobrej pogodzie, około tygodnia.

Tor kiwnął głową.

- Znasz kogoś, kto ma taki statek i jest teraz w porcie? - zapytał z nadzieją.

- Tak - odparła. - Nazywamy go Czarnorękim. To największy łotr, jakiego można sobie wyobrazić.

- Zaryzykuję, Erynio. Jak mogę się dostać na pokład?

- Mogę cię wprowadzić. Właściciel jest mi winien pieniądze, a poza tym...

- Nie chce zatargów z Quistem?

Erynia parsknęła śmiechem.

- Coś w tym rodzaju. Zdaje się, że wypływa jutro. Zobaczą, co się da zrobić, Tor. A jakie masz plany na dzisiejszy wieczór? Gdzie się zatrzymałeś?

Zauważył, że jego rozmówczyni z trudem powstrzymuje ziewanie. Pocałował ją w

rękę.

- „Pod Kotwicą”.

Skrzywiła się z niesmakiem.

- Owszem, w tej zapchlonej dziurze, żeby nie było wątpliwości. Dam sobie radę.

- Zostań tutaj. - To nie była propozycja.

Tor pokręcił głową i wstał.

- Nie. Nie mogę cię tak wykorzystywać. Dziękuję z góry za wszystko, co zrobisz dla mnie jutro.

- Nalegam, Tor. Nie pozwolę na to, żeby ten stary zdzierca z „Pod Kotwicą” zarobił na tobie. To miejsce nie nadaje się nawet dla psa. Mówię ci, zostań. Mamy mnóstwo miejsca.

Zauważyła, że Tor się waha.

- A może spodobała ci się któraś z dziewcząt? Zauważyłam, że przyglądasz się Aymee. Mógłbyś przyjemnie spędzić swoją ostatnią noc na stałym lądzie. Podobno nadal jesteś amatorem kobiecych wdzięków - powiedziała niewinnie, unikając jego spojrzenia i wstając, by dorzucić drewno do kominka.

- Skąd możesz to wiedzieć, mieszkając w tym zaścianku?

- Och, śledziłam twoje losy. Panna Vylet wydawała się dużo o tobie wiedzieć i z radością dzieliła się ze mną nowinkami. Podobno mieliście wspólnego znajomego.

- Owszem - przyznał, przeczesując palcami włosy.

Zaśmiała się.

- Wiesz, ten gest nadal cię zdradza. Kiedyś też tak robiłeś, gdy byłeś zakłopotany.

- Erynio, co jeszcze zdążyłaś zauważyć w ciągu tej krótkiej rozmowy?

- Wiele rzeczy. Co się stało, Tor? Panna Vylet powiedziała mi przed śmiercią, że udałeś się do Ildagarth z jakąś szczególną królewską misją. Wtedy nawet nie wiedziałam, gdzie to jest.

- Rzeczywiście, udałem się tam - odparł Tor, mając przed oczami wyrazisty obraz chwili, w której ponownie ujrzał piękną Alysę Qyn - i minęło dużo czasu, nim wróciłem do Tal i do pałacu.

- Mów dalej - zachęciła, zaintrygowana jego tęsknym, niemal żalonym tonem.

- To długa historia, Erynio - rzekł ze smutkiem.

- Mogę ją usłyszeć? - zapytała łagodnie, wyczuwając jego ból.

- A masz dużo czasu?

- Całą noc. Nie robię dziś nic szczególnego, no i dysponuję najwygodniejszym łóżkiem w całym domu... Mogę cię zapewnić, że się nie zapadnie.

Tor nie wiedział, czy ma się roześmiać na wzmiankę o ich poprzedniej wspólnej nocy, czy okazać oburzenie propozycją.

- Nie jestem pewien, czy mam dość pieniędzy, by spędzić całą noc ze słynną madame Eryną. - Już miał przejechać palcami po włosach, ale powstrzymał się.

Erynia uśmiechała się z szelmowskim błyskiem w oku.

- To na koszt firmy, Tor... Przez wzgląd na dawne czasy.

*

Kochali się namiętnie. Rozkoszowali się ponownym odkrywaniem własnych ciał, pocałunkami i pieszczotami, dopóki wyczerpany Tor nie opadł na grube poduszki z gęsiego pierza. Tym razem to on wtulił się w jej wyciągnięte ramiona. Miała zachwycająco miękką skórę. Od wielu lat nie dotykał niczego tak wspaniałego. Zapomniał już, jak dobra dla ducha może być miłość kobiety.

- Jesteś piękna, Erynio. Dziękuję - wyszeptał.

Erynia nigdy nie przestała go kochać i zawsze miała nadzieję, że kiedyś znów się spotkają... i będą razem. I oto był, znacznie dojrzałszy, zdolny dorównać jej w sztuce miłosnej, ale wciąż tak bardzo podobny do tego zagubionego chłopca, którego przed laty wybrała na króla morza. Co wywołało ten ogromny smutek?

Mimo refleksyjnego nastroju nie zdołała powstrzymać chichotu, uświadamiając sobie, że Tor głaszcze jej piersi i przemawia do nich, wyrażając swój podziw.

- Miło znów słyszeć twój śmiech - rzekł, unosząc głowę.

- Teraz musisz mi wszystko opowiedzieć, Tor. Czuję, że kryje się za tym jakaś niesamowita historia. Zwariuję, jeśli jej nie usłyszę.

Złapała go za gęste, czarne włosy i pociągnęła mocno. Tor uśmiechnął się żałośnie. Stary Cyrus miał rację. Bez wątpienia był znawcą kobiet.

- To nie będzie przyjemna opowieść, Erynio. Nie pośmiejemy się razem - ostrzegł.

- Nie ma sprawy. Nieprzyjemną też chcę usłyszeć.

Opowiedział jej wszystko. Wreszcie, gdy za oknem nieubłaganie wstawał świt, przytulili się tak mocno, jakby już nigdy nie mieli się rozstać... i zaczęli płakać.

11.

NA POKŁADZIE „OSY”

Erynia spisała się na medal. Zdumiona i zaniepokojona opowieścią Tora, obiecała, że nikomu nie pisnie na ten temat słówka. Po pożegnalnym, powolnym akcie miłosnym udała się na poszukiwanie kapitana „Osy”. Tor nie miał pojęcia, co zaszło tego dnia między Erynią a Czarnorękim, ale po południu był już w porcie, żegnając ją czule. Załatwiła mu maleńką, ale bezpieczną kajutę na pokładzie statku, który tego dnia miał wypłynąć na Wyspy Egzotyczne.

- Nie wiem, jak ci dziękować, Erynio - rzekł, żałując, że znów tak szybko musi się rozstać z tą piękną kobietą.

- Dbaj o siebie, Tor. Wróć i odnajdź swoją Alysse. Zaslugujecie na to, by być razem.

Tor próbował poprawić jej nastrój.

- Och... A ja miałem nadzieję, że chcesz, żebym wrócił do ciebie... - Uśmiechnął się najbardziej ujmującym ze swoich uśmiechów.

- Ja pierwszą pokochałeś i... - ze smutkiem wlepiała wzrok w czubki swoich butów - przypuszczam, że nigdy nie przestaniesz jej kochać.

Podbiegł do nich młody chłopak o ogorzalej od wiatru twarzy, prawdopodobnie od dawna pracujący na statku.

- Kapitan Czarnoręki chciałby jak najszybciej wypłynąć, proszę pana. Musi pan już wsiadać.

Odszedł, nie czekając na odpowiedź.

- Proszę, Erynio, rozchmurz się. Nie mogę cię zostawić w takim nastroju.

- Nic mi nie będzie - powiedziała, uśmiechając się niemrawo. - Ostatnia noc była cudowna. Cieszę się, że zostałeś.

- Hm... ale chyba nie wspomnisz o tym mężowi? - zapytał, udając niepokój i tym razem wywołując na jej twarzy szczerzy uśmiech.

- Byłeś po prostu jednym z klientów, Tor. To samo będę mówić wszystkim. Nawiasem mówiąc, na pokładzie czeka na ciebie niespodzianka ode mnie.

Zerknął na nią z zaciekawieniem, ale nie było już czasu. Ktoś gwizdnął głośno z pokładu, oznajmiając, że za chwilę statek naprawdę odbije od brzegu. Nie mogąc się dłużej

ociągać, Tor ucałował Erynię w usta, uściśnął jej dłoń i wszedł po trapie.

*

Pirat znany jako Czarnoręki zawdzięczał swój osobliwy przydomek czterdziestu trzem uschniętym dłoniom zdobiącym główny maszt jego okrętu, „Osy”. Były to trofea pochodzące od ludzi - w tym dwóch kobiet - którzy w mniemaniu kapitana obrazili go dość mocno, by zapłacić za to utratą tej cennej części ciała. Z dumą zademonstrował Torowi swoje łupy, objaśniając dokładnie, która z rąk należała do kogo i dlaczego już nie należy. Kapitan eksponował swoje skarby, by wszyscy podróżujący z nim, a jeszcze bardziej ci, którzy z nim nie podróżowali, pamiętali, że należy się z nim liczyć.

Był imponującą postacią: niemal tak wysoki jak Tor, ale dwa razy szerszy, o grzmiącym głosie, ustach pełnych żółtych zębów i krwawiących dziąseł. Jego oddech tak cuchnął, że członkowie załogi, jeśli tylko mogli, omijali go szerokim łukiem. Wiedział o tym i wykorzystywał swoją dolegliwość, by jeszcze bardziej ich zastraszać. Tor utkał subtelny czar neutralizujący smród i kapitan ze zdumieniem zauważył, że jego nowy gość nie cofnął się w tył, gdy stanął w odległości stopy od niego.

Chłopak, który wcześniej wzywał Tora na pokład, teraz przyszedł do niego z lakoniczną wiadomością od Czarnorękiego.

- Kapitan ma nadzieję, że zje pan z nim dziś kolację - powiedział i natychmiast się ulotnił.

„O rany, nie mogę się tego doczekać” - pomyślał z ironią Tor, wyobrażając sobie szczerzące się doń znad stołu pokrwawione zęby Czarnorękiego.

Rozejrzał się po dusznej kajucie, ciekaw, o jakiej niespodziance mówiła Erynia. Zrobiła już dla niego więcej, niż miał prawo żądać. Jego opowieść zaniepokoiła ją tak dalece, że do rana oboje nie odezwali się słowem. Kobieta nie wątpiła w ani jedno słowo Tora, on jednak umiejętnie pominął pewne fakty. Nie miało sensu mówić Erynii, że jest Obdarzonym, postarał się więc usunąć wszystkie szczegóły, których nie dałoby się wytłumaczyć bez wzmianki o magii. Erynia nie miała pojęcia o publicznej egzekucji Tora. Panna Vylet, jej źródło informacji, zmarła przed tym wydarzeniem, a do Caradoon wieść o śmierci sławnego medyka jeszcze - ku jego zadowoleniu - nie dotarła.

Erynia usłyszała tragiczną historię utraconej, odnalezionej i brutalnie przerwanej miłości. Jej romantyczna dusza spięła słowa Tora niczym słodkie wino. Nie podobało mu się, że musi ją okłamywać, wiedział jednak, że cała prawda nie tylko by jej nie pomogła, ale wręcz mogłaby zaszkodzić.

Zdawał sobie sprawę, że dziewczyna żyje pod kloszem. Cały handel odbywał się w

porcie. Piraci nigdy nie przynosili do domu swoich łupów, jedynie dochody z ich sprzedaży. Dzięki tym dochodom i dobrym glebom wokół miasta gospodarka Caradoon mogła funkcjonować w miarę niezależnie od reszty królestwa. Tor zastanawiał się, jak to możliwe, ale, jak powiedziała Erynia, po co drapać coś, co nie swędzi? Zrozumienie tej dziwnej logiki zabrało mu trochę czasu, w końcu jednak przyznał, że dla stolicy wygodniejsze jest przyglądanie się temu wszystkiemu z daleka. Caradoon rządziło się niczym maleńkie niezależne księstwo, a jego ludność i sposób życia na razie nie wkraczały na południe, po cóż więc dwór miałby sobie zawracać głowę tym położonym daleko na północy miasteczkiem?

- A niewolnicy? - zapytał. - Skąd pochodzą?

Erynia wzruszyła ramionami.

- W każdym razie nie stąd, i raczej nie z Tallinoru. Głównie z maleńkich wysepek południowego zachodu, połączonych - o ile mi wiadomo - płytkimi kanałami. Janus mówi, że to ludy koczownicze, przemieszczające się z wyspy na wyspę. Nie są wojowniczy, więc nie ma problemu z ich pojmaniem.

Pukanie do drzwi kabiny wyrwało Tora z rozmyślań.

- Proszę! - zawołał, odwracając się.

Do kajuty wszedł wysportowany chłopak średniego wzrostu, z szopą niesfornych czarnych włosów. Mógł mieć jakieś trzynaście lat.

- Pamiętasz mnie? - zapytał z szerokim uśmiechem.

Tor zmarszczył brwi.

- Nie za bardzo - przyznał po chwili.

Zielone oczy przyglądały mu się z rozbawieniem.

- Pożar na statku... burdel... trzy duki i...

- Locky! - wykrzyknął Tor. - Na światłość, ale wyrosłeś!

Zuchwały brat Erynii przybrał kokieterijną pozę.

- Przystojniak ze mnie, co?

- I skromniś - dodał Tor, po czym uściśnął mu dłoń. - Miło cię widzieć. Erynia sporo mi o tobie opowiedziała.

Chłopak uśmiechnął się drwiąco.

- Dziwię się, że znalazła na to czas - rzekł, unosząc brwi.

Tor zdążył zapomnieć, że Locky już jako ośmiolatek był szczery do bólu. Pięć lat później miał równie cięty język, tyle tylko, że urósł. Ale Tor nadal był wyższy i umiał to wykorzystać.

- Postępujesz niegodziwie, tak lekceważąco wyrażając się o siostrze, której majątek,

nieważne, jak zarobiony, daje ci szansę na dobrą edukację.

Locky Gylbyt rzadko zapominał języka w gębie, ale tym razem tak się stało.

Tor mówił dalej, zaskoczony własnym gniewem.

- Poza tym to wyjątkowa kobieta, bardziej inteligentna i wrażliwa niż wszystkie dziwki Tallinoru razem wzięte. Szanuj ją, Locky, bo zasługuje na to w każdym calu.

Nie uszło jego uwagi, że chłopak czuje się urażony. W głębi duszy Tor wiedział, że Locky popisywał się, ale on sam nie był w nastroju do żartów. Ponowne spotkanie z Erynią przypomniło mu, ile przyjemności może dać mężczyźnie obcowanie z kobietą. I nie chodziło tylko o oczywistą rozkosz fizyczną. Takiego uczucia bliskości nie doświadczył od czasu tych błogich dni w Sercu Lasu, przy boku świeżo poślubionej, ukochanej Alyssy. Przyjaźń z Clootem była czymś innym, choć dzielili się ciałami w sposób bardziej intymny, niż ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić. Ale trzymać w ramionach kobietę, śmiać się razem z nią, słyszeć jej myśli, kochać ją... Tak musiał wyglądać raj.

A teraz, gdy Tor przyzwyczajał się do nieprzyjemnej myśli o co najmniej ośmiodniowej - tyle trwał pełen tallinorski tydzień - męczącej podróży z Czarnorękim do nieznanых miejsc w ciasnej, dusznej kajucie, nie mając na kim wyładować frustracji... napatoczył się Locky.

- Przepraszam, Tor... Nie miałem zamiaru...

- Wiem. Wszystko w porządku. Nie dręcz się, po prostu postaraj się zapamiętać, żeby nie rzucać obelg, nie mając pewności, że dana osoba na nie zasłużyła.

- Będę pamiętał. Jeszcze raz przepraszam.

Ledwo za Lockym zamknęły się drzwi, Tor zaczął żałować swojego wybuchu. Będzie musiał jakoś to chłopakowi wynagrodzić. Wiedział, że przesadził. Martwił się o Cloota i o to, jak Alyssa zareaguje na wieść o tym, że Goth żyje. Niepokoił się też, że ścigając Quista, może stracić z oczu swojego prawdziwego wroga. W kółko zadawał sobie pytanie, dokąd mógł zbiec Goth i czy nadal towarzyszy mu Xantia. Wreszcie, nie mogąc już znieść napięcia, postanowił wyrzucić na pokład.

Drugi oficer Czarnorękiego przemawiał właśnie do załogi. Późnopołudniowy wiatr wydymał żagle „Osy”, która szybko przemknęła przez wąski przesmyk i wyszła na pełne morze. Tor oparł się o reling. Docierały do niego niektóre słowa marynarza: najpierw statek miał się zatrzymać na jednej z niezaznaczonych na mapach wysepek archipelagu Trefel, by zabrać pierwszego oficera i niewolników, a następnie ruszyć ku Cypryzji, stolicy Wysp Egzotycznych.

Nazwa Cypryzja obiała się Torowi o uszy. Było to niesamowicie bogate miasto,

rządzone przez królową Sylven. Merkhud powiedział mu kiedyś, że trzyma ona rzekomo harem mężczyzn, których zadaniem jest „zaspokajanie jej potrzeb”. Uśmieiali się setnie. Tak czy owak, Cypryzja była potężnym miastem na terenie potężnego państwa, rządzonego przez potężną kobietę. Należał mu się szacunek, nawet jeśli jego kontakty handlowe z Tallinem nie były duże.

- Podobno nadchodzi sztorm - rzekł na koniec oficer. - Musimy zachować czujność.

Do Tora podszedł chłopiec okrętowy, Ryk, ten sam, który wcześniej wzywał go na pokład.

- To nasz ostatni rejs w tym sezonie - zagaił.

- Tak? - zainteresował się Tor, obracając twarz ku chłopcu.

- Kapitan Czarnoręki zgodził się wypłynąć jeszcze raz, chociaż pogoda nam nie sprzyja, a on nie lubi jej mieć przeciwko sobie.

- Czy niewolnicy są dla niego tak ważni, że jest gotów stawić czoło gniewowi niebios, Ryk?

- Ależ nie, proszę pana. Nie niewolnicy. Pasażerowie. Madame Erynia sporo zapłaciła za pański kurs, a oprócz pana mamy na pokładzie jeszcze jednego specjalnego gościa. Podśluchałem, jak kapitan mówił, że przy tym, co ten facet nam płaci, cały pozostały ładunek to czysty zysk.

Ryk zrobił nagle wielkie oczy, uświadamiając sobie, że być może powiedział za dużo. Nie chcąc go przestraszyć - mógł się jeszcze przydać podczas tego rejsu - Tor szybko skierował rozmowę na inne tory.

- Czy ten drugi gość także będzie dziś na kolacji?

- Nie, proszę pana. Nie wolno mu przeszkadzać do końca podróży. - Ryk wypiął dumnie pierś. - Jestem osobiście odpowiedzialny za jego potrzeby - dodał.

- Rozumiem. W takim razie masz bardzo ważne zadanie, Ryk. A ten człowiek musi być kimś niezwykłym, skoro wymaga całej twojej uwagi.

Ryk rozpromienił się.

- O tak, proszę pana. To sługa bogów, a w dodatku bardzo bogaty.

- Cóż, gdyby twój kapitan miał ochotę z kimś pogawędzić, z wielką chęcią przedyskutuję z nim sprawę nieprzychylniej pogody.

Ryk uśmiechnął się szeroko.

- Wspomnę mu o tym, gdy znów będę w jego kajucie, doktorze Petersyn.

Tor był wdzięczny Erynii i gwiazdom za utrzymanie w tajemnicy jego prawdziwej tożsamości. Dziewczyna wykazała się wielką mądrością. „Nigdy nie wiadomo, kto może

podsluchiwać na łączu” - przestrzegał zawsze Merkhud, ucząc go, jak osłaniać umysł przed inwazjami z zewnątrz.

Przez pierwsze kilka dni podróż przebiegała bez zakłóceń. Wiatr przeszedł w łagodną bryzę, płynęli więc powoli - znacznie wolniej niż chciał kapitan, który podczas wspólnych kolacji z Torem był w coraz podlegszym nastroju. Tora nużyły te spotkania, ale pirat nalegał, by mu towarzyszył i godzinami zanudzał go opowieściami o swoich największych sukcesach, rozwodząc się nad tym, jak to złupił kolejny statek albo pojmał tylu moruckich niewolników, że ledwie mieścili się na okręcie.

- Co z tego, że połowa z nich zdechła? - prychnął pomiędzy łykami mocnego trunku. - Za żywych dają w Cypryzji kupę forsy.

Tor miał już serdecznie dość jego towarzystwa. Tęsknił za stałym lądem i możliwością poczynienia konkretnych kroków w celu odnalezienia Cloota. Jedynymi przyjemnymi chwilami w tej podróży były te spędzone z Rykiem lub Lockym. Ryk ciągle miał coś do roboty, jak nie dla kapitana, to dla tajemniczego księdza, ale jakimś sposobem zawsze znajdował chwilę na rozmowę z Torem, do którego - sądząc z pełnych czci spojrzeń - najwyraźniej miał słabość. Locky, jak się okazało, także pracował na statku, by opłacić swój przejazd na Wyspy Egzotyczne, ale z racji powinowactwa z Quistem wykonywał tylko drobne posługi.

- Czarnoręki nie zaryzykuje obarczenia mnie robotą, która mogłaby rozgniewać Quista - wyjaśnił chłopak.

- Wszyscy się go tak boją?

- Szanują go, bo jest najlepszym piratem w Caradoon. Poza tym jest sprawiedliwy. Kiedy napada na statek, zabiera tylko połowę ładunku, i to bez rozlewu krwi, chyba że załoga się broni. On woli, gdy ucieka. Uwielbia pościgi, ale nie popiera zabijania.

- I co, ofiary bez oporu oddają tę połowę? - zapytał Tor.

- Tak. Wiedzą, że nikogo nie zabije, więc wszystko odbywa się bez przemocy. Dzięki temu Quist nie traci ludzi, szybko przejmuje towar i szybko na nim zarabia.

- Cwaniak. - Tor był pod wrażeniem.

- Fakt. Erynia na pewno ci powiedziała, że Quist nie handluje niewolnikami, ale ma tak rozwiniętą siatkę szpiegowską, że dokładnie wie, który statek co wiezie, nim ten jeszcze wypłynie z portu. Nigdy się nie myli, z każdej wyprawy wraca z łupem. Poza tym dobrze płaci załozie i troszczy się o nią, co znacznie poprawia jej morale. Żaden inny pirat tego nie rozumie - kontynuował Locky z wyrazem niesmaku na twarzy. - Weźmy Czarnorękiego. Wprowadził terror, a każdemu, kto na niego krzywo spojrzy, obcina rękę. Na światłość, co za

zakuta pała! Kiedyś ktoś go wykończy. Pływają z nim tylko największe męty Caradoon, bo nikt inny nie jest na tyle głupi.

Tor podjął wątek.

- Fakt, załoga jest niechlujna i ślamazarna, żarcie ohydne, a łajba w oplakany stan.

- Racja. Módl się, żeby nie dopadł nas sztorm, bo nie wiem, czy „Osa” go przetrzyma.

- Słyszałem, że to ostatni rejs w tym sezonie. Czy to znaczy, że Czarnoręki spędzi zimę w porcie i naprawi statek?

- Tak, ale ludzie mówią, że już teraz nie powinien wypłynąć, tylko zaślepiła go chciwość. Wiesz, że ryzykuje tę podróż ze względu na ciebie i tego strasznego księdza, który zapłacił za swój przejazd fortunę?

- Właśnie, co to za jeden?

- Nie mam pojęcia. Nie widziałem go. To wszystko jest bardzo tajemnicze. Nawet Ryk, który normalnie wszystko by wypaplał, trzyma gębę na kłódkę ze strachu.

- Wspominał mi, że facet jest okaleczony, ale nie zdradził szczegółów.

- Tyle to i ja słyszałem. Myślę, że nic wielkiego się za tym nie kryje. Może gość po prostu przed czymś ucieka i musi ukryć swoją tożsamość.

- Może i tak. - Tor coraz bardziej miał ochotę poznać dziwnego nieznajomego. Przy rozmowie czas płynąłby szybciej, odsuwając jego myśli od niemożności konstruktywnego działania.

- Powiedz no - zmienił temat - dlaczego właściwie płyniesz tym statkiem?

- Erynia ci nie powiedziała?

Tor pokręcił głową.

- Hm, po prostu nie wierzyła, że Janus ci zaufa. Szczerze mówiąc, on nie ufa nikomu oprócz niej. Choćbyś nie wiem jak go przekonywał, nie uwierzyłby w twoją historię. Pomyślała, że jeśli zjawimy się razem i poręczę za ciebie, Janus może cię wysłucha. Można powiedzieć, że jestem twoim zabezpieczeniem - powiedział Locky, odzyskując swoją zuchwałość.

Tor z ulgą przyjął fakt, iż chłopak nie spoważniał do reszty.

- Twoja siostra pomyślała o wszystkim - rzekł, znów mile zaskoczony przez tę drobną dziewczynę, która kiedyś, gdy życie było znacznie prostsze, a przyszłość świetlana, wybrała go na króla morza.

- Słuchaj, naprawdę przepraszam za to, co wtedy powiedziałem. Kocham Erynię. Gdyby nie ona...

Tor ścisnął Locky'ego za ramię. Słowa nie były potrzebne: jego gest powiedział

chłopcu wszystko, co można było w tej sprawie powiedzieć.

Czwartego dnia przestał myśleć o drugim pasażerze. Przewalające się fale przyprawiały go o mdłości. Najwyraźniej nie nadawał się na marynarza. Zapomniał jednak o kłopotach żołądkowych, gdy dobiegł go okrzyk z bocianiego gniazda.

- Od zachodu idzie sztorm! - zawołał obserwator i załoga rzuciła się do pracy.

Przed nimi kłębiły się posępne, fioletowe chmury. Pachniało deszczem. Tor przypomniał sobie dzień, w którym do domu jego rodziców we Flat Meadows zawitał Merkhud. Tamtego wieczoru niebo miało podobną barwę i wkrótce rozpętała się straszna burza, smagając ziemię deszczem i wichrem.

Tyle się wydarzyło od czasu, gdy doktor Merkhud zaproponował mu, by został jego uczniem w pałacu w Tal. Tamtego wieczoru Tor pokazał staremu medykowi obraz trzech magicznych kulek, mieniających się barwami, oplatającymi jego dłonie i prześlizgującymi się pomiędzy palcami. Na ich widok Merkhud zbladł jak ściana. „To Kamienie Ordoltu” - powiedział.

Teraz, spoglądając na złowieszcze chmury, Tor zastanawiał się nad zagadką kulek. W ostatnich rozpaczliwych chwilach pobytu w Sercu Lasu, gdy odbierano mu jego śliczne dzieci, zdążył przekazać kamienie Sorrel. To było jedyne, co mógł dać tej trójce. Żywił jakąś mglistą nadzieję, że te magiczne drobiazgi zapewnią im wszystkim - Gidyonowi, Lauryn i staruszce - bezpieczeństwo. Kulki były jego jedynym łącznikiem z tajemniczą przeszłością. Może i dla jego dzieci staną się łącznikiem z prawdziwymi rodzicami.

Intuicja go nie zawiodła. W *Pismach Nanaka* wyczytał, że w kamieniach kryje się potężna magia. Ich zalążkiem były trzy kwiaty, które maleńki Orlac trzymał w rękach, gdy go wykradziono z Polany. Okazało się bowiem, że niezwykle zjawisko zwane Polaną nosi w świecie bogów inną nazwę: Ordolt. Przechodząc przez wrota pomiędzy światami, kwiaty zwiędły i uschły, zmieniając się w kamienie. Trzy magiczne kulki trafiły do przybranych rodziców Tora, a ci trzymali je w bezpiecznym miejscu, póki chłopak nie osiągnął odpowiedniego wieku, by sam się nimi zająć.

Zastanawiał się, do czego służą. Jaką rolę odegrają w tej niezwykłej historii?

Rozmyślenia przerwał mu krzepki marynarz.

- Lepiej niech pan zejdzie pod pokład. Lada chwila się zacznie - powiedział, wskazując sine chmury, wiszące teraz niemal dokładnie nad nimi.

Tor kiwnął głową i udał się pod pokład, odkładając na później rozmyślenia o zagadkowych kamieniach.

Spędził niespokojną noc w kajucie, podczas gdy na zewnątrz szalał sztorm. Kolejne dwa dni były już spokojniejsze, Tora ostrzeżono jednak, by nie dał się omamić. Czarnoręki polecił przeprowadzić na okręcie bieżące naprawy, ale ani Tor, ani Locky nie wierzyli w ich skuteczność. Szczerze mówiąc, Tor podzielał teraz zdanie chłopaka, że gdyby nadszedł porządny sztorm, bez trudu zatopiłby „Osę”.

- Ile dni podróży mamy jeszcze do archipelagu Trefel? - zapytał Ryka, gdy ten wyszedł na chwilę na pokład.

- Kapitan mówi, że płyniemy trochę wolniej, ale powinniśmy dotrzeć do miejsca spotkania za dwie noce.

- To dobrze. Nie straciliśmy wobec tego dużo czasu.

- Nie, proszę pana - przyznał Ryk. - Cieszę się, że pana poznałem, doktorze Petersyn. Może kiedyś znowu będę miał okazję panu służyć.

Tor uśmiechnął się. Chłopak miał jedenaście, może dwanaście lat. Był bardzo drobny i ruchliwy, ale gdy się uspokajał i oddawał luźnej pogawędce, stawał się elokwentny i czarujący. „To pewnie Czarnoręki tak go zestresował” - pomyślał Tor.

- Chciałbyś zostać marynarzem, kiedy dorośniesz, Ryk?

- Nie, proszę pana. Zawsze marzyłem o zostaniu kuchmistrem.

Tor w ostatniej chwili zdławił gulgoczący mu w gardle śmiech, uświadamiając sobie, że tęskne spojrzenie chłopaka jest szczerze.

- To wspaniale, Ryk. Skąd taki pomysł?

- Wszyscy mężczyźni w naszej rodzinie byli szefami kuchni, panie Petersyn. Podobno mój praprapradziadek, Orr Savyl, gotował kiedyś dla samego króla!

Tor był pod wrażeniem.

- Naprawdę? Dlaczego w takim razie jego prapraprawnuczek pracuje teraz dla pirata?

Ryk westchnął.

- Nasza rodzina popadła w tarapaty, proszę pana. Dwaj najstarsi bracia, a także nasza siostra i mama zmarli wskutek zielonej gorączki. Ojciec musiał się zająć moimi najmłodszymi siostrami, trojaczkami, i mną, a oprócz tego prowadzić restaurację w Ildagarth.

- Pochodzisz z Ildagarth? Ja nigdy... to znaczy raz tam byłem. To bardzo piękne miasto, choć zrujnowane.

- Zgadza się, proszę pana. Mój tata prowadził jedną z najsłynniejszych restauracji, zwaną Gobelinem na cześć słynnych prac ildagardzkich przątek.

- I co się stało, Ryk?

- Jak już mówiłem, znaleźliśmy się w trudnej sytuacji. Po śmierci mamy i starszych

dzieci ojciec nie potrafił już pracować w kuchni. Myślę, że stracił do tego serce. - Chłopcu zaszkliły się oczy. - Mama była świetną kucharką i wspaniałą osobą. Gdy umarła, tata się załamał i przestało cieszyć go gotowanie.

Tor położył Rykowi rękę na ramieniu.

- Więc musiałeś znaleźć pracę?

- Tata zaczął pić, a moje siostry musiały coś jeść. Wysyłam im wszystko, co tu zarobię. Siostra mamy zajmuje się nimi najlepiej, jak potrafi, ale wszyscy klepiemy biedę. Wie pan, kiedyś zostanę słynnym kucharzem, takim jak mój tata, a przedtem jego tata. Moje siostry będą nosić piękne jedwabie i tańczyć z książętami.

Tor nie mógł uwierzyć w tę ponurą historię, którą usłyszał z ust przycupniętego obok chłopca.

- Umiesz gotować, Ryk?

- Jasne. Ale nikt na statku o tym nie wie - odparł chłopak. - Byłem prawą ręką taty. Mama mówiła, że nauczyłem się rzemiosła najszybciej ze wszystkich jej dzieci. Do dziś pamiętam wszystkie przepisy, chociaż jestem taki młody. Umiałem prowadzić kuchnię już w wieku siedmiu lat!

- A teraz ile masz, Ryk?

- Dwanaście.

- Cóż, Ryk, jeśli kiedyś będę miał okazję pomóc ci spełnić twoje marzenie, obiecuję, że to zrobię.

- Dziękuję - rzekł chłopak z błyskiem w oku. - Jest pan dla mnie bardzo dobry.

Usłyszeli, jaki drugi oficer wykrzykuje imię Ryka.

- Muszę pozmywać naczynia. Dziś na obiad jest grochówka i zajac.

Po doświadczeniach w ciele Cloota Tora przerażała myśl o jedzeniu zajaca.

- Szkoda, że nie ty go przyrządzałeś, Ryk.

Chłopak uśmiechnął się szeroko.

- Fakt. Therd przesadza z przyprawami. Kiedyś panu ugotuję wyborny obiad, panie Petersyn!

Oddalił się pospiesznie. Obawiał się gniewu kapitana, gdyby spóźnił się do pracy o ułamek sekundy.

Tor potrząsnął głową. Musi jakoś pomóc Rykowi. Może dziś wieczorem pomówi o tym z Czarnorękim.

Okazja nadarzyła się nad talerzem potwornie pieprzonej grochówki. Czarnoręki był w podłym nastroju, Tor w niewiele lepszym. Żołądek podchodził mu do gardła w rytm

kołysania się statku, a usta płonęły od ostrej zupy.

- Niech pana nie zmyli ta cisza na zewnątrz, doktorze. Zauważył pan, jaki bezruch dziś panuje?

Tor kiwnął głową w nadziei, że jeśli nie otworzy ust, nie zwróci przełkniętej z trudem łyżki wstrętnego płynu. Cienki strumyczek zupy ściekał po brodzie kapitana, a gdy ten go zlizywał, krople krwi z chorych dziąseł potwornie kontrastowały z zieloną ciecżą.

- To ostrzeżenie - kontynuował Czarnoręki.

- Ma pan na myśli ciszę? - Tor wepchnął sobie do ust kolejną łyżkę, nie podnosząc wzroku na kapitana.

- Tak. Nadciąga sztorm. Muszę się panu przyznać, doktorze, że niepokoi mnie to. Ale będę się starał go prześcignąć. Mam nadzieję, że zdołamy się prześliznąć i bezpiecznie przybić do brzegu, nim zaatakuje.

- Też na to liczę - rzekł uprzejmie Tor.

- Chłopak! - ryknął kapitan.

Natychmiast pojawił się przy nim Ryk.

- Jeszcze zupy! I to szybko, bo ci porachuję kości! - gruchnął mu prosto w twarz Czarnoręki.

Tor zwietrzył swoją szansę.

- Czy pan wie, kapitanie - zagaił, przywołując na twarz wyraz olśnienia - że ten mały Ryk, chłopiec okrętowy, jest synem sławnego kuchmistrza?

- No i co z tego? - Czarnoręki zerknął na niego podejrzliwie.

- Po prostu pomyślałem, że mógłby pan wykorzystać jego talent w kuchni. Podobno nieźle gotuje.

- Czyżby? - zapytał kapitan, gapiąc się znad bulwiastego nosa na chłopaka, który właśnie nadchodził z wazą zupy. Ryk zadrzał.

- Słucham, panie kapitanie?

- Umiesz gotować, mały?

Ryk rzucił Torowi spłoszone spojrzenie.

- Ja... tak, proszę pana. Umiem.

Czarnoręki uśmiechnął się szyderczo.

- Ty? Taka zaszra wesz? Nie próbuj nabierać moich osobistych gości, chłopcze. Od tej chwili zabraniam ci opuszczać zmywarnię bez mojego wyraźnego rozkazu. Zrozumiano?

- Tak jest - odparł drżącym głosem Ryk.

Tor był przerażony. Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Chciał oddać chłopcu

przysługę, a tymczasem jeszcze pogorszył jego sytuację na tej nieznośnej łajbie.

- Należesz mi wreszcie tej zupy, ty dumny bachorze?

Rykowi puściły nerwy. Na przerażenie nałożył się gwałtowny przechył statku i w efekcie cała zawartość wazy wylądowała na kolanach kapitana. Czarnoręki wrzasnął tak przeraźliwie, że wystraszony chłopak obrócił się i uciekł z kajuty. Zaciskając ręce na krawędzi stołu, by nie upaść, Tor zastanawiał się, jakim sposobem Ryk utrzymał się na nogach dostatecznie długo, by wybiec z pomieszczenia. Na szczęście zupa nie była wrząca, ale zetknięcie z nią niewątpliwie sprawiło kapitanowi ból. Gdyby nie fakt, że była to sprawa Ryka, Tor pewnie nieźle by się ubawił. Wyglądało to na boską interwencję. Teraz jednak, podchodząc chwiejnie do kapitana i pomagając mu usiąść, myślał już tylko o tym, jak uratować chłopcu skórę.

Okazało się jednak, że to nie o jego skórę powinien się obawiać.

*

Następnego ranka Tor nie opuścił koi, cierpiąc wskutek nawrotu sztormu i marząc o tym, by ta podróż okazała się snem, a on obudził się na stałym lądzie. Z niespokojnej drzemki wyrwało go walenie w drzwi i nawoływanie Locky'ego. Chłopak sprawiał wrażenie bardzo zaniepokojonego. Tor rzucił się, by mu otworzyć. Tym razem wyjątkowo cieszyły go niewielkie rozmiary kajuty.

- Chodź szybko, Tor, ratuj Ryka!

- O nie! Tylko mi nie mów, że Czarnoręki chce go ukarać. Co tym razem wymyślił? Publiczną chłostę? - spytał zmęczony Tor, sięgając po spodnie.

- Gorzej. Czarnoręki jest w szczególnie podłym nastroju. Kazał uciąć Rykowi dłoń.

Tor oprzytomniał. Natychmiast rozjaśniło mu się w głowie, a mdłości minęły.

- To łajdak! - rzucił tylko i już był obok Locky'ego. - Gdzie?

Pobiegli. Po drodze Locky poinformował Tora, że drugi marynarz najwyraźniej źle obliczył kurs.

- Możliwe, że znaleźliśmy się w oku sztormu - wrzasnął, gdy wyskakiwali na pokład.

Na górze panował straszliwy bezruch. Niebo miało niesamowitą, brudnożółtą barwę. Tor z trudem oddychał. Miał wrażenie, że z obszaru, na którym unosi się statek, zostało wysane całe powietrze. Wokół było cicho i upiornie.

Ale jeszcze bardziej upiorne okazało się to, co działo się na pokładzie.

Mały Ryk stał przywiązany do głównego masztu, z jedną ręką skrępowaną ponad głową. Był przerażony. Oczy miał szkliste jak zaszczuty jeleń. Tor zauważył, że chłopiec ze strachu popuścił w spodnie. Załoga zebrała się wokół, śmiejąc się i szydząc, a kuśtykający z

obolałą pachwiną Czarnoręki wrzeszczał, że to samo czeka każdego, kto mu się narazi.

Tor potrafił myśleć tylko o Cloocie. Zobaczył go tak, jak widział go po raz pierwszy, przybitego za ucho do pala i otoczonego przez tłum, łączący go i wołający do tego drania Corlina, by jeszcze dołożył biednemu niemowie. Poczul, jak wzbiera w nim furia. Jak przez mgłę słyszał, że Locky coś do niego mówi. Barwy zawrzały.

- Tor, nie możemy nic zrobić, bo sami stracimy dłonie. Ci ludzie boją się sztormu. Wiedzą, że mogą dziś zginąć. Mają gdzieś Ryka. Po prostu chcą popatrzeć na cudzą krew i cierpienie.

- Jesteś gotów, mały Ryku? - wrzasnął do chłopca Czarnoręki. - Kucharz, a niech mnie! Koniec z siekaniem mięsa! Za chwilę twoja dłoń zawiśnie na moim maszcie!

Powietrze zrobiło się nagle tak gęste, że wszyscy z trudem oddychali. Ryk łapał oddech wielkimi haustami, wodząc błagalnie po twarzach marynarzy, ale oni tylko się śmiali. Chcieli zobaczyć, jak jego dłoń odrywa się od ciała, które tryska życiodajną krwią, i jak małe trofeum, czterdzieste czwarte w makabrycznej kolekcji Czarnorękiego, zostaje przybite do masztu.

Wzrok Ryka zatrzymał się na Torze.

- Panie Petersyn! - krzyknął przeraźliwie chłopak. - Niech mnie pan ratuje!

Czarnoręki także zerknął na medyka.

- To nie pańska sprawa, doktorze. Jeśli się pan wtrąci, utnę chłopakowi obie dłonie, a potem wyrzucę do morza to, co z niego zostało.

Zerwał się wiatr. Powietrze wokół zawirowało w szalonym tempie.

- To jeszcze dziecko, kapitanie! - wrzasnął Tor, przekrzykując wicher.

- Obraził mnie, doktorze. Niech się pan nie wtrąca.

- Muszę.

Czarnoręki dał znak swoim ludziom. Szorstkie dłonie chwyciły Tora i przygwoździły do relingu. Nie wrywał się. Ręce i tak nie były mu potrzebne. Barwy czekały w pogotowiu. Mógł je wezwać w dowolnej chwili.

Kapitan uśmiechnął się i skierował wzrok z powrotem ku chłopcu, który był już tak roztrzęsiony, że nogi się pod nim uginały. Gdyby nie więzy, osunąłby się na pokład. Próbował się wyrwać, zaciskając dłoń w pięść.

- Ratunku! - jęknął, gdy Czarnoręki zbliżył się do niego.

- Odrąbać mu łapsko! - wykrzyknął któryś z marynarzy.

Wszyscy oprócz Tora, Locky'ego i nieznanego w kapturze, który nagle pojawił się na pokładzie, ryknęli śmiechem. Locky rzucił Torowi ukradkowe spojrzenie.

- To ten potworny ksiądz.

Tor kiwnął głową i znów skierował wzrok ku Czarnorękiemu. Kapitan wziął z rąk pierwszego oficera topór o krótkim ostrzu i zademonstrował go załodze, a ta zgotowała mu owację.

- Niech leci! - wrzasnął znowu jakiś dowcipniś.

Ryk szlochał cicho, wpatrzony w Tora.

„Spokojnie, Ryk” - pomyślał medyk, żałując, że chłopiec nie może tego usłyszeć.

Czarnoręki wycelował w nadgarstek Ryka.

Tor zamknął oczy i przywołał Barwy.

Kapitan stęknął głośno, biorąc potężny zamach. Tor usłyszał mrozących krew w żyłach krzyk, który mógł się wydobyć tylko z trzewi Ryka. Potem zabrzmiał odgłos uderzenia, a na końcu jęk. Medyk otworzył oczy i ujrzał topór zatopiony w piersi Czarnorękiego. W oczach kapitana malowało się komiczne niemal zdumienie. Krew tryskała z potwornej rany i choć próbował coś powiedzieć, słowa zamarły mu na ustach, a z ciała uszło życie.

Masywna postać osunęła się z hukiem na pokład, spryskując krwią wszystkich stojących w pobliżu. Gdyby nie wycie wzmagającego się wiatru, panowałaby całkowita cisza.

Rykowi oczy wyszły na wierzch ze zdumienia, że wciąż jest cały. Marynarze trzymający Tora puścili go i podeszli do kapitana, nie rozumiejąc, jak coś takiego mogło się stać.

- Uwolnij Ryka! - rozkazał Tor Locky'emu. - Szybko!

Załoga zgromadziła się wokół ciała Czarnorękiego. Niektórzy szturchali je butami. Locky musiał wziąć Ryka na ręce i zanieść do Tora: chłopiec był w takim szoku, że nie potrafił ani mówić, ani tym bardziej chodzić.

Tymczasem sztorm wciąż przybierał na sile. Nagle nad ich głowami uderzył piorun, tak potężny, że rozłupał główny maszt na dwie części dokładnie w miejscu, w którym przed chwilą stał Ryk. Pod wpływem iskier ciało kapitana zajęło się ogniem.

- To przez alkohol! - wrzasnął Locky. - Dziś rano wypił całą butelkę, by uśmierzyć ból, a drugą połowę wylał na siebie, nie mogąc trafić do ust.

Tor kiwnął głową. Niebo przeszła kolejna błyskawica i dokładnie nad nimi rozległ się grzmot. Medyk uświadomił sobie, że okręt zaczyna wirować w oszalamiającym tempie, a woda wokół wrze.

- Locky, musimy uciekać!

Deski zaczynały już pękać. Było jasne, że za chwilę ciśnienie rozsadzi całą „Osę”.

Wicher szalał nadal. Wielu ludzi czekała dziś śmierć. Tor widział ciała uderzające o burzę. Niektórzy próbowali się ratować, skacząc w wysokie fale, ale te i tak rzucały nimi o statek. Zwłoki kapitana miały się po całym pokładzie, pozostawiając smugi krwi.

Locky był przerażony. Śmierć zaglądała mu w oczy. Ryk przestał szlochać i wisiał nieruchomo w jego ramionach.

- Daj mi go! - wrzasnął Tor, usiłując utrzymać się na nogach.

Rozległ się kolejny grzmot, ale statek i tak już stał w ogniu, który za moment miał go doszczętnie strawić.

Locky owinął ręce Ryka wokół szyi Tora. Chłopiec wtulił twarz w ramię swego zbawcy. Był lekki jak piórko.

- A teraz trzymaj się mnie, Locky! - krzyknął Tor i obaj wspięli się na reling. - Cokolwiek by się działo, nie puszczaj.

- Nie wyjdziemy z tego żywi! - odkrzyknął Locky, zatrwożony gniewnym spektaklem przyrody.

W chwili skoku sokoli wzrok Tora ułowił ruch postaci w czarnym habicie, która także rzucała się w fale. Wiatr zerwał kapłanowi kaptur i medyk w końcu ujrzął jego twarz.

W lepkiem cieple oka cyklonu Tor czuł, jak ciarki przebiegają mu po plecach. Zniekształcona, pokryta bliznami skóra była mu aż nadto znajoma. Przez ułamek sekundy małe, zimne oczka spoglądały na niego groźnie.

Miał wrażenie, że jego własny strach odbija się w tej potwornej twarzy.

W twarzy Gotha.

12.

OMDLENIA

- Ależ, ojcze, za dwa tygodnie rozpoczynają się egzaminy nowicjuszy!

Wyjątkowo nadąsany Gidyon stał przy oknie w celi swego mistrza. Ojciec Piers pykał w milczeniu ulubioną fajeczkę, którą sam dla siebie zrobił przed wielu laty. Potem usiadł na wysłużonym krześle, które skrzypnęło pod jego ciężarem.

Gidyon zwrócił ku niemu twarz.

- Ojcze, ja jej prawie nie znam! Nigdy się nie spotkaliśmy, a na sporadyczne listy od niej zwykle nawet nie odpisuję. Co jej przyjdzie z tego, że pojedę na północ aż do Petrine? Co mam jej powiedzieć? Równie dobrze może umrzeć, gdy będę w drodze. Cała podróż nie zda się na nic, a ja stracę cenny czas, który jest mi potrzebny na naukę!

Gidyon kłamał w żywe oczy. Nie potrzebował więcej czasu na naukę. Wiedział, że bez problemu zaliczy egzaminy. By ukryć zakłopotanie, przeczesał palcami czarne, proste włosy i z gniewem wrócił na drugą stronę biurka.

Ojciec Piers przyglądał się swemu podopiecznemu, cieszącemu się popularnością chłopcu z piątego szczebla, niemal gotowemu do przyjęcia ślubów. Księżyce musiały jeszcze zatoczyć tylko jeden krąg, by Gidyon stał się pełnoprawnym członkiem zakonu Ferenyków. W ciągu spędzonych wśród nich lat chłopiec bardzo urósł, a przecież z pewnością nie wydorósł. Piers przyznawał, że Gidyon jest wyjątkowo mądry, jak na swój wiek, i prawdopodobnie predestynowany do zajęcia wysokiej pozycji w hierarchii zakonu. Był także wspaniałomyślny i pogodny, co czyniło jego dzisiejsze zachowanie szczególnie dziwnym. Piers odchrząknął.

- O ile mi wiadomo, babcia jest twoją jedyną żyjącą krewną. Wiem, że ledwie ją znasz, ale przez te jedenaście lat sumiennie opłacała składki i w odróżnieniu od ciebie z pewnością pamięta twoich rodziców... Powinieneś uszanować ten fakt.

Pyknawszy kilka razy z fajeczki, sięgnął po gliniany kubek z herbatką ziołową. Wrzucił dwie czubate łyżeczki miodu i długo mieszał. W głębi duszy dobrze rozumiał Gidyona. Rzeczywiście był to najgorszy moment na podróże. Zbliżały się bardzo ważne, kluczowe dla kariery chłopca testy. Bez wątplenia mógł się ubiegać o niebieskie wstęgi,

szybko przechodząc przez stopnie białych, żółtych i zielonych. Może nawet od razu dadzą mu czerwone. Takiego przypadku wprawdzie jeszcze nie było, ale ten młodzieniec miał prawdopodobnie dość talentu, by tego dokonać.

Mistrz starannie dobierał słowa.

- Gidyonie, nie należysz do słabych uczniów. Wbrew twoim obawom chyba wszyscy w zakonie tak uważają. Wiemy, że bardzo ci zależy na zdobyciu niebieskich wstęg, i jesteśmy dumni, że tak się starasz. Stało się jednak tak, że twoja babcia ciężko zachorowała i chce cię zobaczyć przed śmiercią, a twoim obowiązkiem jest spełnienie tej prośby. Opat Muggerydge nalega.

Uniósł rękę, by powstrzymać protesty chłopca.

- Jeśli, co wysoce nieprawdopodobne, nie uda ci się uzyskać na egzaminach wyniku, który bez trudu powinieneś uzyskać, opat Muggerydge zgodził się poświęcić twoim dokumentom szczególną uwagę. Mnie to wystarczy, a tobie?

Chłopak łyknął niesłodzonej herbaty i wlepił w przełożonego wyzywające spojrzenie. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Potem Gidyon opuścił swoje niewiarygodnie niebieskie oczy i westchnął.

- Oczywiście, ma ojciec rację. Po prostu czuję się nieswojo na myśl o spotkaniu z babcią, którą znam jedynie z imienia i kilku listów. Przykro mi, jeśli to brzmi samolubnie, ale te egzaminy są dla mnie bardzo ważne. - Przygryzł wargę i przez chwilę zmagął się ze sobą. - Wyruszę dziś po południu, dobrze?

- Tak - odparł z ulgą Piers. - Dobrze. - Przeciągnął się. - Mam nadzieję, że staruszka dotrwa do twojego przybycia. Jesteś dobrym chłopcem i z pewnością będzie z ciebie bardzo dumna. - Wydał wargi. - Poza tym, Gynt, wyrwanie się stąd na kilka dni prawdopodobnie dobrze ci zrobi.

„O nie, znowu to samo - pomyślał Gidyon. - Znów zaczniesz gadać o tym, co mi się przydarzyło przed paroma dniami”.

- Dziwna sprawa - kontynuował Piers. - Wszystkich nas wystraszyłeś, mdlejąc tak nagle. Pewnie uczyłeś się do późnej nocy, co? - Zerknął na Gidyona znad fajki. Nie oczekiwał odpowiedzi.

- Pójdę już, ojciec. Dziękuję za herbatę.

Gidyon ruszył z powrotem ku wschodniemu skrzydłu. Fakt, to jego nagłe omdlenie w kruzganku istotnie było dziwne, a do tego wysoce niefortunne, przemawiał bowiem właśnie do grupy nowo wstępujących. Jego zeszywniałe ciało zaniesiono do skrzydła szpitalnego. Podekscytowani koledzy opowiadali mu potem, że śmiesznie przewrócił oczami. Jakiś

dowcipniś zapewniał nawet, że Gidyon zaczął toczyć pianę z ust i przemawiać obcymi językami. Wywołało to wielką wesołość w szpitalu, aż w końcu dyżurny mnich musiał ich uciszyć. Gidyon nie miał pojęcia, co się stało. Nigdy wcześniej nic takiego się nie wydarzyło. Jadł za sześciami i bynajmniej nie uczył się po nocach. Szczerze mówiąc, w ogóle niewiele się uczył. Nie umiał wytłumaczyć dziwnego zdarzenia i chciał, żeby przestano już o nim rozprawiać.

Wszedł do małego, lecz przytulnego pokoiku. Jako przewodniczący piątego szczebla cieszył się luksusem w postaci prywatnej kwatery, podczas gdy jego koledzy mieszkali w czteroosobowych izbach, a młodsi chłopcy musieli dzielić cele z ośmioma, niekiedy dziesięcioma innymi. Po latach znoszenia cudzego bałaganu, hałasu i innych problemów związanych ze wspólnymi sypialniami doceniał swoją prywatność. Nadal jednak musiał przestrzegać klasztornych rygorów i wykonywać liczne obowiązki. To też lubił. Odkąd się tu znalazł, nie znał innego życia, a wspomnienia sprzed tego czasu były tak mgliste, że rzadko, jeśli w ogóle, próbował je przywoływać. Zdawało mu się, że pamięta starszą panią, która jednak wyprawiła go tu, gdy był jeszcze małym chłopcem. Kto mógł go winić za to, że nie jest zachwycony zaproszeniem do odwiedzenia jej przed śmiercią? Nie dość, że było to makabryczne, to jeszcze w dodatku bezcelowe.

Wiedział, że jest najbardziej inteligentnym i uzdolnionym z nowicjuszy i prawdopodobnie zdobędzie czerwoną wstęgę. A nawet, choć nikt nie mówił o tym głośno, kiedyś pewnie zostanie opatem, będzie mieć posłuch u króla i wpływ na losy królestwa. Gidyon był też wybitnym sportowcem: nie było ćwiczenia, którego jego ciało nie zdołałoby wykonać. Szybki, zwinny i sprawny, cieszył oczy każdego, kto przyglądał mu się podczas jazdy konnej czy biegu. Zwyciężał we wszystkim. Jeśli dodać do tego wzrost i urodę, był po prostu idealny.

Nie przejmował się próżnym gadaniem tych, którzy mu zazdrościli. Myśleli, że nie słyszy, miał jednak również wyjątkowo dobry słuch. Najbliżsi koledzy żartowali z niego. Jeden twierdził nawet, że Gidyon słyszy, jak ptaki oddychają na drzewach. Bawiło to chłopca tym bardziej, że sam chwilami w to wierzył.

Nic dziwnego, że nazywano go Czarodziejem. Nienawidził tego przezwiska, ale ono natychmiast do niego przylgnęło. Nauczył się więc kwitować je lekceważącym wzruszeniem ramion i przyjmować za dobrą monetę. Jaki sens miałyby walka z tym? Gidyon często się zastanawiał, jacy byli jego rodzice. Które z ich cech połączyły się w nim, tworząc „Czarodzieja”? Ale nigdy nie miał się tego dowiedzieć. Nie miał pojęcia, co się z nimi stało. Czy umarli? Zostawili go z babcią zaraz po narodzinach? Rozeszli się? Zabronił sobie o tym

myśleć, pytania jednak powracały w snach... Kim był?

Czasami, gdy spał, przemawiała do niego jakaś kobieta, po przebudzeniu nie pamiętał jednak jej słów. Nigdy nikomu o tym nie wspominał. Po co miałby to robić? Wydawało mu się, że nie mówiła nic, co mogłoby go przestraszyć lub zaniepokoić. Szczerze mówiąc, była dla niego pewną pociechą. Nie pamiętał matki, lubił jednak wyobrazać sobie, że jej głos jest taki sam jak ten ze snu.

Oderwał wzrok od okna i z ociąganiem zabrał się do pakowania. Ogarnął wzrokiem pokój. Na ścianach widniały astronomiczne diagramy. Gidyon uwielbiał spoglądać w gwiazdy i myśleć o innych światach. Niczego nie pragnął bardziej niż studiowania gwiazd, gdy już złoży śluby.

- Na czarne diabły! Nie potrzebuję tego! - zaklął, wrzucając do małej torby habit na zmianę. Chyba po raz setny od czasu otrzymania wieści przyszło mu do głowy, że zapomniana babcia wydała pewnie mnóstwo pieniędzy na jego chesne i jeśli nie mógł się jej odplacić inaczej, powinien przynajmniej odwiedzić ją przed śmiercią. Włożył do torby kapelusz i rękawiczki z szorstkiej wełny, które mogły mu się przydać na surowych wyżynach Petrine. Zerknął w zawieszone na ścianie lustro, sprawdzając, czy zaczesane do tyłu długie włosy nadal dobrze leżą, po czym podniósł torbę i ruszył.

„Głupcze... co będziesz robił przez te wszystkie samotne godziny?” - pomyślał i wyciągnął spod drewnianej pryczy nowy bloczek pergaminu. Kiedy podnosił głowę, uderzył nią o ramę. Stękając z bólu, dostrzegł na parapecie swój stary kamyk. Miał go od niepamiętnych czasów. Nie bardzo wiedział, skąd go wziął, ale była to dla niego rzecz szczególna i zawsze zabierał go na egzaminy roczne. Przeturlał na dłoni idealnie okrągłą, ciężką kulkę, przyglądając się słabym karmazynowym, złotym, fioletowym i szmaragdowym światełkom. Wyglądało na to, że tylko on dostrzega te barwy. Gdy pytał kolegów, czy coś widzą, odpowiadali, że jest stuknięty. No i dobrze. Cokolwiek myśleli, on widział kolory i nigdy nie przestał ich podziwiać.

W roztargnieniu wsunął kulkę do głębokiej kieszeni torby.

W chłodnym korytarzu wykrzyknął pożegnanie pod adresem kilku kolegów i ruszył w stronę krużganka, ścigany ich przyjacielskimi docinkami. „Wszystko byś zrobił, żeby uniknąć egzaminów, Gynt!”, „Pozdrów babcie!” - wołali.

Uśmiechnął się i przeskoczył kilka stopni, by przejść do swojej ulubionej części klasztoru. Gwizdy i śmiechy ucichły w oddali, a Gidyon znalazł się w ciszy krużganków. Uwielbiał sklepienie sufitów, filary i piękne ogrody, w opiece nad którymi pomagał mnichom. Raz jeszcze wciągnął w nozdrza spokój tego miejsca, po czym wyszedł przez monumentalny

łuk na frontowy dziedziniec.

Tam czekał już na niego stary stajenny z dorodną klaczą.

- Dzień dobry, panie Gynt.

- Dzień dobry, Horysie - odparł Gidyon. Rozpoznał klacz: była to Cesarzowa. Cieszył się, że to właśnie ją mu przydzielono. Jeździł na niej już wiele razy i doceniał jej łagodność i wielkie serce.

Wyciągnął rękę z jabłkiem, które zerwał w krużgankach.

- Jedz, mała - powiedział, głaszcząc jej miękki pysk. - Dziękuję - rzekł następnie do stajennego. - To jeden z moich ulubionych koni.

- Jego ekscelencja nalegał, by dać panu zwierzę godne zaufania. Nie ma wielu lepszych od Cesarzowej - odparł staruszek, podając mu lejce. - Są tu zapasy paszy na dwa dni. W Merbury będzie je pan musiał uzupełnić. Aha, miałem jeszcze przekazać panu tę notatkę. Po drodze spotkałem ojca Piersa, który prosił, by ją panu dać. - Horys pokiwał z szacunkiem głową i podał Gidyonowi złożoną kartkę.

Ten szybko przeczytał treść. Piers pisał, że w jednym z juków znajduje się sakiewka z pieniędzmi i że chłopiec powinien je oszczędzać podczas podróży. Wspomniał też, że na obrzeżach Petrine będzie na niego czekał człowiek nazwiskiem Galbryth, który zaprowadzi go do odległej posiadłości babci.

- Myślę, że podróż zajmie panu pięć, może sześć dni - kontynuował Horys. - Po opuszczeniu Merbury proszę się trzymać głównych dróg i kierować w stronę Trzech Jezior, które zaprowadzą pana prosto do Petrine.

Po tych słowach kiwnął głową na pożegnanie. Gidyon raz jeszcze podziękował staruszkowi i wsiadł na konia, który cierpliwie czekał, aż chłopiec się usadowi. Ten pomachał jeszcze i ruszył drogą, która miała go wyprowadzić poza teren klasztoru, ku nieznanym miejscom. Obracając w kieszeni kamyk, zamyślił się i pozwolił, by klacz szła swoim tempem. Wyobrażał sobie, że jest bohaterem szalonej przygody - dowodzi armią, walczy z potworami, a kobiety mdleją na jego widok.

Nigdy nie podróżował na północ od Leedon, więc w gruncie rzeczy był zadowolony, że zobaczy Petrine. Poza tym, z tego, co słyszał, babcia mieszkała w tak odludnym miejscu, że z pewnością będzie miał okazję do długich wędrówek i czas na spokojne powtarzanie materiału do egzaminów. Może wcale nie będzie tak źle... „O ile staruszka nie umrze podczas mojej wizyty” - pomyślał.

Wyjechali na otwartą przestrzeń i chłopiec spał Cesarzową, zmuszając ją do łagodnego kłusa. Rozmarzonym wzrokiem chłonał zmieniający się krajobraz. Mimowolnie

obracając kamyk w palcach, zauważył w końcu, że ten emanuje ciepło. Ścisnął go i poczuł lęk. Miał wrażenie, że to pułapka. Po chwili jednak otrząsnął się z tego. Popuścił lejce i pozwolił Cesarzowej swobodnie galopować.

Schował kamyk i przestał myśleć o niebezpieczeństwie.

*

- Och, to jakiś absurd! - wykrzyknęła pyzata dziewczyna.

- Daj spokój, Lauryn, to wspaniałe! Oddałabym miesięczną porcję budyniu za to, żeby ktoś mnie wybawił od tych ksiązek - powiedziała Emyly, jedyna prawdziwa przyjaciółka Lauryn.

Dziewczynki zaprzyjaźniły się, gdy miały po pięć lat. Czuły, że naprawdę są sobie potrzebne. Emyly była przeciętna, piegowata i miała wystające zęby. Poza tym była bardzo wesoła i Lauryn ją uwielbiała.

Ona sama nie starała się zbytnio podkreślać swoich oczywistych atutów: wielkich oczu o intensywnej, zielonoszarej barwie i gęstych złotych włosów. Wiązała włosy w prostą kitkę, nie eksponując ich blasku, robiła, co mogła, by uniknąć wszelkich ćwiczeń, i celowo się objadała. Kucharka nazywała ją zdrową dziewczuchą i był to największy komplement, jaki Lauryn kiedykolwiek słyszała.

Teraz jednak była na ustach całego zakonu, choć nie miało to nic wspólnego z jej niedbałym stylem bycia. Kilka dni temu dziewczynka zemdląła w skrytorium, rozlewając atrament - na szczęście w niewielkiej ilości - na iluminację, nad którą właśnie zaczynała pracować. Emyly niemal wpadła w histerię, gdy jej przyjaciółka bez wyraźnej przyczyny zeszytniała nagle na krześle. Oczy uciekły jej do tyłu i przez chwilę usiłowała złapać oddech, po czym oparła się bezwładnie o koleżankę i obie wyładowały na ziemi. W wyniku tego zdarzenia Lauryn spędziła dwa dni w szpitalu pod ścisłą obserwacją. Siostra Benyt była nieprzejednana, jeśli chodzi o wizyty, i wpuszczała Emyly codziennie tylko na kilka minut. Lauryn natychmiast po odzyskaniu przytomności sprawiała wrażenie całkiem zdrowej, ale przeorysza zakonu Gyrton uparła się, by powiadomić mieszkającą w Petrine babcie dziewczynki.

Lauryn nie miała rodziców. Babcia była jej jedyną żyjącą krewną. Po otrzymaniu wiadomości przesłała przez umyślnego list z prośbą, by pozwolono dziewczynce wyruszyć do Petrine, gdy tylko wydobrzeje, aby spędziła kilka dni na świeżym powietrzu w wyżynnej krainie. Gdy Lauryn zaprotestowała, przeorysza powiedziała, że to zły pomysł.

- Lauryn, nie mam dość władzy, by cię w tej sprawie poprzeć. Twoja babcia wyraziła zdecydowane życzenie zobaczenia się z tobą i zorganizowania ci krótkich wakacji.

Otrzymujemy od niej ogromne dotacje na wyżywienie i ubranie naszej społeczności oraz utrzymanie zakonu w dobrym stanie. Poza tym, o ile dobrze pamiętam, nie widziałaś babci od jakichś jedenastu lat. Chyba już czas, żebyś złożyła jej wizytę.

Nim Lauryn zdążyła się zastanowić, została spakowana i posadzona na furmance zmierzającej na spotkanie z podążającym na północ powozem. Była wściekła, choć w gruncie rzeczy nie wiedziała dlaczego. Przede wszystkim nie miała ochoty rozstawać się z Emyly. Z drugiej strony, ucieczka ze skryptorium była błogosławieństwem. Lauryn nienawidziła zakonu, choć dobrze wykonywała swoją pracę, a w sztuce pisania trudno jej było dorównać.

W głębi duszy wiedziała, że gdyby tylko chciała, byłaby dobra we wszystkim, do czego by się zabrała. Tyle że skrupulatna, często ogłupiająca praca kopiowania dwustu stron skryptu na pergamin zwyczajnie ją nużyła.

Nie, tak naprawdę dokuczała jej przede wszystkim samotność. Tęskniła za matczyną miłością i za więzami rodzinnymi. Była jedyną osobą w zakonie, która nie miała rodzeństwa. Sporadyczne wakacje tylko dotkliwiej to przypominały i Lauryn miała wrażenie, że gdyby nie lojalna przyjaźń Emyly, mogłaby zniknąć i nikt by tego nie zauważył.

Nienawidziła tak wychwalanej przez przeoryszkę babci. Co to za babcia, która nigdy nie odwiedza wnuczki i tylko od czasu do czasu wysyła na odczepnego jakiś liścik? Te listy nie dawały zresztą dziewczynce pociechy, nie przybliżały tajemniczej kobiety. Babcia była jej zupełnie obca i Lauryn nie czuła nic oprócz pogardy wobec osoby, która udawała troskliwą krewną, a nie potrafiła okazać uczucia dziewczynie będącej u progu kobiecości.

Lauryn nie przyznawała się jednak do tych myśli. Szła przez życie jak obserwator, nie interesując się zbyt niczym ani nikim z wyjątkiem swej przyjaciółki Emyly. Miała wrażenie, że życie, które prowadzi, nie jest jej życiem. Nie należała do otaczającego ją świata. A teraz zmuszano ją, by stawiała temu światu czoło, spotykając się ze znenawidzoną babcią. Miała nadzieję, że starucha umrze, nim ona dotrze na miejsce. Może udałoby się jej uciec na wrzosowiska, na których ta podobno mieszkała. To byłoby nawet niezłe. Myśl o samotnych spacerach wśród górskiego krajobrazu sprawiała, że trud podróży wydawał się niemal znośny. Niemal. Wtedy przynajmniej Lauryn mogłaby nadal być sama, a to w życiu wychodziło jej najlepiej.

Uśmiechnęła się drwiąco, wspominając tradycyjny komentarz na swoich szkolnych świadectwach: „Byłaby dobrą przywódczynią, gdyby tylko włączyła się emocjonalnie w życie zakonu”. Niezły dowcip. Niby komu miałaby przewodzić? Kto chciałby słuchać grubej Lauryn? Nikt poza Emyly jej nie lubił i z nikim nie utrzymywała kontaktów. Ostatnio rozmyślała trochę o mężczyznach i życiu poza murami klasztoru. Wiedziała, że takie myśli są

zakazane, ale nie miała zamiaru przyjąć pełnych ślubów. Wszyscy pewnie będą tym wstrząśnięci. Zamiast tego chciała wędrować po królestwie Shorellu... być może jako wędrowny skryba. Odpowiadałoby jej takie życie. Czy wzbudzi kiedyś zainteresowanie jakiegoś mężczyzny? Czy mężczyźni interesują się grubymi dziewczętami? Lauryn skrzywiła się. Kiedyś na pewno znajdzie sobie fajnego chłopaka. Będzie silny, dowcipny i władczy. Zakocha się w niej na zabój i nigdy więcej nie spojrzy na inną kobietę. A ona nie będzie już taka pyzata. Będzie olśniewająca, jak kiedyś jej matka.

Jednym z ulubionych zajęć Lauryn było wyobrażanie sobie, jak wyglądali jej rodzice. On przystojny i błyskotliwy, ona szczupła i niewiarygodnie piękna, szaleńczo w sobie zakochani, ale los zmusił ich do rozstania i opuszczenia swojej jedynej córki. Albo może zginęli tragicznie, tuląc się w ramionach. Ostatnie słowa, które jej matka wypowiedziała do swojej matki, tej znenawidzonej babci, zawsze były takie same: „Opiekuj się Lauryn”. I właśnie wtedy sen za każdym razem zmieniał się w koszmar. Opiekuj się Lauryn! Wyślij ją jak najdalej, by samotna i niekochana żyła pośród nieczułych kobiet.

Furmanka toczyła się naprzód, a Lauryn wyjęła z kieszeni swój kamyk i poczuła ukojenie, jakie ten zawsze jej przynosił. Zdziwiło ją ciepło kulki. Obracając ją w palcach, przyglądała się migoczącym barwom. Nikt oprócz jej nie potrafił ich dostrzec, ale nie przejmowała się tym - dla wszystkich innych ta rzecz i tak nie miała wartości. Była przecież tylko kamieniem. Dla niej jednak stanowiła więź z przeszłością. Gdy Lauryn przybyła do zakonu, miała ze sobą tylko to i małą torbę z ubraniami. Przeorysza opowiadała jej, że gdy tamtego mroźnego popołudnia przed ponad dziesięciu laty dziewczynka znalazła się w Gyrtton, kamyk był starannie wszyty w jej rękawiczkę.

Drżąca i zagubiona czterolatka płakała przez wiele godzin, a potem przez wiele tygodni chodziła niepoczyszona. Jedyłą ulgę przynosił jej mocno zaciskany w palcach kamyczek. Przez wszystkie kolejne lata Lauryn nigdy się z nim nie rozstawała. Lubiła myśleć, że kamyk uosabia duszę jej matki, gdziekolwiek i kimkolwiek ta była.

Wyrwana z mrocznych myśli, ujrzała posępne, mgliste popołudnie w miasteczku. Ktoś pomógł jej zejść z furmanki i podprowadził do oczekującego powozu. W środku było już kilka osób: gadatliwa matka z dwiema córkami i samotny podróżny, bardzo stary i kompletnie obojętny na resztę towarzystwa. Lauryn była z tego zadowolona, miała bowiem zamiar ignorować ich wszystkich przez całe trzy dni trwania podróży.

Wyjęła z fałd togi niewielki tomik poezji i skryła się za nim, udając zaabsorbowaną czytaniem. Odkładała książkę jedynie po to, by pospać lub wspólnie z pozostałymi zjeść skromny posiłek. Dziewczynki próbowały ją zagadywać, ale jej przerażające wzmianki o

prawdopodobieństwie wybuchu zarazy w sąsiednich królestwach, i to takiej, która rozprzestrzenia się nawet przez morze, szybko pozbawiły je nadziei na zdobycie nowej przyjaciółki. Lauryn zauważyła, że jej tyrada wywołała krzywy uśmiech na twarzy staruszka, niewątpliwie będącego ekspertem od unikania niepożądanego towarzystwa i być może rozpoznającego w niej bratnią duszę.

Po trzech długich i męczących dniach dotarli na przedmieścia Petrine. Lauryn pozostała w powozie sama: kobieta z córkami wysiadła w Verban, a starszy pan jeszcze wcześniej, w Divyn. Dziewczynce jednak zupełnie to nie przeszkadzało. Gdy w końcu dotarli do centrum miasta, czekał tam na nią jakiś człowiek. To pewnie był ten pan Galbryt, o którym wspomniała przeorysza.

- No to jazda - mruknęła i skrzywiła się na powitanie.

13.

MISJA YARGO

Gidyon przeciągnął się w siodle, gdy Cesarzowa przekraczała bramy Petrine, po czym ochoczo zeskoczył z jej grzbietu, spodziewając się, że będzie obolały po nocy i dniu podróży. Na wrzosowiskach zapadał wieczór. Potrząsając w oszołomieniu głową, raz jeszcze zadał sobie pytanie, co właściwie tu robi. Cesarzowa stęknęła i także potrząsnęła łbem. Spieszno jej było do wygodnej stajenki.

- Gidyon Gynt? - zapytał jakiś człowiek, zdejmując miękki kapelusz i uśmiechając się szeroko.

Gidyon odwzajemnił uśmiech i przytaknął. Potem przerzucił na drugie ramię odczepioną od boku konia torbę, by móc podać tamtemu rękę.

- Jestem Iyain Galbryth. Prowadzę gospodarstwo w pobliżu, niedaleko domu twojej babci. Poprosiła mnie, żebym odebrał waszą dwójkę, bo i tak miałem być dziś w mieście. To twój jedyny bagaż? - Mężczyzna znów się uśmiechnął. - Mam nadzieję, że masz jakieś pieniądze, by zapłacić za stajnię?

Gidyon był skonsternowany.

- Tak, panie Galbryth, mam tylko tę torbę. Juki są już puste. Ale... przyjechałem sam. Nie mam pojęcia, kogo jeszcze miał pan...

- To ten koń? - przerwał mu stajenny.

- Cześć, Angys - rzucił Galbryth, a Gidyon zaczął szukać monet, które ojciec Piers dał mu na utrzymanie Cesarzowej do czasu ich powrotu do szkoły. Kiedy przetrząsał głęboką kieszeń, zdziwiło go ciepło bijące od kamyka.

- Dalej, Gynt, gdzie ta forsa? - zakpił dobrodusznie Galbryth. - Jak tam twoja pocziwa kobieta, Angysie? - zwrócił się do stajennego.

Gidyon niemal nie słyszał rozmowy między dwójką mężczyzn, zatracając się w myślach o kamieniu, który grzał coraz mocniej. Chłopcem zawładnęło dziwne przeświadczenie, że kulka wysyła sygnały ostrzegawcze. „Tallinor” - dudniło mu w głowie. W tym momencie druga ręka wymacała monety i Gidyon wrócił do rzeczywistości. Zauważył, że obaj towarzysze wpatrują się w niego.

- Wszystko w porządku, chłopcze? - Galbryth potrząsnął nim lekko.

- Yyy... ja... tak, tak, przepraszam. Chyba jestem zmęczony. To była długa podróż. - Gidyon z wymuszonym uśmiechem podał Angysowi pieniądze, po czym ruszył za Galbrythem, który machał stajennemu na pożegnanie.

Wdrapując się na stary wóz ciągnięty przez dwa równie stare konie, chłopiec znów zacisnął palce na kamyku i odkrył, że ten znacznie się ochłodził.

Wśród kapuśniaku siąpiącego z wieczornego nieba Iyain Galbryth rozpoczął przyjacielską pogawędkę.

- Nie mogę się pozbyć tej uroczej parki... Widzisz, to moja pierwsza załoga...

Słowa Galbrytha spływały po Gidyonie jak deszcz, myśli chłopca zaprzętało bowiem dziwne zachowanie kulki. Nie był nim przestraszony, choć sądził, że może powinien. Tymczasem czuł się pokrzepiony obecnością kamyka... a także jego ciepłem. Było w nim coś, co dawało poczucie bezpieczeństwa. Jak zawsze.

Jak brzmiało to imię?

Gidyon wyteżył umysł, starając się przywołać je z pamięci, podczas gdy w tle Galbryth nadal głądził o tym, że przy tych koniach orka jest tak prosta jak zanurzanie noża w maśle. „Tallinor” - wyszeptał chłopiec w ciemność.

- Co mówiłeś? - zapytał Galbryth, łagodnie smagając batem prowadzącego konia.

- Nie, nic. Po prostu próbuję sobie przypomnieć na egzamin pewne słowo.

Jego towarzysz i tak nie słuchał. Przez następną milę nie rozmawiali, choć Galbryth na odmianę odśpiewał wesołą balladę, myśląc mnóstwo słów. Gidyon był mu wdzięczny, że nie próbuje go zagadywać.

Nim zatrzymali się przed gospodą, deszcz przeszedł niemal w ulewę. Gospoda „Pod Pasterzem i Psem” była wiejską tawerną zbudowaną z bielonego wapnem kamienia, z dachem krytym strzechą, niskimi sufitami, boazeriami z ciemnego drewna i piękną kobietą za barem. Jej uroczy akcent, typowy dla tych okolic, i obcisła bluzka z luźnym dekoltem sprawiły, że Gidyon natychmiast zapomniał o incydencie z dziwnym, niepokojącym pulsowaniem kamyka. Uśmiechnął się od ucha do ucha, a ona odpowiedziała tym samym.

- To nasza piękna Glorya - rzekł Galbryth. - Nie zabawimy długo, Glor. Muszę tylko odebrać żonę i tę małą, a potem zaraz ruszamy.

- Może wypijemy szybkie piwko, co, panie Galbryt? - zapytał z nadzieją Gidyon.

Glorya rozpoznała habit zakonu Ferenyanów i zaśmiała się.

- Raczej koktajl owocowy - powiedziała, pochyliwszy głowę ku chłopcu.

Kilku stojących w pobliżu mężczyzn zrozumiało dowcip i zaśmiało się, ale bez

złośliwości. Gidyonowi podobał się wesoły nastrój zadymionej knajpy i był rozczarowany, gdy zobaczył, że Galbryth już przepycha się z powrotem przez tłum w towarzystwie niskiej i chudej jak patyk kobiety z czarnymi, spiętymi w surowy kok włosami i pulchnej nowicjuszki w todze zakonu Gyrton. Ta ostatnia miała dość kwaśną minę.

- Cześć - pozdrowił ją Gidyon.

Mruknęła coś tak niewyraźnie, że nie zrozumiał. Na szczęście dla niego, w tej samej chwili jakaś grupka śpiewająca sprośną piosenkę wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Do widzenia, Gloryo! - zdążył rzucić, nim powlókł się za osobliwą gromadką, z którą związał go los. Glorya nie dosłyszała pożegnania, ale zauważyła, że chłopiec do niej macha, i odpowiedziała mrugnięciem. „Na pewno nie zrobiłaby tego, gdybym miał na sobie koszulę i spodnie” - pomyślał, chyba po raz pierwszy w życiu zastanawiając się, czy życie z dała od murów klasztoru i jego reguła może być zabawne. Na myśl o trzymaniu w ramionach kogoś takiego jak Glorya niemal ugięły się pod nim kolana.

Na zewnątrz gwałtownie się ochładzało, a niebo stało się atramentowoczarne, choć był dopiero wczesny wieczór. Dobrze znajomy Gidyonowi piękny gwiazdzisty firmament przysłoniły gęste chmury. Ulewa nasilała się, nie było więc czasu na prezentacje czy rozmowy.

- Lecimy!

Po okrzyku bitewnym Galbrytha Gidyon instynktownie ujął dziewczynę pod ramię i oboje pobiegli przez podwórze, po czym wdrapali się na wóz. Galbryth zaciągnął płócienny daszek nad ich głowami.

- Jestem Gidyon - rzekł chłopiec. - Nie bardzo wiem, co tu robię. Wiem tylko, że gdzieś w tej okolicy mieszka podobno moja chora babcia - mówił, ocierając z twarzy krople deszczu.

- Ojej! - zdziwiła się dziewczyna.

Galbryth hałaśliwie pogonił konie, po czym znów zaczął śpiewać, zagłuszając wszelkie rozmowy.

- Jestem Lauryn - zdołała jedynie powiedzieć dziewczyna.

Wkrótce wyjechali na otwartą przestrzeń.

- Rozumiem, że wy dwoje się znacie, skoro jesteście kuzynami, nie muszę więc was oficjalnie przedstawiać - wrzasnął Galbryth, przekrzykując deszcz. - A to moja żona Jeen, Gidyonie. Do babci już niedaleko, ale droga jest śliska, pozwólcie więc, że skoncentruję się na powożeniu.

„Czy on zwraca się do nas obojga?” - zastanawiał się Gidyon. On i Lauryn wymienili

obojętne spojrzenia, po czym chłopak wzruszył ramionami i ukradkiem pokazał, że uważa Galbrytha za prostaka. Dziewczyna uśmiechnęła się ironicznie.

Jeen Galbryth jechała w milczeniu, pozwalając mężowi kląć i mrużyć do siebie. Wóz kilka razy podskoczył na wybojach, w tym raz tak wysoko, że Gidyon aż zazgrzytał zębami.

W końcu woźnica odetchnął.

- Ha, wiedziałem, że nie mogłem jej minąć - rzucił triumfalnie, skręcając w wąską dróżkę. W oddali z trudem dostrzegali oświetlone okna wiejskiego domu. Z komina unosił się wesoły dymek.

Zatrzymali się na podmokłej łące przed domem. Konie zarżały radośnie, zadowolone, że wkrótce znajdą się w ciepłej, suchej stajni. Gidyon ze zdumieniem zobaczył, że Galbryth pomaga dziewczynie wysiąść. Ona też? Po co? Deszcz lał jednak na całego i nie było czasu na pytania. Młodzi ludzie szybko pobierali swoje bagaże i podziękowali milczącej Jeen, która skinęła im beznamiętnie zza płótna. Potem podali ręce Galbrythowi, który, podobnie jak jego ulubione konie, chciał jak najszybciej odjechać.

- E, nie ma sprawy. Daj spokój, mała. - Poklepał Lauryn po ramieniu. - Dasz sobie radę z tym majdanem czy mam ci go zanieść pod drzwi?

Lauryn już miała odpowiedzieć, że sobie poradzi, gdy drzwi domu otworzyły się i stanęła w nich niska, pulchna kobieta.

- Lećcie. Przepróście ode mnie babcię, że tak zwiąłem. Na pewno za kilka dni się z nią zobaczę, ale i tak ją pozdróćcie. - Po tych słowach Galbryth wdrapał się na siedzenie obok żony.

Gidyon doszedł do wniosku, że padł ofiarą sztuczki, w którą wtajemniczeni byli wszyscy oprócz niego. Nie mógł jednak uwierzyć, że stary ojciec Piers mógłby brać udział w czymś takim. Woda lała się z nieba strumieniami, chłopak nie mógł więc zrobić nic innego, jak tylko popędzić ku bramie. Nim on i Lauryn zdolali się przepchnąć ze wszystkimi bagażami, Galbrythowie zdążyli odjechać.

Gdyby Gidyon włożył rękę do kieszeni, byłby zdumiony, jak gorący i pulsujący jest kamień. W tym czasie jednak chłopak podtrzymywał Lauryn na śliskiej drodze, z niepokojem zmierzając ku starszej pani, która na ich widok zasłoniła usta ręką i pochlipywała bez żenady. Rozwarłszy ramiona, babcia zamknęła oboje w mocnym uścisku. Była tak niska, że musieli się pochylić, by jej dosięgnąć.

Staruszka otarła w końcu oczy i rozpromieniła się, spoglądając na stojącą przed nią wysoką parę.

- Witajcie w domu, dzieci.

Zupełnie już oszołomiony Gidyon odchrząknął, zastanawiając się, co ma powiedzieć. Zerknął na Lauryn, która wydawała się równie skonsternowana, a zarazem wyraźnie wściekła: usta miała zaciśnięte, a oczy błyszczały jej gniewem.

Starsza pani zagoniła ich do kuchni, w której płonął wesoły ogień. Na piecu perkotał garnek. Kuszący aromat gulaszu sprawił, że Gidyonowi zaburczało w brzuchu z głodu. Staruszka zaprosiła ich, by usiedli, i przez cały czas mruczała słowa pociechy, ale sielanka nie trwała długo. Cierpliwość Lauryn w końcu się wyczerpała.

Dziewczyna zdarła z głowy kaptur mokrego płaszcza, odkrywając niewielki kwadracik białego płótna zakonu Gyrton, zasłaniający część włosów.

- Hej, co się tutaj dzieje? Wysyłają mnie taki kawał, żebym się zobaczyła z babcią, której prawie nie znam. Jakiś gaduła odbiera mnie z przystanku powozu, zostawia w zadymionej tawernie ze swoją żoną, która w ogóle się nie odzywa, a na koniec spotykam ciebie. - Spojrzała na Gidyona. - Podobno jesteś jakimś kuzynem, o którego istnieniu nie miałam pojęcia!

Gidyon miał wrażenie, że jego towarzysza będzie tak wrzeszczeć bez końca, ale starsza pani złożyła ręce jak do modlitwy i koniuszkami palców dotknęła ust. Był to łagodny, a zarazem tak rozpaczliwy gest, że Lauryn tylko prychnęła niecierpliwie i zamilkła.

Gidyon po raz drugi odchrząknął nieporadnie. Koniecznie musiał coś powiedzieć, ale nadal nie wiedział co. Lauryn nadal kipiała gniewem, którego on nie podzielał, było jednak jasne, że należy im się jakieś wyjaśnienie. Chłopak przeczesał palcami mokre, potargane włosy.

Starsza pani uśmiechnęła się.

- Całkiem jak twój ojciec, chłopcze - wyszeptała.

Ojciec? Gidyon był zdumiony. Od pierwszej chwili polubił staruszkę, ale nie bardzo wiedział, o co chodzi w tej całej zagadce.

- Hm... Jak mam się do pani zwracać?

- Po prostu Sorrel. Tak będzie wygodniej. - Jej ciepły uśmiech dawał mu poczucie bezpieczeństwa.

- Sorrel - zgodził się. - Coś mi mówi, że cię znam, ale szczerze mówiąc, nie wiem skąd. Może mogłabyś to wyjaśnić? - Zerknął na Lauryn. - Powiedziano nam... hm, to znaczy mnie... że jesteś ciężko chora i chcesz mnie zobaczyć przed... no... przed śmiercią. Nie wiem, co o tym myśleć. Nie mam krewnych i nigdy nie słyszałem o żadnej kuzynce. Nie wiem też, po co pan Galbryth nas tu przywiózł ani dlaczego witasz nas tak, jakbyśmy się znali...

- Wszystko wam wyjaśnię. Ale... jesteście zmarznięci i pewnie głodni po długiej

podróży. Może najpierw zjecie kolację, którą dla was przygotowałam?

Gidyon przyjrzał się jej dokładniej. Srebrzystosiwie włosy miała upięte w elegancki kok. Okrągła, życzliwa twarz tchnęła ciepłem i otuchą które odbijały się także w nieco mętnych brązowych oczach. Młodemu człowiekowi kobieta wydawała się co najmniej stulatką ale choć istotnie wyglądała na nieco kruchą raczej nie była chora. Co miał do stracenia, przyjmując ciepły posiłek po sześciu dniach jedzenia suszonego mięsa i czerstwego chleba? Staruszka powiedziała przecież, że potem wszystko wyjaśni. Uśmiechnął się szeroko i wstał, oferując pomoc.

Lauryn klapnęła przy drugim końcu stołu. Była głodna i zmęczona, a złość tylko ją osłabiała. Starsza pani z pewnością nie miała złych zamiarów. Starła się okazać im jak najwięcej życzliwości, a oni nie mieli powodów, by nie skorzystać z jej gościny. Co do Gidyona, był typowym obrzydliwie miłym chłoptasiem od Ferenyanów. Najwyraźniej nie spieszyło mu się do rozwiązania tej zagadki, choć Lauryn musiała w duchu przyznać, że chłopak przyjmuje to wszystko z większą godnością niż ona. Przeorysza nie byłaby zadowolona z jej zachowania. Gidyon tymczasem pomagał staruszce podać obiad. „Przystojny to on jest - pomyślała Lauryn - trzeba mu to oddać...” O, to też by się przełożonej nie podobało: jej uczennica myśląca o przystojnych mężczyznach. Chciała, żeby Lauryn jak najszybciej przyjęła śluby i na zawsze zamknęła sobie wrota do świata. Dziewczyna odsunęła od siebie myśl o zakonie, ale sytuacja, w jakiej się znalazła, też nie była wesoła.

Kolacja okazała się wyborna - żadne z nich nie jadło jeszcze takiego gulaszu - i Gidyon wydawał z siebie rozkoszne dźwięki pod adresem rozpromienionej Sorrel, która nie posiadała się z radości na widok pałaszującej dwójki. Nawet Lauryn musiała przyznać, że gulasz jest wyśmienity, a chleb domowego wypieku wręcz niewiarygodnie smaczny. Po nich przyszedł czas na gorącą szarlotkę z mnóstwem świeżej śmietanki z farmy.

Głodne dzieci sprawiały wrażenie nieświadomych przenikliwego spojrzenia Sorrel, ona jednak chłonęła każdy szczegół ich zachowania.

Gidyon wyglądał jak wykapany ojciec. Odziedzyczył po Torze mnóstwo cech. Dziewczyna z kolei kipiała powściąganą energią, ogromnie przypominając matkę. Nie miała jeszcze zdumiewającej urody Alyssy, ale była to tylko kwestia czasu. Pod zbędnymi fałdami ciała Sorrel dostrzegała szlachetne rysy Alyssandry Qyn.

Uruchomiła łącze i wypuściła sondę. Chłopak podniósł głowę znad szarlotki. Uśmiechnął się, sprawiając wrażenie skonsternowanego, jakby coś poczuł. „Aha, więc odbiera sygnały, żyjąc tak daleko od Tallinoru - pomyślał. - To dobrze wróży”. Lauryn z kolei wykazała się siłą. Zasłoniła umysł, nie wiedząc nawet, że potrafi to robić. To też dobrze

rokowało w świetle zbliżającej się próby. Na tym etapie Sorrel nie ośmieliła się zapuszczać sondy głębiej, bojąc się, że zrobi dzieciom krzywdę. One tymczasem zaczęły cicho rozmawiać o swoich zakonach. Staruszka wykorzystała ten moment, by posprzątać naczynia i dać im kilka minut odpocząć. W najbliższym czasie nie mieli zaznać wiele spokoju.

W zamyśleniu potrząsnęła głową. Nie umknęło to uwagi spostrzegawczego Gidyona.

- Pomóc ci, Sorrel?

- Nie, moje dziecko. Zostań przy kominku i porozmawiaj z Lauryn. Ja tylko posprzątam ze stołu i zaraz do was dołączę.

Lauryn skuliła się przy ogniu, chłonąc jego ciepło jak zmarznięty kociak. Gidyon usiadł na sfatygowanym, lecz wygodnym krześle po drugiej stronie.

- Co o tym sądzisz? - szepnął, wskazując głową oddalające się plecy Sorrel.

- To jakaś głupia pomyłka. Co my tu robimy? Kim ty jesteś?

I kim, na ogień piekielny, jest ona? - Lauryn była wściekła.

Gidyon skarcił ją łagodnie za przekleństwo, w gruncie rzeczy jednak podziwiał za łatwość, z jaką takie słowa przechodzą jej przez gardło. Gdyby usłyszał je stary opat Muggerydge, dostałby białej gorączki.

- Hm, to rzeczywiście zagadkowe, przyznaję, ale staruszka wydaje się niegroźna, a my i tak musimy tu zostać na noc, więc może na razie pogódźmy się z tym, a rano pomyślimy, co robić.

- Skąd wiesz, że stara nas nie otruje i nie zakopie na wrzosowiskach? - Gidyon zaśmiał się głośno w odpowiedzi na tę sugestię, myśląc jednocześnie, że ukryte w pyzatej twarzy oczy są olśniewające.

- Miło słyszeć śmiech w tym cichym, starym domu - odezwała się Sorrel, która bezszelestnie wróciła i stanęła przy kominku.

Gidyon miał taką minę, jakby go na czymś przyłapała. Lauryn zachichotała mimo ponurego nastroju. W sumie fajny był ten chłopak.

Sorrel zasiadła wygodnie na drugim krześle i podała dziewczynie poduszeczkę. Trzymając w dłoniach kubek herbaty ziołowej, z powagą przyglądała się dzieciom.

- Mam wam wiele do wytłumaczenia. Historia, którą chcę opowiedzieć, jest długa. Proszę, żebyście mi nie przerywali, dopóki nie skończę. Ważne jest, żebyście usłyszeli ją od początku do końca i zrozumieli jej znaczenie. - Sorrel mówiła spokojnie, podkreślając tym wagę swoich słów. - Może wzbudzić w was bunt, a nawet lęk, zapewniam jednak, że nie ma się czego bać, a ja jestem tu po to, by was chronić.

Zrobiła dramatyczną pauzę, zerkając na słuchaczy, którzy wpatrywali się w nią

rozszerzonymi ze zdumienia oczami.

- A teraz wysłuchajcie mnie - zaczęła.

Plomienie w kominku tańczyły, a o małe okienka bębnił deszcz. Dzieci milczały, gdy Sorrel snuła swoją opowieść.

Gdy wreszcie zamilkła, słychać było już tylko monotony strumień ściekającej z dachu wody i wiatr. Przeszło padać, ale ani Gidyon, ani Lauryn nie zauważyli tego. Minęły godziny. Gidyonowi przeszła senność: był bardziej oszołomiony niż kiedykolwiek wcześniej, ale i podekscytowany. Historia wydawała się niewiarygodna, starsza pani mówiła jednak bardzo przekonująco.

W końcu ciszę przerwała Lauryn.

- Naprawdę mamy uwierzyć, że jesteśmy rodzeństwem? Że nasi rodzice byli zaczarowani i mieszkają w innym świecie? A ty jesteś jakąś czarodziejką, która sprowadziła nas tu za pomocą sztuczek?

Z przerażeniem zobaczyła, że starsza pani kiwa głową. Znienawidziła ją za to. Nie chciała wierzyć w ani jedno słowo tej historii, potwierdzały ją jednak jej własne wątpliwości i obawy: jej wyobcowanie, pragnienie posiadania rodziny, rozpaczliwa potrzeba dowiedzenia się, kim jest i dlaczego została porzucona jako małe dziecko. Wzmianka o innym świecie wywołała w niej jakieś uśpione wspomnienia. Nie chciała w nie wierzyć, ale zarazem poczuła ulgę. Nie była dziwna: po prostu nie pasowała do Gyrton.

- Postradałaś zmysły? - zapytała lodowatym głosem.

- Chciałabym, żeby tak było. Mogłabyś wtedy wrócić do skryptorium, a Gidyon do upragnionych niebieskich wstęg, które bez wątpienia zdobędzie, i wszyscy żylibyśmy spokojnie. Gdybym była szalona, nie musiałabym podjąć się tego ogromnego zadania, które nas czeka.

- Nas! Mówisz tak, jakbym nie miała wyboru - rzuciła Lauryn podniesionym głosem.

- Bo go nie masz, kochanie. Ojciec cię wzywa.

- Ojciec! - prychnęła. - Nie mam żadnego ojca, starucho. Gdybym miała, byłby tu ze mną. Nie porzuciłby mnie.

- Nie miał wyboru - odparła Sorrel ze spokojem, który jeszcze bardziej rozwścieczył dziewczynę. - Gdybyśmy nie przetrucili was w bezpieczne miejsce, wszyscy zginęlibyśmy z ręki Gotha.

Gidyon doszedł do wniosku, że jeśli się nie wtrąci, Laurel albo uderzy staruszkę, albo wybiegnie z wrzaskiem w noc. Cała się trzęsła ze złości, jakby miała eksplodować.

- Lauryn...

- Co? - Obróciła się ku niemu, prowokując go, by spróbował ją uspokoić.

- Myślę, że powinniśmy poprosić Sorrel, by to udowodniła - rzekł cicho, nie patrząc na starszą panią, lecz wprost w piękne oczy oddychającej ciężko dziewczyny. - Musi pokazać nam coś, co łączy nas z tą dziwną historią. Zgadza się, że to wszystko brzmi niewiarygodnie, ale jakoś nie mogę uwierzyć w to, że Sorrel jest szalona, a poza tym, prawdę mówiąc, nigdy nie czułem, że moje miejsce jest w zakonie. Jestem tam szczęśliwy, ale coś w środku błaga mnie, bym jej wysłuchał i uwierzył, niezależnie od tego, jak bardzo się bronię.

Lauryn w każdej chwili mogła wybuchnąć. Błyszczącymi z gniewu oczami spojrzała na Sorrel, a potem znów na Gidyona.

- Zastanów się, co mówisz! Kilka godzin temu flirtowałeś w tawernie z dziewczyną podającą piwo, a teraz jesteś gotów... na co? Na przeprowadzkę do innego świata? Jesteś tak samo szalony jak ona, Gidyonie!

Teraz na odmianę Lauryn zaczęła się dąsać, co bardziej odpowiadało Gidyonowi niż jej furia, bo oznaczało, że słucha, nawet jeśli jego słowa rodzą w niej bunt. Czekał. Sorrel wyglądała, jakby zapadła w drzemkę.

W końcu Lauryn spojrzała na niego.

- W porządku. Niech tego dowiedzie.

Uśmiechnął się, ale dziewczyna szybko odwróciła wzrok.

- Sorrel... Lauryn się zgadza. Udowodnij nam, że jesteśmy rodzeństwem. Pokaż nam coś, co wiąże nas z historią Torkyna i Alyssy.

Starsza pani otworzyła oczy i popatrzyła życzliwie na dwójkę dzieci.

- Gidyonie, co oprócz ubrań zabrałeś ze sobą w tę podróż?

Pytanie było tak zaskakujące, że chłopak mrugnął kilka razy, jakby próbował je rozszyfrować. Potem wzruszył ramionami.

- Hm... węgiel, świeży bloczek pergaminu... i tyle. Nie chciałem mieć dużo do dźwigania, Sorrel... - mruknął przeproszająco.

- Dobrze się zastanów. A tymczasem może Lauryn odpowie mi na to samo pytanie.

Lauryn uśmiechnęła się drwiąco.

- Nic oprócz czystej togi i tomika wierszy, którego nie zamierzam czytać. Przegrałaś, Sorrel.

Gidyon wytężał umysł, jak tylko mógł. Przeczesał dłonią czarne włosy i wyczuł guza w miejscu, w którym trzasnął się o łóżko, szukając pergaminu... I wtedy przypomniał sobie o kamyku.

- Nie wiem, czy to się liczy, Sorrel, ale przywoziłem jeszcze to - rzekł, sięgając do

kieszeni i wyjmując rozgrzaną kulkę. Jej barwy wydały mu się żywsze niż zwykle, niemal jakby się poruszały.

- Ojej! - wykrztusiła Lauryn i szybko tego pożałowała, bo oboje wlepili w nią wzrok.

Starsza pani z uśmiechem pokiwała głową.

- A ty, Lauryn? - zapytała.

Wbrew temu, co podpowiadał jej rozsądek, dziewczyna sięgnęła do kieszeni i wyjęła swoją kulkę. Ta również była ciepła, a kolory jarzyły się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Każde z dzieci wpatrywało się w dłoń drugiego. Gidyon nie wierzył własnym oczom. Kamyk był jedyną rzeczą, którą zachował z dzieciństwa. Nie pamiętał, aby kiedykolwiek się z nim rozstawał, a gdyby go przyparto do muru, przyznałby, że zawsze uważał go za talizman. To było coś szczególnego. Coś, czego nie miał nikt inny na świecie.

Z wyjątkiem tej dziewczyny!

Lauryn także była zaskoczona.

- Podobno ta kulka była wszyta w moje ubranie, gdy przybyłam do szkoły. - Celowo nie powiedziała, o jaką część ubrania chodzi. Teraz zdemaskuje tę starą wiedźmę.

Sorrel uśmiechnęła się do wspomnień.

- Tak, moje dziecko, wszyłam ci ją w rękawiczkę. Powiedziałaś, że jeśli będziesz ją trzymać przy sobie, może uda ci się nie płakać przez całą drogę.

Lauryn pomyślała, że chyba nie mogłaby nienawidzić Sorrel bardziej niż w tej chwili. Wszystko wróciło do niej niczym fala: stanie na zamarznętej drodze, wiatr, który przewiewał jej płaszczyk, gdy przytulała się do babci i błagała, by ta jej nie odsyłała... Nie wspominała tej sceny przez ponad dziesięć lat. Wyrzuciła ją ze świadomości tak skutecznie, że gdyby zapytano ją o to kilka minut temu, przysięgłaby na wszystkie świętości, że nigdy nie widziała tej kobiety. A teraz tamto wspomnienie odrodziło się z bolesną ostrością.

Gidyon doświadczał czegoś podobnego. Gdy Sorrel opowiadała Lauryn o kamyku, chłopak nagle przypomniał sobie dziewczynkę, z którą się bawił - pomysłową, bezczelną i wesołą dziewczynkę, która codziennie go przytulała i mówiła mu, że go kocha. Jak mógł o niej zapomnieć? To była jego siostra! Płakała, gdy zegnali się na drodze. On także wyjeżdżał. Wysyłano go do klasztoru, ale jego powóz odjeżdżał później. Cały tamten dzień powrócił do niego, jakby to było wczoraj.

Ścisnęło go w gardle.

- Lauryn, ja... ja cię pamiętam.

- Nie! - krzyknęła. - To niemożliwe. Nie jesteśmy rodzeństwem!

- Jesteście nie tylko rodzeństwem - wtrąciła z powagą Sorrel. Na jej twarzy nie było

już ciepłego uśmiechu. - Przyszliście na świat w odstępie zaledwie minuty czy dwóch. Pierwszy pojawiłeś się ty, Gidyonie. Twój ojciec, Torkyn Gynt, trzymał cię w ramionach i z płaczem nadawał ci imię. Potem urodziłaś się ty, Lauryn. Byłaś dla niego kimś wyjątkowym. Powiedział, że jeszcze nigdy nie widział niczego tak pięknego.

Lauryn przełknęła ślinę. Nigdy w życiu nie usłyszała od nikogo nawet, że jest dość ładna, a teraz Sorrel mówiła jej, że ojciec, o którym od tak dawna marzyła, uważał ją za najpiękniejsze zjawisko na świecie.

Starsza pani sprawiała wrażenie, jakby czytała w jej myślach.

- Wiesz, twoja matka wygląda jak lalka - krucha, przepiękna, porcelanowa lalka - a ty, gdy się urodziłaś, wyglądałaś zupełnie jak ona.

Tego już było za wiele. Lauryn rozplakała się cicho. Gidyon pochylił się ku niej, objął ją i mocno przytulił. On także płakał. Dziewczyna pomyślała, że już nigdy nie będzie się tak czuła. Miała rodzinę. Ktoś uważał ją za piękną. Jej własny brat przytulał ją i pocieszał.

Sorrel pozwoliła im się wypłakać. Byli wstrząśnięci. Bardzo się o nich bała, wiedziała jednak, że mają to, czego trzeba, by pomyślnie przejść przez czekające ich próby. Wyczuwała w nich siłę. I dlatego, gdy ponownie zwrócili ku niej zaczerwienione oczy, mogła im powiedzieć całą resztę.

- Jest coś jeszcze - rzekła i z ulgą patrzyła, jak kiwają głowami, choćby i niechętnie.

- Tamtego wspaniałego, a zarazem straszliwego dnia waszych narodzin wasz ojciec musiał mi zaufać. Oddał was, nie mając pojęcia, dokąd was zabiorę. Zostawił mi jedynie te trzy kamienie.

- Trzy? - przerwał jej Gidyon.

Kiwnęła głową.

- Nie obawiaj się, Gidyonie. Trzeci kamień jest bezpieczny.

Lauryn przysunęła się bliżej brata i poprosiła Sorrel, by mówiła dalej.

- Sądzę, że wasz ojciec chciał, żebyśmy uciekli najdalej, jak się da, od wielkiego inkwizytora Gotha. W ten sposób uratowalibyśmy nie tylko was, lecz także życie waszej matki, a może nawet jego własne.

Sorrel przerwała, czekając na pytanie, które musiało paść. Zadała je Lauryn.

- I moja mama się na to zgodziła?

- Twoja mama wykrwawiała się na śmierć. Prawie na pewno umarłaby, gdyby nie pomoc boga lasu, Darmuda Corila, który utkał potężny czar, by ją ocalić. Matka zapadła w głęboki sen, a wy urodziliście się w ciągu kilku minut. Biedna Alyssa, nigdy nie dowiedziała się o waszym istnieniu. Chyba do dziś o nim nie wie.

Dzieci wyglądały na wstrząśnięte. Sorrel źle je zrozumiała, sądząc, że zdumiewa je fakt, iż matka nie wie o ich istnieniu.

- Nasza matka żyje? - wyszeptał Gidyon.

- No jasne. Podobnie jak ojciec.

- Skąd wiesz? - zapytała Lauryn.

- Wasza matka żyje, bo Darmud Coril ją ocalił. Gdyby umarła, poczułabym to. A skąd wiem, że wasz ojciec żyje? Od niej. - Po tych słowach wskazała ręką kominek.

Gidyon i Lauryn obrócili się i zobaczyli unoszącą się srebrzystozieloną istotę, która powitała ich smutnym uśmiechem. Sorrel miała nadzieję, że dzieci się nie przestraszą, i nie zawiodła się. Oboje wpatrywali się w milczeniu w zjawę.

- Ma na imię Yargo i jest posłańcem waszego ojca. Odnalezienie was zabrało jej mnóstwo czasu. W Tallinorze upłynęły już lata, odkąd ją wyprawił. - Sorrel starała się dokładnie wszystko wyjaśnić. - Czas dziwnie płynie pomiędzy światami. Mam nadzieję, że się nie mylę w obliczeniach, zakładając, że na każdy tallinorski rok przypada niemal dwa i pół tutejszych cykli księżycowych. W Tallinorze nie było was zaledwie sześć lat, ale w tym świecie macie ich już piętnaście. Światłość tylko wie, co się wydarzyło od czasu, gdy Yargo rozstała się z waszym ojcem. Dlatego musimy się spieszyć. Skoro wzywa was, na pewno wprowadził już w życie swój plan. Albo ma kłopoty, albo po prostu czeka na was.

Zamilkła, czekając na reakcję dzieci.

- Jedziemy tam? - zapytał Gidyon rozmarzonym głosem.

- Musimy - odparła Sorrel, starając się nie wstrzymywać oddechu.

- I mamy się spotkać z rodzicami? - zapytała Lauryn.

- Taki jest plan.

- Jak ona nas znalazła? - Gidyon nie mógł oderwać wzroku od unoszącej się w powietrzu Yargo.

- Nasłuchiwała głosu Kamieni Ordoltu. Wołały do niej. Oddajmy jednak głos jej samej.

Yargo nadal się uśmiechała. Przypląnęła bliżej i z zachwytem odnotowała, że dzieci nie odsunęły się. Gidyon wyciągnął nawet rękę, by jej dotknąć. Żałowała, że to niemożliwe. Był równie przystojny jak jego ojciec. Tor musiał wyglądać tak samo, gdy był młodszy.

- Przebyłam wielką odległość, by was odnaleźć. Wasz ojciec nie miał pojęcia, gdzie jesteście, ale poprowadziła mnie Patronka, Lys. Ojcu zależało na tym, żebyście znalazła was jak najszybciej. Mam wam przekazać, że chce, abyście wrócili do Tallinoru. Musicie podróżować razem.

- I nic więcej? - zapytała Lauryn bez gniewu w głosie, wyrażając zarazem myśli Gidyona.

Sorrel wiedziała, że Yargo nie będzie umiała odpowiedzieć, więc sama zabrała głos.

- Ona jest tylko posłańcem. Skoro Torkyn Gynt was wzywa, to znaczy, że jesteście mu potrzebni. Tallinor jest w niebezpieczeństwie. Pamiętacie, co wam opowiadałam o paladynach? Być może Dziesiąty poległ. Jeśli tak, naprawdę nie mamy dużo czasu. Zdaje się - kontynuowała z namaszczeniem - że oboje wyczuliście upadek Figgisa Jaskiniowca? Oboje doświadczyliście chwilowych omdleń, ty, Gidyonie, w krążgankach, a ty, Lauryn, podczas pracy w skryptorium. O ile wiem, zemdleliście w tym samym momencie bez żadnego powodu. Myślę, że dosięgnął was ból Serca Lasu.

W uszach dzieci brzmiało to absurdalnie. Jak prawie cała reszta.

- Jak zatem mamy wrócić do Tallinoru? - zapytał Gidyon, starając się, aby zabrzmiało to jak całkiem racjonalne pytanie.

- Yargo was zabierze - odparła lakonicznie Sorrel.

- A co z klasztorem? Mam egzaminy na niebieskie wstęgi. Jak sądzisz, ile to potrwa?

Sorrel westchnęła.

- Trudno mi to powiedzieć, Gidyonie, a tobie pewnie byłoby jeszcze trudniej zrozumieć. - Zamilkła na moment. Chłopak nawet nie mrugnął. - Niebieskie wstęgi to już przeszłość. Wszystko oprócz tej chwili jest przeszłością. Wasze przeznaczenie jest w Tallinorze... w waszej ojczyźnie.

Tym razem odezwała się Lauryn. Podobnie jak poprzednio, powstrzymywała emocje, przemawiając cicho i monotonicznie.

- A więc musimy zapomnieć o dotychczasowym życiu?

- Tak. - Sorrel kiwnęła głową. - Przykro mi. Do tej chwili wszystko, co się z wami działo, miało na celu ochronę waszych cennych istnień. Teraz musimy stawić czoło przeznaczeniu i przetransportować was bezpiecznie do Tallinoru.

Dzieci spojrzały na siebie i połączyła je jakaś nić porozumienia, ale Sorrel nie wiedziała, co to oznacza. Pomyślała, że powinna dać im kilka minut na rozmowę, więc przeprosiła i oddaliła się, by coś przynieść.

Gdy wyszła, żadne z nich nie miało siły przerwać ciszy. To wszystko nie mieściło im się w głowie.

Z pomocą przyszła Yargo.

- Czy chcecie, żebym opowiedziała wam o ojcu?

Rodzeństwo popatrzyło na nią zdziwione. Jej głos brzmiał teraz mniej sennie, lżej, jak

szklane dzwoneczki kołyszące się na wietrze.

- Proszę - rzekł Gidyon, zadowolony, że ktoś się w końcu odezwał.

Yargo rozpoczęła więc opowieść. Gdy Sorrel kręciła się po kuchence, mrucząc coś pod nosem, zjawa opowiedziała dzieciom tyle, ile mogła, o ich ojcu. Wkrótce dowiedziały się, że jest najwyższym, najbardziej muskularnym, najprzystojniejszym mężczyzną, jaki żyje w królestwie Tallinoru.

Lauryn nie zdołała powstrzymać śmiechu.

- Sprawiasz wrażenie, jakbyś nie widziała świata poza nim, Yargo.

- Bo nie widzę - odparła zjawa. - Kocham go całym swoim jestestwem. - Uświadomiła sobie, że w jej głosie znów pobrzmiwa smutek, i szybko zmieniła temat. - Mówiłam wam już, że ma oswojonego ptaka?

Gdy potrząsnęły głowami, zaśmiała się.

- O tak, pięknego sokoła wędrownego. Nazywa go Clout. On też jest magicznym stworzeniem, choć nie rozumiem jego magii. Wiem tylko, że jest paladynem sprzężonym z waszym ojcem.

- Yargo - odezwał się po namyśle Gidyon - czy myślisz, że powinniśmy wrócić?

Znów spoważniała.

- Gidyonie - rzekła - myślę, że ojciec tak bardzo was kocha, iż nigdy nie prosiłby was o powrót, gdyby to nie było konieczne. Nigdy nie zaryzykowałby wystawienia was na niebezpieczeństwo bez bardzo ważnego powodu.

Zamilkła na widok Sorrel, która cichaczem wróciła do pokoju. Starsza pani z powagą popatrzyła na rodzeństwo.

Gidyon zerknął na Lauryn. Ujął ją za rękę, uniósł dłoń do ust i ucałował.

- Jeśli Lauryn się zgodzi, pojedziemy.

Lauryn poczuła lęk. Nie chciała brać na siebie odpowiedzialności. Spojrzała przenikliwie w duże, niebieskie oczy Gidyona. Co chciały jej powiedzieć?

Uniosła do ust jego dłoń, okazując mu szacunek tym samym gestem.

- Nie wiem, czy mamy jakiś wybór. Poza tym nienawidzę skryptorium! Jedziemy.

- Dziękuję wam - rzekła Sorrel z wyraźną ulgą.

Przez chwilę milczała, po czym podeszła do stojącej w kącie skrzyni.

- Będziecie potrzebowali nowych ubrań. Od dawna tu na was czekają. Co sześć miesięcy przerabiam je na większe. Przepraszam, jeśli nie będą idealnie pasować, ale obiecuję, że nikt tego nie zauważy.

Dzieci z lękiem podeszły do skrzyni i zajrzały do wnętrza. Sorrel wydobyła stamtąd

parę ciemnobrązowych spodni i jasną koszulę dla Gidyona. Lauryn otrzymała spódnicę ze ściągającym paskiem, co, biorąc pod uwagę tuszę dziewczyny, było jej jak najbardziej na rękę. Komplet uzupełniała luźna bluzka, sznurowana w dekolcie.

- Jaka jest teraz pora roku, Yargo? - zapytała.

- Gdy tam dotrzemy, będzie wczesna wiosna - odparła zjawa.

- Zatem będzie wam potrzebne także to. - Z tymi słowami Sorrel podała Gidyonowi gruby wełniany kabat, a jego siostrze równie ciepłą chustę.

- Nie będę tęsknić za tą drapiącą togą - rzuciła Lauryn.

„Miło jest na nią patrzeć, gdy się uśmiecha - pomyślał Gidyon. - Wygląda naprawdę pięknie”.

Sorrel wyszła z dziewczyną do drugiego pokoju, a Gidyon szybko przebrał się w nowe rzeczy na miejscu. „Nieźle - pomyślał - nie są za ciasne”.

Yargo obserwowała go z przyjemnością. Poruszał się jak ojciec. Jego nagie ciało także przypominało ciało tamtego. Uśmiechnęła się w duchu, zastanawiając się, czy Patronka skarciłaby ją za taki brak dyskrecji. Tymczasem wróciły kobiety. Lauryn i Gidyon zerknęli na siebie i parsknęli śmiechem. Nawet Sorrel musiała się uśmiechnąć.

- Nie możecie zabrać ze sobą nic, co ma związek z dawnym życiem. Dokładnie to sprawdźcie.

- A kamienie? - zapytał Gidyon.

- Kamienie tak. Ale nic, czego miejsce jest w tym świecie.

Lauryn wzięła głęboki oddech, rozmyślając nad szaleństwem, w które się wpakowała. Zerknęła na Gidyona, szukając otuchy. Chłopak wyczuł jej zdenerwowanie. Sam czuł się podobnie.

- Gotowi? - zapytała Yargo.

Troje towarzyszy kiwnęło głowami i chwyciło się za ręce.

14.

ŁASKAWOŚĆ ORLACA

Lys nienawidziła Pustkowie. Było to miejsce nicości pomiędzy światami.

Było także jej domem.

Funkcja Patronki Portali od wieków przechodziła w rodzinie Lys z pokolenia na pokolenie. Patronką była matka Lys, a przedtem jej babka. Do czasu uwięzienia Orlaca Patronki nie musiały jednak mieszkać w obrębie Pustkowie, a ich rola była głównie symboliczna: strzegły portali pomiędzy światami i pilnowały, by nikt nie przechodził przez nie bez ich zgody. I przez niezliczone wieki tak się działo.

Potem jednak Orlac zaczął się mścić na świecie. Hostia zdołała ujarzmić młodego boga i uwięzić go w Pustkowie. Wybrano dziesięciu paladynów, by go strzegli, ale po konsultacji Darganotha ze starszyzną Hostii polecono Patronce czuwać i nad więźniem, i nad strażnikami.

Piękna dziewczyna natychmiast się zgodziła, rozumiejąc położenie Hostii, kiedy zaś podczas dyskusji po raz pierwszy wspomniano o możliwości rozprawienia się z Orlakiem przy pomocy Trójcy, to właśnie Lys zaproponowała, że uda się do zniszczonego przez boga świata i wprowadzi w życie złożony plan.

Jej dziedziczne prawo do przemieszczania się między światami było wielkim błogosławieństwem i pozwalało zminimalizować nieuchronne szkody, jakie musiało wywołać naruszenie dzielących światy granic. Fizycznie jednak wolno jej było odwiedzić świat ludzi tylko raz. Potem mogła się z nim kontaktować jedynie duchem. Miała więc jedną, niepowtarzalną szansę, by z powodzeniem wykonać powierzone jej przez Hostię zadanie.

Przekroczyła portal i spędziła w Tallinorze niemal rok. Udało jej się osiągnąć wszystko, o co prosili bogowie, ale w chwili powrotu nie czuła radości, lecz czarną rozpacz. Nie chcąc dłużej żyć w pięknym świecie bogów, postanowiła zamieszkać w Pustkowie, którego nastrój odzwierciedlał jej ból z powodu tego, co była zmuszona uczynić.

Teraz strzegła Orlaca i przyglądała się, jak dzielni paladynowie jeden po drugim upadają w obliczu jego potęgi. Pozostał już tylko Themesius Olbrzym, lecz Orlac, zamiast go atakować, zaprzestał walki i siedział spokojnie, sprawiając wrażenie pogrążonego w myślach.

Lys nie rozumiała, dlaczego w tak kluczowym momencie bóg dał Olbrzymowi spokój.

Ocknąwszy się z zamyślenia, spojrzała w stronę czerwonej mgiełki, także zamieszkującej Pustkowie. To było wszystko, co pozostało z fizycznej postaci potężnego niegdyś boga Dorgryla. Lys nie była zdziwiona, gdy zamieszkał w jej posępnym domu. W jakież inne miejsce Hostia mogłaby wysłać boga, który spiskował przeciwko własnemu bratu, królowi? Pustkowie było idealnym więzieniem dla kogoś, kto uwielbiał przyjemności życia. Tak, jedynym sposobem ukarania takiej istoty było pozbawienie jej tego, co najbardziej uwielbiała: urody, przyjemności, wolności, a w szczególności władzy.

Słuszne więc było, by Dorgryl zapłacił za swoją chciwość i arogancję w Pustkowie, pozostając tu na wieczność. Przedtem cieszył się przywilejami, o jakich bogów nawet nie marzyła, a większość śmiertelników nie potrafiłaby sobie wyobrazić. On jednak pragnął więcej. Jako młodszy z bliźniaków pożył królewskiej korony, która należała się jego bratu. Uknuł spisek mający na celu zabicie króla i zdołałby wprowadzić go w życie, gdyby nie został zdemaskowany przez własną młodą żonę. Lojalność wobec pary królewskiej przeważała w niej nad miłością do męża. Plany Dorgryla zostały pokrzyżowane, a on sam osądzony i ukarany.

Jako strażniczka, Lys trzymała się z daleka od upadłego boga, teraz jednak, wbrew rozsądkowi, miała ochotę go zagadnąć. Zauważyła, że Dorgryl coraz bardziej interesuje się Orlakiem, i była ciekawa, czy dziwne zachowanie więźnia ma z tym coś wspólnego. Może Dorgryl mógłby jej to wyjaśnić?

Od razu przeszła do rzeczy.

Jak myślisz, dlaczego Orlac tak przycichł?

Stary bóg był zachwycony, że po wiekach samotności wreszcie może z kimś porozmawiać. Mgiełka zadrżała.

Lys! Jak miło usłyszeć twój głos.

Nie przyszedł tu na towarzyską pogawędkę, Dorgryl.

Och, daj spokój, ślicznotko. Cóż innego można zrobić w tym ponurym miejscu?

Jego sztuczki nie robiły na Lys wrażenia. Co zaś do komplementów, wiedziała, że pod gładkimi manierami kryje się wysoce przebiegły umysł, nieustannie rozmyślający nad uśpieniem jej czujności. Dorgryl bez wątpienia coś knuł.

Spędził w Pustkowie wiele wieków, nie rozmawiając z nikim, nawet ze sobą. Teraz wydawał się niemal radosny, jakby oczekiwał czegoś ekscytującego. Nic w jego żalostnej egzystencji nie uzasadniało takiej wesołości. Wyglądało na to, że wie coś, czego nie wie Lys - a przynajmniej tak mu się zdaje. Musiała być czujna. Już sama rozmowa z nim była

niebezpieczna. Lys wcześniej obiecała sobie, że zawsze będzie podchodzić do Dorgryła z największą ostrożnością. Żadne jego słowo, żaden zamiar nie mogły nigdy wejść w życie. Dorgrył niemal zdołał obalić króla bogów. Nie wolno go było spuścić z oka nawet na chwilę.

Lys często żałowała, że zabicie boga nie jest prostsze. Byłoby wtedy łatwiej rozprawić się z Dorgrylem, a nawet z jego bratankiem Orlakiem. Tymczasem jednak brat królewski wraz z synem i dziedzicem króla pozostawali pod jej nadzorem. Niezależnie od tego, jak bardzo nienawidziła tej misji, nie miała najmniejszego zamiaru im popuścić.

Podobnie jak Nanak, Lys czasami szczerze współczuła Orlacowi. W takich chwilach jak ta, kiedy siedział spokojny, potrafiła dotknąć jego umysłu i wyczuwała w nim straszliwy smutek. Ten piękny bóg na wskroś przeżarty był rozpaczą. Jego straszliwa furia i nienawiść do świata, w którym dorastał, zrodziły się w nim w wyniku odkrycia, kim naprawdę jest. Dziedzic tronu Hostii, książę bogów, pozbawiony dziedzictwa i wychowywany jako syn biednego człowieka. Lys rozumiała jego ból. Urodził się, by być na samym szczycie, lecz musiał dorastać jako śmiertelnik. Co gorsza, nie zrobił nic, by zasłużyć na taki los. Po prostu jako dziecko przypadkiem wpadł w ręce złodziei.

Czy kiedykolwiek uda się naprawić zło? Czy równowaga między światami zostanie przywrócona? Co się stanie, gdy obudzi się moc Trójcy?

Jej rozmyślania przerwał Dorgrył.

Podoba mi się to... jak mam to nazwać? Już wiem: to przedstawienie, które się tu rozgrywa. Orlac, zbłąkany bóg, próbuje się wyrwać na wolność. Twój ulubiony śmiertelnik skacze ze statku podczas wielkiego sztormu i najprawdopodobniej ginie. I ta dziwna posłanka, w tajemnicy przekradająca się przez portal - ciekawe, dokąd zmierza... No i jest jeszcze piękna Alyssa. Wygląda na to, że uwiła sobie wygodne gniazdko u boku króla. To intrygująca historia, Lys. Zastanawiam się, co się stanie, gdy wszystkie części tej układanki spotkają się ze sobą. Na samą myśl o tym ogarnia mnie podniecenie. - Dorgrył zachichotał.

Nawet nie próbuj sobie tego wyobrazić - odparła chłodno.

Ależ Lys, cóż mam do roboty poza śledzeniem tej frapującej historii? Wygląda jednak na to, że ciebie ona nie bawi. Ciekawe dlaczego. Czego może się obawiać wszechmocna Patronka?

Lys żałowała, że zaczęła tę rozmowę, ale musiała poznać powód bierności Orlaca. Kiedy Dziewiąty Paladyn, Figgis Jaskiniowiec, uległ w końcu potędze młodego boga, Dorgrył wręcz ryczał ze śmiechu. Themesius Olbrzym wył z rozpacz po utracie ostatniego towarzysza, Nanak padł bezwładnie na ziemię, nie potrafiąc ukryć bólu, ale Orlac nie dawał żadnych oznak radości. Po prostu siedział, oparłszy głowę na kolanach, otoczył swoje

perfekcyjnie piękne ciało muskularnymi ramionami i kołysał się w milczeniu. Od śmierci Figgisa o kamiennym sercu młody bóg nie wyrzekł ani słowa i zaprzestał wszelkich działań. Lys była skonsternowana.

Musiła powtórzyć Dorgrylowi zadane wcześniej pytanie. Tylko on mógł jej wyjaśnić milczenie Orlaca.

Skąd mam wiedzieć, co jakiś bóg sobie myśli, Lys? Może i jestem jednym z nich - choć kiepska to wymówka dla kogoś w moim położeniu - ale nie przychodzi mi do głowy żaden powód, który by wyjaśniał tajemnicze zachowanie naszego młodego przyjaciela.

Uwierzyla mu. Skąd miałby to wiedzieć?

Chyba że - kontynuował Dorgryl, a w jego głosie zabrzmiała nutka przebiegłości - Orlac postanowił grać fair.

Fair? Co masz na myśli?

Cóż, kiedy byłem fantastycznie przystojnym bogiem i członkiem królewskiego rodu, brałem czasem udział w pewnej grze. Zwała się Quyx.

Wiem, co to Quyx. Nie zapominaj, że ja też jestem bogiem.

Dorgryl znów zachichotał. Ta jego tajemniczość działała jej na nerwy.

Zgoda, moja droga. Ale my, arystokraci, mieliśmy inne reguły.

Mgiełka pociemniała zarozumiale. Lys była wściekła, ale wzięła głęboki oddech.

Tak? - zapytała beznamiętnie. - A jakież to?

Dorgryl mówił dalej, jakby jej nie słyszał.

Kiedy zwycięzca czuł, że za chwilę zada „zabójczy”, kończący grę cios, siadał na podłodze i czekał chwilę, by dać przeciwnikowi czas na zebranie sił. Można powiedzieć, że dawał mu fory. Ten czas nosił nazwę Łaski, bo pozwalał tamtemu przygotować się na godną „śmierć”. Rzecz jasna, Quyx był tylko zabawą. Teraz to co innego. Tym razem gra toczy się o najwyższą stawkę.

Rozumiem.

Chociaż - ciągnął wyniośle Dorgryl - nie jestem pewien, czy Orlaca stać na taką finezję, biorąc pod uwagę fakt, że był zaledwie niemowlęciem, gdy wykradziono go Hostii.

Och, jestem tego pewna - odparła Lys z lekkim podnieceniem. - Wszyscy członkowie królewskiego rodu mają we krwi wiedzę na temat zachowań bogów. Jestem pewna, że się nie mylisz, Dorgryl. Dziękuję. Wygląda na to, że Orlac zdał się na instynkt. Wyświadcza Thamesiusowi Łaskę.

Cieszę się, że mogłem ci pomóc, Lys. Może mogłabyś mi się jakoś odwdzińczyć...

Nie jestem ci nic winna, Dorgryl - odparła oschle. - Jak długo może potrwać okres

Łaski?

Obrażony bóg początkowo nie odpowiadał. Lys czekała cierpliwie. W końcu mgielka westchnęła.

Nie mam pojęcia. W Quyksie trwało od świtu do zmroku, ale skąd moglibyśmy wiedzieć, kiedy zapada zmrok, siedząc w tym zakazanym miejscu - rzucił drwiąco.

Lys szybko przerwała kontakt z jego umysłem i zaciągnęła zasłonę. Dorgryl naprawdę był cwany. Będzie musiała ukrywać przed nim bieg wydarzeń. Miał oczywiście rację: Orlac dawał Themesiusowi wytchnąć przed zadaniem ostatecznego ciosu. Dzięki temu mieli trochę więcej czasu. Ile? Czekanie od świtu do zmroku mogło oznaczać niemal rok według tallinorskiego czasu. To dawało szansę, ale nie dawało gwarancji.

Musiała pogonić Tora. Najpierw jednak musiała go uratować przed utonięciem.

15.

ADONGO MORUK

Pochłonęły ich żarłoczne fale zimnego oceanu. Ryk trzymał się kurczowo szyi Tora, a miotany prądem Locky równie kurczowo przywierał do jego ramienia. W ryczącej kipieli Tor stracił orientację. Barwy wewnątrz niego jaśniały i wrzały, wołając, by czerpał z nich moc i wydostał się na powierzchnię. Ale on nie wiedział nawet, gdzie jest góra, a gdzie dół. Co gorsza, widział przed sobą twarz Gotha. Połykał słońską wodę, mając świadomość, że to samo dzieje się z Rykiem i Lockym. Jedyną pociechą był dla niego fakt, że Goth umiera wraz z nimi.

Tor - usłyszał znajomy głos.

Chyba śnię, skoro mogę z tobą rozmawiać, Lys.

Nie śpisz. Toniesz.

Może więc warto utonąć.

Nie, Tor. Użyj swojej mocy i uratuj wszystkich.

Po co, Lys? - zapytał, zanurzając się głębiej.

Nie mam czasu ci tłumaczyć, Tor. Przywołaj Barwy.

Po co? - upierał się.

Twoje dzieci się odnalazły. Idą do ciebie. - Po tych słowach Lys zamknęła łącze i wycofała się.

Wzmianka o Gidyonie i Lauryn zachęciła Tora do walki. Spojrzał za siebie i zobaczył rozszerzone z przerażenia oczy Locky'ego, spazmatycznie zamykającego i otwierającego usta w dramatycznej walce o oddech. „Ryk chyba już nie żyje” - pomyślał z rozpaczą, czując, że uchwyt chłopca zelżał. Przywołał Barwy.

Po chwili znaleźli się na powierzchni, łapiąc powietrze wielkimi haustami, wciągając w płuca życie i wypluwając słońską śmierć, która niemal ich pokonała.

Po „Osie” nie było na horyzoncie ani śladu. Albo prąd musiał ich znieść bardzo daleko, albo statek zatonął. Morze wokół szalało, ale Barwy otaczały rozbitków bezpiecznym kokonem. Tor rozglądał się gorączkowo, nadal oddychając ciężko i zastanawiając się, czy płuca nie pękną mu z wysiłku. Przez mrok przedarł się obraz urwistych skał. Ziemia! Może

uda im się do niej dotrzeć. Nie było czasu do stracenia. Zarzucił mentalną kotwicę i bezpiecznie wylądował na brzegu wraz z przyjaciółmi.

Ostatkiem sił wdrapał się na skalną półkę, wciągając za sobą Locky'ego. Nieprzytomny Ryk wisiał mu bezwładnie u szyi. Tor rozejrzał się wokół. Wyglądało na to, że znajdują się na wyspie, bo poza półką nie widział niczego oprócz wody. Pokrzepiony tym odkryciem i nadzieją ponownego ujżenia swoich dzieci pomógł Locky'emu wstać i razem, niosąc Ryka, powlekli się ku piaszczystemu brzegowi. Zwinęli się w kłębek w rachitycznej trawie, dającej nieznaczną ochronę przed szalejącą wichurą.

Był prawdopodobnie późny ranek, ale niebo było tak ciemne, jakby zapadł już zmrok. Wyglądało na to, że sztorm jeszcze trochę potrwa. Tor wepchnął chłopców do rowu - Ryk żył, ale oddychał nierówno - po czym wstał, by rozejrzeć się po okolicy. W oddali dostrzegł coś, co wyglądało na obóz. Wiedział, że teraz nie uda im się tam dotrzeć, ale kiedy jego towarzysze poczują się lepiej, mogliby spróbować poszukać tam pomocy. On sam zresztą także był wyczerpany i potrzebował odpoczynku.

Obrócił się w stronę morza, szukając miejsca, w którym prawdopodobnie zatонуła „Osa”. Lustrując horyzont, na rozszalałym morzu zauważył ocalały odprysk statku i trzymającą się go kurczowo ciemną figurkę. Goth, niech go szlag!

Tak zwany ksiądz rozpaczliwie wymachiwał rękoma, krzycząc coś. Tor nie słyszał jego słów, domyślał się jednak, że Goth wzywa pomocy. „O nie - pomyślał - nie mam zamiaru cię ratować. Nie splamię też sobie rąk twoją krwią. Niech żywioł wymierzy ci sprawiedliwość”.

Kawał drewna wirował teraz dziko, ale Goth jakimś cudem wciąż się go trzymał.

- Żegnaj, Goth! - wrzasnął Tor.

Wiatr poniósł jego słowa w przeciwną stronę. Goth zwisał teraz bezwładnie. Prąd pociągnął jego miniaturową tratwę z powrotem na otwarte morze i włókł ją wzdłuż plaży. Tor spoglądał za nią, aż znikła w oddali. Miał nadzieję, że człowiek, którego nienawidził najbardziej na świecie, już nie powróci.

Teraz, gdy Gotha pochłonęło morze, Alyssa w końcu zazna spokoju. Z tą pokrzepiającą myślą Tor opadł ciężko na ziemię, wyczerpany.

*

Obudził się gwałtownie, nie od razu uświadamiając sobie, że spał. Był oszołomiony. Potrząsnął głową, by rozjaśnić myśli. Sztorm ustał. Pozostał po nim tylko silny wiatr i deszcz, który przemoczył ich do suchej nitki. Kiedy Tor spróbował otrzeć sól ze szczypiących oczu, okazało się, że jest skuty łańcuchami.

Natychmiast oprzytomniał i rozejrzał się wokół. W strugach deszczu dostrzegł kilku innych skutych ludzi, smagłych, ciemnookich, o kanciastych twarzach i długich kończynach. Domyślił się, że ma przed sobą koczowników z Wysp Egzotycznych, o których wspominała Erynia. Mruczeli coś do siebie w niezrozumiałym języku. Jego ignorowali, choć zauważyli, że się obudził. Tor zdołał uklęknąć. Zastanawiał się, czy użyć mocy, ale pomyślał o Lockym i Ryku. Musiał siedzieć spokojnie i czekać, aż znajdą się w pobliżu.

Rozejrzał się wokół. Wyglądało na to, że znajduje się dość daleko od piaszczystej plaży, na której schronili się poprzedniego dnia. Najwyraźniej został przeniesiony, prawdopodobnie także odurzony narkotykiem. To wyjaśniałoby uczucie oszołomienia, jak również fakt, że nie obudził się, gdy go transportowano.

Był już prawie świt, gdy w końcu pojawił się jakiś mężczyzna. Obudził kopniakami tych, którzy jeszcze spali, i kazał wszystkim wstać. Widząc groźnie wyglądający bat w ręku tamtego, Tor zrobił, co mu kazano. Pojawili się kolejni ludzie. Wszyscy wyglądali na marynarzy. Przywódca zwracał się do zgromadzonych jakimś slangiem, z którego Tor z wielkim trudem zdołał zrozumieć zaledwie kilka słów. Niepotrzebnie się starał: po chwili tamten przeszedł na tallinorski. Przedstawił się jako Haryd, pierwszy oficer Czarnorękiego.

- Ty, duży, popłynąłeś w złą stronę. Teraz jesteś niewolnikiem i będziesz robił, co ci każę. Nazwisko?

Nie było sensu kłamać.

- Torkyn Gynt.

- Skąd?

- Z Tal.

Mężczyzna parsknął śmiechem.

- Pierwszy raz złapaliśmy uczonego mieszcza. Nieźle na tobie zarobimy, Gynt. Co tu robisz?

- Ratuje życie - odparł Tor i spostrzegł, że Haryd mocniej ścisnął w rękę bat.

- Nie wymądrzaj się, Gynt. Przemądrzali niewolnicy są tu karani. Masz tylko odpowiadać na moje pytania. Jestem twoim właścicielem.

Tor ugryzł się w język.

- Nazwa statku? - pytał dalej Haryd.

- „Osa”. Zatonął podczas burzy.

Porywacze wyglądali na wstrząśniętych.

- Płynąłeś „Osą”? - wrzasnął Haryd, podchodząc bliżej.

- Wraz z dwoma towarzyszami.

- Co z Czarnorękiem?

- Nie żyje - odparł ostrożnie Tor. - Sam się zabił.

- Łziesz! - ryknął pierwszy oficer. - Czarnoręki i samobójstwo? Miałbym w to uwierzyć?

- Byłem przy tym. Nie popełnił samobójstwa. To był wypadek. - Wokół Tora zaległa ciężka, niemal namacalna cisza.

Wszyscy ludzie słuchali. Nawet pozostali niewolnicy przestali się wiercić.

- Zabierał się właśnie do swojego ulubionego hobby. Chciał odrąbać dłoń jednemu z członków załogi. Zbierało się na burzę i nagle w statek uderzyła niespodziewana fala, przełamując go. Kapitan musiał się pośliznąć, bo ostrze topora wbiło mu się w pierś. Gdy go ostatnio widziałem, jego flaki pływały po całym pokładzie tonącej „Osy”.

Tor z przyjemnością spoglądał na przerażone twarze marynarzy słuchających jego zmyślonej historyjki.

Haryd zdołał zapanować nad nerwami.

- A pozostali?

- Przypuszczam, że wszyscy zginęli. Piorun uderzył w maszt i statek stanął w ogniu. Zatonął w ciągu kilku minut. Wyskoczyłem z trójką innych. Dotarłem do brzegu z dwoma towarzyszami. O innych nic mi nie wiadomo.

- Co robiłeś na „Osie”?

- Zapłaciłem za podróż do Cypryji. Co się stało z moimi towarzyszami?

- Jeden zdycha, o ile już nie zdechł. Tak się składa, że to członek naszej załogi. Starszy jest całkiem ładny, więc przyda się do zabawienia moich ludzi z braku dziwek.

Tora ogarniała furia.

- Pytałem, gdzie są. Jestem medykiem, mogę uratować chłopaka. Co do Locklyna Gylbyta, być może zainteresuje pana, że jest szwagrem Janusa Quista, który zapewne z rozkoszą pokaże panu, jak należy traktować jego krewnych.

Powinien był to przewidzieć. Nie dość, że przemawiał do Haryda pogardliwym tonem, to jeszcze przeraził go wzmianką o Quiście. Bat ciął go w pierś, uderzając w mokrą skórę z taką siłą, że Tor wylądował w błocie. Wtedy otrzymał kolejny cios, tym razem w plecy. Ból był nie do wytrzymania.

Usłyszał, jak Haryd splota na niego.

- Nigdy więcej tak do mnie nie mów, Gynt. Od tej pory, gdy się do ciebie zwrócę, masz odpowiadać ze spuszczonego oczyma. Jesteś niewolnikiem. Wymyśliłeś niezłą historyjkę, żeby ratować skórę, ale na nic ci się to zda. Za kilka dni sprzedamy cię w Cypryji

razem z twoim przechodzonym kolesiem. A teraz wstawaj i wylecz chudzielca, bo go potrzebuję do roboty. Co do pięknego, możesz mu wysmarować dupę maścią. Zamierzam go sprzedać, ale wcześniej moi ludzie muszą sobie z nim poużywać przez co najmniej dwie noce, więc lepiej doprowadź go do porządku.

Ostatnim komentarzem Haryd zrehabilitował się nieco w oczach marynarzy, którzy wybuchnęli śmiechem. Tor już miał się z nimi rozprawić, gdy usłyszał w głowie aksamitny głos. Przypomnił mu się dzień, w którym dziewczynę imieniem Marya zakuto w uzdę, a Merkhud po raz pierwszy odezwał się do niego przez łącze mentalne.

Nie ujawniaj się jeszcze. To nierozsądne.

Barwy opadły i Tor rozejrzał się podejrzliwie.

Kto do mnie mówi?

Ja. Drugi na lewo od ciebie.

Haryd rozkazał swoim ludziom podnieść Tora, który wykorzystał okazję, by się przyjrzeć właścicielowi aksamitnego głosu. Wpatrywał się w niego wysoki mężczyzna o ciemnej twarzy, w której błyszczały białka oczu. Kiwnął lekko głową.

Kim jesteś? - szepnął Tor, gdy go zabierali.

Adongo Moruk.

Tor był wstrząśnięty.

Paladyn?

Wepchnięto go do namiotu.

Piąty. Później porozmawiamy. - Po tych słowach łącze zatrzasnęło się.

Ryk leżał na ziemi w kącie namiotu, trzęsąc się z gorączki. Tor starał się nie myśleć o Adongu, choć trudno mu było zignorować takie odkrycie. Poprosił, by zdjęto mu łańcuchy.

- Zrób coś głupiego, niewolniku, a poderżniemy chłopakowi gardło - warknął jeden ze strażników, po czym kazał drugiemu rozkuć Tora. - Nie temu. Naszemu cwelowi - dodał, szczerząc wrednie zęby.

„To byłoby takie proste” - pomyślał Tor, spoglądając w pozbawione inteligencji oczy. Ale nie miał zamiaru zabijać. Zawsze sobie obiecywał, że nie będzie wykorzystywał swojej mocy do niesienia śmierci... Ostatnio jednak stało się to nieuniknione. Nadal miał przed oczami krew tryskającą z olbrzymiej rany w piersi Czarnorękiego. Jakże łatwo byłoby zabić także tego człowieka, a wraz z nim pozostałych. Ale Adongo ostrzegł go, by się na razie nie ujawniał. Musi poczekać i dowiedzieć się więcej.

- Dziękuję - powiedział, choć bynajmniej nie czuł wdzięczności.

Ryk był tak rozpalony, że Tor nie dawał mu szans do dożycie południa.

- Moja torba. Czy miałem przy sobie torbę, gdy mnie znaleźliście? Skórzaną?

Mężczyzna patrzył na niego beznamiętnie. Spróbował jeszcze raz:

- Miałem ją przewieszoną przez ramię, gdy dopłynąłem do brzegu. Ciemnobrązowa.

Na pewno ją przy mnie znalaziono.

Strażnik nadal nie odpowiadał, ale lekkim ruchem brody dał znak drugiemu, który natychmiast wybiegł z namiotu. Wkrótce wrócił, niosąc torbę Tora. Ten wziął ją, starając się nie okazać, jak bardzo mu ulżyło. Nie potrzebował torby. Chodziło mu jedynie o poczucie bezpieczeństwa płynące ze świadomości, że wróciła do niego. Udał, że przegląda zawartość. Było tam mnóstwo różnych rzeczy, a nuż znajdzie się coś przydatnego.

- Nie - mruknął celowo - tu tego nie ma... Czy ktoś coś stąd wyjmował?

Obaj mężczyźni pokręcili głowami.

- Hm... tego, co mi potrzebne, tu nie ma - skłamał. - Czy mógłbym dostać chociaż kilka kawałków mokrego płótna? - zapytał z udawaną frustracją w głosie.

Drugi marynarz znów zniknął. Pierwszy dłużył sobie w nosie, obojętny na wszystko.

Tor położył ręce na Ryku i przywołał Barwy. Udawał, że mierzy chłopcu gorączkę. Tę łatwo było zbić za pomocą magii, czuł jednak, że choroba jest znacznie poważniejsza. Strach sprawił, że Ryk zapadł się głęboko w głąb siebie. Pozostała tylko skorupa. Przerażony duch umknął gdzieś daleko i powoli umierał.

Tor myślał szybko, przypominając sobie rzeczy wyczytane w księgach Merkhuda. Nim jednak przystąpi do dzieła, musi pozbyć się tych dwóch ludzi.

- Chłopak umiera na chorobę, z którą zetknąłem się tylko raz czy dwa w życiu - zwrócił się do nich. - Jest naprawdę paskudna.

Marynarze cofnęli się o krok.

- Będę potrzebował pomocy - dodał Tor, starając się brzmieć rzeczowo.

- Ja ci nie pomogę - odparł jeden. Drugi pokręcił głową.

- W takim razie mały umrze. Haryd kazał mi go uratować.

- Przecież powiedziałeś, że i tak umiera - mruknął starszy marynarz.

- To prawda. Myślę jednak, że mógłbym go ocalić. Potrzebuję na to kilku godzin i kogoś do pomocy.

Strażnicy stali bez ruchu. Postanowił zaryzykować.

- Dobrze. Przyprawdźcie mi jednego z tych niewolników.

Ale nie pierwszego lepszego. Tego wysokiego, drugiego na lewo od miejsca, w którym stałem. Potrzebny mi ktoś silny. Poza tym facet wygląda na głupka, więc nie będzie o nic pytał. - Tor uśmiechnął się, jakby powierzał im sekret.

Marynarze dali się nabrać. Starszy nawet do niego mrugnął.

- Pilnuj go, Bluth - rzucił i wyszedł, żeby przyprowadzić niewolnika.

Wkrótce w namiocie pojawił się Adongo Moruk z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

Tor uruchomił łącze.

Po prostu rób, co ci każę.

Był zdumiony, że może się porozumieć z Adongiemi, choć mówią różnymi językami. Zastanawiał się również, dlaczego może się połączyć z Monakiem, choć nie udało mu się to z Saxonem.

Z radością - odparł Adongo swoim łagodnym, głębokim głosem.

- Nie rozkuję go - powiedział głośno marynarz, popychając Moruka w stronę Tora i Ryka.

- Rozumiem. To nie będzie konieczne - odparł Tor. - Jeśli jednak cenisz swoje życie, nie radzę ci tu zostawać. Wystarczy, że chłopak kichnie na ciebie, albo nawet obok ciebie, a możesz podzielić jego los.

Marynarz wyglądał na przerażonego.

- Chyba nie myślisz, że uda mi się stąd uciec? Jeśli chcesz, możesz mnie przykuć do filara namiotu - rzekł Tor.

- Skąd wiesz, że sam się nie zarazisz?

- Miałem już do czynienia z tą chorobą i nie zaraziłem się. Widocznie nie jestem na nią podatny. Nie wiadomo, dlaczego jedni ją łapią, a drudzy nie. Być może ty też jesteś odporny, ale ktoś może to wiedzieć? Zaryzykuj, Beryd... tak masz na imię, prawda?

Starszy marynarz kiwnął głową. Był jednak uparty. Gestem wskazał niewolnika. Tor odczytał jego myśli i odpowiedział, nim padło pytanie.

- Zakładam, że jego utrata nie zrobi wam różnicy.

Beryd skrzywił się.

- Właśnie, że robi. To wódz plemienia. W Cypryzji dostaniemy za niego dużo forsy.

Tor musiał się go pozbyć.

- W takim razie przykuj nas obu i wyjdź na zewnątrz. Zawołam cię, gdy gorączka opadnie. Cokolwiek się stanie, wszyscy będziemy bezpieczni - skłamał ponownie. Beryd najwyraźniej potrzebował zachęty. - Albo zaryzykuj. Ofiary zwykle umierają w wyniku krwotoku z nosa, oczu, uszu, fiuta i tyłka.

Beryd zbladł jak ściana i wrzasnął na kumpla. Tor i Adongo zostali szybko przykuci do filara. Adongo pozostał w kajdanach, Tor natomiast miał wolne ręce, łańcuchy na nogach były jednak tak krótkie, że strażnicy wiedzieli, iż jeniec nie wyciągnie ręki poza obręb

okrągłego namiotu.

- Będziemy na zewnątrz - rzekł Beryd, zakrywając nos i usta.

Tor kiwnął głową i zajął się pokazywaniem Morukowi, jak przyciskać kawałki płótna do ciała Ryka.

Mieli niewiarygodne szczęście, bo właśnie w tym momencie Ryk poruszył się i kichnął słabo, po czym znów legł bez życia.

Beryd i Bluth uciekli.

Dzięki, że przyszedłeś - rzekł Tor.

Nie wiem, czy miałem wybór.

Miałem na myśli twój powrót jako paladyna.

Ja też - odparł spokojnie Adongo - *choć nie jestem sprzężony z tobą.*

Tak, czuję to. A czy wiesz, kto jest ci przypisany?

Będę wiedział, gdy go spotkam - odparł tajemniczo Moruk.

Lys nie podała ci imienia?

Powiedziała tylko, że to ktoś młody - rzekł Adongo, wykręcając się od odpowiedzi.

Tor zauważył, że jego towarzysz celowo unika konkretnych wypowiedzi, i postanowił nie przypierać go do muru. Będą mieli dość czasu, żeby się bliżej poznać.

Wiesz, kim jestem? - zapytał, zły, że zabrzmiało to tak pompatycznie.

Wybrańcem.

Wolałbym, żebyś nie myślał o mnie w ten sposób.

Każdy z nas ma jakąś rolę do odegrania. Ja jestem paladynem. Ty jesteś Wybrańcem.

Tor westchnął. Dalsza dyskusja nie miała sensu.

Adongo, dlaczego przestrzegłeś mnie przed ujawnieniem swojej mocy?

Moruk uśmiechnął się szeroko.

Ci marynarze boją się czarów. Zabijają każdego, kogo zaczną podejrzewać o próbę ataku magicznego. Mój lud nazywa to „fra-fra”: strach przed naszymi wierzeniami, kulturą i sztuczkami.

A w Cypryzi?

Nigdy tam nie byłem - odparł Adongo, wpatrzony w krępujące go łańcuchy.

Jasne. Przepraszam. Gdzie cię pojмали?

Wiele mil stąd. Jesteśmy koczownikami, ale ci piraci znają nasze stałe trasy. Przychodzą z ogniem i strzałami, zabijają nasze brango, palą namioty. Zabili moją kobietę... i dwie córki. - Adongo uśmiechnął się smutno. - *Ale nie zdołają zabić wspomnienia o nich.*

Tor nie znajdował słów, którymi mógłby wyrazić współczucie. Godność tego

człowieka przywodziła mu na myśl postać Cloota. Wódz dostrzegł zakłopotanie towarzysza.

To nie ty pogrążyłeś mnie w żalobie, a poza tym, gdyby to się nie stało, nie mógłbym wypełnić swego przeznaczenia jako paladyn. Akceptuję swój los.

Nie powinieneś. - W jaskrawoniebieskich oczach Tora załśnił gniew. W tej chwili miał ochotę udusić Lys i zniweczyć jej brutalne manipulacje.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

Życie paladyna musi się składać z wyrzeczeń. Jak już powiedziałem, nie wierzę, bym miał jakikolwiek wybór. Śmierć była dla nich łaskawa. Nie zdążyły nic poczuć. Tylko ja cierpiałem i jestem wdzięczny za tę łaskę. Ale nie roztkliwiajmy się nade mną. Ratuj chłopca.

On jest daleko od nas - odparł Tor, zażenowany ulgą, jaką przyniosła mu zmiana tematu. - *Przeżył ogromny szok. Czuję, że wciąż żyje, ale wkrótce umrze, jeśli nie odzyska zmysłów. Gorączka może ustąpić, muszę jednak odnaleźć i sprowadzić z powrotem duszę Ryka.*

Moruk kiwnął głową.

Co możemy zrobić?

To niebezpieczne. Nie wiem nawet, czy możliwe. Musimy się połączyć, a potem ty musisz mnie zakotwiczyć w swoim łączu, ja zaś wejść w ciało Ryka i spróbuję go odnaleźć.

Adongo rozszerzył oczy ze zdumienia.

To szaleństwo.

Tor uśmiechnął się. Dlaczego wszyscy zawsze krytykowali jego plany?

Cóż, innego pomysłu nie mam.

Smagły mężczyzna pokręcił głową.

To zbyt niebezpieczne. Nie mogę tego zrobić.

Boisz się?

Nie o siebie - odparł szorstko Adongo. - *O ciebie. Nie mogę ci pozwolić na takie ryzyko.*

W takim razie będę je musiał podjąć bez twojej pomocy, Adongo. Szkoda. Przydałaby mi się twoja siła. - Tor wiedział, że postępuje niesprawiedliwie, ale nie miał wyboru. Ryk musiał przeżyć. - *Przypilnuj przynajmniej strażników.*

Adongo wyciągnął rękę i chwycił Tora za ramię.

Czekaj. Pomogę.

Nigdy się nie dowiedział, jak bardzo Tor był mu w tym momencie wdzięczny. Medyk nie miał bowiem pojęcia, jak przeprowadzić tak skomplikowaną procedurę. Nie tracąc czasu, oczyścił umysł i skupił się na łączu.

Moruk uśmiechnął się ponuro. Tor zerknął na niego pytająco.

To mi przypomina naszą walkę z Orlakiem - rzekł Adongo, klękając przy Ryku. - Łączyliśmy umysły, by zapewnić sobie bezpieczeństwo, a jednak nasza wspólna moc nie wystarczyła.

Było to przerażające stwierdzenie.

Tor ponownie położył dłonie na ciele chłopca, przywołał Barwy i poczuł, że znika.

*

Skulony Ryk wrzasnął, czując czyjaś obecność tak blisko siebie. Adongo również usłyszał krzyk i zacieśnił mentalną więź z Torem. Powstrzymał się od wyrzenia na zewnątrz namiotu. Gdyby marynarze chcieli wejść, zdążyłby ich usłyszeć.

Ciii, Ryk... To tylko ja - uspokoił chłopca Tor.

Ryk był tak przerażony i skonsternowany, że nie potrafił zebrać myśli ani nawet uświadomić sobie, że Tor znajduje się... wewnątrz niego.

Musisz iść za mną, Ryk.

Boję się. On mi utnie rękę, a resztę rzuci na pożarcie wielkim węgorzom.

Ryk - powiedział stanowczo Tor.

Co? - wyszeptał chłopiec.

Czarnoreki nie żyje - kontynuował Tor. - „Osa” zatonała. A ty się zgubiłeś. Jeśli teraz pójdziesz za mną, mogę cię zabrać z powrotem tam, gdzie powinniśmy być. Rozumiesz?

Długotrwałe milczenie chłopca zaniepokoiło Tora. Nie wiedział, jak długo Adongo może go bezpiecznie utrzymywać.

Słyszysz mnie, Ryk?

On nie żyje? Nie utonęliśmy?

Żyjemy. Mamy trochę kłopotów, ale poradzimy sobie. Najpierw jednak musimy być razem, i to przytomni. Pójdziesz za mną? Obiecuję, że nie pozwolę nikomu cię skrzywdzić.

A te kłopoty?

Ha, jednak słuchał. Grzeczny chłopczyk.

Szczerze mówiąc, przydałaby mi się twoja pomoc.

Ryk pozwolił Torowi wziąć się za rękę i poprowadzić z powrotem ku przytomności. Ledwie Tor powrócił do własnego ciała, Adongo otworzył gwałtownie oczy na dźwięk odchylanego płótna namiotu. Do środka wszedł Haryd, a za nim jego poplecznicy.

Adongo przez cały czas trzymał w rękach moką szmatkę i miał dość przytomności umysłu, by służalczym gestem podać ją Torowi, który oddychał ciężko, starając się dojść do siebie.

Bierz... Udawaj, że coś robisz - syknął przez łącze.

Tor westchnął, rozprostował plecy, jakby zbyt długo klęczał nad chorym, i zerknął obojętnie na Haryda. Potem położył szmatkę na czole Ryka. Udawanie, że nie dzieje się nic szczególnego, było tak wyczerpujące, że czuł się oszołomiony.

- Po co ci ten niewolnik? - warknął Haryd.

Zerknąwszy na Ryka, Tor zauważył drgania twarzy i ruch powiek. Chłopiec powrócił. Spał, ale był już bezpieczny i wracał do zdrowia. Teraz musiał rozprawić się z wściekłym marynarzem. Medyk wstał z wysiłkiem, dbając o to, by mieć spuszczone wzrok i pokazać, że nadal jest skutny.

Adongo milczał, nie podnosząc się z klęczek.

- Dałem chłopcu miksturę na sen, która pomoże zbić gorączkę, proszę pana. Myślę, że jeśli się postaramy, mały przeżyje.

- Ha, widzę, że nauczyłeś się pokory, mędrce.

- Tak, proszę pana - wymamrotał Tor, walcząc z pragnieniem oswobodzenia jaśniejących w jego wnętrzu Barw.

- Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie, niewolniku!

Tor nie mógł sobie przypomnieć, o co pytał herszt. Potrzebował odpoczynku.

Wyjaśnij mi, co tu robię - syknął Adongo.

Tor chwycił się strzępów krążących po jego głowie myśli.

- Powiedziałem pańskim ludziom, że Ryk jest bardzo ciężko chory i kontakt z nim grozi śmiercią. Przepraszam, myliłem się.

Chłopiec musi być jednak w ciągłym ruchu przez całą noc, inaczej koniec z nim. Mam nadzieję, że ten Moruk i ja zdołamy utrzymać go na nogach bez potrzeby angażowania pańskich ludzi. - Zerknął przelotnie na Haryda, po czym znów spuścił wzrok.

- Nie wiem, dlaczego miałbyś się troszczyć o sen moich ludzi, Gynt, ale w jednym masz rację: mam gdzieś ciebie, tego Moruka i dzieciaka. Jeśli jednak da się go uratować, może się przydać. Więc rób swoje. Jutro wyruszamy.

Odwrócił się do wyjścia, trzaskając batem.

- Aha, Gynt, zapomniałbym: piękniś nie będzie mi dziś potrzebny. Jestem zmęczony. Przyprowadzą ci go, żebyś się nim zajął - rzucił drwiąco Haryd.

- Dziękuję panu - zdołał mruknąć Tor, nim piraci opuścili namiot.

*

Musiał stracić przytomność, bo nagle poczuł, że ktoś nim potrząsa. Jego uwagę przykuł brzęk uderzających o siebie łańcuchów. Wszystko stopniowo wróciło na swoje

miejsce i Tor zobaczył przed sobą zatroskaną twarz Adonga.

Co się stało? - zapytał.

Nie wiem. Chyba zasłabłem z wysiłku po uzdrowieniu chłopca.

Ryk! Jak on się czuje? - Tor złapał się za głowę i usiadł ostrożnie, bojąc się, że znów zakręci mu się w głowie.

Sam się przekonaj - rzekł Adongo.

Tor spojrział w kąt i zobaczył, że zwinięty w kłębek Ryk śpi zdrowym snem.

Odezwał się nawet. Kazał ci podziękować za to, że go znalazłeś i sprowadziłeś z powrotem.

Dziwne, że coś pamięta - odparł Tor, ponownie zamykając oczy.

Kiedy obudzi się na dobre, może zapomnieć o tym. Ale będzie zdrow. Gorączka ustąpiła. Rumieńce też. Jeśli dadzą mu się dziś wyspać, będzie miał dość sił, by iść.

Właśnie - przypomniał sobie Tor. - *Jak długo będziemy szli?*

Myszę, że około trzech dni.

Adongo, czy zdołasz osiągnąć mojej torby?

Moruk podał mu torbę. Tor wciąż był zbyt osłabiony, by wstać. Pamiętał, że gdy po raz pierwszy zaglądał do torby, jeszcze w lesie, widział tam małą fiolkę.

Ze zmrużonymi oczyma przetrząsał zawartość. Jego palce trafiły na fiolkę. Miał wielką nadzieję, że znajdzie w niej to, czego potrzebuje. Wyjął korek, powąchał i natychmiast przeniósł się pamięcią do obskurnej izby w tawernie „Pod Pustym Kielichem”, gdzie uleczył swojego pierwszego pacjenta - mężczyznę, który dziś był sokołem.

- Cloot - szepnął ze smutkiem. - *Gdzie jesteś?*

Pociągnął łyk przezroczystego płynu. Arrak zadziałał natychmiast: Tor poczuł się nagle, jakby miał za sobą kilka dni snu. W głowie mu pojaśniało, odzyskał siły. Pociągnął kolejny łyk. Pamiętał, że doktor Freyberg przestrzegał go przed zażywaniem zbyt wielkiej ilości naraz, więc po trzecim łyku odłożył fiolkę do torby.

Niezły wywar - skomentował z podziwem i rozbawieniem Adongo.

To zwyczajna jagoda, maleńka i rzadko spotykana - rzekł Tor, przypominając sobie opis Freyberga. - *Kwitnie podczas wiosennych roztopów, bardzo krótko. Surowe owoce są trujące. Wystarczy kilka kropel soku, by spowodować paraliż, a jedna lub dwie jagody mogą zabić - ale jeśli ugotuje się z nich syrop, otrzyma się ten odżywczy płyn. Jestem zdziwiony, że ta sama fiołka, którą otrzymałem wiele lat temu i zapomniałem o niej, znajduje się teraz w mojej torbie.* - Tor pokręcił głową. - *Las zadbał o wszystko.*

Adongo - odezwał się po chwili - *jak to jest, że możemy rozmawiać przez łącze?*

Po tych słowach Tor wstał i przeciągnął się, ciesząc się z odzyskanych sił.

Moruk zastanawiał się przez chwilę.

Chociaż uległem Orlacowi piąty, byłem pierwszym, który został powołany do pełnienia funkcji paladyna. Wydaje mi się, że to ja uruchomiłem łącze, gdy już zgromadzono wszystkich. Może był to mój specjalny przywilej. I może dlatego potrafię z tobą rozmawiać.

Tor kiwnął głową. Brzmiało to prawdopodobnie.

Kiedys wrócimy do Serca Lasu i będziesz mógł porozmawiać z dawnymi kompanami. To najbardziej magiczne miejsce na świecie.

Twarz Moruka rozjaśnił uśmiech.

Z radością pójdę tam z tobą, Tor.

Nie mieli jednak czasu nacieszyć się tą myślą. Usłyszeli kroki, po czym płótno namiotu załopotalo i do środka zajrzał Beryd.

- Bezpiecznie? - warknął.

- Tak sądzę - odparł Tor z udawaną niepewnością.

- Moruk musi wracać - oznajmił Beryd, wkraczając do środka z dwoma innymi ludźmi. Potem przemówił do Adonga w języku, który Tor słyszał już wcześniej. Wódz wstał spokojnie i czekał na zdjęcie łańcuchów, którymi przykuto go do filaru namiotu.

Nie ujawniaj swojej mocy - przestrzegł Tora.

Dlaczego po prostu nie uciekniemy?

Lys powiedziała mi, że powinienem iść z tobą do Cypryji. Ostrzegala też, żebyśmy nie zwracali na siebie uwagi.

Tak, zawsze to mówi, ale jakoś nigdy nie udaje mi się skorzystać z tej rady - odparł smętnie Tor, gdy wprowadzano Moruka z namiotu.

Usłyszał w głowie śmiech towarzysza i rozpogodził się.

Beryd zerknął na niego.

- I czego się szczerzysz?

- Przypomniała mi się wolność i ostatnie odwiedziny w burdelu - rzucił Tor, chwytając się pierwszej myśli, jaka mu przyszła do głowy.

- No, jeżeli masz ochotę na pieprzenie, to ten gość powinien cię zadowolić - rzekł Beryd.

W tym momencie do namiotu wepchnięto Locky'ego. Chłopak wylądował na ziemi, natychmiast podniósł się i siadł w kucki, podzwaniając łańcuchami.

- Doprowadź go do porządku - zażądał Beryd. - Potem wracasz na dwór.

Tor kiwnął głową wpatrzony w Locky'ego, który na odmianę wpatrywał się pustym

wzrokiem przed siebie.

- Pospiesz się. Moi ludzie wrócą za kilka minut - szczechnął marynarz.

Twarz drżącego Locky'ego pokrywały ciemne sińce.

- Odezwij się do mnie, Locky... Proszę...

Chłopak podniósł wzrok. Oczy błyszczały mu nienawiścią.

- Pierwszy raz ktoś próbował mnie tknąć, gdy miałem siedem lat. Zabiłem go. Teraz zabiję Haryda.

Mówił z tak jadowitą nienawiścią że Tor wierzył w każde słowo. Ponownie wyjął fiolkę z arrakiem. Wiedział, że fizycznie nie może pomóc Locky'emu, a nawet gdyby mógł, chłopak i tak by mu na to nie pozwolił. Chciał pielęgnować w sobie wściekłość. Im silniejsza była w nim nienawiść, tym łatwiej mu było znieść ból i upokorzenie.

- Masz. Pociągnij dwa łyki.

- Co to jest?

- Wywar regenerujący. Jutro wyruszamy w trzydniowy marsz. Napój doda ci sił.

Obawiał się, że chłopak odmówi, więc kamień spadł mu z serca, gdy Locky wyciągnął rękę. Pociągnął łyk i zerknął na Tora podejrzliwie.

- Jeszcze jeden - zachęcił go Tor.

- Co z Rykiem? - zapytał Locky, pociągając drugi łyk. - Mogę to wziąć?

- Nie - rzekł surowo Tor i z ulgą powitał wykwitający na twarzy chłopaka znajomy, łobuzerski uśmiech. - Ryk śpi. Trochę się poobijał w wodzie, ale nic mu nie będzie. Mam nadzieję, że jutro będzie miał dość siły, by iść. A ty?

Początkowe zażenowanie minęło. Locky był już bardziej skory do rozmowy. Niechętnie oddał Torowi fiolkę.

- Na światłość! Niezłe to. Czuję, że miałbym siłę maszerować przez tydzień.

- To dobrze. Musimy się trzymać blisko.

- Pozwolą nam?

- Tak. Powiedziałem im, kim jesteś. Nazwisko Quista dużo dla nich znaczy. Nawet jeśli mi nie wierzą, nie będą ryzykować.

- Janus im tego nie daruje - rzekł Locky. - Ale i tak mają szczęście, że to on się z nimi rozprawi, a nie moja siostra.

- Ona nigdy się o tym nie dowie, Locky. Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

- Nie, chyba że jesteś gotów mnie upić albo dać mi jeszcze trochę tego magicznego płynu.

Tor wiedział, że Locky dojdzie do siebie. Chłopak był twardy, a pragnienie zemsty

jeszcze bardziej go wzmocniło. Teraz jednak musieli dołączyć do pozostałych niewolników.

Haryd jakby czytał w jego myślach, bo właśnie w tej chwili płótno załopotalo i herszt piratów pojawił się w wejściu.

- Wstawać.

Locky podniósł się, rzucając tamtemu buntownicze spojrzenie. Tor wolałby, żeby okazał trochę szacunku, nawet udawanego.

- Przestań tak na mnie patrzeć, mały, bo za chwilę plecy będą cię boleć bardziej niż dupa. Mój bat się o to postara.

Locky spuścił głowę. Milczał.

- Proszę pana - odezwał się Tor, wściekły, że musi się tak poniżyć - pański pracownik, Ryk, będzie jutro gotów do drogi. Czy pozwoli pan mu dziś odpocząć?

- Tylko jemu. Wy dwaj, wracać na zewnątrz.

Tor zepchnął Barwy w głąb siebie, obiecując sobie, że dopilnuje, by Locky w swoim czasie wyrównał rachunki z tym człowiekiem. Na razie jednak musiał posłuchać Adonga i przygotować się do drogi.

16.

RADA ZAŻALEŃ

Szli już prawie dwa dni i dwie noce, zatrzymując się co wieczór tylko na krótki odpoczynek. Racje żywnościowe były skąpe, ale na szczęście porywacze na ogół pozostawiali jeńców w spokoju, ci zaś szli skuci łańcuchami, pilnowani przez ludzi na koniach i dwa powozy, jeden jadący z przodu, drugi zamykający kolumnę.

Tor nie miał nic przeciwko marszowi. Dzięki niemu miał czas dla siebie. Przez cały czas utrzymywał otwarte łącze, mimo iż Adongo - co także było Torowi na rękę - nie odzywał się, dopóki nie został zagadnięty. Locky też milczał, zachowując swoje myśli dla siebie, ale od momentu wypicia arraku był w zdecydowanie lepszym humorze i wydawał się zadowolony z wędrówki. Odkąd Tor wstawił się za nim, żaden z marynarzy nie śmiał się do niego zbliżyć. Mimo to, choćby nie wiem jak starali się okazać szacunek, Tor nie dawał im wielkich szans u wściekłego Janusa Quista.

Co do Ryka, chłopiec wyglądał tak, jakby nic się nie stało. Gdy rano się obudził, nie pamiętał wydarzeń poprzedzających ich ucieczkę z tonącego statku. Nie mówił nic o karze Czarnorękiego. Wspominał tylko rozszalałe morze i przypisywał swoje cudowne ocalenie człowiekowi, który nie był już doktorem Petersynem, lecz Torkynem Gyntem. Pomimo zakazu Haryda chłopak odwdzięczał się swemu zbawcy za plecami pirata. Pracował teraz w kuchni i szmuglował dla przyjaciół dodatkowe porcje mięsa i chleba. Zadowolony Tor poprosił go, by zaopatrywał też Adonga. Ryk był zdumiony, ale dla swego bożyszczka gotów był zrobić wszystko.

Było zimno, lecz nie mroźno. Na Wyspach Egzotycznych zima dopiero się zaczynała. Jeńców niezmiernie ekscytowała przeprawa na stały ląd, która zabrała im cały dzień. Po kilku godzinach stania w łańcuchach na małej tratwie byli już jednak wyczerpani. Rankiem czwartego dnia niewolnicy stali na pomoście w dokach Cypryzji, oczekując transportu na targ.

Haryd promieniał z radości. Trafili właśnie na dzień handlu niewolnikami i pirat miał nadzieję szybko sprzedać towar, wykupić koje na statku dla siebie i swojej załogi, a o zmroku opuścić miasto. Wolał nie sprawdzać prawdziwości opowieści o tym, że Locklyn Gylbyet jest

szwagrem Quista.

Tor wiedział, że będzie musiał wkrótce coś zrobić, jeśli nie chce, by pirat uniknął kary. Niezależnie od zaleceń Adonga nie mógł dłużej ukrywać swojej mocy.

- Wiesz, gdzie szukać Quista, Locky? - szepnął.

- Nigdy wcześniej tu nie byłem, ale Erynia powiedziała mi, jak trafić do jego ulubionej gospody. Obawiam się jednak, że łańcuchy i kajdany mogą mnie zdradzić.

Tor skrzywił się na dźwięk sarkazmu chłopaka.

- Zaufaj mi i uważaj.

Spojrzał na Haryda, który wydawał właśnie rozkazy swoim ludziom. Był daleko, ale doskonały słuch Tora pozwolił mu wszystko usłyszeć. Niewolnicy mieli być załadowani do powozów i Haryd negocjował właśnie cenę z potencjalnym przewoźnikiem. Tora obchodziło głównie to, że pirat jest zajęty, a jego poplecznicy niespecjalnie interesują się jeńcami, którzy siedzą zbici w ciasną gromadkę.

„Teraz albo nigdy” - pomyślał. Przywołał Barwy i przyglądał się, jak na nogach Locky’ego topnieją kajdany. Chłopak nawet tego nie zauważył, zaabsorbowany toczącymi się targami. „Uważa jak diabli” - pomyślał Tor. Wykonał tę samą sztuczkę z łańcuchami krępującymi nadgarstki Locky’ego. Chłopak był wolny. Teraz musieli działać ostrożnie.

- Locky - szepnął znowu.

- Ciii... - syknął chłopak. - Próbuję podsłuchać, jakie mają plany.

Tor stęknął.

- Słyszę każde słowo. Jeśli chcesz wiedzieć, wkrótce mamy zostać zapakowani do powozów i zabrani na zachodni kraniec głównego targu. Może zainteresuje cię także to, że twoje ręce i nogi nie są już skute.

Chłopak spojrzał gwałtownie w dół i wyciągnął przed siebie ręce. Już miał krzyknąć, ale powstrzymał go głos Tora.

- Ani słowa! Poruszaj się powoli i wykorzystaj swoją umiejętność znikania. Oddal się niepostrzeżenie i znajdź mi Janusa Quista.

Locky rozdziawił usta i otworzył szeroko oczy, niezdolny wydać żadnego dźwięku. Tor zerknął w stronę Haryda i bez podsłuchiwania zorientował się, że transakcja została zakończona. Niewolnicy mieli zostać natychmiast załadowani.

- Idź! - rzucił Tor łagodnie, lecz stanowczo.

Locky spojrzał uważnie na niego.

- Kim jesteś?

- Przyjacielem. Idź już.

Z ulgą przyglądał się, jak młodzieniec rozprostowuje palce, przygotowując się do ucieczki. Tymczasem wydano rozkaz i więźniowie usiłovali wstać, zmagając się z łańcuchami.

- Powodzenia - szepnął Tor, uśmiechając się do Locky'ego, który zniknął już pomiędzy wysokimi niewolnikami, przepychając się na tyły kolumny.

Adongo, Locky jest wolny. Powiedz swoim ludziom, żeby go nie wydali.

Wódz kiwnął głową.

Dobrze.

Tor niepokoił się, że inni niewolnicy mogą zacząć przyglądać się chłopakowi. Niepotrzebnie. Jakaś ręka podniosła leżące na ziemi łańcuchy. Jej właściciel uśmiechnął się do Tora i ostrożnie podał łańcuchy do tyłu, by stamtąd powędrowały poza ostatni rząd i znikły.

- Dobra magia - rzekł sąsiad łamanym tallinorskim, z zadowoleniem przyjmując uśmiech i kiwnięcie głowy Tora.

Zebrano ich w ciasną gromadę i załadowano do dwóch powozów. Haryd zdążył się już odwrócić od więźniów i szedł dokąś. „Pewnie do piwiarni” - pomyślał Tor. No i dobrze. Beryd, Bluth i pozostali dwaj piraci, którzy mieli eskortować niewolników na targ, nie byli zbyt bystrzy. Może nawet nie zauważą zniknięcia Locky'ego, dopóki nie znajdą się na miejscu.

Szczęście nie opuszczało Tora. Powozy zjechały z zatłoczonego pomostu i potoczyły się brzegiem doku, podskakując na wybojach. W oddali widać było centrum miasta. Piękne budynki i pastelowy kamień wydawały się jeszcze piękniejsze w rozmytym świetle słońca, zwiastującym koniec Zmierzchołcia i początek zimy. Nawet blade domki stłoczone na stokach wzgórz wyglądały bajkowo, Na wielkiej, odsłoniętej skale wznosił się samotnie miejscowy pałac, zabójczo elegancki budynek z rzędem wysokich, jasnych wieżyczek, każda w innym kolorze. Ich zakrzywione dachy ozdobiono złotymi wzorami, co sprawiało, że nieustannie się mieniły. Budowla sprawiała wrażenie niewiarygodnie kobiecej, i słusznie: wszak mieszkała w niej królowa.

Targ znajdował się w sporej odległości od pięknego miasta i już po kilku minutach jazdy powozy skręciły na główną arenę zachodniego placu. Było to żywe, kolorowe miejsce, pełne ludzi zachwalających swoje towary, wykrzykujących ceny lub wołających, czego poszukują. Powozy potoczyły się dalej, na zamknięty teren. Tam kazano niewolnikom zejść na ziemię i ponownie posadzono ich w ciasnej gromadzie.

Tor miał nadzieję, że Locky się pospieszy. Jemu samemu pozostało tylko czekanie.

*

Po kilku godzinach przybyli gwardziści, a wraz z nimi zarządca targu - gruby, kluchowaty facet, do którego zwracano się per „panie Tłuszczyk”, co wydało się Torowi nad wyraz trafne. Tłuszczyk był zresztą całkiem życzliwy. Kazał zdjąć więźniom łańcuchy z rąk i puścił w obieg garniec maści, by mogli sobie nasmarować otarcia na nogach. Mówił slangiem, żeby koczownicy mogli go zrozumieć.

- Macie dziś wielkie szczęście. Pierwszego dnia po każdej pełni księżyca jej wysokość, królowa Sylven, odwiedza targi niewolników. Tak jest od początku jej panowania i tak będzie dziś. Jej obecność przynosi niewolnikom szczęście. Znajdziecie dziś dobre domy.

Tor był zdumiony, widząc na twarzy zarządcy przyjazny uśmiech. Niewolnicy zaczęli mruzczyć coś między sobą. Adongo milczał.

- Jesteście dziś pierwszą partią towaru - kontynuował pan Tłuszczyk. - Pozostali będą przybywać przez cały ranek. Zrobi się wtedy znacznie bardziej tłoczno, więc korzystajcie z przestrzeni. - Zachichotał, ale nikt mu nie zawtórował. - Każdego głównego dnia handlu niewolnikami - i tu znów macie szczęście, bo to akurat dziś - zbiera się Rada Zażaleń. Niewolnicy mają wówczas okazję do przekazania władzom miasta swoich skarg. Cypryzja ma kodeks postępowania z niewolnikami, który otwierają warunki pojmania. Władze miasta wysłuchają wszystkich rozsądnych skarg i wydadzą ostateczny wyrok. Przykro mi, ale sam fakt zostania pojmanym nie daje gwarancji wysłuchania.

Zarządca znów zachichotał, ale odpowiedziała mu grobowa cisza.

- A więc - kontynuował pospiesznie - czy ktoś chciałby zgłosić oficjalną skargę? Proszę podnieść rękę.

Tor niewiele zrozumiał z przemówienia Tłuszczyka, ale Adongo szybko mu je streścił. Następnie wódz podniósł rękę, a Tor poszedł w jego ślady.

- No dobrze. Chodźcie no tu, wy dwaj. Reszta niech się rozbierze. Klienci muszą wiedzieć, co kupują. No, wiecie... kurzajki i te sprawy.

Tłuszczyk zachichotał po raz kolejny, po czym odwrócił się w stronę Tora i Adonga, obok których ustawili się Bluth i Beryd. Tor zauważył też nadchodzącego Haryda.

- Kim jesteś? - zapytał pan Tłuszczyk Adonga w jego ojczystej mowie.

- Adongo z plemienia Moruków.

- Jaką masz skargę?

- Haryd, który mnie pojmał, zabił moją żonę i dwoje dzieci, mimo iż zgodziłem się poddać bez walki.

- Ojej. - Pan Tłuszczyk cmoknął pod nosem. - No, tej sprawy naprawdę musimy

wysłuchać. Tak, możesz ją przedstawić władzom miasta. A teraz wróć na swoje miejsce i zdejmij ubranie, a ja zawołam cię, gdy przyjdzie pora. Dziękuję. - Uśmiechnął się z niepokojem, gdy Adongo odwracał się, by powrócić do grupy.

- A ja nazywam się Torkyn Gynt - rzekł przyjaźnie Tor, starając się uspokoić nerwowego zarządcę. - Jestem lekarzem z królewskiego dworu w Tallinorze - skłamał - i zapłaciłem za podróż na pokładzie „Osy”, która zatonęła podczas wielkiego sztormu u wybrzeży Wysp Egzotycznych. Dopłynąłem do brzegu wraz z dwoma innymi osobami, tam jednak zostałem pojmany przez Haryda, który nie przejął się tym, że byłem gościem na statku jego kapitana i słono zapłaciłem za podróż.

Tłuszczyc zmarszczył brwi. Nigdy dotąd nie zetknął się ze splotem tak dziwnych okoliczności.

- Rozumiem. Mówisz, że „Osa” zatonęła?

- O ile mi wiadomo, tak. Kapitan był już martwy. Cała załoga z wyjątkiem jednego człowieka, który uratował się wraz ze mną zginęła podczas sztormu. - Tor patrzył niewysokiemu człowieczkowi prosto w twarz. - Przeżył tylko kucharz - skłamał znowu. - Niezwykły młodzieniec, który potrafi wyczarować istne delicje.

- Naprawdę? - wykrzyknął Tłuszczyc. Był wyraźnie pod wrażeniem. - W takim razie uratował się najważniejszy członek załogi - rzekł, głaszcząc się po wielkim brzuszysku. - Pałac poszukuje nowego kucharza. Mówiłeś, że jak on się nazywa?

- Ryk. Jest potomkiem słynnego rodu Savylów z Ildagarth.

Pracował nawet w kuchni tamtejszego Gobelinu.

- Na rany, człowieku, ty chyba żartujesz! Słynni Savylowie z Ildagarth? Nawet tu o nich słyszano!

- Mówię poważnie, proszę pana.

- Gdzie więc jest ten kucharz o tak szlachetnej krwi?

- O to musi pan zapytać pana Haryda - odparł uprzejmie Tor, wskazując skutymi rękoma zbliżającego się wściekłego marynarza.

- Co tu się dzieje, panie Tłuszczyc?! - ryknął Haryd.

Tłuszczyc zadrżał ze strachu.

- Pan Haryd, prawda? Yyy, tak... No... Ten człowiek wniósł przeciw panu skargę. Podobnie uczynił Adongo z Moruków. Uważam, że obie skargi powinny zostać wysłuchane przez władze miasta. Nie ma pan nic przeciwko temu, prawda?

- Nie - warknął Haryd, wlepiając w Tora groźne spojrzenie.

Jeden z urzędników Tłuszczyka szepnął mu coś do ucha. Haryd wykorzystał

odwróconą uwagę zarządcy.

- Pamiętaj o chłopcach, Gynt - mruknął z pogrózką w głosie.

- Panie Tłuszczyk - odezwał się Tor.

Grubasek ponownie spojrzał na niego.

- Słucham?

- Zdawało mi się, że chciał pan zapytać Haryda o młodego kucharza, Ryka Savyla?

- A tak, istotnie. Panie Haryd, czy byłby pan łaskaw natychmiast przysłać chłopca do pałacu? Chcemy z nim porozmawiać.

Haryd spojrzał na niego spode łba, ale kiwnął głową i polecił swoim ludziom natychmiast spełnić prośbę.

- Harydzie... hm, panie Haryd - odezwał się Tor uprzejmie. - Mówił pan coś o innym chłopcu?

Haryd uśmiechnął się szyderczo.

- Chodziło mi, rzecz jasna, o rzekomego pasierba Quista. Sprzedam go w mgnieniu oka, Gynt.

- Nie wiem, czy jeszcze jest w ofercie, proszę pana. - Tym razem Tor się uśmiechnął. - Czy mogę się oddalić, panie Tłuszczyk? Muszę się rozebrać.

- Możesz, możesz - odparł zarządca targu, machając ręką.

- Wkrótce cię wezwę, ale najpierw muszę poinformować tych ludzi o zmianie w programie dzisiejszego dnia.

Rozjuszony Haryd przechadzał się wzdłuż rzędów niewolników w poszukiwaniu Locky'ego.

- Gdzie on jest, Gynt?! - ryknął w końcu.

Tor wzruszył ramionami. Pozostali mieli spuszczone oczy.

Nieoczekiwanie Haryda zmroził lęk. Jakim sposobem ten chłopak zdołał uciec? I co będzie, jeśli opowieść Gynta jest prawdziwa? Herszt piratów zdążył się już dowiedzieć, że Quist jest w mieście i zatrzymał się w swojej ulubionej gospodzie. Gynt wydawał się pewny siebie. Może mówił prawdę. Jeśli tak było, Haryd znalazł się w nie lada opałach. Przez głowę przemknęła mu myśl o ucieczce. Może powinien zostawić niewolników i resztę cennego towaru, by ratować życie, które, jeśli się pomylił, Quist bez wątpienia mu odbierze? Zastanawiał się właśnie, jak mógłby się po cichu ulotnić, gdy zagrały trąby. Przy bramach stali już na baczność dodatkowi żołnierze. Od tej pory nikt nie mógł wejść na teren ani go opuścić bez specjalnego zezwolenia. Haryd poczuł się jak w pułapce. Co tu się działo? Oświecił go drżący głos Tłuszczyka.

- Właśnie mi powiedziano - obwieścił zarządca - że królowa Sylven odwiedzi dziś targ niewolników wcześniej, niż pierwotnie zamierzała. Ponieważ oficjalne otwarcie targu odbędzie się dopiero w południe, teraz możemy jej pokazać tylko was. Obowiązują zaostrome środki bezpieczeństwa, więc starajcie się unikać gwałtownych ruchów czy okrzyków. Takie zachowanie w pobliżu królowej nie będzie tolerowane. Ale teraz proszę uklęknąć, przytknąć czoło do ziemi i czekać na dalsze rozkazy. Powóz królowej właśnie nadjeżdża. Mamy dziś podwójny zaszczyt, jej wysokość postanowiła bowiem osobiście wysłuchać skarg w imieniu władz miasta i wydać osąd. Na razie klęknijcie i nie odzywajcie się.

Grupa nagich niewolników wykonała polecenie. Błada skóra Tora odcinała się wyraźnie od smagłych ciał Moruków. Klęczeli z głowami przy ziemi przez dłuższy czas, słysząc w pobliżu głosy i kroki, z pewnością należące do żołnierzy. Gdy w końcu kazano im podnieść głowy, ujrzeli wspaniałą, przyozdobioną klejnotami karocę o bokach przykrytych misternymi zasłonami, tak gęstymi, że nie było przez nie nic widać, choć więźniowie domyślali się, że w środku siedzi królowa Sylven.

W rzeczywistości królowa leżała na leżance z puszystych poduszek, żartując z zaufaną dwórką na temat imponującego przyrodzenia pewnego stojącego z przodu mężczyzny. Przytknęła palec do ust, pokazując dwórcę, by nie śmiała się zbyt głośno, choć i ona sama była rozbawiona. Potem jej uwagę przykuł biały mężczyzna. Królowa nie widziała jego ukrytej w cieniu twarzy, ale pierś miał szeroką i umięśnioną. Rzadko widywało się białych niewolników. Pomyślała, że z przyjemnością przyjrzy mu się, gdy już wstanie z klęczek, ale zachowała tę myśl dla siebie.

W tym momencie spoza terenu targu dobiegły ich rozgniewane głosy. Królowa ujrzała idących w tamtą stronę żołnierzy, a za nimi dowódcę straży przybocznej, rozkazującego swoim ludziom otoczyć jej wysokość kordonem.

Dowódca wkrótce powrócił.

- To kapitan „Kruka”, wasza wysokość. Porządny człowiek. Groźny, ale uczciwy. Mówi, że chce złożyć poważną skargę na marynarzy, którzy dziś sprzedają niewolników.

- Rozumiem. Co mi radzisz, Klug?

- Wasza wysokość, ten kapitan przywiózł nam wiele pięknych rzeczy. Jego towary są doskonałej jakości i, o ile mi wiadomo, zawsze uczciwie je wycenia. Mieszkańcy Caradoon bardzo go szanują, a inni piraci i handlarze niewolników boją się go.

- Możemy zatem przyjąć, że jego skarga jest uzasadniona?

- Tak, wasza wysokość. Sądzę, że kapitan Quist nie zawracałby waszej wysokości

głowy jakimiś drobiazgami.

- Niech więc go wpuszczą. Wysłucham jego skargi.

- Świetnie, wasza wysokość. - Po tych słowach Klug gestem nakazał żołnierzom wypuścić Quista, trzech jego ludzi i Locky'ego przed oblicze władczyni.

Haryd poczuł, jak zawartość żołądka podchodzi mu do gardła. Torowi nie wolno było się rozglądać, wyczytał jednak z twarzy pirata, co się stało. Z trudem powstrzymał uśmiech. W polu widzenia pojawiło się trzech ludzi. Locky mrugnął do Tora, a ten natychmiast rozpoznał charakterystyczną pokrytą bliznami twarz Quista.

- Pilnujcie go - rzekł Quist do swojej obstawy, po czym ruszył pokłonić się królowej.

Trzej piraci otoczyli Haryda, który teraz serdecznie żałował, że kiedykolwiek dotknął Locky'ego. Nawet nie lubił chłopców. Wolał twarde, męski seks z kobietami, ale tamtej nocy czuł ogromną pokusę i dał się namówić towarzyszom. Siedzieli na tej wyspie wiele tygodni, nie mając żadnych wieści z „Osy”, a podczas ostatniego najazdu nie udało im się wziąć do niewoli żadnych kobiet. Wodzowie stawali się coraz bardziej cwani, wysyłali zwiadowców i ukrywali swoje kobiety i dzieci, nim doszło do ataku. Tylko ten jeden postanowił nie odsyłać rodziny i zapłacił za tę arogancję najwyższą cenę. Szkoda. Kobieta była młoda i ładna, dziewczynki też niezłe. Noce spędzone z nimi byłyby znacznie przyjemniejsze niż te spędzone z beczelnym chłopakiem. Haryd zastanawiał się, jak uratować skórę.

Quist przystanął przed olśniewającą karocą królowej.

- Jej wysokość królowa Sylven wysłucha teraz skarg - obwieścił Tłuszczyk. - Proszę o wystąpienie Adonga z Moruków, Torkyna Gynta z Tallinoru i Haryda z „Osy”.

Nadzy, lecz pewni siebie Adongo i Tor ramię w ramię podeszli do miejsca wskazanego przez zarządcę.

Otulona kokonem z welonów królowa skupiła całą uwagę na białym mężczyźnie. Cóż za wspaniały okaz! Pomyślała, że tak właśnie mógłby wyglądać bóg. Był nie tylko fantastycznie piękny, ale też świetnie zbudowany... No i ta arogancja! Gapił się prosto na nią. Nie była przyzwyczajona do takiego zachowania, ale podobała jej się jego otwartość i to, że nie kulił się jak Haryd. Wpatrzona w niewiarygodnie niebieskie oczy, przez krótką chwilę zastanawiała się, jak by to było kochać się z nim.

Szybko otrząsnęła się. Stary Tłuszczyk znów wygłaszał jakieś obwieszczenie. Musiała się skupić.

- Wysłuchamy teraz Adonga z Moruków.

Wysoki wódz wystąpił naprzód. Królowa zauważyła, że mężczyzna nie używa zbędnych słów, nie okazuje niepotrzebnych emocji i ma królewskie manieri. Ku

powszechnemu zdumieniu mówił perfekcyjnym cypryjskim.

- Wasza wysokość, ten handlarz niewolników, Haryd, zamordował moją żonę i dwie córki, z których jedna nie miała nawet dziewięciu lat. Nie wzięto ich do niewoli, lecz zabito na miejscu tylko dlatego, że piratowi nie spodobał się sposób, w jaki na niego patrzyłem. - Adongo zrobił dramatyczną przerwę. - Na oczach całego plemienia dźgał jedną po drugiej w serce. Najmłodszą zostawił na koniec, każąc jej patrzeć, jak matka i starsza siostra umierają straszną śmiercią. Ale to była dzielna dziewczyna, wasza wysokość, i gdyby dane jej było dorosnąć, z pewnością zasiadałaby w radzie plemienia. Nawet nie krzyknęła, nie dała mordercom satysfakcji. Gdy nóż utkwiał jej w piersi, a krew tryskała na martwe ciało matki, obróciła się ku mnie i powiedziała: „Ojczy, urodziłam się z krwi matki, a teraz umieram, mieszając jej krew ze swoją. Pomścij nas”. Umarła spokojnie, wasza wysokość.

Zaległa cisza. Oszołomieni spokojną i rzeczową relacją Adonga słuchacze dopiero po chwili zorientowali się, że mówca zamilkł. Ten zaś, patrząc prosto w twarz Harydowi, dodał:

- Zabito je bez żadnego powodu, wasza wysokość.

Tłuszczyc kiwnął głową, wstrząśnięty przerażającą historią.

- Królowa Sylven rozważy twoją skargę po wysłuchaniu pozostałych. Wzywam Torkyna Gynta.

Biały człowiek wystąpił, ukazując królowej swoje zwinne, umięśnione ciało. Sylven, która nie zdążyła się jeszcze otrząsnąć z wrażenia wywołanego przez opowieść Moruka, ze zdumieniem i ulgą przyjęła rozbawiony głos kolejnego mówcy.

- Szczerze mówiąc, panie Tłuszczyc, chociaż istotnie mam do przedstawienia pewną skargę, pomyślałem właśnie, że warto było poświęcić ostatnią chwilę wolności na to, by znaleźć się tak blisko tak pięknej kobiety.

Biedny Tłuszczyc, który omal nie zemdleł w obliczu takiej zuchwałości, ze zdumieniem usłyszał zza zasłony rzęsisty śmiech.

- Skąd wiesz, że jestem piękna, Gynt, skoro nigdy nie pokazuję się publicznie bez woalki?

Pomimo dzielącej ich bariery jeniec spoglądał wprost na nią swymi bezczelnymi oczyma.

- Już sam gust waszej wysokości świadczy o jej urodzie.

Pani, twój pałac to najbardziej olśniewająca budowla, jaką w życiu widziałem, a podróżowałem wiele. Twoje miasto - a przynajmniej ten jego fragment, który widziałem z powozu wiozącego niewolników - jest przepiękne i dałbym wszystko, by móc przechadzać się jego ulicami. Sądzę, milady, że twoja uroda jest niezrównana nie tylko w tym kraju, ale i na

całym świecie. - Sylven zauważyła przebiegły błysk w oczu mężczyzny.

Tor tymczasem zwrócił się do zarządcy.

- Czy mam teraz przedstawić swoją skargę, panie Tłuszczyk?

Ten zdołał jedynie kiwnąć głową.

Tor ponownie opowiedział swoją historię, po czym skłonił się zasłonom.

- Yyy... - jękał się Tłuszczyk. - Jej wysokość rozpatrzy sprawę. A teraz poproszę o wypowiedź kapitana Quista.

Janus Quist zrobił krok do przodu.

- Wasza wysokość, chciałbym wnieść skargę przeciwko Marydowi z „Osy”. Mój obecny tu młody szwagier - położył rękę na ramieniu Locky’ego - pracował na pokładzie tego okrętu, by opłacić podróż do Cypryzji i spotkać się ze mną. Gdy statek zatonął, chłopiec uratował się wraz z doktorem Gyntem, obaj jednak, wraz z innym członkiem załogi, zostali pojmani przez Haryda i jego ludzi. Chłopiec został zmuszony do nierzędu i pierwszej nocy po ujęciu był wielokrotnie gwałcony przez swoich oprawców. Gdyby nie interwencja medyka, pewnie już by nie żył.

- Dziękuję, kapitanie. Królowa rozpatrzy sprawę.

Wszyscy czekali w milczeniu na decyzję królowej.

Sylven była przede wszystkim skonsternowana. Wyglądało na to, że wszystkie te opowieści są ze sobą powiązane nicią, na końcu której znajduje się Haryd, bez wątpienia pozbawiony skrupułów łotr. Królowa długo rozmyślała nad tym, jaką podjąć decyzję, by zadośćuczynić wszystkim stronom. W końcu zatrzymała wzrok na Torkynie Gyncie. Miał w sobie coś, co ją fascynowało. Coś więcej niż tylko rozbrajający urok.

Oznajmiła dwórcę, że jest gotowa do ogłoszenia wyroku. Ta przekazała informację Tłuszczykowi, który zgodnie z protokołem przywołał wszystkich obecnych do porządku.

- Kapitanie Quist - przemówiła królowa - uważam, że skargę powinien osobiście zgłosić pański szwagier. To on musi zażądać satysfakcji od Haryda. Postępowanie pirata uważam za karygodne, tym bardziej że chłopiec nie był odpowiednim materiałem na niewolnika i jego oprawcy z pewnością mieli tego świadomość.

Quist kiwnął głową na znak, że się zgadza.

- Uważam jednak, że Adongo Moruk ma większe podstawy do złożenia skargi niż chłopiec, i to on będzie walczył z Harydem pierwszy. Jeśli Haryd przeżyje, będzie musiał stawić czoło pańskiemu szwagrowi. Jednakże, by panu wynagrodzić czekanie, przyznaję panu wszystkie zyski ze sprzedaży tej partii niewolników i zwracam pańskiemu szwagrowi wolność.

- A Torkyn Gynt, wasza wysokość? - zapytał Tłuszczyk.

- Nie jest niewolnikiem. Jest wolny i może natychmiast opuścić Cypryzję.

Zauważyła na twarzy Tora grymas. Nie wiedziała, czy jest to grymas zadowolenia, ale miała zamiar się tego dowiedzieć.

- Adongo Moruk - zawołała.

Wódz wystąpił naprzód.

- Jesteś niewolnikiem, obecnie należącym do kapitana, i tylko on może ci zwrócić wolność. Mogę jednak zaoferować ci szansę pomszczenia śmierci najbliższych. Będziesz walczył?

- Będę, wasza wysokość.

- Zatem niech walka odbędzie się teraz, przed otwarciem targu.

Tak zakończyła się audyencja. Królowa pozostała jednak na targu, by dopilnować wykonania swoich dekretów.

Tor, Quist, jego ludzie i Locky skupili się wokół Adonga, a Beryd i Bluth stanęli obok Haryda. Wyglądali na zdenerwowanych. Gdyby ich dowódca przegrał, ich samych czekałby podobny los.

Locky przedstawił przyjacielowi kapitana.

- Tor, oto Janus Quist.

Quist po tallinorsku uścisnął dłoń Tora.

- Locky opowiedział mi wszystko o tobie i twojej znajomości z Erynią. Prosiła, żebym ci pomógł znaleźć to, czego szukasz. Co konkretnie mogę dla ciebie zrobić?

Tor przyjrzał się człowiekowi, który groził Saxonowi śmiercią i porwał Cloota. Z kimś takim nie należało żartować ani owijać niczego w bawełnę.

- Pamiętasz sokoła, którego ukradłeś Kloekowi koło meliny straccowej w Caradoon?

Quist cofnął rękę, jakby coś go ukąsiło, i spojrzał uważnie na Tora. Zmrużył oczy.

- A jeśli tak, to co?

- Przebyłem długą drogę, by odzyskać ptaka. Ukradłeś go mnie. Nie był własnością Kloeka.

Na twarzy pirata odbiło się zdumienie, ale właśnie w tym momencie dowódca straży królewskiej wezwał, aby obie strony przygotowały się do walki.

- Porozmawiamy o tym później - rzekł Quist.

- Będę czekał - odparł z powagą Tor.

Obaj obrócili się w stronę Adonga, który opasał biodra kolorową przepaską.

- Czym będziesz walczył? - zapytał Quist gardłowym cypryzjańskim.

- Niczym - odparł spokojnie Adongo.

- Daj spokój, człowieku, musisz wybrać broń! Myślałeś, że będziecie walczyć na smyczki?

- Adongo - spróbował Tor - powiedziałeś, że będziesz walczył z Harydem. Czy umiesz walczyć?

- Nie jestem wojownikiem, Tor. Jestem paladynem, obrońcą.

Quist pokręcił głową i oddalił się, mrużąc do siebie coś o enigmach.

- Adongo, musisz wybrać broń. To walka na śmierć i życie.

- Nie potrzebuję broni - rzekł Adongo, doprowadzając Tora do skrajnej frustracji.

- Jak zamierzasz się bronić? - zapytał z troską medyk.

- Na morucką modłę - odparł Adongo, kończąc dyskusję.

- Haryd z „Osy” wybiera szpadę - obwieścił tymczasem gwardzista. - A Adongo Moruk...

Zamilkł, uświadamiając sobie, że stojący pośrodku placu mężczyzna ma puste ręce.

- Adongo z Moruków, musisz wybrać broń.

Wódz stał w milczeniu. Wyglądał ze wszech miar królewsko. Oczy miał zamknięte, a długie, szczupłe ręce zwieszono po bokach ciała. Nie zwracał na nikogo uwagi.

Pamiętaj o swoim przeznaczeniu - powiedział Tor poprzez łącze. - O młodej osobie, której musisz pomóc.

Ona jest bardzo blisko, Tor. Czuję to.

Zatem nie powinieneś narażać życia. - Prościej nie dało się tego wytłumaczyć.

Przeżyję. Ale Haryd nie zginie z mojej ręki. Ani z twojej.

Był to zawołany przekaz. Adongo otworzył atramentowoczarne oczy i utkwiał w Torze stanowcze spojrzenie. Ostrzegł go, by się nie wtrącał, ani za pomocą magii, ani w żaden inny sposób.

Tor potrząsnął głową. Czuł się bezradny. Haryd wywijał dwiema szpadami, bosy i rozebrany do samych spodni.

- Walczcie! - zawołał gwardzista.

Haryd zaczął okrążyć Moruka, wymachując groźnie szpadami. Wyglądało na to, że dobrze włada tą bronią. Adongo znów zamknął oczy i nie ruszał się.

- Co on wyprawia? - jęknął Locky.

- Musimy mu zaufać. - Były to jedyne słowa, jakie przyszły Torowi do głowy, ale nawet on nie znajdował w nich pociechy.

Haryd krążył nadal, starając się odgadnąć zamiary Moruka. Nie należał jednak do

ludzi cierpliwych ani przewidujących. Impulsywny jak zawsze, rzucił się na przeciwnika, wrzeszcząc i unosząc obie szpady wysoko ponad głowę.

Kiedy pirat już, już miał rozplatać Adonga, wódz wyskoczył w powietrze jak sprężyna, wznosząc się niewiarygodnie wysoko i fikając koziółką do tyłu. Kopniakiem wytrącił Harydowi z ręki jedną ze szpad i odrzucił daleko, a drugą nogą ugodził go w szczękę. Pirat z hukiem wylądował na ziemi.

Nie było to miękkie lądowanie. Publiczność aż jęknęła na dźwięk łamanych kości. Adongo stał z powrotem w tym samym miejscu, ku wściekłości Haryda znów nieruchomy, z zamkniętymi oczyma i zwieszonymi rękoma. Oddychał równo, jakby rozkoszował się zapachem wiosennych kwiatów.

- Ja chyba śnię! - wykrzyknął Locky.

Quist stał z rozdziawionymi z podziwu ustami.

A więc tak wygląda morucka walka - mruknął Tor.

Właśnie - odparł spokojnie Adongo.

Haryd zdążył już się podnieść. Pocierał puchnącą szczękę. Jedna ręka zwisała mu bezwładnie. Przełożył szpadę, która mu pozostała, do drugiej ręki, ignorując ból. Na jego twarzy malowała się wściekłość. Pirat powiedział w slangu coś, co przeraziło obserwujących pojedynek niewolników.

Co on mówi? - zapytał Tor.

To bardzo nieładnie przeklinać matkę Moruka - odparł bez emocji Adongo.

Haryd znów rzucił się naprzód. Wszyscy wstrzymali oddech.

Tym razem Adongo padł na ziemię i zręcznym ruchem zwałił pirata z nóg. Marynarz legł jak długi, a Moruk skoczył na niego, miażdżąc mu dolną część kręgosłupa, po czym zeskoczył zwinnie.

Haryd ryczał z bólu. Kara była tak brutalna, że kilka dwórek królowej musiało odwrócić wzrok. Nawet Locky pragnął, aby Adongo jak najszybciej zadał śmiertelny cios, mimo iż miał ochotę sam wykończyć Haryda.

Adongo jednak czekał.

Oddech Haryda stał się potwornie chrapliwy. Pirat z wielkim trudem klęknął i wpatrzył się w przeciwnika, który znów zastygł z zamkniętymi oczyma.

Wściekły marynarz wydał ostatni, mrozący krew w żyłach ryk i rzucił szpadą w oddalonego zaledwie o kilka kroków rywala. Pomimo rozdzierającego bólu rzut Haryda był celny i przerażająco szybki.

Adongo chwycił szpadę za ostrze, nie otwierając oczu. Wyczyn ten wzbudził wielki

aplauz. Nikt, kto nie zobaczył tego na własne oczy, nigdy by w to nie uwierzył. Żadna ze stron nie uroniła kropli krwi, a mimo to jedna była na krawędzi śmierci.

Moruk otworzył oczy, odrzucił szpadę i znów skoczył. Tym razem Haryd wrzasnął z przerażenia. Adongo wylądował precyzyjnie na jego piersi, a odgłos łamanych żeber rozniósł się echem po całym placu. Jedna z dwórek zemdląła.

Zemsta się dokonała.

Adongo pokłonił się nisko zasłonom, za którymi siedziała oszołomiona królowa, po czym skinął swoim ludziom i dołączył do nich, siadając wśród pyłu.

Gwardzista nasłuchiwał bicia serca Haryda.

- Żyje - orzekł.

Tłuszczyk kiwnął głową.

- Jej wysokość wzywa Locklyna Gylbyta.

Locky podbiegł do karocy i padł na kolana.

- Wasza miłość.

- Cóż, Locklyn, wygląda na to, że masz okazję odpłacić się temu człowiekowi. Nie wiem jak inni, ale ja cieszę się z tego. Jaką karę wybierasz?

- Wasza wysokość, chcę, żeby Haryd przejechał się Srebrną Dziewicą.

- Ależ na to będziesz musiał trochę poczekać - odparła zdumiona. - Czy nie wolałbyś uśmiercić go szybko i własnoręcznie? Już dogorywa.

- Poczekam. Tacy jak on nie zasługują na szybką śmierć. Musi wiedzieć, co to strach. Ten miejscowy zwyczaj jest dla niego odpowiedni.

- To straszna śmierć. Podobno samo jej wyobrażenie wystarczy, by po tysiącokroć umrzeć. Czy jesteś świadom, że cypryjski zwyczaj nakazuje, by osoba wybierająca tę metodę najpierw sama zmierzyła się z Dziewicą?

- Tak.

- Zatem jesteś najdzielniejszym z ludzi. A ja nie mam innego wyboru, jak tylko rozkazać spełnienie twojego życzenia. Haryd z „Osy” przejedzie się Srebrną Dziewicą.

17.

KRÓLEWSKI ŻART

Quist siorbał piwo i przyglądał się Torowi, który wraz z Lockym śmiał się, wybierając potrawy z egzotycznego asortymentu. Królowa w swojej łaskawości zarządziła, by wszystkich oswobodzonych zabrać do gospody i dobrze nakarmić na koszt miasta, a potem odesłać do domów. Quista jednak nie interesowało teraz jedzenie.

Ten nieznajomy, Gynt, za którym tak energicznie wstawiła się jego żona, w odróżnieniu od innych nie bał się go. Z drugiej strony, dlaczego miałby się bać, skoro sam nie był piratem? Nie, szczerze mówiąc, Quista niepokoiła nie tyle osoba Gynta, ile jego przyjaźń z Erynią. W ciągu lat, które z nią spędził, nigdy dotąd nie był o nią zazdrosny. Erynia była wspaniałą kobietą, ale także była dziwką i obecną burdelmamą. Choć mężczyźni stanowili dla niej codzienność, do tej pory żaden nie wzbudził w nim zazdrości.

A jednak znajomość tych dwojga raniła mu serce. Przyjaciółka to coś znacznie poważniejszego niż płatna kochanka. Jej słowa, przekazane przez Locky'ego, niosły ze sobą wyraźny przekaz: „Proszę, pomóż mu znaleźć to, czego szuka, niezależnie od tego, jak długo to potrwa. Proszę cię także, żebyś zaopiekował się nim”.

Mocna prośba. Właściwie rozkaz. Żadnych niedomówień, wszystko podane na tacy. Gdyby się nie podporządkował, obraziłby ją, a na to Janus Quist nie mógł sobie pozwolić, wielbił bowiem nawet ziemię, po której stąpała. Nie umiał o tym mówić, ale wystarczył zwykły czuły gest albo jej śmiech w odpowiedzi na jego żart, by cieszył się przez wiele tygodni.

Dobrze pamiętał incydent, o którym wspomniał Tor. W ogóle miał niezłą pamięć, a Kloeka zapamiętał szczególnie. Quist nawet go polubił, ale wiedział, że za sokoła dostanie mnóstwo pieniędzy. I tak się stało.

Jak miał wyjaśnić Gyntowi, że odzyskanie ptaka jest po prostu niemożliwe? Sokół był już daleko, a przychody z jego sprzedaży zdobyły teraz piękną szyję Eryinii.

Quist był człowiekiem bezpośrednim, znanym z uczciwości. Musiał powiedzieć Gyntowi prawdę. Być może uda mu się zakupić dla niego innego sokoła. Dużo go to będzie kosztować, ale, na światłość, szczęście Eryinii było bezcenne, a ostatnia podróż przyniosła mu

ogromne zyski.

- Dobrze - rzekł Tor, gdy w końcu przysiadł się do stolika Quista - porozmawiajmy szczerze. Zapewne przypominasz sobie sokoła. Jest przepiękny. Nie można go zapomnieć.

- Pamiętam.

- Podejrzewam, że byłbym zbyt optymistą, zakładając, iż masz go nadal?

- Zgadza się.

- Masz go?! - Tor był zdumiony. Czy to możliwe, żeby miał takie szczęście?

- Nie. Mam na myśli to, że byłbyś zbyt optymistą. Przykro mi, Gynt.

- A więc sprzedałeś go. Proszę, powiedz mi wszystko.

Quist ujrzał na twarzy nieznajomego grymas bólu. A zatem sprawa była naprawdę poważna.

- Dobrze. Najpierw jednak powiedz mi, dlaczego ten jastrząb jest dla ciebie tak ważny?

- Sokół, Quist. Przyjaźnimy się od wielu lat. To wyjątkowy ptak i powierzono go mojej opiece. Muszę go odzyskać.

- Rozumiem - powiedział Quist, choć nic nie rozumiał.

- Czy jednak nie moglibyśmy kupić nowego sokoła? Wiem, że nie zadośćuczyni to lat spędzonych z tamtym, ale ptaka łatwo wyszkolić. Wkrótce stałby się dla ciebie równie dobrym towarzyszem.

- Nie rozumiesz, Janus. On jest czymś więcej. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Proszę, powiedz mi wszystko, co wiesz.

Quist westchnął.

- Mniej więcej miesiąc po wyjeździe z Caradoon dotarłem z nim do Cypryji. Szczerze mówiąc, obawiałem się, że zdechnie po drodze. - Tor zmarszczył brwi. - Był bardzo cichy, jak na tak wielkiego ptaka. O ile wiem, nic nie jadł podczas podróży, ale miałem wrażenie, że podoba mu się siedzenie na pokładzie.

- Oczywiście był związany - upewnił się Tor.

Kapitan kiwnął głową. Z tonu Gynta wnioskował, że nie będzie to łatwa rozmowa. Już sama wzmianka o tym, że ptak nie jadł, rozgniewała medyka.

- Dobiliśmy do brzegu i sprzedaliśmy ptaka już pierwszego dnia, bojąc się, że nie przeżyje.

- Kto go kupił?

- Problem w tym, że nie wiem, doktorze. Sprzedałem go na targu. Sporo za niego dostałem, ale nie mam w zwyczaju pytać klientów o nazwisko i adres.

- Nie w mówisz mi, że takiego ptaka jak Clout może kupić byle kto i byle kiedy.

- Nie. Nabywca, który słono za niego zapłacił, z pewnością był sokolnikiem.

- Jak myślisz, po co go kupił?

Quist wzruszył ramionami. Gynt mógłby sobie darować. Pirat naprawdę nie wiedział, gdzie szukać sokoła.

- Poznałbyś tego człowieka?

- Nie. Nie ja sprzedałem ptaka, lecz jeden z moich ludzi. - Na twarzy medyka znów odmalował się smutek. Quist istotnie chciał spełnić życzenie Eryni, ale na razie kiepsko mu szło. - Słuchaj, Gynt. Naprawdę nie mam pojęcia, gdzie jest twój ptak, ale masz rację: w okolicy nie ma wielu sokolników.

- A twój człowiek? Może zaczniemy od niego?

Quist tylko pokręcił głową, szarpnął przepaskę na oku, a potem zaczął się drapać po brodzie. Tor jęknął.

- Wyrzuć to z siebie, Quist.

- Nie żyje. Wszczął awanturę podczas gry w kości. Został oskarżony o oszustwo i zamordowany. - Kapitan wzruszył przepraszająco ramionami. - Basyl był piratem, ale nigdy nie oszukiwał. Zabili porządnego człowieka.

Tor pokiwał powoli głową, jakby przyjmował do wiadomości fakt, że jego sytuacja jest beznadziejna.

- A zatem w niczym mi nie pomożesz, Janusie. Dziękuję, że próbowałeś.

Quista zaniepokoiło to nagłe zakończenie rozmowy.

- Czekaj, Gynt. Muszę ci zaoferować rekompensatę. To więcej, niż warte jest moje życie. - Uśmiechnął się. - Erynia - dodał, wzruszając ramionami.

Tor położył prawą dłoń na prawym ramieniu Quista. Tym gestem caradończycy sygnalizowali zawarcie przyjaźni.

- Jesteś dobrym człowiekiem, a ona darzy cię uczuciem. Nie, nie jesteś mi nic winien. Gdybym kiedyś potrzebował twojej pomocy, kapitanie, czy mogę się o nią zwrócić? Nie wiem, kiedy to nastąpi: może za wiele lat, a może jutro.

Quist odwzajemnił gest. Stali, spoglądając na siebie, ze skrzyżowanymi rękoma i dłońmi spoczywającymi na ramionach.

- Możesz na mnie liczyć, ilekroć będziesz w potrzebie - powiedział z powagą pirat. - Powodzenia w poszukiwaniach. Gdzie zamierzasz zacząć?

Tor uśmiechnął się kwaśno.

- W pałacu. Mam spotkanie z wielką królową.

Bardzo się martwił o Cloota. Kilkakrotnie próbował nawiązać z nim kontakt, ale trafiał na pustkę, podobną nieco do tej, którą czuł, gdy wiele lat temu usiłował się połączyć z Alyssą. Wtedy była to sprawka Merkhuda, a później archalitu. Tor zastanawiał się, co może blokować moc sokoła. Istniało oczywiście jedno proste wytłumaczenie: Cloot mógł być martwy.

Cloot martwy? Nie, to było nie do pomyślenia. Tor nawet nie zamierzał rozważać tak przerażającej możliwości.

W tej właśnie chwili poczuł, jak w głowie otwiera mu się chłodna wstawka łącza. Nie miała jednak znajomej formy Cloota. Tor rozpoznał specyficzną magię Adonga, nim ten się odezwał.

Wyglądasz na bardzo zmartwionego - rzekł cicho Moruk ze swojego kąta.

Tor obrócił się ku niemu.

Ty też nie sprawiasz wrażenia wesołego.

Czas na mnie.

Tak myślałem. Cieszę się, że królowa cię uwolniła.

Adongo kiwnął głową.

To słuszna decyzja.

Dokąd się udasz? - zapytał Tor.

Na poszukiwania. Muszę znaleźć osobę, z którą jestem sprzężony.

Spotkamy się jeszcze?

Jestem tego pewien. W miejscu, które nazywasz Sercem Lasu.

Zatem do zobaczenia. Bezpiecznej podróży.

Adongo pożegnał go gestem. Tor odpowiedział tym samym. Nagle poczuł się bardzo samotny. Wolałby, żeby wysoki Moruk nadal mu towarzyszył. Przyszło mu do głowy, by go o to poprosić, Adongo jednak zmierzał już w stronę drzwi, z pewnością pożegnawszy się ze swoimi ludźmi. Miał puste ręce, a jego jaskrawa szata była po prostu kawałkiem zwykłego tkanego materiału, umiejętnie owiniętym wokół ciała. Mimo to wyglądał jak król.

Adongo Moruk, piąty paladyn, zniknął z pola widzenia Tora.

*

Tor zastanawiał się, czy uda mu się naprawdę zobaczyć królową Sylven na spotkaniu, o które poprosiła go w dzień po uwolnieniu. Był zadowolony, że go wezwała. Ze śledztwa, które przeprowadził wśród dworzan, wynikało, iż królowa uwielbia drapieżne ptaki i zatrudnia liczny personel do opieki nad ptaszarniami, zarówno tutaj, jak i w zimowym pałacu w wiejskim regionie Cypryzji. Niezła informacja na początek. Skoro za Cloota zapłacono tak

wysoką cenę, było bardzo prawdopodobne, że zakupiono go do jednej z królewskich ptaszarni.

Najpierw zaprowadzono Tora do przepastnej sali o misternie rzeźbionych kamiennych ścianach. Było w niej niemal zimno, bo do Cypryżji zawiał już zimowy chłód. Komnata znajdowała się wysoko w pałacowej wieży, Tor miał więc dobry widok na piękne miasto. Mając za sobą lata pustelniczego żywota, zaskoczył sam siebie myślą, że mógłby tu zamieszkać i być szczęśliwy. Gdyby nie przerażająca myśl o rychłym uwolnieniu się Orlaca i podejrzenie, że Goth nadal żyje i może zagrozić Alyssie, kto wie, czy nie poprosiłby królowej o zezwolenie na osiedlenie się w Cypryżji.

Uśmiechnął się, lustrując wzrokiem miasto. Chciałby je kiedyś pokazać Alyssie.

Próbował sobie wyobrazić, co w tej chwili robi jego ukochana. Wiedział, że królowa Nyria nigdy nie pozwoliłaby jej skrzywdzić, i miał nadzieję, że dziewczynie zaoferowano mieszkanie w pałacu. Miała też innych opiekunów, Saxona i Sallementra. Na pewno jest bezpieczna, myślał. Może rozpoczęła nowe życie? Tor był pewien, że Alyssa zdołała odsunąć od siebie wspomnienie jego potwornej śmierci i pokonać ból. Pewnego dnia jakiś inny mężczyzna będzie miał niewiarygodne szczęście, mogąc uczynić ją swoją żoną. Tor skrzywił się... Przecież to była jego żona! Ona jednak sądziła, że jest wdową i że może poślubić innego mężczyznę. Jakże mogłaby pokochać kogoś tak głęboko, jak kochała jego? Tor wiedział, że on sam nie potrafiłby tak mocno pokochać żadnej innej kobiety. Nie przeszkodziło mu to jednak w namiętym romansie z Erynią, prawda? Nie powinien więc mieć żalu do Alyssy, jeśli udałoby się jej znaleźć nową miłość.

Służąca dotknęła łagodnie jego ramienia i Tor był jej wdzięczny za wyrwanie go z bolesnych myśli. Dwórka królowej była piękną istotą, drobną, ciemnoskórą, o cichym, łagodnym głosie i szerokim uśmiechu. Na światłość! Jak mógłby się oprzeć tym prześlicznym kobietom? Myśli o Alyssie uciekły do bezpiecznego schowka i Tor podążył za Helą.

Gwardziści odłożyli swoją straszną broń, by przepuścić Tora i dwórkę. Minąwszy wiele okazałych, udekorowanych komnat, dwójka wspięła się po schodach, które, jak podejrzewał Tor, wiodły do kolejnej wieży. Nie sądził, by cokolwiek mogło robić większe wrażenie niż to, co już zobaczył, dopóki nie znaleźli się w kolejnym apartamencie. Cała wspaniałość reszty pałacu przestała się liczyć. Te komnaty olśniewały prostotą koloru i stylu. W swoich prywatnych pokojach królowa Cypryżji postanowiła cieszyć się przestrzenią. Ściany poczekalni ozdabiała seria pięknych obrazów i jeden znakomity gobelin. Choć w wieży było nieco ciemniej niż na dole, trafnie rozmieszczone latarnie dawały dużo światła, a szersze, łukowate okna wpuszczały go jeszcze więcej. Meble, choć piękne i wyrafinowane,

były także praktyczne i - przynajmniej tak to oceniał Tor - wygodne. Chłodne powietrze przeganiał ogień płonący w niewielkim porcelanowym piecyku.

- Proszę tu poczekać, doktorze Gont - rzekła łagodnie Hela.

Wyszła bosą z pokoju. Tor wykorzystał okazję, by się rozejrzeć, ale niemal natychmiast od środka otworzyły się wielkie łukowate drzwi. Zauważył, że w apartamencie nie ma żadnych gwardzistów, choć reszta budynku była tak pilnie strzeżona.

Hela odsunęła ciężkie zasłony i uśmiechnęła się.

- Królowa Sylven zaprasza pana na audiencję.

Po tych słowach dwórka skłoniła mu się uprzejmie, przepuściła go i opuściła komnatę, zasuwając za sobą zasłony.

- Podejdz, medyku. Pokaż mi się - usłyszał znajomy głos, nawykły do wydawania rozkazów.

Podążył ku temu głosowi. Za cienką zasłonką dostrzegł sylwetkę wysokiego, rzeźbionego fotela. Padł na kolana i czekał, czując na sobie wzrok wprawnego oka. Uświadomił sobie, że zaciągnął zasłonę mentalną. Ciekawe. Chyba weszło mu to w nawyk.

- Możesz wstać.

Podniósł się z klęczek.

- Naprawdę jesteś medykiem?

- Tak, wasza wysokość. Z Tal.

- A, tak. Nie dalej jak dziś rano otrzymałam z twojej stolicy pewne niepokojące wieści.

- Nie byłem tam od wielu lat, pani. Nie mam pojęcia, co się tam teraz dzieje.

- Rozumiem. Więc zapewne zasmuci cię wiadomość o śmierci królowej Nyrii.

Tor na moment stracił panowanie nad sobą. Ta wypowiedziana lekkim tonem wiadomość wstrząsnęła nim i odmalowało się to na jego twarzy.

- Widzę, że ta informacja cię zasmuciła, Gynt.

- Pani... ja... - Przesesał palcami włosy. - Królowa Nyria była wspaniałą kobietą. Czy umarła na serce?

- W komunikacie nie podano szczegółów. Wiem tylko, że spadła z konia i wkrótce potem zmarła. Znałeś ją osobiście?

Tor przygryzł wargę.

- Tak, wasza wysokość. Byłem osobistym medykiem pary królewskiej.

Królowa milczała przez chwilę.

- Bardzo mi przykro, Torkynie, że przekazałam ci tę informację tak obcesowo. Zatem

byłeś bliskim współpracownikiem pary królewskiej?

- Szczególnie królowej, wasza wysokość. Ale była słabego zdrowia i nie powinienem być zdziwiony, słysząc tę wieść. Królestwo bez wątpienia straciło jeden ze swych największych skarbów.

Zasłona odsunęła się i wyszła zza niej młoda kobieta. Nosila inkrustowaną klejnotami suknię i także pantofle. Była nieco podobna do Heli. Miała lśniącą oliwkową skórę. Uśmiechnęła się, ukazując idealnie białe, idealnie proste zęby. Jej usta i policzki pokrywał róż. Podeszła do Tora i przemówiła.

- Przykro mi, Torkynie.

Po tych słowach ścisnęła go za ramię długimi, wypielęgowanymi palcami.

Nadal oszołomiony wiadomością, Tor nie od razu zareagował na wołanie własnych zmysłów.

- Chodź, usiądźmy. Chcę z tobą porozmawiać o przyjemniejszych rzeczach.

Pozwolił królowej zaprowadzić się do pięknie rzeźbionej ławy przyokiennej.

- Proszę - rzekła łagodnie, nakazując mu gestem, by usiadł.

Zrobił to, ale coś w jego głowie uporczywie go o czymś zawiadamiało.

- Co robisz w Cypryzji, doktorze Gynt? - zapytała królowa, siadając obok niego.

- Hm... ja... w zasadzie... szukam czegoś.

Uczucie stawało się coraz silniejsze. Przyjrzał się dokładnie siedzącej obok kobiecie. Miała krągłe piersi, a głęboki dekolt sukni pokazywał je najlepiej, jak mógł. Sama suknia lśniła szlachetnymi kamieniami, wszytymi w ciężką tkaninę. Perfumy były słodkie i upajające.

Dlaczego miał wrażenie, że coś nie gra?

Odsunął zasłonę mentalną i „nasłuchiwał”, jak zwykł nazywać tę czynność. Wtedy wszystko nagle stało się proste. Niemal parsknął śmiechem.

- Wasza wysokość - rzekł, wstając.

- Tak?

- Nie, nie ty, milady - rzekł do kobiety siedzącej obok niego w eleganckich szatach. - Mówię do prawdziwej królowej Sylven, ukrytej za tymi pięknymi kotarami.

Dobiegł go wybuch radosnego śmiechu i klaskanie. Tym razem zza kotary wyszła prawdziwa królowa. Nie była piękna, ale Tor pomyślał, że każda kobieta w Cypryzji blednie przy niej. Jej naturalna cera lśniła zdrowo. Królowa nie miała na sobie żadnego makijażu z wyjątkiem ciemnego pudru, uwydatniającego kocie, niemal czarne oczy, zdradzające egzotyczne pochodzenie. Była wysoka - znacznie wyższa niż uzurpatorka - i nie nosiła

bizuterii. Suknia o nasyconej kremowej barwie odkrywała pozbawioną zmarszczek, połyskującą skórę szyi oraz ramion. Tor nie widział pantofli, ale był ciekaw, czy pasują do sukni. Włosy, wciąż naturalnie czarne, nosiła starannie zaczesane w warkocz. Była promienną istotą, a wzrostem i szczupłą budową przypominała Torowi królową Nyrię.

- Skąd wiedziałeś?

Uśmiechnął się.

- Niezła sztuczka, wasza wysokość - rzekł.

- Jedna z moich ulubionych. Powiedz, jak się domyśliłeś - odparła, kiwnięciem głowy oddalając przystrojoną w klejnoty uzurpatorkę.

- Cóż, jeśli sądzić po wyglądzie królewskich komnat, wasza wysokość preferuje subtelne wyrafinowanie - rzekł. - Po drodze mijalem olśniewające sale i poczekalnie, ale dopiero gdy Hela przyprowadziła mnie do komnat waszej wysokości, uświadomiłem sobie, że poznaję prawdziwy gust królowej Sylven.

- Mów dalej - ponagliła, zaintrygowana i rozbawiona.

- Elegancka i czysta. Skromna, ale w głębi duszy dumna. Silna i praktyczna. Zabójczo piękna - pięknnością, której nie ima się czas.

Królowa w końcu się uśmiechnęła.

- Szkoda, że cię nie spotkałam, gdy byłam w twoim wieku, Torkynie. Jesteś tak ujmujący, że pewnie bym się w tobie zakochała.

Królowa Sylven rzadko tak otwarcie wyrażała swoje myśli, ale ten mężczyzna był rozbijający pod każdym względem.

- Wiek nic nie znaczy, wasza wysokość - rzekł Tor i naprawdę tak myślał. - Królowa Nyria, która niemal mogłaby być twoją matką, miała podobny gust. Ona również była w każdym calu królową. Nie wyobrażam sobie, żeby wasza wysokość kiedykolwiek musiała poszukiwać męskiego towarzystwa.

Jego słowa rozbawiły Sylven.

- Mój harem jest pełen.

Tor wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

- A więc to prawda?

Spojrzała na niego pytająco.

- Wiele lat temu słyszałem plotkę, że wasza wysokość ma harem. Czy w Cypryzji nie ma króla ani nikogo podobnego?

- Nawet gdyby był, wy, tallinorczy, z pewnością nie zrozumielibyście, że królewski harem nadal by istniał. - Zachwycała ją konsternacja, która odmalowała się na twarzy Tora.

Królowa ujęła go za ramię i ponownie poprowadziła do ławy. Zauważył, że ma miękką, gładką dłoń. Ta kobieta nie mogła się zestarzeć. Bez wątpienia była dużo starsza od Alyssy, ale młodsza od Nyrii. Musiała mieć ponad trzydzieści lat, ale nie przekroczyła jeszcze czterdziestki.

- Pozwól, że opowiem ci o cypryjskiej tradycji, Tor.

Mogę cię tak nazywać?

- Oczywiście. - Kiwnął głową.

- W Cypryji nigdy nie rządził mężczyzna. Zgodnie z tradycją i wskutek działania wielowiekowej magii koronę zawsze przejmuje kobieta. Królowa wybiera partnera i, używając własnej tajemnej mocy, gwarantuje narodziny córki. Kochanek staje się wtedy zbędny. W odpowiednim czasie królewna zostaje królową. Królowa Cypryji sprawuje nad swymi poddanymi władzę absolutną. Uczy się ją, by była dla nich wspaiałomyślna, chroniła ich i troszczyła się o to, żeby nie stała im się żadna krzywda. W Cypryji nie ma biedaków.

Tor przytaknął.

- Domyśliłem się tego, patrząc z powozu na domy.

- Zawsze znajdują się ludzie mniej szczęśliwi, z różnych powodów. Ale dbamy o tych, którzy popadają w tarapaty. Dajemy im szansę poprawy. Żadne dziecko nie bywa głodne. Nikt nie jest bezdomny. Nasz lud jest wykształcony. Nasze farmy świetnie prosperują.

- Wszyscy moglibyśmy się od was uczyć, wasza wysokość.

Kiwnęła głową, wiedząc, że Tor mówi szczerze.

- W zamian za to lud obdarza królową absolutną lojalnością.

- Czy wasza wysokość ma już następczynię tronu?

- Tak. Na imię ma Sarel. Liczy zaledwie dwanaście lat. To jeszcze dziecko, ale jej ojciec został starannie wybrany i pewnego dnia Sarel zostanie wspaiałą królową. Na razie jednak chcę, żeby cieszyła się dzieciństwem. - Sylven westchnęła. - Obawiam się, że moja matka i babcia nigdy w pełni nie pojęły znaczenia prawa do zabawy i dzieciństwa tak normalnego, jak tylko może być dzieciństwo członka rodziny królewskiej.

- Wasza wysokość jest niezwykle mądra. Jestem pewien, że wolność dana Sarel zaprocentuje w przyszłości.

- Mam taką nadzieję. Moja córka będzie musiała zarządzać rozległym i potężnym królestwem. Nie może żałować, że przydzielono jej taką rolę.

Tor rozejrzał się tęsknie po komnacie.

- Wasza wysokość, patrząc na Cypryję, doszedłem do wniosku, że bardzo łatwo mógłbym się zakochać w tym mieście i osiedlić się w nim.

Sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- Ależ, Tor, przyjęlibyśmy cię z otwartymi ramionami. Medycy są zawsze mile widziani.

Pokręcił głową.

- Nie mogę zostać, królowo. Mam do wykonania zadania, o których niechętnie myślę, lecz nie mogę przed nimi uciec.

- Rozumiem - rzekła. - Cóż, mam nadzieję, że powiesz mi coś więcej. Chodź, przejdziemy się po ogrodach, a potem może potowarzyszyłbyś mi przy obiedzie?

- Będę zaszczycony - odparł.

*

Późnym wieczorem, popijając słodkie wino i pogryzając egzotyczne owoce, Tor marzył o tym, by naprawdę zapomnieć o całej przeszłości i zacząć nowe życie w Cyprzji. Siedząc na jednym z wielu pięknych balkonów cypryjskiego pałacu, osłonięty przed chłodnym wietrzykiem przez wysokie, stojące niczym wartownicy drzewa i ogrzewany ciepłem z licznych piecyków, chyba po raz pierwszy od lat poczuł się naprawdę spokojny.

Spędził z królową Sylven cały wieczór i oboje świetnie się bawili. Królowa była bardzo inteligentna, co zawsze pociągało Tora, i niezmiernie dowcipna. Nie spieszyło mu się do odejścia.

Wyglądało na to, że monarchini myśli podobnie, zamówiła bowiem kolejny dzban wina. Tor przeciągnął się leniwie i raz jeszcze poczuł na sobie taksujące spojrzenie.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, jak odkryłeś moją mistyfikację.

Wiedział, że mówienie komukolwiek o swoich zdolnościach nie jest bezpieczne, ale instynkt podpowiadał mu, że z tej strony nie ma zagrożenia. Zaryzykował.

- Jestem Obdarzonym, wasza wysokość.

Dolewała mu właśnie słodkiego wina do pucharu i ręka zamarła jej w pół drogi. Nie ulegało wątpliwości, że jest zaskoczona.

- Oczywiście żartujesz.

- Nie, Sylven. Istotnie poczyniłem pewne kluczowe obserwacje - uśmiechnął się szeroko na widok jej otwartych ust - ale w gruncie rzeczy polegałem na swojej zdolności wychycenia magii. Gratuluję, to była świetna sztuczka.

Wyjął z jej długich palców napełniony do połowy kielich.

- Dowiedz tego! - zażądała z wesołym błyskiem w oku.

- Powiedz mi jak, a uczynię to.

- Dobrze. - Zamknęła oczy. - O czym teraz myślę?

Tor rzucił sondę. Odczytał myśl i roześmiał się.

- Nie będę powtarzał tego głośno, ale z chęcią zrobię to z tobą.

Sylven krzyknęła, cudownie podekscytowana.

- Drażnisz się ze mną. Nie mogłeś wiedzieć, o czym myślę, łobuzie.

Tor świetnie się bawił. Już bardzo dawno nie używał mocy dla zabawy. Ostatnio robił to, gdy był dzieckiem, by rozbawić Alyssę i usłyszeć jej cudowny śmiech. Śmiech Sylven przypominał mu nieco tamtą otwartą wesołość młodej Alyssy i Tor z radością powitał wspomnienie kobiety, którą uwielbiał, lecz której nie mógł mieć.

- Nie - rzekła królowa, kręcąc głową. - Musisz dokonać czegoś bardziej dramatycznego.

Tor wrócił do terażniejszości. Tymczasem służąca przyniosła im kolejny dzban wina.

- Dziękuję - oddaliła ją szybko królowa. - Od tej chwili niech nikt nam nie przeszkadza.

- Tak, wasza wysokość - szepnęła służka i ulotniła się dyskretnie.

- Jesteśmy sami, Torze. Pokaż mi swoją magię! - zażądała Sylven.

Postanowił wykonać sztuczkę, która niegdyś przeraziła Merkhuda, ale królową mogła tylko rozbawić. Zniknął w mgnieniu oka. Sylven wrzasnęła z zachwytem.

- Ciii! - ostrzegł ją, natychmiast pojawiając się z powrotem. - Zaraz wszyscy tu będą. Odrąbią mi głowę, nim zdążę się wytłumaczyć.

Sylven zakryła usta wypielęgnowanymi dłońmi, ale jej oczy zdradzały podniecenie i całkowitą niezdolność uwierzenia w to, co przed chwilą zobaczyła.

- Co jeszcze potrafisz? - wyszeptwała.

Tor pokręcił głową.

- Wasza wysokość, nie jestem zwierzęciem cyrkowym. Jestem Obdarzonym, mam - przez chwilę szukał właściwego słowa - szczególną intuicję. - Nie uważał za stosowne wyjawiać jej pełnego zakresu swojej mocy. - A jak daleko sięga moc waszej wysokości?

- Tor, gdybym potrafiła robić to, co ty, byłabym najpotężniejszą władczynią we wszystkich krainach i na całym świecie. Wciąż nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś - powiedziała, potrząsając głową.

- Wasza wysokość, czy mogę prosić, aby to pozostało między nami? Nie mam w zwyczaju chwalić się swoim talentem.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Pokazujesz go tylko władcom?

- Nie - odparł Tor, pochylając się do przodu i ujmując jej dłoń. - Nie wszystkim

władcom, tylko tym szczególnie pięknym.

- Zostaniesz ze mną na noc, Torkynie. Chcę zobaczyć, w jaki inny sposób potrafisz używać swojej mocy.

Gdyby nie wyciszająca bariera drzew, śmiech królowej i jej gościa byłoby słychać niemal w centrum miasta.

18.

POCAŁUNEK SREBRNEJ DZIEWICY

Kiedy Tor obudził się w jedwabnej pościeli Sylven, druga połowa łóżka zdążyła już ostygnąć. Najwyraźniej królowa była na nogach od dłuższego czasu. Tor zamrugał i przewrócił się na bok, by zajrzeć przez drzwi wiodące na jej prywatny balkon. Na zewnątrz panował cudowny chłód i cisza. Słońce nie wzbilo się jeszcze wysoko i barwy były rozmyte jak ze snu. Tor spał długo i głęboko, wypoczywając w pełnym tego słowa znaczeniu.

Wspominał cudowne chwile minionej nocy i to, jak wielką przyjemność sprawił im obojgu erotyczny finał spędzonego razem wspańskiego dnia. Sylven była zupełnie niepodobna do Alyssy, a mimo to tak bardzo przypominała mu jego żonę. Jej radość życia i zaraźliwe poczucie humoru przeniknęły go, a namiętny akt przekreślił lata smutku i samotności. Sylven lubiła mężczyzn i bynajmniej nie miała oporów przed pokazaniem mu, co sprawia jej przyjemność.

Musiał na chwilę zasnąć, bo nagle posłyszał ciche głosy na balkonie. Otworzył oczy: to Sylven rozmawiała z jedną z dwórek. Owinąwszy się ręcznikiem, Tor przeszedł przez drzwi. Żadna z kobiet nie była zawstydzona widokiem półnagiego mężczyzny. Dwórka przyjrzała mu się nawet taksująco.

Królowa cmoknęła z dezaprobatą.

- Tor, to zimno cię zabije. Helu, przynieś, proszę, pelerynkę.

Hela oddaliła się, by w mgnieniu oka wrócić z pięknie utkaną, wełnianą szatą. W jej rękach szata wyglądała na lekką, ale gdy Tor się nią owinął, natychmiast zrobiło mu się ciepło.

Sylven uśmiechnęła się.

- Koza galinga. Bardzo cenna, bardzo rzadka.

Hela podała Torowi parujący kubek chicany. Tor uniósł go do ust. Smakowała wybornie.

- I niewątpliwie bardzo droga - rzekł medyk, pochylając się, by ucałować włosy Sylven.

Królowa przyjęła jego czuły gest, po czym zajęła się podpisywaniem jakichś

papierów: Czytała, a on siedział w milczeniu, wdychając rześkie powietrze poranka. Unosił się w nim zapach egzotycznych kwiatów z pałacowych ogrodów, które Tor zwiedził poprzedniego dnia. Czuł się swobodny, wyciszony. Pociągnął łyk chicany i obrócił się, by spojrzeć na Sylven.

Królowa wiedziała, że Tor na nią patrzy, ale nie podniosła wzroku.

- Wiesz, nie przepadam za formalną stroną zarządzania królestwem. Uwielbiam wyjeżdżać i spotykać się z moim ludem, ale gardzę tymi wszystkimi papierami, podpisami, traktatami i...

Zamilkła, słysząc śmiech Tora.

- Mam mnóstwo takiej roboty - skarciła go, sięgając po lukrowane ciastko.

On także sięgnął po jedną z tych delicji.

- Jestem tego świadom - rzekł, odgryzając kawałek. - Śmieję się, bo mówisz dokładnie to samo co król Lorys z Tallinoru. Ależ to smaczne! - Znów przełknął wielki kęs.

- Serio?

- Jasne - wykrztusił z pełnymi ustami. - Wyśmienite.

Pokręciła głową.

- Miałam na myśli króla Lorysa. Opowiedz mi o nim. Podobno jest przystojny i - wybacz obcesowość - panny pewnie biją się teraz o niego.

Tor pokiwał głową w zamyśleniu.

- Pewnie tak. Lorys istotnie jest przystojny. Być może nie tak wysoki jak ty, pani, ale królewski w każdym calu. Ma bardzo lotny umysł i cięty dowcip, uwielbia polowania i wyścigi, kocha swój lud... i narzeka na niepotrzebną biurokrację.

Królowa uśmiechnęła się.

- Wiem, jak się czuje, Tor. A czy jest wierny?

- Wierny?

- Mam na myśli wierność małżeńską.

- Wasza wysokość, nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie - odparł Tor, przypominając sobie, jak Lorys patrzył na Alysse, gdy spotkał ją po raz pierwszy. Miał w oczach nieskrywane pożądanie. - W końcu jest mężczyzną.

- Istotnie - odparła enigmatycznie. - Myślisz, że ożeni się po raz drugi?

Tor dokończył ciastko i zlizął z warg lukier.

- Nie mam pojęcia. Nie jest stary, ma dopiero pięćdziesiąt lat. Trudno mu będzie jednak znaleźć kobietę, która pasowałaby do niego tak świetnie jak Nyria.

- Dlaczego? Z pewnością wiele arystokratycznych rodzin z radością wydałoby swoje

najmłodsze i najpiękniejsze córki za króla Tallinoru?

- Tak, na światłość! Znajac Lorysa - a kilka lat temu znałem go całkiem dobrze - sądzę, że wolałby jednak pojąć za żonę kogoś nieznanego. Dziewczynę, która w oczach innych mieszkańców dworu nosiłaby w sobie jakąś tajemnicę. Wiesz, myślę, że prędzej zakochałby się w dziewczynie z którejś z okolicznych wiosek niż w wielkiej damie. Z tego, co wiem, Lorys i Nyria kochali się od dzieciństwa - dodał tęsknie Tor, niemal jakby głośno myślał.

- A czy ty kiedyś kochałeś kogoś tak mocno, Tor? Chodzi mi o to, że najpierw byliście przyjaciółmi, a potem zostaliście kochankami?

Nie chciał odpowiadać na to pytanie, ale Sylven była tak bezpośrednia, że czuł się zobowiązany do szczerości.

- Tak.

- O! - zawołała z zachwytem, sięgając po kolejne ciastko.

- Nadal ją kocham - szepnął.

- Co ja słyszę? Nadal ją kochasz! Mów, kto to taki.

Dostrzegła jednak zmieszanie Tora. Podobała jej się jego szczerość wobec niej. Medyk intrygował ją od chwili, w której go ujrzała, a jego kombinacja wyrafinowania i naiwności, siły i łagodności, arogancji i pokory fascynowała ją. W jednej chwili był małym, zagubionym chłopcem, w następnej stawał się dzielnym mężczyzną, najwyraźniej dźwigającym na barkach jakiś wielki ciężar. A teraz zwierzał jej się z dawno utraconej miłości! Rola mężczyzny zakochanego w kobiecie, której nie może mieć, świetnie do niego pasowała.

- Nie jest twoja, Tor?

- Zawsze będzie moja - odparł ze smutkiem. - Po prostu nie możemy być razem.

- Dlaczego?

- Cóż... okoliczności.

Sylven nie dała się zbyć półsłówkami.

- Gdzie ona jest?

- W Tal.

- Ale nie pochodzi stamtąd, prawda?

Prychnął.

- Nie. Pochodzi z Mallee Marsh, niewielkiej, nieciekawej, trudnej do znalezienia wioski.

- Domyślam się też, że jest kobietą niezwyklej urody?

Przed oczyma stanęła mu ukochana twarz.

- Złote włosy. Zielonoszare oczy. Miodowa skóra. Drobną, zabawną, inteligentną, po prostu... cudowną.

- No, teraz jestem zazdrosna - nadąsała się Sylven.

- Nie bądź - odparł z uśmiechem Tor. - W pewnym zagadkowym sensie jesteś do niej podobna.

- Dziękuję. Wierzę, że to szczery komplement. Wiesz co? - Oczy Sylven załśniły przebiegle. - Właśnie przyszedł mi do głowy świetny pomysł. Lorys i Alyssa.

Przyglądała się zasępionej minie Tora, dojadając ciastko.

- Nie sądzę - rzekł stanowczo medyk.

Sylven otarła palce z lukru.

- Dlaczego nie? Twój opis kobiety, która podobałaby się Lorysowi, pasuje do niej jak ulał. Dziewczyna bez przeszłości... hm, w każdym razie z przeszłością nieznaną mieszkańcom dworu. Tallinorka ze wsi i pewnie do tego biedna?

Tor kiwnął głową.

- Sam opisałeś ją jako sympatyczną urodziwą i inteligentną. Sądzę, że byłaby dla niego świetną partnerką. Król Lorys i królowa Alyssa.

Sylven uniosła filiżankę w udawanym toaście.

- Nie wypiję za to, wasza wysokość. Alyssa gardzi królem. Nienawidzi go bardziej niż jakiegokolwiek prawdziwego wroga królestwa. Nigdy nie wyszłaby za króla Tallinoru.

- Każda dziewczyna marzy o tym, by zostać królową Tor.

- Nie ona.

Rozmowa z Torem i fakt, że medyk jest coraz bardziej zmieszany, niezmiernie bawiły Sylven.

- Dlaczego miałyby nienawidzić króla, którego ty sam przedstawiasz jako niemal idealnego? Co takiego mógłby zrobić, by tak zrazić do siebie wiejską dziewczynę?

Zapanowała długa, niezręczna cisza. Sylven zastanawiała się, czy nie zabrnęła za daleko.

- To on sprawił, że nie mogę z nią być, wasza wysokość - rzekł w końcu Tor, bardzo już daleki od rozbawienia.

Nim zdążyła odpowiedzieć, zaczęły bić miejskie dzwony.

Oboje odłożyli kubki i podeszli do skraju osłoniętego balkonu. Sylven była zadowolona, że dzwony przerwały niefortunną rozmowę, i z ulgą zauważyła, że Tor także się rozluźnił.

- Wygląda na to, że coś się stało - powiedział.

- Te dzwony zwiastują śmierć - odparła.

Spojrzał na nią pytająco. Królowa przysunęła się bliżej, a on otoczył ją ramieniem i przygarnął. Sprawilo jej to przyjemność. Zwykle odsyłała swoich kochanków z haremu kilka minut po tym, jak spełnili swój obowiązek. Nie mogła znieść, gdy kręcili się wokół niej albo, co gorsza, zakochiwali się w niej. Byli w końcu tylko służącymi.

Torkyn Gynt był inny.

Pożądała go od pierwszej chwili. Teraz odkryła, że pragnie także jego uczuć, nie tylko ciała. Chciała wycisnąć z niego więcej, mieć go całego!

- Twój przyjaciel Locky - powiedziała, a Tor kiwnął głową - zażądał, by pirat Haryd doświadczył Pocałunku Srebrnej Dziewicy.

- Tak. Nie wiedziałem, co to znaczy, a później tyle się wydarzyło, najpierw z Adongiem, potem z uwalnianiem tych wszystkich ludzi, że zupełnie wyleciało mi to z głowy.

„O rany - pomyślała. - Zatem nie będzie to dla ciebie łatwe”.

- Dzwony obwieszczają Dzień Oczekiwania.

- Nie znam tego zwyczaju, Sylven. W ogóle nie znam cypryjskich zwyczajów.

Królowa poprowadziła go z powrotem do wygodnych siedzeń w pobliżu małych piecyków.

- Pocałunek Srebrnej Dziewicy jest najcięższą karą, jaką przewiduje cypryjskie prawo. Jeśli ktoś na nią zasłuży, śmierć jest straszna, a przy tym Dziewica nie odróżnia winnych od niewinnych.

Tor wzruszył ramionami.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Srebrna Dziewica sama decyduje, kogo pocałować, a kogo nie. Jej pocałunek przecina ofiarę na pół, od głowy aż po palce u nóg.

Tor sprawiał wrażenie zadowolonego.

- Nie wyobrażam sobie lepszej kary dla Haryda.

- Zaczekaj, Tor. Ten, kto domaga się takiej kary, sam musi stanąć przed obliczem Srebrnej Dziewicy. Jeśli ta go oszczędzi, zostaje ostatecznie uznany za pokrzywdzonego, a ten, kto go skrzywdził, musi się zmierzyć z jej gniewem.

Tor wydawał się nieco skonsternowany.

- Tak - kontynuowała pospiesznie królowa - wiem, o co chcesz zapytać. Już odpowiadam. Dziewica ma skomplikowany system zamków, które otwierają się i zamykają na chybił trafił. W zależności od ich położenia ostrze albo zostaje przepuszczone, albo nie.

Ona jedna o tym decyduje.

Teraz Tor był już przerażony.

- Chcesz powiedzieć, że to wszystko jest kwestią przypadku? Że Locky rzucił na szalę własne życie?

- Można to tak ująć. Dlatego właśnie tak rzadko używa się Srebrnej Dziewicy. Większość pokrzywdzonych wybiera przebicie mieczem lub chłostę, zależnie od rozmiarów krzywdy. Jeśli jednak ktoś chce zażądać najcięższej kary w królestwie i najbardziej przerazić swoją ofiarę, musi za to zapłacić.

- Ale jakie on ma szanse?

- Niewielkie - odparła. Woląla mówić szczerze. - Nie ingerujemy w system Dziewicy. Jej operator to mój człowiek i mam do niego pełne zaufanie. Podczas dwóch ostatnich przedstawień Dziewica nikogo nie zabiła. Oszczędziła więc w sumie cztery osoby. Przypuszczam, że jest już bardzo spragniona krwi.

- Wasza wysokość, z całym szacunkiem, nie mogę na to pozwolić. Locky to jeszcze dziecko.

- Dziecko, które podjęło męską decyzję, Tor. Nalegał. Nie mogę mu odmówić. Muszę spełnić jego żądanie. Tak stanowi cypryjskie prawo.

Tor był wściekły.

- Kiedy ten barbarzyński akt ma się odbyć?

Sylven zignorowała obelgę.

- Za kilka godzin. Stąd dzwony. Lorke potrzebował trochę czasu, by zamontować Dziewicę w amfiteatrze miejskim. Trzeba było naostrzyć jej klingę, naoliwić zamki i...

- Nie chcę tego słuchać - rzekł Tor i zaczął przechadzać się nerwowo. - To straszne. Co ja powiem Eryinii? - mrucał do siebie.

- Kto to jest Erynia?

- Siostra Locky'ego. Kazała mi się nim opiekować.

- To jego decyzja, Tor. Nie twoja ani jego siostry. Nawet kapitan Quist przestrzega prawa.

- Tak, to łatwe, gdy się nie jest czymś krewnym. Quist jest mężem Eryinii i szwagrem Locky'ego, choć zastępuje mu ojca, którego chłopak nawet nie znał. Erynia nigdy mu tego nie wybaczy. Nigdy!

- Daj spokój, Tor. Nie możesz nic zrobić. Pozostała ci jedynie nadzieja, że Dziewica zlituje się nad nim.

- Nie będę stał spokojnie i patrzył, jak to urządzenie przecina Locky'ego Gylbyta na

pół!

Zakamuflowana groźba nie umknęła uwagi królowej.

- Jeśli posłużysz się magią Tor, nie będę miała innego wyjścia, jak tylko ujawnić twoją tajemnicę. Tu, w Cypryzi, jesteśmy bardziej tolerancyjni niż twoi rodacy, ale nie pozwalamy na otwarte używanie magii.

- Muszę podążać za głosem serca, wasza wysokość - odparł, wstając i szykując się do odejścia.

- A ja muszę się stosować do prawa obowiązującego w moim królestwie.

- Czy istnieje ustawa zakazująca stosowania magii?

- Może jej używać jedynie królowa wobec swojej córki - rzekła szorstko Sylven.

- A zatem może i ja będę musiał stanąć przed Srebrną Dziewicą, wasza wysokość. I to ty zarządzisz dla mnie tę karę. - Skłonił się powoli. - Powiniennem już iść.

- Powinieneś - przyznała ze smutkiem, patrząc, jak Tor ubiera się i w milczeniu opuszcza apartament.

*

Nie była zdziwiona, gdy kilka minut później Hela wprowadziła kolejnego świeżo przybyłego cudzoziemca.

- Wasza wysokość. - Mężczyzna pokłonił się nisko.

„Widać, że często rozmawia z koronowanymi głowami” - pomyślała królowa.

- Oczekiwałam cię - powiedziała.

- Zaprosiłaś mnie do swego pałacu, pani. Czuję, że moja znajomość tallinorskich zwyczajów jest dla ciebie bardzo ważna.

- W istocie - odparła królowa w swój zwykły lakoniczny sposób, który mógł oznaczać cokolwiek.

Nie zniechęciło to obcego.

- Królowo, muszę cię ostrzec przed tym człowiekiem.

- Masz na myśli Gynta? Dlaczego? Zaledwie wczoraj mówiłeś, że zaproszenie go do pałacu będzie dla mnie interesującym doświadczeniem.

Goth kiwnął lekko głową, niemal jakby chylił czoło przed jej dobrą pamięcią.

- To prawda. Gdy mi powiedziałaś, że trafił na targ niewolników, nie wierzyłem, że to ta sama osoba. A jednak. Mogę jedynie powiedzieć, że ten człowiek przynosi nieszczęście. Kłopoty to jego specjalność, wasza wysokość.

Patrząc na tego płaszczącego się przed nią obrzydliwego, aroganckiego typu, Sylven zastanawiała się, czy wie on o zdolnościach Tora. „Nie - pomyślała - chodzi raczej o coś

innego. Może to zazdrość”.

- Rozumiem, że razem służyliście w pałacu w Tal?

- Zgadza się. - Typ usiłował się uśmiechnąć, ale na jego twarzy wyglądało to jak szyderstwo.

- Ależ on jest czarujący! I taki zabawny! - Sylven z przyjemnością patrzyła, jak Goth krzywi się na te słowa, choć w gruncie rzeczy ten biedak i tak nie kontrolował swoich tików.

Spojrzał na nią hardo swoimi czarnymi oczyma.

- Radzę ci zakazać mu wstępu do pałacu, wasza królewska mość. Chciałbym, żebyś pozwoliła mi się z nim rozprawić, być może dając mi do pomocy kilku gwardzistów - rzekł.

- Rozprawić się?

- Usunąć go stąd, wasza wysokość - uściślił.

- Z Cypryzji czy ze świata?

- Cokolwiek wybierzesz, z chęcią wykonam rozkaz. Zawdzięczam ci życie, królowo. Mógłbym spłacać ten dług przez resztę swego czasu.

Goth był w pałacu zaledwie od kilku dni - od momentu, w który został uratowany - a ona już nienawidziła jego służalczych manier. Nie ufała mu za grosz, ale matka nauczyła ją, by zawsze słuchała, niezależnie od tego, z czyich ust pochodzą informacje. Na razie wiedziała jedynie, że Goth jest byłym wielkim inkwizytorem Tallinoru, który zbiegł, gdy rozwiązano inkwizycję.

Najwyraźniej obawiał się o swoje życie. On także był na pokładzie „Osy”, której szczątki morze wyrzuciło na brzeg jednej z małych wysepek, ale nie wiedział, że przeżył jeszcze ktoś. Twierdził, że podczas podróży widywał się tylko z kapitanem i Rykiem, chłopcem okrętowym.

Był wstrząśnięty, gdy dowiedział się, że Torkyn Gynt, który także płynął na pokładzie „Osy”, trafił do Cypryzji. Wyglądało na to, że Goth wie o nim wiele, choć nietrudno było królowej zauważyć, że nie przepada za nim. Próbował to ukryć za wyszukаныmi słowami, Sylven potrafiła jednak czytać prawdę z oczu. Odziedziczona po matce intuicja podpowiadała jej, że ma do czynienia z kimś niebezpiecznym. „Nie - pomyślała - nie mogę mu ufać. Pod uprzejmą, służalczą maską tłucze się bowiem okrutny i mściwy stwór”.

To właśnie Goth zaproponował, by zaprosiła Gynta do pałacu. Twierdził, że może ją to zaciekać. Nie przypuszczał, rzecz jasna, że Sylven spędzi z Gyntem noc, ale tego nie wiedziała zawczasu także ona. Na poranej dziobami twarzy malowała się dezaprobata, z której królowa wywnioskowała, że nie wszystkie dwórki potrafiły zachować dyskrecję. Inaczej skąd Goth mógłby wiedzieć, że Gynt został na noc? Sylven nie przejmowała się

jednak opinią byłego inkwizytora, znacznie bardziej interesowały ją jego związki z jej gościem.

Nie mieli jeszcze okazji omówić dokładnie wszystkiego, co Goth wiedział o Gyncie, ale teraz królowa była zdeterminowana, by to z niego wycisnąć. Raz jeszcze zadała sobie pytanie, czy Goth wie o magicznych zdolnościach Tora.

Co łączyło tych dwóch mężczyzn? Czy mogła to być zazdrość o uczucie jakiejś kobiety? Może chodziło o Alysse? „Chyba nie” - pomyślała Sylven. Piękna Alyssa i niewiarygodnie przystojny Gynt stanowili idealną parę. Kobieta, która zaznała miłości Tora, nigdy w życiu nie rozważyłaby możliwości związania się z Gothem. Nie, to nie mogło być to. Poza tym Goth wyglądał na kogoś, kto stroni od fizycznej miłości, może nawet nie jest do niej zdolny. Nie przystawiał się do jej dwórek - ani do dworzan, żeby było jasne - i od początku swego pobytu w Cypryzji nie odwiedził żadnego burdelu. Najwyraźniej zatem nie był amatorem seksu i Sylven szybko odrzuciła przypuszczenie, że mógłby być zazdrosny o miłość łączącą Tora z Alyssą.

Goth przyglądał się jej wnikliwie. Oczy mrugały mu w nieustannym tiku, a kiedy po raz kolejny oblizwał usta, musiała odwrócić wzrok. Nie mogła znieść jego widoku. Odesłała go. Nie była gotowa do wysłuchiwanie jego opinii. Goth był bardzo rozczarowany, ale starał się to ukryć i szybko wyszedł.

Sylven wiedziała, że czeka ją trudny dzień. Kłopoty już się zaczęły. Była wściekła na Tora za jego niesubordynację i zakamuflowaną groźbę niepodporządkowania się jej prawom. Z drugiej strony, jego arogancja sprawiała, że jeszcze bardziej ją pociągał. Tor nie bał się nikogo, nawet jej. Wreszcie trafiła na kogoś, kogo mogłaby pokochać.

Pokochać? Nigdy nie sądziła, że kiedykolwiek się zakocha. Owszem, gdy była młoda, lubiła snuć takie marzenia, ale została dobrze wykształcona. Miała zostać potężną królową potężnego narodu, którym nie mógł rządzić żaden mężczyzna. Nie mogła mieć męża ani pozwolić sobie na miłość. Jej matka i babka, gdy jeszcze żyły, zadały sobie mnóstwo trudu, by zebrać dla księżniczki najświetniejszy harem, w którym na jej skinienie czekały dziesiątki mężczyzn. Harem ów był na bieżąco uzupełniany nowymi twarzami, aby przyszła królowa nie miała czasu się znudzić ani zbyt mocno związać z żadnym konkretnym mężczyzną.

Udało się. W ciągu tych lat Sylven miała tylu kochanków, że myśl o zakochaniu się była dla niej zupełnie nieprawdopodobna. Teraz, mając czterdziestkę na karku, z rozbawieniem stwierdziła, że może właśnie znalazła miłość... a jej obiektem był Tallinorczyk! Co tu dużo gadać, Torkynowi Gyntowi nie można było się oprzeć. Nawet abstrahując od uroku osobistego i walorów fizycznych, był po prostu fascynujący. Dorównywał jej

błyskotliwym umysłem i nie wyobrażała sobie, żeby jego inteligencja pozwoliła jej się kiedykolwiek nim znudzić. Olśniewała ją także jego magiczna moc. Już te rzeczy wystarczyłyby, żeby do końca życia fascynował królową.

Potrząsnęła głową, by odpędzić te myśli. Przecież Torkyn Gynt właśnie się na nią wypiął!

*

Tor był wściekły. Jakim sposobem to wszystko wymknęło mu się z rąk? Locky mógł się domagać dowolnej kary, od chłosty po ścięcie, ale nie, on musiał wybrać tę jedyną metodę, która zagrażała także jego życiu! Znowu musiał odłożyć na później poszukiwanie Cloota.

„Głupiec! Głupiec!” - mruczał pod nosem Tor, przemierzając miasto w drodze do ulubionej gospody Quista. Cypryzja przestała mu się nagle wydawać pastelowa i piękna. Stała się jaskrawa i niebezpieczna. Chłód, z jakim pożegnał się z Sylven, także wcale go nie cieszył. Tor wkroczył do gospody i gromkim głosem zapytał, czy kapitan Quist już wstał.

- Wstał i wyszedł - odparł jeden ze służących.

Tor opuścił tawernę. Dokąd teraz? Ruszył w kierunku doków. „Kapitanowie zwykle lubią być blisko swoich statków” - pomyślał. Nie pomylił się: znalazł Quista i jego ludzi w porcie, przygotowujących „Kruka” do wypłynięcia.

- Quist!

Kapitan wyrzał przez reling. Pomachał do Tora, ale twarz miał zasepioną. Tor wbiegł po trapie. Quist wyszedł mu na spotkanie.

- A więc już wiesz?

- Jak mogłeś mu na to pozwolić? - wykrzyknął Tor.

Quist natychmiast dał upust swojej złości.

- Oszalałeś, Gynt? Myślisz, że zgodziłbym się na to? Powiedział mi, że zażądał publicznej chłosty, a następnie zagłodzenia w klatce. Nie miałem pojęcia, co to jest Srebrna Dziewica, aż do dzisiejszego ranka, kiedy kazali mi podpisać jakieś papiery. Oczywiście odmówiłem, ale urzędnicy wcale się tym nie przejęli. Najwyraźniej była to tylko formalność. Wybór chłopaka i tak zostanie uhonorowany. Jestem bezradny - rzucił gniewnie.

Tor nie dał się tak łatwo zbyć.

- A więc wypływasz? Uciekasz?

- Przygotowuję statek, Gynt - wycodził lodowato Quist. - Tak czy owak, wypływamy jutro. Muszę wracać do domu, do Eryonii. Być może będę musiał zabrać ze sobą zwłoki. Myślisz, że mnie to cieszy?

Tor nie zdołał się powstrzymać. Frustracja wywołana nieczułością Sylven i jej próbą udobruchania go przeszła w złość, którą wyładował na Quiście.

- Dziwię się, że po tym wszystkim masz odwagę stawić jej czoło.

Tego już było za dużo: pirat obrócił się, by uderzyć Tora pięścią. Ten jednak był szybszy. Aktywował osłony. Quist ze zdumieniem patrzył, jak jego pięść przesywa powietrze, a ciało pod wpływem siły uderzenia wykonuje pełen obrót. Nie zatrzymał się jednak, zamiast tego rzucił się przed siebie, celując głową wprost w brzuch Tora. Cios, od którego Tor miał się zgiąć wpół, natrafił na barierę twardą jak kamień. Quist opadł na pokład nieprzytomny. Gdy tak leżał, Tor pochylił się nad nim, sprawdzając, jak mocno go zranił. Obrażenia nie były poważne. Quist powinien wkrótce odzyskać przytomność. Bez wątpienia będzie się czuł nieco oszołomiony, ale przeżyje.

Na szczęście dla Tora nikt nie widział bójki, gdy bowiem medyk wchodził po trapie, Quist właśnie rozsyłał swoich ludzi z posyłkami. Teraz jednak wracali i dostrzegali leżące nieruchomo ciało.

- Co się stało? - zawołał któryś, pędząc ku nim.

- Zemdlął - skłamał Tor. - Zanieśmy go do kajuty. Jestem medykiem, mogę pomóc.

Kapitana zaniecono do kajuty i ułożono na koi. Tor zapewnił marynarzy, że ich zawoła, gdy tylko przeprowadzi badanie. Jednego, który był szczególnie nachalny, posłał po słodką wodę. Dzięki temu zyskał tyle czasu, ile potrzebował.

Kapitan powoli dochodził do siebie. Tor, który teraz nie rozstawał się ze swoją torbą, odmierzył odrobinę arraku.

Quist otworzył oczy.

- Głowa mi pęka - stęknął.

- Masz, łyknij jeszcze trochę - rzekł Tor, podając mu fiolkę z płynem, którego ubywało w zastraszającym tempie. Quist łyknął i spróbował usiąść.

Przybiegł marynarz z wodą, dysząc ciężko.

- Odeślij go. Musimy porozmawiać - mruknął ledwo dosłyszalnie Tor.

- Nic mi nie jest, Lurg. Wracaj do swojej roboty.

Lurg sprawiał wrażenie urażonego.

- Jest pan pewien, kapitanie? Na moje oko kiepsko pan wygląda.

- Jestem zdrow. Po prostu zakręciło mi się w głowie i upadłem.

- W porządku, kapitanie. Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę mnie zawołać - powiedział Lurg i zamknął za sobą drzwi.

Quist zmierzył Tora złowrogim spojrzeniem swego jedyne go oka.

- Co właściwie się tam wydarzyło?

Tor westchnął.

- Jestem Obdarzonym, Quist. Wykorzystałem przeciw tobie magię.

- Czy ty przypadkiem nie masz za dużo szczęścia? - mruknął Quist, pocierając skroń. - Szczerze mówiąc, czuję się lepiej. Niezły ten lek, medyku.

- Tak mówią. - Tor wyszczerzył zęby. - Przepraszam, że cię zraniłem.

Quist wzruszył ramionami.

- W przeciwnym razie ja zraniłbym ciebie. Bywało gorzej.

- Przeszkadza ci to, że jestem Obdarzonym?

- Nie, ale wygląda na to, że przeszkadza tobie. Podobno w Tallinorze rozwiązano inkwizycję, a jednak nadal się niepokoisz.

- Nigdy nie wiadomo, jak ludzie zareagują. Nie obnoszę się z tym.

- Ja też nie będę tego rozgłaszał - rzekł Quist. Przerzucił nogi przez poręcz koi i stęknął. - Sam chciałbym mieć taki talent - dodał. - Więc jak, Gynt? Jesteś w stanie użyć swojej mocy, by uratować Locky'ego?

- Taki mam zamiar, ale królowa mi na to nie pozwala. Widzisz, ona wie.

- Czyżbyś gadał przez sen? - Quist parsknął śmiechem.

Tor poczuł, że się czerwieni.

- Czy wszyscy już wiedzą?

- Są z ciebie naprawdę dumni. Przynajmniej ja. Sam nigdy nie miałem okazji przepaść się z prawdziwą królową, chociaż w domu czeka na mnie moja księżniczka.

- Ty ją naprawdę kochasz! - wykrzyknął Tor, myśląc głośno.

Quist spojrzał na niego zdziwiony.

- Tak, Gynt, kocham ją. Dlaczego tak trudno ci to zrozumieć?

Tor przestąpił z nogi na nogę, zmieszany faktem, że zaledwie kilka dni temu leżał w ramionach Eryni.

- Nie, to nie to. Ogromnie lubię Erynię i zawsze uważałem, że zasługuje na prawdziwą miłość. No i znalazła ją. Cieszę się za was oboje.

Quist wydał pomruk niezadowolenia.

- Nie będzie mnie zbyt mocno kochała, jeśli powrócę z trupem jej brata.

- Nie. Cóż, będziesz musiał mi zaufać, Quist. Obiecuję ci, że nie pozwolę, aby Locky'emu spadł choć włos z głowy.

- Jesteś zatem naszą jedyną nadzieją, bo chłopak jest pilnie strzeżony. Nie wolno mi nawet z nim porozmawiać. Co zresztą bynajmniej go nie martwi. Kieruje nim żądza zemsty, a

nie jest dość mądry i dojrzały, by wiedzieć, że są inne sposoby wyrównania rachunków.

Tor kiwnął głową.

- Idę teraz na rynek. Czas, żebym się spotkał z tą piękną dziewczyną.

- Wkrótce do ciebie dołączę. Muszę tu jeszcze załatwić kilka spraw. Jutro rano wypływamy. Chętnie zabierzemy cię ze sobą do Caradoon.

- Dziękuję, ale nadal nie odnalazłem swego sokoła.

*

Ruszył z powrotem ku centrum miasta, kierując się w stronę amfiteatru. Było mu lżej na sercu. Zdawał sobie sprawę z tego, że jego moc może z łatwością pokonać zamki Dziewicy, niezależnie od tego, jak bardzo są skomplikowane. Wciąż jednak nie wiedział, jak odnaleźć Cloota. Bez pomocy Sylven, która otworzyłaby przed nim drzwi, trudno mu będzie wytropić ptaka, z którym nie miał już kontaktu. W regionie znajdowały się dziesiątki małych wysepek i Cloot mógł przebywać na każdej z nich.

Tor znów zadał sobie pytanie, dlaczego ptak milczy. Był przekonany, że wyczułby śmierć Cloota. Na łączu panowała kompletna cisza. Czy możliwe, żeby ktoś użył archalitu? Wąski zielony krążek tego magicznego kamienia odgradzał go początkowo od Alyssy, później barierę utrzymywała fizyczna odległość. Jednak nawet archalit zaczął tracić moc w miarę zbliżania się Tora do Alyssy i kiedy medyk dotarł do Caremboche, dziewczyna, choć bardzo słabo, odbierała wysyłane przez niego sygnały.

Teraz, znając już działanie archalitu, łatwo by sobie z nim poradził. Próbował to zrobić z Clootem, ale nie wyczuł żadnej bariery archalitowej, przynajmniej takiej, jaką znał. Przez cały czas trzymał otwarte łącze... na wszelki wypadek. Cloot mógł próbować się z nim skontaktować, a otwarte łącze dawało nadzieję, że nic mu nie umknie.

Niewesoła sytuacja wzbudziła w nim nagłą melancholię. Cloot zniknął, Locky stał w obliczu śmierci, Nyria nie żyła, a on sam właśnie się pokłócił z królową Sylven. Siłą rzeczy jego myśli pobiegły ku największej ze wszystkich strat: Alyssie. Nie zamierzał jednak użalać się nad sobą zamiast tego skupił się na wyczarowaniu pozytywnego nastawienia.

Przypomniał sobie słowa Lys o tym, że jego dzieci są już w drodze. A zatem Yargo je znalazła. Sama myśl o nich natchnęła go radością. Wędrując pięknymi ulicami Cypryji, zaczął snuć wyobrażenia o synu i córce. Wcześniej, od momentu ucieczki Sorrel i dzieci z Serca Lasu, nigdy nie pozwalał sobie na ten luksus.

Pomyślał, że muszą już mieć około pięciu lat. Próbował sobie wyobrazić ich twarze. Gidyon urodził się z ciemnymi włosami, więc mógł być podobny do niego. Lauryn z kolei mogła być blondynką jak matka - o tym jednak trudno było wyrokować, bo urodziła się łysa.

Rozmyślenia o maleńkiej, łysej dziewczynce musiały go przywieść do uśmiechu, bo idąca z przeciwka kobieta odpowiedziała tym samym. Świadomość, że dzieci się zbliżają, wzmocniła jego determinację. Musiał szybko odnaleźć Cloota i wracać do Tallinoru. Przypuszczał, że Sorrel przywiezie dzieci do Serca Lasu, by im zapewnić bezpieczeństwo. Niech diabli wezmą królową Sylven i jej ptaszarnię, Locky'ego Gylbyta i jego zranioną dumę - Tor miał serdecznie dosyć kolejnych kłopotów, które stawały na drodze jego misji.

Zatrzymał się gwałtownie, dotarłszy do głównego rynku miasta. Panował tam ogromny ruch, ale wzrok Tora wbity był w jedno miejsce: stojący na końcu placu amfiteatr z górującą nad tłumem machiną. Dziewica mrugnęła na powitanie rozmytym promieniem zimowego słońca, który przedostał się przez nadciągające chmury i zaśnił na straszliwym ostrzu.

- Witaj, Dziewico - mruknął pod nosem, wpatrując się w nią z trwogą.

Wdrapał się na pięknie wyrzeźbioną kamienną trybunę, by popatrzeć na przygotowania. Pewien człowiek - prawdopodobnie sługa królowej, Lorke - wydawał polecenia grupie żołnierzy. Tor wyciszył otaczające go odgłosy miasta i oczyścił umysł, by móc się przysłuchiwać.

- ...jeszcze dziecko. Dziewica jest żądna krwi. Nie chcę zobaczyć dziecięcej krwi na jej wargach. Nie chcę mieć jej na sumieniu - perorował Lorke do jakiegoś żołnierza.

- To rozkaz królowej - syknął tamten.

- Tak, i dlatego mu się podporządkuję - burknął Lorke, wbijając ostatni drewniany kołek w maszynę Dziewicy.

- Gotowe?

- Będzie gotowe na czwarty dzwon.

- Pokrzywdzony i więzień zostaną tu przyprowadzeni na szósty. Jej wysokość przybędzie na siódmy...

- Wiem, wiem. Robię to od dwudziestu lat, głupcze! A pierwszy Pocałunek nastąpi w chwili ósmego uderzenia. Nie musisz mnie pouczać w kwestii procedury!

- W takim razie przestań smęcić i rób, co do ciebie należy. Muszę się zameldować w pałacu. Nawiasem mówiąc, jeśli podejdziesz do ciebie wysoki cudzoziemiec, przedstawiający się jako Torkyn Gynt, nie daj się wciągnąć w rozmowę. To rozkaz królowej.

„A zatem Sylven zabezpieczyła się” - pomyślał Tor. Nie mógł jej za to winić. Nie powinien był przechwalać się swoim talentem. Siedząc i obserwując przygotowania do Pocałunku Dziewicy, wspomniawszy słowa Merkhuda. Gdy Tor miał zaledwie piętnaście lat, stary medyk przestrzegł go, by nie obnosił się z posiadaną mocą. Jemu jednak wystarczył

zaledwie dzień na złamanie obietnicy. Tor uśmiechnął się ironicznie. Gdy dotarł do Hatten, ciskał magią na prawo i lewo. Najpierw walnął w brzuch pewnego brutala, a potem uratował przykutego za ucho do pala Cloota. Merkhud mógł równie dobrze gadać do ściany i wyglądało na to, że Tor nadal nic sobie nie robi z jego przestróg. Wystarczyło, że królowa lekko go podpuściła, a on już zademonstrował jej swoje sztuczki jak magik z wesołego miasteczka.

Pokręcił głową z politowaniem i podniósł wzrok. Amfiteatr powoli się zapełniał. Przybyło chyba ze sto osób, dołączając do tych, które siedziały tam już przedtem, a od strony głównego rynku wciąż przybywały nowe.

Siedzący w pobliżu karłowaty człowieczek pochwycił wzrok Tora i uśmiechnął się, a jego szara twarz zaślniła, jakby padł na nią promień słońca. „To niesamowite, co uśmiech może zrobić z człowiekiem” - pomyślał Tor.

- Widział pan już kiedyś coś takiego? - zapytał nieznajomy.

Tor kiwnął głową.

- Egzekucję? Tak. Ale Dziewicę widzę dziś po raz pierwszy.

- Hm - odparł niezobowiązująco obcy. - Wkrótce będzie tu straszny tłok. Nieczęsto Cypryzjańczycy mają okazję oglądać Pocałunek Dziewicy.

- Tak słyszałem - rzekł Tor. - Jest pan stąd?

- Nie. Mój lud pochodzi z miejsca tak odległego, że po tych ziemiach wędruje nas tylko garstka.

- Pański lud? To znaczy?

Nim człowieczek zdążył odpowiedzieć, ktoś potrząsnął ramieniem Tora. Obróciwszy się, medyk ujrzał Quista i kilku jego ludzi. Gdy ponownie spojrział ku miejscu, w którym przed chwilą siedział karzeł, okazało się, że ten przesiadł się o kilka rzędów dalej. Tor wzruszył ramionami, by pokazać, że jest mu przykro z powodu przerwanej rozmowy. Mały człowiek z dalekiej krainy znów uśmiechnął się promiennie i odwzajemnił wzruszenie ramion, przyjmując przeprosiny.

- I co teraz? - zapytał Quist.

- Czekamy - odparł Tor, odrywając wzrok od karła. - Zadziałam, gdy uznam, że nadeszła właściwa chwila.

- A wtedy?

- Wtrączę się - rzekł Tor z przebiegłym uśmiechem.

*

Gdy dzwon uderzył po raz szósty, do amfiteatru wtoczył się powóz wiozący

oszołomionego, lecz opanowanego Locky'ego i leżącego z tyłu Haryda. Kiedy Locky wysiadł, publiczność zgotowała mu owację. Wieść o dzielnym młodzieńcu rozniosła się po mieście lotem błyskawicy. Potem strażnicy wyprowadzili z powozu Haryda. Pirat słał się na nogach i mógł się posuwać jedynie zgięty wół. Na jego twarzy malowało się niebotyczne zdumienie. Wspominając potworny pojedynek z Adongiem, Tor zastanawiał się, jakim cudem Haryd w ogóle jest w stanie chodzić.

Jeden z urzędników odczytał skargę i zarządzenie królowej, po czym wypełnił czas, który pozostał do przybycia monarchini, opowiadając pokrótce, jak doszło do tego, że Locky Gylbyt znalazł się tego popołudnia w tym miejscu. Potem nastąpił mrozący krew w żyłach opis Pocałunku Srebrnej Dziewicy.

Tor zauważył, że Haryd jest całkowicie oszołomiony. Locky, na odmianę, nawet nie mrugnął, słuchając krwawej opowieści.

Quist był zdenerwowany.

- On nie może umrzeć, Tor! - Po raz pierwszy od chwili poznania kapitan zwrócił się do medyka po imieniu.

Tor spojrzał na niego.

- Nie umrze.

Rozległo się siódme uderzenie dzwonu i niemal natychmiast w zasięgu wzroku pojawiła się lśniąca karoca Sylven, niesiona przez ośmiu krzepkich mężczyzn. Otaczał ją niewielki oddział gwardii. Królową znów skrywały gęste zasłony, mimo to tłum wybuchł szalonym aplauzem. Potrzeba było kilku minut, by ucichł. Nastąpiły kolejne formalności, odczytano kolejny pergamin, po czym Locky Gylbyt został poprowadzony na spotkanie ze Srebrną Dziewicą.

Tor pozwolił Barwom wezbrać. Właśnie wtedy dowódca straży królewskiej wystąpił i odczytał krótkie oświadczenie, po którym wszyscy zebrani zaczęli kręcić głowami i rozmawiać.

Było to bowiem niecodzienne zdarzenie. Sam Tor ledwie zdołał w to uwierzyć: królowa wezwała go publicznie przed swoje oblicze.

Dopiero teraz zauważył, że otaczają go gwardziści przebrani za cywilów. Sylven nieźle to sobie wykombinowała. Powinien był bardziej uważać. Wyznaczony człowiek uprzejmie poprosił go o podejście do królowej.

Tor nie miał pojęcia, co knuje Sylven. Oczy całego tłumu zwrócone były na niego.

- Tam w dole również będę mógł swobodnie używać magii - szepnął do Quista.

Wstał i ruszył w dół, ku centrum amfiteatru, gdzie królowa miała mu udzielić

audiencji.

Chciał jak najszybciej mieć to z głowy. Uratować Locky'ego i ruszyć na poszukiwanie Cloota.

Uklonił się.

- Wasza wysokość - pozdrowił ją z całym należnym szacunkiem.

W pobliżu nich nie było nikogo innego i choć Sylven mówiła bardzo cicho, Tor bez trudu dosłyszał jej słowa.

- Ostatnia noc była cudowna.

Uśmiechnął się. Nadal miał pochyloną głowę, więc nikt oprócz królowej tego nie dostrzegł. A zatem cały ten teatr był jedynie pretekstem, żeby znów się z nim spotkać.

- Dla mnie również - odparł.

- Dlatego to, co muszę zrobić, jest dla mnie bardzo trudne - kontynuowała.

Nim Tor zdążył zareagować, związano mu z tyłu ręce i włożono coś na głowę. Instynktownie poczuł, że Barwy wewnątrz niego wrą, i uwolnił je.

Nic.

Oniemiał. Zastygł. Jakiś głos - wydawał się bardzo odległy - wyjaśniał właśnie widowni, dlaczego tak potraktowano Tora, on jednak nie mógł się skupić na słowach. Raz jeszcze spróbował uaktywnić Barwy, ale nic się nie wydarzyło.

Po raz pierwszy w życiu Torkyn Gynt został odcięty od swojej mocy. Czuł szalejące Barwy, lecz nie mógł ich wykorzystać.

Z wściekłością obrócił się ku królowej, ale gwardziści rzucili go na kolana.

- Bardzo mi przykro, Tor - usłyszał tylko.

W tym samym czasie Locky'ego Gylbyta przypinano fachowo do serca Dziewicy.

- Ostrze spada co najmniej raz na dziesięć uderzeń - obwieścił Lorke. - Dziewica nie zabiła nikogo od czterech uderzeń i jest już bardzo głodna Pocałunku. Jesteś gotów, Locky Gylbycie?

Trzeba przyznać, że Locky ani na chwilę nie stracił rezonu.

- Jestem gotów, by poczuć smak jej ust, panie, i znam sąd, który o mnie wyda - zawołał głośno.

Cały amfiteatr bił brawo dzielnemu młodzieńcowi.

To było potworne. Torowi stanęła przed oczami podobna scena sprzed niemal pięciu lat, gdy niewinnego człowieka przywiązano do krzyża i kamienowano jego ciało, dopóki nie uszło z niego życie. Tyle że wówczas publiczność płakała. Obecne zgromadzenie, w odróżnieniu od jego własnej egzekucji, otaczała aura igrzysk.

Raz jeszcze uwolnił Barwy, ale wiedział, że nie zda się to na nic. Odciągnięto go od karocy Sylven, więc nie mógł już rozmawiać nawet z nią. Lorke po raz ostatni sprawdzał swoje urządzenie, niewątpliwie modląc się do swoich bogów, by nie okazało litości trzymanemu w szponach chłopcu. Tor zerknął na Quista, którego twarz wyrażała udrękę. Kapitan najwyraźniej był przekonany, że Locky zginie straszną śmiercią.

Tor zaczął testować magiczną „koronę”, którą mu nałożono, ale było już za późno. Nie miał czasu na rozwiązanie tej zagadki.

Kobiety w tłumie pisnęły, gdy Lorke ustawił ciężkie ostrze w pozycji pionowej, a potem puścił.

Ostrze uderzyło w pierwszy rząd zamków. Wszystkie natychmiast się otworzyły, przepuszczając je.

Dziewica pragnęła krwi. Locky Gylbyt musiał umrzeć.

Ostrze pędziło jak błyskawica. Przeszło przez piąty rząd zamków. Potem przez szósty.

I wtedy Tor poczuł wlewającą się w niego wspaniałą, niesamowitą moc. Rozejrzał się wokół i uświadomił sobie, że tylko on jeden ją czuje. Była gęsta i skoncentrowana, jakby z innego świata. Uderzyła w ostrze w momencie, gdy tamto było już na dziewiątym rzędzie zamków. Srebrny metal zamarł, drżąc potwornie. Locky trząsł się w tym samym rytmie.

Wstrząśnięty tłum zamilkł na moment, po czym wybuchł szalonym aplauzem. W powietrzu fruwały kapelusze, unoszono dzieci nad głowy, kobiety wycierały oczy i całowały sąsiadów, mężczyźni wrzeszczeli z radości, że Dziewica oszczędziła chłopca.

Jego zaś nadal otaczała magia. Była cudowna. Tor czuł ją, lecz nie mógł jej odwzajemnić ani nawet dotknąć. Oczy zaszyły mu łzami na myśl, że nie może osiągnąć tej osoby i podziękować jej. To nie Dziewica oszczędziła Locky'ego. Zadziałała potężna magia i Tor rozpaczliwie pragnął się dowiedzieć, kto się za nią kryje.

Zerknął na Quista, tonącego w uściskach marynarzy. Dotychczasowe napięcie ustąpiło miejsca uldze i Tor zaśmiał się w głos, załawionymi oczyma przeszukując tłum w poszukiwaniu karła, z którym wcześniej rozmawiał.

Ten dotknął głowy, potem serca, a na koniec skłonił się Torowi, który uświadomił sobie, że to ten mały człowieczek jest źródłem niezemskiej magii. On tymczasem uniósł w górę dziewięć palców. Po chwili konsternacji Tor pojął wreszcie, że patrzy na Figgisa Jaskiniowca, dziewiątego paladyna.

Teraz już otwarcie płakał - nie tylko dlatego, że Locky został uratowany przez paladyna, ale także dlatego, że niemal wszyscy paladynowie wrócili do świata i gromadzili się dzielnie, by wspomóc go w wielkiej bitwie. Nie wolno mu było zapominać o prawdziwym

celu jego życia. Paladynowie nie zapomnieli. Już ośmiu z nich ujawniło się mężnie. Tylko Juno i Themesius o lwim sercu, który wciąż zapewniał im bezpieczeństwo, jeszcze nie powrócili.

Nikt nie zwrócił uwagi na płaczącego mężczyznę w dziwnej, nabijanej ćwiekami, skórzanej koronie. Nikt z wyjątkiem Sylven, która za zasłoną sama ocierała łzy. Była zdruzgotana słabością tego mężczyzny. Nie dotknęła korony, odkąd otrzymała ją od swojej babki przed ponad dwudziestu laty. Nie bardzo rozumiała jej działanie i nie myślała o niej aż do minionej nocy, kiedy Torkyn Gynt zaszokował ją potężną, zapierającą dech magią. Wtedy przypomniała sobie ostrzeżenie babki i kiedy Tor rzucił jej wyzwanie, natychmiast pobiegła po zaczarowaną koronę.

Królowa Sylven nigdy wcześniej nie uroniła łzy nad mężczyzną. Torkyn Gynt zmieniał jej życie na więcej sposobów, niż wydawałoby się jej możliwe. Odwróciła wzrok od jego klęczącej postaci, by spojrzeć na drugiego więźnia, przywiązanego już do Dziewicy.

Locky chwiejnym krokiem przedarł się przez rozanielony tłum do Quista. Haryd miał mniej szczęścia. Tym razem Dziewica była nieubłagana. Ostrze spadło tak szybko, że co bardziej wrażliwi widzowie nie zdążyli nawet odwrócić głów. Bez oporu przeszło przez wszystkie dziesięć rzędów zamków i Haryd ledwie zdążył wrzasnąć z rozpacz, nim Dziewica złożyła swój śmiertelny Pocałunek. Krzyk zamarł, gdy ciało zostało starannie przecięte na pół, zmieniając się w ciemnoczerwoną masę na deskach amfiteatru.

Srebrna Dziewica nasyciła się - na jakiś czas.

19.

ROZEJM

Dzięki łaskawości królowej Tor mógł spędzić krótką chwilę z Quistem i Lockym. Czasu wystarczyło jedynie na szybkie pożegnanie.

Uściskali się. Quist spojrzał Torowi głęboko w oczy, chcąc w ten sposób wyrazić wdzięczność.

- Bezpiecznej podróży - rzekł Tor.

- Przyjedź jak najszybciej do Caradoon - odparł wciąż podekscytowany i oczarowany Locky.

Kapitan kiwnął głową. Nie powiedział nic więcej, ale zasalutował na pożegnanie. Był to zaszczytny gest w wykonaniu caradońskiego pirata, który rzadko respektował prawa Tallinoru.

Potem gwardziści zaciągnęli Tora do powozu, który musiał dzielić ze szczątkami Haryda, przykrytymi zbyt małym workiem. Tłum szybko się rozproszył, a królowa dawno odjechała do pałacu. Gdy powóz powoli skręcał, Tor zauważył, że Lorke i jego ludzie rozmontowują Dziewicę. Ostrze zostało już oczyszczone i wróciło do skrzyni.

Spędził noc w lochu. Nie traktowano go źle, ale było tam zimno i wilgotno. Ku swemu zdumieniu otrzymał jednak wyborną kolację. Porcja była wprawdzie skąpa i podana na prostym glinianym talerzu, ale poza tym w niczym nie przypominała typowego więziennego jedzenia. Domyślił się, że to prezent od królowej, i jadł z wielkim apetytem.

Potem zasnął na pryczy i spał niespokojnym snem. Śnił mu się Orlac. Tor przyglądał się, jak bóg podnosi się z podłogi, na której siedział, choć nie było wiadomo, gdzie znajduje się ta podłoga. Obraz był niewyraźny, ale miejsce wydawało się przepastne.

Bóg przeciągnął się i przemówił.

- Już czas - powiedział.

Tor wytężył słuch, by usłyszeć więcej, ale jego uwagę odciągnęła kolejna istota. Była zimna i nieprzyjazna. Czuł się, jakby otoczyła go czerwona mgiełka i lodowaty wiatr. Przypomniał sobie o tym, co go spotkało, gdy wracał do Serca Lasu po opuszczeniu ciała Cloota. Wtedy także coś sięgało po niego. Skulił się. Ta istota miała w sobie zło.

Tor - usłyszał głos Lys.

Czym jest to coś, co mnie prześladowuje?

Nie przejmuj się nim. On więcej się do ciebie nie zbliży.

On?

Westchnęła.

Ma na imię Dorgryl. To tylko obserwator, Tor. Przestań już o nim myśleć.

Nic ci nie grozi z jego strony, Lys?

Usłyszał jej łagodny śmiech. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wcześniej się śmiała.

Dorgryl nie może zagrozić żadnemu z nas, Tor.

Widziałem Orlaca. Mówił, że już czas. Co on ma na myśli?

Że Themesius musi stanąć z nim do walki.

Rozumiem. Ile mamy czasu?

Niewiele.

W przeszłości uniki Lys rozwścieczały Tora, ale już się do nich przyzwyczaił.

Muszę odnaleźć Cloota.

Tak - odparła zagadkowo. - Jesteś mu potrzebny.

Wiedział, że prośba o uściślenie będzie bezcelowa.

A dzieci?

Są bezpieczne. Jadą do ciebie. Musisz szybko wrócić do Serca Lasu, Tor.

Wizja się rozmyła, Lys opuściła myśli Tora i medyk obudził się, zeszywniały i w złym humorze, zastanawiając się, co przyniesie mu dzień. Jak mógł uciec z więzienia, mając na głowie coś, co blokowało jego moc? Przez następne godziny uparcie sondował magiczną koronę.

Nim wzeszło słońce, zaczął rozumieć złożone działanie urządzenia. Zastanawiał się, czy - jak archalit - korona przestanie na niego działać, gdy ją zdejmie, powoli bowiem odkrywał jej tajemnicę.

W końcu pojawiło się kilku gwardzistów. Pomogli Torowi wstać.

- Zdejmijcie mu kajdany, ale zwiążcie ręce - polecił dowódca straży. - Rozkaz królowej.

Ludzie, którzy eskortowali go do kolejnego miejsca, kiwnęli głowami.

- Dokąd teraz? - zapytał Tor.

- Do łaźni - odparł któryś lakonicznie.

Przed uroczą kamienną budowlą czekała na nich dwórka królowej, Hela. Dotarcie

pieszo do łaźni zabrało im kilka minut. Tor uświadomił sobie, że jest już stosunkowo daleko od więzienia, na terenach przylegających do pałacu.

- Miło znów cię widzieć, Helu.

- Nawzajem, panie Gynt. - Uśmiechnęła się serdecznie. - Poprowadzę go dalej - rzekła do strażników, a oni odeszli bez słowa.

Wprowadziła go do wnętrza budowli. Znajdował się tam niewielki, wykuty w kamieniu basen. Nad niebieskawą wodą kłębiła się para, a w powietrzu unosił się delikatny aromat.

Tor wciągnął go w nozdrza.

- Pokrzywa, mięta, lawenda i cytrusy. Odświeżająca mieszanka - powiedziała Hela i zaczęła ściągać mu ubranie. Gdy już był nagi, zrzuciła luźną tunikę i weszła do wody razem z nim.

- Jej wysokość pragnie, żeby pan się wykąpał przed audiencją - wyjaśniła.

Przez kolejną godzinę Hela starannie myła ciało Tora. Nie potrafił sobie wyobrazić nic bardziej rozkosznego niż ten rytuał.

Wreszcie, gdy jego skóra stała się ciepła i miękka, dziewczyna wytarła go i położyła na stole, gdzie przez kolejną godzinę masowała, wcierając różne olejki.

Raz jeszcze został opłukany i wysuszony, po czym ogolono go, uczesano i przebrano w czysty strój. Przez cały ten czas Hela nie powiedziała ani słowa i Tor był jej wdzięczny, że może w spokoju rozkoszować się przyjemnymi doznaniem. Potem dwórka ogarnęła się i z wymownym uśmiechem poprosiła, by podążył za nią.

Po przejściu przez liczne sale i korytarze Tor znalazł się na znajomej trasie. Wkrótce wspięli się na wieżę, w której mieściły się prywatne apartamenty królowej. Dwórka wprowadziła Tora do środka i oddaliła się. Wiedział, że znajdzie Sylven na balkonie.

Odwróciła się i popatrzyła na niego przepaszająco.

- Daj, zdejmę ci więzy - rzekła, po czym zaczęła uwalniać mu ręce. - Czy mogę liczyć na to, że nie zrobisz nic niestosownego?

- To znaczy?

- Nie skrzywdzisz mnie.

Tor poczuł się urażony.

- Sylven, dwie noce temu kochaliśmy się. Jak mógłbym cię skrzywdzić?

Wbiła paznokcie w dłonie. Nie mogła sobie pozwolić na to, by ujrzał, jak jej oczy zachodzą mgłą. Gdyby jej babka żyła, wychłostałaby ją za okazanie takiej słabości w obliczu mężczyzny.

Gdy Tor łagodnie objął ją w pasie, rozkosz niemal pozbawiła ją zmysłów.

- Odwróć się, żebym mogła ci odpiąć koronę - powiedziała królowa, przerażona własnymi uczuciami.

Obrócił się posłusznie. Wciąż gniewał się na nią za to, co się stało, ale po wizycie Lys, wizji Orlaca i wieściach na temat dzieci wszystko, co działo się w tej chwili, stało się nagle znacznie mniej ważne. Wiedział, że musi zrobić, co w jego mocy, by jak najszybciej odnaleźć Cloota, i że Sylven jest kluczem do niego. A to, że mu się podobała, tylko dodawało smaku.

- Pewnie jesteś na mnie wściekły, Tor - powiedziała, powoli rozpinając mu koronę.

- Owszem.

- Przebaczysz mi?

- Tak.

- Więc mam u ciebie dług.

Korona opadła i Tor znów połączył się ze swoją mocą. Przywołał Barwy i uwolnił je. Nigdy więcej nie chciał się czuć odcięty.

- Mogę? - zapytał, wyciągając rękę.

Sylven podała mu miękką skórzaną opaskę nabitą matowoczarnymi ćwiekami.

- Co to jest, Sylven?

Odwróciła się w kierunku nakrytego stołu, na którym stały wino, sery, owoce i przyprawy.

- Usiądź ze mną, Tor. Zjedz.

Tor chciał zdobyć tę informację, ale zachował cierpliwość i nałożył sobie jedzenie. Pozwolił sobie nawet na nalanie kieliszka schłodzonego wina.

- Mamy nowego kucharza - powiedziała z ulgą Sylven, zadowolona, że znów siedzi z Torem przy jednym stole.

Tor uśmiechnął się szeroko.

- I pewnie ma na imię Ryk? - zapytał, nagle rozumiejąc, skąd wzięła się wczorajsza wyśmienita kolacja.

- Tak! - wykrzyknęła królowa. - Skąd możesz to wiedzieć?

- Spokojnie, wasza wysokość. To nie magia. Ryk płynął ze mną na pokładzie „Osy”. Dobrze go poznałem i bardzo polubiłem. Pochodzi z rodu słynnych kuchmistrzów z Ildagarth. Kiedy zawieziono nas na targ niewolników, wspomniałem o nim panu Tłuszczykowi. Sądząc po jego reakcji, pałac bardzo potrzebował dobrego kucharza.

- Istotnie - przyznała. - Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek jadła coś lepszego. Te wczorajsze ciastka to jego dzieło, a wieczorem przyszedł i prosił, żebym mu pozwoliła

przygotować dla ciebie kolację. Wydaje się tobą całkowicie oczarowany. Zaczynam się zastanawiać, czy twoja obecność na wszystkich tak działa.

- A na ciebie, Sylven? - zapytał, popijając wino.

Rzadko się zdarzało, by Sylven nie potrafiła wytrzymać czyjś spojrzenia. Zwykle to nie ona odwracała wzrok. Tym razem jednak zrobiła to, niemal onieśmielona. Po prostu nie umiała otwarcie przyznać, jak bardzo się cieszy, widząc go znowu w tym miejscu, uśmiechniętego. Myślami wybiegała już ku nocnym igraszkom w łóżku i związanej z nimi przyjemności.

Zmieniła temat, mając nadzieję, że się nie rumieni.

- Jeszcze raz przepraszam za wczoraj, Tor. Naprawdę mi przykro i chcę, żebyś wiedział, że mówię to ze szczerego serca. Mimo to chyba zgodzisz się, że podjęłam słuszną decyzję. Srebrna Dziewica wydała opinię o Locklynie: oszczędziła go i ukarała Haryda w najbardziej surowy z możliwych sposobów.

Tym razem twardo patrzyła mu w oczy.

- Możemy chyba powiedzieć, że wszystko potoczyło się najlepiej, jak mogło.

Tor nie miał zamiaru jej mówić, że Dziewica nie miała z tym nic wspólnego. Machina była po prostu zabójczą grą hazardową a każde zatrzymanie lśniącego ostrza zmniejszało prawdopodobieństwo przeżycia kolejnej ofiary.

- Tak, Sylven - uspokoił ją - miałś rację. Nie musisz przeproszać. Udowodniłaś mi, że nie musiałem korzystać z magicznej mocy, by uratować życie Locky'emu. Mam nadzieję, że tajemnica mojego talentu pozostanie między nami.

Królową zalała fala ulgi. Do tej pory Sylven nie zdawała sobie sprawy, jak ważna jest dla niej jego akceptacja i zgoda. Może mieli przed sobą jakąś przyszłość?

- Nikomu o tym nie powiem, Tor. Możesz być spokojny.

Uniósł kielich.

- Za przyjaciół i prawdziwą miłość! - rzekł, myśląc o Alyssie.

Królowa Cypryji uśmiechnęła się zmysłowo.

- Za prawdziwą miłość! - powiedziała i wypila.

- Opowiedz mi o tej koronie - zażądał Tor.

Powiedziała mu wszystko, co wiedziała. Słuchał uważnie.

- Wiesz, czym są te czarne kamienie?

- Tak. Babcia nazywała je... yyy, jak to było... - Postukała w stół wypielęgowanymi paznokciami. - Północny archalit! - zawołała, zadowolona ze swojej doskonałej pamięci.

Tor kiwnął głową, nie przerywając jedzenia i nie dając nic po sobie poznać. A więc to

był archalit! A to znaczyło, że potrafił go pokonać. Musiał po prostu więcej się o nim dowiedzieć.

- Jak trafił do twojej rodziny?

- Och, Tor, nie bardzo się tym interesowałam. Nikt nigdy nie sądził, że trzeba go będzie użyć. Sam widzisz, że korona wygląda jak nowa. Przez dwie dekady swego panowania ani razu z niej nie skorzystałam. Nie słyszałam też, by była potrzebna za panowania mojej matki.

Tor widział, że Sylven nie jest zainteresowana tą rozmową, on jednak był zaintrygowany. Chciał się dowiedzieć więcej o tym północnym archalicie. Na razie jednak ukrywał tę fascynację, pozwalając rozmowie zejść na bardziej trywialne tematy. Gdy skończyli jeść i wypili prawie całe wino, królowa poprosiła o kolejną butelkę.

Tor przeciągnął się. Obmyślił już pewien plan.

- Wasza wysokość, twoja gościnność i troska znaczą dla mnie bardzo dużo. Niestety, muszę wyjechać - oznajmił z wdziękiem.

- Wyjechać? - Z hukiem odłożyła kieliszek na stół, bardziej zdziwiona niż zła.

- Tak, wasza miłość - rzekł łagodnie. - Przyjechałem do Caradon z pewną misją. Szukam czegoś. Cel mojej podróży oddalił się w wyniku licznych nieprzewidzianych zdarzeń, wśród nich dnia i nocy spędzonych z piękną kobietą.

Sylven spuściła wzrok.

- Muszę jednak wykonać zadanie, królowo Sylven, i nie mogę już sobie pozwolić na trwonienie czasu.

- Czego poszukujesz, Torkynie?

- Pewnego ptaka, wasza wysokość.

- Ptaka? - Nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

- Sokoła wędrownego. Został przez pomyłkę schwyty i porwany, a następnie, o ile mi wiadomo, przywieziony tu i sprzedany. Muszę go odszukać.

Patrzyła na niego nierozumiejącym wzrokiem. Zagrał *va banque*.

- Może mogłabyś mi pomóc, Sylven?

- Ja?

- Tak. Prowadzisz hodowlę ptaków myśliwskich, prawda? To wspaniały okaz. Może kupili go królewscy hodowcy. Kto wie - rzekł z nadzieją.

Wróciła Hela, niosąc butelkę wina i wrywając Sylven z zamyślenia.

Gdy królowa przemówiła, jej głos znów brzmiał władczo, a uwaga była skupiona.

- Prosisz mnie o pomoc w odnalezieniu tego sokoła?

- Tak.

- Może i mogłabym to zrobić - rzekła, przyjmując kieliszek z jego ręki. - Najlepsze okazy znajdują się w pałacu zimowym w Neame, u stóp wzgórz.

- Czy pozwoliłabyś mi tam pojechać, wasza wysokość? Może napisałabyś jakąś rekomendację?

- Och, mam lepszy pomysł, Torkynie. Pojadę z tobą. O tej porze i tak zwykle zamykamy na kilka tygodni miejski pałac. Lubię spędzić trochę czasu na wzgórzach. Pojedziemy razem i jeśli znajdziemy twojego sokoła w którejś z moich ptaszarni, odzyskasz go.

Tor nie liczył na tak pomyślny obrót spraw. Postanowił wykorzystać swoją przewagę.

- To bardzo miłe z twojej strony, Sylven. Nawet nie potrafię okazać, jak bardzo jestem ci wdzięczny...

- Będziesz to musiał odpracować - przerwała mu ze znajomym diabelskim błyskiem w oku.

Oboje się roześmiali, choć Tor trochę z przymusu. Sylven nigdy by nie zrozumiała, ile znaczy dla niego ta sprawa.

- Zależy mi na czasie, wasza wysokość. Moja rozłąka z Clootem - tak się wabi mój sokół - trwa już zbyt długo. Jeśli nie znajdę go w Neame, będę musiał przeszukać całą Cypryję i okoliczne wyspy.

- Miejmy zatem nadzieję, że jest tak piękny, jak twierdzisz, Tor. Taki ptak nigdy nie uszedłby uwagi moich ludzi i z pewnością znajduje się w Neame. Jeśli chcesz, możemy wyjechać dziś.

Tor nie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

- To wspaniale.

20.

GOTH OBMYŚLA PLAN

W pałacu nagle zawrzało. Goth musiał zasięgnąć języka, by dowiedzieć się, że królowa wraz z dużą częścią inwentarza przenosi się do zimowego pałacu. Jego klitka znajdowała się stosunkowo daleko od wieży jej wysokości, wskutek czego dowiadywał się o wszystkim ostatni. Ta odległość bardzo go denerwowała. Jeśli miał sobie zaskarbić łaskę królowej i mieć wpływ na jej decyzje, musiał być bliżej niej.

Miał niewiarygodne szczęście, że uratowali go Cypryzjańczycy. Tamtego straszego dnia był przekonany, że jego czas się kończy i że pochłonie go rozszalałe morze. Niesiony przez prąd, zobaczył na jednej z plaż jakąś sylwetkę i zamachał do niej. Było zbyt ciemno, by rozpoznać tę osobę, ale gdy po przybyciu do pałacu dowiedział się o innych rozbitkach z „Osy”, uświadomił sobie, że machał do swojego wroga, Torkyna Gynta.

Po raz pierwszy ujrzał Gynta na pokładzie „Osy”, kiedy pirat Czarnoreki szykował się do odrąbania dłoni chłopcu okrętowemu. Od tamtego momentu Goth zachodził w głowę, jak to możliwe, by Gynt żył, skoro on sam na własne oczy oglądał jego śmierć w wyniku ukamienowania przez kata z Tal.

On i setki innych przyglądali się, jak ciężkie kamienie rozłupują głowę Gynta. Z rany wyciekła kałuża krwi i mężczyzna skonał na krzyżu, a jego kochanka, Alyssandra Qyn, musiała na to patrzeć. Goth przypomniał sobie, że pragnął dotknąć zwłok Gynta, by upewnić się, że medyk naprawdę nie żyje, a Xantia sztychła z niego. „Jak ktokolwiek mógłby przeżyć coś takiego?” - pytała. Bez wątplenia było to niemożliwe, a jednak Gynt stał tamtego ranka na pokładzie.

Goth zaczął wierzyć, że Gynt jest nieśmiertelny. Ten człowiek został ukamienowany, a potem znalazł się w oku potwornego sztormu - i wyszedł z tych opresji żywy. Potem jednak inkwizytor uśmiechnął się. Gdy był dzieckiem, pożar próbował odebrać mu życie, lecz on przetrwał, sztorm robił, co mógł, by go uśmiercić - a jednak on też wciąż tu był, żywy i w gościnie u cypryzjańskiej królowej. Wyglądało na to, że obaj z Gyntem posiadają tę cechę. I w życiu obu następowały od czasu do czasu dziwne zwroty.

Gdy Xantia uciekła z Caradoon, Goth nadal chorował w wyniku nadużywania strakki.

Jeden z licznych opłacanych przez Xantię szpiegów, działających w północnych regionach Tallinoru, przesłał wiadomość, że gwardia królewska zapuściła się dalej na północ niż zwykle. Nie było wiadomo, czy wojsko dostało informację o miejscu przebywania Gotha i Xantii, kobieta nie zamierzała jednak ryzykować. Była zdziwiona, że zdołali przetrwać w ukryciu wśród mieszkańców Caradoon przez tyle czasu. Wiedziała, że poszukiwania wkrótce zaczną zataczać szersze kręgi i obejmą także najdalsze zakątki królestwa.

Oslabiony bolesnym pragnieniem strakki i potrzebą bezpieczeństwa Goth błagał Xantię, by zostali razem, ale malujące się na jej twarzy szyderstwo wystarczyło mu za odpowiedź. Wiedział, że nie jest jej już potrzebny, i zastanawiał się, do czego mogła go potrzebować wcześniej. Nie pełnił już funkcji wielkiego inkwizytora, a w dodatku został skazany na śmierć. Nie miał żadnej mocy. Xantia była cwana, z pewnością dowiedziała się tego wszystkiego na długo przed tym, jak pomogła mu w ucieczce, co oznaczało, że ma jakiś plan, w którym jest miejsce i dla niego. Najwyraźniej jednak odegrał już swoją rolę. Gdy tylko kobieta usłyszała, że zbliżają się gwardziści, ostrzegła go przed nimi, powiedziała, że załatwiła mu koję na „Osie”, rzuciła mu ciężką sakiewkę i po prostu znikła.

Przed wyjazdem z Caradoon Goth powłókł się do aptekarza. Wiedział, że nie przeżyje na statku nawet dnia, jeśli nie będzie miał czegoś, co zneutralizuje wpływ strakki na jego organizm. Uzbrojony w zapas arraku dotarł na statek i polecił, by pozostawiono go w spokoju. Wiedział, że przez kilka następnych dni będzie cierpiał katusze w wyniku powolnego słabnięcia działania strakki. Musiał udawać chorego, ale podstęp chyba się udał. Durny chłopak okrętowy niczego się nie domyślił, a kapitan nie miał ochoty siedzieć przy stole z księdzem.

Goth zachichotał piskliwie, obserwując krzątanicę na głównym dziedzińcu. Gdyby tylko wiedział, że Gynt płynie „Osą”, wykorzystałby okazję i otrul go. Później mógłby się pozbyć ciała, wyrzucając je za burtę. Medyk zniknąłby bez śladu.

Wczoraj, podczas egzekucji, z satysfakcją patrzył, jak gwardziści królowej sprowadzają Gynta z widowni do królewskiej karocy. Sądził, że nadszedł czas, w którym Gynt zejdzie z tego świata, ale tak się nie stało. Wyglądało na to, że Sylven jest zainteresowana jedynie poniżeniem go. Zawiązała mu wokół głowy jakąś skórzaną opaskę. To musiało coś znaczyć dla Cypryzjańczyków. Goth postanowił dowiedzieć się więcej na ten temat, jeśli wystarczy mu czasu.

Szybko przeskoczył w pamięci do makabrycznego spektaklu, który odbył się w amfiteatrze. Goth z przyjemnością patrzył na śmierć Haryda, choć wołałby, żeby chłopak też zginął, zwłaszcza że i Gynt, i publiczność byli po jego stronie. Szkoda, że przeżył. Dobry,

mrozący krew w żyłach wrzask dzieciaka zawsze dostarczał Gothowi przyjemności. Trzeba jednak przyznać, że krzyk Haryda, brzmiący niemal jak głos kobiety, także podniecił inkwizytora, który z fascynacją patrzył, jak ostrze spada i przecina ciało pirata na pół, przerywając śmiertelny wrzask. Nigdy dotąd nie widział takiej sceny i żałował, że nie może podejść bliżej, by zobaczyć, jak wnętrzności ofiary wylewają się na zapyloną ziemię. Dołączył do owacji tłumu, żalując w duchu, że nie świętują śmierci Torkyna Gynta.

Miał wielką nadzieję, że królowa Cypryzji da się przekonać, iż przyda jej się pomoc byłego wielkiego inkwizytora. Gdyby miał ją po swojej stronie, mógłby korzystać z jej wpływów i prowadzić życie, jakiego pragnął. Co więcej, stanowisko na dworze cypryzańskim zapewniłoby mu środki do wywołania zamętu w Tallinorze, a może nawet zabicia Torkyna Gynta, gdyby ten popadł w niełaskę u królowej.

Potem wymyśliłby sposób na ponowne wkroczenie w życie Alyssandry Qyn. Nieważne, ile to zajmie czasu, w końcu ujrzy ją ponownie i będzie się rozkoszował przerażeniem malującym się na jej ślicznej buźce. Goth nie bardzo rozumiał swoją fascynację tą kobietą. Była tak krucha, a jednak nie mógł przestać o niej myśleć. Wielkie, badawczo patrzące oczy i delikatne ciało... Wiele lat temu zranił ją, ale nie udało mu się jej złamać. Czas spędzony na paleniu strakki zaowocował odkryciem: Goth zrozumiał, że miał do niej niewłaściwe podejście. Nie należała do kobiet, które można uwieść siłą. Nigdy nie pozwoliłaby sobą rządzić, a już z pewnością nie dałaby się zastraszyć. Prędzej zginęłaby w walce, niż poddała się mu. Wizja Alyssy zmagającej się z nim tak podnieciła Gotha, że karmił się nią dniami i nocami w czasach swej ponurej egzystencji w Caradoon, teraz jednak uznał, że ona także musi umrzeć, i to z jego ręki, bo przecież to ona skazała go na śmierć w sali tronowej Tal.

Przypomniawszy sobie, jak wytropił Gynta i Alyssę w środku Wielkiego Lasu. Przybył akurat na czas, by zobaczyć w płytkim grobie zwłoki nowo narodzonego dziecka. Kopał skrywające je liście i naśmiewał się z jej rozpacz. Czy właśnie wtedy nienawidziła go najbardziej? Tak, zawyrokował. Nawet gwałt nie mógł się równać z matczyną furią. Znów zachichotał. Z radością położył kres jej smutnemu, żaloszemu życiu.

Znajoma postać, wysoka i pełna wdzięku, pojawiła się na dziedzińcu, odrywając uwagę Gotha od mrocznych myśli. Ze zdumieniem patrzył na uśmiechniętego Gynta, gawędzącego z dwórkami królowej, a w szczególności z najbardziej zniechęconą przez inkwizytora, przekłętą Helą. Chyba nie został uwolniony? Po wczorajszych przespiegach Goth wiedział, że Gynt siedzi w lochach królowej w oczekiwaniu na wyrok. Co mogło ją skłonić do zmiany zdania?

Z wściekłością patrzył, jak medyk pomaga królowej wsiąść do karocy, całując jej dłoń, a potem dosiada konia i jedzie obok. Królewski orszak składał się z wielu powozów i zwierząt, dwórek, zapasów, a nawet tego durnego bachora Ryka, którego inkwizytor pamiętał ze statku. Co on, u licha, robił w pałacu?

Było zbyt wiele pytań, na które Goth nie potrafił sobie odpowiedzieć. Po pierwsze, musiał się dowiedzieć, po co Gynt przybył do Cypryji. Dość już było tych domysłów. Jeśli jego plan miał się powieść, musiał być bliżej królowej i uzyskać potrzebne informacje.

Przyglądał się wyruszającym powozom. Nie martwił się, że odjeżdżają bez niego: w ślad za głównym orszakiem miały wyruszyć wozy z prowiantem. Zabierze się z nimi. Na razie jego najważniejszym problemem było to, by nie zostać rozpoznanym.

- Potrzebuję przebrania - mruknął na głos. - Ale jakiego? - zapytał ścian swojej komnaty.

Po raz kolejny spojrział w okno, by popatrzeć na orszak. Gdy odprowadzał wzrokiem ostatnie powozy, jego uwagę przykuła czarna, zawołowana postać, która przemierzała główny dziedziniec, uniósłszy nieco w górę poły szat, by móc się szybciej poruszać.

I wtedy go olśniło.

Sylven nalegała, by ani ona, ani jej osobiste służki nigdy nie pojawiały się poza murami pałacu bez woalek. W dodatku poza obrębem królewskich komnat jej damy zawsze nosiły czarne peleryny.

To była myśl.

21.

SPOTKANIE O ŚWICIE

Goth wiedział, że musi starannie dobrać szaty, by móc się w nich swobodnie poruszać i nie obudzić czujności królowej, a tym bardziej jej pierwszej dwórki, tej wstrętnej dziwki Heli. Nienawidził jej, bo nie bała się go. Jeszcze bardziej rozwścieczała go jej nieznośna arogancja, wynikająca z zażyłości z królową. Poza tym Hela miała bystre oko. „Od razu zauważy obcego” - pomyślał Goth, siedząc na dziedzińcu i udając, że czyta.

W rzeczywistości uważnie przyglądał się personelowi pałacowemu, który kręcił się w tę i z powrotem, kontynuując przygotowania do wyjazdu. Spodziewał się, że ostatnie wozy wyjadą nazajutrz, mniej więcej o tej porze. Już dawno minęło południe, a on wciąż nie znalazł odpowiedniej ofiary.

Nagle obok Gotha pojawił się jeden z dworzan.

- Dobra książka?

Goth omal nie podskoczył. Przyglądał się właśnie wchodzącej do pałacu kobiecie. Była zbyt wysoka... Szaty ciągnęłyby się po podłodze.

- Yyy... Tak, bardzo absorbująca - wydukał.

- Popołudniowe słońce bardzo dobrze panu zrobi po tym przeziębieniu.

Srebrzystowłosa mężczyzna najwyraźniej miał dużo czasu. Zdegustowany inkwizytor zmusił się do uprzejmego uśmiechu.

- Tak, istotnie. Pan nie wyjeżdża z jej wysokością do Neame?

- Nie tym razem - odparł pogodnie dworzanin. - Czuję, że będzie chciała odpocząć od królewskich obowiązków. Instynkt mi podpowiada, że woli zostać sama. - Mrugnął porozumiewawczo. Goth miał ochotę zetrzeć mu z twarzy ten konspiracyjny uśmieszek.

- Sama? - zapytał. - Zauważyłem, że ten cały Gynt cały czas się przy niej kręci.

- Hm, może i tak - odparł dworzanin, kończąc ten temat.

Mrugnięcie było wystarczającym komentarzem.

- Zastanawiałem się, czy pan się tam nie wybiera?

- Nie zaproszono mnie. - Goth nie uważał za stosowne zdradzać się ze swoimi zamiarami. - Myślę, że będę zadowolony, zostając w pałacu, rozkoszując się słońcem pod

nieobecność jej wysokości i lepiej poznając Cypryzję.

- To świetnie - odparł jego rozmówca, w końcu postanawiając ruszyć dalej. - Zatem do zobaczenia na kolacji.

„Bardzo w to wątpię, stary durniu” - pomyślał Goth.

- Będę zachwycony - odparł.

Odprowadzając dworzanina wzrokiem, dostrzegł kobietę, która pochyliła się, by podnieść kosz świeżo przyniesionych owoców. Kosz był duży, ona jednak zarzuciła go sobie na ramię i wyprostowała się. Goth wstrzymał oddech. To jest to! Gdy się obróciła, dokładnie oszacował jej wzrost i posturę. Te szaty będą leżały jak ulał.

Wepchnął książkę do kieszeni i podążył za kobietą. Zrównał się z nią za zakrętem wiodącym do obszernych chłodni pałacowych.

- Dzień dobry - rzekł swobodnie, zwalniając kroku.

- Witam. - Kiwnęła mu głową zza woalki.

- Zastanawiałem się, czy mógłbym skraść pani jedną pomarańczę. Jestem potwornie spragniony. - Rozpaczliwie żałował, że nie jest dość atrakcyjny, by natychmiast przykuć uwagę tej kobiety. Tacy mężczyźni jak Gynt czy poprzedni marszałek, Kyt Cyrus, nawet sobie nie zdawali sprawy, jak wielkim atutem dysponują. Albo po prostu traktowali to jako najzwyczajszą rzecz pod słońcem. Goth poczuł, że twarz mu drga, gdy kobieta zwróciła ku niemu swoje czarne oczy. Milczała.

- Przepraszam - rzekł szarmancko, kłaniając się nawet lekko. - Jestem Almyd Goth, doradca królowej. Niedawno przyjechałem do Cypryzji i prawie nikogo tu nie znam. - Usiłował się uśmiechnąć, wiedząc, że może mu się nie udać, bo jego spalona, zmasakrowana skóra miała tendencję do zmieniania każdej próby w grymas. - Szczerze mówiąc, czuję się tutaj samotny - dodał w nadziei, że żaloszny ton może obudzić w niej współczucie.

Uśmiechnęła się? Nie był pewien, ale niewyraźne oczy, które wpatrywały się w niego bez mrugnięcia, jakby się rozjaśniły. Robił, co w jego mocy, by ją oczarować.

- Ten kosz wygląda na diabelnie ciężki dla dziewczyny. Może pomogę?

Jej łagodny śmiech dodał mu skrzydeł.

- To moje codzienne zajęcie.

- Cóż, ja pochodzę z Tallinoru, a w naszym pałacu nie pozwalamy kobietom dźwigać takich ciężarów.

- Może nie są tak silne jak Cypryzjanki? - Droczyła się z nim, ale postawiła kosz na ziemi. - Proszę się poczęstować.

Goth nie miał ochoty na pomarańczę. Nienawidził ich od czasu pewnego zdarzenia w

Ildagarth, kiedy zamiast Gynta zamordował dziecko, które podało mu pomarańczę. Teraz, schylając się, by wybrać owoc, przypomniał sobie, jak krew dziecka mieszała się na ziemi z pomarańczowym sokiem.

Kobieta wybrała pomarańczę i podała mu. Miała gładką, oliwkową dłoń. Goth wziął owoc i skłonił się, zwracając uwagę na fakt, że rozmówczyni istotnie dorównuje mu wzrostem. Jej szata będzie idealna.

Jego kurtuazja wywołała szybką reakcję.

- Jestem Elma - rzekła kobieta swoim głębokim, niemal ochryplym głosem.

- Dziękuję, Elmo - odparł Goth, podrzucając łagodnie owoc.

- Jesteś pewna, że nie przyda ci się pomoc?

Zaśmiała się łagodnie.

- Dam sobie radę. - Ponownie zarzuciła kosz na ramię. - Być może zobaczymy się na kolacji.

Tego Goth się nie spodziewał.

- Być może - odrzekł, zaskoczony swoim uwodzicielskim tonem.

Wieczorem zamiast zabrać tackę z jedzeniem do swojej komnaty, Goth celowo udał się do wspólnej jadalni personelu, wypatrując Elmy. Nałożył sobie porcję na talerz i zwlekał, rozmawiając z nudnym dworzanim i przez cały czas czujnie wodząc wzrokiem po sali. Elmy nigdzie nie było.

W końcu znalazł wymówkę, by się uwolnić od natręta, i począł rozpytywać o Elmę. Zagadnął tuzin różnych kobiet. Większość nawet jej nie znała, a te, które znały, nie wiedziały, gdzie jest. Sfrustrowany i coraz bardziej wściekły Goth postanowił przeszukać komnaty służących. Wiedział, że niezapowiedziana wizyta może wywołać czyjś gniew, ale nie był w nastroju do uprzejmości. Zostało mu niewiele czasu. Potrzebował szat Elmy i był gotów wkroczyć do jej komnaty i skraść je, jeśli będzie trzeba. Wolalby jednak nie podejmować takiego ryzyka. Jego plan był prostszy, jakkolwiek nieco krwawy.

Wychodząc z sali, poczuł, że ktoś chwyta go za koszulę. Obrócił się z gniewem i zobaczył młodą kobietę.

- Pan Almyd Goth? - zapytała niepewnie, najwyraźniej zafascynowana, a może przerażona jego brzydotą.

- Bo co? - odpyskował.

Na prostodusznej twarzy pojawił się słodki uśmiech.

- Jestem przyjaciółką Elmy. Prosiła, żebym panu powiedziała, jeśli się spotkamy, że ma nadzieję, iż pomarańcza była słodka.

- Gdzie ona jest? - zapytał, może nieco zbyt natarczywie.

Dziewczyna cofnęła się, przestraszona.

- Źle się czuje, proszę pana.

- Ach, tak. - „Chyba trochę przesadziłem - pomyślał. - Muszę się opanować”. -

Przykro mi to słyszeć. Proszę jej przekazać wyrazy ubolewania, że nie będziemy dziś razem ucztować, i nadziei, że rankiem będzie czuła się lepiej.

Dziewczyna kiwnęła głową.

- Przekażę - rzekła z uśmiechem. - Ucieszy się.

Chciała odejść, ale Goth złapał ją za ramię. Wzdrygnęła się.

Była uprzejma, ale nie do tego stopnia, by czerpać przyjemność z dotyku tak potwornie zniekształconego mężczyzny.

- Słucham? - Znów była przerażona.

- Zastanawiałem się... może mogłabyś jej przekazać coś ode mnie? - zapytał z nutką tęsknoty w głosie.

- Oczywiście. - Wyciągnęła rękę.

- Muszę to przygotować. Chodź ze mną... proszę.

Był zdumiony, gdy dziewczyna wykonała polecenie i posłusznie ruszyła za nim do ogrodu, gdzie Goth zerwał jasnożółty pączek róży, a potem do jednej z komnat, gdzie pospiesznie nabazgrał liścik, który następnie jej wręczył.

- Elma będzie wzruszona pańską troską.

Coś go tknęło.

- Umie czytać? - zapytał.

- Nie, proszę pana. Ja też nie - odparła uprzejmie dziewczyna.

Goth omal nie powalił jej na ziemię ze złości. Cały wysiłek na nic. Powstrzymał się jednak i ponownie przywołał na twarz coś, co od biedy mogło uchodzić za uśmiech. Zignorował fakt, że dziewczyna znów się wzdrygnęła.

- W takim razie może przekażesz jej moje słowa wraz z różą?

- Dobrze - powiedziała.

- Dziękuję. Proszę, powiedz Elmie, że będę zaszczycony, jeśli wypije ze mną szklaneczkę słodkiego wina.

Dziewczyna zrobiła wielkie oczy i zachichotała krótko.

- Co w tym śmiesznego? - zapytał Goth.

- Elma zawsze przyciąga odmieńców - powiedziała i dopiero po fakcie uświadomiła sobie swój nietakt.

Goth starannie ukrył urazę.

- Cóż, jestem samotny, a ona była dziś dla mnie bardzo miła. Chciałbym jej za to podziękować i być może zaprzyjaźnić się z nią - rzekł, niemal się krztusząc słodkimi słówkami.

Ona tymczasem przyjęła je za dobrą monetę, uradowana - jak sądził - w imieniu Elmy.

- Kiedy?

- Może jutro z samego rana? Obejrzymy razem wschód słońca.

Dziewczyna nie wyglądała na przekonaną.

- Nie jestem pewna, czy będzie chciała przyjść o tej porze sama, proszę pana.

Tego Goth się nie spodziewał. Rozmyślał intensywnie, modyfikując plan.

- Może zatem przyszlabyś z nią? Wszyscy zostaniemy przyjaciółmi i wspólnie obejrzymy wschód słońca nad Cypryzją.

„Powinienem być zostać poetą” - pomyślał ironicznie.

- Na to chyba się zgodzi - odparła. - Zobaczymy się przy drugim uderzeniu dzwonu.

- Wspaniale - rzekł Goth. - Może przy starej studni... tej po wschodniej stronie pałacu?

Już wcześniej uznał to miejsce za idealne. Studnia była nieczynna i pilnowano jej tylko w dzień, w dodatku niezbyt dokładnie. O świcie z pewnością nikogo tam nie będzie.

- Starajcie się nie zwracać na siebie uwagi - zasugerował. - Niech nikt nas nie zobaczy. To będzie potajemna randka - dodał teatralnie.

Dziewczyna znów się uśmiechnęła.

- By wyjść na zewnątrz, musimy mieć woalki, proszę pana.

Nikt nie będzie wiedział, kim jesteśmy.

To właśnie pragnął usłyszeć.

- A więc do jutra - rzekł i oddalił się.

*

Kobiety przybyły punktualnie, wynurzając się z widmowego półmroku, jaki skrywa świat na krótko przed świtem. Szły pod rękę, ostrożnie i cicho, od czasu do czasu parskając stłumionym śmiechem. „Pewnie kpią sobie ze mnie” - myślał Goth, patrząc, jak się zbliżają. Zabicie obu jednocześnie będzie niemożliwe, uznał.

Siedział ukryty w kępie małych drzewek owocowych, czekając, aż kobiety przejdą. Gdy to się stało, wziął głęboki oddech, po czym wyskoczył i uderzył niższą z kobiet w tył głowy młotem kowalskim, który specjalnie ze sobą przyniósł. Upadła, nie wydając dźwięku.

Elma obróciła się gwałtownie. Była przerażona, ale Goth nie pozostawił jej czasu na krzyk. W mgnieniu oka rzucił się na nią, jedną ręką zatkał usta, a drugą zaczął ją ciągnąć w

stronę studni. Ciężarem ciała przycisnął kobietę do obmurowania i zdarł woalkę, uradowany, że wreszcie zdobył to, czego potrzebuje.

- Jeśli krzykniesz lub wydasz jakikolwiek inny dźwięk, zabiję cię. Zrozumiano?

Kiwnęła głową. Goth wyjął z kieszeni dużą chustkę i mocno zakneblował nią usta Elmy, która przez cały ten czas siedziała jak mysz pod miotłą. Był pod wrażeniem jej opanowania. Gdy w końcu obrócił ją ku sobie, zobaczył, że kobieta bynajmniej nie jest przeciętna: była brzydka jak noc. „Nic dziwnego, że jej koleżanka się śmiała” - pomyślał. Cóż. Jego akurat interesowało coś zgoła innego niż uroda Elmy.

- Muszę cię prosić, żebyś się rozebrała.

Patrzyła na niego pytająco.

- I to szybko - dodał i z ulgą zobaczył, że kobieta sięga za plecy, by rozpiąć szatę. Ledwie zerknął na jej zgrabne ciało.

- Daj mi to.

Posłuchała. Dostrzegł gęsią skórkę na ręce, która podawała mu szatę, i pomyślał, że naga skóra może zmarznąć w ten chłodny poranek.

- Cóż - mruknął do siebie - wkrótce już nie będziesz nic czuć.

Wziął szatę i rzucił na ziemię w ślad za woalką. Oto jego przebranie. Teraz musiał zatrzeć ślady.

Gwałtownie złapał Elmę, obrócił i przechylił przez mur studni. Wiedział, że kamień mocno poharata jej nagie ciało, ale i to nie miało trwać długo. Chwycił ją za związane w elegancki i bardzo dla niego wygodny kucyk włosy i owinął je sobie wokół palców, by utrzymać kobietę w tej pozycji, a drugą ręką wy dobył ukryty nóż.

Elma zaczęła skomleć. Goth nie czuł nic oprócz pogardy.

Przyłożył usta do jej ucha. Skomlenie nasiliło się. Musiał się jej szybko pozbyć.

- Wprawdzie dałem do zrozumienia, że cię nie zabiję, jeśli będziesz posłuszna, ale... Przykro mi, Elmo, jestem wrednym kłamcą.

Po tych słowach z całej siły pociągnął ją za włosy, odrzucając głowę do tyłu, i szybkim ruchem podciął głęboko gardło.

Z rany trysnęła krew. Siła, z jaką ciało pozbywało się życiodajnego płynu, zawsze go fascynowała - i satysfakcjonowała. Cofnął się najdalej, jak się dało, by nie zabrudzić ubrania ani butów, i patrzył, jak życie gwałtownie ucieka z ciała Elmy w głąb szybu studni. Po chwili zwłoki poszły w jego ślady.

Goth nie marnował czasu. Szybko podbiegł do leżącej twarzą do ziemi koleżanki Elmy, która oprzytomniała i zaczęła jęczeć. Sądził, że rozplątał jej czaszkę dostatecznie, by

spowodować śmierć, ale wolał się upewnić. Obrócił kobietę i wbił jej nóż w serce z taką siłą, że natychmiast przestało bić. Potem wrzucił ją do studni, by dołączyła do przyjaciółki. Wiedział, że smród gnijącego ciała wkrótce przyciągnie ciekawskich, ale wtedy on będzie już daleko stąd.

Podniósł szatę, woalkę i zniknął w rozmazanym świetle przedświt. Właśnie rozbrzmiewał drugi dzwon.

22.

FERALNY PUCHAR

Saxon przybył do Cypryji w dwa dni po tym, jak Goth opuścił stolicę, dekując się w wozie wiozącym zapasy. Kloek miał za sobą niezwykle długą i frustrującą podróż, przedsięwziętą w celu wytropienia pirata Quista. Posłuszny naleganiom Hereka, zabrał ze sobą niewielki oddział żołnierzy. Nie bardzo mu to odpowiadało, ale teraz, gdy Herek wiedział, że Goth żyje, robił wszystko, by doprowadzić go przed oblicze sprawiedliwości.

Gdy Saxon i gwardziści królewscy dotarli do straccowej meliny, nikogo już w niej nie było. Kloek spodziewał się tego: mieszkańcy z pewnością dowiedzieli się o nadchodzącym wojsku - nawet tak nielicznym - na długo przed jego dotarciem do wiosek leżących blisko Caradoon.

Gdy wreszcie pozbył się towarzystwa żołnierzy, odsyłając ich, by zawieźli Herekowi wieści, podobnie jak Tor wpadł na pomysł, aby zasięgnąć informacji w burdelu, w odróżnieniu od swego poprzednika nie został jednak miło przyjęty - właścicielka nie chciała się z nim spotkać. Caradończycy byli z natury podejrzliwi, a wieść o Kloeku rozpytujícím o jednego z nich po prostu musiała zasznurować wszystkim usta. Saxon czuł się bezradny. Od porwania Cloota minęło kilka tygodni i zaczynał powoli wątpić w celowość swoich poszukiwań.

Kiedy jego prośba o krótkie spotkanie z właścicielką po raz drugi została odrzucona, musiał mieć rozpacz wypisaną na twarzy, bo pewna młoda, miło uśmiechnięta pracownica zagadnęła go.

- Coś taki smutny, Kloeku? - zapytała, po mistrzowsku balansując opartą o krągłe biodro tacą ze szklankami.

Przyjrzał się jej. Ładna i jędrna, nie ma co. Był wykończony, a poza tym upłynęło mnóstwo czasu, odkąd ostatnio kochał się z kobietą. Kusząca myśl.

- Mowę ci odjęło czy jak? - zakpiła, odstawiając tacę. - W tym miejscu nie wolno się smucić, Kloeku. Masz jakieś imię?

Ja jestem Celya.

- Saxon - powiedział, po czym opróżnił kufel. - Muszę już iść.

Dziewczyna kiwnęła głową.

- Przykro mi, że ona nie chce się z tobą spotkać, Saxonie.

- Nie rozumiem jej. Chcę tylko zapytać o pewnego kapitana, który być może tu bywa.

- Wiem. Najwyraźniej jednak nikt nie zadał sobie trudu powiadomienia cię, że człowiek, którego szukasz, jest mężem madame Erynii.

Saxon był zdumiony.

- No, teraz rozumiem jej niechęć.

- Na górze możesz wziąć kąpiel, ogolić się i wypocząć. - Ponownie podniosła tacę. - O Quiście zapomnij. On i jego żona są właścicielami tego lokalu. Nikt nie udzieli ci żadnych informacji. Kilka tygodni temu był tu jakiś mężczyzna i też nic nie uzyskał.

„Wygląda na to, że jeszcze ktoś poszukuje pirata” - pomyślał Saxon.

- Jaki mężczyzna? - zapytał.

- Petersyn czy jakoś tak. Piękny mężczyzna. Wszystkim dziewczynom na jego widok mocniej zabiły serca. Każda miała nadzieję, że spędzi z nim noc. Wysoki, ciemnowłosy, i te niebieskie oczy! Na światłość! Ileż bym dała, żeby tarzać się w pościeli w jego ramionach. - Uśmiechnęła się szelmowsko. - Niczego się nie dowiedział o Quiście, ale mogę ci powiedzieć jedno, Saxonie: następnego ranka wsiadł na statek płynący do Cypryzji. Wiem to, bo zobaczyłam go na pokładzie „Osy”, zanosząc coś do doków. Dobrej nocy, Kloeku. - Mrugnęła.

Saxon miał ochotę ją ucałować. W okrężny sposób powiedziała mu bowiem, dokąd powinien się udać. Cypryzja! Zastanawiał się, kim był mężczyzna, o którym wspomniała Celya. Prawdopodobnie nie miało to znaczenia dla jego misji. Mimo to uśmiechnął się tęsknie. Opis pasował jak ulał do Torkyna Gynta. Tyle że...

Poszedł prosto do doków, gdzie powiedziano mu, że jest wysoce nieprawdopodobne, by jakiś statek wyruszył w tamtym kierunku przed Nowoliściem. Zbity z tropu, lecz zdeterminowany, zaszedł do portowej tawerny, by zadać wszystkim spotkanym kapitanom to samo pytanie: „Ile kosztowałoby zawiezenie mnie do Cypryzji?”

Za każdym razem pytanie kwitowano śmiechem lub pogardliwą uwagą. Sezon się skończył. Wszyscy zamknęli interesy i doki przez najbliższe miesiące, aż do wiosny, miały stać puste.

Zbliżała się północ, gdy właściciel tawerny zasugerował, by Saxon zagadnął starego, pomarszczonego żeglarsza, który siedział skulony nad kuflem piwa w zadymionym kącie.

- Ten stary dureń Fawks znowu przegrał cały majątek w hari. Postawił wszystko. Może zdecyduje się na jeszcze jedną podróż. Nie ma do stracenia nic z wyjątkiem życia i

starej, skrzypiącej łajby, a żadna z tych rzeczy nie jest w tej chwili dużo warta. Zapytaj go.

Saxon podszedł do Fawksa, napił go trunkiem mocniejszym od piwa i wymógł obietnicę, że wyruszą następnego popołudnia, cokolwiek by się działo. Odmówił zapłacenia choćby duka, dopóki nie znajdą się na morzu, a wtedy obiecał dać niemal wszystko, co ma w sakiewce. Poza tym nie miał nic więcej, ale gra była warta świeczki. Umrze, szukając Cloota, jeśli taki los jest mu pisany. Nie mógł dłużej żyć jako żołnierz. Był paladynem. Miał misję do wypełnienia, a odnalezienie Cloota było jej częścią.

Wyruszyli następnego popołudnia na statku, któremu nawet Saxon - ze swoim pozytywnym nastawieniem - dawał maksymalnie jeden dzień istnienia, a jednak łajba trzymała się dzielnie. Pogoda okazała się dla nich zdumiewająco łaskawa. Z nieliczną załogą, niewielkimi zapasami i ilością słodkiej wody, ledwie wystarczającymi na podróż, skrzypiący statek bezpiecznie zacumował w cypryjańskich dokach.

Saxon podziękował bogom za opiekę i oddał uśmiechniętemu Fawksowi wszystko z wyjątkiem kilku monet, które zostawił sobie na jeden porządny posiłek i nocleg. Idąc wzdłuż doków, był w niewiarygodnie radosnym nastroju, dopóki nie usłyszał, że „Osa” podczas swojej ostatniej podróży zatonała bez śladu. A więc musiał porzucić nadzieję na podążenie śladami obcego, którego w myślach nazywał Gyntem, choć Celya mówiła o nim „Petersyn”. W końcu jednak przeboleł stratę. Trudno. Nie ścigał przecież obcego, tylko Quista. A to nie Quist leżał na dnie oceanu jako pokarm dla rybek.

Zaczął zadawać pytania. Tutejsi ludzie nie byli tak podejrzliwi. Przez Cypryję przewijało się wielu podróżnych z licznych królestw. Obcy byli na porządku dziennym. Za wiadomości nie trzeba było płacić. Saxon ucieszył się na wieść, że Quist często bywa w pewnej gospodzie, i natychmiast się tam udał. Był tak zaaferowany, że prawie nie zauważał uroku otaczającego go miasta.

Zapłacił za nocleg w niewielkiej izdebce i z przyjemnością zjadł smaczny posiłek. Dziewczyna, która mu go podała, powiedziała, że Quist wyruszył już w kierunku stałego lądu. Saxon znów popadł w rozpacz. A więc rozminął się z nim. To koniec.

- Kapitan Quist nigdy nie zostaje na długo. Sprzedaje towar i natychmiast wypływa - rzekła dziewczyna, podając Kloekowi ser, po czym odeszła.

„Sprzedaje towar i wypływa” - powtarzał w myślach Saxon. Quist nie był mu już potrzebny. Mieli rachunki do wyrównania, ale to mogło poczekać. Skoro pirat sprzedał towar, Cloot mógł nadal znajdować się w Cypryji.

- Zaczekaj! - zawołał za dziewczyną. Rzucił jej ostatnią monetę. - Gdzie tu sprzedają drapieżne ptaki?

- Na targu - odparła, chowając monetę do kieszeni fartuszka. - Tam handluje się wszystkim, nawet niewolnikami. Quist na pewno tam sprzedał swój towar.

W wyniku tej ścisłej informacji i dalszego węszenia Saxon doszedł do wniosku, że tak okazały sokół jak Cloot prawie na pewno został zakupiony do królewskiej ptaszarni. Dlatego właśnie Kloek stał teraz na głównym dziedzińcu pałacu królowej Sylven, mając ochotę trzasnąć w gębę jednego z jej najniższych sług.

- Przykro mi, panie Lis, ale główne ptaszarnie nie znajdują się tutaj, lecz w zimowym pałacu w Neame.

Sługa mówił to już po raz drugi i Saxon zaczynał mieć dość wysłuchiwania w kółko tej samej informacji i patrzenia na ten sam uprzejmy, lecz pozbawiony wyrazu uśmiech.

Z trudem zachował spokój.

- Wiem o tym. Już mnie pan o tym poinformował. Proszę mi powiedzieć, czy przyjmujecie teraz jakiś personel.

- Nie, panie Lis. Królowa przebywa obecnie w pałacu zimowym u podnóża wzgórz i aż do Nowoliścia niewiele się tu będzie działo. - Mężczyzna znów się uśmiechnął.

Saxonowi drgnęła twarz.

- A może tam przydałaby się para silnych rąk?

- Cóż, w tej sprawie musiałby pan pomówić z szefem personelu, Jayklonem. Dziękuję za zainteresowanie, panie Lis. A teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, proszę przejść do wejścia dla służby. Gwardzista wskaże panu drogę. Ja mam jeszcze mnóstwo pracy. Życzę miłego dnia.

Saxon warknął coś w kierunku pleców odchodzącego sługi. Zapytawszy o drogę, ruszył ku wejściu dla służby, przy którym czekała kolejka osób, prawdopodobnie szukających pracy w którymś z pałaców. Dotarcie na początek kolejki zabrało Saxonowi większość dnia i zanim przyszła jego kolej, wszelkie nadzieje zdążyły się rozwiać, a jego sercem zawładnęło z wątpienie. Kloek postanowił skłamać.

- A zatem, panie Lis - zmęczony egzaminator przetarł oczy - co pan potrafi?

- Przybywam z Tallinoru.

- Obawiam się, że to mało istotne - odparł nalany człowieczek, którego liczne podbródki sugerowały, że ma już ochotę na porządny obiad.

- Z pałacu w Tallinorze - uściślił Saxon.

- Ach, tak? No dobrze. Brzmi obiecująco. I cóż pan robił w tamtym pałacu? - dopytywał się brzuchacz, wciąż przecierając oczy.

- Byłem głównym treserem sokołów.

- A niech mnie. I cóż pana do nas sprowadza? - Człowieczek był autentycznie zaintrygowany.

- Różne rzeczy. Miałem trochę kłopotów. Ale to już przeszłość. Obecnie szukam pracy w ptaszarniach waszej królowej.

Nie oczekuję, że otrzymam wysokie stanowisko. Jeśli będzie trzeba, mogę czyścić klatki. Proszę jedynie o uczciwą pracę, panie Jayklon, a może pan być pewien, że w zamian otoczę ptaki szczególną troską. W gruncie rzeczy wolę je niż ludzi. I mam ogromne doświadczenie.

- Rozumiem - rzekł Jayklon, prostując się i gryzmołąc coś gorączkowo na pergaminie.
- Owszem, część personelu wyjeżdża jutro do pałacu zimowego. Proszę to dać człowiekowi nazwiskiem Hume, a on zajmie się panem po drugiej stronie. Głodny?

Saxon kiwnął głową.

- Proszę się udać do kuchni i pokazać to.

Jayklon wręczył mu kamyk z jakimś znakiem. Saxon położył go na dłoni, przyglądając mu się beznamiętnie.

- To żeton, panie Lis. Upoważnia kuchnię do wydania panu posiłku jako członkowi straży pałacowej. Będzie pan dostawał dwa dukaty dziennie. Otrzyma pan zakwaterowanie i wyżywienie. Wyjazd jutro z samego rana. Dziękuję. Następny!

*

Tor jechał spokojnie. Nie chciał poganiać Sylven. Gdy jednak zza zakrętu wyłonił się zbudowany z pięknego, jasnoszarego kamienia pałac zimowy, medyka ogarnęło zniecierpliwienie. Czuł, że Cloot znajduje się w tej budowli.

Sylven mówiła coś o okolicznym krajobrazie, ale nie słuchał jej. Rzucił sondę. Stało się to, co niegdyś z Alyssą: poczuł drobne ugięcie w gęstej nicości, którą zwykle znajdował, usiłując dotrzeć do Cloota. Gdy spróbował zrobić to wczoraj, opór wydał mu się lżejszy. Teraz, w Neame, dosłownie u progu ptaszarni, zelżał jeszcze bardziej.

- ...nie sądzisz? - zapytała Sylven.

- Co takiego, wasza wysokość?

- W ogóle nie słuchasz, co do ciebie mówię. Nie przywykłam do tego, Tor. - Uśmiechała się jednak. - Pewnie rozmyślasz o swoim sokole, co?

- Owszem - przyznał.

- Powiesz mi, dlaczego jest dla ciebie taki ważny?

- Nie jestem pewien, czy uwierzyłabyś w to, królowo.

Potrząsnęła głową i spuściła na twarz woalkę.

- Mimo to wysłucham twojej historii, Torkynie. Tymczasem witaj w moim zimowym pałacu. - Orszak zatrzymał się. - Och, uwielbiam to miejsce - powiedziała Sylven, wychylając się przez okno i wdychając chłodne powietrze.

- Rozpalono już w kominkach i Belsyn czeka na nas, wasza wysokość - rzekła wierna dwórka Hela, pomagając królowej wysiąść.

- Dziękuję, Helu. Czy to nie wspaniale znów się tu znaleźć?

U bram pałacu czekał niski, okrągłutki człowieczek o przyjaznej twarzy. Zatarł ręce, po czym nisko, z autentycznym szacunkiem, skłonił się królowej.

- Witamy ponownie, wasza wysokość.

- Belsyn - powiedziała królowa, czekając, aż mężczyzna się wyprostuje. - Miło cię znowu widzieć.

- Wszystko jest przygotowane tak, jak wasza wysokość lubi. Witamy także specjalnego gościa waszej wysokości. - Po tych słowach skłonił się stojącemu za królową Torowi.

- Chodź, Tor - rzekła Sylven. - Chcę ci pokazać mój ulubiony plac zabaw.

W tym momencie rozległ się pisk i do Sylven podbiegła jakaś dziewczynka. Królowa ze śmiechem klasnęła w dłonie, po czym przygarnęła dziecko do piersi.

Odwróciła się do Tora.

- To moja największa miłość. Przedstawiam ci Sarel.

Pokłonił się przyszej królowej Cypryzi.

*

Przez następne kilka dni Tor wykazywał się nadzwyczajną cierpliwością, zabawiając królową i udając szalenie zainteresowanego wszystkim, co mu pokazywała. Gdyby nie silne przecucie, że Cloot jest w Neame, może rzeczywiście dobrze by się bawił. Pałac był prostą, ale uroczą budowlą, otoczoną ogrodami utrzymanymi w stylu typowym dla Sylven. Położony w oszałamiająco pięknej dolinie, z każdej strony osłonięty przed najgorszymi z zimowych żywiołów. Mimo swego rozkojarzenia Tor wiedział, że znajduje się w sielankowym miejscu.

Od ich przybycia minęło kilka dni i Tor nie mógł się doczekać rozpoczęcia poszukiwań. Pewnej niespokojnej nocy stanął w oknie sypialni Sylven, wpatrując się w spowite mrokiem wzgórze. Zerknął na śpiącą spokojnie po szalonej nocy królową. Uczta złożona z niewiarygodnych potraw Ryka, a na deser kilka porcji ciała Tora w końcu ją nasyciły. Uśmiechnął się. Gdyby tylko mógł sobie pozwolić na relaks, mógłby tu z nią spokojnie i szczęśliwie żyć. Wiedział, że jest w nim zakochana. Nie mogła oderwać od niego wzroku. Jej namiętność karmiła się pragnieniem odwzajemnienia przez Tora tej miłości, on

jednak wiedział, że to niemożliwe. Dopóki żyła Alyssa, a i on wciąż oddychał, jego serce należało do niej. Nie mógł przestać jej kochać ani pragnąć. Miłość fizyczna to coś innego. Lubił sprawiać kobietom przyjemność i czerpać ją z obcowania z nimi, ale to jeszcze nie była prawdziwa miłość. Prawdziwą miłość odkrył w dniu Tańca Kwiatów w Minstead Green, a przypomniał ją sobie podczas ponownego spotkania z Alyssą w archiwum biblioteki w Caremboche. W Sercu Lasu, przez okres dziewięciu cudownych cykli księżyca, miłość przepełniała go bez reszty. A na krótko przed śmiercią swego ciała z rąk kata zobaczył tę miłość na nowo, promieniejącą z balkonu, na którym stała ukochana. Żadne z nich nie mogło zaznać innej miłości. Był pewien, że Alyssa nigdy nie pokocha innego mężczyzny.

Spoglądał na zachód, w stronę leśnych ptaszarni, w których - jak podejrzewał - spał Clout.

Postanowił zaproponować Sylven piknik. Wiedział, że pomysł jej się spodoba i że można go będzie połączyć z wyprawą do lasu. Świetny pomysł.

*

Niedaleko okna, przy którym stał Tor, siedział Saxon, przeżuwając pajdę chleba i zimne mięso. Przyjechał do pałacu wieczorem, a następnego ranka miał rozpocząć pracę w ptaszarniach. Nie marnując czasu, udał się prosto do człowieka nazwiskiem Hume. Wiedział, że ptasznik szybko się zorientuje, iż nowy pracownik nie posiada umiejętności, którymi się przechwala. Znalezienie Clouta nie powinno jednak zabrać Kloekowi dużo czasu. Uwolnić sokoła i uciec - tylko o tym potrafił teraz myśleć.

Przyczepił się do Hume'a, opowiadając mu wszystko, co pamiętał na temat czterech królewskich jastrzębi. To prawie to samo co sokoły. Lorys uwielbiał polować z jastrzębiami. Od czasu do czasu zabierał ze sobą Saxona, a ten dużo rozmawiał z treserami. Pamiętał dość informacji, by przebrnąć przez pierwsze spotkanie z zarządcą ptaszarni.

Zapytał Hume'a, czy mógłby zobaczyć ptaki. Zmierzchało już - w zasadzie było prawie ciemno - ale nawet w mroku raczej nie przegapiłby pięknego sokoła wędrownego, gdyby ten się tam znajdował. Poczł ukłucie rozczarowania.

- To już wszystkie? - zapytał tak swobodnie, jak tylko pozwalały mu szalejące emocje.

- Nie. Brakuje dwóch najlepszych okazów. Moi ludzie zabrali je rano, żeby poćwiczyć, zanim królowa zabierze je na polowanie. To nowe nabytki, więc postanowiliśmy dać im powąchać trochę krwi, żeby dobrze latały dla jej wysokości.

Saxon poczuł, jak tygodnie rozczarowania i wielki ciężar rozpaczcy spadają mu z serca. Nowe ptaki. Był pewien, że jednym z nich jest Clout.

- Skąd wzięliście te nowe? - zapytał.

- Och, oba są sokołami wędrownymi... z temperamentem, rozumie pan. - Hume popukał się w nos, a Saxon kiwnął głową, jakby rozumiał gest.

- Jeden zapowiada się nieźle. Drugi jest przepiękny, ale dziwny. Bardzo cichy. Myślę, że po prostu musi się oswoić, chociaż przebywa tu już trochę czasu. Szczerze mówiąc, trzymam go w oddzielnej klatce, bo zachowuje się dość agresywnie w stosunku do pozostałych. Kiedy jest sam, po prostu siedzi bez ruchu. Jeden z chłopaków nazywa go „Truposzem”, bo ptak nie wydaje żadnych dźwięków, a porusza się jedynie, gdy musi. Kompletny dziwak, ale lata, jakby był wybrańcem bogów. Jest szybszy, silniejszy i piękniejszy w powietrzu niż którykolwiek z naszych dotychczasowych ptaków. Dlatego poświęcam mu tyle uwagi. Przez cały czas ma nałożony kaptur. Tylko wtedy jest spokojny. W pierwszych godzinach popełniliśmy błąd, zdejmując mu go, i omal się nie zabił, rzucając się na kraty i drąc pazurami siebie i inne ptaki, tak bardzo chciał się wyrwać. Teraz już się uspokoił. Chyba zapomniał, co to wolność. Przywykł do nowego życia. Królowa go pokocha. Ten ptak poluje z wielkim zaangażowaniem, a ona lubi, gdy jej sokoły są dzikie.

- Naprawdę? - Saxonowi było najzupełniej obojętne, co lubi królowa, ale musiał udawać zainteresowanego. W rzeczywistości obchodził go jedynie podany przez Hume'a opis dziwnego ptaka. Pasował jak ulał do Cloota.

Gdy wrócił do pałacu, było już dawno po obiedzie. Młody chłopak, pełniący obowiązki królewskiego kuchmistrza, zawołał go, najwyraźniej zauważywszy, że Saxon buszuje po kuchni w nadziei znalezienia jakichś resztek. Jak zawsze zadowolony, że może kogoś nakarmić, Ryk z przyjemnością przygotował skromną kolację.

„Chłopak potrafi coś wyczarować nawet z samego chleba i mięsa” - myślał Saxon, siedząc na dworze pod rozgwieżdżonym niebem. Nie wiedząc o tym, skierował wzrok w tym samym kierunku co Torkyn Gynt: na zachód, tam, gdzie mógł się znajdować Cloot.

*

Goth nie wychylił nosa od chwili wczorajszego przyjazdu z ostatnimi wozami i resztą personelu pałacu zimowego. Kręciło się tam tyle osób, że spokojnie mógłby się wymknąć niezauważony. Musiał jedynie trzymać się z dala od królowej i jej najbliższych sług, a nikt nie zadawałby żadnych pytań. Jego twarz i tak była już dość znana w miejskim pałacu, ale wolał nie zwracać na siebie niepotrzebnej uwagi.

Został zakwaterowany w maleńkiej komnacie w wyludnionym skrzydle pałacu zimowego. Mógł się tam ukrywać, czekając na okazję do przywdziania czarnych szat i woalki Elmy. Tu, w pałacu, kobiety chodziły z odsłoniętą twarzą. Aby zrealizować swój plan, musiał zaczekać, aż wyjdą na zewnątrz i nałożą woalki.

- Cierpliwości - mrucał do siebie, postukując palcami w parapet okna wychodzącego na główny dziedziniec, na którym wyładowywano prowiant. Byle nie zwrócić na siebie uwagi. Część personelu mogła go widzieć, ale ważne było, żeby o jego obecności nie dowiedziała się królowa. Fakt, iż nie zaprosiła go tu, świadczył o tym, że mu nie ufała.

Goth wiedział, że królowa go nie lubi, ale przywykł do takiej reakcji ze strony kobiet. Ta jednak była dość inteligentna, by docenić wartość jego osoby. Nie mógł na razie przewidzieć, czy zechce to wykorzystać, ale zainteresowanie informacjami i, co ważniejsze, radami byłego wysokiego urzędnika dworu w Tal dawało nadzieję. Goth doceniał błyskotliwy umysł cypryjskiej królowej. Już podczas pierwszego spotkania, gdy wybłągał audiencję u niej po tym, jak został uratowany przez jej gwardzistów, zauważył, że nie jest głupia. Ona także zapewne właściwie go oceniła. Pozwoliła mu na stały pobyt w pałacu, ale trzymała go na dystans. Podczas kilku spotkań, które odbyli, nigdy nie padła propozycja objęcia przez niego jakiegoś stanowiska, ale królowa wypytywała Gotha o Lorysa i nieżyjącą królową Nyrię. Ostatnim razem zaskoczyła go, pytając o Alyssandrę Qyn.

A teraz sypiała z Torkynem Gyntem. Jej zainteresowanie medykiem jeszcze podsyciło nienawiść, jaką darzył go inkwizytor.

„Ale już niedługo się nim nacieszy” - pomyślał Goth, wyjmując z kieszeni maleńką fiolkę z niewielką ilością blad różowego arraku. Ten płyn miał przeciąć nić życia Torkyna Gynta.

Goth kupił fiolkę u aptekarza w Caradoon w tym samym czasie, kiedy gromadził zapasy płynu na swoją podróż do Cypryjski. Pomarszczony, skurczony staruszek za zniszczoną ladą sprzedał mu ilość przezroczystego arraku wystarczającą do uśmierzenia bólu wywołanego głodem straccowym, po czym uśmiechnął się złowrogo i wyjął spod lady drugą fiolkę. Była maleńka i wygięta, a jej zawartość miała blad różowe zabarwienie.

Aptekarz uniósł ją ku światłu.

- Czysty na zdrowie, różowy na śmierć - powiedział i mrugnął. - Oba są przyrządzone z tej samej jagody, ale niewiele osób zna różowy płyn.

- Trucizna?

- Najpotworniejsza i najszybsza ze wszystkich. Bardzo bolesna, działająca błyskawicznie.

- Biorę - rzekł Goth.

- Uprzedzam, że dużo kosztuje. Za tę niewielką ilość będzie pan musiał zapłacić tysiąc duków.

- Stać mnie - powiedział Goth, dokładając monety do leżącego już na ladzie stosu.

- Proszę się z nią ostrożnie obchodzić. Wystarczy jedna kropla, by zabić człowieka.

Nadszedł czas na sprawdzenie prawdomówności staruszka. Wystarczyła jedna kropla, by Goth na zawsze pozbył się Gynta.

*

Tor wstał kilka godzin wcześniej niż królowa. Spał kiepsko. Zapadł jedynie w niespokojną drzemkę, z której budził się co chwila, niecierpliwie wyczekując świtu. Ubrał się na długo przed jego nadejściem. Gdy Sylven wreszcie zaczęła się wiercić, pochylił się i pocałował ją.

- Pobudka, Sylven.

- Już? Lepiej wracaj do łóżka i kochajmy się - powiedziała sennie, nie bardzo świadoma sensu własnych słów.

- Daj spokój, Sylven. Mam pomysł, jak spędzić dzisiejszy dzień. Spodoba ci się.

Uniosła lekko powieki.

- Już się ubrałeś? - jęknęła.

- Chcesz poznać mój plan? - zapytał wesoło.

Odczrząknęła, przyjmując do wiadomości fakt, że tego ranka Tor nie wróci już do łóżka.

- Mów - rzekła z uprzejmym ziewnięciem.

- Piknik w lesie. Sarel będzie wniebowzięta!

- Brzmi nieźle - mruknęła, z powrotem kładąc głowę na poduszkę. - Jeszcze jest ciemno!

- Przyłączysz się?

W końcu strząsnęła z siebie sen.

- Każę Heli wszystko przygotować.

- Nie. Ja to zrobię. Ty się uszykuj.

Wyszedł, żegnany kolejnym sieknięciem.

*

Saxon i dwaj inni mężczyźni otrzymali zadanie wyczyszczenia klatek. Hume prosił, by się pospieszyli, bo reszta personelu została już rozesłana z większością ptaków.

- Wszystko musi lśnić. Właśnie się dowiedziałem, że jej wysokość wybiera się dziś na piknik i prawie na pewno będzie chciała odwiedzić ptaszarnię. Jutro pewnie pojedzie na polowanie - rzekł przepaszająco.

Saxon nie miał pretensji. To zadanie nie groziło przynajmniej zdemaskowaniem jego niekompetencji.

- A gdzie ten dziki sokół, o którym pan wspominał? - zapytał, jakby szukał pretekstu do rozmowy. - Nie chciałbym, żeby mi coś skoczyło na głowę, gdy będę sprzątał.

- Och, o to niech się pan nie boi. Zawsze nakładamy mu kaptur, żeby się uspokoił. Wczoraj późno wrócił, a dziś znów go zabrali. Rano zademonstrujemy jego umiejętności królowej i jej otoczeniu.

- Mhm - odparł Saxon, tłumiąc jęk zawodu.

Hume mylnie odczytał jego reakcję.

- Och, będzie pan miał okazję się nim zająć. Myśli pan, że zdoła go ujarzmić, co? Proszę najpierw pomóc tym ludziom, a w południe spotkamy się ze mną w tym północnym zagajniku.

- W porządku - odparł Saxon, pocieszając się, że to tylko kilka godzin.

Skończył pracę dużo wcześniej, niż Hume się spodziewał, ale nie chciał być na miejscu, gdy przybędzie królowa ze swoją świtą, więc umył się i zniknął w lesie, by tam przeczekać godzinę, która pozostała mu do spotkania, a zarazem w samotności obmyślić plan uwolnienia Cloota i ucieczki.

Znalazł wygodną kryjówkę w krzakach i przysiadł, by skubnąć trochę sera, który zostawił sobie z wczesnego śniadania. Zamyślił się głęboko, analizując pomysł ucieczki z Neame wraz z Clootem, powrotu do Cypryzji i dostania się na statek. Było to trudne zadanie, biorąc pod uwagę fakt, że nie miał pieniędzy i wkrótce miał stać się zbiegiem. Cloot potrafił latać, ale on sam musiał iść pieszo, zmniejszając swoje szanse. Może uda mu się ukraść w Neame konia i zyskać trochę na czasie?

W jego rozmyślania wdarł się nagle odgłos kroków. Na polankę wkroczył nieznajomy człowiek, odwrócony do Saxona plecami. Kloek od razu zauważył, że obcy dziwnie się zachowuje. Wciąż się rozglądał, jakby sprawdzał, czy nikt go nie śledzi. Saxon nie widział jego twarzy. Dostrzegł jedynie, że nieznajomy nie jest zbyt wysoki, choć ma dość szerokie ramiona. Jego chód i sposób trzymania głowy wydały się obserwatorowi dziwnie znajome, ale żadne nazwisko nie przychodziło mu do głowy i szybko zarzucił tę myśl.

Mężczyzna tymczasem zdjął ciepły kabat z długim rękawem. Dziwne. W Neame było przecież zimno. Saxon uśmiechnął się, obserwując zachowanie obcego, i odłożył napoczęte właśnie jabłko. „Ciekawe - pomyślał - co tu się dzieje?” Nagie ramiona zdradzały, że nieznajomy nie jest młody, choć bystre oko Saxona, wyćwiczone podczas lat pracy w cyrku Zorros, powiedziało mu, że musiały one być kiedyś muskularne. Czuł, że nadal jest w nich dużo siły.

Nagle poczuł się niezręcznie, siedząc tak w krzakach i przypatrując się, jak tamten

wykonuje czynności o niewątpliwie osobistym charakterze. Postanowił wyjść z ukrycia i właśnie się zastanawiał, co powiedzieć, by nie przerazić obcego, gdy ten wyjął z przyniesionego worka czarną odzież.

„To chyba kobiece szaty wraz z woalką - pomyślał zdumiony Saxon. - Co ten facet ma zamiar zrobić z kobiecym strojem?”

Nadal odwrócony do niego plecami, nieznajomy nałożył na własne ubranie czarną szatę i przykrył twarz woalką. Saxon zmienił pozycję, by lepiej widzieć, i spłoszył małe zwierzątko, które rzuciło się do ucieczki. Obcy usłyszał hałas i obrócił się. Saxon wstrzymał oddech. Teraz było już za późno, by się odezwać. Musiał pozostać w ukryciu. Widział jedynie parę małych oczek, wyglądających przez szpary w woalce. Wiedział, że jest dobrze ukryty, a jednak intensywne spojrzenie tych oczu budziło w nim niepokój.

Potem nieznajomy usiadł na polance, najwyraźniej z zamiarem pozostania tam przez jakiś czas. Saxon nie mógł się poruszyć, nie zdradzając swojej obecności. Pozostając w ukryciu, spóźniłby się jednak na spotkanie z pozostałymi sokolnikami. Nie przejmował się Hume'em ani złością, w którą ten na pewno wpadnie, jeśli jego nowy treser nie stawi się w umówionym miejscu, ale rozpaczliwie pragnął się dowiedzieć, czy wśród obecnych tam ptaków znajduje się Clout. Nie mógł jednak w żaden sposób zapobiec dzisiejszemu spóźnieniu. Gdyby się teraz ujawnił, poniósłby poważne konsekwencje. Nie miał pojęcia, kim może być ten facet, ale jeśli miał on jakikolwiek wpływ na królową, Saxon straciłby wszelkie szanse na odnalezienie Cloota.

Pewien, że ma przed sobą długotrwałe oczekiwanie, próbował wykoncypować, dlaczego nieznajomy ukrywa się na leśnej polanie, i to w tak dziwacznym przebraniu. Wyglądało na to, że facet chce uchodzić za jedną z osobistych służących królowej. Co mogło go do tego skłonić, jeśli nie chęć wyrządzenia krzywdy?

Nieświadom obecności Saxona Goth powtarzał sobie w głowie przerażająco prosty plan. Późnym rankiem pragnął dołączyć do królewskiej świty jako jedna ze służących. Wyjął z worka fiolkę z arrakiem i uniósł ją ku słońcu, patrząc, jak promienie oświetlają różową zawartość. Zachichotał cicho i wsunął fiolkę do kieszeni szaty.

Nawet bez znajomości rzeczy Saxon domyślił się, że jedyną rzeczą, jaka może się znajdować w tak maleńkiej fiolce, jest trucizna. Kogo jednak chciał zabić ten osobnik? Pewnie królową. Teraz opuszczenie kryjówki przez Saxona nie wchodziło już w grę. Musiał się dowiedzieć, jakie są zamiary obcego, i, jeśli będzie trzeba, nie dopuścić do ich realizacji. Dokładnie w chwili, w której Kloek sądził, że nie da rady ani przez moment dłużej powstrzymywać drapiącego go w gardle od kilku minut kaszlu, nieznajomy wstał, chwycił

swój worek i ukrył go za drzewem, po czym wyczołgał się z zagajnika i ostrożnie wyszedł z powrotem na otwartą przestrzeń, kierując się ku miejscu, w którym miał się odbyć królewski piknik.

Saxon ruszył za nim. Wiedział, że w ten sposób opóźnia swoje spotkanie z Clotem, ale jeśli pokrzyżowałyby mordercze zapędy tego człowieka i uratowałyby życie królowej, być może ta wysłuchałaby jego prośby i oddała mu sokoła.

Może obaj zdołaliby wyjść z tego żywi.

*

Zarządca ptaszarni, Hume, zaraz po powitaniu zaczął się rozwlekle tłumaczyć z nieobecności nowego pracownika. Tor nie zwracał uwagi na jego gadanie. Na szczycie wzgórza widział dwóch ludzi z trzema sokołami. Dwa były podobnej wielkości, trzeci znacznie większy. To mógł być Clot, ale z tej odległości trudno było to ocenić.

Rzucił sondę. Zwykła pustka ugięła się nieco. Serce zabiło mu mocniej, ale musiał przerwać próbę, bo właśnie podeszli do niego Sylven i zarządca.

- Tor, przedstawiam ci pana Hume'a, zarządcę królewskiej ptaszarni. Zgodził się pokazać ci cały kompleks, żebyś mógł poszukać swojego sokoła. Tymczasem chciałby nam zaprezentować nowe ptaki. Myślisz, że ci się spodobają. Co ty na to?

- Chętnie je obejrzę, wasza wysokość - odparł Tor. - Myślę, że będzie to fascynujące przeżycie.

Zarządca skłonił się ponownie i dał sygnał. Patrzyli, jak pierwszy z ptaków unosi się w powietrze. Po pięknym locie, na dźwięk pojedynczej komendy, powrócił na grubą rękawicę tresera.

Hume spojrzał na królową.

- Wasza wysokość, następny ptak jest naprawdę niezwykły. To wyjątkowy okaz.

Ponownie dał sygnał. Treser zdjął sokołowi kaptur i wyrzucił ptaka w górę. Ten uniósł się, mocno machając skrzydłami.

- O! - powiedziała królowa. - Jaki piękny.

- Cieszę się, że podoba się waszej wysokości - odparł Hume, znów się kłaniając.

Sokół zanurkował i poszybował elegancko. Tor natychmiast rozpoznał znajomy lot Cloota. Ze łzami w oczach przemówił do przyjaciela. *Clot, ty stary łobuzie, w końcu cię znalazłem.* Sokół zachwiał się w powietrzu.

- Ojej, co się stało? - zaniepokoiła się Sylven.

Hume odchrząknął z zażenowaniem.

- Hm... On jest trochę chimeryczny, wasza wysokość. Pracujemy nad nim.

Łącze działało już bez zarzutu. Sokół odbierał sygnały.

Cloot, nie wracaj do tresera. Zostań w górze - rzekł Tor.

Tor? - odezwał się głęboki, łagodny głos, niemal zbyt przestraszony, by pytać.

Tor ruszył biegiem w kierunku sokoła. Słyszał za plecami wołanie królowej, ale obchodził go tylko szybujący po niebie ptak.

- Cloot! - krzyknął na głos, by wszyscy mogli go usłyszeć. - Leć, piękny ptaku, uciekaj!

Treserzy byli wściekli, że jakiś nieznajomy płoszy im sokoła. Hume dogonił Tora.

- Panie Gynt, proszę! Ten sokół jest wystarczająco nerwowy nawet bez pańskich wrzasków.

- Nie jest nerwowy, głupcze. I nie jest twoim sokołem. Jest mój! - warknął Tor, zdumiony niepoohamowaną gwałtownością własnych emocji.

- Tor? - Sylven wyglądała na przestraszoną. - Źle się czujesz?

- Nigdy nie byłem szczęśliwszy, Sylven - odparł, ignorując konwenanse. - To mój sokół. - Uśmiechnął się od ucha do ucha.

Treserzy wołali Cloota, ale ten wznosił się coraz wyżej w niebo.

- Nie wraca, panie Hume. W ogóle nie reaguje.

- To straszne. Ten ptak kosztował nas fortunę - powiedział Hume, patrząc na Tora spode łba, ale nie ośmielając się powiedzieć nic więcej. Bądź co bądź, miał do czynienia z gościem królowej.

- Już go nie złapiecie - oznajmił triumfalnie Tor, chwytając dyndający w ręku tresera kaptur. - Tym go uciszaliście?

Treser kiwnął głową w oszołomieniu. Skórzany kaptur nabity był ćwiekami z tego samego północnego archalitu, który nie pozwolił Torowi wykorzystać magii do uratowania Locky'ego przed Pocałunkiem Srebrnej Dziewicy.

- Mogę to wziąć? - zapytał królową i nie czekając na odpowiedź, schował kaptur do kieszeni. - A teraz udowodnię, że to mój sokół. Hej, wy tam - przywołajcie go!

Treserzy wołali i wołali, ale Cloot krążył coraz wyżej. Gdy pokręcili głowami, przyznając się do porażki, do akcji wkroczył Tor.

- Patrzcie - rzekł.

Ponownie uruchomił łącze i bez trudu połączył się z Clootem.

Statek, którym tu płynąłem, rozbił się i omal nie utonąłem, potem pojmano mnie jako niewolnika, a teraz muszę się bawić w kochanka królowej... Wszystko po to, by cię odnaleźć.

Zaległa długotrwała cisza. Tor zastanawiał się, czy Cloot mógł się zmienić, zatracić

zdolność mówienia. Ale nie. W końcu się odezwał.

Ja też się świetnie bawiłem.

Tor parsknął śmiechem, zaskakując otaczających go ludzi, którzy widzieli jedynie, że medyk stoi i wpatruje się w ptaka, nie próbując go wołać ani dawać znaków.

Cloot, pokaż im, że należymy do siebie. Muszę tego dowieść. Podleć teraz do mnie.

Otoczające go głosy stawały się coraz głośniejsze, ale Tor obrócił się i przyłożył palec do ust, by je uciszyć. Zamilkły. Spojrzawszy w górę, zebrani patrzyli, jak wspaniały sokół zawraca w miejscu w pozornie niemożliwy sposób, po czym spada z nieba jak kamień.

- Nie wyjdzie z tego - rzekł jeden z treserów.

- To najbardziej zdumiewający ptak, jakiego w życiu widziałem - odparł z niebotycznym podziwem Hume.

Cloot pędził ku nim w szalonym tempie.

- Proszę się cofnąć, wasza wysokość - ostrzegł królową Tor. Wszyscy inni także posłuchali tej rady.

W ciągu kilku sekund sokół zwolnił gwałtownie, obrócił się i wystawił jaskrawożółte szpony. Tor nie potrzebował ochrony. Cloot wylądował lekko na jego wyciągniętym przedramieniu. Modlitwy zostały wysłuchane. Zatrzepotawszy skrzydłami, ptak obrócił się i popatrzył na tresera. Tor ponownie parsknął śmiechem na widok oskarżycielskiego spojrzenia tych żółtych, przeszywających oczu.

Dzięki, że wreszcie się pojawiłeś.

- Tor był zachwycony, słysząc w głosie Cloota znajomy sarkazm.

Ucałował bok ostrego dzioba i usłyszał za plecami odgłosy obrzydzenia.

Już nigdy się nie rozstaniemy, przyjacielu.

Nie rzucaj szalonych obietnic, Torkynie Gyncie - zachnął się Cloot, po czym nastroszył pióra i spojrzał złowrogo na nadchodzącą królową.

Kocham cię, Cloot - rzekł Tor.

Zamknął łącze i uśmiechnął się spokojnie do Sylven, która stała z dłonią opartą o biodro.

- No, no, no. Mam rozumieć, że muszę ci oddać tego cennego sokoła?

- Jest mój, wasza wysokość. Obiecałaś.

- Obiecałam, Tor. Jest twój.

- A on? - zapytał Tor, wskazując Hume'a.

- Zrobi, co mu każę - odparła.

Oddaliła treserów. Byli wyraźnie rozczarowani. Hume wyglądał, jakby miał ochotę

kogoś ukatrupić.

Tor zaskoczył królową, przyklękając na jedno kolano i pochylając głowę.

- Dziękuję za twoją wspaniałomyślność, królowo Sylven. Nigdy się nie dowiesz, ile Clout dla mnie znaczy ani jak ważne było dla mnie jego odzyskanie.

W jego głosie pobrzmiwała taka czułość i wrażliwość, że królowa miała ochotę wyciągnąć rękę i pogłaskać gęste, czarne włosy. Oto klęczał przed nią mały chłopiec, przed chwilą pewny siebie arogant, teraz pełen pokory. Uwielbiała tę jego złożoną osobowość i miała ochotę pogratulować sobie, że związała się z kimś takim. Zarazem jednak czuła się bardzo samotna. Czuła, że euforia płynąca ze znalezienia bratniej duszy nie będzie trwała długo.

Zamiast powiedzieć to wszystko, co kołatało jej się w głowie, dotknęła jego ramienia.

- Chodź, Tor. Urządźmy piknik, który mi obiecałeś.

Podniósł głowę, a jej serce zamarło na chwilę na widok tych żywych, niebieskich oczu. Mogłaby przysiąc, że takiego koloru nie widziała jeszcze u nikogo, i że nigdy już nie zobaczy. Torkyn Gynt dorównywał urodą bogom, których przedstawiano na malowidłach ściennych w jej pałacach. A jednak istniał. Jej własny, prywatny bóg. Pozwoliła mu wziąć się pod ramię i poprowadzić ku miejscu wybranemu na piknik.

Clout pofrunął w kierunku drzew. Miał dużo do opowiedzenia, ale to mogło poczekać. Tor najwyraźniej znalazł się w niewygodnym położeniu.

Sylven nie mogła się powstrzymać od zadania nurtującego ją pytania.

- Czy to znaczy, że teraz mnie opuścisz?

Zaskoczony jej bezpośredniością Tor stanął jak wryty. Popatrzył na nią badawczo.

- Muszę.

- Odzyskałeś sokoła. Dlaczego nie mielibyśmy pobyć jeszcze trochę razem? - Królowa była na siebie wściekła za ten błagalny ton.

- Bo znalazłem to, po co tu przybyłem. Muszę wracać.

- Do niej? - wyrwało jej się. Nienawidziła zazdrości, która złapała ją za gardło. Była królową. Mogła go zmusić do pozostania. Gdyby zechciała, mogła kazać go zakuć w kajdany i uwięzić.

Co się z nią działo? Zachowywała się jak dwunastoletnie dziecko.

- Do Alyssy? - zapytał, po czym pokręcił głową. - Nie, Sylven - rzekł łagodnie. - Nie do Alyssy. Nie wolno mi z nią być. Wiesz o tym.

Nie mógł uwierzyć, że królowa płacze. Królewska świta czekała na nich w miejscu piknikowym, ale to była delikatna sprawa. Tor poprowadził Sylven za szerokie drzewo, po

czym wziął ją w ramiona i przytulił. Przy całym swoim opanowaniu i sile, przy całej władzy nad potężnym narodem królowa płakała z tęsknoty za miłością mężczyzny - jedyną rzeczą, której, według swoich wcześniejszych zapewnień, nie potrzebowała. Miała harem pełen mężczyzn czekających na to, by dać jej przyjemność. Mogła ich wykorzystywać do woli, a potem odtrącać, co zresztą zapewne czyniła.

- Sylven, proszę, uspokój się. Tak nie można. Wiesz, że muszę jechać. Tłumaczyłem ci...

- Nic mi nie tłumaczyłeś! - sarknęła, wrywając się gwałtownie z jego objęć. - Gadasz o jakimś przeznaczeniu, ale to dla mnie puste słowa. Nic z tego nie rozumiem, bo nic mi nie powiedziałeś. Wkraczasz w moje życie, śpisz ze mną, kradniesz mi serce, a potem myślisz, że możesz tak po prostu odejść.

Tor patrzył na nią nic nie rozumiejąc. Analizował w głowie to, co przed chwilą usłyszał, i nie zdołał się powstrzymać od powtórzenia na głos: „Kradniesz mi serce?” Powiedział to bardzo cicho, ale usłyszała. Odepchnęła go i odwróciła się, nadal zapłakana.

- Co mogę zrobić, aby było ci łatwiej? - zapytał niemal szeptem.

- Dlaczego?

- Dlaczego co, wasza wysokość?

- Dlaczego nie możesz mnie pokochać? Być ze mną? - Teraz trzęsła się ze złości.

Tor okazał jej szacunek, mówiąc prawdę.

- Bo cię nie kocham, Sylven. Kocham inną. Dopóki ona żyje, moje serce należy tylko do niej.

- W takim razie każę ją zabić - powiedziała królowa z urazą, która zatriumfowała nad miłością.

- W ten sposób nie zdobędziesz mojego serca. Nigdy go nie zdobędziesz. Alyssa i ja jesteśmy sobie przeznaczeni. Nigdy nie ożenię się z inną. A ona nigdy nie wyjdzie za innego ani nie nazwie go swoim mężczyzną.

Wiedząc, że nigdy więcej jej nie spotka, próbował wierzyć, że mogłaby na nowo ułożyć sobie życie. A jednak teraz, myśląc o powrocie dzieci i o tym, że Cloot jest bezpieczny, w głębi serca wiedział, że pragnie, aby nigdy nie znalazła nikogo innego. Chciał, by odczuwała ten sam ból, który on odczuwał z powodu rozłąki z nią. Bo tylko poprzez ból mógł zachować żywe wspomnienie jej miłości. A zatem i ona, cierpiąc, zachowałaby jego wspomnienie, nawet jeśli sądziła, że nie żyje.

- Naprawdę? - zapytała królowa. - Nigdy nie będzie miała innego? Może powinienesz to przeczytać, Tor. - Wyjęła z głębokiej kieszeni zwój pergaminu. - Dostałam to dopiero dziś

rano. Przyszło z miejskiego pałacu wraz z powozami, które dotarły wczoraj wieczorem. Obawiam się jednak, że napisano to kilka tygodni temu. Ceremonia już się odbyła.

Podawała mu zwój z wojowniczym, a może także triumfalnym spojrzeniem.

Chwycił pergamin. Sytuacja stała się nagle niebezpieczna.

Żałował, że po prostu nie zabrał królowej na piknik i nie okłamał. Mógł powiedzieć, że ją kocha i że zostanie. Potem zabrałby Cloota i uciekł.

- Czytaj - rozkazała.

Przeczytał.

„Jego wysokość król Lorys z Tallinoru ogłasza swoje zaślubiny z Alyssandrą Qyn z Mallee Marsh. Prywatna ceremonia odbędzie się w kaplicy królewskiej w Tal. Król żywi nadzieję, że jej wysokość królowa Cypryzji przyłączy się do ludu Tallinoru w...”

Tor nie był w stanie dalej czytać. Na pergaminie widniała data sprzed miesiąca. Alyssa była już żoną człowieka, który skazał go na śmierć. Była królową Tallinoru.

Brakło mu tchu. Zmiał pergamin w dłoni, po czym padł na kolana, nie potrafiąc już powstrzymać emocji, i zaniósł się jękiem.

Sylven była wstrząśnięta. Mimo swej wściekłości i przerażenia tym, że go traci, uklękła przy nim i przytuliła go, podczas gdy on powtarzał w kółko imię Alyssy.

Nad ich głowami pojawił się Clout. Łącze otworzyło się i Tor usłyszał swego paladyna. Jego głos nie był już łagodny, lecz rozkazujący.

Tor!

Odeszła, Clout, Alyssa odeszła - jęknął Tor.

Odeszła? Chcesz powiedzieć, że umarła?

Równie dobrze mogłaby umrzeć. Poślubiła króla.

Na chwilę zaległa cisza, po czym w jego głowie ponownie zabrzmiał silny, przekonujący głos Cloota.

Wstawaj! Zapomniałeś, kim jesteś? Zapomniałeś, że jesteś Wybrańcem? Od ciebie zależy los całego świata. Tysiące niewinnych, choć jeszcze o tym nie wiedzą, zawierzyły ci swoje życie! Wstawaj!

Tor podniósł się niechętnie i odetchnął głęboko.

Sylven także wstała, nadal trzymając go za przedramię i żalując, że nie może cofnąć wszystkiego, co powiedziała. Jego zboląta twarz i drżące ciało były dla niej nie do zniesienia. Kochała go. Był ojcem dziecka, które teraz w niej rosło - siostry Sarel, drugiej królowej Cypryzji. Sylven pragnęła, by Tor został jej regentem. Jakąż byłiby wyborną, olśniewającą parą, gdyby tylko potrafiła go skłonić do zapomnienia o tej wieśniaczkę z Tallinoru! Nie,

poprawiła się: o tej królowej z Tallinoru.

Zastosowała niewłaściwą strategię. Gniew poprowadził ją niebezpieczną drogą. Teraz musiała naprawić szkody, przeciągnąć go z powrotem na swoją stronę i łagodnie przekonać, że Alyssandra Qyn jest już przeszłością.

No i... - odezwał się stanowczo Clout.

Tor wyprostował się.

Co, Clout?

Nie zapominaj, że Alyssa jest nadal twoją żoną. Nic nie może tego zmienić.

To było jak promień słońca, który przedarł się przez gęste chmury i zaświecił mu prosto w serce. Clout miał rację. Alyssa nadal była żoną Tora.

Nie zapomnę.

To dobrze - powiedział ptak i zamachał skrzydłami. - *A teraz weź udział w tym pikniku i zachowuj się jakby nigdy nic. Musimy uciec tej nocy. Czuję, że nasz czas się zbliża. Bądź silny.* - Po tych słowach sokół odleciał.

Tor spojrzał na Sylven. Na jej twarzy malowała się ogromna skrucha, ale nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, zasłonił jej usta dłonią.

- Nie, czekaj! Cieszę się, że dostałem tę wiadomość. Dziękuję, Sylven. Zdaje się, że mieliśmy iść na jakiś piknik?

„No proszę, już się opanował?” - pomyślała. Ten człowiek stanowił dla niej zagadkę. Przed chwilą na kolanach, wstrząśnięty, teraz znów opanowany i silny, jakby przywołał go do porządku jakiś tajemniczy strażnik. Sylven potrząsnęła głową. Później o tym porozmawiają.

- Królowo? - rzekł Tor, szarmancko podając jej ramię i zaciskając zęby, by powstrzymać przelewającą się przez niego falę emocji.

Trzymając się pod rękę, ruszyli ku miejscu, w którym Hela i reszta służby nakryli do przygotowanej przez Ryka wykwintnej uczty. Czekala tam na nich Sarel.

Zrezygnowali ze stołów i krzeseł, wybierając wygodne poduszki i dywanik, a królowa odesłała większość personelu.

Tor, już dość opanowany, zamknął wspomnienie Alyssy w bezpiecznym miejscu swego serca, tak jak to czynił przez ostatnie lata. Wydobędzie je, gdy będzie gotów do konfrontacji. Po kilku minutach od sięgnięcia po pierwszy pucharek schłodzonego cypryjańskiego wina królowa rozgadała się, a nawet zarumieniła. Było tak przyjemnie, że niemal zdołała zapomnieć o okropnej scenie sprzed kilku minut.

Tor dbał o to, by rozmowa nie zeszła na drażliwy temat.

- Dlaczego ten Hume tak zrzędził, gdy przyszliśmy?

Królowa owinęła wokół figi cieniuteńki plaster mięsa i zaczęła ją żuć.

- Rzeczywiście był marudny. Dziwny nastrój, jak na spotkanie z królową prawda? Zatrudnił nowego człowieka, który dziś rano miał rozpocząć pracę, i był wściekły, że ten nie pojawił się na wielkim pokazie bezcennego nowego sokoła, którego musieliśmy oddać cudzoziemcowi.

Tor uniósł kielich i uśmiechnął się szeroko. Tymczasem podeszła jakaś kobieta, by napełnić jego puchar. Była zawaolowana jak królowa i miała na sobie pełną czarną szatę dwórki. Podziękował i na moment popatrzył w jej małe, przenikliwe oczy, które także wpatrywały się w niego intensywnie. Malowała się w nich taka groźba, że przez moment nie słyszał słów królowej.

- ...no, ale Kloekom nie należy wierzyć, prawda? - dokończyła i wyciągnęła kielich w stronę służącej.

Tor nadstawił uszu.

- Kloekom? Czyżby docierali tak daleko na północ?

Służąca cofnęła się i stanęła cicho w przepisowej odległości od królowej i jej gościa. Sylven pociągnęła łyk.

- Och, przez Cypryzję przewija się mnóstwo ludzi różnych ras. Ale masz rację, Kloekowie bywają tu rzadko - przyznała. - Podobno to ekspert od ptaków myśliwskich, który niedawno przybył z Tallinoru. Jest tu dopiero od wczorajszego wieczoru i bardzo chciał zobaczyć tego wielkiego sokoła... o którym już teraz wiemy, że jest twój - dodała wymownie.

- Trudno się więc dziwić, że Hume był wściekły, gdy facet nie pojawił się na porannym pokazie.

- Jakiś Kloek interesował się moim sokołem?

- No, przecież nie mógł wiedzieć, że jest twój, Tor. A co, znasz jakiś Kloeków?

Tor zaczął żuć plasterki wybornego zimnego pasztecika z dziczyzny.

- Jeśli chcesz wiedzieć, znam jednego. Nazywa się Saxon Lis. Zakochałabyś się w nim od pierwszego wejrzenia, wasza wysokość. Dorównuje ci wzrostem, ma złote włosy i twarz wojownika, pierś szeroką jak wół i także serce. Kiedyś był słynnym artystą trapezowym.

Sylven cmoknęła z uznaniem.

- Daj spokój, doktorze Gynt - mruknęła, lustrując go wzrokiem zza woalki. Zaśmiali się oboje. Sylven powoli odzyskiwała humor. Może jednak uda jej się zdobyć jego serce?

Ukryta za woalką twarz Gotha ziała nienawiścią. Inkwizytor żałował, że nie może po prostu wziąć któregoś z ostrych noży, które ten dumny kucharz przysłał wraz z posiłkiem, i zatopić go w sercu Gynta.

Wiedział, że musi się opanować. Oto miał przed sobą wroga, pijącego i trajkoczącego z królową Cypryzji, która zachowywała się jak suka w rui. „No, kochana królowo, dzisiaj wieczorem nie zabawisz się w sypialni - pomyślał, dotykając ukrytej głęboko w kieszeni fiolki. - W tym czasie twój kochanek będzie zimnym trupem”.

Maleńkie, bystre oczka Gotha patrzyły, jak Gynt popija z pucharka. Spiskowiec wiedział, że musi wybrać właściwy moment, by podać mu zatrute wino. Oboje musieli być już w dość wesołych nastrojach, by kielichy trafiły do ich rąk niemal niezauważone.

Oddalając się od pozostałych służących, Goth schował się za jednym z wozów, którymi zwieziono zapasy na dzisiejszą ucztę.

Wyjął z niego butelkę wybornego słodkiego wina, produkowanego tylko w tym regionie z małego, rzadkiego winogrona. Niewyobrażalnie drogi alkohol uważany był przez Cypryzjańczyków za nektar bogów. Królowa i jej gość na pewno nie zdołają mu się oprzeć. Goth wyjął także dwa wąskie kieliszki, misternie wykonane z delikatnego szkła, z naniesionym osobistym herbem królowej. Znamienne było, że Gynt miał umrzeć, dotykając ustami tego herbu.

Goth sięgnął do kieszeni po maleńką, zakrzywioną fiolkę i złamał pieczęć. Rozejrzał się ukradkiem, ale nikt nie patrzył w jego stronę... a przynajmniej tak mu się zdawało.

*

Za drugim wozem z zapasami przyczaił się Saxon.

Wydał policzki. Ten facet miał wyraźnie złe zamiary. Musiał działać. Saxon patrzył, jak królowa i jej gość śmieją się, półleżąc na poduszkach. Mężczyzna wyglądał znajomo, ale siedział odwrócony plecami do Saxona, któremu widok przesłaniał dodatkowo wóz skrywający Gotha. Kloek słyszał o tym, że królowa uwielbia mężczyzn. Obecny gość musiał być jej nowym kochankiem.

Przysunął się bliżej, patrząc, jak uzurpator starannie układa na tacce kieliszki ze świeżo nalany winem. Teraz wcale nie widział gościa królowej, jedynie ją samą. Goth wlał do jednego z kieliszków kilka kropel trucizny; Saxon dokładnie zapamiętał do którego. Już się szykował, by podbiec do przebierańca i zapobiec zbrodni, gdy ten, ku jego zdumieniu, powrócił do biesiadujących, prawdopodobnie chcąc zapytać królową, czy może podać wino.

Saxon wiedział, że musi działać, więc ruszył biegiem w stronę tacki.

*

Goth był wściekły, że musi pozostawić kielich z trucizną bez nadzoru. Podczas podawania wina obowiązywał jednak ścisły protokół, który inkwizytor wielokrotnie obserwował w cypryzjańskim pałacu. Nie mógł ryzykować, że jego pośpiech wszystko

zepsuje.

Dał znak głównej służącej, że chce podejść do królowej. Kiwnęła głową.

Goth pokłonił się nisko, nim przemówił do Sylven, po czym rzekł zmienionym głosem:

- Jeśli wasza wysokość pozwoli, chciałabym podać do słodkiego dania wasz ulubiony tolik.

- Tak, proszę, droga...?

- Sacho - odpowiedział Goth, nie mogąc się powstrzymać od zerknięcia na Tora.

Uświadomił sobie, że ten bacznie mu się przygląda. Czyżby go rozpoznał? Nie, uznał Goth, rzucając na Gynta kolejne ukradkowe spojrzenie. Przeklął wroga w myślach i zwrócił twarz z powrotem ku królowej.

- Sacho, gdzie jest Elma, która zwykle mnie obsługuje?

- Wasza wysokość, Elma przygotowała mnie do pełnienia tego zadania. Sama szuka w tej chwili wykwintnego mytalu na dzisiejszy wieczór. Wie, że to ulubiony napój waszej wysokości - odparł słodko Goth.

Królowa ledwie zwróciła uwagę na wyjaśnienia Gotha, ale Tor słuchał jej uważnie.

- Wiesz, w tej kobiecie jest coś dziwnego - rzekł.

- Nie znam jej, musi być nowa - odrzekła z roztargnieniem Sylven, bawiąc się włosami Sarel. - Moi ludzie zawsze przygotowują młodzież do pełnienia określonej roli.

- Ta kobieta raczej nie jest młoda, wasza wysokość.

- Hm, fakt. Wygląda jednak na to, że wie wszystko, co powinna - powiedziała Sylven, splatając dwa warkoczyki w jeden.

- Ale kto kontroluje tych ludzi, wasza wysokość?

Jeden z warkoczyków rozwiązał się, rozdrażniając królową. Dociekliwość Tora dołała oliwy do ognia.

- Och, Tor, ktoś na pewno to zrobił. Nie bądź taki podejrzliwy. Co ci się w niej nie podoba?

- Oczy. Są pełne nienawiści.

- Bzdury! - skarciła go Sylven. - O, już niesie mój tolik. Przygotuj się na niezwykłą ucztę, Tor!

*

Saxon zdołał zamienić kieliszki, aby ten z trucizną nie przypadł królowej. Teraz jednak w niebezpieczeństwie był nieznamy. Kloek już miał przerwać sielską scenę i ostrzec biesiadników, gdy nagle jego pierś owinęło czyjeś silne ramię i jakaś wielka dłoń zatkała mu

usta.

- Ty draniu!

Saxon rozpoznał głos jednego z treserów z królewskich ptaszarni.

- Nie jesteś żadnym sokolnikiem. Już rano coś podejrzewałem, a teraz widzę, że szpiegujesz naszą królową!

Towarzysz tresera stanął przed Saxonem i uderzył go kilka razy pięścią w brzuch. Kloek zgiął się wpół i tym momencie dostrzegł, jak zawołowana służąca podaje królowej kielich z trucizną.

Nie! Miało być na odwrót! Saxon przecież zamienił kieliszki. Dlaczego obcy miałby chcieć otruć gościa królowej?

Panika dodała Saxonowi sił. Stęknął głośno, zrzucił z siebie obu napastników i wyskoczył z ukrycia, wrzeszcząc jak opętany. Z przerażeniem patrzył, jak królowa, nadal uśmiechając się do swego towarzysza, stuka się z nim kieliszkiem i piję wino.

Dopiero wtedy wszyscy usłyszeli jego krzyk i zwrócili ku niemu wzrok: królowa, nieznajomy truciciel i... Saxon miał wrażenie, że serce przestało mu bić. Mężczyzną, który na niego patrzył, był Torkyn Gynt. Krzepki, uśmiechnięty radośnie i kipiący życiem. Czas stanął w miejscu i cała wiedza Saxona o świecie legła w gruzach.

Potem usłyszał własny głos, krzyczący: „Trucizna!”, i zobaczył, jak Tor rzuca kieliszek i patrzy na królową. Nikt nie zwrócił uwagi na przebraną służkę, która ukradkiem wycofała się i rzuciła do ucieczki.

Tor przykląkł obok Sylven, wołając coś do niej. Ona jednak krzyczała w agonii.

Sarel także zaczęła krzyczeć i nagle z wszystkich stron nadbiegli ku królowej ludzie. Pierwszy dotarł Saxon.

Tor podniósł głowę. Jego jasne, błyszczące oczy ziały szaleństwem. Saxon pokręcił powoli głową. Był w szoku. Nic nie rozumiał.

- To nie możesz być ty.

Ciało Sylven wiło się w przedśmiertnych drgawkach. Krzyknęła jeszcze raz, potem przewróciła oczami, a wargi jej zsiniały. Tor zdarł woalkę, ale było za późno. Ciało wygięło się w ostatniej przerażającej konwulsji, a z trzewi wydobył się bolesny jęk. Do twarzy napłynęła krew, która rozniosła po całym ciele śmierć. Królowa wyszczerzyła zęby i poprzez pianę wydała ostatni wściekły dźwięk, po czym padła bez życia. Trucizna wykonała zadanie.

Tor opadł bezwładnie w ramiona Saxona. Oddychał ciężko po daremnej próbie wykorzystania magii w celu odratowania królowej.

Hela uklękała przy nim, ledwie żywa z przerażenia. Podniosła Sarel i mocno przytuliła

do piersi.

Tor pokręcił głową.

- Ja... wszedłem w nią. Zmarła, nim zdążyłem cokolwiek zrobić.

Saxon trzymał go mocno, nie wierząc, że to Tor. Torkyn Gynt, którego znał, był przecież równie martwy jak leżąca tu królowa.

- Spóźniłem się, Saxonie! Spóźniłem się!

Służący królowej płakali z rozpacz, bezsensownie podtrzymując się nawzajem. Nie mogli uwierzyć, że ich pani nie żyje. Tor ocknął się pierwszy.

- Saxonie, służąca ucieka!

Kloek nadal był wstrząśnięty i oczarowany. Widział, jak ten człowiek ginie od katowskich kamieni. Patrzył na jego ciało zdjęte z krzyża i na roztrzaskaną, pozbawioną krwi twarz. Zwłoki zostały owinięte w muślin i wywiezione przez Merkhuda w nieznaną na starym wozie. Tor nie żył.

A teraz jasnoniebieskie, zdecydowanie żywe oczy Torkyna Gynta krzyczały do niego, że trzeba się spieszyć. Saxon zebrał strzępy myśli.

- To nie służąca, Tor. Chodźmy. On chce uciec do lasu! - Po tych słowach wraz z przyjacielem zaczął biec za przebierańcem, który próbował zabić martwego już mężczyznę, lecz zamiast tego zamordował królową.

23.

ROZPACZLIWA UCIECZKA

Goth pędził tak szybko, że zdążył dobiec do lasu, nim ruszył pościg. Zastanawiał się, jak to możliwe, że zatrute puchar trafił do rąk Sylven. On sam przecież starannie zadbał o to, by podać zatrute wino Gyntowi. Coś tu nie grało.

Słyszał już krzyki za plecami. Wiedział, że to Gynt, ale ten idiota nie miał pojęcia, kogo ściga. Przebranie przeszkadzało Gothowi w ucieczce, postanowił więc się go pozbyć. Ściągnął szatę przez głowę i rzucił, w tej samej chwili uświadamiając sobie, że zapomniał wyjąć z kieszeni arrak.

Obrócił się ukradkiem i zalała go fala nienawiści. W pościgu biegł, ramię w ramię z zasepionym Gyntem, jego stary kumpel, niegdyś ślepy, a teraz wszystko widzący kloECKI gnojek. A więc to tak! Kloek musiał zamienić kielichy, by ochronić Gynta. Tak... teraz wszystko było jasne. Gniew dodał Gothowi sił i uciekinier zdołał się oddalić od ścigającej go dwójki.

- Kto to jest? - zapytał Tor biegnącego za nim Saxona, z trudem łapiąc oddech.

Odpowiedzi udzielił lecący nad mini Clout.

Goth.

Tor stanął jak wryty.

- Dlaczego stanąłeś? - zapytał Saxon, zrównawszy się z nim.

- Clout właśnie mi powiedział, kogo ścigamy.

Saxon natychmiast spojrział w niebo. Clout się odnalazł? Kloeka zalała fala radości. Odzyskał Tora i Cloota. Paladynowie tym razem nie przegrają. Serce Lasu zwycięży, Trójca się odnajdzie.

- Nie widziałem jego twarzy - rzekł. - To ktoś znajomy?

- Goth - warknął Tor, przywołując Barwy. Tym razem musiał go zabić.

Znów ruszyli biegiem. W oddali majaczyła zbiegająca ze wzgórza drobna figurka. Jakimś cudem Goth szybko i bez trudu pokonywał różnicę wysokości. Tor przypomniał sobie tamtą noc w Caremboche, gdy inkwizytor niemal dogonił jego i Alysse, i uświadomił sobie, jak szybko tamten potrafi biec, gdy napędzają go gniew i determinacja.

Stracili go z oczu. Oddychając ciężko, wspinali się coraz wyżej i wyżej, kierując się wskazówkami lecącego w górze Cloota.

Jest w pułapce! - powiedział nagle sokół.

Tor przystanął. Saxon poszedł w jego ślady.

Co masz na myśli? - zapytał Tor.

Dotarł do wodospadu. Nie ma odwrotu, Tor. Jeśli się cofnie, dopadniecie go. - Sokół zachichotał. - Masz go jak na tacy.

Tor na nowo podjął wspinaczkę.

- Chodź, Sax. Podobno Goth znalazł się w pułapce.

Kontynuowali wspinaczkę. Słyszeli już szum wody spadającej w przepaść i rozbryzgującej się w dole. Powietrze było wilgotne od unoszącej się nad wodospadem mgiełki.

Tor przeszedł przez wąską przełęcz między dwoma wzgórzami i znalazł się na wysokiej grani. Wreszcie rozpoznał Gotha: inkwizytor stał na skraju urwiska, spoglądając w dół.

- Goth! - wrzasnął Tor, a zniechęcona twarz obróciła się ku niemu z szyderczym uśmiechem.

Były wielki inkwizytor niewątpliwie się zmienił. Kiedyś potężnej budowy, teraz był szczupły i wymizerowany. Małe, wredne oczka pozostały jednak te same i Tor był zły na siebie, że nie zorientował się, z kim ma do czynienia, gdy tylko w nie spojrzał podczas pikniku. Patrząc na uśmiezek na oszpeconej, wstrząsanej tikiem twarzy, szybko poskładał w całość ostatnie wydarzenia.

To on miał zostać otruty, ale przez pomyłkę kielich z trucizną przypadł królowej. „Och, Sylven, co ja ci zrobiłem?” - myślał, czując, jak Barwy wrą w nim, czekając na uwolnienie. Goth został przyparty do muru. Pośpiech nie był już konieczny.

Saxon wszedł na grań i zatrzymał się, oddychając ciężko.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał, uradowany, że mają Gotha w garści.

Tor czuł ciężar w piersi, ale był to raczej ciężar nienawiści niż wyczerpania.

- Skończę z nim. Dość już nazabijał w swoim bezużytecznym życiu.

- Zrób to, Tor. Skończ z nim, i to natychmiast.

- On już nie może nas zranić, Saxonie. Nic już nie może zrobić - rzekł Tor, powoli posuwając się do przodu. - Nie bój się go.

Goth obrzucił go stekiem przekleństw. Tor musiał przyznać, że podziwiał jego odwagę.

- Na co czekasz? - zawołał z grani Saxon. Nie miał już ochoty patrzeć Gothowi w oczy. Ten człowiek pozbawił go kiedyś wzroku i straszliwie pobił, nie zadając ostatecznego ciosu tylko dlatego, że uznał go za już nieżywego. Saxon gardził nim i nigdy nie mógłby mu przebaczyć - także z powodu tego, co tamten zrobił Alyssie. Kloek nie dbał o to, jak bardzo Goth będzie cierpiał - musiał raz na zawsze pożegnać się z życiem.

Inkwizytor spojrział na Tora pogardliwie. Nigdy nie obawiał się śmierci. Teraz, patrząc jej w oczy, nie był zachwycony, ale też nie odwracał się od niej z przerażeniem. Jego bystry umysł przeanalizował kilka możliwości, żadna jednak nie wydała się możliwa do wykonania. Znalazł się w pułapce. Widział krążącego w górze sokoła, czekającego na jego koniec. Nie zamierzał jednak dawać im satysfakcji triumfowania nad jego trupem. Przynajmniej tego mógł ich pozbawić.

Tor był gotów uwolnić wreszcie Barwy i wykończyć wroga, ale nagle przed oczyma stanął mu obraz Jhona Gynta. Jego ojciec zawsze brzydził się przemocą i nauczył syna okazywać innym jedynie współczucie.

- Nie jestem stworzony do zabijania - rzekł z wahaniem Tor.

- Więc ja to zrobię - odparł Saxon, przesuając się do przodu. - I to z przyjemnością. Gołymi rękami wydobędę z niego ostatnie tchnienie.

Goth zachichotał. Jego dziewczęcy śmiech rozwścieczył Saxona. Ten człowiek nie miał sumienia. Nawet w obliczu nieuniknionej śmierci nie błagał o przebaczenie. Po prostu śmiał się z nich.

I wtedy, ku zdumieniu ich obu, Goth zeskoczył z urwiska w ryczący strumień wody.

- Pozdrówcie Alyssę! - wrzasnął i zniknął. Spadał, a oni wciąż słyszeli jego przypominające śmiech wycie.

- Nie! - krzyknął Tor, ale było za późno: Goth zniknął im z pola widzenia.

Podbiegli do krawędzi i popatrzyli w dół. Przepaść była tak głęboka, że Saxonowi zakręciło się w głowie. Na Torze nie zrobiła wrażenia - stał, spoglądając bacznie w spienione wody. Jak mogły być głębokie? Czy Goth mógł przeżyć upadek z takiej wysokości?

Czekali, aż wypłynie ciało. Tor lustrował wzrokiem bieg rozszalałej rzeki, szukając jakiegoś ruchu, ale nic nie dostrzegł.

- Co sądzisz? - zapytał w końcu Saxon.

- Nie powinienem był się wahać - odparł gniewnie Tor i odwrócił się.

- Myślisz, że mógł przeżyć? On nie żyje, Tor. Co to za różnica, jak zginął?

Tor nie podzielał optymizmu przyjaciela.

Clout, przeleć się i poszukaj śladów - rzucił do sokoła.

Ten w milczeniu wykonał polecenie.

- Goth wydaje się wychodzić cało z każdej opresji - rzekł Tor do Saxona. - Powinienem być się z nim rozprawić, gdy tylko tu dotarliśmy. Stał tam i śmiał się z nas, a ja się wahałem.

To była prawda. Saxon nijak nie mógł go pocieszyć. Zamiast tego splunął na ziemię w kloECKI sposób.

- Jeszcze nie powitałem cię oficjalnie wśród żywych, Tor.

Tor poczuł się nieswojo.

- Hmm... miło jest wrócić, Saxonie.

Kloek zamknął go w znajomym niedźwiedzim uścisku. Medyk odwzajemnił pozdrowienie.

Cloot spłynął z nieba i wylądował na grani.

- Cześć, przyjacielu - rzekł Saxon. - Przebyłem długą podróż, by cię znów zobaczyć.

Sokół wzbil się i usiadł Kloekowi na ramieniu, sprawiając mu tym ogromną radość.

W dole rzeki nic nie widać - mruknął ponuro do Tora. - Ale na miejscu pikniku panuje istne szaleństwo. Myślę, że powinniście obmyślić plan błyskawicznej ucieczki. Oskarżenie padnie wkrótce na ciebie.

Tor kiwnął głową.

- Ile minęło czasu? - zapytał Saxona.

- Od mojego wyjazdu z Tallinoru? Wyruszyłem w dzień po śmierci Nyrii. - Nagle zrobił przerażoną minę. - Och, Tor, przepraszam. Może o tym nie wiedziałeś?

- Wiedziałem - odparł posępnie Tor. - Wiem też o czymś jeszcze. Słyszałeś o Alyssie?

Saxon nigdy nie przypuszczał, że jeszcze kiedyś będzie rozmyślał o Torze i Alyssie.

- Czy słyszałem? Wiem, że jest bezpieczna. Prowadzi w pałacu szkołę i służy królowi.

Gdy odjeżdżałem, oplakiwała Nyrię... Ale dlaczego pytasz? Czy coś się stało?

Tor uśmiechnął się żałośnie.

- Rzeczywiście, służy królowi.

Saxon potrząsnął głową.

- O co chodzi, Tor? Co się stało z Alyssą? I jak to możliwe, żebyś wiedział o tym wcześniej niż ja?

Tor westchnął.

- Gdy ty podróżowałaś, Alyssa została królową Tallinoru. Sylven powiedziała mi to dziś rano, gdy otrzymała oficjalne międzypaństwowe zawiadomienie.

Saxon wyglądał jak rażony piorunem.

- To musi być jakaś pomyłka. Alyssa i Lorys? Nie. Pracuje z nim. Kiedy ostatnio się widzieliśmy, wspominała, że wreszcie zaczyna myśleć o przyszłości, zamiast rozpamiętywać przeszłość. Twoja śmierć... - Odchrząknął z zażenowaniem. - Twoja śmierć była dla nas wszystkich wielkim szokiem, Tor. Alyssa na wiele lat pograżyła się w smutku. Odżyła dopiero po pojawieniu się Gyla.

- Gyla?

Saxon pokręcił głową.

- Długo by mówić... Gyl to sierota, którym kilka lat temu zaopiekowała się królowa. Potem zajęła się nim Alyssa i obojgu wyszło to na dobre... W pewnym sensie zastąpił jej utracone dziecko - dokończył niepewnie Saxon.

Tor milczał. Jego twarz nie zdradzała emocji.

Saxon mówił dalej, pragnąc zagłuszyć niewygodną ciszę.

- Nyria poprosiła ją o zorganizowanie szkoły. Alyssa doskonale sobie radziła zarówno z nauczaniem dzieci, jak i z pracą dla królowej. Mniej więcej rok później zmarł prywatny sekretarz króla i Nyria pomyślała, że Alyssa byłaby odpowiednia dla króla. - Ostatnie słowa nawet w uszach samego Saxona nie brzmiały dobrze.

- I ona się zgodziła? - zapytał z niedowierzaniem Tor.

- Nie chciała. I to bardzo. W ciągu ostatnich lat nie spędziłem dużo czasu w pałacu, ale wiem, że ta nowa sytuacja bardzo ją unieszczęśliwiła. Mimo to świetnie sobie radziła. Byłbyś z niej dumny, widząc, jak dużo dobrego zrobiła dla pałacu. Wszyscy ją kochają.

- Lorys też - mruknął z niesmakiem Tor.

- O tym nic nie wiedziałem. Jak wspomniałem, ostatni raz rozmawialiśmy ze sobą, gdy wróciłem z Caradon, by jej opowiedzieć o Gocie i o tym, że widziałem Cloota. Powiedziała tylko, że stara się zapomnieć o nienawiści i pracować dalej. Skoro ty nie żyłeś, a nienawiść do Lorysa kosztowała ją tyle wysiłku, jaki to miało sens?

- Żadnego - zgodził się Tor, wstając. - Po prostu nie mogę sobie wyobrazić, jak zdołała przeskoczyć od „Muszę spróbować przestać go nienawidzić” do „Lorysie, zostań moim mężem”.

Podszedł do urwiska i jeszcze raz spojrzął w kipiel, niby szukając ciała Gotha, a tak naprawdę chcąc otrząsnąć się z bólu, który niosło ze sobą ostatnie zdanie.

Saxon stanął obok i położył mu dłoń na ramieniu.

- Nie oceniaj jej zbyt surowo, Tor. Nie masz pojęcia, jak bardzo cierpiała z twojego powodu.

Była to prawda i Tor o tym wiedział.

- Jak szybko się to stało? - zapytał Saxon.

Tor wiedział, co przyjaciel ma na myśli, ale postanowił udawać, że nie rozumie.

- Co?

- Ile czasu minęło od egzekucji, nim wróciłeś?

Przez ciało Tora przelała się nowa fala rozpacz i winy, które odczuwał przez te wszystkie lata, odkąd otworzył oczy w Sercu Lasu.

- To się stało niemal natychmiast, Sax. Chodź, musimy się spieszyć. Wracamy do Serca Lasu. Po drodze opowiem ci całą tę historię.

24.

ZACHWIANA RÓWNOWAGA

Alyssa z roztargnieniem podziękowała Tilly za parujący kubek herbaty z liścia maliny. Zwykle nie była taka zamyślona. Tilly zauważyła, że jej pani ledwie coś skubnęła z tacy ze śniadaniem, a codzienny rytuał kąpieli i późniejszego czesania włosów dokładnie stoma pociągnięciami szczotki przeszedł bez zwykłej żartobliwej pogawędki. No i w ogóle, co ona robiła na nogach o tej porze? Na światłość! Skoro królowa tak wcześnie wstała, wszystkich czekał długi dzień.

Tak właśnie było. Tego ranka Alyssa czuła się jakaś nieobecna. Nie chodziło o to, że po raz pierwszy, odkąd wyznali sobie miłość, Lorys wyjechał - miał coś do załatwienia w Hatten - i że jej życie bez jego hałaśliwego, fascynującego towarzystwa stało się nagle puste. Nie, chodziło o coś całkiem innego. „Dzisiejszy dzień jest po prostu inny” - myślała, odstawiając filiżankę.

Obudziła się nagle. Było jeszcze niemal ciemno, tylko kilka jasnych smug na atramentowoczarnym niebie powiedziało jej, że nadciąga kolejny zimowy dzień. Teraz, patrząc przez okno na porośnięte wrzosami wzgórza, uświadomiła sobie, że myśli o Torze. Kiedyś nie mogła się opędzić od jego wspomnienia. Teraz musiała się skupić, by przywołać obraz jego twarzy.

Tor był wprost niezmiernie przystojny. Alyssa uśmiechnęła się. Miał ciemne, niemal czarne, proste włosy, które przeczesywał palcami, gdy rozmyślał. Przywołała z pamięci jego mocną szczękę i osadzone w uroczej twarzy niewiarygodnie niebieskie oczy.

Wystarczyło jedno zdawkowe spojrzenie, by jej serce natychmiast szybciej biło. Alyssa nigdy nie chciała zapomnieć tej twarzy - a jednak w jakimś stopniu tak się stało. Po raz ostatni widziała ją cztery, nie, pięć cykli słonecznych temu, roztrzaskaną kamieniami i tryskającą życiodajną krwią. Zmuszona, by patrzeć na śmierć Tora, Alyssa przyglądała się, jak jego pierś unosi się resztką niezłomnej woli pozostania na tym świecie, po czym wydaje ostatnie tchnienie. Nie mogła zapomnieć tego widoku.

Zapomniała natomiast, jak brzmi jego głos. To było chyba najtrudniejsze do zniesienia, właśnie w nim bowiem zakochała się najpierw, gdy byli dziećmi i Tor droczył się

z nią poprzez łącze. Uśmiechnęła się żałośnie i zbeształa w duchu za to, że pozwala sobie na myślenie o nim.

Życie Alyssy od początku upływało w nędzy i znoju, a jedyną rozświetlającą je iskierką był właśnie Tor. Gdy utraciła go po raz pierwszy, znalazła pocieszenie w Akademii Caremboche. Nie był to wprawdzie całkowity spokój, Tor bowiem nigdy nie opuścił jej myśli, ale praca w archiwum Akademii dawała jej ukojenie, a towarzystwo Saxona, Sorrel, a nawet Xantii, pomagało żyć.

Kiedy Tor ponownie zagościł w jej życiu, była pewna, że zesłali go bogowie. Czas ich krótkotrwałego małżeństwa w Sercu Lasu był idyllą. Ten okres, niewątpliwie najszcześniejszy w jej życiu, szybko się jednak skończył: trwał jedynie dostatecznie długo, by poczęła i wydała na świat syna, który zmarł zaraz po narodzinach.

Wtedy nastąpił kolejny okres bólu i rozpadu. Goth wrócił, by ją prześladować, Tor zginął na krzyżu na jej oczach, a życie w pałacu niesło ze sobą wielką samotność. Gdyby nie przyjaźń Saxona i Sallementra, która towarzyszyła jej w tych najgorszych latach, Alyssa zapewne skończyłaby ze sobą.

Ale Tor dawno już nie żył, a ciągle rozpamiętywanie pierwszej miłości nie prowadziło do niczego dobrego. Teraz była żoną króla Lorysa, królową Tallinoru. Miała obowiązki wobec męża, wobec Tallinoru, no i, szczerze mówiąc, nową miłość. Nigdy nie sądziła, że to będzie możliwe, ale naprawdę pokochała Lorysa, a on ją ubóstwiał. Od publicznej deklaracji ich miłości minęło kilka miesięcy i był to cudowny okres. Alyssa traktowała Lorysa jak swego zbawiciela. Wiedziała, że to dziwne, biorąc pod uwagę fakt, iż tak długo nim gardziła, ale to właśnie on dał jej wiarę w to, że jest ważna dla Tallinoru i że ma przed sobą przyszłość. Nie chciała, by cokolwiek zniszczyło to idealne życie, które wreszcie rozpoczęła. Chciała rządzić krajem wraz z Lorysem i leżeć w jego ramionach, póki nie upomną się o nich bogowie. Nie próbowała nawet porównywać nowego uczucia do idealnej miłości, jaka łączyła ją z Torem, ale w małżeństwie z Lorysem po raz pierwszy w życiu zaznała całkowitego poczucia bezpieczeństwa.

Tor nie żył. Lorys natomiast żył i był w niej po uszy zakochany. Nie mogła nie odwzajemnić tej miłości i powiedziała sobie, że musi się nauczyć wybaczać sobie winę, którą niekiedy odczuwała - tak jak teraz, gdy Tor nieoczekiwanie i z wielką mocą nawiedził jej myśli.

Dopiero teraz przypomniała sobie, dlaczego tak nagle się przebudziła. Świat do niej przemówił.

Owinęła się szczelnie pelerynką z różowego jedwabiu i usadowiła wygodnie w fotelu,

by pomyśleć. W układzie sił świata zaszła jakaś nagła zmiana. To ona wyrwała Alyssę ze spokojnego snu i skierowała jej myśli ku Torowi. Najwyraźniej jednak nikt inny nie poczuł tej zmiany, w przeciwnym razie jej młoda i egzaltowana pokojówka Tilly wpadłaby w histerię. Nie. Alyssa przypuszczała, że ma to jakiś związek z Trójcą. Przypomniała sobie *Pisma Nanaka* i historię Orlaca. Miała nadzieję, że zapomni o nich, zaczynając nowe życie z Lorysem. Jakaż była głupia! Orlac powracał, a ona otrzymała ostrzeżenie.

Nagle zrobiło jej się zimno. Oplotła palcami filiżankę, szukając otuchy w jej ciepłe. Pociągnęła łyk słodko-gorzkiej herbaty, ale nie czuła smaku. Jej umysł błędził gdzie indziej. Zastanawiała się, co mogło spowodować zmianę w równowadze świata. Czyżby upadł ostatni z paladynów? Saxon wyjechał i nie miała kogo zapytać. Nie widziała swego obrońcy od niemal trzech miesięcy.

Popijając kolejny łyk stygnącego malinowego naparu, Alyssa pomyślała, że zmiana ma coś wspólnego z bogami. Odstawiła filiżankę i złączyła kciuki, by odpędzić złe moce, starając się odsunąć od siebie myśl, że Dziesiąty mógł ulec. Taka katastrofa z pewnością silniej by na nią podziałała. Może coś weszło do świata, powodując zaburzenie równowagi? Z pewnością nie był to Orlac. Jeszcze nie! Alyssa wstała i zaczęła się przechadzać, próbując przestać myśleć o przerażającej wizji ucieczki Orlaca, ale niepokój prześladował ją jeszcze przez kolejną godzinę. W końcu wzięła się w garść i ubrała, mimo wysiłków umysłu nie wymyśliwszy nic więcej.

Wybrała prostą kremową suknię z delikatnej wełny, skromnie ściągniętą w talii jej ulubionym paskiem łańcuchowym. Choć wolała nosić włosy splecione w warkoczyk, nie chciała, żeby Tilly znów się z nią cackała, więc po prostu spięła je spinką z polerowanego rogu. Po umyciu zaczęła się zastanawiać, jakie zajęcie znaleźć sobie o tak wczesnej godzinie, by na dobre odpędzić myśli o Torkynie Gyncie, Orlacu i wszelkich innych sprawach związanych z Trójcą.

Chciała być zwykłą, szczęśliwą żoną, dobrą królową dla swego króla. Nie chciała myśleć o przepowiedni wieszczącej powrót Orlaca. Wzięła głęboki oddech i zmusiła umysł do przeanalizowania zadań na najbliższy dzień.

Mogła zrobić obchód zamku, popatrzeć, jak kucharka piecze chleb, a potem pójść na blanki i wymienić trochę uprzejmości z wartownikami. Wiedziała, że właśnie w tym leży sekret jej popularności: proletariat Tallinoru, a w szczególności samej stolicy, był oczarowany swoją królową Alyssą.

Zaraz po ślubie Lorys podjął mądrą decyzję odbycia kolejnej podróży po głównych miastach, tym razem z Alyssą u boku. Wiedział, że tylko w ten sposób zdoła nakłonić

poddanych do zaakceptowania nowej królowej tak krótko po śmierci ukochanej przez wszystkich Nyrii. Udało się. Uroda i łagodne, skromne maniery Alyssy podbiły serca ludu. Oczarowała wszystkich, od wieśniaków po ich dzieci. Nową królową cechowały też wrodzona inteligencja i dowcip, dzięki którym również wśród arystokracji czuła się swobodnie.

Kręciła się bez celu, usiłując podjąć jakąś decyzję, gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę - rzuciła i przesunęła się, by spojrzeć przez duże okno na gromadzących się na głównym dziedzińcu żołnierzy.

Jej osobisty doradca Rolynd zaczął od przeprosin za to, że przeszkadza jej o tak wczesnej porze.

- Wasza wysokość, wojsko wróciło - rzekł i skłonił się nisko.

- A król? - zapytała Alyssa, rumieniąc się i omiatając spojrzeniem wkraczające na dziedzińiec oddziały. Przez te dwa tygodnie bardzo się stęskniła za Lorysem. Gdyby wrócił, nie musiałyby się włóczyć po blankach w ten chłodny poranek. On oderwałby ją od niespokojnych myśli. Słuchałaby jego opowieści i cudownego śmiechu, cieszyła się jego bezgraniczną miłością zapominając o mrocznym nastroju i kłębiących się w głowie ponurych pytaniach.

- Przykro mi, wasza wysokość, ale król zabawi jeszcze trochę poza miastem. Powiedziano mi, że wybrał się w odwiedziny do lorda Tolly'ego, który jest ciężko chory. Gwardia królewska pozostała w Parkeston, żeby eskortować jego wysokość do miasta po zakończeniu wizyty... - Rolynd mówił coraz ciszej, aż wreszcie umilkł, widząc rozczarowanie na twarzy królowej.

- Dziękuję, Rolyndzie. - Odwróciła się.

- Hm... Wasza wysokość, podmarszałek chciałby z wami porozmawiać. Czeka w holu.

- Och! Poproś go natychmiast. - Alyssa rozchmurzyła się na wieść, że Gyl wrócił do pałacu. On także zbyt długo przebywał poza miastem.

Rolynd skłonił się ponownie i wyszedł, po cichu zamykając podwójne drzwi apartamentu królowej.

Alyssa usadowiła się w swoim ulubionym fotelu z widokiem na piękny, obmurowany ogród, który zamówił dla niej król, i czekała na przybycie swojego drugiego ulubieńca. Wsłuchując się w zbliżające się rytmiczne kroki, z uśmiechem myślała o jego sprężystym chodzie i pewnych sobie manierach, które sprawiały, że większość młodych dam dworu drżała z podniecenia. Od czasu mianowania na podmarszałka Gyl nabrał tężyzny, stał się

jeszcze bardziej pewny siebie i, przede wszystkim, bardziej popularny wśród płci pięknej.

Alyssa nie miała jednak najmniejszego zamiaru pozwolić mu się ożenić z którąś z tych mdlejących dziewcząt. Wiedziała, że - podobnie jak on sam - rozpozna właściwą kandydatkę, gdy tylko ta się pokaże. Gyl był niezłym flirciarzem i bez skrpułów bawił się uczuciami swoich wielbicielek, ale - za co Alyssa była mu wdzięczna - nie darzył żadnej z nich szczególnymi względami, co dawało jej pewność, że chłopak nie rozważa wczesnego ożenku. Na światłość! Miał dopiero szesnaście lat i przed sobą całe życie na znalezienie kobiety, której odda serce.

Pomijała niewygodny fakt, że ona sama zakochała się w Torkynie Gyncie w wieku lat dziewięciu, a gdy miała zaledwie czternaście, rzuciła mu swój bukiet w Minstead Green. Gdyby tamtego dnia poprosił ją o rękę, powiedziałaaby „tak” i wyszła za niego jeszcze przed zachodem słońca. Ale nie poprosił. Przeszkodził mu w tym Merkhud, odwracając jego uwagę od niej, a potem zabierając do Tal i ściągając nieszczęście na nich wszystkich.

Gyl był już niemal przy drzwiach. Słyszała, jak żartuje z gwardzistami, którzy wskutek nalegań Lorysa trzymali straż przy wejściu do jej komnat. Oprócz króla tylko ona знаła prawdziwą historię Gyla. Gdy Lorys wyjawiał jej, że jest ojcem chłopca, w pierwszej chwili chciała, by powiedział o tym także Gylowi, ale wkrótce zaakceptowała zdanie króla, że powinni to zachować dla siebie. W tamtym czasie w życiu Gyla dużo się działo i doszli do wniosku, że wiedza o pochodzeniu mogłaby go przytłoczyć. Alyssa wiedziała jednak, że nie mogą czekać zbyt długo: na dłuższą metę ukrywanie przed nim prawdy mogłoby przynieść więcej szkody niż pożytku.

Drzwi otworzyły się i Alyssa rozwarła ramiona, by przygarnąć syna, zapominając o potężnym zachwianiu równowagi, które obudziło ją tego ranka.

*

Tor, Saxon i Cloot wyczuli to samo zachwianie równowagi w drodze do Cypryji.

- Czujesz? - zapytał Saxon.

Tor natychmiast pomyślał o Orlacu.

Cloot, czy Dziesiąty uległ? - zapytał z niepokojem. Nie był jeszcze gotów na taką wieść.

W jego myśli wdarł się uspokajający głos Cloota.

Nie sądzę, Tor. To po prostu jakieś zakłócenie. Według mnie niegroźne.

Po namyśle Tor przyznał mu rację. A potem, jakby słońce przebiło się nagle przez spowijające niebo chmury, poczuł w sercu ogromną radość. Padł na kolana i uniósł ręce ku niebu.

- Moje dzieci - powiedział. - Wróciły do Tallinoru.

*

W Sercu Lasu radowały się drzewa, zwierzęta i magiczne istoty.

- Są blisko - powiedziała Solyana.

Arabella załkała, owładnięta radością że najcenniejsze skarby tego świata powracają do miejsca, które jest ich domem.

*

Sallementro wyczuł zmianę, gdy stroił lutnię w swojej ulubionej kamiennej chatce za pałacem w Tal.

Adongo Moruk stanął jak wryty i zamknął oczy, by słuchać głosu ziemi.

Figgis Jaskiniowiec, Dziewiąty Paladyn, znajdujący się na statku cumującym właśnie w Cafadon, także poczuł drzenie i postanowił udać się na południe najszybciej, jak się da.

Wszyscy oni wiedzieli, że Trójca nadchodzi, by zająć należne sobie miejsce i poprowadzić swoich strażników ku przeznaczeniu.

*

Prawdziwy syn Alyssy, ten, którego wciąż w duchu opłakiwała, stracił na chwilę oddech, lądując na tallinorskiej ziemi. Rozglądając się z niedowierzaniem, powoli dochodził do siebie. Sorrel mówiła, że dotrą tu wszyscy razem, ale nie musiał nawet otwierać oczu, by wiedzieć, że jest sam. A zatem przeprawa przez portale nie poszła zgodnie z planem.

Rozejrzał się ponownie. Znajdował się na polu w towarzystwie kilku przestraszonych krów, które cofały się, zaskoczone nagłym pojawieniem się nieznajomego.

Gidyon zamknął oczy, potrząsnął głową i otworzył je na nowo. Krowy nadal się odsuwały. Bez wątplenia nie znajdował się już w chacie Sorrel, lecz siedział na jakimś polu, próbując złapać oddech. Wyglądało więc na to, że opowieść staruszki była prawdziwa.

Wszystko tu było dziwne. Nie czuł się z tym źle, po prostu inaczej. Jego słabe oczy nagle zaczęły świetnie widzieć: dostrzegał każdy szczegół na pomarszczonej korze drzewa stojącego na drugim końcu pola, tak daleko, że wydawało się to niemożliwe. Świergot ptaków także wydawał się bardziej wyraźny. Co się działo? I czy to tu chciała ich przyprowadzić Sorrel?

Wziął głęboki oddech, by się uspokoić. Podążał za migoczącą zielenią Yargo, starając się jej nie zgubić, ale choć pamiętał, że w domku wziął Lauryn za rękę, w jakiś sposób zostali rozdzieleni.

Co się z nią stało?

W tym momencie poczuł coś dziwnego: jakby coś wrzynało mu się w umysł niczym

ostrze. Potem usłyszał w głowie jej niepewny głos.

Gidyon?

Nie mógł uwierzyć.

To ty, Lauryn?

Fajne, co? - zapytała, już bardziej odważnie.

Super. Jak to robisz?

Magia - odpowiedziała i wybuchnęła śmiechem, który ucieszył Gidyona. -

Dysponujemy mocą, jak nasi rodzice. Czyżbyś nie słuchał?

To dla mnie trochę za dużo - wyznał.

Westchnęła.

Wiem. Czy zmienił ci się wzrok i słuch?

Bardzo. Są znacznie lepsze. Jestem na jakimś polu. A ty?

Z Sorrel. Mówi, że jesteśmy prawdopodobnie w miejscu zwanym Harymon, skąd musimy się udać w inne intrygujące miejsce, znane jako Serce Lasu.

Aha. Dobry pomysł. Tylko co ze mną? - W celu zaakcentowania swoich słów po każdym zdaniu robił teatralną przerwę.

Lauryn obiecywała sobie, że nie polubi Gidyona, ale jego łagodna ironia była czarująca. Poza tym teraz, gdy już wiedziała, że jest jej bratem, że należą do jednej rodziny... to po prostu było niemożliwe, by nie obdarzyć go uczuciem.

To przecież był twój pomysł, Gidyonie. Nie pamiętasz? Sorrel mówi, że ty też musisz dotrzeć do Serca Lasu.

A nie zdradziła, jak mam to zrobić? Może powinienem osiąść którejś z tych nieco podejrzliwych, acz niezbyt przyjaznych krów i pojechać tam?

Lauryn była zachwycona jego dowcipem.

Po prostu postaraj się jak najszybciej tam dotrzeć. Czekał... - Czuł, że łącze jest nadal otwarte, ale po drugiej stronie panowała cisza.

Lauryn?

Jestem. Słuchaj, Gidyonie, mam ci powiedzieć, że to poważna sprawa. Trzymaj się z dala od wszystkiego, co pachnie kłopotami. Nie zwracaj na siebie uwagi. Sorrel wszyła ci w lewą kieszeń trochę pieniędzy. Nie ma ich dużo. Może będziesz musiał imać się drobnych zajęć, by zarobić na podróż. Ale musisz się spieszyć.

Hm. Cóż, podziękuj Sorrel za nieocenioną pomoc - odparł sarkastycznie. - *Możesz przynajmniej dać mi jakieś wskazówki?*

Nastąpiła kolejna pauza.

Kieruj się w stronę miasta Tal - odparła w końcu Lauryn - ale postaraj się jak najszybciej dotrzeć do Wielkiego Lasu. Na skraju jednej z odnóg - cokolwiek to znaczy - leży wioska Axon. A teraz uważaj. Będziesz zachwycony, serio. Spotkasz się tam z wilkiem, osłem i kapłanką. Zaufaj im i podążaj za nimi.

Parsknął śmiechem.

Odwiedzisz mnie jeszcze, co? - zapytał. - Wprost nie mogę się doczekać następnego odcinka.

Wiesz, ty też to potrafisz - rzekła Lauryn.

Jak? - chciał wiedzieć.

No, ja po prostu posłałam myśl w twoją stronę.

Och, jakie to proste. Magia jak z podręcznika.

Nie umiem tego lepiej wytłumaczyć! Sorrel nazywa to łączem i chociaż nie potrafi się komunikować z nami, nasze łącze, jak widzisz, działa w obie strony. Musisz poćwiczyć.

Poćwiczę, kiedy już zarobię na życie odgarnianiem gnoju, uprawą ziemi czy co tam jeszcze może dostać do roboty ktoś o tak niskim statusie.

Skąd to wiesz?

Co? Jak uprawiać ziemię?

Nie. Że mamy niski status.

Może nie zauważyłaś, Lauryn, Ale ona ubrała nas jak wieśniaków, a nie dworzan czy studentów.

Sorrel mówi, że masz rację. I jeszcze coś: podobno mamy zapomnieć o dotychczasowym życiu. Dzięki temu będzie nam łatwiej upodobnić się do Tallinorczyków.

Mam zapomnieć wszystko, czego się nauczyłem do egzaminu na niebieskie wstęgi? - Gidyon był przerażony.

Na to wygląda - odparła Lauryn i przerwała kontakt.

Gidyon oparł ręce na biodrach i rozejrzał się dookoła. Osioł? To musiał być sen. Chłopak był pewien, że wkrótce się obudzi i setnie uśmieje. Pojechał na północ, by spotkać się z umierającą babcią i nagle znalazł się w tym miejscu. Musiał się obudzić, bo miał coś ważnego do zrobienia w miejscu, z którego przybył... za skarby świata nie mógł sobie jednak przypomnieć co.

Potrząsnął głową. „Nie ma sensu tu siedzieć” - pomyślał. Lauryn dała mu instrukcje i chciał jak najszybciej się z nią spotkać. Była jego siostrą. Cóż to za cudowne słowo po tylu latach samotności! Poza tym polubił ją. A jeśli chciał z nią być, musiał się udać do miejsca zwanego Sercem Lasu.

Dotarł do skraju pola, przeszedł przez niski murek i znalazł się na ścieżce. Nie miał pojęcia, w którym kierunku pójść. Pogrzebał w kieszeni, zerwał szwy i wyjął monetę. Po jednej stronie miała smoka, po drugiej coś, co wyglądało jak upiór. Rzucił ją w górę, po czym przygwoździł prawą ręką do grzbietu lewej.

- Zobaczmy - rzekł do znudzonych krów. - Demony czy smoki?

Ponieważ żadna z nowych przyjaciółek nawet nie spojrzała w jego kierunku, a tym bardziej nie odpowiedziała, wybrał smoki. Uniósł lewą rękę i sprawdził: moneta istotnie upadła smokiem do góry.

- Zatem w lewą - rzekł wesoło, nie mając pojęcia, w jaki sposób doszedł do tego wniosku. Pogwizdując, ruszył ścieżką ku swemu przeznaczeniu.

*

Sorrel niepewnie spoglądała na Lauryn. Gidyon miał być z nimi. Nie miała pojęcia, w jaki sposób się odłączył. Spędziła w innym świecie piętnaście lat, czekając na moment, w którym będzie mogła wrócić do domu ze swymi podopiecznymi, i już na samym początku coś poszło nie tak. Gdyby coś mu się stało...

Lauryn, na odmianę, wcale nie wyglądała na zmartwioną.

- Chyba nic mu nie jest. Rusza w drogę.

Sorrel kiwnęła głową. Nie mogła dać po sobie poznać, że się niepokoi.

- To dobrze. W takim razie i my ruszajmy. Pomóż mi nieść tę torbę, kochanie. Mamy przed sobą długą drogę.

Uwagi Sorrel nie umknęło podobieństwo obecnej wędrowni do tej, którą przed laty odbyła w towarzystwie Alyssy. Lauryn, pomimo nadwagi, niezmiernie przypominała matkę. Było oczywiste, że wyrośnie na taką samą piękność.

Dziewczyna zarzuciła sobie na plecy lekki szmaciany tobolek i wzięła staruszkę pod rękę. Wcześniej nie chciała tu przyjeżdżać - tam, w domku Sorrel, to wszystko brzmiało jak mroczny żart - ale teraz, gdy opowieści o magii okazały się prawdziwe, była podekscytowana.

A więc miała tu rodziców. Niewiele rozumiała z tego, co mówiła Sorrel, ale była gotowa jej zaufać i poświęcić dotychczasowe życie, jeśli dzięki temu mogła odnaleźć rodzinę i swoje miejsce na świecie. Skoro tu się urodziła, chciała tu wrócić. Tego ranka czuła się beztrocka jak nigdy dotąd.

- Mam trochę pieniędzy - powiedziała Sorrel. - Niewiele, ale pomogą nam w podróży. Jeśli będziemy oszczędzać, przeżyjemy, choć może będziesz musiała trochę popracować.

Lauryn kiwnęła głową. Popracować? Co niby miałyby robić? Zarabiać jako skryba? Postanowiła jednak o tym nie myśleć. W jej życiu zaszło ostatnio zbyt wiele dziwnych zmian,

by się martwić o najmniej istotne kwestie. Niech Sorrel podejmie decyzję.

- Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, a w ostatnich latach nie wybuchł tam pożar, w następnej wiosce powinna być gospoda.

- Zatrzymamy się tam?

- Tylko na jedną noc. Oporządziśmy się i rano wyruszymy. Martwię się o Gidyona. Powinniśmy być wszyscy razem - odparła Sorrel, potrząsając głową na myśl, że już złamała daną sobie obietnicę.

- Nic na to nie poradzimy, Sorrel. On nie miał pojęcia, gdzie jest, więc możemy tylko mieć nadzieję, że dotrze tam, gdzie powinien.

- Rzeczowa jak matka - zauważyła staruszka.

- A czy ona tam będzie... w tym Sercu Lasu?

- Szczerze mówiąc, kochanie, nie wiem. Wiem tylko, że wezwał nas twój ojciec, a ja odpowiedziałam na jego wezwanie.

25.

TAJEMNICA DUNTARYN

Figgis w głębi duszy przyznawał, że jest sam sobie winien. Powinien był wyczuć niebezpieczeństwo, ale omamilo go poczucie wolności. Cudownie było znaleźć się z powrotem w Tallinorze po tylu wiekach ucisku, bólu i frustracji.

Zwykle reagował błyskawicznie, tym razem jednak stało się inaczej. Wiele osób sądziło, że Jaskiniowcy są powolni i tępi. Być może myślano tak z powodu charakteryzujących jego rasę sękatych, zwisających brwi, grubych warg i szerokich ust. Tak czy owak, było to całkowicie błędne mniemanie. Jaskiniowcy byli powolni w bardzo niewielu rzeczach z wyjątkiem biegania. Choć jednak daleko im było do sprinterów, ich krótkie nóżki cechowały się wrodzoną wytrzymałością i potrafiły ich nieść na wielkie odległości oraz piąć się po niemal pionowej skale.

Nie, Dziewiąty Paladyn nie był bynajmniej ociężały umysłowo i na ogół reagował znacznie szybciej, ale tego dnia po prostu rozkoszował się faktem, iż znów jest Figgisem i, co teraz z niesmakiem sobie uświadamiał, zapomniał o czujności.

Do tej chwili jego podróż przebiegała bez przygód. Od chwili przybycia z Cypryji do Caradoon szybko przemieszczał się przez północne regiony, śpiąc na polach i jedząc, cokolwiek udało mu się zdobyć. Nie odczuwał zimna ani głodu, które są udziałem zwykłego człowieka. Był Jaskiniowcem i podróżowanie bez komfortu stanowiło jego chleb powszedni!

Ominął wszystkie miasteczka i wsie w centrum kraju, a dał się zaskoczyć w sennej, słabo zaludnionej wiosce Duntaryn. Doszedłszy do wniosku, że musi się pośpieszyć, zaryzykował przejście na skrótą główną arterią zamiast, kierując się instynktem, iść wzdłuż strumienia meandrującego obrzeżami miasta.

Powinien był wyczuć niebezpieczeństwo. Duntaryn już na pierwszy rzut oka wyglądało groźnie, z główną ulicą zarośniętą gęstym żywopłotem i obwisłymi gałęziami drzew. W wiosce panowała dziwna atmosfera i Figgis czuł wwiercające się w niego spojrzenia ukrytych oczu.

Worek zarzucono mu na głowę po mistrzowsku. Gdyby był normalnego wzrostu, nadal miałby wolne ręce, ale jako Jaskiniowiec - czy też karzeł, jak ich tu nazywano - mógł

jedynie miotać się bezradnie. Pochwyciły go silne dłonie, a uderzenie w głowę wybiło mu z niej chęć do dalszej walki. Czując przeraźliwy ból, Figgis pomyślał mgliście, że przekonanie o tym, jakoby Jaskiniowcy mieli czaszki z kamienia, jest błędne. Potem stracił przytomność, a wraz z nią dobytek.

Teraz przytomny, ale z celowo zamkniętymi oczami, uznał, że wszystko przez to, że był głęboko zamyślony. Wspominał nieoczekiwane spotkanie z Torkynem Gyntem w Cypryzji. Cieszył się, że mógł pomóc temu chłopcu, Locklynowi Gylbytowi. Ta cała Dziewica była idiotyczna. Jak ktokolwiek mógł uważać taką machinę za sprawiedliwego sędziego? Ale właśnie wtedy, gdy Figgis już zaczynał czuć, że cała jego misja jest bezcelowa, jedno spojrzenie w oczy Gynta dodało mu sił.

Gynt był Wybrańcem. Był tym, dla którego tak długo walczyli. A zatem ich ból i cierpienie nie poszły na marne. Ten człowiek, gromadząc Trójcę, miał uratować wszystkie światy.

Figgis nie przejmował się, że Gynt może nie wiedzieć, iż mały człowieczek, z którym przez chwilę rozmawiał w Cypryzji, jest Dziewiątym Paladynem, który mężnie zginął w jego obronie. Liczyło się tylko to, że pierwsze zadanie zakończyło się sukcesem. Teraz musiał szybko odnaleźć swojego podopiecznego. Lys powiedziała mu w snach, że chłopak go potrzebuje, i nakłoniła, by wśliznął się na statek płynący do Caradoon i dotarł aż tu. Wciąż go ponaglała. Miał strzec chłopca. To było jego najważniejsze zadanie jako paladyna.

Ktoś chlusnął na niego wiadrem zimnej wody. Zaskoczony Figgis otworzył oczy. Nadal bolała go głowa. Z trudem uniósł się na łokciu i spojrzał na stojącą nad nim grupę szepczących mężczyzn.

- To faktycznie karzeł.
- W tych stronach nie widuje się takich. Myślałem, że karły są tylko w bajkach.
- Przyciągnie tłumy.

Figgis spoglądał na nich bez mrugnięcia okiem. Dławił go wypełniający ograniczoną przestrzeń dym z fajek. Ból głowy jeszcze pogarszał samopoczucie.

- Umiesz mówić? - zapytał jeden z mężczyzn.
- Witajcie, śmierdziuchy - odpowiedział Figgis w swoim języku, którego, o czym dobrze wiedział, nikt z jego oprawców nie rozumiał. Wydawali się niebezpieczni, postanowił więc udawać głupka, dopóki nie wymyśli, co robić dalej.

Ten, który go zagadnął, wydmuchnął dym i wyszczerzył zęby, a raczej dziąsła. Był kanciasty jak kamienna chałupa.

- On gada!

- Zagadaj do niego po tallinorsku - odezwał się jego młodszy towarzysz.

Pierwszy kiwnął głową i zwrócił się do Figgisa, z wielką starannością artykułując słowa i robiąc po każdym przerwę.

- Czy... rozumiesz... po... tallinorsku?

- Owszem... rozumiem... - odparł Figgis, znowu w swojej gardłowej mowie. Potem wyrzucił z siebie potok pozornie bezsensownych dźwięków. Mówił cicho, niemal błagalnie, z przyjemnością jednak wykorzystał wszystkie znane swojej rasie obelgi. Jego nieżyjąca od dawna matka przewróciłaby się w grobie, słysząc ten stek przekleństw płynących z ust jej syna.

Mężczyzna westchnął.

- Miło byłoby posłuchać, jak błaga po tallinorsku - zauważył z nutką żalu.

Błaga? Że niby co? Oczy Figgisa przywykły już do ciemności.

Widział, że oprawców jest pięciu i że trzymają go w jakimś budynku gospodarskim, prawdopodobnie w stodole. Odwróciwszy się od niego, szeptali coś do siebie. Figgis zamknął oczy i udawał oszołomionego. Może uwierzą, że śpi, i zaczną mówić głośnie. Stopniowo osuwał się z powrotem na ziemię, aż w końcu legł, kładąc głowę na worku będącym sprawcą jego nieszczęścia.

- Zostawcie go - usłyszał głos pierwszego rozmówcy. - Najważniejsze, że mamy już swoje ofiary.

Nadal mówili cicho, ale świetny słuch Figgisa wylapywał teraz każde słowo.

- A jak dziewczyna? - zapytał ten sam człowiek, sprawiający wrażenie przywódcy.

- W porządku - odparł jakiś nowy głos.

- Chodzi mi o to, czy coś podejrzewa.

- Nie wiem. Może Ory będzie coś wiedział. On zaopatruje rodzinę.

- Ory...

- Tak? - Zabrzmiały kroki, prawdopodobnie Ory'ego.

- Czy dziewczyna coś wie?

Figgis usłyszał drapanie, a dopiero potem głos.

- Nie... Chyba nie. Wczoraj ją widziałem. Przekorna jak zwykle. Oczywiście mogła się domyślić. Nie jest przeciętnie wyglądającą osobą i znalazła się w tym miejscu w szczególnym czasie.

Przywódca wydawał się nie zwracać uwagi na słowa Ory'ego.

- A rodzice?

- To nie są jej rodzice, Scargyl.

- Co za różnica. Stworzy z karłem świetną parę. Zapowiada nam się najlepsza ceremonia od czasów, gdy byłem dzieckiem. Jestem dość stary, by pamiętać Olbrzyma.

- Podobno długo umierał. - Figgis rozpoznał po głosie tego samego mężczyznę, który kazał Scargylowi zapytać go, czy rozumie po tallinorsku.

- Zgadza się, Truk. Tamto wiosenne przesilenie było naprawdę ekstra. No i smakował też nieźle.

Scargyl, Trak, Ory. Pozostało jeszcze dwóch. „Ale to mało istotne - pomyślał Figgis - w porównaniu z tym, co właśnie powiedzieli”. Wyglądało na to, że on i nieznajoma dziewczyna mieli być głównymi aktorami w jakimś makabrycznym, śmiertelnym rytuale powitania wiosny. Ile dni pozostało do tego czasu? Figgis wytrzymał zboląłą głowę i po namyśle doszedł do wniosku, że dwa.

Miał dwa dni na zaplanowanie ucieczki. W przeciwnym razie Orlac zwycięży.

*

Gidyon od kilku dni był w drodze. Posłuchawszy rady Sorrel, starał się nie zwracać na siebie uwagi. Po przybyciu do jakiejś wioski wydawał kilka monet na chleb i owoce. Słodka woda wydawała się podążać za nim w postaci radosnego, szybko płynącego strumyka, którego prawym brzegiem przez cały czas podążał.

Dzięki tak skromnemu życiu wciąż miał trochę pieniędzy. Wpadł też na pomysł, by udawać przed spotykanymi ludźmi niemowę. Była to stara zabawa, którą pamiętał jeszcze z dzieciństwa, choć nie mógł sobie przypomnieć, gdzie ani z kim się w nią bawił. Z każdym dniem wspomnienie przeszłości coraz bardziej się zacierało. Znikała też obawa przed jej zapomnieniem.

Uchodząc za niemowę, automatycznie był też uznawany za przygłupa. Odpowiadało mu to. Mógł pokazać, czego chce, i podać pieniądze na dłoni, żeby obsługująca go osoba mogła wybrać właściwą monetę. Gidyon nie wiedział dokładnie, ile są warte tutejsze pieniądze, ale powoli zaczynał mieć o tym pojęcie. Niestety, miał też świadomość, że wkrótce będzie musiał przestać udawać niemego. Pieniądze wystarczały mu na chleb i owoce, ale musiał się rozejrzeć za jakimś zarobkiem, jeśli chciał znaleźć nocleg w gospodzie - a bardzo już za nim tęsknił po spędzeniu tylu nocy na polach. Musiał też zapytać o drogę do Axon. Podśluchując rozmowy ludzi we wszystkich mijanych wioskach, doszedł do wniosku, że idzie mniej więcej w dobrym kierunku, ale prawdopodobnie wkrótce będzie musiał skręcić trochę na południe.

Obiecał sobie, że w następnej wiosce odzyska głos, znajdzie sobie jakieś zajęcie na dzień i łóżko na noc. Drogą przechodziło sporo osób. Wyłapując urywki ich rozmów, Gidyon

dowiedział się, że za kilka dni ma się odbyć jakiś festiwal w Duntaryn. Zorientował się też, że Duntaryn to najbliższa wieś na jego trasie. „To może być nawet niezła zabawa” - pomyślał.

Mimo starań nie udało mu się skontaktować z Lauryn. Denerwowało go, że ona łączy się z nim bez trudu, a on nie może znaleźć klucza do tej magii. Za pośrednictwem siostry dowiedział się od Sorrel, że nie powinien się z tego powodu denerwować, a umiejętność pojawi się sama.

Wyglądało na to, że kobiety podróżują nieco bardziej wygodnie niż on, co wieczór zatrzymując się w zajazdach. Pewnego razu podekscytowana Lauryn opowiadała mu, że przez cały dzień zbierały czerwone jagody i zimki, miejscowe owoce, z których produkowano słynne, uwielbiane przez monarchów konfitury.

Mam fioletowe palce, Gidyon. Szkoda, że nie możesz ich zobaczyć.

Mam nadzieję, że wkrótce będę mógł, Lauryn. - Wspaniale było słyszeć w jej głosie radość. Kiedy spotkali się po raz pierwszy, była taka ponura i kłóliwa...

Sorrel pyta, gdzie teraz jesteś.

Niedawno opuściłem Churley i zmierzam do następnej wioski. Zdaje się, że nazywa się Duntaryn. Według moich szacunków leży trochę bardziej na północ, a w tym kierunku powinienem podążać.

Zaległa długotrwała cisza.

Gidyon... - Głos Lauryn brzmiał teraz bardzo poważnie. - *Sorrel mówi, że to całe Duntaryn to dziwne miejsce. Kiedy tam dotrzesz?*

Mam nadzieję, że dziś wieczorem. A co?

Znowu cisza.

Mówi, że masz spać na polu, w dużej odległości od wioski. Jeżeli możesz ją ominąć, zrób to. Jeśli nie, przejdź przez nią jak najszybciej. Nie zatrzymuj się.

Hej, o co tu chodzi?

Gidyon znów musiał czekać, aż Lauryn przekaże jego pytanie i otrzyma odpowiedź.

Sorrel mówi - jak zwykle enigmatycznie - że przesilenie wiosenne nie jest dobrym momentem na odwiedzanie Duntaryn. Nie chce powiedzieć nic więcej, ale nalega, żebyś nie szukał tam pracy ani nie zatrzymywał się tam, jeśli nie będzie to absolutnie konieczne. Po prostu idź dalej, do kolejnej dużej wsi, która nazywa się Mexford, a potem postaraj się jak najszybciej dotrzeć do Fragglesham. Jest tam dobra gospoda, w której możesz zanoć. Pracę też znajdziesz. Axon znajduje się zaledwie dzień marszu z Fragglesham. Już prawie tam jesteśmy, Gidyonie. Musisz tylko trzymać się planu.

W porządku. Nie rozumiem jednak tego lęku przed Duntaryn. Podobno trwa tam

właśnie jakiś festiwal.

Sorrel wie więcej niż my. Powinniśmy jej słuchać.

Tak, to prawda. A zatem czeka mnie kolejna zimna noc pod gwiazdami...

Przykro mi, Gidyonie, ale...

Oboje powiedzieli jednocześnie: *To był twój pomysł!*, i roześmiali się.

Porozmawiamy jutro.

Śpij dobrze, Gid.

Rozmowa z siostrą dodała mu otuchy. Nie złościła go nawet perspektywa spędzenia kolejnej nocy pod krzakiem, choć na obrzeża Duntaryn dotarł dopiero o zmroku, po długiej wędrówce piaszczystą drogą.

W miarę zapadania nocy porośnięta drzewami ścieżka wydawała się coraz bardziej niebezpieczna. Gdzieś w oddali zawył wilk, przyprawiając Gidyona o gęsią skórkę, a cienie stawały się coraz dłuższe i złowróżbne. Gdy ściemniło się na dobre, był już mocno podenerwowany, czuł się bardzo samotny i rozpaczliwie pragnął kontaktu z Lauryn.

Kiedy już przekonał siebie, by ominąć wioskę i iść dalej przez noc, zobaczył w niewielkiej odległości rozkołysaną latarnię.

- Hej! - zawołał instynktownie.

Latarnia zakręciła się, sugerując, że jej właściciel się odwrócił.

- Kto tam? - zapytał zaniepokojony kobiecy głos.

- Podróżny. Przepraszam, że panią przestraszyłem.

- Mam kij! - ostrzegła właścicielka głosu.

Wilki ponownie zawył.

- Nic pani nie zrobię. Jestem zmęczony i głodny. Potrzebuję tylko ciepłego miejsca, w którym mógłbym się przespać. Wystarczy stodoła.

- Pokaż twarz - zażądała.

Gidyon podszedł powoli, bojąc się, że znów ją przestraszy. Zatrzymał się w dużej odległości, żeby nie czuła się zagrożona.

- Bliżej.

- Przysięgam, że nie mam złych zamiarów. Mogę zapłacić.

- Masz miły głos, nieznajomy. Nie ma w nim nic niepokojącego. Tak, ufam ci, ale chciałabym zobaczyć, z kim rozmawiam.

Gidyon zrobił kilka kroków do przodu. Widział jedynie sylwetkę kobiety. Jej twarz skrywał cień.

- O - usłyszał. - Twarz pasuje do głosu.

- Dziękuję. Nazywam się Gidyon... Gidyon Gynt.

- Ja jestem Yseul. Mieszkam w domku, o tam. - Wskazała palcem. Gidyon dostrzegł w ciemności ciemny kontur domu.

W głębi migotał słaby ogień świecy.

- Macie tu stodołę, Yseul?

- Tak. Tam. Możesz się przespać w towarzystwie dwóch świń, krowy i trzech kóz. - Zachichotała. Gidyon dopiero teraz zauważył, że jej głos brzmi bardzo młodo.

- Jesteś... yyy... żoną farmera?

- Farmera! To znaczy wołu? Nie, nie jestem niczyją żoną, panie Gynt. Do nikogo nie należę. Ale muszę pracować dla wołu i jego grubej żony. - Zamilkła raptownie.

Gidyon nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Przeczesał palcami włosy. Na szczęście dziewczyna odezwała się ponownie.

- Teraz ja muszę przeprosić. Nie chciałam pana przestraszyć. Ci ludzie nie są zbyt mili. Może pan zostać na noc, ale jeśli pana złapią, proszę nie mówić, że pozwoliłam panu tam spać.

- Co by się stało, gdyby się dowiedzieli?

- Wychłostałiby mnie. On to uwielbia. A ona uwielbia patrzeć. Ale nauczyłam się nie płakać, żeby nie dawać jej satysfakcji. To zdarza się dość często, ale staram się nie dostarczać im pretekstu. Proszę za mną.

Gidyon wziął głęboki oddech. Poczuł, że w głowie otwiera mu się łącze.

Nie teraz, Lauryn - rzucił. - Czy możemy porozmawiać później?

Natychmiast przerwała kontakt. Nie czuł się z tym dobrze, zwłaszcza że umówili się, iż porozmawiają następnego dnia.

Cichaczem wszedł za Yseul do stodoły.

- Musi pan wcześniej wyruszyć - uprzedziła go. - I niech pan nie zostaje w okolicy. Duntaryn nie jest dobrym miejscem dla obcych, a szczególnie teraz - dodała.

Gidyon nadal nie widział dobrze jej twarzy. Gdy Yseul odwróciła się, by odejść, chwycił ją za rękę.

- Yseul, czy mogę ci się jakoś odwdzięczyć?

- Nie. Chyba że zabierze mnie pan ze sobą - wyrwało jej się.

- To znaczy... że trzymają cię tu siłą?

- Coś w tym stylu - odparła ze smutkiem.

Promień rozkołysanej latarni padł wreszcie na jej twarz. Gidyon przez moment ujrzał ciemne włosy, oliwkową cerę i dziwnie jasne oczy.

- Dziękuję, Yseul - szepnął.

Nie odpowiedziała. Tymczasem z ciemności dobiegł szorstki męski głos, nawołujący ją po imieniu.

- Już idę! - odkrzyknęła dziewczyna.

Gidyon wspiął się po drabinie na stryżek stodoły i z rozkoszą zagrzebał się w słodko pachnącej słomie. Dotknął kamienia, spoczywającego w wewnętrznej kieszeni na piersi, i zauważył, że ten znów jest gorący. Chłopak był jednak zbyt zmęczony, by się zastanawiać, co to znaczy. Gdyby pojmował znaczenie Kamieni Ordoltu, wiedziałby, że to ostrzeżenie. Zamiast tego zasnął.

*

Obudził się bardzo wcześnie, mając za sobą długi, głęboki i pełen wizji sen. Przemawiała do niego jakaś kobieta, której jednak nie widział. Nie podała swego imienia, lecz kazała mu wstać i wynosić się z tej wsi. Powiedziała też, że jego strażnik jest blisko. Gidyon nic z tego nie rozumiał.

Usiadł i uśmiechnął się do siebie. Najpierw postraszyła go Sorrel, później Yseul, a teraz nieznajoma ze snu.

Powoli wstawał świt, zapowiadając piękny, rześki dzień. Gidyon był wypoczęty i zadowolony z życia. Przestał odczuwać obawę, a w brzuchu zaczęło mu burczeć. Szybko zapomniał o śnie. Od wielu dni nie zjadł porządnego posiłku i jeśli miał wędrować przez dwanaście godzin, najpierw musiał zjeść śniadanie. Co z tego, że wszyscy go ostrzegają przed Duntaryn? To po prostu mała, senna wioska. Zje coś i dopiero wtedy wyruszy na południowy wschód, ku Axon.

Otrzeptał ubranie ze słomy i nagle usłyszał, jak ktoś wchodzi do stodoły. Schował się.

- Jest pan tam? - zapytał głos należący do Yseul.

Kamień spadł Gidyonowi z serca.

- Tak! - odkrzyknął cicho.

- Musi pan uciekać. Szybko.

Yseul wspięła się po drabinie. Wyglądała na przerażoną. Patrząc na nią w świetle poranka, Gidyon doszedł do wniosku, że są mniej więcej w tym samym wieku. Wczoraj patrzył na nią zaledwie przez ułamek sekundy, ale teraz widział, że jest niezwykle piękna.

- Yseul, jaką tajemnicę skrywa Duntaryn? Czego się boisz?

- Nie ma czasu na wyjaśnienia. Przyniosłam panu trochę jedzenia. - Wsunęła dłoń do kieszeni fartuszka i wyjęła ciepłe bułeczki i gruszkę. - Przepraszam, tylko tyle mogłam ukraść. Inaczej by się domyślili.

- To więcej, niż mogłem oczekiwać... Tyle już dla mnie zrobiłaś. - Gidyon podszedł do dziewczyny, ona jednak cofnęła się.

- Panie Gynt...

- Gidyonie - poprawił ją łagodnie.

Zerknęła nerwowo w dół.

- Słyszałeś coś? - wyszeptała.

- Nie przysłuchiwałem się. Nie, nie, chyba nic nie słyszałem.

Kiwnęła głową z ulgą.

- Pamiętasz, wczoraj wieczorem mówiłeś, że mógłbyś mi się odwdzińczyć...

- Ależ oczywiście. - Sięgnął do kieszeni, szukając ostatnich monet.

- Nie, nie chcę pieniędzy. Zastanawiam się, czy mógłbyś mi się odplacić podobną przysługą. - Wlepiała w niego poważne spojrzenie.

Jeszcze raz zwrócił uwagę na jasną barwę jej oczu. „Jakie to dziwne - pomyślał - nie są ani zielone, ani niebieskie. No i też nie całkiem szare. Raczej piaskowe”.

Uświadomił sobie, że dziewczyna patrzy na niego intensywnie, czekając na odpowiedź.

- Yyy... tak, zrobię to z radością. Cóż to za przysługa?

Yseul uśmiechnęła się niepewnie.

- Mam małego braciszka. Jego też biją. Są wobec niego bezlitośni. Czy mógłbyś go ze sobą zabrać, dokądkolwiek idziesz?

Przysięgam, że nie sprawi ci kłopotu.

Gidyon zachodził w głowę, o co chodzi dziewczynie. To, co mówiła, nie miało sensu.

- Chcesz, żebym was rozdzielił?

- Musisz go stąd zabrać. Dokądkolwiek. Gdzieś, gdzie będzie bezpieczny.

- Nie będziesz za nim tęsknić, Yseul?

Uśmiechnęła się z wielkim smutkiem i powiedziała coś, co sprawiło Gidyonowi ból.

- Tam, dokąd dziś idę, Gidyonie, za nikim nie będę tęsknić.

Odwróciła się, by odejść.

- Będzie na ciebie czekał wśród drzew za stodołą. Oczekaj chwilę i wyjdź tylnymi drzwiami. Potem odejdz stąd najdalej, jak się da. Proszę, chroń mojego brata. Ma na imię Gwerys.

Zamilkła, ponownie spojrzała na Gidyona, po czym zrobiła krok naprzód i ucałowała go w policzek.

- Dziękuję.

Ruszyła w stronę drabiny. Gidyon postąpił krok do przodu i zatrzymał ją.

- Słuchaj, o co w tym wszystkim chodzi? Nie masz pojęcia, jak to dziwnie brzmi. Tajemniczo, mrocznie i nieodwracalnie. Co się dzieje w tej wsi? Co może cię tak przerażać, że jesteś gotowa powierzyć brata obcej osobie?

Przyjrzała mu się badawczo. Przez chwilę myślał, że dziewczyna się rozplacze, ale tak się nie stało. Była silna. Przypomnił sobie chłostę, o której wspominała.

Wzięła głęboki oddech.

- Co pięć cykli, podczas wiosennego przesilenia mężczyźni z Duntaryn składają rytualną ofiarę. To wielowiekowa tradycja. W tej części królestwa praktykuje się wiele zabobonów.

- Mów dalej - zachęcił ją.

- Wierzą, że jeśli nie złożą swoim durnym bogom ofiar, plony zmarnieją. No, w każdym razie tak było na początku. Teraz to po prostu pretekst do czerpania przyjemności z torturowania paru nieszczęśników. Nie ma żadnego sensu poza zabijaniem. Moja świętej pamięci prababka opowiadała mi, że kiedyś zabijano cielaka, ale teraz zabija się dziecko. Kiedyś wypijano krew młodej kózki, no a teraz... teraz wykorzystują do tego celu dziewicę.

„Tym razem chyba naprawdę się rozplacze” - pomyślał Gidyon, czując, jak włosy na karku stają mu dba.

- Yseul... Nie chcesz chyba powiedzieć, że to ciebie mają złożyć w ofierze?

Kiwnęła głową i choć oczy zaszyły jej łzami, mężnie zwalczała rozpacz.

- Tak... Podслуchałam też, że jakiś biedak, karzeł, ma odegrać rolę bestii. Kiedyś używali do tego celu wołu, którego potem piekli i jedli. Ale Gwerysa nie zabijają! - Oczy dziewczyny błyszczały nienawiścią. - Mnie mogą wziąć. Będę im wdzięczna, mogąc zakończyć ten nędzny żywot. Ale brata im nie oddam. Ma dopiero pięć lat i całe życie przed sobą. Musi stąd uciec.

- Czekaj no - przerwał jej Gidyon, nie bardzo wiedząc, czy ma ją pocieszać, czy uciekać. Ta opowieść brzmiała niewiarygodnie... A jednak Sorrel próbowała go ostrzec. Nawet kobieta ze snu mówiła mu, że to dziwne miejsce. - Dlaczego nie uciekniesz razem z Gwerysem?

- Cały czas mnie pilnują. Nie zdążyłabym nawet dotrzeć do skraju wsi, a już by mnie mieli. Mówiłam ci już, że nie mam przyjemnego życia. Nie obchodzi mnie, że je stracę. Chodzi mi tylko, aby Gwerys był bezpieczny. Błagam, uratuj go! - Tym razem nie zdołała już powstrzymać łez.

- Dobrze, idź po niego. Zaraz się stąd wynosimy. Wszyscy.

Gidyon mówił to z wielką stanowczością ale w gruncie rzeczy był równie przerażony jak dziewczyna. To było ponad jego siły. Rytualny mord, ofiary, spożywanie ciała karła! Do jakiego świata ta Sorrel ich sprowadziła?

- Nie możemy! - wyszeptwała przez łzy dziewczyna.

- Możemy! - syknął. - Gdzie jest Gwerys?

- W domu.

- Wytrzymaj oczy. Idź i zabierz go stamtąd pod jakimś pretekstem. Wymyśl coś. Spotkamy się tam, gdzie mówiłaś, ale wszyscy troje. Zaufaj mi. Nie pozwolę, by cokolwiek stało się tobie lub twojemu bratu. Wyprowadzę was stąd bezpiecznie.

Zdołał przekonać nawet siebie. Dziewczyna kiwnęła głową wierząc w jego żarliwe zapewnienia.

- A teraz idź, Yseul... i pospiesz się.

Wyszła w milczeniu. Gidyon odczekał chwilę i ruszył ostrożnie w jej ślady. Widział, jak dziewczyna wchodzi do domu. Pokręcił głową. To wszystko było chyba snem.

Opuścił stodołę i ruszył przez niewielki, zagrodzony teren ku zagajnikowi. Tam ukrył się za wysokim dębem i czekał.

Serce waliło mu jak oszalałe. Marzenia o obfitym śniadaniu wywietrzały. Myślał już tylko o Yseul i jej bracie, o tym, jak wydostać się z Duntaryn. Niemal wrzasnął, gdy nagle otworzyło mu się w głowie łącze.

Lauryn! - rzucił, nim jego siostra zdążyła się odezwać.

Co się dzieje? - zapytała. - *Nie chciałam się wczoraj ponownie łączyć, bo wyglądało na to, że chcesz, żeby zostawić cię w spokoju.*

Odezwałaś się w niebezpiecznym momencie. Słuchaj, mam kłopoty.

O nie, Gidyonie! Co się dzieje?

Niech Sorrel opowie mi wszystko, co wie o Duntaryn.

Nastąpiła chwila ciszy. Potem głos Lauryn zabrzmiał znowu, lekko drżący i skonsternowany.

Pyta, czy cię złapali.

Nie.

Więc uciekaj. Mówi, że masz natychmiast opuścić tę wieś i nie oglądać się za siebie.

Nie mogę, Lauryn. Zaprzyjaźniłem się z dziewczyną imieniem Yseul. Ma kłopoty i muszę jej pomóc.

Zaprzyjaźniłeś! Przecież spędziłeś tam tylko jedną noc.

Nie mam czasu na dyskusje. Sorrel musi mi wszystko powiedzieć.

Czekał. Yseul wciąż się nie pojawiała. Zaczyna się o nią niepokoić.

Gidyonie.

Tak? - Niemal krzyknął w łącze.

Sorrel mówi, że w wigilię przesilenia wiosennego - czyli tej nocy - wieśniacy składają ofiary. To dawny zwyczaj, który zarzucono już w całym królestwie z wyjątkiem tej wsi, lubującej się w hołdowaniu tradycjom. Tamtejsza ludność zawiera małżeństwa głównie w obrębie Duntaryn, nie krzyżując się z mieszkańcami innych regionów Tallinoru.

Po krótkiej przerwie głos Lauryn powrócił.

Początkowo ofiary składano starym bogom, ale z tego, co wiadomo Sorrel, w miarę upływu czasu tradycja ulegała wypaczeniu. Teraz nie zabijają już zwierząt, lecz ludzi. Wierzą, że w wigilię przesilenia wszystkie duchy zostają wyzwolone i mogą wędrować.

Na świńskie jaja! - zaklął i na chwilę poczuł się lepiej.

Sorrel pyta, czy dziewczyna jest dziewicą.

Ma na imię Yseul - odparł hardo. - *Tak, jest dziewicą. Jej brat ma symbolizować cielaka, a jakiś karzeł ma być wołem.*

Czekał, aż Lauryn przekaże to wszystko Sorrel.

Mówi, że nie możesz nic zrobić - odezwała się w końcu. - *Musisz opuścić wioskę.*

Chyba oszalała. Oni chcą zabić tę dziewczynę. Dałem słowo, że pomogę jej uciec razem z bratem.

Lauryn zaczęła mu cytować reprimendę Sorrel, on jednak nie zamierzał tego słuchać.

Zamknij łącze, Lauryn. Odejdź.

Nie mogę. A jeśli coś ci się stanie?

Muszę mieć czysty umysł, żeby pomyśleć. Proszę, błagam. Czekaaj! Yseul nadchodzi. A teraz odejdź. Porozmawiamy później.

Z ulgą przyjął fakt, że Lauryn bez dyskusji zamknęła łącze.

Yseul przybiegła co tchu, trzymając za rękę maleńkiego chłopczyka. Zmuszając się do radosnego uśmiechu, padła na ziemię obok brata.

- Gwerysie, to ten przyjaciel, o którym ci mówiłam. Ma na imię Gidyon.

Chłopiec był zupełnie niepodobny do siostry, piegowaty i rozczochrany. Miał jednak pogodny uśmiech, odsłaniający przebijające się dopiero przednie zęby.

- Cześć, Gidyonie - powiedział.

Gidyon z wysiłkiem odwzajemnił uśmiech.

- Co się stało?

- Powiedziałam, że w pobliżu znajduje się nowe ptasie gniazdo i że chcę je pokazać

Gwerysowi. Wól jest zbyt pijany po wczorajszej libacji, by wiedzieć, że w naszych stronach pisklęta jeszcze się nie wykluły. Nienawidzę go!

- Ja też, Yseul! - oznajmił wesoło Gwerys. - Więc go okłamałaś?

- Tak, Gwerysie. Uciekamy od nich.

Zauważywszy spacerującego po jego bucie żuczka, chłopiec natychmiast stracił zainteresowanie rozmową.

- A jego żona?

- Kręci się tu gdzieś, ale biegłam co sił w nogach. Musimy już iść. Proszę cię, Gidyonie, dotrzyмай obietnicy, bo jeśli nas złapią, będą go torturować.

- Chodźmy więc - powiedział posepnie Gidyon, biorąc ją za rękę. Gwerys pozwolił mu się podnieść i cała trójka ruszyła biegiem.

26.

RYTUAŁ

Ciało Figgisa uderzyło ciężko o zakurzoną ziemię. Wiedział, że to się stanie dziś. Od czasu pojmania bito go co kilka godzin. Miał kilka warstw sińców i połamane kości. Był w strasznym stanie. Lys go opuściła. Przypadnie mu w udziale zhańbienie paladynów i unicestwienie Trójcy. Przez cały czas swoich zmagania z Orlakiem ani razu nie czuł się tak bezradny.

Nawet jego śmierć w walce z bogiem była pewnego rodzaju zwycięstwem: dała Trójcy więcej czasu na przygotowanie. Potem otrzymał nagrodę w postaci nowego życia. Czy Orlac wiedział, że pokonani paladynowie zostają wskrzeszeni? Że wracają do miejsca, w którym to wszystko się zaczęło - do Tallinoru - by na nowo podjąć walkę? Skąd miałby o tym wiedzieć, od wieków uwięziony w Pustkowiu i ścierający się ze swymi strażnikami? Teraz jednak Figgis mógł nie dostąpić satysfakcji patrzenia na twarz Orlaca, gdy ten stanie do ostatecznej rozgrywki z paladynami.

Zakaszła. Krew rozprysnęła się na poplamionej już odzieży. Dopiero niedawno się dowiedział, dlaczego tak często go biją. Usłyszał, jak Scargyl tłumaczy młodszym mężczyznom, że te regularne ataki zmiękczejają mu skórę. Zatem... mieli zamiar go zjeść. Hm, Jaskiniowcy nie byli zbyt smacznymi.

Myśl, że splata im figla, niespecjalnie go jednak pocieszyła. Ból fizyczny był nieznośny, ale znacznie gorsza była udręka rozpacz. A więc miał skończyć jako wrak, skonsumowany przez prymitywnych wieśniaków, podporządkowujących się jakiemuś dziwacznemu rytuałowi?

Nie. Nie mógł na to pozwolić. Musiał czegoś spróbować. Czegokolwiek. Miał jednak niewiele czasu. Lys zapewniała, że jego magia ujawni się, gdy będzie potrzebna, ale na razie nic takiego nie poczuł. Przypuszczał, że Torkyn Gynt sądzi, iż to on, Figgis Jaskiniowiec, użył mocy do ratowania Locky'ego Gylbyta. Tymczasem on od chwili powrotu na świat nie dysponował żadną mocą. Był jedynie naczyniem, przez które mogła się przelewać większa magia. Jaskiniowiec nawet nie udawał, że rozumie to, co zaszło, wierzył jednak, że moc pochodziła od Lys, która użyła go jako pośrednika. Bogom Hostii nie było wolno wtrącać się

bezpośrednio w losy innych światów. Figgis zastanawiał się, czy Lys będzie kiedyś musiała zapłacić za to wykroczenie. Zadał też sobie pytanie, czy jeszcze kiedyś poczuje taką falę mocy.

Próbował się skoncentrować, choć w głowie miał mętlik. Był paladynem. Był także strażnikiem chłopca. Musiał go bezpiecznie doprowadzić do Serca Lasu. Wiele dni temu, kiedy Lys po raz ostatni odwiedziła go we śnie, powiedziała mu, że chłopak jest blisko. Nie mogąc używać połamanych rąk i nóg, Figgis zdał się na umysł. Z całą mocą, jaka mu jeszcze pozostała w zmasakrowanym ciele, rzucił sondę. Wyobraził sobie zagubionego, przestraszonego i skonsternowanego chłopca, i otworzył łącze.

*

Gidyon pędził przez otwartą przestrzeń, poganiając towarzyszy. Na szczęście Yseul dobrze się orientowała w terenie i zgodnie z jego zaleceniami kierowała ich na południowy wschód. Mimo to poruszali się wolno i ślamazarnie.

Nagle poczuł potężną sondę w głowie. Skupiony na wysiłku biegnięcia z Gwerysem na rękę i zachowywania spokoju, wiedział, że więcej nie zniesie.

Lauryn, nie teraz! - wrzasnął poprzez łącze.

Odpowiedziała mu cisza, ale łącze pozostało otwarte. Po chwili przemówił przez nie łagodny głos oddychającego ciężko mężczyzny.

To nie Lauryn.

Gidyon zatrzymał się i upadł na trawę. Słyszał, jak Yseul pyta, czy nic mu się nie stało, a Gwerys wybucha płaczem. Pewnie zranił się przy upadku.

Kto do mnie mówi? - szepnął przez łącze Gidyon.

Znów dobiegł go ciężki oddech. Potem atak kaszlu. Głos brzmiał, jakby jego właściciel bardzo cierpiał.

Figgis.

Kim jesteś? - Gidyona przeszedł dreszcz. Yseul wpatrywała się w niego zdumiona, tuląc Gwerysa. Uniósł rękę, dając dziewczynie znak, by się nie odzywała.

Dziewiątym, mój chłopcze. Jestem twoim strażnikiem, sprzężonym z tobą paladynem.

Strażnikiem? Czy przypadkiem kobieta ze snu nie użyła tego słowa? Zdaje się, że mówiła, iż jego strażnik jest blisko.

Jesteś tu po to, by mi pomóc?

Tak - odparł Figgis. - *Ale wcześniej to ja mogę potrzebować twojej pomocy.*

- Gidyonie - przeszkodziła mu Yseul. - Co ty wyprawiasz? Stoimy w szczerym polu, każdy może nas zobaczyć!

Zaczekaj chwilę, Figgisie.

Po tych słowach Gidyon spojrział na Yseul.

- Przepraszam, potknąłem się. Czy z Gwerysem wszystko w porządku?

Kiwnęła głową.

Gidyon uśmiechnął się przepaszająco do chłopca.

- Może to ty powinieneś nieść mnie, Gwerysie - powiedział i ucieszył się, że chłopiec docenił żart. - Biegnij ku tamtym drzewom, Yseul. Ja zaraz do was dołączę.

- Dlaczego nie teraz?

Usiłował znaleźć wymówkę.

- Skręciłem kostkę. Proszę, rób, co każę. Daj mi chwilę, a sama schroń się w bezpiecznym miejscu.

Podziałało. Dziewczyna podniosła brata i pobiegła najszybciej, jak się dało z dzieckiem w ramionach, zostawiając Gidyona na polu.

Udał, że z trudem się podnosi i bada kostkę. Nic mu nie było. Przewrócił się w wyniku wstrząsu wywołanego usłyszonym głosem.

Jesteś tam... Figgisie?

Tak. Związany, krwawiący, w beznadziejnym położeniu.

Co?

Figgis znów zakaszłał.

Lys nie powiedziała mi, jak masz na imię.

Gidyon. Co masz na myśli, mówiąc, że krwawisz i jesteś związany? Nie, czekaj...

Powiedz, że nie jesteś karłem.

Głos stał się nagle wojowniczo dumny.

Pochodzę z plemienia Jaskiniowców. Jesteśmy niskiej postury, ale wielkiego serca.

O nie! Nie, to nie może być prawda. Ty jesteś tym karłem, którego chcą złożyć dziś w ofierze!

Skąd wiesz? - Wiedza Gidyona zbiła Figgisa z tropu.

Gidyon pomachał do Yseul i zaczął powoli kuśtykać w jej kierunku.

To długa historia - powiedział. - Ale można powiedzieć, że jestem w niej umoczony.

Gdzie cię trzymają?

W stodole, gdzieś w obrębie Duntaryn. A ty gdzie jesteś?

Na obrzeżach wsi.

Zatem idź dalej. Wydostań się z tego miejsca, chłopcze. Jesteś zbyt ważny, by się narażać.

Myślałem, że masz mnie chronić.

Wybacz, jestem trochę uwięzany - odrzekł Figgis.

Fakt - przyznał Gidyon, rozmyślając intensywnie i nie posiadając się ze zdumienia, że jego życie tak dziwnie się potoczyło.

- Zostań tu! - zawołał do Yseul. - Wróć!

- Co?! - wrzasnęła. - Nie możesz tak nas zostawić!

- Jesteście tu bezpieczni. Po prostu czekajcie. Obiecuję, że wrócę.

- Dokąd idziesz?

- Z powrotem.

- Do Duntaryn? - Yseul wytrzeszczyła ze zdumienia oczy.

Była przerażona. Gidyonowi zrobiło się jej żal. Chciałby móc ją przytulić i sprawić, by poczuła się bezpieczna, ale pomiędzy nimi stał Gwerys, oskarżycielsko spoglądając mu w oczy.

Gidyon przykucnął.

- Gwerysie, teraz ty tu dowodzisz. Jesteś mężczyzną i musisz się zaopiekować siostrą. Jest zdenerwowana, więc ty musisz być silny. Zgoda?

Chłopiec z powagą pokiwał głową.

- Wracam do Duntaryn. Muszę kogoś odnaleźć. Jeśli tego szybko nie zrobię, stanie mu się krzywda. Rozumiesz?

Zwracał się do Gwerysa, ale wyjaśnienia były w istocie skierowane do Yseul. Po prostu nie potrafił teraz spojrzeć w jej zrozpaczoną twarz. Już i tak był dość przerażony.

- Będę się nią opiekował, Gidyonie - rzekł Gwerys.

- Dobry chłopiec. Niedługo wracam.

Zerknął przelotnie na Yseul.

- Karzeł? - zapytała.

Kiwnął głową.

- Nie ruszajcie się stąd.

I już po chwili biegł, wracając tą samą drogą i rozpaczliwie pragnąc znaleźć w sobie więcej odwagi.

Figgis! - zawołał. - *Musisz mi teraz pomóc. Nie zamykaj łącza. Każda twoja wskazówka może mi się przydać.*

*

Figgis zauważył, że pozostawiono na straży najmłodszego z mężczyzn. To dobrze. Poprosił chłopaka o szklankę wody. Ten z ponurą miną spełnił jego prośbę.

- Wszystko mnie boli - mruknął Figgis, mając nadzieję na nawiązanie rozmowy.

Chłopak uśmiechnął się drwiąco.

- O to chodzi, karle. Wieczorem masz być milutki i mięciutki.

- Co mi zrobią?

- Chyba nic się nie stanie, jak ci powiem - powiedział młodzieniec, z radością wykorzystując okazję do dalszego straszenia ofiary. Nie pozwolono mu bić więźnia. Był wściekły, że uważają go za zbyt młodego, by mógł brać udział w biciu, ale dość starego, by mógł go pilnować. Opowiadanie o tym, co ma się stać, dawało mu przynajmniej namiastkę władzy nad karlem.

- Upieczemy cię - rzekł, oblizując się, by podkreślić swoje słowa.

- Jestem raczej twardy - zauważył Figgis.

- Zmięknieś, nim z tobą skończymy, karle.

- To jakiś rytuał praktykowany tylko w Duntaryn? Skoro i tak mam umrzeć, chciałbym przynajmniej znać przyczynę.

- Jesteś bestią. - Po tym oględnym wyjaśnieniu chłopak stał się jeszcze bardziej ponury.

Figgis nie chciał dostać kolejnych cięgów. Ze względu na Gidyona musiał pozostać spokojny i przytomny. Nie wolno mu było zrobić nic, co rozwścieczyłoby strażnika. Spróbował innej metody: postanowił rozpalic w chłopaku oczekiwanie na to, co miało nadejść.

- A dziewczyna? Na pewno się boi.

Chłopak skrzywił się.

- Yseul? Nie ma pojęcia, co ją czeka. - Uśmiechnął się wrednie. - Wieczorem pewnie będzie żałowała, że mi nie dała, kiedy ją o to prosiłem w zeszłym roku. Inaczej nie byłaby już dziewicą. Mój fiut by ją ocalił.

Smarkacz najwyraźniej uważał, że powiedział coś śmiesznego, bo przez dłuższy czas chichotał wesoło. Figgis postanowił kontynuować temat.

- No, koleś, ty to przynajmniej miałeś trochę kobiet. Przystojniak z ciebie. Założę się, że babki na ciebie lecą.

Chłopak spojrzał na niego. To dobrze, chodziło przecież o przyciągnięcie jego uwagi.

- Wiesz - kontynuował Figgis - ja jestem taki brzydki, że żadna nawet na mnie nie spojrzy. Ale ty... ty nie powinieneś podrywać byle kogo. Jesteś atrakcyjnym, dobrze zbudowanym młodzieńcem. Wybieraj tylko najlepsze - rzekł i zauważył, że rozmówca dumnie wypiął pierś.

- Racja, karle. Pieprzona dziwka - odpowiedział chłopak, nie zdając sobie sprawy, że zaprzecza własnym słowom.

- Powiedz no, kiedy dokładnie ma to się wydarzyć? - zapytał niby od niechcienia Figgis. Zdołał zapomnieć o bólu i skoncentrować się na wydobywaniu z gadatliwego młodzieńca jak najwięcej informacji.

- O zmroku.

- I ile jeszcze razy mnie zleją?

- Już wystarczy. Jesteś gotów. Możesz się chwilę podusić we własnej krwi, która pewnie pływa już w tobie, gdzie chce. Ja po prostu muszę cię dostatecznie długo utrzymać przy życiu.

Figgis wprost dusił się z wściekłości. „Zachowaj spokój - skarcił siebie. - Myśl o Gidyonie”. Potem otworzył łącze i poczuł, że chłopak odetchnął z ulgą.

Myślałem, że umarłeś.

Jeszcze nie - odparł cicho Figgis. - Gdzie jesteś?

Wypijam kwartę mleka w piekarni. Kwasi mi się w żołądku. Wiesz coś więcej?

Jeszcze chwila.

Pospiesz się, Figgisie. Oni mi nie ufają. Już zaczynają się gapić.

Zostawię otwarte łącze.

Figgis ponownie zakaszłał, by zwrócić na siebie uwagę strażnika.

- Czy to ma się odbyć tu... w tej stodole? A tak w ogóle to gdzie jesteśmy? - Po tych słowach wstrzymał oddech.

- Jesteś takim durniem, na jakiego wyglądasz - warknął młodzieniec. - Naprawdę myślisz, że Scargyl odprawiałby rytuał we własnej szopie?

Scargyl! Figgis zignorował pozostałe słowa strażnika. *Gidyonie! Coś nowego?*

Stodola Scargyla. Czy szopa, coś w tym stylu. Scargyl to jeden z porywaczy. Pytaj o niego.

Dobra.

Chłopak strzegący Figgisa wstał. Jaskiniowiec zamarł.

- Muszę się wyszczać. Nie ruszaj się, bo pożałujesz.

Figgis kiwnął głową i patrzył, jak chłopak otwiera drewniane drzwi. Na zewnątrz widać było fragment wioski.

Gidyonie... słuchaj, widzę w tej szopie młoty i kowadła. Scargyl musi być kowalem. Szukaj kuźni. Facet, który mnie pilnuje, wyszedł na dwór, ale jest tak durny, że zostawił otwarte drzwi. Zdaje się, że widzę sklep rzeźnicki. Znajdź go i popatrz w drugą stronę. Tam

mnie trzymają.

Strażnik wrócił do szopy i zamknął drzwi. Krzywił się. Figgis milczał. Najwyraźniej pogawędka dobiegła końca.

*

Gidyon wpadł w panikę. Myślami był przy Figgisie, ale przed oczyma wciąż miał twarz Yseul. Gdy się rozstawali, dziewczyna patrzyła na niego jak na zdrajcę. On jednak musiał to zrobić. Jeśli Yseul go posłucha i nie ruszy się z miejsca, nikt ich nie znajdzie.

Wypił resztkę mleka i podziękował kobiecie, która spoglądała na niego złowrogo.

- Przejazdem w Duntaryn, co, paniczu? I zaraz w dalszą drogę?

Zmusił się do uśmiechu.

- Tak, muszę coś dostarczyć do Mallee Marsh. Ale byłem spragniony, a poza tym ktoś z Churley poprosił mnie o przekazanie wiadomości mieszkającej tu osobie.

- Ach, tak? - zapytała bez zainteresowania kobieta. - Lepiej niech pan już idzie, paniczu. Chyba nie chce się pan spóźnić do Mallee Marsh. To cały dzień drogi, a może nawet więcej.

- Tak... Hm, przepraszam, nie chciałbym pani sprawiać kłopotu, ale ta osoba z Churley dała mi wiadomość dla pana Scargyla. Zna go pani?

- To kowal. - Teraz kobieta stała się wyraźnie podejrzliwa.

- Gdzie mogę go znaleźć? Wpadnę tam i zaraz jadę dalej.

- To w drugą stronę. Może ja mogłabym przekazać panu Scargylovi tę wiadomość? Oszczędzę panu kłopotu.

- Niestety... Ten, kto mi zapłacił, nalegał, żebym zrobił to osobiście.

Kobieta powróciła do wyrabiania ciasta na chleb. Waliła w nie tak zapamiętałe, że Gidyon pomyślał, iż nie chciałby mieć do czynienia z jej pięściami.

- Niech się pan cofnie i skęci w lewo na krzyżówce - powiedziała z grymasem. - To niedaleko. Naprzeciwko rzeźnika Mekana.

- Bardzo pani dziękuję.

Obdarzył ją swoim najbardziej czarującym uśmiechem, ale zignorowała go. Nie tracąc czasu, ruszył we wskazanym przez nią kierunku. Szybko dotarł do skrzyżowania i skęcił w lewo.

Był późny poranek, wioska jednak wyglądała jak wymarła. Gidyon szedł dalej. Najpierw zauważył sklep rzeźnicki. Zatrzymał się, rozejrzał i spostrzegł położoną nieco dalej kuźnię, a za nią bardzo małą, starą stodołę. Figgis nazwał ją szopą. To na pewno to.

Gidyon skęcił z drogi i powoli, ostrożnie obszedł kilka maleńkich, zrujnowanych

zabudowań gospodarczych, kierując się ku stodole. Gdy wreszcie tam dotarł, miał spocone ze zdenerwowania ręce i był przekonany, że wszyscy w pobliżu słyszą, jak wali mu serce.

Ze środka nie dobiegał żaden dźwięk.

Stodoła miała tylko jedne drzwi. Nie mógł więc wejść niezauważony. Musiał zaryzykować. Upewniwszy się, że nikt z zewnątrz go nie obserwuje, podszedł na palcach do drzwi, wziął głęboki oddech, mocno pociągnął je do siebie i wszedł do środka.

Musiał szybko przyzwyczać wzrok do panującej w środku ciemności. Tylko niewielkie okienko na końcu stodoły wpuszczało trochę przyćmionego światła. Młody, niewiele starszy od Gidyona chłopak zerwał się na równe nogi. Na ziemi leżał znacznie starszy, niższy mężczyzna, prawdopodobnie Figgis.

- Figgisie! - rzekł na głos przybysz. - To ja, Gidyon.

- Na włochate diabły! Kim jesteś? - zapytał młodzieniec.

- Och, przepraszam, zdawało mi się, że się przedstawiłem.

Gidyon Gynt. Zabieram tego pana ze sobą.

Ponury gbur nie pojął jego sarkazmu, ale i tak triumf Gidyona trwał bardzo krótko. Chłopak zdążył tylko zauważyć, że tamten spojrział na coś za jego plecami. Gdy się obrócił, ujrzał trzech mężczyzn. Wszyscy mieli broń. Jeden, prawdopodobnie Scargyl, wymachiwał groźnie wyglądającym młotem.

- Jeszcze jeden obcy. Chodź, przydasz się - powiedział, z kolegami nacierając na Gidyona.

*

Obolały chłopak otworzył oczy na dźwięk cichego szlochu. Zamrugał i obrócił głowę. Po jednej stronie ujrzał Figgisa, zwiniętego w kłębek i leżącego twarzą do ziemi. Gdy spojrział w drugą stronę, ścisnęło go w żołądku. Zobaczył tam Yseul, pobitą z krwawiącą twarzą. Siedziała przywiązana do słupa. Obok leżał Gwerys, sprawiający wrażenie martwego.

- Yseul! - szepnął Gidyon.

Obróciła się wolno. Miała czerwone oczy.

- Koniec z płaczem - powiedział. - Pamiętaj, że obiecałaś nie dawać im satysfakcji.

- Ty też coś obiecałeś. Zaufałam ci, a ty mnie okłamałeś.

Zabolało go to.

- Co z Gwerysem? - zapytał, choć wolałby nie poznać odpowiedzi.

- Śpi.

Gidyona zalała fala ulgi.

- A Figgis?

- Powiesili go i pobili. Chyba jest nieprzytomny. Zresztą, mam to gdzieś. Daj mi spokój, kłamco.

- Yseul, potrzebuję twojej pomocy. Czy to już wieczór?

- Zmierzch. Wkrótce umrzemy, Gidyonie.

Osiągnął przynajmniej tyle, że znów zaczęła się do niego zwracać po imieniu. Musiał znaleźć sposób, aby ocalić ich wszystkich.

- Figgis! - zawołał. - Figgisie, zbudź się!

Brak odpowiedzi.

- Nie możemy nic zrobić, Gidyonie. Tylko czekać na śmierć.

Leż spokojnie.

- Co?! - wrzasnął na nią. - To tak się starasz? Chcesz im pozwolić, żeby spuścili z ciebie krew, zabili twego brata, usmażyli Figgisa i diabli wiedzą co zrobili ze mną?

- No, jeśli nie masz żadnej magicznej mocy, dzięki której mógłbyś nas stąd wyciągnąć, Gidyonie Gyncie, to nie mam innego wyjścia, jak tylko czekać.

Trafiła w sedno.

Lauryn twierdziła, że ona i Gidyon posiadają magiczną moc. Jak mógł do niej dotrzeć... i wykorzystać ją? Gdy Sorrel opowiadała o czarodziejskich wyczynach jego ojca, słuchał z otwartymi ustami. Przecież musiał odziedziczyć choćby niewielką część jego mocy!

Czuł się bezradny. Bez dalszych informacji Figgisa i kontaktu z Lauryn był zupełnie zagubiony. Gdzie była jego siostra? Dlaczego się z nim nie łączyła? I dlaczego on, u diabła, nie potrafił nawiązać z nią kontaktu?

Yseul odwróciła się z niesmakiem. Milczała. Przez chwilę, która zdawała się wiecznością, siedzieli w ciszy.

- Dlaczego ty, Yseul? - zapytał w końcu Gidyon.

Sprawiała wrażenie, jakby czekała na to pytanie.

- Chodzi o moje oczy - wyjaśniła. - Zostałam tu sprowadzona jako dziecko. Pochodzę z daleka, ale Scargyl przypadkiem przejeżdżał kiedyś przez moją wieś. Był wtedy wędrownym kowalem. Gwerys leżał jeszcze w kołysce. Rzadko widywało się dzieci urodzone z takimi dziwnymi, jasnymi oczami. Scargyl przypomniał sobie, że w dawnych czasach, gdy w Duntaryn zaczęto składać ludzi w ofierze, wybrano dziewicę o bardzo jasnych, niemal złotych oczach. Ten debil uznał mój widok za prorocstwo i po prostu uprowadził mnie ze sobą. Jednego dnia żyłam sobie szczęśliwie z rodzicami, następnego byłam już niewolnicą wołu i jego żony.

- A po co zabrał Gwerysa?

- Jako zabezpieczenie. Potrzebny im był „cielak”, ale początkowo chyba nie o to chodziło. Po prostu Scargyl wiedział, że Kocham brata i nie ucieknę bez niego. A teraz wygląda na to, że razem zejdziemy z tego świata.

- Nie, Yseul. Nie dopuszczę do tego.

- Daj spokój, Gidyonie! Aż boli mnie głowa, gdy słucham, jak zaprzeczasz oczywistym faktom. Za niecałą godzinę przyjdą tu po nas. Po upływie kolejnej wszyscy będziemy martwi. Pogódź się z tym i zostaw mnie w spokoju, żebym mogła pomodlić się za brata i siebie. Po prostu daj mi spokój.

*

Przyszli po nich o zmroku, tak jak zapowiadali. Trudno walczyć, gdy jest się związanym, ale i tak Gidyon opierał się z całych sił. Gwerys obudził się i natychmiast uderzył w płacz. Yseul nie pozwoliła sobie na łzy. Znajdowała siłę w milczeniu, ale bez wątpienia serce krajało jej się na myśl o bracie. Błagała oprawców, by go oszczędzili, oni jednak pozostawali głusi na jej prośby. Figgis był nadal nieprzytomny, ale i to nie obchodziło wieśniaków.

Wprowadzono ich na zewnątrz. Zgromadził się tam spory tłum. Wszyscy zebrani mieli na sobie coś, co przypominało czerwone prześcieradła ze szparami na oczy. Gidyon poczuł zapach trunku, dobiegający z perkoczącego nad ogniem garnka. Zebrani kołysali się i monotonnie wyśpiewywali niezrozumiałe słowa. Byli odurzeni narkotykiem.

Gidyon kopnął prowadzącego go mężczyznę. Silne ręce wypchnęły go do przodu, niemal wrzucając do ognia.

- Zrób to jeszcze raz, a poderżnę ci gardło tu i teraz. - To był Scargyl, także w czerwieni.

Figgis, z rękami i nogami związanymi szpagatem, został przywiązany do leżącej na ziemi potężnej kłody. Zostawili go tam, by marzył w chłodzie przedwiosennego wieczoru. Zimno wróciło mu przytomność. Natychmiast otworzył łącze.

Tak mi przykro, chłopcze. Zawiodłem cię - rzekł słabym głosem.

Spokojnie, Figgisie. Zachowaj siły na ucieczkę.

Słowa Gidyona brzmiały idiotycznie, ale Figgis sprawiał wrażenie, jakby je przyjął do wiadomości.

Chłopak rozglądał się gorączkowo, szukając punktu zaczepienia. Znajdowali się na dużej leśnej polanie. Dookoła płała nieregularny krąg małych ognisk, prawdopodobnie rozpalonych po to, by odpędzić wilki, z oddali dobiegało ich bowiem wycie. Gwerys, przywiązywany właśnie do kamiennego stołu, zaczął krzyczeć. Jego zabójstwo zapowiadało

się jako najbardziej rytualne.

- Gwerys! - zawołał Gidyon. Przerażony chłopiec odwrócił się ku niemu. - To tylko zabawa! Popatrz na mnie, Gwerysie. To wszystko są żarty, prawda? Za chwilę wszystko się zmieni i to my będziemy ich wiązać.

Słowa Gidyona w końcu dotarły do malca. Uspokoił się. Jeden z mężczyzn uderzył młodzieńca w żołądek. Ten zgiął się wpół.

- Zamknij się, obcy. - Poznał po głosie gburą ze stodoły. - Ma się bać.

- Z przyjemnością cię zabiję - wystękał złośliwie Gidyon, sam nie wierząc, że to powiedział. Nigdy w życiu nie zabił żadnej istoty.

Przez zawrodość tłumu przebijał się głos miotającej przekleństwa Yseul. Dziewczyna miała zmierzwiłone włosy i wyglądała w swojej furii niczym demon. Gidyon był zadowolony, że wzięła się w garść. Wiedział, że dołączy do niego w walce o przeżycie, zamiast łagodnie iść na rzeź.

Gbur uderzył ją mocno.

- Teraz żałujesz, że nie dałaś mi dupy, co, wiedzmo?

Yseul zamilkła, spojrzała na stojącego przed nią durnia i splunęła mu prosto w nalaną twarz.

- Poczekaj, aż on cię dopadnie. Będziesz żałował, że się urodziłeś - syknęła.

- Kto, ten? Obcy? - zapytał gbur, ocierając twarz. - Ojejku, jak się boję!

- Powinieneś. To Kolekcjoner Dusz.

Wszyscy, którzy to usłyszeli, umilkli. Gidyon przyglądał się, jak przerywają śpiew i zaczynają szeptać. Wyczuwał wahanie, niepewność. Yseul żerowała na ich przesądach. Była sprytna.

- Tak! - podjął grę. - Zstąpiłem do was, by pochłonąć nowe dusze. Jakież może być lepszy na to czas niż przesilenie wiosenne, gdy mieszkańcy Duntaryn robią najgorsze rzeczy? Jesteście gotowi, by pójść ze mną? - Wyszczerył zęby i spojrzał na gburą, który nagle stracił rezon. Powietrze przeszły głos Scargyla.

- Nie słuchajcie ich! Gadają bzdury. Wracajcie do roboty! - zarządził.

Gidyon spuścił z tonu. Bezradnie patrzył, jak kłoda, do której przywiązano Figgisa, zostaje umieszczona na specjalnie skonstruowanej ramie. Jaskiniowiec wisiał teraz poziomo, zwrócony twarzą w dół, w stronę chrustu, który wkrótce miał zapłonąć.

Scargyl kiwnął głową. Podano mu belę aksamitu, po czym tłum na nowo podjął pieśń, tym razem z wielkim zapalem.

Gidyon nie chciał wiedzieć, co znajduje się w środku. Wstrzymał oddech, patrząc, jak

Scargyl odwiązuje jedwabną wstążkę i rozwija belę, odsłaniając szereg lśniących, złowrogo wyglądających narzędzi. Był wśród nich ostry nóż. Scargyl uniósł go i przytrzymał w górze, zwracając się do Yseul.

- To dla ciebie, kochanie. Został umyty w oczyszczonej wodzie. Przyszłaś na ten świat czysta i odejdziesz z niego czysta, a my wypijemy twoją krew i także staniemy się czysti.

- Spłoniesz w piekle, Scargyl! - rzuciła mu w twarz Yseul, po czym znowu zaczęła kląć. Nie zamierzała dać się zastraszyć.

Wolała umrzeć, walcząc i przeklinając ich.

Scargyl tymczasem uniósł jeszcze potworniejsze narzędzie, zaostrome po obu stronach, wyglądające jak złowroga igła. Najpierw popatrzył na Yseul, a potem przeniósł wzrok na drżącego Gwerysa, który teraz tylko cicho skomlał.

- A to dla ciebie, chłopcze. Wiemy, że jesteś czysty. Umrzesz szybko i bezboleśnie. Musimy ponieść tę ofiarę...

Gwerys uśmiechnął się nerwowo i spojrzał na Gidyona.

- Czy już nasza kolej? - zapytał, robiąc dobrą minę do złej gry Gidyon miał wrażenie, że świat wiruje w szalonym tempie. Musiał coś zrobić. Patrząc na ufną twarz Gwerysa, czuł, jak wzmaga się w nim furia. Yseul wciąż rzucała w tłum przekleństwa. Podziwiał jej odwagę. I nagle wewnątrz siebie poczuł miriady wzbierających Barw. Łącze było otwarte. Być może Figgis poczuł ułamek furii Gidyona, przemówił bowiem do niego.

Znajdź w sobie moc, chłopcze. Sięgnij głębiej. On tam jest... Szuka cię.

Gidyon nie rozumiał słów karła. Przerazenie, napięcie i furia zlały się w nim w jedno. Miał wrażenie, że zaraz zemdleje. Tymczasem zapalono świecę, od której miał się zająć stos Figgisa. Za chwilę usmażą go żywcem... Gwerys, z przytkniętym do serca obosiecznym ostrzem, wpatrywał się w Gidyona ufnymi oczyma. Odwróciwszy się, młodzieniec ujrzał Yseul, poruszającą wargami w modlitwie o ocalenie.

I wtedy wylała się z niego fala tęczącej furii.

Ojczy! - wrzasnął, a w jego głowie otwarło się niewyobrażalnie potężne łącze, by zanieść słowo do adresata.

27.

UWOLNIONA FURIA

Tor i Saxon postanowili podróżować także nocą. Obaj wiedzieli, że posuwając się w takim tempie, powinni być wykończeni, a mimo to nie mogli spać. Cloot leciał w górze, wpatrzony w horyzont, a oni szli w milczeniu drogą, którą oświetlał im księżyc w pełni.

Uderzenie bólu było tak silne, że powaliło Tora na kolana. Otwierające się łącze zraniło go, a przez ciało przelały się tęczowe barwy.

Ojczy! - wołał ktoś.

Patrząc cudzymi oczyma, Tor ujrział potworną scenę: przywiązane do ołtarza dziecko, które za chwilę miano zaszlachtować, mężczyznę przymocowanego do rozna. I nie był to zwyczajny mężczyzna.

- Figgis! - ryknął w ciemność Tor.

Saxon przykląkł obok, nie wiedząc, co się dzieje. Cloot błyskawicznie dał nura w dół.

Przez łącze Tor czuł ogromną dawkę mocy, płynącej z niego, przez niego. Nie wiedział, gdzie jest jej początek, a gdzie koniec, nie miał też pojęcia, dokąd zmierza.

A potem wszystko znikło. Leżał twarzą do ziemi, dysząc, jakby za chwilę miał wyzionąć ducha. Jego towarzysze mogli jedynie przyglądać się temu w oszołomieniu.

*

Scargyl uniósł nad głowę obosieczny nóż i przyłączył się do śpiewu zebranych, który wzmagął się, przechodząc w obłąkane zawodzenie.

Osoby patrzące na nieznanego zauważyły, że ten zgiął plecy w niemej udręce. Z rozwartych, napiętych warg nie dobiegał żaden dźwięk.

Mniej więcej sekundę później, gdy Scargyl szykował się do zatopienia ostrza w piersi chłopczyka, jego szata zajęła się dziwnym, białym płomieniem. Płonący mężczyzna zaczął wrzeszczeć; tymczasem płomienie dopadły także pozostałych. Szaty zapalały się od siebie, szybko i z łatwością przenosząc biały ogień. Polana rozbrzmiewała krzykami.

Figgis czuł się jak w transie. Nie widział zbyt dobrze, ale to, co zobaczył, wystarczyło, by wiedzieć, co się dzieje.

Dokończ! - rozkazał Gidyonowi.

I Gidyon dokończył, porażając zebranych białą falą czystej magii. Ostatni cios zarezerwował dla gbur, którego do tej pory nie dopadł płomień. Młodzik zaczął uciekać, ale nie potrafił prześcignąć białego ognia, ścigającego go i liżącego łopoczącą szatę. Gdy się zapalił, jego krzyki przeszły we wrzask, a ogień rozlał się poza krąg.

Teraz zajęły się od niego otaczające polanę drzewa. Białe płomienie, niepokonane przez zimno, wiatr czy wilgoć, rozprzestrzeniały się z furją, nie ustając, dopóki nie spłonęła cała wieś.

Jedynymi osobami, które wyszły z pożogi żywe, byli Gidyon, Yseul, Figgis i Gwerys. Gidyon łagodnie podniósł Figgisa, a karzeł dotknął jego twarzy.

To było konieczne, chłopcze - powiedział, widząc, że jego podopieczny drży.

Łkając w duchu, Gidyon uniósł Figgisa w ramionach i ruszył naprzód. Za nimi podążała Yseul, tuląc Gwerysa. Szli i szli, pragnąc znaleźć się jak najdalej od płonącej wioski.

*

Tor oddychał równo, głęboko, mając wrażenie, że nie pozostała mu piersiach ani odrobina tchu.

- Na wielką światłość, co to było? - zapytał Saxon, kucając obok niego.

Wszystko w porządku? - zapytał Clout ze szczerą troską.

Chyba tak - odparł ostrożnie Tor.

- Widziałem potworną scenę - kontynuował. - To był chyba Gidyon - zauważył ze zdumieniem. - Słyszałem, jak woła „Ojczy!” Uruchomił potężne łącze, po czym nasza moc jakby się połączyła. A ty... ty też to widziałeś?

Saxon pokręcił głową.

- Nic nie widziałem. W jednej chwili szliśmy, w następnej padłem na kolana i jęknąłem, jakby wysysano z ciebie ostatni oddech. Może Clout coś widział lub czuł?

Nie - odparł ptak. - *Ja też nic nie czułem. Przypadkiem zerknąłem w dół i zobaczyłem, że leżysz na ziemi.*

Tor spojrział na Saxona i pokręcił głową.

- Też nic. A to niesamowite białe światło?

- Tylko blask księżyca, Tor. Najwyraźniej było to tylko twoje doznanie.

- Saxonie! - Tor złapał przyjaciela za ramię, nagle podekscytowany. - Przez tę całą podróż spodziewałem się zobaczyć swoje dzieci jako pięcio- czy sześciolatki. Ale ten ktoś, kto mnie zawołał i nazwał ojcem - mój syn - jest już młodzieńcem!

- Fantazja cię ponosi, Tor. Wszystko przez tę nagłą, przerażającą wizję. Nie

wyjaśniłeś jeszcze, co widziałeś, ale najwyraźniej cię to przestraszyło. Strach zmienił twoje postrzeganie.

- Nie rozumiesz! - Tor zdążył już wstać i przechadzał się w kółko w świetle księżyca.

- To był męski głos. Mój syn jest dorosły!

- Zastanów się. Jak to możliwe? Dzieciak... Czekał no! Powiedziałeś: dzieci? Przecież masz tylko syna?

O rany! - jęknął Clout.

Tor spojrział na Saxona i nagle poczuł się winny, że nie powiedział mu jeszcze wszystkiego.

- Zatrzymajmy się na chwilę, Saxonie. Muszę ci o czymś opowiedzieć.

Usiedli na skraju drogi, sięgając po chleb i ser. Nie byli szczególnie głodni, ale potrzebowali czegoś, czym mogliby zająć ręce i usta, podczas gdy Tor szukał właściwych słów.

Clout polecał zapolować, wykorzystując wolną chwilę na poszukiwanie małych stworzonek prowadzących nocny tryb życia. Nie sądził, że tej nocy nadarzy mu się okazja, i klekotał dziobem w rozkosznym wyczekiwaniu. Niech Tor sam opowiada tę skomplikowaną historię.

Medyk przełknął ślinę. Nie było sensu dłużej zwlekać.

- Sax... Pamiętasz, kiedy rodził się Gidyon, a my wszyscy płakaliśmy. Nagle przestraszył nas hałas.

- Tak. Kazałem ci czekać, a sam poszedłem szukać Gotha, żeby odciągnąć go od Alyssy i od ciebie.

Tor kiwnął głową.

- Właśnie. Kiedy cię nie było, pomogłem Sorrel odebrać dziewczynkę... siostrę Gidyona.

Na twarzy Kloeka odmalował się szok. Saxon splunął, wypluwając przeżuwany właśnie chleb.

- Alyssa też o tym nie wie, prawda?

Tor ze smutkiem pokręcił głową, nie odrywając wzroku od Saxona.

- Ty draniu - rzucił Kloek, po czym wstał i zaczął się przechadzać. - Nie dość, że ją okłamałeś, iż jej syn nie żyje, to jeszcze ukryłeś przed nią, że ma córkę. Jesteś podły, Gynt.

Tor pozwolił mu się wygadać. Spodziewał się takiej reakcji.

- Saxonie, uspokój się i posłuchaj. Proszę. Alyssa była wtedy w agonii. Jedynym sposobem uratowania rodziny było kłamstwo. Sorrel odeszła, zabierając oboje dzieci.

Nalegała, bym nic nie mówił Alyssie. Wtedy to wszystko miało sens: przysięgała, że to jedyny sposób na uratowanie życia trzech osób, które kochałem ponad wszystko.

Saxon jęknął, bynajmniej nie przekonany.

- No i?

- Wróciłem... mniej więcej dzień później. Nie mogłem żyć z myślą, że pozostawiłem Alyssę na wpół martwą, a swoje nowo narodzone dzieci powierzyłem obcej osobie.

Czuł, jak wzbiera w nim dawna rozpacz i poczucie winy. Nabrał powietrza.

- No więc, wróciłem do Serca Lasu, ale tam nie było po nich śladu. Nie tylko po Alyssie i dzieciach, Sax. Po nikim, kto kiedykolwiek tam przebywał. Las zatarł wszelkie ślady życia. Podejrzewam, że to sprawka Darmuda Corila.

- Potem mnie pojmano. Byłem zdruzgotany, widząc Alyssę w rękach Gotha. Od momentu, w którym mnie ujrzała, nie wyrzekła do mnie ani słowa. Jechaliśmy do Tal w ponurym milczeniu. Zresztą i tak nie pozwolono mi nawet się do niej zbliżyć.

W mieście, jak ci wiadomo, wtrącono mnie do lochu, a ona znalazła się pod opieką dwórek królowej. Nie mogła mnie odwiedzić. Nie zamieniliśmy ani słowa. Nie mogliśmy używać łącza.

Byłem od niej całkowicie odcięty. Nawet podczas procesu mogłem jedynie na nią patrzeć. A potem... Resztę już znasz.

- Saxonie... Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Nawet gdybym chciał jej powiedzieć, nie miałem okazji. Jak myślisz, po co wezwałem dzieci do Tallinoru? Czas już, żeby poznały prawdę o swoich rodzicach, spotkały się ze mną i z matką... Skoro my mamy do odegrania swoją rolę, one muszą odegrać swoją.

Tor złapał się za głowę, z trudem dźwigając brzemień winy. Powrócił Clout i zaczął oczyszczać dziób z krwi. Niewygodną ciszę przerwał Saxon.

- Dobra kolacja, Clout?

Wyborna! - odparł ptak i zatrzepotał skrzydłami.

Wszystko w porządku? - zapytał Tora.

Opowiedziałem mu całą historię - odparł Tor.

No i dobrze. Pomoże nam, gdy nadejdzie czas - rzekł Clout rzeczowo.

Saxon odwrócił się w stronę Tora.

- Więc gdzie, u diabła, te dzieciaki były przez cały ten czas? Chyba mi nie powiesz, że nie wiesz?

- A jednak. Sorrel zabrała je i znikła. Nie widziałem ich ani nie słyszałem nic o nich od dnia ich narodzin w Sercu Lasu.

Saxon znów zaczął się przechadzać.

- I myślałeś, że nadal są w królestwie?

Tor wstał i otrzepał płaszcz z okruchów chleba. Coś ścisnęło go w żołądku.

- Początkowo tak. Później, w miarę upływu lat, doszedłem do wniosku, że Sorrel musiała je zabrać do innego królestwa. Najwyraźniej tak właśnie było.

- Ale jak wytłumaczysz to, że twój syn jest już dorosły? Powiedziałeś, że to młodzieniec.

- Nie mam pojęcia - odparł Tor, całkowicie skonsternowany.

- W takim razie to nie mógł być Gidyon, Torze - rzekł łagodnie Saxon. - Miałby teraz nie więcej niż pięć, sześć lat. W innych królestwach czas płynie tak samo.

Oczywiście obaj zakładacie, że dzieci pozostały na tym świecie - powiedział Clout, skończywszy się myć. Patrzył przy tym prosto w oczy Tora.

Tor spojrział na sokoła i Saxon dojrzał w nim gwałtowną zmianę.

- Co on powiedział? - zapytał.

- Mówi, że nie możemy być pewni, iż Sorrel została z nimi na tym świecie.

Saxon prychnął.

- Co takiego?

Tor ponownie spojrział na sokoła.

Co masz na myśli, Clout?

Tylko to, że być może zabrała je do innego świata, gdzie czas płynie inaczej... Hm, przecież mogło tak być...

Tor klasnął w dłonie.

- Jasne! Clout mówi, że Sorrel mogła przenieść się do zupełnie innego świata, w którym czas płynie inaczej.

Saxon pokręcił głową.

- To chyba mało prawdopodobne.

- Ale pasuje, Saxonie. Pomyśl! Pozostawiłem Sorrel z umierającą kobietą, dwojgiem nowo narodzonych dzieci i bogiem lasu. Nie mam pojęcia, jak wielką moc posiada Darmud Coril, ale jeśli maczał w tym palce, mógł ich wysłać dokądkolwiek. Mam rację?

W końcu Saxon wzruszył ramionami.

- Może i tak.

- Chodź - powiedział energicznie Tor. - Musimy szybko dotrzeć do Serca Lasu. Nie ma czasu do stracenia.

Gdy znaleźli się już wystarczająco daleko od płonącej wioski, po której pozostała jedynie słaba luna na horyzoncie, Gidyon zarządził odpoczynek. Przez całą noc trzymał Figgisa w ramionach, wsłuchując się w rwany oddech karła.

O wschodzie słońca Figgis przemówił do niego.

Dziękuję - szepnął.

To było przerażające, Figgisie. Co ja zrobiłem?

To, co musiałeś zrobić. Wioskę należało oczyścić. Ocaliłeś nam życie.

A zabrałem je dziesiątkom innych.

Obawiam się, że wszyscy oni byli już gotowi na spotkanie swoich bogów - pocieszył go Figgis. - To było nikczemne miejsce, Gidyonie. Proszę, nie miej do siebie żalu.

Wezwąłem ojca. W tym całym strachu i gniewie chyba otworzyłem łącze i zaczerpnąłem jego mocy. Albo coś wyzwoliło ją we mnie... Nie jestem pewien.

Kiedyś spotkałem twojego ojca.

Tak?

Tak, niedawno, w mieście zwanym Cypryzją. Jesteś do niego tak podobny, że można by was pomylić.

Naprawdę? - Gidyon czuł się pokrzepiony.

Rozmawialiśmy tylko przez chwilę. Jak dwaj obcy, prowadzący zdawkową rozmowę. Wiedziałem, kim jest, ale on mnie nie znał.

Tyle jeszcze muszę się dowiedzieć.

Po to tu jestem. Będę cię uczył i strzegł. Już nigdy nie będziesz musiał ratować mi życia.

Więc przeżyjesz? - zapytał z ulgą Gidyon.

Trzeba czegoś więcej niż kilku złamanych kości, by zabić Jaskiniowca, mój chłopcze. Jeśli tylko dotrzesz ze mną do Serca Lasu, nic nam nie będzie.

Obdarzył Gidyona uroczym uśmiechem, który sprawił, że chłopak poczuł się bezpieczny i kochany. Pochylił się i ucałował małego człowieczka w czoło.

Dziękuję, że jesteś ze mną.

Zawsze będę - odparł Figgis, po czym odpłynął w chorobliwy sen.

Gidyon ułożył go łagodnie na miękkiej trawie, na której spali przez całą noc, i nakrył własnym kabatem. Miał nadzieję, że odpoczynek pomoże przyjacielowi odzyskać siły. Figgis potrzebował po prostu trochę spokoju.

Yseul zaczęła się wiercić. Gwerys nadal spał.

- Yseul - szepnął Gidyon, ujmując jej dłoń i całując łagodnie.

Dziewczyna otworzyła swoje dziwne, piaskowe oczy.

- Jesteśmy już bezpieczni, prawda?

Kiwnął lekko głową.

- Przysięgam.

Yseul usiadła i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Wybacz mi te wszystkie straszne rzeczy, które ci powiedziałam. Tyle ci zawdzięczam, Gidyonie. Nic nie rozumiem z tego, co się wydarzyło, ale...

Uciszył ją i pogłaskał po włosach.

- Zawsze dotrzymuję obietnic - szepnął.

Cofnęła się.

- Kim jesteś?

- Kolekcjonerem Dusz - odparł z łobuzerskim uśmiechem.

- Nie żartuj, nic lepszego nie zdołałam wymyślić. Och, byłam tak przerażona!

- Byłaś niesamowita. Dodałaś mi odwagi, Yseul. Przy tobie wyszedłem na słabeusza.

- Ale nie na końcu - mruknęła, wlepiając w niego spojrzenie dziwnych oczu.

Wytrzymał jej wzrok.

- Czy uwierzysz, jeśli ci powiem, że ja też niewiele z tego rozumiem?

Przyjrzała mu się badawczo, jak to wielokrotnie czyniła w stodole.

- Wierzę. Cały czas dzieją się dziwne rzeczy. Ufałam ci od pierwszej chwili... i nadal ufam.

- Dziękuję - odparł szczerze, bo naprawdę nie potrafiłby tego, co się stało, przekonująco wytłumaczyć.

Dziewczyna spojrzała na Figgisa.

- A twój przyjaciel?

- Zaniosę go tam, dokąd idę. Tam nam pomogą.

Kiwnęła głową.

- A dokąd właściwie idziesz?

- Do miasteczka o nazwie Flat Meadows, a później do Axon.

- Och, to na skraju Wielkiego Lasu. Ludzie się go boją.

- Boją?

- No, w każdym razie czują przed nim respekt. Skrywa prastare tajemnice. Ja wierzę w to, co widzę własnymi dziwnymi oczyma.

Zrobiła zeza. Oboje się roześmiali.

- A ty, Yseul? Wracasz do domu?

- Minęło tyle czasu, że już nie wiem, gdzie jest ten dom.

Rozumiał to.

- Więc chodź ze mną. Jeśli nie masz miejsca, które mogłabyś nazwać domem, równie dobrze możesz podróżować z przyjaciółmi.

Yseul zastanowiła się, po czym uśmiechnęła się smutno.

- To bardzo kuszące - rzekła, po czym pochyliła się ku Gidyonowi i obdarzyła go krótkim, łagodnym pocałunkiem - ale ten chłopiec musi mieć prawdziwy dom. Potrzebuje kochających rodziców. Myślę, że muszę go zabrać tam, gdzie jego miejsce.

I tym razem Gidyon zrozumiał, choć poczuł ukłucie rozczarowania.

- To znaczy?

- Do Brittelbury. To tydzień lub więcej drogi stąd na wschód, ale mamy czas.

Właśnie w tym momencie, jakby za sprawą czarów, wędrowcy usłyszeli tętent kopyt. Kilka koni, najwyraźniej spłoszonych przez ogień, zbiło się w gromadkę i biegło bez celu.

- Na koniu pójdzie wam szybciej - powiedział z mrugnięciem Gidyon. - Pomóż mi je złapać.

- Powoli - ostrzegła. - Mogą być przestraszone.

Gidyon jednak w jakiś sposób wyczuł, że konie nie będą się go bały. Nie miał pojęcia, skąd to wie, ale przecucie się sprawdziło: gdy łagodnie zawołał zwierzęta, pozwoliły mu się zbliżyć. Nie domyślał się nawet, że odziedziczył tę zdolność po matce. Kilka minut później konie spokojnie pasły się na trawie obok wędrowców.

- A siodła? - zapytał Gidyon.

- Jako dziecko jeździłam na oklep. Jestem pewna, że nie zapomniałam, jak to się robi.

Oddalił się, przykucnął przy Figgisie i zaczął przeszukiwać mu kieszenie. Wrócił zadowolony.

- Masz - powiedział, podając dziewczynie ciężką sakiewkę.

Yseul zajrzała do środka, po czym wytrząsnęła kilka monet.

- Nie, Gidyonie. Dla kogoś takiego jak ja to majątek.

- Wierz mi, on chciałby, żebyś to zatrzymała i bezpiecznie zawiozła brata do domu.

Wystarczy na siodło?

- Nie wiesz? - zapytała z niedowierzaniem. - Gidyonie, za te pieniądze moglibyśmy wystawnie żyć przez kilka tygodni! Starczyłyby na dziesięć siodel i może jeszcze kilka koni!

- To świetnie. Zaslugujecie na to. - Wyrzucił w powietrze złotą monetę. - Nam wystarczy ta jedna. Obiecuję, że będziecie spać w zajazdach i bezpiecznie podróżować. Dobrze się odżywiają. Zabierzcie konie, a kiedy dotrzecie do domu, możecie je sprzedać. Po prostu

bądźcie ostrożni.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Nic. Chciałbym, żebyś pojechała z nami, ale rozumiem, dlaczego nie możesz.

- Ja też bym tego chciała - odparła.

Gidyon pocałował dziewczynę. Był to pierwszy prawdziwy pocałunek w jego życiu.

Tak wspaniały, że chciał, aby trwał wiecznie.

- Jesteś pewna, że musimy się rozstać? - zapytał, gdy w końcu niechętnie odsunęli się od siebie.

- Wiesz, gdzie mnie szukać. Możesz przyjechać i odwiedzić mnie.

Kiwnął głową.

- Przyjadę.

Popatrzyła na niego badawczo.

- Nie, Gidyonie. Nie przyjedziesz. Nie masz powodu. Czuję, że przybyłeś tu w jakimś ważnym celu.

Gidyon nie mógł znieść myśli, że już nigdy jej nie zobaczy.

- Zaczekaj! - powiedział, grzebiąc w kieszeni. Znalazł to, czego szukał, ponownie otworzył dłoń dziewczyny i położył coś na niej.

- Co to jest? - zapytała Yseul, wpatrzona w mały, matowy kamyczek.

- Możesz nie wierzyć, ale ten przedmiot ma dla mnie wielką wartość. Obiecuję, że nigdy go nie zgubisz, nie sprzedasz ani nie wydasz. Należy do mnie, ale zapewni ci bezpieczeństwo, dopóki nie przyjadę i nie zabiorę cię. Teraz mam powód. Któregoś dnia przyjdę odebrać swoją własność - rzekł.

Yseul uśmiechnęła się.

- W takim razie ten prosty, tajemniczy kamyczek będzie dla mnie równie ważny jak dla ciebie. Równie ważny jak twoja przyjaźń.

Gidyon dziwnie się czuł, wydając swój kamień - jedyną rzecz łączącą go z przeszłością - ale ważniejsze wydawało się, aby Yseul miała coś, co należy do niego. Coś, dzięki czemu musieliby się znów spotkać.

28.

PODRÓŻ LAURYN

Wszystko wydawało się iść jak po maśle. Lauryn lubiła towarzystwo Sorrel, choć była to bardzo zwariowana staruszka i raczej należało na nią uważać. Codzienne rozmowy o ziołach i roślinach fascynowały dziewczynę, która szybko nauczyła się rozpoznawać wskazane przez Sorrel kwiaty i trawy.

Staruszka była pod wrażeniem niezwyklej pamięci dziewczyny. Lauryn nie tylko pamiętała, czym leczyć określone dolegliwości, ale wręcz sama wymyślała mieszanki ziół mogące pomóc w różnych schorzeniach. Zapowiadała się na doskonałą uzdrowicielkę.

Przede wszystkim jednak rozmawiały o jej matce. Lauryn nigdy nie miała dość słuchania opowieści o Alyssie. Szczególnie zadowolona była ze wzmianek o tym, iż jest do niej podobna, zwłaszcza że jej matka uchodziła za piękność. Dziewczynie trudno było uwierzyć w to podobieństwo, ale kiedy o nim myślała wśród nocnej ciszy, czuła się pokrzepiona. Ciągle zmuszała Sorrel do powtarzania opowieści o tym, jak jej rodzice ponownie spotkali się w Caremboche, a potem uciekli do Serca Lasu.

- Jak myślisz, gdzie teraz jest Goth? - zapytała.

- Mam nadzieję, że w grobie - odpowiedziała z niesmakiem Sorrel.

- Ale nie jesteś pewna - stwierdziła Lauryn.

- Nie. Nie słyszałam nic od nim od czasu, gdy ścigał nas w lesie. Nasz przyjaciel Saxon ruszył za inkwizytorem, by odciągnąć go od miejsca, w którym twoja matka starała się ciebie urodzić, kochanie.

Lauryn uśmiechnęła się, próbując to sobie wyobrazić.

- Na pewno się z nim rozprawił. A jeśli nie on, to z pewnością twój ojciec. Jestem o tym przekonana - dodała staruszka.

- Jasne. Ciągle zapominam, że nie wiesz, co wydarzyło się po tym, jak ten cały Darmud Coril odesłał cię z nami. Prawda?

- Tak.

Lauryn szła w milczeniu, rozważając jej słowa.

- Więc w gruncie rzeczy nie mamy pojęcia, co działo się z moimi rodzicami od tamtej

chwili. Może moja matka już nie żyje - rzekła nagle.

- Nie, kochanie. Jak już wspomniałam, wiedziałabym o tym. Wiele nas łączyło. Poza tym wasz ojciec nie wzywałby was, gdyby nie żyła. Tego też jestem pewna.

- Ale skąd możemy wiedzieć, że są razem? Nie mamy pojęcia, co stało się w ciągu ostatnich piętnastu lat.

Sorrel kiwnęła głową.

- To prawda, ale nie przejmuj się tym zbytnio, dziecko. Tutaj czas płynie inaczej niż tam, skąd przychodzimy. W Tallinorze upłynęło go znacznie mniej. Bądźmy dobrej myśli. Nasza sytuacja jest dość trudna nawet bez wyobrażania sobie najgorszego. Ale twój ojciec żyje. Wezwał was. Posuwajmy się małymi krokami, dobrze?

Lauryn dostrzegła zmęczenie Sorrel. Był dopiero późny poranek, a staruszka już z trudem mówiła, nie przerywając wędrówki. To zabawne: w ich świecie zdawała się znacznie silniejsza i zdrowsza. Tutaj sprawiała wrażenie kruchej. Z drugiej strony, przeszły już dużą część drogi. Lauryn nie przypominała sobie, by kiedykolwiek przedtem zdarzyło jej się wędrować choć w przybliżeniu tak daleko. W swoim dawnym życiu - a raczej w tych jego fragmentach, które nadal pamiętała - była leniwa i wykorzystywała wszelkie możliwe wymówki, żeby się nie wysilać. Teraz, wędrując całymi dniami, zauważyła, że cera jej się wygładza, ubranie staje się luźniejsze i nawet humor się poprawia. Nie potrzebowała lustra, by to wiedzieć.

„Jakie to dziwne uczucie - pomyślała - cieszyć się z tego, że jestem sobą”. Było jej lekko na duszy. Martwiła się jedynie posępnym tonem brata, z którym rozmawiała przez łącze.

Kim była dziewczyna, której musiał pomóc? Yseul, tak miała na imię. Jak to możliwe, by Gidyon w tak krótkim czasie tak mocno się z kimś związał, nawet jeśli była to tylko przyjaźń? Lauryn jęknęła, ale gdy Sorrel na nią spojrzała, zignorowała jej wzrok i szła dalej. Gidyon wydawał się zdenerwowany, i to właśnie nie dawało jej spokoju. Martwiła się o niego. Ledwie znalazła kogoś, kogo mogła kochać i o kogo się troszczyć, a on już wpakował się w kłopoty, ona zaś była zbyt daleko, by mu pomóc. Chciała otworzyć łącze i natychmiast z nim porozmawiać, ale zabrakło jej odwagi. Gidyon wyraźnie dał jej do zrozumienia, że potrzebuje spokoju, by myśleć.

Szły wzdłuż coraz gęstszego żywopłotu. Zbliżały się właśnie do zakrętu, gdy Sorrel przystanęła.

- Wszystko w porządku? - zapytała Lauryn, ocknąwszy się z rozmyślań.

- Ktoś się zbliża - powiedziała cicho Sorrel. - Lauryn, muszę ci coś powiedzieć. Jeśli

coś nam się stanie...

- Niby co ma się stać? - przerwała jej zaniepokojona Lauryn.

- Chodzi mi o to, kochanie, że gdyby nas rozdzielono albo gdybym z jakiegoś powodu nie mogła z tobą dalej podróżować, musisz sama dotrzeć do Serca Lasu. Nie czekaj na mnie. Nawet się nie zatrzymuj, cokolwiek się stanie. Idź dalej do Axon, a potem do Wielkiego Lasu, do ojca. Spiesz się.

Lauryn słyszała już męskie głosy i tętent idących wolno koni.

- Lauryn - nalegała Sorrel - nie mów nikomu, kim jesteś ani jak się tu dostałaś. Nie mogą nic wiedzieć o twoim pochodzeniu. Kłam, jeśli będzie trzeba, ale staraj się jak najszybciej dotrzeć do Serca Lasu, sama!

Lauryn słyszała w jej głosie strach, ale nie zdążyła już o nic zapytać, zza zakrętu wyłoniło się bowiem czterech jeźdźców. Kobiety stanęły na poboczu, odwracając wzrok i czekając, aż tamci przejadą.

- Kto to? - szepnęła Lauryn.

- Gwardziści króla - zdążyła jedynie powiedzieć Sorrel.

Konie zwolniły powoli.

- Przepraszam - zwrócił się do kobiet jeden z jeźdźców - czy panie podróżują same?

- Jak widać - odparła Lauryn, zdenerwowana słowami Sorrel. Starsza pani uciszyła ją.

Mężczyzna zsiadł z konia, a towarzysze poszli za jego przykładem. Dowódca podszedł do kobiet.

- Czy mogą mi panie zdradzić swoje imiona? - zapytał.

Sorrel dygnęła.

- Proszę wybaczyć mojej wnuczce. Ma dziś zły humor. - Spojrzała groźnie na Lauryn.

- Jestem Sorrel, zielarka. A to Lauryn. Zmierzamy do Axon.

- Rozumiem - odparł mężczyzna, po czym spojrzał na Lauryn. - Patrolujemy teren w poszukiwaniu bandy zbójców. Zeszłej nocy straciliśmy ich z oczu.

- My nic nie widziałyśmy - rzuciła Lauryn w nadziei, że to zakończy rozmowę.

Żołnierz zignorował ją i zwrócił się do Sorrel.

- Szanowna pani, zalecam ostrożność w podróżowaniu z młodą damą. Ci ludzie potrafią być bezwzględni. Wiedzą już, że za to, co zrobili, czeka ich śmierć, więc nie mają już nic do stracenia...

- Myśli pan, że coś nam grozi z ich strony?

- Cóż, szanowna pani, do następnej wioski nie jest daleko. Proponuję, aby się panie tam zatrzymały, a następnie dołączyły do grupy zmierzającej w stronę Tal czy nawet Hatten.

W grupie zawsze raźniej. Droga wydaje się bezpieczna. Wszyscy wiedzą, że tu jesteśmy, więc nie powinny mieć panie kłopotów.

Uśmiechnął się życzliwie.

- Nawiasem mówiąc, jestem kapitan Lyngos.

- Dziękuję panu - odparła Sorrel i znów dygnęła uprzejmie.

Lauryn nie zdołała się powstrzymać.

- A mnie się wydaje, że podróżując w grupie, szybciej ściągniemy na siebie ich uwagę. Gdy spotkają tylko naszą dwójkę, szybko się przekonają, że nie mamy nic do zrabowania.

Kapitan spojrzał na nią.

- Czyżby?

- Nie - odparła nieco wyniośle. - Podróżujemy pieszo. Mamy jedną torbę i kilka przedmiotów, które nikogo nie zainteresują. A nasze pieniądze pewnie nie wystarczyłyby im nawet na piwo.

- Młoda damo - rzekł kapitan, patrząc jej prosto w oczy - ci ludzie mogą skraść wasze pieniądze, ale mogą też postanowić obrabować cię z czegoś bardziej cennego.

Chwilę potrwało, nim Lauryn zrozumiała, co kapitan ma na myśli. Gdy to do niej dotarło, splonila się, ale on zdążył już wsiąść na konia i ruszyć.

- Niech was światłość prowadzi! - rzucił jeszcze, odwróciwszy się w kierunku Sorrel.

Gdy gwardziści odjechali, Sorrel zbesztala Lauryn.

- Musisz się nauczyć trzymać język za zębami. Jeszcze napytasz sobie biedy. Tutaj nie masz na razie żadnej pozycji. To był kapitan gwardii królewskiej i należało okazać mu szacunek.

Złapał ją atak kaszlu, który przeszedł dopiero po kilku minutach. Nie powiedziała nic więcej.

Gdy doszła do siebie, usiadła na ziemi zmęczona. Lauryn zaczęła się martwić o nią.

- Źle się czujesz, Sorrel? Czy mogę ci jakoś pomóc?

- Nie jestem chora. Po prostu stara - odparła Sorrel. - Mój czas się zbliża.

- Twój czas?

- Moje zadanie dobiega końca. Muszę cię bezpiecznie odstawić do rodziców, a potem będę już mogła udać się na spoczynek.

Brzmiało to w uszach Lauryn zbyt złowieszczo. Zmieniła temat.

- Możesz iść dalej?

- Pomóż mi wstać, dziecko. Musimy być czujne i dotrzeć do najbliższej wioski.

Lauryn zaproponowała, że poniesie torbę Sorrel, ale starsza pani odmówiła. Nalegała, by dziewczyna zmniejszyła jej ciężar, wyjmując trzy jabłka i wkładając je sobie do kieszeni oraz niosąc mały bukłak wody. Lauryn była pewna, że nie robi to wielkiej różnicy, ale świadomość, że może jakoś pomóc, poprawiła jej samopoczucie.

Przez następną milę szły w milczeniu, pogrążone w myślach. Posuwały się wolno, ale pogoda im sprzyjała, a droga była dobra do wędrówki. Lauryn stopniowo się uspokajała. Sorrel bez wątpienia była słaba, ale zacisnęła zęby i nie skarżyła się na nic. Po południu dotarli w pobliże wsi Hamptyn. Sorrel powiedziała, że będą musiały zatrzymać się tam na noc, nawet gdyby to miało oznaczać, że muszą wyblagać u wieśniaków spanie w stodole i odrobinę chleba.

Ledwie skończyła mówić, minęły kolejny zakręt i zobaczyły przewrócony powóz. Na poboczu leżał mężczyzna o twarzy zalanej krwią. Sprawiał wrażenie martwego. Obok niego klęczał chłopiec. Wyglądał na zrozpaczonego. Gdy zobaczył kobiety, skoczył na równe nogi.

- Pomocy! - zawołał. - Mój tata umiera!

- Na światłość! - wykrzyknęła Sorrel i nie zważając na własne przestrogi, zaczęła biec w stronę chłopca. - Szybko, Lauryn! - rzuciła przez ramię.

Lauryn rozejrzała się. Sorrel sama mówiła, że muszą być ostrożne, a teraz bezmyślnie pędziła na miejsce wypadku. Dziewczyna czuła, że coś tu jest nie tak.

Staruszka wygrzebała z torby szmatkę, by móc obmyć mężczyźnie rany i sprawdzić, jak są poważne.

- Lauryn! - wrzasnęła. - Potrzebuję wody!

Lauryn zbliżyła się i podała jej bukłak.

- Weź tę. Zawsze możemy nabrać nowej.

Zerknęła na chłopca. Natychmiast odwrócił wzrok, choć wiedziała, że wcześniej patrzył na nią. Mimo całego niepokoju o ojca na jego twarzy nie było śladu łez. Miała wrażenie, że dzieciak udaje. Ciągle spoglądał gdzieś za jej plecy. No i nie było konia!

Właśnie! Już wiedziała, co jej nie pasowało. Co się stało z koniem, który ciągnął ten powóz?

Odwróciła się gwałtownie, ale było za późno. Zbliżało się do niej trzech krzepkich mężczyzn.

Wrzasnęła. Chłopak złapał ją. Był szczupły, ale silny. Bezlitośnie wpił się palcami w jej ramiona. Sorrel zaczęła wrzeszczeć, ale ranny mężczyzna usiadł i pochwycił ją ze śmiechem.

- Zobaczmy, co masz w tej torbie, babciu. A jeśli nie znajdę tam nic ciekawego,

wemę sobie coś od niej - powiedział, oblizując wargi z krwi i spoglądając na Lauryn.

- Nie! - krzyknęła Lauryn, tym razem w lot pojmując, o co chodzi.

Jeden z mężczyzn machnął jej przed nosem świeżo zabitym królikiem. Z poderżniętego gardła wciąż ciekła krew, którą powalano twarz mężczyzny. Lauryn próbowała go odepchnąć, ale tylko pobrudziła sobie twarz. Mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

- Zabierzcie ją do lasu - powiedział jeden z nich, przygniatając Sorrel nogą do ziemi.

Staruszka w końcu odzyskała głos.

- Uciekaj, Lauryn, uciekaj!

Chłopiec odwrócił się i uderzył ją tak mocno, że upadła na plecy. Leżała bez ruchu.

Lauryn ocknęła się. Czuła, jak narasta w niej furia, i choć dwóch potężnych mężczyzn dosłownie podniosło ją z ziemi i niosło w stronę pobliskiego zagajnika, podjęła heroiczną walkę. Wrzeszczała, kopała i gryzła, gdzie tylko się dało. Udało jej się złapać jednego z nich zębami za ucho i oderwać płatek. Mężczyzna wrzasnął i puścił ją, ale drugi wciąż mocno trzymał. Od jego uścisku zdrętwiała jej ręka.

Uderzył ją.

- Wstawaj, Belco! - rozkazał towarzyszowi. - Pomóż mi ją stąd zabrać. Potem się zabawimy i będziesz miał okazję do zemsty. I tak miałeś wstrętne uszy.

Teraz także Belco ją uderzył, na wszelki wypadek. Następnie wykręcił jej rękę za plecami tak mocno, że bała się, iż ją złamie.

W głowie huczało jej od uderzenia, ale przed oczami wciąż miała obraz leżącej bez życia Sorrel i zbrojcy przetrząsającego jej rzeczy. Dołączył do nich herszt bandy wraz z chłopakiem.

- Co z moją babcią? - wrzasnęła Lauryn.

- Zdechła - syknął wrednie herszt. - Też tak skończysz, jeśli się nie zamkniesz.

*

Kapitan Lyngos i jego ludzie dotarli do wyznaczonego punktu. Jego dowódca, podmarszałek, na wpół rozebrany klęczał przy strumieniu w pobliżu miejsca, w którym rozbili obóz. Wstał, strząsając wodę z twarzy i włosów, po czym wytarł się starą koszulą. Był przystojnym mężczyzną. Przypominał kapitanowi młodego marszałka Cyrusa. Był też równie dowcipny i inteligentny, a brawurą i arogancją zjednywał sobie serca dam.

Początkowo trudno było żołnierzom zaakceptować jego zwierzchnictwo. Wszyscy pamiętali go jako chłopca, którego znaleziono przykutego do pałacowej bramy. Teraz stał się mężczyzną. Nieszczerólnie wysokim, ale silnym i o wielkim sercu. Zdobył ich uznanie ciężką pracą, pokonując wszystkich w walce na miecze, kije, a jeśli było trzeba, to i na pięści. Żadne

ze zwyczajstw nie przyszło mu ławo, ale pozostawał niepokonany.

Wszyscy wiedzieli, że młodzieniec nie prosił o powierzenie mu tej funkcji. Był ulubieńcem króla i nominacja po prostu spadła na jego szerokie barki, a on nie miał innego wyjścia, jak tylko ją przyjąć. Nie nadużywał pozycji: był dość inteligentny, by wiedzieć, że musi przejmować rolę dowódcy krok po kroku. Na zaufanie trzeba było zapracować. Teraz, gdy marszałek Herek wyjechał, jego zastępca przejął komendę nad żołnierzami, którzy zostali na miejscu.

- Coś nowego? - zapytał, podchodząc do nich swoim nonszalanckim krokiem.

- Nic, sir. Cisza. Jedyne osoby, jakie spotkaliśmy za Hamptyn, była starsza kobieta z pyską wnuczką.

Gyl kiwnął głową.

- Muszą być niedaleko. W końcu przekombinują i przyskrzynimy ich. - Podszedł do swojej sakwy i wyjął czystą koszulę. - W porządku, ruszamy. Ustalimy nowe miejsce spotkania, a potem dokładnie przeczeszemy następną dziesięć mil.

- Tak jest.

- Niech twoi ludzie najedzą się i odpoczną, Lyngos.

Kapitan kiwnął głową i zsalutował, po czym odwrócił się, by wydać rozkazy.

- Aha, Lyngos. Te kobiety, które spotkałeś... Czy powinny samotnie podróżować? W jakim wieku była dziewczyna?

- Jakieś szesnaście lat, sir. Skromnie ubrana. Szły pieszo i upierały się, że nie mają nic wartego grabieży.

- Oprócz pewnej oczywistej rzeczy, którą ci dranie wezmą bez chwili namysłu - rzekł Gyl, kręcąc głową. - Zaproponowałeś im eskortę?

- Nie, sir. Upierały się, że chcą iść same.

Gyl uważał, że kapitan powinien był nalegać. Sam Lyngos także doszedł do tego wniosku. Ci ludzie dokonali wielu zabójstw. Wiedzieli, że ciąży na nich wielokrotny wyrok śmierci, więc nie mieli już nic do stracenia. Gwałt był jedną z ich ulubionych rozrywek. A podróżujące pieszo starsza kobieta i młoda dziewczyna stanowiły łatwy łup.

- Dziękuję, kapitanie. A teraz idźcie się posilić - polecił żołnierzom Gyl i zaczął wkładać koszulę.

Znał historię gwałtu Alyssy. Usłyszał ją z jej ust pewnego deszczowego wieczoru, mniej więcej przed rokiem. Nie pamiętał, co spowodowało kobietę do opowiedzenia tego zdarzenia, ale oboje popłakali się, po czym Gyl złożył Alyssie obietnicę, że kiedy zostanie marszałkiem, wszystkie kobiety w królestwie będą bezpieczne.

Te słowa wywołały uśmiech na twarzy jego mentorki.

- Mój dzielny Gylu... A więc myślisz, że zostaniesz kiedyś marszałkiem?

- Będę dzielnie dowodził ludźmi, a jeśli los tak zechce, zginę za swoje królestwo - odparł, zrywając się na równe nogi i chwytając miecz, z którego był taki dumny. - I przysięgam, że wszystkie kobiety będą mogły bez obaw podróżować drogami Tallinoru!

Wspomniał, jak jego przybrana matka - kobieta, o której myślał teraz jak o prawdziwej matce - wstała i przytuliła go mocno.

- To wspaniała obietnica.

Wrócił myślą do teraźniejszości i zawołał, by przyprowadzono mu konia.

- Jedźcie. Dogonię was - zapewnił kapitana, który spojrzał na niego pytająco. - Chcę tylko pomóc tym kobietom dotrzeć bezpiecznie do Hamptyn.

Ruszył w drogę miarowym klusem.

*

Lauryn była naprawdę przerażona.

- Czego ode mnie chcecie? - wrzasnęła w kierunku herszta.

- Wszystkiego, co ci jeszcze zostało - odparł ze śmiechem.

- Przywiąż ją na razie do tego drzewa, Belco. Co ci się stało w ucho?

- Ugryzła mnie - jęknął Belco, przygniatając Lauryn do pnia.

- W takim razie będziesz ją musiał ugryźć w miejsce, w które jeszcze nigdy nikt ją nie ugryzł - odparł herszt, uśmiechając się do niej wrednie.

Lauryn wiedziała, że jeśli natychmiast nie zacznie działać, będzie po niej. Ci faceci zgwałcą ją, może nawet będą torturować. I z pewnością zabiją. Zabili Sorrel! Lauryn nie miała teraz czasu na rozmyślanie, ale pamiętała, że staruszka kazała jej uciekać, gdy tylko zwierzy niebezpieczeństwo. Jeśli zginie, nigdy już nie zobaczy Gidyona, nie pozna ojca ani nie przytuli się do matki!

Emocje wywołały w niej nowe doznanie. Najpierw poczuła pulsowanie, a potem pojawiły się Barwy. Miała wrażenie, że przelewają się w jej wnętrzu. Poczuli się nagle beztrojska i... potężna. Tak, to było to! Miała w sobie moc. Nie do końca pojmowała to doznanie, nie wiedziała też, co z nim zrobić, ale kiedy Belco po raz drugi tego dnia boleśnie wykręcił jej rękę na plecach, zareagowała instynktownie.

Mężczyzna z wielką siłą uderzył o przeciwległe drzewo. Rozległ się szcęk łamanych kości i Belco padł bezwładnie na ziemię. Z ucha sączył mu się strumyczek krwi, który jednak wkrótce miał wyschnąć, bo serce już nie biło.

Dwaj pozostali zbójcy stali plecami do tej sceny, ale chłopak zobaczył, co się stało, i

krzyknął przerażony. Mężczyźni odwrócili się, spoglądając najpierw na Lauryn, której ich kompan nie zdążył związać, a potem na leżące na ziemi ciało.

- Łapać ją! - wrzasnął herszt, po czym wszyscy rzucili się w jej kierunku.

Lauryn zamruwała, nadal nie pojmując, jakim cudem zdołała skrzywdzić Belca, po czym zaczęła uciekać.

W głowie rozbrzmiewały jej słowa Sorrel: „Uciekaj, Lauryn, uciekaj!” - więc uciekała niczym spłoszony zając. Podkasała spódnicę i przedzierała się przez zagajnik z szybkością, o jaką nigdy by siebie nie podejrzewała, ale ścigający wciąż byli blisko. Biegła zygzakami, próbując ich zgubić, wiedziała jednak, że robi za dużo hałasu, więc wyskoczyła z zagajnika i wypadła na otwartą przestrzeń.

Rzecz jasna, natychmiast ją zauważyli. Chłopak wkrótce zaczął ją doganiać. Lauryn przyspieszyła, ale czuła się, jakby miała ogień w piersi. Wiedziała, że długo już nie wytrzyma. Być może zdoła uciec dwóm osiłkom, ale nie chłopakowi, a on spokojnie mógł ją przyskrzynić.

Zatrzymała się i zwróciła ku niemu. Dysząc ciężko, spoglądała na niego złowrogo. Stał jak wryty, po czym zaczął się ostrożnie zbliżać.

- Ani kroku dalej - powiedziała.

Rzucił się naprzód, ale coś wyrzuciło go wysoko w górę. Gdy wylądował, słychać było trzask łamanych kości. Zaczął wrzeszczeć z bólu, ale Lauryn nie zamierzała reagować. Obróciła się na pięcie i pobiegła przez pole, nie mając pojęcia, dokąd zmierza. Wiedziała jedynie, że chce uciec jak najdalej od widoku śmierci.

*

Gyl wyjechał zza zakrętu i zobaczył dziwną scenę. Na drodze leżał przewrócony wóz, pusty w środku. Lyngos nic o nim nie wspomniał, a gdyby wypadek wydarzył się przed chwilą, zastałby wielkie zamieszanie, spłoszonego konia i właściciela próbującego go uspokoić. Gyl postanowił nie zsiadać z konia, obawiając się zasadzki.

Zbliżywszy się powoli, dostrzegł nagle leżącą na poboczu, przykrytą kilkoma gałęziami kobietę. Była siwa i na pewno stara. Ogarnęło go złe przecucie. Prawdopodobnie była to staruszka, o której wspomniał Lyngos, ale po jej wnuczce nie pozostał żaden ślad, co sugerowało najgorsze. Uderzył się pięścią w udo, wściekły, że coś takiego mogło się wydarzyć niemal na jego oczach.

Natychmiast podjął decyzję. Skoro babcia nie żyła, nie mógł już nic dla niej zrobić. Teraz musiał ratować dziewczynę.

Spiął konia, wydał bojowy okrzyk i pognał wąskim nasypem w stronę zagajnika.

Dobył miecza i ostrożnie prowadził konia wśród drzew. Nie potrzebował dużo czasu, by natknąć się na martwe ciało Belca. Także tym razem dla bezpieczeństwa pozostał w siodle. Mężczyzna z całą pewnością nie żył, ale trudno było sobie wyobrazić, co właściwie tu się stało.

Świadkowie twierdzili, że widzieli trzech mężczyzn i chłopaka, więc trzech banitów nadal musiało być na wolności. Gyl krzyknął, ale nie otrzymał odpowiedzi, postanowił więc wyjechać z zagajnika i sprawdzić, co dzieje się poza nim. Wyjechawszy zza drzew, zobaczył dwóch mężczyzn biegnących przez pole. Zmrużył oczy i dostrzegł z przodu pędzącą dzikimi susami złotowłosą kobietę.

Spiął konia i ruszył za nimi szalonym galopem. Gdy mężczyźni zobaczyli, że ściga ich gwardzista, jeden z nich natychmiast skręcił w bok. Gyl ruszył za drugim, który już doganiał ofiarę. Szybko się z nim zrównał i ciął od tyłu w nogi, przecinając ścięgno i mięsień. Bandyta zatrzymał się z wrzaskiem. Nie był to jednak herszt bandy.

Gyl nie zwolnił. Przeciwnie, pogonił konia, złapał dziewczynę tak mocno, że zaczęła się wrywać z przerażenia, posadził ją przed sobą i nagle... wyładował na ziemi z taką siłą, że zobaczył gwiazdy.

Miał wrażenie, że minęło mnóstwo czasu, nim zdołał przewrócić się na plecy. Leżał obolały, wciągając powietrze wielkimi haustami. Czyżby koń się potknął i zrzucił go? Nie! Gyl nigdy nie spadł z konia, a już z pewnością nie z Bryksa. Był najlepszym jeźdźcem w całej kompanii.

Leżał i próbował zebrać myśli, czekając, aż ból zelżeje.

Co się stało z Bryksem? I z dziewczyną?

- Znalazłam pańskiego konia - odezwał się jakiś głos.

Gyl uniósł lekko powieki i z wysiłkiem obrócił głowę w tamtym kierunku. Zobaczył ubłoconą dziewczynę.

- Nic pani nie jest?

- Przypuszczam, że to pan jest w gorszym stanie - odparła nieśmiało dziewczyna. - Ja wpadłam do jakiegoś mokradła. Może się pan ruszać?

- Nie wiem. Wszystko mnie boli. Co właściwie się stało?

- Nie mam pojęcia - skłamała Lauryn. - Musiał pan spaść z konia.

Gyl z trudem uniósł się na łokciach i popatrzył na nią.

- Podmarszałek nie spada z konia - powiedział zde gustowany.

- Jak się pan czuje?

- Kiepsko. Mogę panią prosić o pomoc?

Lauryn spojrzała na konia, nie wiedząc, co zrobić.

- Nie ucieknie. Przychodzi na zawołanie. Wabi się Bryx. A ja jestem Gyl, podmarszałek Tallinoru... chciałoby się powiedzieć: do usług, ale w tym stanie...

Lauryn uśmiechnęła się przez błoto, które oblepiało jej twarz i włosy. Przerazenie powoli ustępowało i Barwy cichły. Była zdruzgotana tym, co zrobiła temu mężczyźnie, najwyraźniej spieszącemu jej z pomocą, ale skąd mogła to wiedzieć wtedy, ogarnięta strachem? Nie rozumiała, czym go uderzyła, ale efekt był piorunujący!

- Gdzie oni są? - zapytała, puszczać lejce i podchodząc do niego.

- Jeden leży martwy w zagajniku. Nie mam pojęcia, jak ani dlaczego zginął. Drugiego raniłem mieczem, ale nie śmiertelnie.

Trzeci na mój widok pobiegł w inną stronę. Na światłość! Gdybym tylko utrzymał się w siodle, obaj byliby już skuci. - Gyl ponownie pokręcił głową z niesmakiem. - Podobno był też z nimi jakiś chłopak.

Lauryn przemilczała to.

- Czy widział pan starszą kobietę?

- Tak. Przykro mi, nie żyje. Ci ludzie mają dużo na sumieniu.

Lauryn powstrzymała łzy i pomogła Gylowi wstać.

- Chyba nic nie złamałem - mruknął niepewnie, opierając się na niej i ostrożnie stając na nogi. - Bryx, do mnie!

Młasnął głośno, a koń posłusznie podszedł.

- Odstawię panią do Hamptyn, a potem wrócę tu i dokończę tę sprawę - rzekł życzliwie Gyl.

- O nie! - rzuciła Lauryn, cofając się. - Nie wracam tam!

- A pani babcia? I w ogóle, dokąd pani się wybiera? I chyba nie zamierza pani podróżować sama?

- Babcia nie żyje. A ja zamierzam dotrzeć do Axon, i to zdecydowanie sama - odparła bojowo, pamiętając przestrogi Sorrel.

Popatrzył na nią.

- Jak pani na imię?

- Lauryn.

- A skąd pani pochodzi, Lauryn?

Zaskoczyło ją to pytanie. Sorrel uprzedzała, że nie powinna za dużo mówić, więc rzuciła pierwszą nazwę, jaka jej przyszła do głowy.

- Z Mallee Marsh.

Mężczyzna wydawał się zdziwiony.

- Naprawdę? Moja matka też stamtąd pochodzi. Dlaczego idzie pani do Axon?

- A dlaczego pan zadaje tyle pytań?

- Panno Lauryn, strzegę bezpieczeństwa królestwa. Mam prawo panią wypytywać.

- Czyżby sądził pan, że podróżująca samotnie młoda kobieta może temu bezpieczeństwu zagrozić?

Słowa dziewczyny sprawiły, że poczuł się głupio, ona zaś nie przerywała strząsania z siebie błota, wciąż spoglądając na jego zabrudzoną twarz.

- Nie.

- Zatem dziękuję za troskę, panie... Gyl, zgadza się? Jestem panu wdzięczna za pomoc, ale muszę kontynuować podróż.

- Nie pozwolę pani wędrować samotnie.

Jego upór doprowadzał Lauryn do szału. Poza tym Gyl był bardzo przystojny. Nie miała ochoty siedzieć blisko niego na tym koniu, przywierając plecami do jego piersi, choć z drugiej strony...

Była tak skonsternowana tymi uczuciami, że odezwała się szybko, by je zagłuszyć.

- Czy może mnie pan zatrzymać wbrew mojej woli? Nie złamałam prawa.

Gyl wiedział, że jego argumenty nie brzmią przekonująco.

- Samotna kobieta będzie wędrować do Axon bardzo długo.

- Nie dłużej niż wędrując z dziesięcioma innymi osobami.

Na światłość! Co za denerwująca dziewczucha.

- A nie boi się pani banity, który wciąż jest na wolności?

Lauryn nie czuła już strachu. A jeśli nawet, to był to raczej strach przed mocami, którymi wydawała się władać. Potrzebowała czasu, by się zastanowić, co się stało i w jaki sposób uwolniła magię. Sorrel nalegała, żeby dziewczyna szła dalej sama, jeśli zdarzy się coś nieoczekiwanego. Cóż - to już się stało, a ona musiała iść tak, jak jej przykazano... o ile zdoła się uwolnić od tego przystojniaka. Trudno jej było nawet na niego patrzeć, gdy tak stał z rozpiętą koszulą, odsłaniającą szeroką pierś.

- Nie. Nie boję się, bo wiem, że pan go schwyta i zapewni mi bezpieczeństwo.

Gyl uśmiechnął się w duchu. Jak to możliwe, żeby ta nieznajoma dziewczyna tak dobrze go znała? Szkoda, że mógł oglądać jej twarz tylko przez warstwę błota. Podobała mu się siła, jaka z niej biła.

- Wie pani, którądy iść?

- A mógłby mi pan pokazać? - zapytała. Miała ochotę wytrzeć ubłocone ręce o

spódnicę, ale obawiała się, że to zdradzi jej zdenerwowanie.

Gyl wiedział, że z nią nie wygra. Miał pod opieką swoich ludzi i musiał do nich wrócić. Musiał też pojmać rannego, zrobić porządek z ciałem leżącym w zagajniku i rozpocząć pościg za ostatnim zbójcą. Światłość jedynie wiedziała, co się stało z chłopcem.

- Dłuższy, ale łatwiejszy sposób to wrócić na drogę i ruszyć na wschód.

- To znaczy, że jest inna droga? - zapytała dziewczyna.

- Tak, przez te wzgórza. Są strome. Wspinaczka nie będzie łatwa. Ale wybierając tę drogę, skróci pani podróż o dwa dni. Proszę się kierować na północny wschód, a zobaczy pani Axon, leżące w płytkiej kotlinie przylegającej do jednej z odnóg lasu.

- Zatem wybieram tę drogę. Poza tym, jak sądzę, oddali mnie ona od banity. Znajdzie go pan, prawda?

- Dla pani, Lauryn. Chce pani, żebym poczekał, aż się pani umyje? - Gyl zaczynał myśleć, że chciałby zobaczyć twarz dziewczyny.

Lauryn była przerażona. Na razie przynajmniej udawało jej się ukryć puciołowatą, banalną twarz pod warstwą błota. Poza tym umycie oznaczało zdjęcie ubrania. Nie ma mowy!

- Nie, nie ma potrzeby. Poświęcił mi pan dość czasu. Dam sobie radę. Dziękuję za wskazówki.

- A co z jedzeniem? W tych górach nie ma wiosek.

Lauryn przypomniała sobie o jabłkach, które miała w kieszeni.

Trudno było je nazwać posiłkiem, ale wystarczą. Chciała jak najszybciej ruszyć w drogę.

- Jakoś przeżyję - powiedziała i odwróciła się.

- Jeśli kiedykolwiek będzie pani w Tal, proszę zapytać o mnie! - zawołał za nią. Nie odwróciła się.

*

Pomysł wydawał jej się dobry, dopóki nie znalazła się na wrzosowiskach. Ileż by dała, by podróżować na twardym grzbiecie Bryksa, wsparta o szeroką pierś Gyla! Myśl o nich dodawała jej siłę, a przed oczami cały czas majaczył obraz przystojnego podmarszałka. Wyczerpana wspinaczką dopiero teraz uświadomiła sobie, jak wielki ślad pozostawiły w niej straszliwe wypadki minionych godzin. Samotna, zagubiona i głodna jak wilk, miała ochotę płakać, ale powstrzymywała łzy.

W końcu, gdy już zmierzchało, znalazła osłonięte od wiatru miejsce. Wiedząc, że wkrótce zrobi się zimno, żarłocznie pochłonęła dwa jabłka, owinęła się szczelnie chustą i zasnęła jak suseł.

W przerażeniu i późniejszym oszołomieniu zapomniała skontaktować się z Gidyonem, tym razem jednak miała szczęście, bo kiedy spała, on akurat dokonywał potwornej zemsty na Duntarynie.

*

Bladym świtem przebudziła się z obolałymi od chłodu i twardego podłoża kośćmi, tak głodna, że aż ją mdliło. Rzuciła sondę.

W końcu! - odpowiedział natychmiast Gidyon.

Rozdrażnił ją jego komentarz.

Czyżby? Przypominam, że ostatnim razem to ty kazałeś mi się zamknąć.

Nie zamierzała być taka złośliwa. W gruncie rzeczy oddałaby teraz wszystko, by brat otoczył ją swoimi długimi ramionami i powiedział, że wszystko będzie dobrze.

Witaj, Lauryn. Widzę, że jak zwykle jesteś w uroczym nastroju - nie bez życzliwości odparł Gidyon.

Gdybyś tylko wiedział, co się wydarzyło od czasu naszej ostatniej rozmowy, byłbyś miłszy.

To przykuło jego uwagę.

Co się stało? Jesteś bezpieczna?

Poczuła się pokrzepiona, słysząc w jego głosie taki strach. Jak wspaniale było wiedzieć, że ktoś się o nią troszczy.

Tak, już tak. Sorrel nie miała takiego szczęścia. - Dziewczyna zawahała się, znów walcząc ze łzami. - *Och, Gidyonie... Ona nie żyje.*

Opowiedziała mu wszystko, począwszy od momentu znalezienia przewróconego powozu. Gidyon przez cały czas milczał, zszokowany potwornością tej historii.

A ty? Co się wczoraj z tobą działo? - zapytała w końcu Lauryn.

Gidyon uznał, że to nie jest odpowiedni czas na opowieści.

Och, to wszystko okazało się nieporozumieniem. Czuję się dobrze i właśnie wyruszam z Figgisem w drogę.

Kto to jest Figgis?

To długa historia - odparł chłopak. - *Jak myślisz, ile czasu zabierze ci dotarcie do Axon?*

Ten cały Gyl mówił, że skrócę sobie drogę o dwa dni, więc przypuszczam, że za jakieś dwa dni powinnam tam dotrzeć.

Zostaw otwarte łącze, Lauryn. Nawet jeśli nie rozmawiamy, będziemy przynajmniej czuć, że jesteśmy w kontakcie. Jadłaś już? Szykujesz się do wyruszenia?

Hm, jest tu jedno samotne jabłuszko, które wprost nie może się doczekać, żeby trafić do mojego żołądka.

Usłyszała chichot brata.

W takim razie masz więcej szczęścia niż my! Nam nie zostało nic. Ruszaj w drogę.

Naprawdę czuła się dużo lepiej, mając go w swojej głowie. Po długim przeciąganiu się, zjedzeniu ostatniego jabłka i wypiciu kilku łyków wody znalezionej w wielkich liściach rośliny, o której Sorrel mówiła, że wytwarza najlepszy tonik na artretyzm, Lauryn poczuła się jak nowo narodzona. Odsunęła od siebie smutne rozmyślenia o Sorrel i podjęła zmudną wędrówkę.

29.

POWRÓT DO SERCA LASU

Po szczęśliwym spotkaniu z rodziną Quistów trzej podróżnicy spędzili w Caradoon zaledwie dzień. Tor chciał jak najszybciej rozpocząć podróż powrotną do Wielkiego Lasu. Nie miał czasu do stracenia. Musiał odnaleźć dzieci.

- Żegnaj ponownie, Tor - powiedziała Erynia, ściskając mu dłoń. - Cloot jest piękny. - Uśmiechnęła się i dodała szeptem: - Zazdroszczę mu, że spędza z tobą tyle czasu.

Tor spojrział w kierunku Saxona i Quista, żartujących na temat guza zarobionego przez Kloeka podczas ich pierwszego spotkania. Saxon udawał, że nadal boli go głowa.

- Janus ma fioła na twoim punkcie, Erynio. Wielbi cię.

- Wiem. Ja czuję do niego to samo... na swój sposób. Wtedy, na nabrzeżu, mówiłam poważnie. Tylko Alyssa może dać ci szczęście, Torze.

Erynia natychmiast pożałowała tych słów, wiedząc, że Tor ukarze ich oboje - i zrobił to, z rozkoszą wprawiając ją w zawstydzenie.

- No, to zależy, jakie szczęście masz na myśli. - Uśmiechnął się szeroko.

- Ciii... Nie zapominaj, że obok stoi mój mąż. - W gruncie rzeczy Erynia żartowała, drocząc się z Torem i ciesząc się z faktu, że mogą sobie na to pozwolić. - Tym razem uważaj na Locky'ego, proszę.

- Natychmiast wyślę go z powrotem. Obiecuję.

Kobieta spojrzała w stronę brata, który stał, głaszcząc pysk konia i także nie mogąc się doczekać wyruszenia w drogę w towarzystwie Tora i Saxona.

- Nie spodoba mu się to.

- Jest za młody, Erynio. Nadal ma zbyt wielką ochotę na bohaterską śmierć. Musi jeszcze poznać kilka kobiet. - Tor ucałował rękę Erynii. - Wtedy będzie wiedział, że warto żyć.

*

Wspaniałomyślnie dostarczone przez Quista konie bardzo przyspieszyły podróż. Wystarczył zaledwie dzień, by wędrowcy dotarli do najbardziej na południe wysuniętego miejsca będącego w zasięgu wpływów Caradoon.

Była to przyjemna przejażdżka. Clout leciał na przedzie, a Saxon, w dobrym nastroju, opowiadał przyjaciółom historie z okresu Cyrku Zorros oraz swojego życia wśród żołnierzy Tarczy.

Serce wzywa, Tor - odezwał się łagodnie Clout, gdy jego towarzysze dostrzegli w oddali odnogę Wielkiego Lasu.

Tor dobrze wiedział, że Locky nie chce się z nimi rozstać. Jeszcze trochę i zacznie ich prosić, żeby go wzięli ze sobą.

- Locky - rzekł Tor, nim tamten zdążył się odezwać - jesteś wspaniałym przyjacielem. Obiecuj mi, że będziesz się opiekował siostrą. Nie mam wątpliwości, że kiedy znów się spotkamy, będziesz kapitanem własnego pirackiego okrętu, w każdym calu dorównującym Quistowi.

Locky uśmiechnął się smutno.

- Tyle że to nie morze mnie pociąga, Tor. Chcę wstąpić do Tarczy.

Tor kiwnął głową.

- Coś mi się obilo o uszy. Poczekaj jeszcze rok, Locky, a wtedy Saxon spróbuje cię zarekomendować. Pija z marszałkiem.

Locky'emu zalśniły oczy.

- To prawda, Saxonie? Naprawdę jesteś przyjacielem marszałka Hereka?

Saxon był zadowolony, że część chwały spada na niego.

- Słowo. Nabierz trochę ciała, Locky, i nie zaniedbuj nauki. Pogadam z Herekiem, ale dopiero, gdy ukończysz piętnasty rok, chłopcze.

- Umowa stoi! - zawołał Locky, spluwając na rękę.

Saxon zrobił to samo, po czym ucisnęli sobie dłonie, pieczętując obietnicę.

Tor przyglądał się temu z ulgą. Nie miał zamiaru wciągać Locky'ego z powrotem w swoje sprawy, o ile to było możliwe. Chłopak powinien żyć bezpiecznie u boku siostry, jak najdalej na północ od Tal.

- No, Locky - rzekł w końcu Saxon - siadaj na konia i wracaj do domu z dwoma pozostałymi, nim jeszcze ruszymy do lasu.

Locky uśmiechnął się szelmowsko, uściskał mocno obu przyjaciół i pomachał Cloutowi. Był to dziecinny gest i Tor żałował, że chłopak nigdy się nie dowie, iż Clout świetnie go zrozumiał, a nawet odpowiedział.

Niech światłość rozjaśnia ci drogę. Wracaj bezpiecznie do domu, chłopcze! - zawołał sokół, ale słyszał go tylko Tor.

Machali rękoma, dopóki Locky, prowadzący dwa pozostałe konie, nie zniknął za

zakrętem. Wówczas ruszyli w stronę lasu.

- Wracamy do domu, Saxonie - rzekł medyk, spoglądając w kierunku leśnego azylu.

- Miło znów się tu znaleźć - odparł Kloek.

Ramię w ramię, mężczyźni ruszyli ku pierwszemu rzędowi drzew, szepczących na powitanie.

Na skraju lasu stała Arabella, ocierając z twarzy łzy ulgi, która ogarnęła ją na widok dwóch ukochanych mężczyzn. Uścisnęli się, po czym całą trójkę wchłonęła ciemność i spokój Wielkiego Lasu.

*

Wędrówka Gidyona do Axon przebiegła bez przeszkód. Chłopak przez całą drogę niósł Figgisa, co drażniło małego człowieczka równie mocno, jak zachwycało. Z jednej bowiem strony czuł się upokorzony własną słabością - myśl, że paladyn musi być niesiony przez dziecko, była dla niego nieznośna - z drugiej zaś uwielbiał patrzeć na twarz młodego mężczyzny, który nie tylko ocalił mu życie, ale stał się jego głównym sensem. Figgis był sprzężony z chłopcem i miał go chronić z narażeniem własnego życia, dopóki nie przyjdzie śmierć.

Jaskiniowiec spędził w towarzystwie Torkyna Gynta niewiele czasu, ale uderzało go podobieństwo syna do ojca. Gidyon był podobny do Tora nie tylko z wyglądu, ale nawet z intonacji głosu i postawy. Co do osobowości, Figgis nie zdążył jeszcze poznać chłopaka, ale przeczuwał, że i tu podobieństwo będzie bardzo duże. Gidyon wykazał się już chłodną odwagą, z której słynął jego ojciec.

- Wiesz, Figgisie... - rzucił wesoło Gidyon.

- Mam nadzieję, że mi powiesz, iż dotarliśmy do Axon - odparł Jaskiniowiec.

- Owszem. Według drogowskazu została nam jedna mila.

Gidyon postawił towarzysza na ziemi, by mógł się lepiej przyjrzeć, po czym zakomunikował Lauryn, że jest na miejscu. Był dumny, że potrafi to zrobić: od czasu wybuchu swojej mocy w Duntaryn nie miał problemu z otwarciem łącza wiążącego go z Lauryn.

Jaskiniowiec przez chwilę rozglądał się po okolicy.

- Musimy iść prosto do lasu - oznajmił w końcu.

Gidyon pokręcił głową.

- Skąd wiesz?

- Serce Lasu nam pomoże. Cały las będzie nas prowadził do miejsca, w którym, mam nadzieję, czeka już na nas twój ojciec.

Gidyon ponownie wziął przyjaciela na ręce. Ruszyli prosto w kierunku widniejących w oddali drzew.

- Jeszcze trochę i będziemy na miejscu - pomyślał głośno.

- Denerwujesz się, chłopcze?

- Nie. To nie to. Po prostu nie mogę się doczekać. Przez wszystkie lata zastanawiałem się, kim byli moi rodzice i dlaczego zostałem sam. To najważniejsze wydarzenie w moim życiu.

Figgis westchnął w duchu, wyobrażając sobie to, co nastąpi później.

- Och, w przyszłości mogą nas czekać jeszcze większe wydarzenia - rzekł.

- Figgisie, popatrz!

Naprzeciw nich, na skraju lasu, czekając cierpliwie, stała ogromna szara wilczyca. Patrzyła prosto na nich.

- Mówiono mi, żebym oczekiwał osła, kapłanki i wilka. To ten wilk. Jest piękny - powiedział w uniesieniu Gidyon.

- To, mój chłopcze, nie jest zwyczajny wilk. To wilczyca o imieniu Solyana - mówił Figgis załamującym się z emocji głosem. - Proszę, Gidyonie, zanieś mnie do niej.

Gidyon niemal podbiegł do miejsca, w którym stała wpatrzona w nich spokojnym wzrokiem wilczyca.

Figgis otoczył ją ramionami i Gidyon ze zdumieniem zobaczył, że karzeł roni łzy w jej gęste futro. Solyana polizła Jaskiniowca. Była to tak intymna scena, że chłopak poczuł się jak intruz. Nagle usłyszał w głowie głos Solyany. Był łagodny i piękny jak ona sama.

Nie przejmuj się nami, Gidyonie. Nie widzieliśmy się bardzo, bardzo długo. Jestem bardzo zaszczycona, mogąc cię przywitać w Sercu Lasu, mój chłopcze. Tu jest twój dom. Serce Lasu zawsze będzie cię chronić i kochać.

Gidyon był zdumiony. Wilk przemawiał mu wprost do głowy z taką lekkością i wdziękiem, że chłopakowi wprost odjęło mowę. Instynktownie pokłonił się nisko wspaniałemu zwierzęciu. Przypuszczał, że Solyana także należy do grona paladynów, co oznaczało, że odsłużyła już jakiś czas w bitwie. Miał nadzieję, że nie zawiedzie ich oczekiwań, jakiegokolwiek by były.

Figgis otarł łzy. Łącze wciąż było otwarte i Gidyon skorzystał z niego.

Co z... moim ojcem? - zapytał wilczycę z wahaniem.

Czeka na ciebie, chłopcze. Chodź.

Był nią oczarowany. Uniósł Figgisa, zanurzył palce w gęstej, srebrzystej sierści wilczycy i razem z nią ruszył ku Sercu Lasu.

*

Lauryn kompletnie zatraciła poczucie czasu. Otumaniona głodem i do cna wyczerpana zmuszała się, by przesuwać do przodu to jedną, to drugą nogę, powoli, lecz nieprzerwanie zmierzając naprzód. Najtrudniej było iść pod górę. Prosiła wtedy Gidyona, by do niej mówił, śpiewał, opowiadał jej zabawne historie - wszystko po to, by mogła iść dalej. Za każdą górą czekała zaś nagroda w postaci łatwego zejścia po drugiej stronie. Dziewczyna często się przewracała, obcierając łokcie i kolana albo kłując się o osty i pokrzywy, ale z ponurą determinacją wstawała i szła dalej. Każdy krok przybliżał ją do Serca Lasu. Nie mogła się teraz poddać. Sorrel umarła, pomagając jej tu dotrzeć. Lauryn musiała to zrobić.

W końcu ujrzała widok, o którym mówił jej Gyl: naturalne zagłębienie w ziemi i leżącą w jego wnętrzu wioskę Axon. Na lewo od niej rozciągał się Wielki Las. Nie sądziła, że pozostały w niej jeszcze jakieś siły, ale teraz, ku własnemu zdumieniu, ruszyła truchtem. Tym razem nie upadła. Gdy znalazła się na płaskim gruncie, biegła już całkiem szybko.

Gdy ostatnio rozmawiała z Gidyonem, powiedział, że dotarł wraz z Figgisem do Axon, ale od tamtej pory łącze pozostawało zamknięte. Nie przejęła się tym: była zbyt blisko celu. Czowała już dym unoszący się z wiejskich kominków, ale oddaliła się od Axon, zmierzając w kierunku ciemnych, tajemniczych drzew.

W końcu stanęła na skraju lasu. Oddychała ciężko, wciągając powietrze głębokimi haustami. Schyliła się, opierając dłonie na kolanach. Zabawne: po raz w pierwszy w życiu miała wrażenie, że są kościste. Nadal wciągała powietrze, starając się wyrównać oddech. Gdy wreszcie doszła do siebie, uniosła głowę i... zobaczyła go.

Przeżuwał nonszalancko trawę, gapiąc się na Lauryn. Sorrel mówiła, że powitają ich kapłanka, wilk i osioł, ale oboje z Gidyonem śmiali się z tego. Tymczasem staruszka nie żartowała. Przynajmniej jeśli chodzi o osła.

Lauryn zrobiła krok, ale nogi ugięły się pod nią. Zapadła się głęboko. Oczy zaszyły jej mgłą, nadal jednak wpatrywała się w osła, błagając nogi, by ją do niego zaprowadziły. Dotrzyj tam, powtarzała sobie z każdym bolesnym krokiem. On ci pomoże.

Pomyślała, że mogłaby wyciągnąć rękę i dotknąć osła, ale nagle poczuła, że ziemia podnosi się i zderza z nią. Gdy dziewczyna odzyskała świadomość, zrozumiała, że upadła u stóp zwierzęcia, które teraz trącało ją pyskiem. Była tak wykończona, że popadła w odrętwienie, ale osioł był uparty. Jego aksamitny pysk co rusz pojawiał się jej przed oczami, nagabując szturchnięciami. W końcu, wspierając się na zwierzęciu, dziewczyna z olbrzymim wysiłkiem podniosła się i oparła o ciepły, silny grzbiet.

Zdawało jej się, że słyszy szepty drzew, podpowiadających jej, by wdrapała się na

grzbiet osła. Pomysł wydawał się rozsądny. Za pomocą pnia drzewa i dzięki manewrom samego zwierzęcia cudem zdołała się wspiąć na jego grzbiet. Natychmiast opadła bezwładnie, z rękoma po obu stronach jego szyi i głową kołyszącą się wśród grzywy.

Czuła, jak osioł obraca się łagodnie, po czym powolnym, lecz pewnym krokiem rusza w głąb gęstniejącej, bezpiecznej zieleni lasu.

*

Wysokie drzewa Serca Lasu dawały Clootowi ukojenie. Szmer liści i kołysanie się gałęzi pokrzepiały go, dając poczucie absolutnego bezpieczeństwa. Był w domu. Tam, gdzie jego miejsce. Tam, gdzie nic mu groziło.

W dole Tor i Saxon rozmawiali cicho, napojeni ożywczą wodą z leśnego strumienia i najedzeni do syta posiłkiem dostarczonym przez las. Mówili o tym, co ich czeka. Gdy Tor poruszył temat próby ponownego skontaktowania się z Alyssą, przerwała im Solyana.

Torze - zawołała łagodnie. - Przeprowadziłam ci twego syna Gidyona.

Tor obrócił się gwałtownie. Z gęstwiny drzew wyłoniła się wilczyca w towarzystwie dwóch ludzi. Jeden był bardzo wysoki, szczupły i czarnowłosy. Tor miał wrażenie, że spogląda na własne odbicie.

Obaj z Saxonem zerwali się na równe nogi. Czekali na chłopca, a tymczasem przed nimi stał, z dłonią wspartą na łbie Solyany, młody mężczyzna. Na grzbiecie wilczycy jechał karzeł. Wyglądało to dość komicznie. Nikt jednak się nie roześmiał.

Saxon zareagował pierwszy.

- Figgis! - ryknął.

Hałas wyrwał ojca i syna z odrętwienia.

Tor zrobił kilka nieśmiałych kroków w kierunku dziecka, które trzymał w ramionach zaraz po narodzinach. Spojrzał w niesamowicie niebieskie, patrzące na niego badawczo i nerwowo oczy.

- Gidyon? - szepnął.

Serce Lasu umilkło. Wszystkie oczy spoglądały na syna.

Przez całą wędrówkę do Axon Gidyon szykował się na spotkanie z ojcem. Myślał, że jest już gotów, ale się mylił. Nic nie mogło go przygotować na tę niezwykłą chwilę.

Solyana łagodnie przemówiła do mężczyzny, który odskoczył na dźwięk jej głosu. Wydawał się oszołomiony widokiem Gidyona. Ten z kolei miał nadzieję, że twarz go nie zdradzi. Zastanawiał się, co tak zdziwiło tamtego. Był tak zdenerwowany, że czuł bicie tętna za uchem.

Oto stał przed nim.

Nie miał, rzecz jasna, wątpliwości, kim jest ten mężczyzna. Odnosił wrażenie, że patrzy na samego siebie, starszego o dziesięć lat. Yargo wspominała jemu i Lauryn, że ich ojciec wciąż jest młody i niesamowicie przystojny. Miała rację: te intensywnie niebieskie oczy przykuły go do ziemi, uniemożliwiając wszelki ruch.

A potem ojciec wyrzekł jego imię i wszystkie plany zachowania spokoju legły w gruzach. Chłopak rozplakał się i padł na ziemię. Serce Lasu patrzyło na swego syna.

Tor trzema długimi susami dopadł chłopca i bez dalszego wahania otoczył go ramionami. Zapłakał wraz z nim, podnosząc go, by móc przycisnąć do piersi i powiedzieć, jak bardzo go kocha.

Dopiero gdy Tor i Gidyon w końcu oderwali się od siebie, uświadomili sobie otaczającą ich ciszę. W ten sposób Serce Lasu i jego mieszkańcy oddali tej chwili spotkania należną cześć.

Głos łamał się Torowi z emocji.

- Synu... mamy sobie tyle do opowiedzenia.

Gidyon kiwnął głową, nie ufając własnemu głosowi. Odwrócił się, by spojrzeć na Figgisa, i ze zdumieniem zobaczył, że wysoki, złotowłosy towarzysz jego ojca uniósł w ramionach małego człowieka.

Tor odchrząknął.

- Najpierw jednak musimy dokonać pewnych prezentacji.

Gidyonie, oto Saxon Lis, Kloek i Szósty Paladyn. Jest sprzężony z twoją matką.

Tor zauważył, że chłopcu zabłyśły oczy na wzmiankę o matce. Potem Gidyon przeniósł wzrok na Kloeka, który podszedł, wciąż trzymając na rękach Jaskiniowca.

Saxon skłonił mu się z czcią, której Tor nigdy przedtem u niego nie widział.

- Gidyonie, jestem zaszczycony, spotykając cię ponownie.

Jego elokwencja oszołomiła Gidyona. Odpowiedział najlepiej, jak potrafił, po czym sam dokonał prezentacji.

- Hm... Saxonie... Ojczy... Przedstawiam wam swego paladyna. To Figgis Jaskiniowiec, dzielny Dziewiąty.

Na dźwięk życzliwych słów chłopca Figgis - mimo bólu - uśmiechnął się. Obawiał się, że wkrótce straci przytomność, ale wiedział, że w Sercu Lasu i w ramionach starego przyjaciela jest bezpieczny.

- Saxonie - rzekł - czas już, żebyś zdjął z moich barków część ciężaru.

Aluzja do bitwy z Orlakiem nie umknęła uwagi Saxona. Mężczyzna roześmiał się głośno.

- Chodź, przyjacielu. Damy ci odpocząć i uleczymy cię.

Uradowany ponownym spotkaniem z Dziewiątym Cloot sfrunął na ramię Tora.

Ten wykorzystał okazję, by się odezwać, nim Serce Lasu przyjmie z powrotem swego cennego podopiecznego.

- Figgisie, czuję się zaszczycony ponownym spotkaniem z tobą. Jestem ci niezmiernie wdzięczny za pomoc okazaną mi w Cypryzji.

Figgis mimo bólu zachichotał.

- Po prostu widziałem, że jesteś zajęty czymś innym - powiedział i ucieszył się na widok szerokiego uśmiechu na twarzy Tora.

- Istotnie byłem - odparł medyk. - Locklyn Gylbyt wrócił bezpiecznie na łono rodziny. Jesteśmy twoimi dłużnikami. - Skłonił się, po czym dodał: - Zanim Serce Lasu się tobą zajmie, chciałbym, abyś spotkał się z jeszcze jednym starym przyjacielem. - Tor dotknął siedzącego mu na ramieniu sokoła. - To Cloot z Rork'yel. Przeszedł metamorfozę.

- Cloot? - wyszeptał oczarowany Figgis, po czym skrzywił się pod wpływem ostrego bólu.

Brzmienie dzwonek, narastające podczas rozmowy, osiągnęło teraz hałaśliwe apogeum.

- Chodźmy - rzekł Saxon. - Niech to magiczne miejsce uczyni swój czar.

Zaniósł Figgisa ku Płomieniom Firmamentu, roztańczonym i zonglującym połyskującymi, rozśpiewanymi barwami. Ułożył go na omszonej ziemi pod jednym z olbrzymich dębów. Natychmiast spod mchu poczęły się wyłaniać łądyżki pnączy. Skrzypiąc z wysiłku, gałęzie pochyliły się, by otoczyć swego syna. Ku zdumieniu Gidyona drzewa bez trudu uniosły Figgisa ku najwyższym konarom, poza zasięg wzroku.

- Dokąd go zabrały? - zapytał wstrząśnięty chłopak.

- Zostanie uleczony - odparł z czcią Saxon.

Tor otoczył syna ramieniem.

- Serce Lasu chroni swoje dzieci. Figgis jest bezpieczny.

Gidyon spojrział na ojca i ze zdumieniem pokiwał głową. Nie dało się tego ogarnąć.

- Głodny? - zapytał Tor, uśmiechając się łobuzersko.

- Zjadłbym konia z kopytami - odparł Gidyon.

Wykapany tatuś - mruknął do siebie Cloot.

Słyszałem to, ptaku - odparł Tor i z radością powitał śmiech Cloota, który wybuchł mu w głowie.

Gidyon jadł i rozmawiał jednocześnie, co stwarzało pewne niebezpieczeństwo, ale zdołał skonsumować górę jedzenia, nie przestając trąkotać. Tor i Saxon milczeli, z rosnącym niepokojem słuchając opowieści o podróży chłopca przez Tallinor.

Tor wstał i zaczął się przechadzać. Nie przestał nawet, gdy Gidyon zakończył opowieść.

- I wszyscy oni... nie żyją?

Gidyon kiwnął głową.

- Ja... nie panowałem nad tym. Nawet nie wiedziałem, co robię. Jeszcze chwila, a upiekliby Figgisa i zaszlachtowali Yseul. To po prostu ze mnie wyskoczyło. - Wyglądał na wstrząśniętego swoim dziełem.

Saxon jęknął.

- Gdy występowałem w cyrku, zawsze omijaliśmy Duntaryn. Cieszyło się złą sławą. Krzyż im na drogę.

Tor skrzywił się. Gidyon nie powinien słuchać takich rzeczy.

- Zabójstwo to ostateczność. Nie należy się do niego uciekać. Nigdy!

Gidyon uniósł gwałtownie ręce. Przez ostatnie dwa dni męczyła go myśl o tym, co uczynił, a teraz wprost zrobiło mu się niedobrze. Ledwie zdążył zobaczyć ojca, a już sprawił mu zawód.

- Nie wiedziałem, że potrafię coś takiego zrobić - powiedział, przeczesując palcami proste włosy.

Tor był przerażony tym, co spotkało Gidyona. Chciał go pocieszyć, powiedzieć, że wszystko jest w porządku, ale nie mógł znaleźć właściwych słów. Chłopak zamordował kilkanaście osób. Bez wątplenia dysponował wielką mocą, ale musiał nauczyć się nad nią panować, zamiast pozwalać, by ona panowała nad nim. Patrząc, jak Gidyon przeczesuje palcami włosy, Tor przypomniał sobie, że Erynia kpiła z niego, wytykając mu ten sam nawyk.

- A ta Yseul? - zapytał łagodnie. - Co z nią?

- Wróciła do swojej wioski - odparł nieśmiało Gidyon. - Teraz będzie bezpieczna. Mam... mam nadzieję, że ją jeszcze zobaczę.

Tora zalała fala emocji i ciepła, jakich nigdy wcześniej nie doświadczył. Nie chciał, by ten cudowny chłopiec kiedykolwiek opuścił Serce Lasu. To było jego sanktuarium. Tu był bezpieczny. A jego moc pozostawała w uśpieniu, bo nie było potrzeby jej używać.

Poza azylem Serca Lasu czał się Orlac. Nie byli ani trochę bliżsi utworzenia Trójcy, a Tor z przerażeniem wspominał słowa Lys, że ich czas się kończy. Themesius wkrótce upadnie i Orlac będzie wolny. Prywatne rozmowy Tora z Clotem nic więcej nie wyjaśniły. Jedną z

koncepcji było to, że Trójkę mogą tworzyć tajemnicze Kamienie Ordoltu, inną, że jest to potężna kombinacja połączonych sił Ojca, Syna i Córki.

Kiedy Tor wspomniał o tym Saxonowi, Kloek przyznał mu rację, ale potem zapytał, jaką rolę miałyby w tym wszystkim odegrać Alyssa. Gdyby nie była tak ważna, po co potrzebowałyby własnego paladyna? Tor zastanawiał się nad tym wszystkim, gdy nagle przerwał mu ostrzegawczy okrzyk Arabelli.

- Szybko, Tor! Nadchodzi Kythay. Niesie Lauryn. Kiepsko z nią.

Gidyon pierwszy skoczył na równe nogi, ale Tor powstrzymał go, bo osioł już nadchodził. Szedł wolno, niosąc na grzbiecie dziewczynę, leżącą bezwładnie ze zwieszoną głową.

- Lauryn! - wrzasnął Gidyon.

Cała trójka pobiegła ku Kythayowi, który zatrzymał się i pozwolił Torowi łagodnie unieść córkę w ramionach. Mężczyzna był wstrząśnięty, widząc na zabrudzonym ubraniu Lauryn plamki krwi, a na całym ciele tak grubą powłokę zaschniętego błota, że nie było spod niej widać twarzy, do której na domiar złego przyklejały się splątane włosy.

Usiłował je odsunąć, ale trzymały się mocno. Rozejrzał się z obawą, niepewny, co robić. Wiedział jedynie, że dziewczyna potrzebuje pomocy.

Podaj ją drzewom - poleciła mu Solyana.

Położył dziewczynę na ziemi, a drzewa - nie tracąc czasu - uniosły ją i łagodnie podawały z gałęzi na gałąź, z drzewa na drzewo.

Tor odgadł, dokąd ją niosą, i zaczął biec w stronę sadzawki.

Solyana prześcignęła go i pobiegła przodem. Gidyon dotrzymywał mu kroku, a pozostali ruszyli za nimi.

Cloot i Solyana byli już nad sadzawką, gdy pozostali dobiegli tam zdyszani.

Gidyon zadał głośno pytanie, które w skrytości ducha zadawali sobie wszyscy.

- Nie żyje? - zapytał łamiącym się głosem.

Tor przyglądał się, jak drzewa opuszczają dziewczynę do wody. Płomienie Firmamentu zapłonęły rozzwoniłymi kolorami i w powietrzu wolno zmaterializował się Darmud Coril. Na widok boga Tor poczuł się pewniej.

To Darmud Coril odpowiedział Gidyonowi.

- Nie, synu Serca Lasu, nasza córka wciąż oddycha.

Zostaw ją z nami - usłyszał Tor w głowie łagodny głos Solyany. - *Sadzawka ją uleczy.*

Proszę, Torze, zaufaj mi.

Kiwnął głową.

- Saxonie, Gidyonie... Musimy czekać.

Trzej mężczyźni niechętnie powrócili na polanę.

Siedząc blisko siebie, mruczeili coś na temat stanu Lauryn. Saxon widział, że ojciec i syn są przygnębieni, więc próbował zagać rozmowę.

- Wygląda na to, Gidyonie, że ty i Lauryn słabo się znacie. Czy nie wychowaliście się razem?

Gdy Gidyon zastanawiał się nad odpowiedzią, Saxon pomyślał, że te charakterystyczne pauzy także upodabniają go do ojca.

- Cóż... - odparł chłopak. - Przypuszczam, że znaleźliśmy się przez całe życie, ale niewiele z tego pamiętam. To takie denerwujące. Sorrel powiedziała, że wspomnienia dawnego życia będą się stopniowo zacierały. Moje w zasadzie całkiem znikły. Może Lauryn będzie pamiętać coś więcej. Czuję jednak w głębi serca, że do niedawna nie byliśmy razem. Jak to odgadłeś?

Tor pokiwał głową.

- Ja też tak myślałem, Gidyonie. Może Sorrel celowo was rozdzieliła, żebyście byli bezpieczniejsi. Osobiście nic o tym nie wiem, ale jestem pewien, że kiedy ona sama tu dotrze, powie nam.

Gidyon powiódł wzrokiem od ojca do Saxona, a na jego twarzy malowała się jeszcze większa troska.

- No tak, wy... wy nic nie wiecie.

- O czym? - zapytał Saxon.

Gidyon wziął głęboki oddech.

- Lauryn jest w takim stanie po części dlatego, że ją i Sorrel zaatakowali zbójcy...

To nie było łatwe. Streścił opowieść Lauryn najlepiej, jak potrafił.

- Zobaczyły na drodze przewrócony powóz i chłopca klęczącego obok mężczyzny, który sprawiał wrażenie ciężko rannego. Ale kiedy chciały pomóc, mężczyzna usiadł, a jego kumple z bandy otoczyli je. Sorrel krzyknęła do Lauryn, żeby uciekała.

Moja siostra zobaczyła tylko, że jeden ze zbójców uderzył Sorrel, a ta upadła na ziemię. Potem napastnicy zaciągnęli Lauryn do lasu. Po kilku minutach dołączył ich przywódca. Gdy Lauryn zapytała o Sorrel, powiedział jej, że staruszka nie żyje. Wtedy Lauryn wpadła w furię i kiedy usiłowali ją przywiązać do drzewa, poraziła ich swoją mocą.

Tor złapał się za głowę.

- Jeszcze więcej trupów?

Gidyon wzruszył przepaszająco ramionami.

- Przykro mi, ojcze. Lauryn wie tylko, że rzuciła jednym z nich o drzewo i że prawdopodobnie zginął. Zdołała uciec, a pozostali zaczęli ją ścigać. Gdy chłopak ją dogonił, chyba tylko go zraniła. Oczywiście opowiedziała mi to w wielkim zdenerwowaniu, może w szoku... Podobnie jak ja, nie miała pojęcia, że drzemie w niej taka moc. - Mówi, że wtedy pojawił się jakiś królewski gwardzista, podmarszałek czy jakoś tak...

Tor zerknął na Saxona, a ten wzruszył ramionami.

- Marszałkiem jest Herek - rzekł. - O żadnym podmarszałku nic mi nie wiadomo.

- Mów dalej - zachęcił syna Tor.

Gidyon pokręcił głową.

- W każdym razie z pewnością był żołnierzem i przedstawił się jako podmarszałek. Zjawił się i pogonił zbójców ścigających Lauryn.

- No i? - dopytywał się Saxon.

- No i tyle. Lauryn ruszyła do Axon przez wzgórza. Pewnie dlatego dotarła tu na wpół martwa. Mówiła, że podmarszałek wrócił do swoich ludzi, chociaż nie chciał zostawiać jej samej.

- Nie - rzekł łagodnie Tor. - Chodziło nam o to, co stało się z Sorrel.

- Aha - rzekł Gidyon. - Cóż... Ten żołnierz powiedział Lauryn, że widział ciało Sorrel na poboczu.

Tor wstał i znów zaczął się przechadzać. Był wyraźnie zdenerwowany.

- Nie, nie. To jest bez sensu - mówił. - To nie powinno było się stać. Miałem do niej tyle pytań.

- Nic więcej nie wiem - rzekł Gidyon, spoglądając to na ojca, to na Saxona.

Napiętą atmosferę rozładowało przybycie Cloota.

Tor, poznaj swoją uroczą córkę - powiedział ptak poprzez łącze.

Saxon i Gidyon ze zdumieniem ujrzeni, jak Tor obraca się gwałtownie.

- Nadchodzi - rzekł.

W pierwszej chwili Gidyon sądził, że ojciec ma na myśli Sorrel, gdy jednak się odwrócił, zobaczył piękną, młodą kobietę, podobną do Lauryn. Miała mokre, ale starannie zaczesane włosy, które pod wpływem wody wydawały się ciemniejsze, niż były w rzeczywistości. Wyglądała mizernie: pod pastelowozieloną sukienką jej ręce zdawały się chude, a ramiona kościste. Czy to mogła być Lauryn, którą znał? Próbował przywołać z przeszłości jej obraz, ale rozpoznawał tylko oczy. Potem uśmiechnęła się niepewnie - i wtedy ją poznał. Niezapomniany uśmiech rozjaśnił teraz kanciastą twarz dziewczyny, czyniąc ją niewymownie piękną. Wyglądała wprost niesamowicie.

- Lauryn! - wrzasnął po raz drugi tego dnia i pobiegł ku niej, pozostawiając ojca z tyłu. Podniósł dziewczynę i przygarnął do siebie, wirując z nią i myśląc o tym, jak bardzo jest krucha.

Kiedy się obudziłam wśród tych śpiewających płomieni, pomyślałam, że umarłam i jestem w raju - powiedziała poprzez łącze. - Mogłeś na mnie poczekać!

Spokojnie - odparł łagodnie. - Już jesteśmy razem.

Postawił ją z powrotem na ziemi, a ona wygładziła zgrzebną sukienkę, którą dostała od Arabelli. Była gotowa na spotkanie z ojcem. Spojrzała na człowieka stojącego nieruchomo za plecami Gidyona. Wyglądał na wstrząśniętego... czy raczej udręczonego? Może jedno i drugie. Nic nie mówił. Po prostu stał i patrzył na nią.

Bez wątpienia był ojcem Gidyona: wyglądali niemal identycznie, choć ten pierwszy miał bardziej wyraziste rysy. Dlaczego oczekiwała kogoś znacznie starszego? Ten mężczyzna nie miał na głowie ani jednego siwego włosa. Serce fiknęło dziewczynie koziółka: tak, ten człowiek był tak piękny, jak opisywała go Yargo. Wyglądał niczym bóg. Czy on naprawdę mógł być jej ojcem?

Serce Lasu milczało.

Lauryn wzięła długi, bezszelestny oddech. Musi być silna.

- Witam. - Tylko tyle miała odwagę powiedzieć.

Mężczyzna, o którym wiedziała już, że jest Torkynem Gyntem, odpowiedział zranionym spojrzeniem.

Drugi, złotowłosy, dotknął ramienia towarzysza i szepnął mu coś do ucha.

- Wiem, Tor, to dla ciebie szok. Tak właśnie wyglądała Alyssa, gdy ją pierwszy raz zobaczyłem. Bądź jednak dzielny. Dziewczyna cię potrzebuje.

Tor wpatrywał się w stojącą przed nim kobietę. Wiedział, że to nie Alyssa - przecież nie mogła nią być - ale umysł płatał mu figle. Była tak podobna do matki, że nie wiedział, czy ma płakać z żalu po stracie ukochanej czy z radości, że odnalazł jej córkę. Poczł, że Saxon łagodnie popycha go ku dziewczynie.

Lauryn modliła się, żeby nogi się pod nią ugięły. Puściła dłoń Gidyona i wyszła ojcu naprzeciw. Teraz, gdy byli tak blisko, zauważyła, że Tor ma niewiarygodnie niebieskie, choć pełne łez oczy.

- Jestem Lauryn - powiedziała, starając się panować nad głosem.

Łzy potoczyły się Torowi po policzkach.

- Ja ci nadałem to imię, gdy tylko twoja matka dzielnie cię powiła, nasza najdroższa córko.

Wyciągnął ramiona i poczuł, że wrą w nim Barwy. Przygarnął córkę do piersi.

Nim całkiem poddał się emocjom, pomyślał jeszcze: „Orlac nigdy nie tknie tych dzieci”. Wyciągnął rękę i przygarnął także Gidyona. Solyana, Kythay, Arabella, Saxon, a nawet Cloot zniknęli w ciemnym gąszczu, pozostawiając tę trójkę, by nacieszyła się sobą w swoim prywatnym sanktuarium. Tylko Darmud Coril pozostał i patrzył.

Prawie gotowe - szepnął bóg i westchnął cicho.

W Pustkowiu Lys odetchnęła z ulgą.

Prawie - powtórzyła.

30.

UPADEK DZIESIĄTEGO PALADYNA

Kilka następnych tygodni Tor spędził na radosnym poznawaniu swoich dzieci w bezpiecznej atmosferze Serca Lasu. Czasami czuł się przytłoczony szczęściem, które mu dawały. Lauryn kilka razy zapytała go, dlaczego tak jej się przypatruje, a Gidyon zauważył, że ojciec niekiedy celowo siada tak blisko niego, iż stykają się ramionami. Podobało mu się to, ale powstrzymywał się od komentarza w obawie, że ojciec zacznie się zachowywać bardziej powściągliwie.

Dla Tora był to szczególny czas. Możliwość codziennego widzenia tych dwojga wspaniałych istot sprawiała, że miał ochotę śpiewać. Pewnego dnia, ku zdumieniu wszystkich, zrobił to. Był szczęśliwy. Naprawdę szczęśliwy.

Lauryn zdążyła się już w nim zakochać. Jakże cenna była dla niego miłość tego dziecka! Dostrzegał ją w radości, którą dziewczyna czerpała z każdej wspólnie spędzonej chwili, i w tym, jak chętnie przyjmowała okazywane przez niego uczucia. Czuł, że ta piękna istota bardzo boleśnie odczuła brak miłości rodzicielskiej i teraz, gdy ją znalazła, boi się wypuścić ją z rąk. Nie mógł pozwolić, by kiedykolwiek ją utraciła.

Gidyon był inny. Przybył do Serca Lasu jako ukształtowana osoba, obyta ze sobą i własną samotnością. Tor widział, że chłopak ma głowę na karku, i to nie byle jaką! Był urodzonym przywódcą, a moc, którą władał, zdawała się sączyć z każdego poru jego ciała. Rzucając sondę bez próby nawiązania konkretnego kontaktu, Tor czuł pulsującą wokół syna moc. Gidyon nie był jednak świadom jej potęgi, podobnie jak nie był świadom swojej urody. Tor żywił przekonanie, że chłopcu bardzo się w życiu przyda ta prostolinijność.

Dzieci świetnie się bawiły podczas tych tygodni spędzonych beztrąsko w lesie, a Tor, Saxon i Cloot wspominali wspaniałe dni spędzone z Alyssą po ucieczce z Caremboche. Teraz jednak wiedzieli, że ich dni w tym miejscu są policzone. Na razie jednak dzieci mogły tu spokojnie żyć i poznawać swoją historię.

Wiele jeszcze musiały się dowiedzieć na temat przeszłości swoich rodziców. Wspomnienia z dzieciństwa zupełnie zniknęły. Nawet wspomnienia Lauryn „sprzed Tallinoru”, jak to określała, zacierały się coraz bardziej. Żadne z dzieci nie wydawało się tym

jednak zmartwione, choć oboje ubolewali nad śmiercią Sorrel - szczególnie Lauryn, która spędziła z nią pierwsze dni po przybyciu do tego świata.

Pod wpływem mądrej rady Cloota Tor zaczął opowiadać dzieciom o swojej przeszłości, przeszłości ich matki i wszystkim, co wiedział o przeznaczonej mu dziwnej podróży. Saxon zniknął na kilka dni w lesie, szukając pożywienia, i Tor mógł się spokojnie poświęcić edukacji Gidyona i Lauryn.

Tamtego dnia, po leniwym pikniku, zebrał wszystkie wątki opowieści, zamierzając ją dokończyć. Nie szczędząc szczegółów, opowiedział wszystko, co pamiętał ze swoich snów o Orłacu. O ile historia przemiany Cloota w sokoła wzbudziła ogromne zaniepokojenie, fala pytań, jaka nastąpiła po relacji z późniejszych zdarzeń, kompletnie zaskoczyła Tora. Opowiedział o wszystkim, kończąc na ostatniej podróży do Serca Lasu, dokąd wrócił, by oczekiwać ich przybycia.

Gidyon kręcił głową z niedowierzaniem.

- Więc nasza matka została królową tej krainy?

- Tak mi powiedziano - rzekł Tor.

Lauryn zapytała, nie owijając w bawełnę:

- I co teraz czujesz?

Tor wciągnął powietrze. Od początku obiecywał sobie, że będzie wobec nich szczery.

- Pustkę. Gniew. Ból. - Westchnął. - I może zrozumienie... Taką przynajmniej mam nadzieję - dodał i uśmiechnął się z pewnym zażenowaniem. Rana wciąż była świeża.

- To może być pomyłka - zauważył Gidyon, próbując go pocieszyć.

Tor pokręcił głową.

- Nie, synu. Czytałem oficjalne zawiadomienie i widziałem dobrze znaną mi królewską pieczęć. Poza tym twoja matka jest oszałamiająco piękna, podobnie jak jej córka.

Lauryn miała ochotę się uszczypnąć. Nadal nie mogła uwierzyć, że ktokolwiek, nawet nieobiektywny ojciec, mógł coś takiego powiedzieć.

- Każdy król by się w niej zakochał - dodał cicho Tor.

Lauryn pospiesznie zmieniła temat.

- A Goth? - zapytała. - Jakie zagrożenie stanowi dla niej lub dla nas?

Tor pociągnął z glinianego kubeczka łyk słodkiego wina.

- Nie jestem pewien. Wiem tylko, że teraz przez jakiś czas będzie siedział cicho, by potem powrócić i znów krzywdzić ludzi. Tym razem jednak będę go szukał. Wasza matka została ostrzeżona i jest bezpieczna.

- Ojciec... - zaczął z wahaniem Gidyon - przez cały ten czas nie zdążyliśmy

porozmawiać o tej całej Trójcy ani o tym, co mamy z nią wspólnego.

Tor kiwnął głową.

- Masz rację. Nie rozmawialiśmy o tym, bo nie wiem, co wam powiedzieć. Nie wiem nawet, czy w ogóle macie coś wspólnego z tą straszną siecią, którą nas omotano, choć zakładałam, że tak. Nie pojmuję idei Trójcy, podobnie jak nie pojmował jej Merkhud. Ale jest to nasza jedyna broń przeciwko Orlacowi, więc muszę nadal jej szukać, bo w przeciwnym razie całe nasze cierpienie okaże się daremne.

- Czy to możemy być my? - zapytała Lauryn. Pozostali spojrzeli na nią. - To znaczy połączone siły naszej trójki?

- Możliwe - przyznał Tor. - To była moja pierwsza myśl. Czuję jednak, że pojawiłby się jakiś znak. Wskazówka ze strony Serca Lasu, czy nawet ze strony Lys, mówiąca, że Trójca przybyła. Na razie jednak nic takiego się nie wydarzyło. Wygląda na to, że to jednak nie my.

- Jaki masz plan? Gdzie zamierzasz teraz szukać? - zapytał Gidyon.

- Wszystko w swoim czasie. Na początek chciałem, żebyście trochę odpoczęli w Sercu Lasu. Wkrótce jednak musimy wyruszyć do Tal. Czas, żebyście poznali matkę.

Miał niepewną minę i Lauryn zauważyła jego wahanie.

- Jak sobie wyobrażasz to spotkanie?

Tor uśmiechnął się posępnie.

- Gniewu waszej matki boję się bardziej niż Orlaca.

Dzieci odwzajemniły uśmiech, wiedząc jednak, że w słowach ojca kryje się ziarno prawdy. Zarówno opowieści Tora, jak i Saxona przybliżyły im temperament Alyssy.

- Nie wiem, Lauryn - mówił dalej Tor. - Musisz pamiętać, że wasza matka rodziła was w wielkim bólu, a przede wszystkim w wielkim zamęcie. Nawet nie wiedziała, kiedy to się stało. Co gorsza, nadal myśli, że Gidyon nie żyje. Widziała coś, co - jak jej wmówiono - było jego zwłokami. Potraficie sobie wyobrazić taki ból?

- Kiedy teraz, po tylu latach, zobaczy swego syna żywego, a potem dowie się, iż ukryto przed nią fakt, że powiła jeszcze jedno dziecko, że ja o wszystkim wiedziałem i pozwoliłem was wywieźć... Wystarczyłoby jedno z tych kłamstw, by wpadła w furię. A my zamierzamy ujawnić wszystkie trzy.

Dzieci pokiwały głowami.

- Na koniec będę musiał się przyznać, że pozwoliłem jej patrzeć na swoją śmierć. Kochała mnie tak bardzo, jak ja nadal ją kocham, a jednak pozwoliłem, żeby w to wierzyła. Nie dość, że oplakiwała śmierć syna, to jeszcze musiała się przyglądać brutalnej egzekucji

jedynego człowieka, którego potrafiła jeszcze kochać. Jak zareaguje, gdy mnie zobaczy i uświadomi sobie, że ją okłamałem i zdradziłem?

Na widok przerażenia i troski na twarzach dzieci Tor postarał się je rozweselić:

- Zdaje się, że wszyscy musimy się tam udać w pełnym rynsztunku!

Gidyon i Lauryn uśmiechnęli się, ale nadal wyglądali na zatroskanych.

- Będzie wściekła na mnie, nie na was. Wiadomość o tym, że żyjecie, będzie dla niej wstrząsem, ale pokocha was. Macie na to moje słowo. Dała wam życie.

- Ty też - zauważyła Lauryn. - Będę cię wspierać, ojcze.

Tor poczuł, jak zalewa go fala miłości do tego dumnego dziecka. To, co ich czekało, wymagało takiej odwagi. Miał ochotę przytulić córkę. Tak długo nie było jej w jego życiu, a teraz nie wiedział, ile czasu im pozostało. Był jednak pewien, że nie jest go dużo i że musi go dobrze wykorzystać.

Musiał je uczyć tak, jak Merkhud uczył jego. Gidyon posiadał wielką moc, ale nie panował nad nią i miał trudności z jej przywoływaniem. Trzeba było nad tym popracować. Co do Lauryn, Tor czuł, że będzie subtelnie używać magii, musiała jednak wiedzieć, jak - i kiedy można ją wykorzystywać.

Tor postanowił zatem spędzić w Sercu Lasu jeszcze tydzień i dopiero potem wyruszyć do Tal. To da mu czas na wyszkolenie dzieci w posługiwaniu się sztuką magiczną i na zebranie odwagi przed stawieniem czoła Alyssie.

*

W czasie, gdy dzieci rozmawiały o niej ze swoim ojcem, królowa Tallinoru degustowała sos, który miał uświetnić słodkie danie na wieczornym bankiecie, wydawanym przez króla na jej cześć. Obchodziła właśnie imieniny i kiedy kilka dni wcześniej nieśmiało o tym wspomniała, król uparł się, by urządzić ucztę i przedstawienie dla mieszkańców Tal.

- Po co nam takie ekstrawagancje, Lorysie? To naprawdę niepotrzebne - besztła go, rozpaczliwie żałując, że w ogóle się przyznała.

- Daj spokój, kochanie. Uwielbiam cię rozpieszczać. Nie chcę już słuchać żadnych protestów, a ty omów wszystko z kucharką. Na stoiskach musi być mnóstwo jedzenia dla wszystkich, którzy zechcą przyjść do pałacu i złożyć ci wyrazy szacunku. Będzie wino, muzyka i pieśniarze. Sallementro może napisać dla ciebie pieśń.

- Jeszcze jedną? - Alyssa jęknęła w duchu.

- Ilekolwiek by napisał, nigdy nie będzie ich za dużo. Załatwię też występ chóru Maglieri, zespołu złożonego z najwspanialszych śpiewaków, jakich można sobie wymarzyć. Muszą dać darmowy koncert dla naszego ludu.

Lorys wyliczał i wyliczał, ale Alyssa przestała już słuchać, wiedząc, że będzie musiała przeżyć kolejną scenę balkonową. Dopiero zaczęła dochodzić do siebie po poprzedniej, która miała miejsce w dniu ich ślubu, gdy w dole zgromadziły się chyba tysiące Tallinorczyków. Nie sprawiło jej to przyjemności.

Stanie na tym konkretnym balkonie przywiodło jej na myśl koszmarne wspomnienie egzekucji Tora. Była wstrząśnięta, że po tylu latach tamten obraz wciąż tak ją rani. Musiała się wesprzeć na ramieniu króla, by odgonić złe myśli.

Pomijając tę potworną scenę, o ile Lorys lubił skupiać na sobie uwagę szczerze go wielbiącego ludu, Alyssa nadal czuła się nieswojo w roli królowej. Minęły niemal trzy miesiące od jej zaślubin z Lorysem, a ona nie przestawała się czuć jak uzurpatorka. Kiedy poruszyła ten temat, król po prostu się roześmiał i pocałował ją, by zamilkła, ona jednak wciąż czuła w swoich komnatach zapach perfum Nyrii i nosiła w głowie żywe wspomnienie swojej poprzedniczki.

- Rozpył trochę własnych perfum - zasugerował Lorys, ale to niczego nie rozwiązywało. Król był tak zakochany w swojej nowej żonie, że żaden z jej łagodnych protestów nie robił na nim najmniejszego wrażenia.

Alyssę niepokoiło też to, że Tallinorczycy tak łatwo ją zaakceptowali, choć przez tyle lat wielbili Nyrię. Dopiero stary Koryn, sługa królewski, wspomniął jej kiedyś o dobrej pamięci mieszkańców królestwa.

- Nigdy nie zapomnieli młodej, odważnej kobiety, która przyglądała się, jak jej ukochany umiera straszliwą śmiercią. Nigdy cię nie winili, milady. Cierpieli z tobą na myśl o tym, jak straszny los zgotował ci Goth, i rozpaczali z tobą, gdy umierał medyk Gynt.

Na dźwięk tych słów Alyssa rozplakała się.

- Dziękuję, Korynie - szepnęła, ogromnie wdzięczna za mądrą radę, której w tym momencie bardzo potrzebowała.

- Pozwól im się wielbić, pani. Jesteś doskonałą partnerką dla króla i oni to widzą. Masz w sobie wszystko, co jest dobre dla Tallinoru: wdzięk, elegancję, miłość do wsi, szacunek dla jej mieszkańców i innych stworzeń. Założyłaś już pięć szkół, milady. I na tym się nie skończy. Edukacja młodych umysłów jest naszą przyszłością, ale twoja znajomość zielarstwa, a nawet znak Akademii, stanowią silną więź z przeszłością. Jesteś wspaniałą ambasadorką tej krainy - dodał Koryn.

Stary sługa zmarł zaledwie dwa dni później, i to właśnie Alyssa najbardziej rozpacziała po jego stracie, wciąż słysząc w głowie wnikliwie słowa, którymi zdążył się z nią podzielić. Musiała ufać jego sądowi - i własnemu wyobrażeniu o tym, w jaki sposób nowa królowa

powinna zdobywać szacunek ludu.

Mogła sobie chodzić w olśniewających sukniach, spać w jedwabnej pościeli, być kąpana i czesana przez miriady dwórek, ale w duchu nadal była Alyssandrą Qyn z Mallee Marsh. Najbliżsi dworzanie namawiali ją, żeby pozwalała sobie na większy luksus i rozkazywała im, zamiast uprzejmie prosić, ale nie odpowiadało jej takie zachowanie.

Nyria potrzebowała całego życia, by zaskarbić sobie szacunek, a przecież, choć innym mogłoby się wydawać, że się wywyższa, miała po prostu arystokratyczny styl bycia. Co do Lorysa, pracując jako jego sekretarka, Alyssa przekonała się, że choć odziedziczył tron, nigdy nie zachowywał się tak, jakby zdobył go bez wysiłku. Wierzył, że monarcha musi swoimi czynami zasłużyć na szacunek ludu.

Nie, skoro już Alyssa musiała być królową, zamierzała rządzić u boku króla w jedyny odpowiadający jej sposób. W swój własny sposób.

Dlatego właśnie była teraz w kuchni, z podwiniętymi rękawami i twarzą lśniącą z wysiłku przygotowywania idealnego sosu.

- Spróbuj - powiedziała, zanurzając w miksturze drewnianą łyżkę i podsuwając kucharce.

Kucharka uwielbiała Alyssę. Łączyła je szczególna, cenna dla obu stron zażyłość.

- Cóż, nie powiem przecież mojej królowej, że jest ohydny, co?

- Mów szczerze - odparła z uśmiechem Alyssa. - Jeśli znajdziesz jakieś uchybienie, wygrałaś.

Kucharka posmakowała puszystej, żółtej masy.

- Hm... hm... wyśmienity, wasza wysokość.

Alyssa klasnęła w dłoń.

- Poważnie?

- Tak - odparła kucharka, będąca naprawdę pod wrażeniem. - A teraz proszę go przelać do tej nowej miski - Jos pomoże pani go przenieść - i zostawić na noc do schłodzenia.

Szybko się pani uczy, wasza wysokość.

- Świetnie się przy tym bawiłam - odparła Alyssa, ocierając czoło wierzchem dłoni. Kucharka stanowczym ruchem odłożyła łyżkę.

- Wiem. Ale nie może się pani tu ukrywać. Pani miejsce jest na górze. I czas już, by się pani udała do swoich komnat i uszykowała na wieczór. Musi być pani piękna, a nie czerwona i spocona. Dalej, moja wspaniała królowo, niech się pani stąd wynosi, bo król mi zmyje głowę!

Alyssa skrzywiła się. Naprawdę chciałaby się tu schować. Kucharka miała jednak

rację: musiała się przygotować na wieczorne święto. Nie, żeby Alyssa nie była ludowi wdzięczna za zainteresowanie - była nim zaszczycona i przytłoczona - ale po prostu nie czuła się go godna.

Wytarła do czysta ręce i pospieszyła do swoich komnat, gdzie natknęła się na wychodzącego Gyla.

- Czekaleś na mnie? - zapytała zdumiona.

Pochylił się, by ucałować ją w policzek.

- Nikt nie wiedział, gdzie jesteś, mamó. Czy tak się powinna zachowywać królowa Tallinoru? No i czy to normalne, żeby chodziła po pałacu upaprana... mąką?

- Och, przestań marudzić. Wracaj i napij się ze mną piwa.

- Piwa? - Gyl wybuchnął śmiechem.

Alyssa mrugnęła.

- Nie mów nic królowi. Jestem zakochana w łagodnym piwie tallinorskim, podczas gdy on rozpaczliwie usiłuje nauczyć mnie picia wykwintnych win.

- Obiecuję dochować sekretu - powiedział i ruszył za nią w kierunku jej apartamentu.

Gdy znaleźli się w pokoju, Alyssa posadziła gościa, a sama poszła się umyć i zamówić ulubiony napój. Jej uroda nigdy nie przestała zdumiewać Gyla. Teraz, wyszorowana i przebrana w zwiewną sukienkę, Alyssa wyglądała jak beztraska dziewczyna. Wiedział, że ma dopiero dwadzieścia pięć lat, jest więc całkiem młoda, wiedział też jednak, że niewiele kobiet w królestwie, nawet tych młodszych, może się z nią równać pod względem urody.

Bardzo ją kochał i, choć na zawsze zachował w sercu ukochaną rodzoną matkę, teraz Alyssa zajęła jej miejsce. Gdy po raz pierwszy powiedział do niej „mamó”, rozplakała się. Wtedy to po prostu wyrwało mu się, ale później przylgnęło na dobre. Wiedział, że ona uwielbia słyszeć to słowo z jego ust, a sam cieszył się, że może go używać. Co dziwne, bez trudu przychodziło mu myślenie o niej jako o prawdziwej matce.

Saxon zrozumiał to i powiedział Gyłowi, żeby nie czuł się winny, kochając inną kobietę jak matkę. Zapewnił go, że miłość między dzieckiem a matką jest najczystsza ze wszystkich i że nie ma znaczenia, czy naprawdę są spokrewnieni. Skoro Alyssa zaakceptowała go jako swojego syna, a on bez trudu zaakceptował ją jako matkę, najwyraźniej istniała między nimi szczególna więź. Najbardziej jednak pomogły Gyłowi słowa Saxona o tym, że jego rodzonej matce z pewnością jest teraz lżej i kiedy już wie, że jej syn nie jest sam, będzie mogła przenieść się w krainę duchów i znaleźć spokój.

- Poza tym, któż nie kocha Alyssy? - zapytał ze śmiechem Saxon i klepnął go w plecy.

Teraz Gyl przyglądał się swojej matce, zwiniętej w kłębek na ulubionej sofie. Czasami

nie mógł uwierzyć, że jest królową ale Lorys bez wątpienia był w niej zakochany na zabój. Tworzyli oszałamiająco piękną parę, a ich śmiech niósł się echem w całym pałacu. Byli niezmiernie szczęśliwi, a po żałobie, jaka nastąpiła po śmierci poprzedniej królowej, miłość tych dwojga podnosiła wszystkich na duchu.

- O której zaczynamy? - zapytał, wiedząc, że rozzłości ją tym pytaniem.

Skrzywiła się.

- Na siódme uderzenie dzwonu. Wiesz, Gyl, potrzebuję chyba lat, żeby do tego przywyknąć.

- Nonsens, mamu. Jesteś już królową w każdym calu. - Pochylił się i ucałował ją w czubek głowy. - Po prostu o tym nie wiesz.

- Gadasz całkiem jak król.

Zmarszczyła brwi, myśląc, że to prawda. Gyl stawał się coraz bardziej podobny do ojca. Wkrótce będzie musiał poznać swoją historię. Unikając tego tematu, po prostu prosili się o kłopoty, bo fakty prędzej czy później musiały wyjść na jaw. Już teraz niektórzy bystrzy obserwatorzy zauważali, że Gyl spędza zbyt dużo czasu w towarzystwie króla. „Nie tylko chodzi i mówi jak on, ale chwilami wygląda całkiem jak on” - usłyszała kiedyś Alyssa. Niepokoiły ją takie uwagi. Nie dlatego, że mówiły prawdę, ale dlatego, że Gyl jej nie znał. Zasługiwał na lepsze traktowanie.

Błyskawiczny awans Gyla na stanowisko podmarszałka wzbudził, rzecz jasna, zawiść wielu mieszkańców pałacu. Jak to możliwe, żeby taki młodzik dowodził wieloma starszymi żołnierzami? Całe szczęście, że chłopak miał po swojej stronie mądrość i przewodnictwo Hereka, który był solidny i godny zaufania, a przede wszystkim popierał awans Gyla. Gdy Alyssa zapytała o to marszałka, zaskoczył ją, odpowiadając szczerze, że Gyl jest jedynym człowiekiem w całym legionie, który nadaje się na jego następcę.

- Będzie musiał ciężko zapracować na ich szacunek, wasza wysokość, ale ma wszystko, czego trzeba - odparł. - Wierzę, że jest odpowiedni do pełnienia tej funkcji.

- Ja też mam taką nadzieję, Hereku. Ze względu na niego.

- Proszę mu zaufać, milady, tak jak ja zawieram mu pani bezpieczeństwo. Mądrze zrobił, ucząc się od tak młodego wieku. Gdyby cokolwiek mi się stało...

Alyssa nie pozwoliła mu dokończyć. Bardzo lubiła Hereka: był prostolinijny i nie trwonił czasu na pochlebstwa czy próżne rozmowy. Poświęcał się swojej pracy, a jego lakoniczność i powaga często spotykały się z niezrozumieniem. Ona jednak знаła go jako człowieka niezmiernie życzliwego, który roztoczył nad nią opiekę w pierwszych miesiącach po śmierci Tora. Pamiętała też, że podczas egzekucji okazał Torowi wielkie współczucie.

Saxon także bardzo go cenił. Alyssa nie miała zamiaru słuchać o tym, że Herek mógłby umrzeć. Gyl miał zastąpić go, ale dopiero po wielu latach.

*

Starannie wybrani przez Sallementra muzycy grali dla pary królewskiej najpiękniej, jak umieli, a Alyssa i Lorys, ku uciesze gawiedzi, pierwsi ruszyli w tany. Potem Sallementro zwolnił trochę tempo, śpiewając pieśń imieninową, którą skomponował dla jej wysokości, i choć była to skoczna melodia z porywającym, łatwo wpadającym w ucho refrenem, Alyssa rozplakała się z zachwytu nad pięknym tekstem. Teraz muzyka ponownie przyspieszyła, przechodząc w szalone *Rozbieranie wierzby*, i para królewska ponownie wkroczyła na parkiet.

- Tylko nie znowu dookoła - błagała Alyssa.

Śmiech króla niósł się echem po całej sali.

- Jeśli nie będziesz miała sińców na rękach, moja piękna, będziemy musieli to powtórzyć. Znasz zasady tego tańca. Jeśli nie masz sińców, to znaczy, że słabo się starałaś.

- Lorys, ty brutalu! - zawołała Alyssa do roześmianego męża, który bezlitośnie okręcił ją znów dookoła, po czym przekazał sąsiadowi. Królowa pocieszała się myślą, że przynajmniej scenę balkonową ma już za sobą. Lud Tallinoru przybył, najadł się, napił i odszedł, by bawić się gdzie indziej. Alyssa z wdzięcznością przyjęła jego wiwaty i życzliwość.

Rozbieranie wierzby wykończyło wszystkich, więc na wielkich tacach przyniesiono kolejne kufle piwa i kielichy lekko schłodzonego wina dla królewskich gości. Gyl, którego ludzie patrolowali miasto, pilnując, by wesołe zabawy nie wymknęły się spod kontroli, pojawił się w wielkiej sali i od razu ruszył ku odpoczywającej w fotelu Alyssie.

- Ani się waż - ostrzegła go.

- Wasza wysokość, zamawiam następny taniec. Chyba nie odmówisz synowi, prostemu żołnierzowi, na oczach tych wszystkich ludzi? - zapytał, kłaniając się nisko.

- Nienawidzę was obu! Wiecie o tym, prawda? - rzuciła Alyssa, wodząc zabójczym wzrokiem od Lorysa do Gyla. Obaj mieli na twarzach ten sam konspiracyjny, zdradzający pokrewieństwo uśmiech.

- To już ostatni, Alyss, obiecuję! - szepnął Lorys. - Potem cię stąd uwolnię, zabiorę na górę i...

- Chodź, Gyl - przerwała Lorysowi Alyssa, po czym szepnęła mu do ucha: - Nie wiem, co jest bardziej wyczerpujące, mój panie, taniec czy myślenie o tym, co będzie później.

Zeszła z trybuny, spoglądając spode łba na Sallementra, który, najwyraźniej

wtajemniczony w spisek, nakazał muzykom grać kolejną szaloną wiejską melodię.

- O, *Wesoły demon*. Mój ulubiony taniec - powiedział Gyl, ze śmiechem przyjmując jęk Alyssy.

- Każę za to ściąć Sallementrowi głowę - odparła królowa, gdy przystojny syn kilkakrotnie okręcił ją wokół, wywołując mdłości. Zawsze uważała ten taniec za dyskryminujący kobiety, które wciąż musiały się kręcić, a nigdy nie kręciły partnerem.

W pierwszej chwili sądziła więc, że po prostu zbyt dużo razy się obróciła, ale zaraz później poczuła w głowie straszny ból. Pewnie się zatrzymała. Nie była pewna. Czy muzyka także zamilkła? Gyl spoglądał na nią z troską, podtrzymując silnym ramieniem. Alyssa widziała, że chłopak porusza ustami, ale nie docierał do niej żaden dźwięk. Jedynym, co słyszała, było złowróżbne bębnienie.

W panice poszukała wzrokiem Lorysa, który zmierzał już ku nim, skonsternowany.

A potem bębnienie ustało, ustępując miejsca dźwiękom, które Alyssa miała zachować w pamięci do końca życia: zatrważający krzyk mężczyzny, po nim straszliwa cisza, wreszcie krótkie, niezrozumiałe szepty dwóch mężczyzn. Dalej straszliwy, rozdzierający krzyk, przywołujący przed oczy wizję cierpiącego Serca Lasu. Ból stał się wówczas nie do zniesienia i królowa osunęła się zemdlna w ramiona męża.

W sali zapanowało wielkie zamieszanie. Ustała muzyka i tańce, a podmarszałek rozesłał służących i giermków, by natychmiast sprowadzili medyka Kelyyna. Król był wstrząśnięty. Usiadł na chłodnej kamiennej posadzce, potrząsając z niedowierzaniem głową. Przecież nie mogła tak nagle umrzeć! Spojrzał na Gyla, ale ten tylko rozłożył ręce na znak, że nie wie, co się stało.

- Oddycha, wasza wysokość - zapewnił suwerena. - Zanieśmy ją do komnat.

- Tańczyliście, a ona nagle zamarła i zeszywniała - wyszeptał król.

- Wiem. Chodźmy, panie - ponaglił go Gyl, świadom obecności wszystkich dworzan, gości i plotkarzy, obserwujących scenę. - Milordzie... - Pochylił się, by oswobodzić Alyssę z uścisku Lorysa. - Proszę mi pozwolić podnieść jej wysokość, bym mógł ją zanieść do komnat.

Dobiegający z tyłu sali krzyk rozproszył czar, który zdawał się paraliżować króla.

- Tak, oczywiście... - powiedział Lorys, pozwalając podmarszałkowi wziąć w ramiona drobne, lekkie ciało królowej. - Prowadź - dodał.

Gdy ruszyli, Lorys obejrzał się, by sprawdzić, skąd dobiegł krzyk, i ujrzał wijące się w drgawkach na podłodze w otoczeniu przerażonych gapiów ciało Sallementra.

Gyl także dostrzegł muzykanta. Wiedział, że ten człowiek jest niemal tak bliski jego matce jak on sam. Dał znak Caerysowi, dzielnemu giermkowi królewskiemu.

- Szybko, Caerysie, znajdź pomocników i ruszajcie za nami z Sallementrem. Może po prostu wypili zepsute wino? - zasugerował z nadzieją.

*

Tor pokazywał Gidyonowi, jak zarzucić na siebie czar. Lauryn pękała ze śmiechu.

- Po prostu stajesz się niewyraźny, Gid. Musisz się bardziej starać.

- Właśnie się staram - burczał.

- To nie jest takie trudne, gdy już się wie, co robić - zachęcał Gidyona ojciec. - Po prostu uwolnij magię. Widzisz Barwy?

- Tak.

- Pozwól im rosnąć. Pozwól im ogarnąć całego siebie, ale nie trać kontroli.

Gidyon wstrzymywał oddech z wysiłku, starając się opanować zalewającą go falę mocy.

- Rozluźnij się, Gidyonie. To ty masz kontrolować moc, a nie ona ciebie. Nie zaciskaj zębów. Oddychaj.

Gidyon wypuścił powietrze z płuc.

- Dobrze - rzekł ojciec. - A teraz wykonaj czynności, których cię nauczyłem... Powoli.

Poczuł, jak Gidyon dokonuje znakomitej próby. Na jego oczach chłopiec zmienił się w starca. Tor usłyszał, jak Lauryn piszczy z uciechy, widząc, że bratu wreszcie udało się rzucić skomplikowany czar... i w tej samej chwili poczuł w głowie potworny ból. Przed chwilą siedział po turecku naprzeciwko syna, teraz przewrócił się, zeszywniały i pozbawiony tchu.

Gidyon skręcał się obok na ziemi, a Lauryn trzymała się obiema rękami za głowę, krzywiąc się z bólu i rozszerzonymi oczami błagając ojca, by położył kres męczarniom.

Tor starał się zachować przytomność. Wysiłkiem woli zdołał otworzyć łącze i skontaktować się z sokołem.

Cloot! - wrzasnął.

Themesius! - usłyszał tylko, po czym Cloot spadł z gałęzi, na której siedział, i wylądował obok nich na miękkiej darni.

Tor poczuł nagle, jak łącze zamyka się gwałtownie, a dziwny ból odrywa się od jego ciała, które leży powyginane na ziemi obok ciał dzieci. Teraz jego dusza uniosła się w górę, wolna od fizycznego cierpienia, ale oszołomiona - i przestraszona.

Cloot wykrzyknął imię Themesiusa, co mogło oznaczać tylko jedno: olbrzym uległ i Orlac wyrwał się na wolność.

*

Saxon poczuł falę bólu i usłyszał w głowie krzyk mężczyzny. Natychmiast ruszył biegiem w stronę zdrowego już Figgisa, towarzyszącego mu w wędrówce przez las. Zdołał jednak zrobić zaledwie kilka kroków, nim padł jak kłoda, zachowując siły jedynie na płytki oddech. Leżał na ziemi, zmagając się z bólem i błagając go, by ustąpił.

*

W innej części lasu cierpiały Solyana i Arabella.

Figgisa ból zaskoczył w trakcie podziwiania ogromnego dębu. Jaskiniowiec stał z zadartą głową i nagle upadł, doświadczając większego cierpienia niż kiedykolwiek od początku walki z Orlakiem. Natychmiast jednak rozpoznał to uczucie i zapłakał, wiedząc, że jego wielki przyjaciel Themesius uległ w końcu młodemu, mściwemu bogu.

31.

WEZWANIE

Tor znów się przemieszczał. Pamiętał to doznanie z czasu swojej ucieczki z Caradoon, gdy musiał opuścić ciało Cloota i wrócić do własnego. Tym razem jednak bał się bardziej, dobrze wiedząc, że zamiast uciekać od grozy, zmierza ku niej.

Nagle zatrzymał się na widok pięknego, złotowłosego nieznanego. To musiał być Orlac, a ten wielki mężczyzna obok niego był z pewnością Themesiusem Olbrzymem. Co dziwne, Tor słyszał słowa i myśli Orlaca, jakby sam stał się częścią młodego boga.

Orlac poczuł, że ustępuje ostatnia krępująca go więź, i ogarnął go wielki smutek na myśl o olbrzymie, który przez tyle wieków stanowił zwornik paladynów, dzielnych istot, jedna po drugiej ulegających potędze boga. Przez cały czas trwania tej wojny na zaczarowanym łączu obaj z Themesiusem czuli jednak, że na końcu zostaną tylko oni dwaj, przy czym Themesius wiedział, że to on zostanie pokonany.

W pewnym sensie wytworzyła się pomiędzy nimi szczególna więź - bez wątpienia zrodzona z nienawiści, ale szlachetna i przepelniona szacunkiem. Dlatego właśnie Orlac żałował teraz swego wroga, wiedząc, ile potrzeba odwagi, by walczyć, gdy się wie, że bitwa jest już przegrana.

Dla Themesiusa ból stał się tak nieznośny, że olbrzym przykucnął na podłodze i uwolnił umysł Orlaca. Łącze zostało zerwane. Orlac był wolny. Gdy młody bóg w końcu opuszczał zaklętą półkę skalną, na której przez tyle wieków więziła go magia, pomyślał, że w innych okolicznościach olbrzym mógłby zostać jego przyjacielem. Miłość i nienawiść... jakże subtelna granica dzieliła te dwa uczucia. W innych czasach, w innym życiu, być może wszyscy oni mogliby być dla siebie kimś zupełnie innym. Podniósł głowę i popatrzył na kronikarza Nanaka.

- Odejdź, starcze. Nie masz tu już nic do roboty.

Nie chciał być okrutny. Po prostu stwierdzał fakt. Nanak z rozpaczą na twarzy obrócił się w proch, który zaczął opadać, gdy bóg ruszył, by sięgnąć po Themesiusa. Czuł potrzebę odezwania się do olbrzyma. Chciał go pożegnać z szacunkiem, nim ten umrze.

Nie musiał już dziko chichotać. Robił to wyłącznie w celu wyprowadzenia paladynów

z równowagi i pokazania, że nie są w stanie nad nim zapanować. Czuł się potężny, śmiejąc się wrogom w twarz. Nauczył się tego podczas wieków niewoli. Nie sprawiał mu przyjemności widok tego silnego mężczyzny, uginającego się pod jego potęgą. W tej chwili Orlac zaklinał się, że każe Merkhudowi zapłacić jeszcze bardziej słono za to, iż zmusił go do tak potwornego upokorzenia istot zasługujących raczej na jego przyjaźń niż nienawiść. Początkowo łatwiej mu było patrzeć na ich upadek. Przypomniawszy sobie piękną istotę znaną mu jako Solyana. Jej wielkie, głębokie oczy, w których pewnego razu z rozkoszą zobaczył ból porażki. Teraz jednak widok bólu Figgisa, a jeszcze bardziej Themesiusa, budził w nim współczucie.

Olbrzym był wykończony, Tor widział, że Themesius umiera. Ostatnim wysiłkiem woli paladyn zwrócił się do zwycięzcy.

- To jeszcze nie koniec, Orlacu - wychrypiał. - To początek twojego końca.

Tor spodziewał się, że Orlac wybuchnie śmiechem, ale bóg odezwał się spokojnym, rzeczowym głosem, pozbawionym śladu arogancji.

- Dzielnie walczyłeś, Themesiusie. Podziwiam ciebie i pozostałych paladynów.

- Spotkamy się jeszcze - szepnął olbrzym, po czym wyzionął ducha i zniknął z Pustkowie. Tam, gdzie przed chwilą kulił się u stóp Orlaca, pozostała pustka.

Tor usłyszał westchnienie boga, zdające się wyrażać szczery żal. Nadal słyszał też myśli Orlaca i dzielił z nim jego wspomnienia.

Orlac wspominał teraz moment śmierci swego ziemskiego ojca. Człowiek ów żył wieki - otrzymał ten dar od jego prawdziwego ojca, Darganotha - ale gdy nadszedł jego kres, młody bóg wiedział o tym. Był wściekły, że Merkhud uciekł przed jego gniewem. Co on sobie wyobrażał! Orlac wyczuł jednak, że dusza obecna w Mekhudzie nie jest duszą jego ojca. Duch uniósł się z ciała znienawidzonego, kłamliwego starca, by iść... dokąd? Niewątpliwie szukał innego gospodarza, Orlac nie wiedział jednak, kto nim będzie. Wiedział jedynie, że ta osoba jest teraz jego wrogiem i że musi się na niej zemścić, zanim zrówna z ziemią cały Tallinor.

Przeniesienie tego ducha wytworzyło potężny ślad. Wiedział, że zapamięta go na zawsze. Pomyślał, że kiedy już się uwolni, musi się spotkać z uzurpatorem, więc wezwał go, bez trudu łącząc się z niczego niepodjejrzanym duchem, uwalniając go i siłą przyciągając do siebie. On już tu był. Orlac czuł jego obecność.

Spójrz na mnie, uzurpatorze! - zawołał.

Tak jak przed chwilą Themesius zniknął z Pustkowie, teraz i ono przestało istnieć. Orlac zmienił miejsce pobytu, ciągnąc Tora za sobą. Bóg stał na wysokim wzgórzu. Sceneria

wydała się Torowi znajoma, ale nie miał czasu skupić się na niczym z wyjątkiem faktu, że Orlac wrócił do świata, do którego przez tyle wieków nie miał wstępu.

Oswobodzenie Orlaca nie było jednak najbardziej nieprzyjemną z niespodzianek. Zaraz potem bóg przemówił wprost do głowy Tora.

Kimkolwiek jesteś, sprowadziłem cię tu, abys był świadkiem. Nie znam twojego imienia, wiem tylko, że jesteś moim śmiertelnym wrogiem i że cię dopadnę. Jakkolwiek posiadasz moc, nie możesz się ze mną równać. Znienawidzony Merkhud uciekł przed moim gniewem w śmierć, ale ty jesteś jego człowiekiem i będziesz cierpieł za niego. W moich oczach jesteś teraz Merkhudem i zapłacisz cenę, jakiej zażądam.

Tor bał się. Jego wiara w Tróję i Lys zaczęła słabnąć. Opuszczała go nawet odwaga. Potem pomyślał o Cloocie, o wszystkich dzielnych paladynach i o tym, jak za niego cierpieli. Ta myśl dodała mu sił.

Podniósł oczy na boga, który dla Tallinoru był tylko legendą, i zrozumiał, dlaczego to on został wybrany. Tylko jego moc, połączona z mocą Trójcy - czymkolwiek ta była - mogła pokonać siłę Orlaca.

Oszacował wzrokiem stojącą przed nim postać, starając się zapamiętać, ile się da, po czym przemówił spokojnie:

Jak zapowiedział Themesius: jeszcze się spotkamy.

Orlac wyczuł w nieznanym wyraźną zmianę. Jaka moc dawała mu tak wielką siłę? Powinien się kulić u jego stóp. Bóg nie wiedział, co to takiego, ale był pod wrażeniem. Ten człowiek był nieustraszony niczym paladyn. Zapowiadała się ciekawa konfrontacja. Kiwnął głową na znak, że przyjął do wiadomości słowa Tora, jak szermierz, który przed pojedynkiem dotyka miecza.

A teraz uciekaj i ukryj się. Możesz tam na mnie czekać - rzekł.

Poczuł, że owiewa go bryza. Uniósł ramiona, by ogarnąć nimi swoją rzeczywistość, i odcisnął ślad stopy na wzgórzu. Wrócił. Znow był w świecie, który zamierzał zniszczyć.

Dmuchał - i oto Tor znow leciał.

Nie miał pojęcia, dokąd leci. Wiedział tylko, że pędzi jak strzała. Gdy w końcu zatrzymał się, czując mdłości, usłyszał głos Lys.

Tor! Skąd się tu wziąłeś?

Niespodziewane pojawienie się Tora w Pustkowie na ułamek sekundy odwróciło uwagę Lys i Dorgryl to wykorzystał. Czerwona mgielka przemknęła obok Tora i zniknęła.

Lys...

Ale Tor nie zdążył powiedzieć nic więcej.

Nie! - Lys krzyknęła tak głośno, że aż się skulił.

Instynktownie podążył za jej spojrzeniem. Z Pustkowia widać było wszystkie światy i Tor z przerażeniem obserwował, jak czerwona mgiełka owiewa stojącego na szczycie wzgórza w Cypryzi Orlaca. Bóg dostał skurczy, po czym zaczął się rzucać i jęczeć. Pięknie wyrzeźbione ciało wiło się w niepojętych konwulsjach. Był to przerażający widok.

Powiedz mi, że to nieprawda - szepnęła zatrwożona Lys.

Nie wiem, co się dzieje - odparł bardzo cicho Tor.

Dorgryl uciekł i połączył się z Orlakiem.

Tor ponownie spojrział na unoszącą się przed nim ulotną, świetlistą postać. Lys płakała.

To nie powinno było się stać. Zawiodłam Hostię - jęknęła.

Tor dopiero teraz uświadomił sobie, że po raz pierwszy rzeczywiście widzi Patronkę, kobietę ze snów, która manipulowała życiem ich wszystkich. Była bardzo podobna do jego ukochanej: złotowłosa i delikatna. Był zdumiony.

Lys, ja cię widzę!

Wiem. Nie powinno cię tu być, Tor. Skąd się tu wzięłeś? - pytała gorączkowo.

Orlac wyciągnął mnie z Serca Lasu. Przez chwilę rozmawialiśmy, a potem mnie odesłał i znalazłem się tutaj. Co to była za czerwona mgiełka? Czy nie czasem ta rzecz, o której podczas ostatniej rozmowy mówiłaś, że nie ma ze mną nic wspólnego?

Lys jeszcze bardziej się rozplakała. Te złote włosy, szarozielone oczy i długie palce, które trzymała w tak szczególny sposób... Coś go podkusiło, aby zapytać:

Lys, czy jesteś spokrewniona z Alyssą?

Odjęła ręce od twarzy takim samym gestem jak jego ukochana, gdy stała na balkonie, zmuszona oglądać jego egzekucję. Gdy skrzyżowały się ich spojrzenia, rozpoznał znajomy kształt oczu.

Jestem jej matką - rzekła zdecydowanym tonem. Z jej głosu zniknął strach; Patronka znów nad sobą panowała. - *Chodź. Płaszczyna duchowa jest dla ciebie niebezpieczna, poza tym mamy dużo do omówienia.*

*

Wróciwszy do ciała, usiadł gwałtownie, z przerażeniem spoglądając na leżące na ziemi ciała swoich dzieci i Cloota.

Śpią - uspokoiła go Lys. - *To uzdrawiający sen.*

Tor obrócił się zdumiony. Kobieta siedziała w zagłębieniu drzewa, całkowicie realna.

Jak to możliwe, że cię widzę, choć nie śpię?

Uśmiechnęła się smutno.

Powiedzmy, że to specjalny przywilej. Nie proszę, żebyś się poruszyła. Nie mogę. Tylko raz wolno mi fizycznie odwiedzić ten świat i mogę wrócić jedynie wtedy, gdy zachowam kontakt z drzewami: wolno mi znajdować się tu w ten sposób dzięki wspaniałomyślności Serca Lasu i magii jego boga, Darmuda Corila.

Tor czuł się słaby po przeżytym wstrząsie, ale chciał być blisko niej. Podszedł do drzewa i usiadł naprzeciwko migoczącej Patronki.

Lys spojrzała na Lauryn.

Piękna jak jej matka.

I babka - zauważył łagodnie Tor.

Zjawa uśmiechnęła się.

Powiesz mi prawdę? - zapytał.

Jak było do przewidzenia, musiał sobie na to zasłużyć.

A co chcesz wiedzieć?

Dlaczego opuściłaś Alyssę?

Nie jestem śmiertelniczką, Tor. Nie mogłam pozostać w Tallinorze.

Dlaczego więc w ogóle się tam zjawiłaś?

Wkrótce to zrozumiesz.

Więc Alyssa i ja zostaliśmy sobie przeznaczeni?

Sami bogowie to zaplanowali - odparła zagadkowo. - Bądź cierpliwy, Tor. Doczekasz się odpowiedzi na wszystkie pytania.

Czy mogę jej to powiedzieć?

O tym, że ma matkę, która jej strzeże, lecz nigdy nie odwiedza? Matkę, która jest bogiem? - Lys roześmiała się. - Czy twoje stosunki z nią nie są już dostatecznie skomplikowane?

W takim razie może ty powinnaś jej to powiedzieć?

Zrobię to.

Kiedy?

Gdy będzie gotowa na przyjęcie tej wiadomości.

Kolejne sekrety. Tor miał już tego dość. Westchnął, wiedząc, że Lys nie zmieni zdania. Poza tym miała rację: już sama myśl o tym, iż będzie musiał powiedzieć Alyssie, że jej syn żyje i że ma także córkę, o której istnieniu nie wiedziała, spędzała mu sen z powiek.

Opowiedz mi o Dorgrylu - zażądał.

Tym razem to Lys westchnęła.

Oszukał mnie. Przez te wszystkie wieki mamił mnie rozmowami o niczym i narzekaniami na swoją nędzną egzystencję, podczas gdy w istocie usiłował mnie przekonać, że jest bezradny - rzekła gniewnie.

Lys, musisz mi wszystko wytłumaczyć. Nic nie rozumiem. Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Patronka wzięła głęboki oddech.

Dorgryl należał niegdyś do Hostii. Był bratem króla Darganotha i, jak większość młodszych braci - powiedziała z naciskiem - pragnął jego korony.

Tor kiwnął głową, choć nie rozumiał, o jakich jeszcze braci może jej chodzić.

Mów dalej.

Obmyślił chytry plan, mający na celu uśmiercenie króla i przejęcie tronu, ale w realizacji planu przeszkodziło mu obwieszczenie Evagory, że spodziewa się dziecka. Teraz Dorgryl musiał się pozbyć zarówno króla, jak i dziedzica tronu.

Orlaca? - zapytał Tor.

Znasz go pod tym imieniem.

Najwyraźniej jednak Dorgrylowi się nie udało.

Był bliski, Tor. Już miał zamordować króla i małego księcia, ale zawahał się, gdy królowa oznajmia, że znów jest w ciąży. Zgubiła go własna arogancja: gdy jego żona dowiedziała się o zdradzie męża, sama doniosła o wszystkim królowi.

Odkrywszy spisek brata, Darganoth odmówił uśmiercenia go, ale nie wiedział, co ma z nim zrobić. Bogowie nie walczą ze sobą, a już na pewno nie zabijają się nawzajem, lecz Dorgryl był niebezpieczny. Stanowczo zbyt niebezpieczny, by móc pozostać w Hostii. Darganoth obmyślił więc plan zesłania go w miejsce zwane Pustkowiec, w nicość. Jego duch został wygnany z ciała i przez wieki istniał jedynie w formie tej czerwonej mgiełki, którą widziałeś.

Zamilkła, by pozwolić Torowi na przemyślenie tego, co usłyszał, i zadanie właściwego pytania.

Tor myślał intensywnie. Każda rozmowa z Lys była dla niego czymś w rodzaju próby.

Powiedziałaś „małego księcia”. Więc Orlac nie był już niemowlęciem?

Lys była uradowana. Dobrze go wyszkoliła.

Jesteś spostrzegawczy, Tor. Dorgryl został wygnany na krótko przed tym, jak dziecko zostało porwane z Ordoltu, z Polany.

Dlaczego się zawahał, gdy królowa oznajmiła, że jest w ciąży?

Lys klasnęła w duchu.

Musisz zrozumieć, Tor, że w Hostii niekiedy czeka się dziesiątki lat na narodziny potomka. Niektóre pary muszą przeżyć kilka zwykłych długości życia, by założyć rodzinę, a niektórym nigdy się to nie udaje. Było rzeczą niewiarygodną, by para królewska w tak krótkim czasie doczekała się dwojga dziedziców. Dorgryl nie wiedział, rzecz jasna, czy dziecko będzie chłopcem czy dziewczynką, ale arogancja kazała mu wierzyć, że jeśli zniszczy całą rodzinę, sam zostanie koronowany na króla. Próbował zmodyfikować plan, ale stracił zbyt dużo czasu i jego własna żona, Yargo, odkryła prawdę.

Tor był wstrząśnięty wzmianką o roli Yargo w tej historii, ale wyczuwał, że mają zbyt mało czasu, by odbiegać od najważniejszego tematu. Musiał się skupić na informacjach o Orlacu.

A jaka jest twoja rola w tym wszystkim, Lys?

Patronka była pod wrażeniem uporu Tora w dążeniu do celu.

Po zneutralizowaniu mocy Orlaca Hostia musiała wyznaczyć kogoś spośród siebie do pilnowania go. Orlac jest bogiem, ale jest również księciem i z tego względu zasługuje na szacunek i troskę. Poza tym był niebezpieczny, a ponieważ żył jako śmiertelnik, jego emocje, a co za tym idzie, także moc, wymknęły się spod kontroli. Tylko neutralizacja i późniejsze czary paladynów sprawiły, że Orlac nie mógł nic zrobić ani sobie, ani światu. Nie mieliśmy wtedy pomysłu na rozwiązanie tego problemu.

Potem starszyzna Hostii wymyśliła Trójcę. Był to zuchwały plan, który teraz, tutaj, zaczyna wchodzić w życie. Zawsze wiedzieliśmy, że paladynowie mogą powstrzymać Orlaca tylko przez pewien czas. To, że przetrwaliśmy tak długo, świadczy o ich ogromnej odwadze i sile.

Moją rolą było przyglądanie się wszystkiemu, co zachodzi między paladynami a Orlakiem, i opieka nad tobą. Jako Patronka Portali mam dostęp do wszystkich światów. Kiedy Dorgryl został zesłany w Pustkowie, otrzymałam także zadanie pilnowania jego, choć tak naprawdę nie sądziliśmy, by mógł stanowić zagrożenie. Jakże się myliliśmy.

Tor ponaglił ją, układając po kolei kawałki układanki, jaką było jego własne życie.

Jak myślisz, co on planuje? Co chce osiągnąć dzięki połączeniu się z Orlakiem?

Na początek ciało. Do tej pory żył tylko jako duch. Jego ciało zostało za karę skazane na stopniowe niszczenie. Życie ograniczone tylko do umysłu jest dla boga upokorzeniem. Do chwili upadku Figgisa Dorgryl nie okazywał najmniejszego zainteresowania losem swego bratanka. Potem jednak zaczął komentować przebieg walki. Powinnam już wtedy zacząć coś podejrzewać, ale nie zwróciłam na to uwagi. On jest cwany, Tor. I dużo bardziej niebezpieczny niż Orlac, bo kieruje nim czyste zło.

Tor potrząsnął gwałtownie głową, oszołomiony.

Lys była natomiast zdegustowana.

Byłam głupia. I arogancka. Zakładałam, że po wiekach niewoli Dorgryl jest całkowicie zdany na naszą łaskę, że już nigdy nie będzie stanowił zagrożenia, a jedynie drobne utrudnienie mojego życia. A teraz, Tor, grozi nam coś jeszcze gorszego niż wcześniej.

Tor oplótł rękoma kolana.

Jak jest źle? - zapytał, w gruncie rzeczy nie chcąc znać odpowiedzi.

Jak źle? - Roześmiała się gniewnie. - *Dorgryl opętał Orlaca. Orlac kieruje się żądzą zemsty i jest tak zawzięty, że nic go nie powstrzyma. Znamy przynajmniej jego zamiary. Ale gdy dołączymy do tego Dorgryla i jego sprytny, złowrogi umysł, nie wiadomo, do czego może być zdolne ciało Orlaca. Przy takiej mocy Tallinor i cały jego świat są w niebezpieczeństwie. Boję się o was wszystkich.*

Chcesz powiedzieć, że on może całkowicie zawładnąć Orlakiem?

Kiwnęła głową, wbijając wzrok w ziemię.

Ale czego on chce? - zapytał bardzo już sfrustrowany Tor.

Lys spojrzała na niego z niedowierzaniem. Jak to możliwe, by ktoś nie wiedział, czego może pragnąć szalony bóg?

Władzy! Pożąda władzy. Pragnie rządzić. A jeśli nie uda mu się zawładnąć Hostią, przejmie w zamian rządy nad śmiertelnikami. Uciszy Orlaca, pomagając mu osiągnąć jego cele, ale przez cały ten czas będzie go wykorzystywał do osiągnięcia własnych korzyści. Mogę tylko zgadywać jakich. Jego pierwszym zwycięstwem jest to, iż uwolnił się z Pustkowie, tak jak jego bratanek uwolnił się z zaczarowanego więzienia.

Tor przetarł oczy. Zbyt dużo informacji naraz.

Więc co teraz zrobimy, Lys? - zapytał zmęczonym głosem, łudząc się rozpaczliwie, że Patronka zna odpowiedź.

Muszę to przemyśleć. Skonsultuję się także z Hostią. Na razie realizuj swój plan. Orlac wie o twoim istnieniu, ale nie wie, kim jesteś. Będzie potrzebował trochę czasu, by cię wytropić. Ale Dorgryl wie o tobie więcej. Doprowadzi Orlaca do ciebie i twojej rodziny. Musimy działać znacznie szybciej, niż pierwotnie zamierzaliśmy, Tor.

Nie pozwolę im skrzywdzić moich dzieci, Lys. Nawet jeśli miałbym oddać za nie życie.

Wykrzesła z siebie smutny uśmiech.

Może będziesz musiał. Przepraszam, że cię zawiodłam, Torkynie.

Wyciągnął rękę i dotknął jej migoczącej dłoni.

To nie twoja wina. Nie spodziewałaś się, że Orlac mnie przywoła. Czy on może to

znowu zrobić?

Musisz przez cały czas otaczać się zasłoną. Zapamiętaj jego ślad i jak najczęściej rzucaj sondę. Nawet ja nie jestem pewna, jaką moc obecnie posiada. W połączeniu z Dorgrylem... - Potrząsnęła głową, przyznając się do porażki.

Doskonale pamiętam jego ślad. Miałem wrażenie, że już go znam.

Nie odpowiedziała. Zamiast tego owinęła się gałęziami drzewa.

Muszę już iść, Tor. Nie wiem, czy jeszcze się spotkamy w taki sposób.

Tor wstał i skłonił się jej.

Jestem zaszczycony, że mogłem cię zobaczyć, Lys.

Uśmiechnęła się promiennie.

Bądź dzielny, Tor. Zwyciężymy.

Spełnij daną mi obietnicę. Porozmawiaj z Alyssą.

Patronka znów kiwnęła głową, zamigotała i znikła z jego świata.

32.

OPĘTANIE

Orlac raczej wyczuł, niż zobaczył czerwoną mgiełkę, która otoczyła go i pochłonęła, nim zdołał zareagować. Poczłł ogromny ból. Co to było?

Podjął walkę z napastnikiem. Ciskał się, wykorzystując całą swoją siłę, by wyrzucić z siebie tę dziwną rzecz. Walka trwała chyba wiele godzin... Stracił rachubę czasu. Gdy wreszcie legł na szczycie wzgórza, wyzuty z wszelkiej energii, mgła przemówiła do niego.

Jestem Dorgryl - oznajmiła głębokim, kurtuazyjnym głosem.

To znaczy kto? - zapytał resztką sił Orlac.

Kiedyś byłem członkiem Hostii Bogów. Teraz jestem gościem ich syna i dziedzica. Pomiędzy tymi zdarzeniami istniał tylko gniew.

Ale kim właściwie jesteś? - dopytywał się oszołomiony Orlac.

Twoim wujem - odparła spokojnie dziwna siła.

Orlac poczuł ukłucie znajomego bólu. Przypomniał sobie poczucie rozpacz, które ogarnęło go w dniu, w którym Hostia zneutralizowała jego moc. Czy teraz bogowie zamierzali zadać ostateczny cios? Czy ta siła była zwiastunem śmierci?

Wynocha! - wrzasnął.

Głos wydawał się rozbawiony.

Nie mam własnego ciała, a twoje mi pasuje. W końcu jesteśmy rodziną.

Orlac próbował się uspokoić. Przypomniał sobie, jak człowiek Merkhuda odsunął od siebie strach i odzyskał równowagę. Młody bóg zdołał się opanować. Przez chwilę zastanawiał się, w jakim stopniu intruz wniknął w jego myśli. Dorgryl tymczasem milczał. Orlac instynktownie wiedział, że nie wolno mu okazywać strachu. Musiał robić dobrą minę do złej gry i dowiedzieć się jak najwięcej o przeciwniku.

Czego chcesz, Dorgrylu?

Tak już lepiej; bratanku - odparła zdecydowanym głosem dziwna istota. - Chcę współuczestniczyć w niszczeniu Tallinoru. Przecież do tego zmierzasz, prawda?

Skąd wiesz? - zapytał ostro Orlac.

Stąd, że przez wieki obserwowałem twoją walkę, oklaskując śmierć każdego z tych

durnych paladynów. Żałowałem tylko, że nie możesz mnie usłyszeć w Pustkowiu, ale ta przekłeta Lys przez cały czas mnie pilnowała. Okazałem się jednak bardziej pomysłowy, niż myślała. Udawałem, że nie zwracam na ciebie uwagi, podczas gdy w rzeczywistości karmiłem się twoimi zwycięstwami, kibicowałem ci i wyczekiwałem twego zwycięstwa, chłopcze. Wiedziałem, że wygrasz. Wiedziałem, że zdobędziesz dla nas wolność.

Zdobyłem wolność dla siebie, Dorgrylu. Nie dla ciebie.

Mów mi wuju, mały. Jestem bratem twojego ojca.

Dlaczego zatem nie jesteś doradcą jego królewskiej mości... wuju? - Ostatnie słowo Orlac wyrzekł jak ktoś, kto dotyka językiem trucizny.

Z powodu niedyskrecji. Darganoth czuł, że musi mnie ukarać dla przykładu - odparł szyderczo Dorgryl. - Gdy byliśmy dziećmi, uważał, że mu zagrażam. Rozumiesz, jesteśmy bliźniakami. To tragedia, że słabsze dziecko urodziło się pierwsze. Gdybym to ja został Królem Hostii, wszystkim nam żyłoby się lepiej.

Orlac odzyskał energię.

Nie możesz tu ze mną zostać - powiedział i na nowo podjął walkę, wrzeszcząc do intruza, by się wynosił. Uwolnił całą swoją magię, ale ta straszna siła wciąż tkwiła w jego wnętrzu. Nie mógł atakować mocniej, bo raniła go własna moc, skierowana przeciwko znajdującemu się w środku Dorgrylowi. W końcu opadł na ziemię, dysząc ciężko. Wiedział już, że Dorgryl zawładnął nim na dobre i że jest stracony.

Dorgryl czekał. To wszystko było szokiem dla młodzieńca, który od chwili swego uwięzienia nie postarzał się ani o dzień. Stary bóg wiedział, że musi poczekać na właściwy moment. Milczący i nieruchomy, oczekiwał, aż jego młody towarzysz się uspokoi. Gdy oddech Orlaca wyrównał się, Dorgryl wykonał ruch.

Mogę ci pomóc, wiesz?

Jak? - zapytał gorzko Orlac.

Wiem, kogo szukasz.

Nic nie wiesz! - burknął gniewnie młody bóg. Był tak zrozpaczony, że miał ochotę rzucić się w przepaść. Tyle wieków zmagania poszło na marne. Znowu był uwięziony.

Wiem bardzo dużo. Znam nazwisko człowieka, którego przywołałeś, aby zobaczył twój ostateczny triumf nad Themesiusem. Wiem, jak wygląda. Znam ludzi, którzy go kochają i których on kocha.

To zaciękało Orlaca.

Skąd?

Poczuł, że zamieszkująca go istota wierci się, jakby chciała się wygodniej usadowić,

zadowolona, że może opowiedzieć swoją historię.

Obserwowałem nie tylko ciebie, ale także Torkyna Gynta. Pierwsze wieki w Pustkowie istotnie spędziłem w całkowitym odosobnieniu. Byłem rozgoryczony i nic mnie nie obchodziło. - Dorgryl zaśmiał się chrapliwie. - Zresztą, nie było nic, czym mógłbym się zainteresować, z wyjątkiem własnej kłębki. Lys opowiedziała mi trochę o tobie, ale miałem gdzieś twoją walkę. Byłem pewien, że zostaniesz tam na zawsze. A potem nagle zaczęła zwyciężać i niszczyć tych durnych paladynów. Czulem podziw dla twojej konsekwencji.

Gdy poznałem całą historię, zaintrygowała mnie. Pomyślałem, że może jednak uda ci się pokonać strażników. Zaczęłem też śledzić Merkhuda i obserwować jego niekończące się poszukiwania, choć nie miałem pojęcia, czego szuka. Lys nie chciała mi nic powiedzieć.

A potem, któregoś dnia, zauważyłem, że stary przyjął ucznia: młodego wiejskiego skrybę, Torkyna Gynta. Było jasne, że Gynt włada dziwną magią. Przypuszczałem, że to samorodny talent. Gynt jest potężny, choć, rzecz jasna, żaden śmiertelnik nie może się równać z bogami. Mimo to Hostia wierzy, że ten człowiek ocali Tallinor przed twoim gniewem. Wszyscy twoi wrogowie pokładają w nim nadzieję. Pomogę ci go znaleźć i zniszczyć. Nic nie ucieszy mnie bardziej.

Orlac przez długą chwilę milczał, rozważając słowa Dorgryla.

A ty? - zapytał w końcu. - Co będziesz z tego miał?

Zabawę! I okazję do odwetu na Darganocie. Przy twojej mocy i moim sprycie możemy obrócić Tallinor w proch. A on właśnie tego się boi. Jego lud będzie cierpiał, a ty będziesz mógł nacieszyć się zemstą.

Dorgryl zaniósł się śmiechem, w którym pobrzmiwała nutka szaleństwa.

„Ja też musiałem tak brzmieć - pomyślał Orlac. - Ale ja nigdy nie byłem szalony, a on bez wątplenia jest”. Młody bóg postanowił dalej drażnić temat.

A co potem, Dorgrylu? Gdy już zniszczymy Tallinor i cały ten świat, rozprawimy się z Gyntem i wszystkimi, których kocha? O co wtedy mnie poprosisz?

Dorgryl zawahał się na moment, co utwierdziło Orlaca w przekonaniu, że nie może mu ufać.

Pomożesz mi. Wspólnymi siłami zabijemy twojego ojca za zło, które wyrządził tobie... i mnie.

Jak? Sądziłem, że boga nie można zabić.

Mam zamiar wykorzystać jego ciało w taki sam sposób, w jaki teraz wykorzystuję twoje. Gdy już pomożesz mi to osiągnąć, uwolnimy się od siebie i każdy z nas będzie mógł pójść swoją drogą.

Orlac znów zaczął się zastanawiać. Musiał działać rozważnie. Był w pułapce. Wiedział, że Dorgryl nie ma na razie zamiaru opuścić jego ciała, a on sam nie potrafi go wyrzucić. Może przyjdzie czas, w którym jego wujek stanie się mniej czujny, ale na razie Orlac musiał się pogodzić z tym, że słyszy w głowie jego głos i musi dźwigać jego duszę.

Postanowił przekonać tamtego, że przystaje na jego plan. Z pewnym ociąganiem przyznał się nawet przed sobą, że Dorgryl może mu pomóc w poszukiwaniu wroga. Teraz, gdy znalazł się z powrotem w świecie śmiertelników, musiał podróżować i żyć jak jeden z nich. Miał do przemierzenia wiele mil i mógłby stracić wiele lat na bezowocne poszukiwania. Wiedza wuja pomoże mu szybciej odnaleźć przeciwnika. Będzie jednak snuł także własne plany. Wiedział, że musi w jakiś sposób zniszczyć Dorgryla, bo inaczej bóg nigdy go nie opuści. Ta gadka o opętaniu Darganotha była zwyczajnym podstępem. Na razie jednak Orlac musiał tańczyć tak, jak Dorgryl mu zagrał.

Dobrze. Ale gdy tylko wrócimy do swojego świata, opuścisz moje ciało - rzekł, doskonale wiedząc, że Dorgryl nie ma takiego zamiaru.

Zgoda. - Znów usłyszał w głowie dziki śmiech starszego boga.

Co robimy? - zapytał Orlac, ruszając w dół zbocza.

Dorgryl był w swoim żywiole. Uwielbiał snuć intrygi.

Nie możesz działać pochopnie. Ostrzegłeś Gynta, że przybywasz. Niech się trochę z tym pomęczy. Pozwól, żeby zawładnęła nim niepokoje.

Źle go oceniasz. On się mnie nie boi.

Możliwe - odparł spokojnie Dorgryl. *- W końcu nie jest panem swojego życia. Żyje po to, by stawić ci czoło w walce, i robi to. Ale ma przyjaciół, których kocha, drogi bratanku. Więcej: ma rodzinę, którą uwielbia. Jest teraz w Sercu Lasu ze swoimi dziećmi, a one są jego największą radością, ale też źródłem największego lęku.*

Orlac był coraz bardziej oszołomiony pomysłami Dorgryla.

Nie idź od razu do niego - kontynuował stary bóg. *- Najpierw dopadnij tych, których kocha. Będzie tak zajęty bronieniem ich, że straci animusz do walki. Nic nie może go przygotować na utratę ukochanych istot. Będzie potrafił wyłącznie się bronić, a wtedy ty zadasz ostateczny cios.*

Orlac był pod wrażeniem. Umysł Dorgryla był zaiste mroczny.

Od czego zaczniemy? - zapytał.

Czas nam sprzyja, chłopcze. Najpierw musimy sobie znaleźć jakieś dobre miejsce do życia. Zbyt długo przebywałem w Pustkowiu. Chcę znów zaznać luksusu. Chciałbym się trochę nacieszyć życiem, nim zaczniemy zabijać. I chyba wiem, dokąd powinniśmy się udać -

powiedział z wielkim zadowoleniem Dorgryl.

Dokąd?

Do miejsca zwanego Cypryzją: To niedaleko. Kraj jest pogrążony w chaosie, bo niedawno zamordowano jego władczynię. Łatwo będzie nam go zagarnąć, a jego pałac i bogactwa pasują jak ulał do naszych potrzeb.

Chodźmy zatem do Cypryzji - zgodził się Orlac.

Jego wuj zachichotał, upojony ostatnimi wydarzeniami, i usadowił się wygodnie w ciele boga, którego zamierzał zniszczyć.

33.

NIEOCZEKIWANI GOŚCIE

Alyssa siedziała w ulubionym fotelu, ignorując stojącą przed nią kolację. Nawet aromat wybornego rosółu, specjalności kucharki, nie był w stanie jej zainteresować. Tego wieczoru w ogóle nie czuła głodu. Jej umysł był całkowicie pochłonięty przerażającym zdarzeniem sprzed tygodnia. Tańczyła i żartowała z Gylem, gdy nagle... Fakt, była zmęczona po całym dniu i długotrwałych tańcach, ale nie do tego stopnia, by tak dramatycznie zemdleć.

Medyk Kelvyn nalegał, by przez kilka dni odpoczywała. Dał jej obrzydliwy syrop, w którym rozpoznała wszystkie zioła naparu uspokajającego. Nienawidziła tych ogłupiaczy, ale na widok ponurych min Lorysa i Gyla wypła, co jej podano.

Może napar rzeczywiście pomógł. Już po dwóch dniach przymusowego leżenia czuła się wypoczęta. Denerwowało ją tylko, że wszyscy tak wokół niej skaczą. Lorys przeniósł się do jej komnat. Uwielbiała, jak każdego wieczoru przytulał ją, oddalając służbę. Alyssa wiedziała, że jej omdlenie go przeraziło. Prawdopodobnie odżyły w nim straszne wspomnienia Nyrii, która skoła w jego ramionach.

Ale ona nie umierała. Wiedziała też, że to nie wyczerpanie ani zepsute przepiórcze jaja. Było to wygodne, lecz wysoce niewiarygodne wytłumaczenie, nie ucierpiał bowiem nikt z wyjątkiem niej i Sallementra. Ciekawe, że jego też to spotkało. Coś musiało się stać w Sercu Lasu. Alyssa była o tym przekonana. Nic więcej ich nie łączyło. Dlatego właśnie tego wieczoru królowa wyrzuciła wszystkich ze swych komnat, udając, że boli ją głowa. Nienawidziła kłamać, ale Lorys, wbrew własnym chęciom, pojechał na zachód w sprawach służbowych, a skoro uwolniła się od niego, musiała się też pozbyć pozostałych. Potrzebowała spokoju, aby pomyśleć.

Co mogło spowodować tak wielkie zakłócenie Serca Lasu, że jego skutki dosięgły nawet ją i jej paladyna? Zastanawiała się, czy Saxon, gdziekolwiek był, także stracił przytomność. A Cloot? Ciekawe, czy Kloek go znalazł.

Tak jak się spodziewała - ale tym razem nie próbowała z tym walczyć - jej myśli pobiegły ku Torowi. Tęskniła za jego cudownym głosem w swojej głowie. Chciałaby go teraz usłyszeć. Bardzo się bała. Odpychała od siebie tę myśl tak długo, jak potrafiła, ale w końcu,

siedząc nad stygnącym rosołem, dopuściła ją do świadomości.

Uległ ostatni z paladynów. Orlac był wolny.

Czy naprawdę tak było? Z pewnością nic innego nie wywołałoby tak rozdzierającego krzyku Serca Lasu i tak wielkiego bólu, który odbił się na wszystkich związanych z tym miejscem osobach. A te głosy w głowie - czy to możliwe, żeby słyszała, jak Orlac zadaje ostateczny cios?

Zadrzała. Nie było innego wytłumaczenia.

Usłyszała delikatne pukanie do drzwi. Jej nowa pokojówka nieśmiało weszła do pokoju, pytając, czy królowa o tak późnej porze udzieli audiencji Sallementrowi.

- Tak. Wprowadź go. Zaraz tam przyjdę. Wszystkich innych zwolnij do komnat, Tanyu. Nie będę już dziś niczego potrzebować.

Pokojówka dygnęła nerwowo i zniknęła. Alyssa potrzebowała kilku minut na doprowadzenie się do porządku, potem weszła do salonu. Stojący przy oknie muzykant odwrócił się i uśmiechnął, szybko jednak poważniejąc.

- Dobrze się czujesz, królowo? Miło cię widzieć. - Pochylił się i ucałował jej dłoń.

- Nic mi nie jest, Sal. A tobie?

Rozmawiali teraz jak przyjaciele.

- To nie przepiórcze jaja, Alyssu.

- Wiem - odparła cicho.

- Nie rozumiem tego do końca. Nigdy nie rozumiałem. Ale czuję, że ma to związek z faktem, iż jestem paladynem sprzężonym z tobą.

Alyssa podeszła do Sallementra i objęła go.

- Sądzę - powiedziała, zacinając się - że Orlac jest wolny.

Czuła, jak ciało muzykanta sztywnieje.

- W takim razie jesteś w niebezpieczeństwie, milady. Muszę cię chronić, jak obiecałem Saxonowi - rzekł, nie znajdując w sobie wielkiej odwagi.

- Ja też nie rozumiem tego, Sal. Myślę, że niebezpieczeństwo grozi teraz wszystkim osobom uwikłanym w tę dziwną historię: Saxonowi, Clootowi, tobie, mnie... i innym, którzy być może żyją jeszcze w Sercu Lasu.

- Co powinniśmy zrobić?

Westchnęła i opuściła ręce, po czym oboje z Sallementrem zapatrzyli się w okno.

- Bez Torkyna Gynta jestem zagubiona - wyznała Alyssa. - On był Wybrańcem. Był naszą jedyną bronią. Nie wiem, do kogo możemy się zwrócić ani nawet komu o tym opowiedzieć. Chciałabym powiedzieć Lorysowi, ale nie wyobrażam sobie, by uwierzył w tę

historię. A ty?

Muzykant obrócił się i położył jej dłonie na ramionach.

- Tydzień temu otrzymaliśmy sygnał. Myślę, że musimy czekać na kolejny.

Alyssa skrzywiła się.

- Ale kto ma moc wystarczającą do powstrzymania sięjącego zniszczenie boga? -

Alyssa poczuła ukłucie paniki.

Sallementro był zdumiony własną pewnością siebie.

- Nikt spośród nas. Dlatego musimy czekać, wasza wysokość. W grę wchodzi tu jakieś inne siły. Nie mamy nad nimi kontroli. Ale one wydają się kontrolować nas. Mam nadzieję, że Lys wkrótce mnie odwiedzi i powie, co robić dalej.

- Ty masz przynajmniej ją.

Sallementro zignorował gorzką uwagę.

- Saxon na pewno też to poczuł. Gdziekolwiek jest, myślę, że możemy liczyć na jego rychły powrót. Poczekajmy na niego.

- A co potem, Sal? W jaki sposób nasza trójka ma walczyć z bogiem? Moja moc została na zawsze stłamszona. - Alyssa wskazała zielony dysk na czole.

- Naprawdę wierzę, że dadzą nam znak. Będziemy wiedzieli, co dalej robić.

Ktoś delikatnie zastukał do drzwi. Alyssa obróciła się gwałtownie.

- Nie dają mi spokoju. Wszyscy się boją, że zaraz umrę.

Podeszła do drzwi.

- Odeszła kolejna królowa Tallinoru! - zawołała, wściekła na siebie za złośliwy ton, płynący z lęku, który nagle zaczął ją ogarniać.

Otworzyła drzwi. Przeżona Tanya dygnęła niezdarnie.

- No, co jest? - zapytała królowa.

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, wasza wysokość. Przyniesiono to dla pani. Ten, kto to dostarczył, powiedział, że to bardzo ważny i poufny list.

Alyssa spojrzała na pomietą kartkę w ręku dziewczyny.

- Kim był ten człowiek?

- Hm... To jakiś staruszek, wasza wysokość. On... hm... prosił, by pani powiedziec, że Rufus Akre w końcu stracił zęby.

- Pokojówka wrzuciła ramionami. Wiedziała, że to głupia wiadomość, ale kazano jej ją przekazać.

Alyssa była wstrząśnięta. Zaśmiała się nerwowo, chcąc ukryć zmieszanie. Od lat nie słyszała tego nazwiska. Rufus Akre, chłopak z zębami jak kamienie nagrobne, który tak

rozpaczliwie pragnął złapać jej bukiet w dniu Tańca Kwiatów w Minstead Green... a ona czekała, aż Tor poprosi ją o rękę. Pokręciła głową, nic z tego nie rozumiejąc. Tylko ona i Tor wiedzieli o Rufusie i jego zamiarach.

Tanya podała jej kartkę.

- Hm... Podmarszałek rozmawiał z tym człowiekiem i powiedział, że mogę to pani zanieść, wasza wysokość. Mówi, że staruszek jest prawdopodobnie szalony, ale niegroźny. Gyl... to znaczy podmarszałek, wasza wysokość, sądzi, że to może być wiadomość od pani ojca.

Alyssa zabrała kartkę z jej rąk, wciąż kręcąc głową na wspomnienie czasów, z którymi wiązało się nazwisko Rufusa Akre. Podziękowała dziewczynie i zamknęła drzwi, gdy ta była w połowie kolejnego nerwowego dygnięcia.

- Jakież złe wieści? - zapytał Sallementro.

Alyssa podeszła do biurka.

- Nie. Tylko bardzo dziwne - odparła, marszcząc brwi i sięgając po nóż, by złamać woskową pieczęć.

Kiedy czytała, jej oczy robiły się coraz większe.

- Sal... to od Saxona.

- Co pisze? - zapytał z wielką ulgą muzykant.

- Nie rozumiem... - Podniosła głowę. - Chce się ze mną spotkać w małym lasku na zachód od pałacu.

- Po co?

- No właśnie. Tego właściwie nie napisał. Chce, żebym się z kimś spotkała, ale nie może przyprowadzić tej osoby do pałacu.

- To znaczy, że tu jest? Teraz? Czeka na ciebie?

- Na to wygląda. - Alyssa pokazała minstrelowi wiadomość.

Sallementro szybko ją przeczytał.

- Bardzo nalega, żebyś nikogo ze sobą nie zabierała.

- Dziwne, prawda? - wykrzyknęła Alyssa. - Skąd ta tajemniczość? I ta dziwna aluzja do Rufusa Akre? Wie o nim nie więcej niż ty.

- Kto to jest Rufus Akre?

- No właśnie! - odparła zniecierpliwiona. - Tylko Tor mógłby wymyślić takie hasło, by przyciągnąć moją uwagę. A on nie żyje.

Muzykant zamyślił się, przygryzając wargę.

- Może kiedyś wspomniał o nim Saxonowi, a on posłużył się tym nazwiskiem jako

uwierzytelnieniem swojej wiadomości. Musiał mieć ku temu ważny powód, Alysso. Zawierzyłbym Saxonowi życie.

Alyssa spojrzała na Sallementra.

- Ja już je zawierzyłam. Chodźmy.

- Jak możemy się wydostać stąd niezauważeni?

Królowa zastanowiła się szybko.

- Znam drogę.

Sallementro zawahał się.

- Nie sądzisz, że to może być pułapka? Może powinniśmy powiedzieć o wszystkim Gylowi?

Wzruszyła ramionami.

- To pismo Saxona, a on prędzej by umarł, niż wciągnął mnie w pułapkę, nawet gdyby miał nóż na gardle. Nie. Wierzę, że wiadomość jest autentyczna, ale jestem zaintrygowana jej tajemniczością. I, szczerze mówiąc, Gyl jest ostatnią osobą, którą chciałabym w to wciągać. I bez tego się o mnie martwi. Nie chcę go jeszcze bardziej przerazić. Zaraz kazałby żołnierzom przeszukać lasy. Nie zaakceptowałby czegoś tak niejasnego.

- A król? - zapytał Sallementro, przypominając Alyssie o jej statusie.

- Króla tu nie ma. W tej chwili jestem jedyną przedstawicielką królewskiego rodu w pałacu i zrobię to, na co mam ochotę.

- Uśmiechnęła się szeroko. - Idę po płaszcz.

Nasłuchiwali pod drzwiami, lecz nic nie usłyszeli. Zawsze, gdy Lorysa nie było, w pałacu panowała cisza. Alyssa była przekonana, że to on sam robi ten cały hałas. Odsunęła zasuwę i powoli otworzyła drzwi. Dwaj gwardziści wyprężyli się służbiście, aż Alyssa i Sallementro podskoczyli. Królowa nie oczekiwała tak ścisłej ochrony.

- Wasza wysokość - rzekł jeden z ukłonem.

Alyssa wzięła się w garść.

- Kto wam kazał trzymać straż przy moich drzwiach?

- Podmarszałek Gyl, wasza wysokość.

- A pan kim jest?

- Eamon z Tarczy, wasza wysokość. - Gwardzista znów skłonił się sztywno.

- Eamonie z Tarczy, nie jestem dzieckiem, nie jestem chora i nie potrzebuję takiej opieki. Na światłość, ja tylko zemdlałam! A teraz chcę pójść na nocny spacer z Sallementrem i nie życzę sobie, by mnie śledzono. Rozumiemy się?

- Tak jest, wasza wysokość. Poinformuję jedynie podmarszałka.

Alyssa obróciła się gwałtownie.

- Niczego takiego nie zrobisz, Eamonie z Tarczy. Osobiście go o wszystkim poinformuję. Nie zapominaj, że jest moim synem i że, podobnie jak ty, musi się podporządkować rozkazom królowej.

Przerażony gwardzista kiwnął głową.

- Jak wasza wysokość sobie życzy.

- Tak właśnie sobie życzę - powiedziała i oddaliła się.

Sallementro ruszył za nią.

- A więc potrafisz być twarda, jak chcesz - szepnął zaintrygowany.

- Nie wiesz o tym nawet połowy, Sal - odparła, tłumiąc śmiech.

Zniknęli z oczu czujnym gwardzistom, kierując się w stronę kuchni. Nieliczni ludzie, którzy wciąż byli na nogach i kręcili się po pałacu, ze zdziwieniem patrzyli na swoją królową, przemierzającą korytarze o tak późnej porze. Alyssa przybrała wyniosłą pozę i nawet zleciła kilku giermkom jakieś zadania.

„Jest niesamowita” - pomyślał Sallementro, widząc ją teraz w zupełnie nowym świetle - jako dystyngowaną monarchinię, w którą niepostrzeżenie się przedzierzgnęła. Nie była już dziewczyną. Nie była nawet piękną, lecz zwyczajną kobietą ani doradczynią króla. „To nasza królowa - pomyślał nagle. - Prawdziwa arystokratka”.

- Ktoś w końcu powiadomi Gyla - ostrzegł ją. - Zbyt dużo osób nas widziało.

- No i dobrze - odparła przez ramię. - Nie boję się go. Poza tym, gdy on tu dotrze, my będziemy już daleko.

*

To był nudny wieczór. Gyl nie czuł się dostatecznie zmęczony, by zasnąć, ale miał już serdecznie dosyć patrolowania pałacowych gruntów i blanków. Jego kapitanowie czuwali nad wszystkim, podmarszałek czuł się więc całkowicie zbędny. Żałował, że nie zdecydował się wyjechać z królem, ale marszałek Herek wołał, by został na miejscu i pilnował wojska. Gyl posłuchał go, lecz czuł jakiś niepokój i często powracał myślą do tej młodej kobiety, przedzierającej się przez wzgórza w kierunku Axon. Zastanawiał się, co się z nią stało. Czy zginęła?

Lauryn. Piękne imię. Zastanawiał się, czy twarz dziewczyny była równie piękna. Potrząsnął głową, by odpędzić te myśli, i postanowił złożyć wizytę matce. Wciąż niepokoił go wypadek, który wydarzył się podczas uroczystości imieninowych. Królowa cieszyła się doskonałym zdrowiem i nie istniało żadne zadowalające wytłumaczenie tego dziwnego incydentu. Gyl pozwolił doktorowi Kelvynowi zrzucić winę na zepsutą partię przepiórczych

jaj, ale wiedział, że jego matka nie znosi jajek. Nigdy ich nie jadła, jeśli nie były ukryte w ciastach czy babeczkach.

Widział w jej oczach, że akceptuje to wyjaśnienie jedynie ze względu na niego i króla, ale w rzeczywistości w nie nie wierzy. Poza tym, dlaczego Sallementro zareagował w identyczny sposób i niemal w tym samym momencie? Dlaczego nikogo to nie zastanowiło? Gdy Gyl zaczął wypytywać króla, Lorys zakazał mu wszelkich dyskusji na ten temat. Chłopak uświadomił sobie wówczas, że król nie chce dopuścić do świadomości podejrzenia, iż dzieje się coś złego. Cóż, teraz Alyssa odzyskała siły. Gyl pomyślał, że jeśli ją odwiedzi i zje z nią kolację, być może dowie się czegoś więcej o tamtym zdarzeniu.

Gdy dotarł do drzwi apartamentu królowej, nie zastał tam żadnego z gwardzistów, których osobiście tam postawił. Zatrzymał przechodzącego giermka i poprosił, by ten natychmiast przyprowadził Eamon. Potem zapukał cicho do drzwi, ale w środku panowała cisza. Gyl nasłuchiwał. Nadal nic. Raz jeszcze zapukał, zastanawiając się, gdzie, u diabła, podziały się pokojówki. Może królowa poszła wcześniej spać i odesłała personel? Było to możliwe, ale nie wyjaśniało nieobecności wartowników.

Wiedział, że komnaty nie są zamknięte na klucz. Straż stojąca u stóp wieży nie wpuszczała nikogo na górę, więc apartament był bezpieczny. Gyl nacisnął klamkę. Wszedł do środka i zobaczył dwie palące się świece. Reszta salonu pogrążona była w mroku. Podmarszałek postanowił zajrzeć do sypialni i sprawdzić, czy jego matka śpi, ale w tym momencie ktoś odkaszlnął przy drzwiach. Gyl obrócił się i zobaczył gwardzistę.

- A, Eamon. Czy mi się zdaje, czy kazałem panu i pańskiemu koledze trzymać tu wartę?

Eamon stał na baczność.

- Nie, panie marszałku, nie zdaje się panu.

- Dlaczego zatem, jeśli wolno spytać, opuścił pan swoje stanowisko? - Gyl starał się mówić spokojnie, ale w głębi duszy był wściekły.

- Panie marszałku, królowa wyszła z apartamentu i kazała nam odejść.

- Kazała wam odejść, a wy nie uważaliście za stosowne poinformować mnie o tym?

- Panie marszałku, królowa zabroniła mi pana informować. Powiedziała wyraźnie, że udaje się wprost do pana, by zrobić to osobiście.

Zachowanie matki rozgniewało Gyla. Co ona sobie myślała, podkopując jego autorytet?

- Cóż, wygląda na to, że nie udała się wprost do mnie. Nie widzieliśmy się tego wieczoru.

Eamon odwrócił spojrzenie od Gyla i wbił je nerwowo w płytki podłogowe.

- Mówiła, że udaje się na nocną przechadzkę...

Na światłość! To brzmiało coraz gorzej.

- Była sama? - zapytał Gyl, zdumiony, że Alyssa mogła tak wyjść w całkowity mrok.

- Nie, panie marszałku. Był z nią minstrel Sallementro.

Gyl zastanowił się. Jego matka nigdy nie chodziła nocami na spacer, ale wiadomość, że towarzyszy jej Sallementro, dodała młodzieńcowi otuchy.

- Proszę mi powiedzieć, Eamonie, czy pokojówka przyniosła tu dziś jakiś list?

- Tak, panie marszałku. Królowa wysłała niemal zaraz potem.

Gyl westchnął.

- Rozumiem. Czy powiedziała, dokąd się udaje?

- Nie. Odesłała całą służbę i nas. Była bardzo zła, gdy nas tu zobaczyła.

- Wyobrażam sobie - mruknął do siebie Gyl, zastanawiając się, czy Alyssa nie zostawiła listu gdzieś w komnatach.

- Może pan odejść - rzekł do gwardzisty. - Ale na przyszłość proszę pamiętać, że jest pan przede wszystkim żołnierzem Tarczy i niczyje rozkazy nie są ważniejsze niż rozkazy pana przełożonych. Czy wyrażam się jasno?

- Tak, panie marszałku. Królowa była jednak naprawdę zła.

Gyl miał ochotę się roześmiać. Jego matka zła? Śmiechu warte.

- Odmaszerować - mruknął zmęczonym głosem.

Żołnierz zasalutował w typowy dla Tarczy sposób i szybko wyszedł.

Gyl rozmyślał nad sekwencją wypadków związanych z listem. Staruszek, który go przyniósł, wyglądał dość żałośnie. Nie błagał o audiencję. Po prostu poprosił, by ktoś łaskawie raczył dostarczyć ten liścik królowej. Powiedział, że pochodzi z tych samych okolic co ona i zna jej ojca. Chciał tylko przekazać jakąś wieść. Zapewniał Gyla, że nie jest to zła wiadomość, po prostu liścik ojca do córki. Cała ta sprawa wydawała się wówczas błaha. Teraz jednak... Dokąd mogła udać się królowa? I co było w liście?

Alyssa musiała wymknąć się z pałacu ukradkiem. Dobrze wiedziała, że on nie zaakceptowałby tej niebezpiecznej nocnej wędrówki. Jak mogła to zrobić? Po krótkim namyśle Gyl doszedł do wniosku, że prawdopodobnie wybrała jedną z kuchni - doskonale знаła tę część pałacu i wiedziała, że jest tam dużo tylnych wyjść.

Zbiegł po schodach, przeskakując po trzy stopnie naraz, aż gwardziści stojący u stóp wieży odskoczyli z przerażeniem. W żadnym wypadku nie mógł pozwolić na to, by jego matka, bądź co bądź królowa, znalazła się w jakimkolwiek niebezpieczeństwie. Był jej

obrońcą i musiał jej zapewnić całkowitą ochronę.

*

Kucharka po raz ostatni tego wieczoru dorzuciła do pieca. Od tej pory obowiązek podtrzymywania ognia do świtu miał spoczywać na którejś ze zmywaczek lub którymś z tych niesfornych chłopaków. Ona miała już dosyć. Na jutro zapowiadano powrót króla i zamierzała ugotować jedno ze swoich powitalnych dań, ale była jeszcze zmęczona po przygotowaniach do uczyty imieninowej, która zakończyła się takim fiaskiem.

Pokręciła głową, ożywiając ogień pogrzebaczem. Podejrzewanie jej o podanie zepsutych przepiórczych jaj było tak niedorzeczne, że nawet nie zamierzała się bronić. Z pieca buchnął nowy, gniewny płomień. Oczywiście, że jaja były świeże. Omdlenie królowej musiało mieć zupełnie inną przyczynę niż ta, o której powszechnie mówiono. Ale w końcu to nie była jej sprawa.

Podobno Alyssa i ten jej muzykant Sallementro czuli się już dobrze, a tylko to się liczyło. Kucharka podniosła się ze stęknieniem, usiłując rozprostować plecy. W tym momencie usłyszała zbliżające się kroki i szepty. Obróciwszy się, ze zdumieniem ujrzała królową, ubraną jak do wyjścia, a obok niej muzykanta, o którym przed momentem myślała.

Uśmiechnęła się.

- No, no, moja królowo. Co też panią tu sprowadza o tak późnej porze?

Alyssa przyłożyła palec do ust i powiedziała półgłosem:

- Ciszej, kucharko. Muszę wymknąć się na godzinny spacer. Ten przekłety medyk uwięził mnie w sypialni i mam już tego serdecznie dość. Cieszę się doskonałym zdrowiem i potrzebuję jedynie trochę świeżego powietrza. Pomożesz mi?

- Pomóc waszej wysokości? Niby jak?

Alyssa ujęła kucharkę pod ramię, w subtelny sposób czyniąc z niej współniczkę.

- Sallementro będzie mi towarzyszył.

Muzykant zrobił zrezygnowaną minę, jakby nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia.

- Wymkniemy się przez chłodnię - kontynuowała Alyssa.

- Gdyby ktoś pytał, czy mnie widziałas, proszę - błagam! - powiedz, że nie.

- A dlaczegoż to, moje dziecko?

- Bo jestem już zmęczona ich ciągłą troską i traktowaniem mnie jak inwalidki. Ja tylko zemdlałam! Nawet nie ruszyłam tych jajek. Podmarszałek postawił przy moich drzwiach straż, więc postanowiłam się zbuntować i pokazać, że nie godzę się na takie traktowanie. Jestem królową! Jeżeli mam ochotę wyjść i zaczerpnąć świeżego powietrza, to wyjdę.

Wpatrywała się w kucharkę swymi wielkimi, szarozielonymi oczyma. Któż mógłby się oprzeć temu spojrzeniu? Miło było widzieć królową znów w tak dobrym humorze i bojowym nastroju. Kucharka zawsze wiedziała, że Alyssa ma w sobie wielkiego ducha. Przez pewien czas pozostawał po prostu w ukryciu.

- Oczywiście, moja droga. Nic nie widziałam. Rozniecam ogień i przygotowuję się do wyjścia na noc. Jeśli nawet przechodziła pani obok, nie zauważyłam tego.

Alyssa ucałowała przyjaciółkę w pucułowaty policzek.

- Dziękuję, kucharko! To dla mnie bardzo ważne.

- Znikajcie więc, nim was złapią.

Kucharka odwróciła się do nich plecami i raz jeszcze szturchnęła płonący teraz jasno ogień, na którym przez całą noc miał się gotować wielki garniec bulionu warzywnego. Nie miała pojęcia, którymi drzwiami wyszli królowa i Sallementro, przypuszczała jednak, że zgodnie z zapowiedzią Alyssy wymknęli się przez chłodnię.

Gdy tylko przybył personel zmywarni, kucharka wydała dyspozycje na najbliższe godziny, wysupłała się z fartucha, powiesiła go na tym samym wieszaku, na którym go wieszala przez ostatnie czterdzieści lat, i przeciągnęła się.

Długo ziewała, a kiedy wreszcie skończyła, zauważyła stojącego w głównych drzwiach podmarszałka.

- Na światłość! - zawołała, kładąc dłoń na sercu. - Przestraszył mnie pan!

- Wybacz, kucharko. Wyglądałaś, jakby to ziewnięcie było ci naprawdę potrzebne. Nie chciałem ci przeszkadzać. - Mrugnął, podszedł do niej i przygarął mocno.

Uwielbiała Gyla od czasu tamtego mroźnego poranka, w którym znaleziono go przykutego do bramy pałacu.

- Co to?

- Tradycyjny bulion warzywny, Gyl. Napij się.

- Później. Pachnie jak zwykle cudownie. - Zanurzył w garnku drewnianą chochlę i spróbował. - Mniem, mniem. Pycha! - Potem dodał ostrożnie: - Nie widziałaś przypadkiem mojej mamy... teraz, niedawno?

Kucharka nawet się nie zawahała. Choć uwielbiała syna, matkę ubóstwiała.

- Królowej? Nie. Szykowałam się już do łóżka, Gyl.

- Jasne, nie będę cię zatrzymywał. Po prostu muszę z nią pilnie porozmawiać, a nigdzie nie mogę jej znaleźć.

- Nie obawiaj się. Twoja matka zawsze lubiła się wymykać. Na pewno siedzi gdzieś w zacisznym miejscu, czytając lub pisząc.

- Hmm... - Spojrzał na nią badawczo. - Pewnie tak. Idź, nie przeszkadzaj sobie.

Kucharka po raz ostatni zerknęła na pokojówkę, ciesząc się, że nie było jej w kuchni, gdy pojawiła się królowa. Nelly była największą gadułą w pałacu i, jak większość młodych służących, miała kompletnego fioła na punkcie czarującego podmarszałka. Oddałaby duszę za jeden jego pocałunek.

- Nie pozwól ogniovi zgasnąć, Nelly, bo inaczej rano złożę ci skórę.

- Tak jest, pani kucharko - odparła Nelly z dygnięciem.

Po czym uśmiechnęła się do Gyla, wcale nie tak nieśmiało.

Odwrócona od nich kucharka, niemal utykając ze znużenia, wydeła policzki i z ulgą wypuściła powietrze. Mało brakowało!

*

Dwie postacie przemykały ukradkiem przez liczne pałacowe dziedzińce. Alyssa dobrze znała zwyczaje gwardzistów. Spędziła dużo wieczorów na rozmowach z żołnierzami, chcąc jak najlepiej poznać służących królowi ludzi. Szybko nauczyła się ich imion, zapamiętała nawyki i rozkład nocnych wart, a nawet trasy patroli. Ta wiedza umożliwiła jej zaplanowanie momentu, w którym oboje z Sallementrem mieli pobiec ku żelaznej bramie wiodącej poza tereny pałacu. Gdy już znaleźli się na zewnątrz, oparli się o mur, dysząc ciężko.

Alyssa parsknęła śmiechem.

- Niezła zabawa, Sallementro!

Uśmiechnął się mimowolnie na widok jej radości.

- Z pewnością zmienisz zdanie, gdy król każe mi uciąć głowę za karę, że ci na to pozwoliłem.

- Bzdura! - odparła Alyssa, klepiąc go w pierś wierzchem dłoni. - Zapominasz, kim jestem, muzykancie! Chodźmy.

Trzymając się za ręce, wspięli się na niewielkie wzgórze za pałacem, gdzie dawniej Alyssa i Saxon często przychodzili, by porozmawiać na osobności. W oddali widniał ciemny zarys kępy drzew.

- Widzisz coś? - szepnął Sallementro.

- Nie - odparła Alyssa, zrzucając kaptur. - Podejdźmy bliżej.

Gdy wypowiadała te słowa, ujrzała nagle niewielki ognik, który zniknął równie szybko, jak się pojawił. Ktoś, kto nie wytężyłby wzroku tak jak ona, nigdy by go nie zauważył. Alyssie jednak światełko przywiodło na myśl Płomienie Firmamentu.

- Tam! - powiedziała, puszczając dłoń Sallementra. Podkasła płaszcz i zaczęła biec w

kierunku miejsca, w którym zobaczyła światełko.

Sallementro popędził za nią, choć nagle pomyślał, że to wcale nie jest taki dobry pomysł. Ciągłe powtarzał sobie słowa Alyssy: „Wszyscy jesteśmy straceni”, i wzbierał w nim niepokój. Co zrobi, jeśli to pułapka i jeśli ktoś będzie chciał skrzywdzić Alyssę?

Jego niepokój wyparował jednak w mgnieniu oka, gdy zza jednego z drzew wyłoniła się znajoma postać. Nie miał cienia wątpliwości, że to Kloek.

- Saxon! - wykrzyknęła królowa, starając się, by nie zabrzmiało to zbyt głośno. Jej głos zdradzał jednak podniecenie. Pobiegła ku przyjacielowi.

Kloek do tej pory nie uświadamiał sobie, jak bardzo tęskni za swoją piękną Alyssą. Zawsze myślał o niej wyłącznie jako o delikatnej dziewczynie, niemal dziecku, którą z taką radością wypatrzył w tłumie tamtej pamiętnej nocy we Fragglesham. A teraz znów był z nią. Uniósł ją w ramionach z podobną radością, słuchając, jak piszczy. Wiedział, że ta radość nie potrwa długo, ale chciał się nacieszyć tą piękną chwilą.

- Wszystkiego najlepszego z okazji zaślubin, moja królowo - rzekł z szacunkiem, ale nadal przytulał ją mocno, jak ukochaną przyjaciółkę. - Przykro mi, że zostawiłem cię na tak długo.

Wiedział, że powinien się pokłonić, ale ona radośnie wisała mu u szyi i nie chciał jej psuć zabawy.

- Masz szczęście. Nie każę cię posiekać na kawałki, Kloeku, bo jestem w tobie beznadziejnie zakochana, ale nigdy więcej nie opuszczaj mnie w ten sposób - odparła, przytulając go niemal równie mocno.

Dogonił ich Sallementro.

- Sax!

Kloek delikatnie postawił Alyssę na ziemi i po męsku uścisnął muzykanta.

Sallementro jęknął.

- Moje palce, Saxonie! Muszę jutro grać!

Kloek rozpromienił się i wciągnął w nozdrza nocne powietrze.

- Miło znów być w domu - rzekł, otaczając ich oboje długimi ramionami. - Chodźcie - dodał i pociągnął ich w głąb zagajnika.

Alyssa z przyjemnością ruszyła za nim, czując się już całkowicie bezpieczna.

- O co w tym wszystkim chodzi? - zapytała. - Sallementro nie chciał mi pozwolić tu przyjść, bo bał się, że to pułapka.

- W pewnym sensie miał rację, wasza wysokość - przyznał Saxon.

- Alyssy - poprawiła go. - Zapomnij o formalnościach, gdy jesteśmy sami. I zdradź mi

w końcu ten straszny sekret, który skrywasz. Co to takiego, że nie możesz mi tego wyjawić na terenie pałacu? Wspominałeś coś o jakimś gościu?

Saxon nagle spowaźniał. Byli już całkowicie osłonięci przez drzewa. Poczul, jak żołądek fika mu koziołka. Teraz wszystko miało się rozstrzygnąć. Jak zareaguje Alyssa? Czy okaże się dość silna, by przyjąć prawdę? Przez tę krótką chwilę przemknął mu przez głowę jeszcze z tuzin podobnych myśli. Towarzysze wpatrywali się w niego. Wahał się o ułamek sekundy za długo, wywołując grymas na pięknej twarzy Alyssy. W przedzierającym się przez gałęzie świetle księżycy Saxon dostrzegł jej niepokój.

- O co chodzi, Saxonie? - zapytała, przestając się uśmiechać. Czula, że coś jest nie tak.

Bezszelstnie podleciał do nich Clout i usiadł na ramieniu Kloeka. Saxon wiedział, że sokół przybywa, by dodać mu odwagi. Dotknął go w dziękczynnym geście, patrząc, jak oczy Alyssy znów rozjaśnia radość.

- Clout! A więc go uratowałeś?

Saxon kiwnął głową. Zabrakło mu słów. Wiedział jednak, że wkrótce będzie musiał je z siebie wydobyć. Wyciągnął rękę, by ptak wskoczył mu na przedramię, a potem podał go królowej, ta zaś ucałowała czule sokoła Tora.

- Och, Clout. Jesteś bezpieczny, żyjesz! - załkała. - Dzięki tobie mam wrażenie, że Tor także jest tu z nami.

Na dźwięk tych niewinnych słów Saxon poczul, że włosy na rękach stają mu dęba. Zerknął na Sallementra i smutno pokręcił głową w odpowiedzi na jego pytające spojrzenie. Muzykant odgadł, że usłyszą złe wieści. Wziął głęboki oddech, zastanawiając się, co przyniósł ze sobą Saxon w tę chłodną noc.

Clout obawiał się przede wszystkim o Tora, który przyglądał się tej scenie zza osłony drzew.

Nie mogę jej tego zrobić - rzekł drżącym głosem do sokoła.

Wiesz przecież, że musisz. Bądź dzielny, Tor. Alyssa jest silniejsza, niż ci się wydaje. Nawet jeśli cię znienawidzi, nie masz wyboru. Nie zapominaj: Orlac jest wolny.

Wzmianka o Orlacu dodała Torowi odwagi. Bóg zagroził przecież, że znajdzie wszystkich, których Tor kocha, a Alyssa stanowiła jeden z głównych celów. Musiał się ujawnić, by móc ją chronić. Musiał się narazić na jej nienawiść, by ją uratować. Na myśl o tym zrobiło mu się niedobrze.

Lauryn i Gidyon stanęli po jego bokach, zalewając go przez łącze falą miłości.

Nie bój się - dodawała mu otuchy Lauryn. - *Kobieta nigdy nie znienawidzi kogoś, kogo naprawdę kocha.*

Wybacz ci, ojciec - wtórował siostrze Gidyon.

Alyssa odsunęła się od Saxona i spojrzała mu w twarz. Wydał jej się nagle bardzo odległy. Zauważyła, że jest zdenerwowany. Clout odleciał z trzepotem skrzydeł i Kloek odkaszlnął, ale to ona odezwała się pierwsza.

- Cokolwiek to jest, Saxonie, twoje milczenie nie sprawi, że problem zniknie.

Kiwnął głową.

- Czy mój ojciec nie żyje?

- To nie to, Alyssu. Nie widziałem się z twoim ojcem. To był blef.

Próbowała pomóc mu, widząc, że naprawdę się męczy. Sallementro stanął za nią i ujął ją za ramię, ona jednak uwolniła się łagodnie.

- A więc chodzi o Gotha? Masz dla mnie jakieś złe wieści o nim?

- Mam wieści o Gocie, ale nie dlatego wezwałem cię tu w środku nocy. Mówiłem prawdę: przyprowadziłem kogoś, kto chce się z tobą zobaczyć.

I nagle ukląkł, wprawiając ją w osłupienie, po czym ujął i ucałował jej dłoń.

- Wybacz mi, moja królowo, to, co dziś przywracam do życia.

Było to tak dziwaczne, że przez głowę Alyssy przemknęło chyba z tysiąc ostrzeżeń, a całym ciałem wstrząsnął dreszcz. Saxon się bał. Dlaczego? Przyprowadził ze sobą kogoś, ale był tak przerażony, że nie potrafił wykrztusić imienia tej osoby.

Ruszaj, Tor - szepnął Clout wprost w umysł przyjaciela. - *Nasze serca cały czas będą przy tobie.*

Tor polecił dzieciom pozostać w ukryciu, dopóki ich nie zawoła, a sam wyszedł zza drzewa. Na dźwięk łamanej gałązki królowa Tallinoru obróciła się gwałtownie.

Odgłos dobiegający zza pleców Alyssy przerwał jej rozmyślenia o tym, kim może być tajemniczy gość. Obróciwszy się, ujrzała sylwetkę mężczyzny, który najprawdopodobniej ukrywał się wcześniej za drzewami. Usłyszała, jak Saxon wstaje i wyciąga ku niej rękę, ale przesunęła się, by jej nie sięgnął. Stojący w cieniu mężczyzna był wysoki i miał w sobie coś boleśnie znajomego. Alyssa wstrzymała oddech. Serce biło jej tak mocno, że dziwiła się, iż pozostali nie zostali ogłuszeni jego hałasem. Miała wrażenie, że obudziłaby nim wszystkich mieszkańców pałacu.

Mężczyzna zrobił dwa kroki do przodu. Choć było to bez sensu, przypominał jej kogoś, kim nie mógł być. Gdy się odezwał, potwierdził tylko, że umysł Alyssy płata swej właścicielce potworne figle. To musiał być sen. Przerazający koszmar. Dlaczego Saxon kazał jej go przeżywać? I dlaczego stojący w cieniu człowiek miał głos i posturę Torkyna Gynta?

- Alyssu... To ja, Tor - odezwał się.

„Tor” - powtórzyła w duchu.

- Przecież... przecież Tor nie żyje. - Wyjąkała, oddychając nierówno. - Co to za sztuczka, Saxonie? - zapytała drżącym, lecz mocnym głosem.

Saxonowi wystarczył jeden krok, by stanąć przy niej.

- To prawda, Alysso. On żyje.

Sallementro musiał się oprzeć o drzewo, by odzyskać równowagę. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi i słyszy.

Tor z ociąganiem zrobił kolejny krok. Jeszcze kilka i będzie mógł jej dotknąć. Nawet w słabym świetle księżycowej nocy wyglądała olśniewająco. Potem jednak przypomniał sobie, kogo ma przed sobą. Być może była wstrząśnięta, a serce trzepotało jej w piersi jak przerażony wróbel, lecz mimo to była królową Tallinoru. Zmusił się, by uklęknąć i pochylić głowę.

- Wasza wysokość.

Jego gest sprawił, że otrząsnęła się z przerażenia, nadal jednak w niebotycznym zdumieniu wpatrywała się w mężczyznę, którego nigdy nie przestała kochać. Odrętwiała, straciła panowanie nad własnym ciałem. To naprawdę był on: piękny Torkyn Gynt, ojciec jej nieżyjącego syna. Mężczyzna, którego miłość rozdarła ją, a bohaterska śmierć uratowała. Alyssa patrzyła, jak kamienie rozbijają mu głowę, a życiodajna krew opuszcza ciało. Przez całe lata usiłowała pogodzić się z poniesioną stratą.

I wtedy niespodziewanie przypomniało jej się dziwne zachowanie Merkhuda w dniu egzekucji. Te wielkie szare oczy, które zbyt długo się w nią wpatrywały, jakby chciały jej przekazać coś ważnego. A przecież, gdy się odezwał, rzekł jedynie, że Sallementro jest jej przyjacielem, potem zaś posłał jej całusa. Alyssa pomyślała, że to dziwne, i pamiętała, że strzegący jej wówczas Herek także to zauważył i podzielił się tą uwagą z jednym z żołnierzy.

Czyżby starzec znowu zwyciężył? - Ta niewiarygodna myśl była jak sto wymierzonych jednocześnie ciosów w żołądek. Czyżby ten szczywany stary kozioł jakimś sposobem wykradł Tora z rąk śmierci?

Alyssa obróciła się, by spojrzeć na Saxona, on jednak odwrócił oczy. Sallementro, który najwyraźniej nie był wtajemniczony w ten nikczemny podstęp, także wpatrywał się w ziemię.

Spojrzała więc ponownie na Tora, który nadal klęczał i, podobnie jak pozostali, sprawiał wrażenie bardziej zainteresowanego trawą niż jej osobą.

Ogarnął ją tak wielki żal, że niemal straciła oddech. Ból, udręka, gniew - troje starych towarzyszy - powracały triumfalnie.

- Wstań! - rozkazała, odzyskując wreszcie głos. - Wstań i spójrz mi w oczy, zdrajco!

Początkowo nikt się nie poruszył: wszyscy byli zaskoczeni jej słowami. Po chwili Tor wstał.

- Spójrz mi w oczy - powtórzyła Alyssa.

Tor uniósł głowę. Twarz oświetliła mu wiązka małych płomyków: zawsze krążyły w pobliżu, gotowe przybyć na każde zawołanie.

A zatem to, co widziała wcześniej, naprawdę było jednym z leśnych płomieni. Alyssa zacisnęła dłonie w pięści, by powstrzymać ich drżenie. Teraz, w świetle płomyków, nie miała wątpliwości, kto stał przed nią. Te niewiarygodnie niebieskie oczy mogły należeć jedynie do Torkyna Gynta. Dostrzegła nawet siną bliznę biegnącą w poprzek głowy - pozostałość po katowskich kamieniach.

Miarka się przebrała: Alyssa zrobiła krok do przodu i zamachnęła się. Nikt, nawet Tor, nie spodziewał się tego. Nie mieli też pojęcia, jakim sposobem zdołała sięgnąć tak wysoko, ale uderzyła Tora w szczękę z taką siłą że upadł na plecy.

A potem królowa rozplakała się, uwalniając lata rozpacz w postaci strugi łez.

Tor, ktoś nadchodzi! - ostrzegł natarczywie Clout.

*

Po przeszukaniu pałacu i otaczających go terenów Gyla ogarnęło zrozumiałe zdenerwowanie. Królowa najwyraźniej nie przebywała w obrębie murów pałacowych, a wszystkie bramy były zamknięte. Nikt z wartowników nie widział, aby ona lub Sallementro przechodzili przez któryś z dziedzińców. Gdzie więc mogła teraz być? Gyl kręcił się pod ścianami kuchni, wiedząc, że gdyby Alyssa chciała się wymknąć, skorzystałaby z tej właśnie drogi. Po co jednak miałyby się wymykać?

Wtedy usłyszał dobiegający z zagajnika za wzgórzem przytłumiony krzyk. Nie czekając na swoich ludzi, pobiegł w tamtym kierunku najszybciej, jak potrafił. Był strażnikiem królowej. Jeśli ktokolwiek ośmielił się tknąć choćby włos na jej głowie, musiał natychmiast pożegnać się z życiem.

Gyl był szybki. Dobył miecza, wbiegł na małą polankę między drzewami i stanął jak wryty. Zobaczył gramolącego się na nogi wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę, który sprawiał wrażenie, jakby go ktoś przewrócił. Obok niego stał Sallementro. Był też Saxon - a ten skąd on się tam nagle wziął, u diabła? Kloek podtrzymywał zapłakaną królową.

- Co tu się dzieje, na światłość? - rzucił władcym tonem Gyl, natychmiast przykładając ostrze miecza do gardła ciemnowłosego nieznajomego.

Saxon odezwał się pospiesznie w imieniu wszystkich. Młodzieniec wyglądał na

dostatecznie rozwścieczonego, by zabić.

- Gyl, królowej nic nie jest. Po prostu otrzymała wstrząsającą wiadomość i jest zdenerwowana. Musimy ją zaprowadzić z powrotem do pałacu.

Gyl spojrział na Sallementra. Wszyscy obecni mieli coś do ukrycia, ale ich twarze nie były dostatecznie widoczne, by mógł z nich wyczytać prawdę. Miał całkowite zaufanie do Saxona i wiedział, że jego matka także powierzyłaby mu życie. Nie było powodu, by teraz nagle przestać mu ufać.

- A ty? - zapytał groźnie, mocniej przyciskając ostrze do gardła obcego. - Kim jesteś?

Tor otworzył usta, ale nim zdążył się odezwać, Alyssa odpowiedziała za niego. Jej głos, całkiem opanowany, brzmiał władczo.

- To przyjaciel, Gylu. Przyniósł mi wieści z przeszłości. Chcę, abys go przyjął jak honorowego gościa.

Gyl zawahał się na moment, ale w końcu cofnął miecz i schował go do pochwy. Potem podszedł do Alyssy.

- Wszystko w porządku, mamó?

Zmusiła się do uśmiechu, ale w oczach nadal miała łzy.

- Przepraszam, że się wymknęłam, synu. - Dotknęła jego policzka. - Po prostu uważałam, że jesteś trochę nadopiekuńczy. Nic mi nie jest. Czy zaprowadzisz nas do pałacu?

Obróciła się z powrotem do Tora, mówiąc nieprzekonująco wesołym tonem:

- Chodź, stary przyjacielu, mamy wiele do przedyskutowania.

- Wasza wysokość... - zaproponował.

Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu.

- Nie jestem sam. Czy moi towarzysze mogą pójść z nami do pałacu?

Zdesperowany Saxon zamknął oczy. Jeśli dla Alyssy spotkanie z Torem było ciężkim przeżyciem, to, co miało się wydarzyć za chwilę, musiało ją złamać.

- Proszę bardzo. Chętnie ich ugościmy - powiedziała kobieta nieco zbyt beztróskim, ale spokojnym głosem, z uniesioną wysoko głową. Wzięła Gyla pod rękę i ruszyli. W ślad za nimi podążał Sallementro.

Nalóżcie kaptury - przykazał dzieciom Tor, a one uczyniły to posłusznie. Wyszedłszy z ukrycia, ruszyły wraz z ojcem i Saxonem za drobną figurką swojej matki, królowej Tallinoru.

Clout pozostał w zagajniku. Nie zazdrościł im tego, co mieli przed sobą.

34.

CZAS ODKRYĆ KARTY

Cała gromadka dotarła do komnat królowej w niezręcznej ciszy. Alyssa nie zwróciła uwagi na dwie towarzyszące Torowi zakapturzone postacie. Za bardzo była skupiona na zachowaniu równowagi, by przejmować się jego nieznanymi przyjaciółmi.

- Dziękuję, Gyl - powiedziała, całując młodzieńca. - Przepraszam, że sprawiłam ci tyle kłopotu. Czy mogę jeszcze raz cię wykorzystać i poprosić, byś przywołał którąś z pokojówek? Przydałaby nam się jakaś przekąska.

Podmarszałek był tak skonsternowany dziwnym zachowaniem matki i jej tajemniczych gości, że bez słowa wykonał polecenie.

Saxon wyszedł za nim i zawołał go.

Żołnierz odwrócił się.

- Jesteś mi winien wyjaśnienie, Sax. O co w tym wszystkim, u diabła, chodzi? - zapytał ponurym szeptem.

Saxon widział, że Gyl jest wściekły jak osa, a jednak potrafi powściągnąć emocje. Chłopak dorósł. Teraz był mężczyzną i trzeba mu było okazać szacunek należny jego pozycji.

- Istotnie - rzekł - jestem ci winien wyjaśnienie. - Pokręcił głową. - To bardzo skomplikowane, Gyl, ale zaufaj swojej matce. To wszystko ma związek z jej dawnym życiem, jeszcze sprzed przybycia do Tal. Przysięgam ci, że ci ludzie nie stanowią dla niej zagrożenia. Przynoszą wieści, których z radością wysłucha. Dajmy im trochę czasu. Sallementro i ja będziemy trzymać wartę przy drzwiach, dopóki nie wrócisz.

Gyl kiwnął głową, równie skonsternowany jak przed chwilą.

- Nikt nie może wyjść ani wejść bez mojego pozwolenia, Sax. Rozumiemy się?

- Doskonale, panie marszałku - odparł Saxon i zauważył, że Gyl zmieszał się, słysząc, z jakimi honorami zwraca się do niego były mentor.

- Zaraz wracam - rzekł już nieco łagodniejszym tonem podmarszałek i spojrzał spode łba na Sallementra, który właśnie wyszedł z królewskich komnat.

Muzykant westchnął. Jediną pociechą, jaką mógł zaoferować Gyłowi, było to, iż jest równie oszołomiony jak on. Ostrożnie zamknął za sobą drzwi, licząc w duchu na rychły

powrót króla, a wraz z nim normalności.

*

W komnatach królowej pozostała czwórka stała w niezręcznym milczeniu.

Alyssa czekała, aż zamkną się drzwi. Potem, nim Tor zdążył coś powiedzieć, odezwała się, pragnąc ponownie przejąć kontrolę nad sobą i sytuacją.

- Czy przedstawiś mi swoich przyjaciół, Tor?

Jej głos był dla niego jak spadające na głowę odłamki lodu.

Pomyślał o przestrodze, jaką usłyszał od Orlaca na szczycie góry, i o tym, jak realna jest jego groźba zemsty. W dalszym ciągu ani o krok nie zbliżyli się do utworzenia Trójcy. Barwy zawrzały w ciele Tora, wydobywając na wierzch cały gniew, ból i żal, jakie jego życie zdawało się przynosić innym. Odsunął jednak od siebie rozpacz, myśląc o tym, że cokolwiek innego zdarzy się tej nocy, Alyssa otrzyma dar w postaci swoich dzieci. Przynajmniej tyle mógł dla niej zrobić. Przeczesał palcami włosy, wiedząc, że nie może się już wycofać. Nie wiedział jednak, jak jej to powiedzieć. Nie istniał łagodny sposób przekazania takiej wieści komuś, kto przeżył już tego wieczoru jeden wstrząs. Musiał powiedzieć to prosto i brutalnie.

- Alyss... - Zauważył, że zeszytniała na dźwięk swego imienia, ale postanowił mówić dalej. - Przedstawiam ci moje dzieci, Gidyona i Lauryn.

Królowa w jednej sekundzie umarła tysiąc razy. Dzieci. A więc ożenił się i został ojcem, podczas gdy jej nie było dane zostać matką. Cóż. Zacisnęła pięści, wbijając paznokcie w ciało, i próbowała odnaleźć w sobie więcej siły. Nie zamierzała rozpaczać. Zmusiła się do zwrócenia twarzy ku dwojgu gości, stojących w milczeniu przy oknie.

Młodzi ludzie zdjęli kaptury i skłonili się.

- Wasza wysokość - rzekli zgodnie..

Pokój oświetlały jedynie świece, jak zwykle o tej porze, ale Alyssa nie miała najmniejszych wątpliwości, że chłopak jest synem Torkyna Gynta. Pożerała go wzrokiem, usiłując nie myśleć o tym, że wygląda tak samo, jak wyglądał Tor w dniu, w którym złapał jej bukiet. Miał rumianą twarz, olśniewającą urodę, nawet niesamowicie niebieskie oczy ojca. Miała ochotę go znienawidzić. Jego i jego matkę, która poczęła go z miłości do Tora. Ale nie potrafiła.

Gidyon postąpił naprzód. Znajdował się teraz na całkiem nieznanym gruncie. Nie miał pojęcia, czego oczekuje od niego ojciec ani kiedy wyjawি prawdę, ale czuł, że musi dotknąć tej pięknej, pogrążonej w bólu kobiety, która była jego matką. Ujął jej drobną, wypielęgowaną dłoń, skłonił się nisko i ucałował ją.

Królową targały sprzeczne emocje. Chłopak był równie przystojny jak jego ojciec. Nie

potrafiła w tej chwili spojrzeć na Tora. Zamiast tego wzięła głęboki oddech i cofnęła dłoń. Jeszcze długo czuła na niej dotyk warg.

Potem spojrzała na dziewczynę... i zamarła. Na perfekcyjnym owalu widocznej ponad drobną sylwetką twarzy lśniły złote włosy. Na światłość! Czy to złudzenie?

Nim dziewczyna zdążyła się poruszyć lub cokolwiek zrobić, Tor postąpił naprzód i stanął obok królowej. Alyssa nie mogła znieść jego obecności przy swym boku. Wciąż targały nią sprzeczne uczucia - żywa miłość do niego i nienawiść z powodu jego zdrady. Zbyt dużo się teraz działo, by mogła zdecydować, które zwycięży. Wpatrywała się w uroczą córkę Tora, Lauryn, która spoglądała na nią nerwowo swymi szarzielonymi oczyma.

Tor dotknął jej ramienia. Był to gest tak intymny, że Alyssa miała wrażenie, iż jego dotyk pali jej skórę.

- Czy Lauryn kogoś ci przypomina, Alysso? - zapytał łagodnie jej towarzysz.

Słowa utknęły jej w gardle, ale wypchnęła je siłą.

- Szczerze mówiąc... jest trochę podobna... do mnie - wykrztusiła, spoglądając w jego chabrowe oczy.

I wtedy stało się coś, co było nie do pomyślenia. Tor otoczył ją ramionami i mocno przytulił. Jak mogła mu na to pozwolić? Jak mogła się zgodzić, by mężczyzna, którym pragnęła gardzić, tak poufale jej dotykał? Tor ucałował ją w czubek głowy, sprawiając, że poczuła się słaba... Ale było jej z tym dobrze.

- I słusznie, najdroższa. To twoja córka... nasza córka. A Gidyon jest naszym synem.

No proszę. Wyrzucił to z siebie.

Przez coś, co królowej zdawało się wiecznością w salonie panowała przerażająca cisza. Alyssa otwierała i zamykała usta, spoglądając to na jedno, to na drugie dziecko. Lauryn i Gidyon milczeli, nie wiedząc, co robić. Czekali na ruch ojca.

Ciche pukanie do drzwi wyrwało Alysę z odrętwienia. Oparła jedną dłoń na biodrze, a drugą zakryła usta, by nie krzyknąć. Przełknęła ślinę. Zamknęła oczy i uspokoiła się nieco. Tor pamiętał, że podobnie zachowywała się w dniu egzekucji. Wiedział, że da sobie radę. Była silna i dzielna.

Nie patrząc na nikogo, podeszła w milczeniu do drzwi, otworzyła je i wpuściła pokojówkę z tacką.

- Pospiesz się, Nelly - rzekła. - Możesz to postawić na tym stole. Zajmę się resztą.

Dziewczyna szybko postawiła tackę we wskazanym miejscu i ruszyła ku drzwiom, zapominając o dygnięciu. Królowa nie zwróciła na to uwagi. Odwróciła się z powrotem ku gościom, krzyżując palce, jakby miało jej to pomóc powstrzymać wszystkie nerwowe ruchy.

- Jak to możliwe, Tor? - zapytała ze zdumiewającym spokojem. - Gdyby to były dzieci, które urodziłam w Sercu Lasu, byłyby jeszcze małe.

- Czy możemy usiąść, wasza wysokość? - zapytał. - Przebyliśmy dziś długą drogę.

- Proszę - zreflektowała się. - Wybaczcie. Lauryn, czy mogłabyś nalać wszystkim trochę wina?

Lauryn z ulgą przyjęła powierzone jej zadanie. Miała wrażenie, że zaraz wybuchnie i pewnie tak by się stało, gdyby nie uspokajający głos Gidyona, który słyszała w głowie. Gdyby nie on, na pewno rozlałyby wino. Kiwnęła głową, uśmiechnęła się nieco nerwowo i podeszła do stołu, mijając królową, która siedziała sztywno na ławeczce przy oknie.

- A teraz mów - rzekła Alyssa, spoglądając surowo na Tora.

Podczas gdy Lauryn rozdawała pucharki z winem, Tor zaczął opowiadać historię narodzin dzieci. Alyssa miała wrażenie, że serce jej pęknie. Cały długo skrywany żal rozlał się teraz falą po jej ciele. Gdy usłyszała, co się stało po narodzinach, rozplakała się.

Gidyon nie mógł tego znieść. Ośmielił się podejść, usiąść obok królowej, objąć ją i przytulić, pozwalając jej wypłakać swoją miłość do syna, którego uznawała za martwego, i córki, o której istnieniu nie miała dotąd pojęcia.

Torowi także załamał się głos. Powoli jednak zdołał opowiedzieć swoją straszną historię, opowieść o męczarniach, które musiał przejść, by znów ją odnaleźć, tylko po to, by się dowiedzieć, że jest w rękach Gotha. Gdy mówił o egzekucji, zawahał się, lecz uspokajany i zachęcany przez Lauryn dobrnął do końca.

Wreszcie doszedł do utkanego przez Merkhuda czaru Przeniesienia.

- Dopiero dzisiaj się domyśliłam, że to ty byłeś wówczas w jego ciele. To prawda? - zapytała Alyssa. Miała czerwone oczy. Pomyślała, że musi wyglądać jak straszdyło.

- Ja... po prostu nie wiedziałem, co ci powiedzieć. Wokół było zbyt dużo ludzi.

Kiwnęła głową, jakby pogodziła się z tym, że życie przynosi jej tylko zgryzoty.

- Mów dalej.

Opowiedział jej wszystko. O tym, jak przywrócono go do życia, jak poleciał z Clootem, by tropić Gotha, jak porwano Cloota i jak popłynął do Cypryzji, odnalazł Cloota, wrócił do lasu i wreszcie spotkał się z dziećmi.

Gidyon wciąż trzymał Alyssę w ramionach. Gdy przemówiła, nie mogła uwierzyć, że jej głos brzmi tak spokojnie.

- A wy? Co robiliście przez cały ten czas?

Lauryn zrozumiała, że pytanie skierowane jest do niej. Wzruszyła ramionami.

- Sorrel zabrała nas do innego świata, w którym czas nie płynie tak samo. Przykro mi,

ale nic z tego nie pamiętamy... Sorrel powiedziała, że zapomnimy, i tak się stało.

Alyssa ze smutkiem pokręciła głową.

- Sorrel... - powiedziała. - A więc to ona was zabrała?

- Za pomocą Serca Lasu - wtrącił szybko Tor. - Chodziło o ich bezpieczeństwo. Alyssa, czy pamiętasz, jakie straszne były dla nas te chwile?

- Nie. Tak naprawdę pamiętam tylko, jak szczęśliwi byliśmy w lesie, a potem nic do czasu twojej egzekucji. Całą resztę widzę jak przez mgłę. - Alyssa spojrzała na Gidyona. - Widziałam twoje drobne, martwe ciało.

- To był urok, Alyssa - rzekł łagodnie Tor. - Miałś uwierzyć, że twoje dziecko nie żyje. Lys powiedziała, że to dla twojego dobra.

- Nienawidzę jej - odparła z pełnym przekonaniem królowa.

Tor zastanawiał się, czy Alyssa powiedziała by to, gdyby wiedziała, co łączy ją z Lys. Zaciśnął zęby na myśl o tym, jak kobieta ze snów igra z ich życiem.

- Gdzie jest teraz Sorrel? - zapytała Alyssa.

Trójka przybyszów wymieniła niepewne spojrzenia.

- Przypuszczamy, że nie żyje - rzekł Tor. - Jej czas się skończył, tak jak czas Merkhuda.

Alyssa posmutniała jeszcze bardziej. Kolejna strata. Kolejna ukochana osoba odeszła na zawsze.

- Co jeszcze masz mi do powiedzenia, Tor?

- Zostało kilka rzeczy, ale one mogą poczekać. Najważniejsze już wiesz. Teraz powinienem stąd odejść.

- Odejść? Jak to? Alyssa była zdumiona - Nie - powiedziała. - Nie pozwolę na to. Zostaniecie tu i opowiecie mi całą resztę.

Potem raz jeszcze z niedowierzaniem pokręciła głową patrząc na dwoje stojących teraz przed nią dzieci.

- Tak się cieszę, że przysz... - Nie dokończyła, bo rozplakała się.

Tor, Lauryn i Gidyon otoczyli ją ramionami, myśląc o utraconych latach.

*

Spełniwszy polecenie matki, Gyl zrobił szybki obchód straży. Był zbyt podniecony, by od razu wracać do komnat królowej. Ufał Saxonowi i Sallementrowi. Wiedział, że nie pozwolą skrzywdzić Alyssy.

Zaczął przeglądać wiadomości z okolicznych regionów i ucieszył się, przeczytawszy, że król wraca do Tal i powinien przybyć do miasta następnego dnia. Podmarszałek wydawał

właśnie wydelegowanym żołnierzom Tarczy polecenie wyruszenia na powitanie króla, gdy usłyszał jakieś zamieszanie.

- Zobacz no, co tam się dzieje, Brash - polecił jednemu ze swoich ludzi.

Ten opuścił wartownię, by po chwili wrócić z wiadomością.

- To jakaś staruszka, panie podmarszałku.

- W takim razie daj jej trochę zupy i każ komuś zaprowadzić ją do szopy, w której będzie mogła przenocować.

- Żąda widzenia z królową.

Gyl odwrócił się gwałtownie.

- Z królową?

- Tak jest.

- Czy wiesz, która godzina? Poślij tę starą wariatkę do diabła. Rano niech się stara o audiencję zgodnie z procedurami. I nie zwracaj mi tym głowy.

- Panie podmarszałku, ona wygląda jak trzy ćwierci do śmierci. Nie wiem, czy zdoła zrobić kolejny krok. Mówi... hm, mówi, że była kiedyś opiekunką królowej.

- Na świńskie jaja! Ktoś za to odpowie! - wściekł się Gyl, wyrzucając nagle z siebie całą frustrację ostatnich godzin. - Gdzie ona jest?

- Przy głównej bramie.

- W porządku - powiedział Gyl i ruszył, mrużąc pod nosem: - Jeśli chcesz, by coś zostało zrobione dobrze, zrób to sam.

Przy bramie stała maleńka, bardzo krucha kobiecinka. Wydała mu się znajoma, ale był zbyt rozgniewany, by się nad tym zastanowić.

- Słuchaj no, kobieto. Jest już po trzynastym dzwonie. Jej wysokość śpi - skłamał. - I nie mamy najmniejszego zamiaru budzić jej, żebyś mogła sobie z nią pogadać. Zrozumiano?

Stara wiedźma włożyła palec między żelazne kraty.

- To ty, młodzieńcze, nic nie rozumiesz. Powiedz królowej, że przyszła Sorrel. Dla mnie jej drzwi są otwarte o każdej porze.

- Nie zrobię tego - warknął Gyl, rozzłoszczony wydarzeniami tej nocy i ludźmi, którym się zdawało, że mogą kpić z jego władzy i robić ze strażą pałacową, co im się żywnie podoba. - Proszę stąd odejść i wrócić jutro.

Udała, że nie słyszy.

- Czy jest tu Saxon Lis?

- Sax? - zdziwił się Gyl. - Kim pani jest? - zapytał, zbyt późno przypominając sobie, że już otrzymał odpowiedź. Spojrzał na swoich ludzi, oni jednak odwrócili głowy.

Staruszka, na jego szczęście, nie odpowiedziała. Gyl rozważył swoje położenie. Wiedział, że źle to rozegrał. Tej nocy nic mu nie wychodziło.

- Sprowadź tu Kloeka - rzekł zmęczonym głosem do jednego z podwładnych. - Stoi przed drzwiami komnat królowej. - Po tych słowach odwrócił się do kobiety. - Jeśli za panią zaręczę, wpuszczę panią.

*

Dzieci skubały leżące na tacy sery, orzechy i owoce, rozmawiając cicho w kącie salonu Alyssy, zadowolone, że mają już za sobą spotkanie, którego tak się bały.

Lauryn była zdumiona, że jej matka nadal wygląda tak młodo i pięknie. Nie wiedziała, dlaczego wyobrażała sobie kogoś znacznie starszego. Kobieta nawet jej jeszcze nie dotknęła, ale dziewczyna instynktownie wyczuwała w niej strach - strach przed wszystkimi powściąganymi dotąd emocjami. Alyssa za wszelką cenę chciała wyglądać na kogoś, kto panuje nad sytuacją. Bądź co bądź, była królową tego kraju. A na bliższe poznanie się miały mnóstwo czasu. Lauryn bardzo się z tego cieszyła. Na razie jednak wystarczyło jej, że może patrzeć na rozmawiających ze sobą rodziców.

Tor i Alyssa siedzieli na ławeczce przy oknie, zaciągnąwszy zasłony, by nikt im nie przeszkadzał.

Tor celowo obejmował dłońmi puchar, bojąc się, że jeśli je z niego zdejmie, zaczną szukać dłoni Alyssy. To było zbyt niebezpieczne. Dzielila ich potężna bariera. Na imię miała Lorys.

- Chyba powinienem ci pogratulować świetnej partii, Lysso - powiedział i poczuł się jak idiota.

Alyssa także cierpiała, mając go na wyciągnięcie ręki, lecz bojąc się dotknąć. Gdy nazwał ją Lyssą, musiała przygryźć policzek, by znów nie wybuchnąć płaczem.

- Daj spokój, Tor. Nawet nie wiem, jak miałabym się tłumaczyć.

- Wcale nie musisz się tłumaczyć. Naprawdę. Widziałaś, jak umieram. Nie mam pojęcia, jak sobie z tym poradziłaś. Najpierw straciłaś dziecko, potem mnie, a potem wszystkie inne stworzenia z Serca Lasu... Naprawdę cieszę się, że jesteś szczęśliwa - rzekł, starając się, by to zabrzmiało szczerze, i patrząc jej prosto w oczy, co samo w sobie było trudne.

- Tak. - Tylko tyle zdołała powiedzieć, pozwalając sobie jednak na odwzajemnienie spojrzenia oczu, które od tak dawna kochała.

Tor przerwał tę trudną chwilę, zmieniając temat.

- Nasze dzieci są wspaniałe, Alyssso. Silne i dzielne. Dysponują wielką mocą

zwłaszcza Gidyon. Stworzyliśmy dwoje wyjątkowych ludzi, nawet jeśli... - Nie potrafił dokończyć.

Tym razem to ona go uratowała.

- Są cudowne - powiedziała, starając się mówić wesoło. - Żałuję, że widziały mnie w takim stanie. Mam nadzieję, że będę miała okazję lepiej je poznać. Zostaniecie dłużej?

- One powinny zostać, nie sądzę jednak, żeby król przyjął mnie z otwartymi ramionami.

Postanowili znów zmienić temat. Alyssa nie zdążyła się zastanowić, jak na to wszystko zareaguje Lorys. Wystarczająco trudne było radzenie sobie z własną reakcją. To wszystko wydawało się takie nierealne.

- Opowiedz mi o Gylu - zaproponował Tor.

- Adoptowałam go przed kilku laty. Pewnego ranka znaleziono go przykutego do bramy pałacu. Został porzucony. Nyria natychmiast się nim zajęła. - Tor uśmiechnął się, pamiętając, jak bardzo zmarła królowa kochała dzieci. - Powierzyła go mojej opiece. On był mały i potrzebował matki, a ja wciąż cierpiałam po stracie dziecka i potrzebowałam kogoś, kogo mogłabym pokochać. On mnie uleczył. On, Saxon, Sallementro, Nyria... a potem Lorys.

- Bardzo cię kocha.

- Tak, Tor. Król darzy mnie głębokim uczuciem.

- Miałem na myśli Gyla.

- Och - rzekła zmieszana. - Hm... Tak, jesteśmy ze sobą bardzo blisko. Martwi się o mnie, bo w zeszłym tygodniu zemdlalam. Poczulałam straszną zmianę w siłach ziemi i...

Tor w końcu ujął jej dłoń. Nie potrafił się powstrzymać.

- Ja też. Wszyscy to poczuliśmy: dzieci, Saxon, wszystkie stworzenia Serca Lasu.

- Chodzi o Orlaca, prawda? Uwolnił się?

- Tak. I przywołał mnie.

Alyssa ścisnęła go za rękę.

- Widziałeś go? - zapytała z niepokojem.

- Rozmawiałem z nim. Zamierza zabić nas wszystkich.

- Na miłosierdzie! - wyszeptała. - Co stanie się z Trójcą?

- Wezwałem dzieci z powrotem do Tallinoru, mając nadzieję, że coś się wyjaśni, ale nic się nie wydarzyło, Alysso. Boję się o nie... i o ciebie.

- Co teraz zrobisz?

- Najpierw to - powiedział i dotknął jej czoła.

Wydała okrzyk zdumienia, patrząc, jak klejnot spada w ręce Tora, i po raz pierwszy

od lat czując więź z jego mocą. Tor otworzył łącze w jej głowie. To było wspaniałe uczucie.

A potem to - rzekł, zbliżając usta do jej ust. Nie cofnęła się. Pocałował ją łagodnie.

Musiałem to zrobić, żebyś wiedziała, że nigdy nie przestałem cię kochać. I właśnie dlatego, że tak bardzo cię kocham, zwalniam cię ze wszelkich zobowiązań wobec mnie. Jesteś w bardzo trudnej sytuacji i nie przyszedłem tu po to, żeby komplikować ci życie jeszcze bardziej. Musiałem cię jednak ostrzec, nim zdecydujesz, co robić dalej.

Już miała mu odpowiedzieć, gdy po raz kolejny zapukano do drzwi. Odezwał się zza nich Saxon, oznajmiając, że ma dla nich niespodziankę.

- Jeszcze jedną? - mruknęła Alyssa, wychodząc zza kotary. - Nie wiem, czy moje serce to wytrzyma. Wejdz.

Sallementro otworzył drzwi, by wpuścić Saxona, niosącego na rękach coś, co wyglądało na wielką stertę szmat.

Serta poruszyła się, a wszyscy podskoczyli z wrażenia.

- Sorrel! - pisnęła Lauryn.

W komnacie zapanowało zamieszanie.

35.

OBJAWIENIE

Saxon ułożył staruszkę na jednej z wielkich sof. Miała zamknięte oczy, oddychała chrapliwie i nierówno.

Tor nie miał wątpliwości, że Sorrel umiera: każdy jej oddech mógł być ostatnim. Mimo to poprosił pozostałych, którzy stłoczyli się wokół kobiety, by go przepuścili. Saxon i Sallementro nie mieli innego wyjścia, jak tylko wrócić na wartę przed drzwiami.

Tor położył dłonie na ciele staruszki. Poczuł w środku migotanie Barw i szybko się zorientował, że Sorrel niedługo już pozostanie na tym świecie. Zerknął na Alyssę i ze smutkiem pokręcił głową. Już miał wstać, gdy staruszka ścisnęła go za rękę. Spojrzał na nią, a ona uśmiechnęła się nagle pięknym uśmiechem, który sprawiał wrażenie, jakby był przeznaczony tylko dla niego. Sorrel wyszeptała coś, co zdołał wychwycić tylko idealny słuch Tora.

- Trójca ci się wymyka?

Kiwnął głową.

- Jest bardzo blisko, chłopcze. Popatrz w stronę lasu. Jego Serce chroni swoje dzieci.

Zamknęła oczy. Wydawało się, że odeszła do bogów. Lauryn, mimo że próbowała się powstrzymać, rozplakała się, a Gidyon i tym razem otoczył ją ramieniem, dzieląc jej smutek.

- Jeszcze żyje - rzekł cicho Tor.

Sorrel potwierdziła jego słowa, otwierając oczy.

- Gdzie Alyssa?

- Tu, Sorrel. Tu jestem. - Królowa przyklękła obok Tora i ujęła drugą rękę staruszki. Choć wydawało się, że wyplakała już tej nocy wszystkie łzy, teraz zapłakała gorzko nad ukochaną opiekunką.

- Och, moja mała. Jakaś ty piękna. A niech mnie! - Sorrel wykrzesła z siebie suchy chichot. - Królowa Tallinoru... Kto by pomyślał?

- Musisz odpocząć, Sorrel - szepnęła Alyssa. - Czy mam sprowadzić medyka?

- Nie, dziecko. Najlepszy medyk w królestwie stwierdził już, że moje życie dobiega

końca. Musiałam jeszcze raz się z wami zobaczyć. Oddałam ci to, co do ciebie należy. Te dzieci zostały ci skradzione dla twojego i ich bezpieczeństwa. Nie chciałam cię opuścić, kochanie, ale musiałam chronić ciebie i te cenne, niezmiernie cenne istoty. Wybaczysz mi?

Alyssa nie mogła wydobyć z siebie słowa. Tor przygarnął ją mocno, by dodać jej sił, których potrzebowała, by kiwnąć głową przez łzy.

- Nic nie mów, Sorrel. Odpoczywaj - błagała.

Sorrel zanosła się przerywanym kaszlem, po czym chrapliwie wciągnęła oddech. Lauryn odwróciła wzrok. Nie mogła patrzeć na cierpienie staruszki, czując się winna, że pozostawiła ją na pastwę losu w przeświadczeniu, iż jest już martwa.

Staruszka doszła nieco do siebie i zwróciła się do Alyssy:

- Muszę coś powiedzieć, królowo. Czas ucieka. Dotarłam tu resztką sił, bo mam jeszcze coś do zrobienia, nim wyzionę ducha. To moje najważniejsze zadanie.

Zamknęła oczy, by zebrać siły. Gdy znów je otworzyła, były szkliste, jakby już odchodziła.

- Mów, Sorrel - ponaglił ją Tor.

Gestem nakazał Lauryn i Gidyonowi, by się oddalili. Ta scena zbyt mocno ich poruszyła.

Gidyon pomógł siostrze wyjść z komnaty. Oboje potrzebowali świeżego powietrza i odpoczynku od panującego w środku napięcia.

- Możemy wyjść na dwór? - zapytał stojących przed drzwiami mężczyzn.

- Pójdziemy z wami - odparł Saxon, zadowolony, że będzie miał coś konkretnego do zrobienia.

Sallementro przyklasnął mu ochoczo i cała czwórka ruszyła w stronę innego krańca wieży, gdzie mogli spokojnie porozmawiać na balkonie.

Tymczasem w komnatach królowej Sorrel ścisnęła dłonie Tora i Alyssy i przyciągnęła ich ku sobie, znajdując nowe siły.

- Słuchajcie uważnie - wychrypiała. - Jest jeszcze jedno dziecko. Syn. Urodził się, gdy już cię odesłałam, Tor. Był słaby, niemal martwy. Ubłagałam Darmuda Corila, by się nim zajął.

Zaczęła znów sapać, słabnąc. Słuchacze byli zbyt wstrząśnięci, by się odezwać. Zbyt oszołomieni, by poczuć, że jej uścisk zelżał. Tor pierwszy się otrząsnął.

- Gdzie on jest, Sorrel? Gdzie możemy znaleźć naszego syna?

- Nie wiem - odparła ledwo słyszalnym szeptem. - Szukajcie w Sercu Lasu. Ma na imię Rubyn.

Wydała ostatnie tchnienie i skonała z uśmiechem na ustach.

- Sorrel! - krzyknęła Alyssa. - Mój syn - szepnęła. - Mój syn...

Czuła zacieśniającą się wokół niej zieloność, przywołującą ją do swej przystani i wciągającą w głębinę, w której byłaby bezpieczna. Mogła się w niej zanurzyć, uciekając przed bólem serca i rozpaczą.

I wtedy usłyszała w głowie głos Tora. Mówił łagodnie, wiedząc, że nie może jej naciskać.

Nie odchodź, Alysso. Błagam cię, nie uciekaj przed tym.

Nasze dziecko, Tor. Porzucone w lesie, martwe. To jego ciało widziałam!

Zapadła głębiej w zieloność.

Nie. Żywe. Troszczy się o nie Serce Lasu. Chroni je Darmud Coril. Rubyn żyje, a my musimy go odnaleźć. Czyż nie rozumiesz, kochana? On jest dopełnieniem!

Miała ochotę go odepchnąć, zamknąć mu usta. Nie chciała walczyć. Otrzymała już zbyt dużo ciosów, a ten ją złamał. Zieloność kusila. Alyssa chciała już tylko uciec w nią i znaleźć spokój.

Pomyśl, Alysso: Trójca! Teraz, gdy wiemy o Rubynie, wszystko stało się jasne. Trójca to nasze dzieci. Nie chodzi o ciebie ani o mnie, ale o nie! Musimy go znaleźć, nim będzie za późno.

Trójca? - Alyssa zadrżała, czując, jak coś ciągnie ją w przeciwną stronę.

Tak. Gidyon, Lauryn i Rubyn. - Tor zamilkł. - *Jesteś im potrzebna, Alysso* - dodał.

Zawahała się.

Ja też cię potrzebuję - rzekł Tor.

To przeważyło. Alyssa odwróciła się od zieleni i ruszyła za Torem, powracając do rzeczywistości, w której oboje siedzieli w komnacie, trzymając za ręce martwą kobietę. Tyle że Sorrel nie była już kobietą. Obróciła się w proch.

Tor zerknął na Alyssę z zachwytem w jasnoniebieskich oczach.

Znaleźliśmy Trójcę.

Alyssa odwzajemniła uśmiech.

Znaleźliśmy siebie - szepnęła, przerażona sensem własnych słów.

Na zewnątrz rozległ się triumfalny krzyk sokoła.

W oddali Serce Lasu usłyszało swojego brata i zadrżało z radości.